

# Najtrudniejszy cel

Christopher Hyde



calibre 0.9.27

Christopher Hyde

*Najtrudniejszy cel*

(Hard Target)

*Pamięci małej M.*

*Zbyt krótkie życie,*

*lecz przeżyte z największą radością*

# Od autora

Przedstawione w Najtrudniejszym celu dane są dokładne, podobnie jak wszelkie informacje dotyczące historii oraz codziennego rozkładu zajęć w Białym Domu. W interesie bezpieczeństwa publicznego uległy niewielkiej zmianie tylko pewne szczegóły techniczne.

Prolog

HOTEL „WASHINGTON”,

WASZYNGTON 10 KWIETNIA 1945

19.05 CZASU WSCHODNIEGO

Dwaj ubrani po cywilnemu mężczyźni znajdowali się w bogato urządzonej salonie hotelowego apartamentu. Ruchy starszego z nich zdradzały, że czuł się niepewnie bez munduru.

Młodszy zajęty był lekturą, jego towarzysz stał przy oknie, ściskając w zębach długie, dymiące cygaro. Przez cały dzień na dworze było mgliście i pochmurno, więc zmierzchu ledwie dostrzegało się zmianę jednego odcienia szarości w drugi. W dole widział klasyczną linię dachu Skarbcza, za którym, otoczony drzewami, wznosił się Biały Dom.

Roosevelta oczywiście tam nie było. Pod koniec marca po Jałcie wyjechał na trzytygodniowy wypoczynek do Małego Białego Domu w Warm Springs, w Georgii. W Białym Domu przebywała Pierwsza Dama i dziesiątki innych ludzi. Bez prezydenta jednak urok i potęga słynnego gmachu zostały przyćmione.

Młodszy mężczyzna, łysiejący okularnik o szczupłej twarzy, cisnął raport na stolik.

Zapalił papierosa i z powrotem opadł na kwieciste poduchy chesterfielda.

- Czy to prawda? - zapytał.

- Tak. - Starszy mężczyzna odwrócił się od okna i nie wyjmując cygara z ust, dodał:

- Zupełnie zmienił swoje stanowisko.

- To wprost niewiarygodne, generale.

- Chce pokazać im film, kiedy już przeprowadzimy próby.

Młodszy potrząsnął głową.

- To nie wystarczy.

Zdjął okulary i zaczął je przecierać chusteczką wydobytą z kieszonki na piersi marynarki.

- Cały komitet był co do tego zgodny. Stimson, Vannevar, Bush, Fermi... mój Boże, nawet Oppenheimer powiedział, że tylko operacja militarna na pełną skalę odniesie właściwy skutek.

Czy on naprawdę myśli, że Hirohito podda się, bo pokażemy mu jakiś film? Generał zacisnął zęby na cygarze.

- Tu chodzi o coś więcej - młodszy mężczyzna poprawił okulary wypielegnowanymi palcami na grzbiecie długiego, patrycjuszowskiego nosa.

- Nie należy zapominać o Stalinie. Połknie całą Europę, jeśli tylko mu na to pozwolimy; ta bomba atomowa może drania powstrzymać i skłonić do zastanowienia.

- A co z Trumanem? spytał generał. - Czy on jej użyje?

- On w ogóle o niczym nie będzie wiedział, ale mamy jego słowo.

Zapadła długa cisza. Generał wrócił do okna i zapatrzył się w ciemność.

- Będziemy musieli działać szybko - powiedział wreszcie. - Przed miesiącem albo dwoma to nie było takie ważne. Próba miała się odbyć dopiero w sierpniu. Myśleliśmy, że może...

- Myśleliście, że do tego czasu Roosevelt umrze - ponuro wtrącił okularnik.

- Z napływających z Warm Springs raportów wynika, że czuje się lepiej.

- Co mówi admirał? - spytał generał.

- Jest strzeżony, podobnie jak doktor Bruenn. - Młodszy mężczyzna wzruszył ramionami.

- Ale je więcej. Tyje i pływa w basenie. Z drugiej jednak strony, jutro może już nie żyć.

- Wiedzieliśmy o tym, namawiając go do walki o czwartą kadencję. To dlatego wiceprezydentem jest Harry Truman, a nie Henry Wallace - warknął generał, odwracając się od okna. Jego cygaro dawno zgasło, lecz on chyba tego w ogóle nie zauważył.

Młodszy zapalił kolejnego papierosa. Z lekkim uśmiechem sięgnął do wewnętrznej kieszeni eleganckiej marynarki, wydobyl prostą, skórzaną papierośnicę oraz paczkę kameli. Położył je na stoliku i usiadł.

Generał zmarszczył brwi.

- A to co, u diabła?

Jego rozmówca westchnął.

- Znamy się od dawna, generale. Zna pan moją rodzinę i wie pan, w co wierzymy. To dlatego pan mnie w to wciągnął. Myślałem, że pan traktuje to poważnie.

- Bo traktuję - burknął generał. - Wszyscy traktujemy.

- To dobrze młodszy mężczyzna pokiwał głową. - Cieszy mnie, że to słyszę. Zaciągnął się głęboko papierosem i wolno wypuścił nosem dwa kłęby dymu.

- Ta papierośnica jest wierną kopią papierośnicy Roosevelta. Papierosy też są dokładnie takie, jakie być powinny kamele, marka prezydenta - o ile pan pamięta.

- Nigdy nie zwróciłem na to uwagi - odparł generał.

- Proszę mi wierzyć, on pali kamele. Sześć sztuk dziennie, w myśl nowego regulaminu doktor Bruenna. Z naszych informacji wynika, że w rzeczywistości pali prawie dwa razy tyle. To i tak znacznie mniej w porównaniu z poprzednimi dwiema lub trzema paczkami.

- Więc ty i twoi przyjaciele z E Street stworzyliście replikę papierośnicy prezydenta.

Doceniam to osiągnięcie, ale może przejdiesz wreszcie do rzeczy.

- Oczywiście. Papierosy w tej paczce zostały poddane specjalnej - że tak powiem, kuracji proszę wybaczyć mi tę grę słów.

- Mów dalej - rzucił krótko generał.

- Substancja obecna w tych papierosach stanowi produkt uboczny pewnej produkcji wykonanej dla nas przez ludzi Du Ponta. Jest to włókno - nie znam dokładnie wzoru chemicznego - które po zapaleniu wydziela trujący gaz. Objawy są takie same jak przy wylewie krwi do mózgu.

- Zupełnie jak w taniej powieści sensacyjnej - skwitował generał.

- Być może. Ale to działa i nie zostawia żadnych śladów.

- Co ty właściwie sugerujesz?

- Zamienimy papierośnice. W naszej, między najzwyklejszymi papierosami, znajdzie się ten jeden szczególny.

W głosie generała zabrzmiała drwina.

- A któż dokona tak odrażającego wyczynu? Jeden ze śmiałków Donovana?

- Nie, ktoś z zewnątrz. Ktoś, kto ma powód, by przebywać w Warm Springs.

- Kto?

- Mój przyjaciel. Nazywa się Hollis Macintyre.

- Czy to jakiś krewny admirała? - generał poruszył się niespokojnie.

- Nie. Był asystentem doradcy Roosevelta do spraw wojskowych.

- Generała Watsona?

- Zgadza się. Tego samego, który zmarł w drodze na konferencję jałtańską w lutym.

Hollis okazał się tak pożyteczny w trakcie obrad, że zostawili go na stałe. Obecnie pracuje

jako kurier. Kursuje tam i z powrotem z korespondencją Białego Domu.

- I on powiada, że to zrobi?

Młodszy skinął głową. - Tak.

- Dlaczego? - zapytał generał chłodnym tonem.

- Bo jest patriotą. Roosevelt umiera. To tylko kwestia czasu. Hollis, podobnie jak pan czy ja, ma świadomość, że prezydent nie jest w stanie negocjować ze Stalinem warunków pokoju w Europie. Rozumie też, że jeśli nie użyjemy w Japonii bomby atomowej, będziemy musieli dokonać inwazji z udziałem miliona mężczyzn. Hollis stoi na stanowisku, iż jeśli już musi popłynąć krew, niech będzie to krew Japończyków, nie zaś Amerykanów.

Generał zrobił chytrą minę.

- Przypuszczam, że twój pan Macintyre nie dostrzega w tym żadnych osobistych korzyści?

Młodszy mężczyzna spojrzał generałowi prosto w oczy.

- Nasza wdzięczność w zupełności mu wystarczy.

- Kiedy wyjeżdża do Warm Springs? - spytał generał, wpatrując się w paczkę papierosów.

- Jutro po południu - odparł pośpiesznie okularnik. - Poleci do Fort Benning, skąd agent Secret Service zawiezie go do Warm Springs.

- Zadzwoń do niego - polecił generał po krótkim namyśle. - Zadzwoń do swego patrioty i poproś, żeby przyszedł do hotelu.

Młodszy mężczyzna skinął głową.

- Oczywiście.

Generał wrócił do okna i wyjrzał na ulicę. Budynek Skarbca pogrążony był w ciemnościach, a w Białym Domu płonęło tylko kilka świateł.

- On i tak umiera - powiedział cicho do swego odbicia w szybie. - To nie to samo, co morderstwo.

- Przepraszam? - odezwał się młodszy. Ze słuchawką w dłoni stał przy biurku w odległym końcu pokoju. - Czy pan coś mówił, generale?

- Nie. - Generał wolno potrząsnął głową. - Nic nie mówiłem.

MAŁY BIAŁY DOM WARM SPRINGS,

GEORGIA 12 kwietnia 1945

13.15 CZASU CENTRALNEGO

Kilkanaście budynków składało się na kompleks Warm Springs w Georgii. Większość z nich przeznaczono dla ofiar polio, które przyjeżdżały tutaj, aby korzystać z dobrodziejstw basenu z gorącymi źródłami umiejscowionego w pobliżu Georgia Hall. Franklin Delano Roosevelt był nie tylko prezydentem Stanów Zjednoczonych, ale również jednym z założycieli fundacji Warm Springs. Regularnie więc odwiedzał uzdrowisko, aby dojść do siebie po trudach życia w Waszyngtonie.

Jego posiadłość w Hyde Park, w stanie Nowy Jork, była znacznie większa i wygodniej urządzona. Roosevelt jednak zawsze traktował ją jako własność matki i znacznie lepiej czuł się pośród prostych przyjemności sześciopokojowego, drewnianego domku na wzgórzu nad Georgia Hall. Dodatkowym atutem tego miejsca była bliskość wieloletniej miłości prezydenta, Lucy Mercer Rutherford.

Roosevelt był wyczerpany i przygnębiony, gdy przybył do uzdrowiska niemal przed dwoma tygodniami. Po dwunastu dniach wypoczynku, lekkich ćwiczeń oraz opieki medycznej doktora Bruenna czuł się znacznie lepiej. Poprawiło mu się ciśnienie krwi, twarz nabrała rumieńców. Nawet jedzenie miało lepszy smak. Zgodził się też pozować do akwarelowego portretu przyjaciółce swojej kuzynki, Polly Delano, imponującej madame



Shoumatoff.

Siedząc za biurkiem ustawionym w największym pokoju, Roosevelt przystąpił do otwierania poczty i przeglądania zawartości ostatniego worka z Waszyngtonu. W pokoju trwała żywa krzątanina. Polly i druga kuzynka, Daisy Suckley, uwijały się przy kwiatkach, natomiast madame Shoumatoff pracowała przy sztalugach. Do pomieszczenia wpadał co chwila Bill Hassett, prezydencki sekretarz do spraw spotkań. Ukochana Lucy zaś doglądała przygotowań kelnera Joego Esperancilli i kucharki Daisy Bonner do lunchu.

Prezydent otrząsnął się z zadumy; uświadomił sobie, że madame Shoumatoff coś do niego mówi. Silny rosyjski akcent sprawiał, że zrozumienie jej słów wymagało sporego wysiłku.

- Przepraszam, o co chodzi? - zapytał uprzejmie. Na prawo od malarki, przy drzwiach na korytarz, stała Lucy z rękoma złożonymi skromnie na podołku. Była zadowolona z samego faktu, iż przebywa pod jednym dachem z mężczyzną, którego kochała od prawie trzydziestu lat.

- Mówiłam, że widziałam nowy znaczek wydany z okazji stulecia Florydy. Czy miał pan z nim coś wspólnego?

- Oczywiście - odparł Roosevelt z roztargnieniem. Za plecami rozmówcy widział, jak Joe kończy przygotowania do lunchu.

- Madame - uśmiech na jego twarzy zdradzał, że pozowanie dało się mu poważnie we znaki. - Zostało nam około piętnastu minut...

- Tak, tak - madame Shoumatoff pokiwała głową. Podeszła bliżej i poprawiła fałdy ciemnobłękitnej marynarskiej peleryny okrywającej kruche ramiona prezydenta. Peleryna doskonale pasowała do jego ciemnego garnituru oraz krawatu w czerwono-niebieskie paski, który sama wybrała. Wróciła do sztalug i przystąpiła do nakładania farby na krawat. Z jednej

z wielu sypialni wyłoniła się Polly Delano i oznajmiła Daisy Suckley, że potrzebuje jeszcze jednej wazy.

Roosevelt ukradkiem otworzył papierośnicę. Bruenn nalegał, by palił nie więcej niż sześć sztuk dziennie. On jednak zawsze miał przy sobie pełną paczkę. Wyjął papierosa i wetknął go w ulubioną cygarniczkę z kości słoniowej. Sięgając po zapalniczkę, kątem oka dostrzegł Lucy. Mrugnął do niej, ona zaś ściągnęła brwi w udawanym oburzeniu. Prezydent zaciągnął się głęboko, rozkoszując się znajomym, orzechowo-gorzkim aromatem. Nagle zagłuszyła go tak mocna woń cytryn, jakby ktoś tuż obok kroił w plasterki świeży owoc. Nieoczekiwanie poczuł w głębi głowy, gdzieś za oczami, oślepiający ból. Uniósł dłoń, przytknął ją do czoła i mocno ścisnął.

- Strasznie boli mnie głowa - wyszeptał. Opadł na oparcie fotela, cygarniczka z papierosem potoczyła się po podłodze.

- Upuściłeś coś? - zapytała z uśmiechem Daisy Suckley. Roosevelt zamknął oczy i przechylił się w lewo.

Polly Delano odstawiła wazon z kwiatami na kominek.

- Franklin, nic ci nie jest?

Odpowiedziała jej cisza. Roosevelt siedział nieruchomo, z na wpół otwartymi oczami.

Jego szczęka wolno osunęła się w dół. Madame Shoumatoff oddalona od biurka zaledwie o kilka stóp zaczęła krzyczeć. Rzuciła się ku frontowym drzwiom, a w tym czasie z kuchni wypadł Joe Esperancilla. Rosyjska artystka dostrzegła opartego o prezydenckiego packarda Jamesa Beary'ego, agenta Secret Service.

- Proszę wezwać lekarza! - zawołała. - Z prezydentem stało się coś strasznego!

Doktor Howard G. Bruenn obwieścił: w dniu dwunastego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku o godzinie piętnastej trzydzieści pięć Franklin Delano Roosevelt

umarł. Jako przyczynę śmierci podał rozległy wylew krwi do mózgu. Wobec tego, że nie przeprowadzono sekcji zwłok, nigdy nie została potwierdzona trafność tej diagnozy. Co więcej, w dwadzieścia cztery godziny po śmierci prezydenta, ze szpitala marynarki w Bethesda zniknęły wszelkie medyczne raporty dotyczące Roosevelta. Bez śladu przepadły również rejestry dla dwudziestu dziewięciu nazwisk - pseudonimów, jakimi posługiwał się Roosevelt podczas lat spędzonych w Białym Domu. Centrum Medyczne Marynarki Wojennej ani federalne Biuro Zarządzania Personalem nie potrafiły tego wyjaśnić.

Prezydent Harry Truman odebrał wiadomości w szesnastego lipca w Poczdamie o zakończonej sukcesem próbie bomby atomowej, jaką przeprowadzono w Alamogordo, w Nowym Meksyku. Wracając szóstego sierpnia z Konferencji Poczdamskiej na pokładzie ciężkiego krążownika USS „Augusta”, dowiedział się, iż poprzedniego dnia o dziewiętnastej piętnaście czasu waszyngtońskiego została zrzucona bomba atomowa na Hiroszimę w Japonii.

Trzy dni później Hollis Macintyre, już jako specjalny doradca w ministerstwie wojny, zakończył dwudziestodwustronicowy raport o jego roli w wydarzeniach, które doprowadziły do śmierci Franklina D. Roosevelta. Podał w nim kryptonim całej operacji: Romulus.

Dołączył też nazwiska osób uczestniczących w tym spisku wraz z zajmowanymi przez nie stanowiskami. Potem zamknął raport w małej kasetce i ukrył we wbudowanym pod podłogą jego sypialni ognioodpornym sejfie w Stoneacres, w Wirginii.

Część pierwsza

Do czasu zamordowania Johna Kennedy’ego,

Roberta Kennedy’ego i Martina Luthera Kinga

byliśmy pewni, że jesteśmy narodem ballotu,

nie zaś kuli. \* [\* gra słów, kula - ang.: bullet; ballot - system tajnego głosowania, np.

podczas wyborów (przyp. tłum.).]

Jimmy Carter,

z przemówienia w Białym Domu

Rozdział 1

Pałace słońce wisiało nad Wirginią niczym rozżarzony węgiel. Jego tarcza drgała lekko w unoszących się nad miastem falach gorącego powietrza. Na skutek zawartych w nim zanieczyszczeń przybierała niezdrową, pomarańczowo-zieloną barwę. Zachodząc, zostawiało długi, rozedrgany ślad na powierzchni Potomacu, po której - na podobieństwo zwinnego - wielonogiego owada, ślizgał się wysmukły kadłub wiosłowej łodzi.

Choć woda lśniła jeszcze słonecznym blaskiem, Waszyngton szykował się do snu.

Wyspa Teodora Roosevelta wyrastała z rzeki ciemną masą cieni. W oddali zaś polśniewały już widmowe, błękitne lampy sygnałowe portu lotniczego Washington National.

Hudson Haines Cooper, ubrany w elegancki niebiesko-żółty szlafrok, z kryształową szklanką szkockiej w dłoni, wyglądał przez okno w salonie swego mieszkania w Watergate. Był zupełnie sam w dziesięciopokojowym, pogrążonym w mroku, luksusowym apartamencie, którego ciszę mąciło ciche buczenie klimatyzacji. Zakręcił pływającymi w szklance kostkami lodu i potrząsnął dużą, łysą głową. Taki widok robił znakomite wrażenie, ale jak działało się to z większością rzeczy w Waszyngtonie, były to tylko pozory mające ukryć głębsze kłamstwa.

Potomac był ściekiem, Wyspa Roosevelta o tej porze stawała się rajem dla gwałcicieli, a National stanowił dla pilotów prawdziwy koszmar.

*Kiedy już zbrukasz czysty strumień,*

*I dzikich ptaków ostępy dziewicze,*

*Obrócisz w niwecz milion marzeń*

*I pluniesz prosto w Boga oblicze.*

Zwrotka z wiersza Johna Drinkwatera, którą przypomniał sobie nieoczekiwanie, była całkiem trafna. Jeszcze raz potrząsnął głową i odwrócił się od okna. Może była trafna, ale w jego ustach nabierała ironicznego wydźwięku. Sącząc szkocką, zapatrzył się w cienie zalegające mieszkanie. Cienie i kłamstwa; stale miał z nimi do czynienia.

Był wysokim i chudym sześćdziesięcioletkiem, o pomarszczonej jak pergamin skórze.

Na szyi, ponad pięknym jedwabiem szlafroka, rysowały się ścięgna. Jego wiek był doskonale widoczny. Czterdzieści lat przepracował w CIA, z czego dwadzieścia jako zastępca dyrektora operacyjnego. Dziesięć spędził tutaj, w Watergate, bez Miriam, jako samotny i bezdzietny wdowiec. „Cienie i kłamstwa”, to doskonały tytuł autobiografii, lecz oczywiście nic z tego nie będzie, bo zastępcy dyrektora operacyjnego nie pisali autobiografii. Było to zabronione przez prawo.

Zadzwieczał dzwonek u drzwi. Cooper przemierzył rozległy salon i znalazł się w niewielkim holu. Przyłożył oko do wizjera. Barron w cywilnym ubraniu wyglądał na bardzo zdenerwowanego. Otworzył drzwi i wpuścił go do środka. Gość miał na sobie zimowy garnitur, a jego nalana twarz lśniła od potu. Wyglądał tak, jakby wracał z libacji.

- Chodźmy do salonu - powiedział Cooper wskazując drogę. Zamknął drzwi i ruszył za Barronem. Siadł za rozkładanym stołem, który służył mu za biurko, po czym zapalił lampę z zielonym abażurem. Wskazał krzesło Barronowi.

Krzesła i stół, podobnie jak wszystko inne w tym mieszkaniu, były wczesnoamerykańskimi bądź wiktoriańskimi zabytkami, wybieranymi przez Miriam. Barron wiercił się na twardym sosnowym meblu, tuląc do podołka niewielką, skórzaną teczkę. Światło lampy nadawało mu nieco chorobliwy wygląd. Za jego plecami Cooper widział jak znika ostatnie pasmo słonecznego światła. Zapadła noc.

- Zdziwiłem się, gdy do mnie zadzwoniłeś - powiedział po chwili. Otworzył stojące na

stole drewniane pudełko i wyjął papierosa. Przypalił go szarą zapalniczką od Cartiera, która przedtem należała do Miriam, odchylił się na oparcie krzesła i czekał.

- Pomyślałem, że to ważne - odrzekł Barron. - Sądziłem, że zechcesz to wiedzieć jak najszybciej.

- Przypuszczam, że ma to coś wspólnego ze stanem zdrowia prezydenta Tuckera.

Barron skinął głową.

- Tak. Obawiam się, że ma. - Po krótkich zmaganiach z zamkiem otworzył trzymaną na kolanach teczkę. Wciąż się pocił, chociaż w mieszkaniu działała klimatyzacja. Cooper widział jak na różowym czole i na policzkach mężczyzny zbierają się krople potu. Barron wyciągnął plik wydruków i podał je Cooperowi. Ten jednak podniósł rękę w obronnym geście.

- Nie jestem lekarzem - powiedział cicho. - To twoja działka. To ty jesteś lekarzem prezydenta. Powiedz mi po prostu o co chodzi. Doktor John Barron był naczelnym lekarzem w szpitalu imienia Waltera Reeda. Miał stopień pułkownika i nadzorował przebieg wykonywanych co pół roku medycznych badań prezydenta. Był też ogniwem w łańcuchu waszyngtońskich „kontaktów” Coopera.

- Prezydent zgłosił się do nas przed trzema dniami - zaczął Barron z wahaniem.

Zaleciłem wykonanie standardowych badań, ale pani Tucker powiedziała mi w zaufaniu, że prezydent miewa bóle głowy i ma dziwne zaniki pamięci. Niby nic szczególnego, ale wystarczyło, żeby wzbudzić jej niepokój. Prezydent Tucker nie wspomniał mi o tym ani słowem. - Barron zamrugał, za pomocą palca wskazującego otarł pot z górnej wargi, a następnie chrząknął.

- Opowiadaj, co było dalej - rzucił Cooper.

- Uzupełniłem badania o kilka dodatkowych testów: komputerowe badanie

tomograficzne, emisyjną tomografię pozytronową, pełne analizy krwi oraz wydzielania wewnętrznego.

- Tak?

- Tomografia pozytronową wykazała pewne zanikowe skurcze. Anomalie wystąpiły również w osoczu krwi i gruczołach wydzielania wewnętrznego. Wciąż nie miałem jeszcze całkowitej pewności. Zapytałem więc prezydenta, kiedy czekaliśmy na wyniki analiz, czy nie zechciałby mi pomóc w pewnym projekcie badawczym. Wyjaśniłem, że piszę pracę o stresie. Tucker się zgodził, więc przerobiliśmy Skalę Inteligencji Wechslera dla dorosłych. Występuje w niej jedenaście odrębnych testów, pozwalających przede wszystkim ocenić funkcjonowanie pamięci, a w pewnym stopniu także logikę. Dlaczego ciemne ubranie jest cieplejsze od jasnego? Co mają ze sobą wspólne jajko i ziarno? Powtarzanie uporządkowanego ciągu liczb i takie tam rzeczy.

- No i?

- On cierpi na afazję - nie potrafi znaleźć odpowiedniego słowa, ataksję, krótkotrwałe zaburzenia pamięci... ma też wiele innych symptomów.

- Symptomów czego? - łagodnie spytał Cooper. Barron popatrzył na niego przez światło lampy, mrużąc przy tym oczy.

- Myślę, że prezydent ma chorobę Creutzfeldta-Jakoba. Badania, jakie przeprowadziłem po objęciu przez niego urzędu, niczego takiego nie wykazały. Tomografia tymczasem ujawniła wyraźne zmiany. Żadna inna demencja nie rozwija się tak szybko.

- Demencja?

- Choroba Creutzfeldta-Jakoba przejawia się właśnie w ten sposób, podobnie jak choroba Alzheimera. Gdybym miał próbkę tkanki mózgu, z pewnością odkryłbym w niej płytki i sploty towarzyszące tej chorobie. Nie jestem ekspertem, ale wyciągnąłem z biblioteki

naukowej wszystko, co tylko mogłem zdobyć. To, co znalazłem w literaturze, doskonale pasuje do wyników prezydenta.

- Prognoza? - spytał Cooper.

- Kiepska. Symptomy będą coraz bardziej się nasilać. Należy liczyć się z możliwością wystąpienia gwałtownych zachowań, nadmiernej aktywności seksualnej, a nawet wadliwą pracą zwieraczy.

- Po jakim czasie?

- Po sześciu miesiącach. Z pewnością wcześniej niż po roku.

- Czy wtedy demencja rozwinie się w pełni?

- Wtedy on umrze - powiedział Barron bez ogródek.

Cooper zdusił niedopałek w brązowej popielniczce. Za cztery miesiące miał się odbyć szczyt ekonomiczny, a za pięć czekała prezydenta podróż do Chin.

- Jak długo da się ukryć te objawy? Z pewnością istnieją jakieś lekarstwa...

- Z tego, co udało mi się wyczytać, istnieje tylko jeden środek. Nalaxone. To lek eksperymentalny. W najlepszym razie tylko na krótko złagodzi przebieg choroby. - Młody mężczyzna urwał i skrzyżował dłonie na brzuchu, a jego palce poruszały się niczym małe, tłuste robaki.

Cooper

popatrzył

uważnie, usiłując odczytać wyraz twarzy Barrona.

Trzydziestoparoletni lekarz, wierny rodzinnej tradycji odbył służbę wojskową przed otwarciem własnej praktyki w Bostonie, która będzie tylko przejściowym etapem na drodze jego politycznej kariery. Jeżeli postanowi wejść do tej gry i będzie pijał szkocką we właściwych salonach, w ciągu dziesięciu lub piętnastu lat zajdzie bardzo daleko. Słaby, błady



i przestraszony dupek, na którego spadła nagle odpowiedzialność za śmiertelnie

niebezpieczną tajemnicę.

- Ile osób o tym wie? - spytał cicho Cooper.

- Ani jedna - odparł Barron, bez powodzenia próbując nadać swemu głosowi pewne

brzmienie. - Wszystko jest w tym raporcie. - Wręczył skoroszyt Cooperowi, wyraźnie

zadowolony, że się go pozbywa. Ten przyjął raport, lecz położył go przed sobą i nie zajrzał do środka.

- A co z panią Tucker? Co jej powiedziano?

- Nic.

- Żadnych wyjaśnień co do przyczyn bólu głowy u męża, czy zaburzeń pamięci?

- Normalna reakcja na stres u człowieka na takim stanowisku. Poradziłem, żeby przy

śniadaniu dawała mu więcej witamin. - Cooper zauważył żyłą pulsującą na skroni Barrona.

To brzemień było dla niego za ciężkie. Długo nie wytrzyma.

- Mój Boże! Panie Cooper, co zrobimy?

- Nic - odrzekł zastępca dyrektora operacyjnego. - Przynajmniej na razie. Umilkł na

chwilę. - Czy pozostał ci jakiś urlop do wykorzystania?

- Tak. Dwa tygodnie. Chciałem popłynąć moją łodzią do Cape Code i odwiedzić

rodziców. - Lekarz zmarszczył brwi. - Dlaczego pan pyta?

- Idź na ten urlop i zacznij od jutra. Jeśli to konieczne, zadzwoń do pracy i powiedz, że

jesteś chory. Chcę, żebyś przez kilka dni pozostał w domu, z telefonem pod ręką. - Głos był

spokojny, ojcowski, ale wypowiadał nie rady, tylko rozkazy.

- W porządku.

- I nikomu o tym nie mów, rozumiesz? Nikomu. - Cooper pochylił się lekko do

przodu, tak by strumień padającego na biurko światła wypełnił cieniem jego policzki i oczy.

- To dla twojego dobra - dodał po krótkiej przerwie.

- Co takiego? - Barron zamrugał i ponownie otarł górną wargę.

- Jesteś kardiologiem, doktorze Barron, a nie neurologiem. A jeśli twoja diagnoza jest nietrafna? Potrzebujemy czasu na uzyskanie jeszcze jednej opinii w tej sprawie. - Cooper zabębnił długim, kościstym palcem w leżące przed nim akta.

- Diagnoza jest poprawna - odrzekł Barron.

- Chcesz rzucić na szalę swoją reputację? - spytał Cooper. - Zaryzykujesz swoją karierę?

- Ja...

- Wracaj do domu - powiedział Cooper, wstając. Zacisnął pasek szlafroka i wyszedł zza stołu. Spróbuj o tym nie myśleć. Jeśli będziesz miał jakieś problemy, możesz do mnie zadzwonić, ale do nikogo więcej. Dobrze, doktorze?

- Tak. - Wciąż wystraszony głos stał się bardziej łagodny. Cooper miał go na razie pod kontrolą. Barron wstał i gospodarz odprowadził go do drzwi. Wymienili krótki uścisk dłoni, po czym lekarz wyszedł.

Cooper wrócił do stołu, podniósł raport, przeszedł z nim do foteli rozstawionych w pobliżu dużego, widokowego okna. Położył skoroszyt na małym stoliku, i przeszedł do kuchni. Napełnił niewielki talerz krojonymi, surowymi warzywami i tak zaopatrzony przeniósł się z powrotem do salonu.

Jadł powoli, od czasu do czasu przerywając, by posolić kolejny plasterk ogórka.

Dwukrotnie przeczytał raport, zanim odłożył go na bok. Odniósł talerz do kuchni, nalał do filiżanki bezkofeinowej kawy, a następnie usiadł za stołem. Zapalił papierosa i zgasił lampę. Salon pograżył się w zupełnych ciemnościach. Od śmierci Miriam korzystał ze światła tylko wtedy, gdy było to konieczne, w całym mieszkaniu zazwyczaj panował więc mrok.

Za oknem Wirginia dawała o sobie znać skupiskami podmiejskich światła, pośród których znaczyła swą obecność czarna niecka cmentarza Arlington National. Spało tam sto tysięcy ludzi. Niektórzy z nich byli jego przyjaciółmi, wszystkich bez wyjątku nie obchodziły już żadne tajemnice. Cooper zmarszczył czoło. Sączył kawę i palił papierosa, a jego umysł, niczym przebiegające klawiaturę palce pianisty, zmagał się z przedstawionym przez Barrona problemem.

Oczywiście, załatwi drugą opinię - pomyślał. To było dosyć proste. Intuicja podpowiadała mu jednak, że diagnoza Barrona była prawidłowa. Geoffrey James Tucker, najmłodszy prezydent Stanów Zjednoczonych od czasu Jacka Kennedy'ego, miał postradać rozum do Bożego Narodzenia. W następstwie tego przerażającego faktu na najwyższy urząd wyniesiony zostanie wiceprezydent Vincent Teresi.

Odszukał w ciemności słuchawkę telefonu i wystukał pewien numer do Burning Tree w Maryland. Po trzecim dzwonku ktoś się zgłosił.

- Macintyre?

- Tak? - zabrzmiał głos niczym pomruk gromu.

- Z tej strony Cooper.

- Tak.

- Pamiętasz naszą rozmowę o krzyżówkach?

- Pamiętam.

- Mam hasło.

- Mów dalej.

- Siedem liter. Wychowany przez wilka na siedmiu wzgórzach, wędruje dopóki nie znajdzie wieczności.

Po drugiej stronie linii zapadła długa cisza. W końcu Macintyre odparł

- Romulus.

No i tak to się zaczęło.

## Rozdział 2

Stephen Padgett Stone obudził się o siódmej rano przy dźwiękach piosenki Beach

Boysów płynących z radia. Chłopcy śpiewali „California Girls”, on zaś, zamiast poczuć się ponownie jak osiemnastolatek, pozostał dokładnie czterdziestoletnim, sentymentalnym głupkiem, który wciąż jeszcze potrafił zacytować „Dezyderatę”. Rozżłoszczony na siebie, usiadł na łóżku i odrzucił spowijające ciało przepecone prześcieradła. W ciągu ostatnich dwudziestu kilku lat przebył długą drogę: od hippisa do specjalisty kontrwywiadu FBI. Był też Wietnam, Quantico, niezliczone zadania w biurach terenowych, w miejscach takich jak Sioux City w Iowa, oraz nieudane, bezdzietne małżeństwo.

Chrząknął niewyraźnie, próbując zignorować nieprzyjemny posmak w ustach i zalegające w pokoju wilgotne powietrze. Podrapał się po mocno owłosionym, wciąż jeszcze płaskim brzuchu, po czym ziewnął i zwiesił nogi poza krawędź łóżka. Ziewnął ponownie, wstał i ruszył do łazienki, zastanawiając się po drodze, kiedy zarząd budynku naprawi wreszcie centralną klimatyzację.

Zapalił światło, mrużąc oczy od nagłej jasności. Szybko umył się i ogolił, starannie unikając spoglądania w lustro na drzwiczkach szafki z lekarstwami. Znał na swej twarzy każdą zmarszczkę, każdą bruzdę i zagłębienie. Dziękuję bardzo. Kiedyś kobiety mówiły, że wygląda jak ciemnowłosy Robert Redford, teraz mógł co najwyżej liczyć na porównanie z wyblakłym Alanem Batesem.

Ukończył rytuał łazienkowy i wrócił do sypialni. Narzucił szlafrok i skierował się do kuchni, by przejść do drugiej fazy porannej rutyny. Włączył ekspres, postawił na kuchence ronderek z dwoma jajkami, po czym ruszył w obchód po mieszkaniu, zbierając porozrzucone

ubranie. Skończył w sypialni, gdzie nałożył świeżą koszulę, bieliznę, skarpety i przewiewne spodnie.

Przygotował śniadanie i wyniósł jajka, kawę i papierosy na balkon. Widok, jaki się stamtąd roztaczał, był najlepszą rzeczą w całym mieszkaniu. Dom stał przy Foxhall Road, między Uniwersytetem Georgetown a zalewem. Z miejsca, w którym siedział, widział Potomac, Wyspę Teodora Roosevelta, a dalej, spowity mgiełką kolejnego upalnego dnia, pomnik Lincolna.

Nucąc pod nosem melodie Beach Boysów, szybko uporał się z jajkami, potem zapalił camela i zafundował sobie dwadzieścia minut spokoju przy kawie przed zanurkowaniem w złożoną rzeczywistość współczesnego agenta federalnego. Potrząsnął głową i głęboko zaciągnął się papierosem. Debbie, jego była żona i w dalszym ciągu kochanka, lubiła go z etykietką człowieka FBI.

Z pewnością nie pasował do klasycznego modelu agenta Hoovera. Z wykształcenia był inżynierem. Słabo radził sobie z bronią, a co najgorsze, nie znosił kapeluszy. Tak naprawdę, nawet nie myślał o FBI, dopóki nie wrócił z Wietnamu.

Odbywając tam służbę, trafił do wywiadu i większość czasu spędził na ulicach Sajgonu, śledząc prostytutki oraz hotelowych chłopców podejrzanych o współpracę z Wietkongiem. Po roku uświadomił sobie wreszcie, że potencjalnie każdy Wietnamczyk mógł być partyzantem. Wówczas jednak połknął już bakcyła pracy w wywiadzie. Toteż biuro wydawało się logiczną kontynuacją tych zainteresowań. Piętnaście lat później decyzja ta zapewniła mu stanowisko zastępcy dyrektora w realizowanym przez biuro kontrwywiadowczym programie o kryptonimie Czerwona Sieć.

Zadaniem tego programu było wytropienie, obserwacja i schwytywanie wszystkich agentów rosyjskiego wywiadu wojskowego albo GRU operujących w rejonie Waszyngtonu.

Było to ambitne przedsięwzięcie, zważywszy że GRU miał dwudziestu pięciu aktywnych, zarejestrowanych agentów w sowieckim Biurze Wojskowym na Belmont Road oraz nieznaną liczbę „nielegalnych” płatnych szpiegów. Jakby tego było mało, GRU „posiadał” jeszcze sowieckie państwowe linie lotnicze, którym Stone ze swymi ludźmi także musiał się przyglądać. Była to wyczerpująca praca. Składała się na nią przede wszystkim nudna rutyna, ale nie zamieniłby jej na żadną inną.

Tę miłość do zawodu przyplacił małżeństwem. Debbie, jego była żona, posiadała kilkanaście tytułów naukowych, związanych przeważnie z historią Europy, a zwłaszcza Rosji. Pracowała jako analityk w Instytucie Studiów Europejskich (ESI), będącym w istocie - o czym oboje wiedzieli - dyskretnym ramieniem Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Od samego początku ich związku Debbie miała świadomość, że Stone osiągnął kres swych możliwości, jeśli idzie o karierę w firmie. Jego szef, William Ruppelt, trzymał się mocno, toteż jedyną nadzieją Stephena mogło być przeniesienie do innego wydziału, gdzie miałby większe szansę na awans. Debbie wciąż go do tego zachęcała, ale Stone był uparty. Lubił to, co robił i nie chciał zmieniać pracy na inną, choćby wiązało się to z awansem.

Właśnie ten wyraźny brak ambicji stał się kością niezgody między małżonkami i w miarę jak Debbie pięła się coraz wyżej w hierarchii ESI, ich związek zaczął się rozpadać. W zeszłym roku, po niemal dziesięcioletnim małżeństwie, zakończyli to formalnie. Co dziwne, a może nieuniknione, ich wspólne życie seksualne rozkwitło z nową siłą i teraz regularnie umawiali się na randki. Żadne z nich nie miało czasu na pełny związek, więc taka „przyjaźń” zdawała się odpowiadać obojgu.

Stone dolał sobie kawy i zapalił następnego papierosa. Jeszcze dziesięć minut i rozpocznie dzień. Skrzywił się na wspomnienie kłótni z Debbie. Do samego końca brał na siebie całą winę, ale po pewnym czasie dotarło do niego, że brak ambicji z jego strony mogło

istotnie stanowić część problemu. Niemniej ważnym czynnikiem była też zazdrość Debbie o jego pracę. On swojej pracy nie lubił, on ją kochał. Było to coś, czego Debbie po prostu nie potrafiła zrozumieć.

Trawkin okazał się kroplą, która przepełniła czarę. Osiemnaście miesięcy temu Dmitrij Aleksandrowicz Trawkin był zaledwie nazwiskiem na te czce. Do tego momentu ten major GRU pracował przy rosyjskim poselstwie w Nowym Jorku i w Waszyngtonie bywał rzadko. Ale wtedy zmarł na atak serca jeden z dyrektorów przy Belmont Road i Trawkin zajął jego miejsce pod niezbyt starannym przebraniem członka sowieckiej Misji Handlowej.

Niemal natychmiast Stone i jego współpracownicy z Czerwonej Sieci zorientowali się, że Trawkin w niczym nie przypomina swego zmanierowanego poprzednika. W ciągu kilku tygodni odbudował kontakty z odziedziczonymi po nim starymi agentami oraz informatorami, a także pozyskał nowych. W odróżnieniu od kolegów z KGB, Trawkin rzadko zaglądał do barów czy bistro w poszukiwaniu niezadowolonych cywilów, których informacje niewarte były kosztów poniesionych na ich zdobycie. Zamiast tego młody, przystojny Rosjanin, ubrany w rzeczy prosto z „Gentlemen’s Quarterly” czatował na zdobycz na wystawach, dyplomatycznych przyjęciach i wszelkiego rodzaju spotkaniach, jeśli tylko mieściły się w jego przepełnionym terminarzu.

Dosyć wcześnie Stone doprowadził do spotkania z Trawkinem na koktajlu w Corcoran Art Gallery. Przedstawił się jako mecenas sztuki. Trawkin w rewanżu wręczył mu wizytówkę dyrektora Soveca SA, komputerowej korporacji z siedzibą w Paryżu. Soveca była prawdziwą firmą z prawdziwymi biurami i udziałami w rynku komputerowych technologii. Jej nazwę należało rozszyfrować jako Soviet Economic Agency, a technologie, którymi handlowała, w najlepszym przypadku były wątpliwego pochodzenia.

Obaj mężczyźni doskonale znali swoją prawdziwą tożsamość. Strzępy pozytywnych i

negatywnych informacji, jakie przekazali sobie podczas krótkiej rozmowy starczyły, by nakłonić obu do utrzymywania kontaktów. Od tej chwili zarówno Stone, jak i Trawkin postawili sobie za punkt honoru bywanie na tych samych przyjęciach. Kilka razy zegrali nawet w tenisa, korzystając z posiadanej przez Trawkina karty członkowskiej Westin Fitness Center.

Stone poświęcił Trawkinowi mnóstwo czasu licząc, że w końcu zdoła zwerbować go do współpracy. Debbie nazywała te wysiłki próżnymi ćwiczeniami. Po jakimś czasie Stone'a zafascynował jego sowiecki *alter ego* i właśnie owa fascynacja oraz energia umysłowa, jakiej wymagała, sprawiły, że Debbie nie wytrzymała.

Po półtora roku stało się oczywiste, że albo Stone albo Trawkin będzie musiał uczynić prawdziwy ruch w kierunku werbunku. Ruppelt domagał się tego coraz bardziej, zaś Stone przypuszczał, że generał major Gennadij Michajłowicz Kozłow, odpowiednik Ruppelta w GRU, również zaczął tracić cierpliwość.

Po wykonaniu przez Trawkina pierwszego ruchu, Czerwona Sieć miałaby podstawę, by domagać się nakazu wydalenia ze Stanów, a jego siatka poszłaby w rozsypkę. Natomiast gdyby Stone przejął inicjatywę, a Trawkin nie łyknął przynęty, zdekonspirowałby się nieodwracalnie i całą operację trzeba by było zakończyć.

Stone'owi nie odpowiadała żadna z tych ewentualności. W ciągu ostatnich miesięcy polubił Trawkina i zaczął go szanować. Wiedział, że już nigdy nie będzie miał okazji zmierzyć się z tak inteligentnym i pomysłowym przeciwnikiem. Agent FBT zgasił niedopałek papierosa. Wstał i włożył sportową marynarkę. Z samego założenia oficerowie wywiadu przeciwnych stron nie mogli być przyjaciółmi. GRU i FBI miały co do tego jednakowe zdanie. Przyjaźnie, nawet te dziwne i z dystansem, jak jego kontakty z Trawkinem, były bardzo niebezpieczne, jeśli nie z innych przyczyn, to choćby dlatego, że utrudniały



prawidłowy osąd.

- Do diabła z tym wszystkim - burknął Stone. Wypił ostatni łyk zimnej kawy i wyszedł z mieszkania.

O ósmej trzydzieści zaparkował sfatygowanego volkswagena bez dachu w pobliżu Folger Park, na tyłach siedziby kontrwywiadu, gdzie mieściły się biura Czerwonej Sieci.

Budynek ten był kiedyś rezydencją jakiegoś senatora. Z punktu widzenia Stone'a stanowiło to jedną z największych zalet pracy w Czerwonej Sieci.

Program ten nie był całkiem „oficjalny” według standardów biura, został więc przeniesiony z budynku J. Edgara Hoovera przy Pennsylvania Avenue. Sprawilo to Stone'owi ogromną radość. Stara rezydencja nie miała w sobie oschłej, biurokratycznej atmosfery kwatery głównej FBI. Nie czuło się w niej również tarć politycznych bądź zapędów do stworzenia imperium, z czego biuro było powszechnie znane. Kontrwywiad zawsze przyciągał dziwnych ludzi, a do Czerwonej Sieci trafili chyba najdziwniejsi, z wyjątkiem Williama Ruppelta. Jako szef operacji regularnie uczęszczał na cotygodniowe narady w centrali. Stone natomiast starał się w ogóle tam nie bywać. Na szczęście kontrwywiad miał dużą swobodę działania i najczęściej pozwalano im pracować w spokoju.

Zamknął drzwi wozu i przeszedł przez niewielki parking. Pokazał kartę identyfikacyjną strażnikowi dyżurującemu za starym, odrapanym biurkiem. Po czym wjechał równie starą, skrzypiącą windą na drugie piętro do Centrum Operacyjnego. Stanowiło ono plątaninę wąskich korytarzy o drewnianej podłodze, małych pomieszczeń biurowych oraz ogromnych dmuchaw przy klatce schodowej, które miały zapewniać klimatyzację i ogrzewanie. W rzeczywistości nie zapewniały niczego poza nieprawdopodobnym hałasem. O tej porze Centrum świeciło pustkami. Tu i ówdzie można było tylko spotkać specjalnych agentów z nocnej zmiany, którzy trąc zażawione oczy odwalali papierkową

robotę. Stone wetknął głowę do jednego z pokoi, wziął raport od ziewającego mężczyzny i skierował się do swojego biura w końcu korytarza. Przez chwilę stał w oknie i spoglądał na górującą ponad drzewami parku kopułę Kapitolu. Potem ściągnął marynarkę i siadł za biurkiem. Zadzwonił po kawę do kawiarni w piwnicy, po czym zabrał się za nocny raport opisujący ruchy bywalców, gości oraz klientów. W terminologii kontrwywiadu „bywalec” oznaczał zarejestrowanego agenta obcego państwa, „gość” - pracownika sowieckiego wywiadu, natomiast „klientami” byli tajni współpracownicy „gościa”.

Każdy bywalec, gość czy klient posiadał własne akta oraz pseudonim i był przypisany do któregoś ze specjalnych agentów operujących w programie Czerwonej Sieci. Cała operacja została podzielona na trzynaście podsekcji. Każdą z nich kierował odpowiedzialny agent, zazwyczaj inspektor, podlegający Stone’owi, który jako zastępca dyrektora podlegał Ruppeltowi, ten zaś z kolei centrali.

Dla kogoś z zewnątrz system ten mógł wydać się nadmiernie skomplikowany, ale w istocie taka organizacja była konieczna. W Waszyngtonie działa osiem sowieckich placówek: ambasada na Sixteenth Street NW, duży, mocno utajniony kompleks Mount Alto na Wisconsin Avenue, Biuro Informacyjne na Eighteenth Street, Biuro Wojskowe na Belmont Road, Biuro Rybołówstwa na Decatur Street, Biuro Handlowe na Connecticut Avenue, konsulat na Phelps Place i biuro attache do spraw morskich na L Street.

Ponadto, w National Press Building swoją siedzibę ma agencja Tass; „Prawda” ulokowała się w Chevy Chase, w Maryland, natomiast „Izwestia” na Willard Avenue, także w Chevy Chase. Była jeszcze sowiecka dacza albo rezydencja wiejska, czterdziestopięcioakrowa posiadłość w Pioneer Point, niedaleko Centreville w Meryland. Ogółem w rejonie stolicy pracowało ponad tysiąc osób z bloku wschodniego, z czego około jedną trzecią stanowili bywalcy oraz goście.

Dzięki Bogu minioną noc należała do spokojnych. Tak przynajmniej wynikało z raportu. Brak istotnej aktywności we wszystkich ważniejszych sowieckich obiektach, spokój w kilku specjalnych programach inwigilacji, i co najważniejsze, żadnych wypożyczanych aut. Zgodnie z prawem federalnym ani jeden sowiecki dyplomata bądź agent nie miał prawa wyjechać ze stolicy na odległość większą niż dwadzieścia pięć mil bez specjalnego zezwolenia. Jego pojazd musiał posiadać specjalne, czerwono-biało-niebieskie tablice rejestracyjne z literami DFC. Pierwsza litera D oznaczała „korpus dyplomatyczny”, natomiast FC „wszawych komunistów”, tak przynajmniej twierdziła lokalna mitologia. Kiedy sowiecki agent chciał wjechać bądź wyjechać z Waszyngtonu, wynajmował samochód, zazwyczaj w stoisku firmy Avis w Centrum Informacji Turystów. Oczywiście, za każdym razem był obserwowany, śledzony i fotografowany.

Około dziewiątej, gdy Ramona kelnerka z kawiarni, przyniosła kawę, lektura raportu dobiegała końca. Rosjanie mogli być ateistami, ale wyglądało na to, że w niedziele mieli wolne jak wszyscy inni.

- Naprawdę musisz ten pokój jakoś przyozdobić. Na dźwięk głosu Stone uniósł wzrok znad papierów. W progu stał Mort Kessler i rozglądał się dokoła z udawanym niezadowoleniem. Kessler był muskularnym rudzielcem o brwiach tak białych, że prawie niewidocznych. Porywczy i humorzasty, posiadał naturalny dar tropienia oraz wręcz fotograficzną pamięć do twarzy.

Odnosnie do biura miał zupełną rację. Ściany poza planem Waszyngtonu były zupełnie puste. Umeblowanie składało się z biurka, krzesła, drewnianego fotela dla interesantów oraz okleinowanej szafki załadowanej starymi książkami technicznymi, do których Stone nie zaglądał od lat.

Kessler opadł na fotel, sięgnął po filiżankę Stone'a, po czym zamknął ją w dłoniach,

jak gdyby chciał się ogrzać. Wypił łyk i skrzywił się z niesmakiem.

- Jezu, Stef, jak możesz pić takie świństwo?

Stone uśmiechnął się szeroko i zapalił papierosa.

- To kawa z ekspresu. Ramona każdego ranka parzy ją specjalnie dla mnie.

- Pewnie na ciebie leci.

- To kobieta o dobrym smaku - wesoło wtrącił Stone.

- Ma przynajmniej sześćdziesiątkę, prawie nie mówi po angielsku, rosną jej wąsy i prawdopodobnie pracuje dla DGI\* [\* DGI - Direccion Generale de Inteligencia, wywiad kubański (przyp. tłum).] - odparł Kessler.

- Powiedz, co słyhać na lotnisku - zagadnął Stone, zmieniając temat. Kessler ze swoją fenomenalną pamięcią był wolnym strzelcem bez przydziału do konkretnej grupy. Działał tam, gdzie miał ochotę. Szczególną zaś uwagę zwracał na Washington National i Baltimore - Washington International Airport. Potrafił przyglądać się twarzom dwustu lub trzystu przybyłych z zagranicy pasażerów, by wyłowić tę jedną, którą pół roku wcześniej oglądał w jakimś raporcie.

Kessler wzruszył ramionami.

- Nada. Ale poszedłem za wskazówką, jaką otrzymaliśmy wczoraj w sprawie twego przyjaciela Trawkina.

- No i...

- Wylądował w Gander, poleciał do Ottawy i spędził noc w tamtejszej ambasadzie.

Kupił bilet na lot American Airlines, który ląduje w Waszyngtonie dzisiaj o dziesiątej.

Chcesz, żebym wysłał po niego ekipę?

- Nie. Ma przy sobie torbę, a to oznacza, że pojedzie prosto do Biura Wojskowego.

Możemy zgarnąć go właśnie tam.

- Okay. - Kessler spojrział na zegarek i zerwał się na równe nogi. - Dziewiąta pięć.

„Bóg” jest już w drodze na górę.

- Był nim Bill Ruppelt, najpункtualniejszy człowiek świata. Ze stoperem w dłoni Kessler przez tydzień badał kiedyś rozkład dnia szefa. Odchyłki zanotowane w trakcie pięciodniowego testu ani razu nie przekroczyły minuty. Przyjazd o dziewiątej pięć, parkowanie, wejście do budynku, uruchomienie windy o dziewiątej siedem, przybycie do biura o dziewiątej osiem. Spotkanie ze Stone'em, dziewiąta piętnaście do dziewiątej trzydzieści pięć, łazienka o dziewiątej czterdzieści (poranne wydanie USA Today sugeruje ruchy jelit), powrót do biura o dziewiątej pięćdziesiąt pięć.

Stone parsknął śmiechem, pomachał Kesslerowi na pożegnanie, po czym zabrał się z powrotem za nocny raport. Za trzy minuty w otwartych drzwiach stanie Ruppelt i będzie lepiej, jeżeli nie zobaczy swego zastępcy gapiącego się w okno. Próbował wyglądać na niesamowicie zapracowanego. Wbił wzrok w kartki raportu i czekał aż Ruppelt wjedzie na drugie piętro.

Jako zastępca dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej, Hudson Cooper posiadał zarezerwowane dla siebie biura we wszystkich budynkach CIA, także w siedzibie głównej - otoczonym drutami ośrodku w Langley i laboratoriach w Curry Hall. Jednak jego ulubione miejsce pracy znajdowało się w budynku OSS na rogu Dwudziestej Piątej i E Street.

Zajmował te same pomieszczenia, z których niegdyś korzystał Dzikie Bill Donovan, częściowo ze względów historycznych, po części zaś dlatego, że E Street przebiegała znacznie bliżej centrum Waszyngtonu niż ponura sterta marmuru i stali, wyrastająca ze środka lasu po drugiej stronie Potomacu. Niemal wszyscy jego poprzednicy nie lubili ośrodka w Langley, twierdząc że stał się przestarzały jeszcze przed ukończeniem budowy w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim. Cooper zaś okazywał mu swą pogardę poprzez unikanie pobytu w

tym miejscu.

Tak jak w przypadku większości wysokich urzędników CIA, biuro zastępcy dyrektora operacyjnego przypominało obszerne mieszkanie. Jego ściany były wyłożone dębową boazerią, zaś umeblowanie stanowiło klubową kombinację ciemnego drewna oraz starej skóry. W skład biura wchodził przedpokój, gabinet, duża łazienka, prywatna jadalnia i kuchnia. Wszystko razem zajmowało niemal jedną trzecią pierwszego piętra w południowo-wschodnim narożniku budynku.

Przedpokój - wysokie pomieszczenie z dębową podłogą, był zarezerwowany dla asystenta. Ściany miały ciemnoniebieską barwę, zaś za biurkiem asystenta widniał duży okrągły symbol CIA z orłem i dewizą: „Sprawiedliwość uczyni was wolnymi”.

Podłogę dużego, niemal pustego gabinetu zakrywał gruby, ciemnoniebieski dywan.

Na środku pokoju, tyłem do trzech wychodzących na E Street okien, stało masywne, ciemnowiśniowe biurko z końca osiemnastego wieku, prawie zawsze puste poza telefonem i modułem uniemożliwiającym podsłuch. Fotel za biurkiem był natomiast nowoczesnym meblem z wysokim oparciem z czarnej skóry. Po prawo stał wielki globus Goucharda, zaś naprzeciw znajdował się terminal umożliwiający połączenie z najważniejszymi komputerami agencji. Przed biurkiem ustawiono trzy skórzane fotele dla gości.

Cooper ubrany w ciemny, trzyczęściowy garnitur siedział za biurkiem i jeszcze raz przeglądał raport Barrona. Ostatniej nocy spał kiepsko. Gnębiły go płynące z tego dokumentu informacje. Był wściekły z braku koncepcji realistycznego rozwiązania powstałego problemu. Mimo to należało podjąć pewne kroki. Przyjechał więc do biura przed siódmą, aby zrobić jak najwięcej przed rozpoczęciem pracy.

Zakończył lekturę, wsunął raport do środkowej szuflady biurka i zamknął kluczykiem zamocowanym do łańcuszka zegarka. Podeszedł do komputera, wyczyścił ekran, po czym

wdusił przycisk intercomu, wzywając asystenta. W chwilę później w drzwiach gabinetu stanął wysoki mężczyzna w średnim wieku. Asystent był łysiejącym blondynem, nosił okulary, a w dłoni trzymał grubą, żółtą kopertę. Przecinający ją ukośny błękitny pasek wskazywał, iż nie mogła opuścić biura, a nawet, że oficjalnie nie istniała. Paul Mallory zbliżył się do biurka i usiadł w jednym z przeznaczonych dla gości foteli.

Cooper zapalił papierosa.

- Widzę, że coś znalazłeś - powiedział, wskazując głową kopertę.

- Tak, proszę pana.

- Szybka robota - mruknął Cooper, a w jego głosie zabrzmiała nuta dezaprobaty.

- Zetknąłem się z tym człowiekiem, gdy kilka lat wcześniej pracowałem w Analizach Zagrożeń - wyjaśnił Mallory. - Dokładnie odpowiada temu, czego pan oczekuje, więc odszukałem materiał na jego temat.

Siedzący naprzeciw Coopera asystent, zanim trafił do biura zastępcy dyrektora, był analitykiem zagrożeń projektów. Jego praca polegała na pobieraniu planów różnych projektów i poddawaniu ich komputerowej „ocenie zagrożeń” w celu sprawdzenia, czy plany nadawały się do zastosowania w praktyce.

- Twoja opinia?

- Facet jest pewny. Pozbawiony emocji, praktyczny, prostolinijny. Dokładnie wypełnia wszystkie rozkazy. Na pierwszy rzut oka można by powiedzieć, że to socjopata, ale jego profil psychologiczny tego nie potwierdza.

- Pokaż, co o nim masz - polecił Cooper.

Mallory otworzył kopertę, wyjął z niej arkusz papieru i podał go przełożonemu.

Cooper rzucił okiem na przypiętą do arkusza kolorową fotografię. Twarz tamtego była opalona i inteligentna, szczupła, z mocną szczęką. Głęboko osadzone, ciemnoszare oczy

patrzyły spod bujnej, czarnej czupryny, którą jedynie na skroniach lekko przyprószyła siwizna. Jego wiek musiał oscylować koło czterdziestki.

- W agencji znany jest jako QJ/RAIL - powiedział Mallory, wyciągając z koperty resztę dokumentów. - Operuje pod nazwiskiem Eric Rhineland.

- Naprawdę nazywa się Phelps? - odczytał nazwisko Cooper.

- Trudno powiedzieć - odrzekł Mallory, poprawiając okulary. - Był sierotą znalezionym w Niemczech w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym. Miał wtedy miesiąc, najwyżej dwa. Oddano go miejscowemu pastorowi tuż przed wkroczeniem aliantów.

- Kto go zaadoptował?

- Brytyjski oficer, który podczas okupacji ożenił się z niemiecką dziewczyną. Nie mogli mieć dzieci z powodu przebytej odry, więc adoptowali jedno i zamieszkali razem z nim na farmie pod Frankfurtem należącej do rodziny żony.

- A jak trafił tutaj?

Mallory zerknął w dokumenty.

- Jego rodzice zmarli, gdy miał dziesięć lat. Phelps miał brata, który wyemigrował tutaj przed wojną. On zabrał dzieciaka do Nowego Jorku. Tam chodził do szkoły, potem rzucił Columbię, żeby zaciągnąć się do Sił Powietrznych. Odesłali go z powrotem do Niemiec, ponieważ znał język, no i zakończył loty w specjalnych operacjach na terenie Laosu i Kambodży. Tam go namierzyliśmy.

- Czy przeszedł u nas szkolenie?

- Tak jest, pełen cykl. Farma, Quantico i Lake Mead. Był dobry, kiedy zaczynał, a chyba najlepszy na koniec. Działo się to w siedemdziesiątym trzecim. Od tego momentu pracuje u nas na kontrakcie.

Cooper skinął głową. QJ/RAIL został wyszkolony na zabójcę, a zawód ten był



zakazany od czasu podpisania przez Forda zarządzenia stwierdzającego, iż żaden pracownik federalnego rządu nie będzie uczestniczył w politycznych zabójstwach. Podpisując roczne kontrakty QJ/RAIL, omijał ten przepis bez naruszania prawa.

- Gdzie on teraz jest? - spytał Cooper.

- Na Jamajce - odrzekł Mallory. - Przynajmniej ma tam dom. Nie pracował dla nas od pięciu lat.

- Dla kogo pracuje?

- Dla każdego, kto go wynajmie. Dla ludzi znających jego reputację. Wygląda na to, że przeważnie są to Azjaci zamieszani w handel narkotyków. Pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych nawiązał w Trójkącie wiele kontaktów. Jak dotąd unikał Ameryki. Według naszych danych od wielu lat nie postawił nogi w Stanach, nie licząc przypadków, gdy tutaj pracował.

- Nie ma więc u nas akt?

- Mallory potrząsnął głową - Nie, proszę pana. Ten materiał to wszystko, co mamy.

Kiedy był w Krukach, wymazali mu wszelkie zapisy o przebiegu służby, a ponieważ pracował dla nas na kontrakcie, agencja nie założyła mu standardowego rejestru. Jest czysty, dokładnie tak jak pan chciał.

- Czy wiemy cokolwiek o jego ostatnich posunięciach?

- Nie, proszę pana - odparł Mallory z uśmiechem, gdyż spodziewał się tego pytania. -

Sprawdziłem zabójstwa związane z narkotykami, jakie miały miejsce w ciągu paru ostatnich miesięcy. - Zawiesił na chwilę głos.

- No i?

- Przed trzema dniami na strychu pewnego domu w Amsterdamie zamordowano

pięciu Kambodżan. Wszyscy byli ważnymi osobistościami w najbliższym Pol Potowi kręgu

Czerwonych Khmerów, włączając jego szwagierkę. Była jeszcze szósta ofiara, niejaki Charles Yang, gruba ryba w handlu opium.

- Myślisz, że była to robota Rhinelandera?

- Wiele za tym przemawia. Zabójstwa dokonano za pomocą rakiety, odpalonej z budynku po drugiej stronie ulicy. Żadnej zabawy z karabinami snajperskimi, czy czymś w tym rodzaju. Opis mężczyzny, który wynajął mieszkanie naprzeciw strychu, dobrze pasuje do QJ/RAILA.

- Dokąd jednak to nas prowadzi? zapytał Cooper.

- Głównym konkurentem Yanga w Europie jest Francuz pochodzenia niemieckiego.

Nazywa się Philippe Groman. Według naszych informacji obracał całym opium i heroiną, ze sprzedaży których Khmerowie finansowali zakupy broni na kontynencie. Jeżeli Yang próbował pomieszać mu szyki, Groman mógł wynająć naszego człowieka, żeby zdmuchnąć konkurencję.

- Gdzie jest Groman?

- W Paryżu.

- Myślisz, że Rhinelander też może tam być?

Mallory wzruszył szczupłymi ramionami.

- To całkiem możliwe. Jeśli pojechał do Gromana po zapłatę...

- Rozumiem. - Cooper obrócił fotel i popatrzył na wielki globus po prawej. Wprawił go w powolny ruch. Globus był stary, toteż ukazany na nim świat od dawna nie istniał.

Belgijskie Kongo, Syjam, Francuska Afryka Równikowa, Gujana Holenderska, Brytyjski

Honduras. W tamtych czasach najważniejszym instrumentem polityki zagranicznej był

pancernik. Dzisiaj jego miejsce zajęły satelity szpiegowskie oraz Gwiezdne Wojny. Odszukał

Paryż, przykrył go czubkiem palca. Na jego twarzy pojawił się blady uśmiech. Gdyby tylko to

było takie proste. Odwrócił się do globusa plecami i spojrzał Mallory'emu prosto w oczy.

- Znajdź go - polecił. - Jedź dzisiaj do Paryża. Powiedz mu, że chcę z nim omówić pewną niecierpiącą zwłoki sprawę. Daj mu numer mego białego telefonu. Jeśli nie będzie go w Paryżu, leć na Jamajkę i zaczekaj na jego powrót. Chcę z nim pomówić tak szybko, jak tylko to będzie możliwe. Masz na to dwanaście godzin.

- Tak jest. - Mallory czekał jeszcze przez chwilę, ale Cooper najwyraźniej z nim skończył, więc wstał z fotela i wyszedł z gabinetu.

Zastępca dyrektora operacyjnego obrócił się na fotelu i popatrzył w okno. Kolejny upalny dzień. Rzucił okiem na staroświeckiego hamiltona, rocznicowy prezent od Miriam. Dochodziło południe i operacja Barron, którą rozpoczął w nocy, musiała się już dobrze rozkręcić. Nie było jeszcze odpowiedzi, ale przynajmniej odkryto pewne ślady.

Strach był uczuciem, z którym tak w życiu prywatnym, jak i zawodowym pułkownik John Barron stykał się niezmiernie rzadko. Zbyt młody i zbyt dobrze ustosunkowany, jak na Wietnam, młodość spędził według wygodnego wzorca: właściwe szkoły, właściwi przyjaciele, właściwe kobiety. Jego sukces w roli lekarza był zapewniony. O objęciu stanowiska naczelnego oficera medycznego w szpitalu Waltera Reeda zdecydował pewien lunch w Jockey Club. Fakt, że był całkiem dobrym lekarzem diagnostą, nie miał żadnego znaczenia. Gdyby nazywał się inaczej, jego życie przybrałoby zupełnie inny obrót. Przed rokiem Hudson Cooper dyskretnie odprowadził go na bok i poprosił, by dla niego szpiegował. Próżność Barrona została mile polechtana. Dla kogoś ustabilizowanego myśl o pracy dla CIA była bardzo pociągająca. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że wszystko, czego chciał Cooper, to informacje o stanie zdrowia nowego prezydenta. Nie domyślał się też, że miał on wielu innych informatorów u Waltera Reeda i w Bethesda, którym płacił za wiadomości o samopoczuciu szefów sztabu oraz wszelkich liczących się w Pentagonie

postaci. Gdyby jednak nawet wiedział, nie miałoby to większego znaczenia. Barronowi podobało się owiane tajemnicą życie w stylu płaszcza i szpady. Od czasu do czasu spotykał się z Mallorym i podsuwał mu ciekawsze nowinki.

Stan ten jednak uległ radykalnej zmianie. To już nie była zabawa. Dopiero po spotkaniu z Cooperem dotarły do niego wszystkie implikacje tego, co uczynił. Nie tylko naruszył przysięgę lekarza, ujawniając informacje o pacjencie, ale naraził swoją przyszłość oraz reputację. Los własny i całej rodziny złożył w ręce zupełnie nieznanego człowieka.

O świcie pocierał czerwone z niewyspania oczy i czuł drżenie rąk po kilkunastu filiżankach wypitej kawy. Doszedł do jedynej możliwej konkluzji. Nie miał wyboru: nada rozgłos całej sprawie bez względu na konsekwencje. Ale najpierw będzie musiał przedstawić to rodzinie.

Około dziewiątej pośpiesznie się umył i założył czysty mundur, bardziej dla dobrego samopoczucia, niż z jakiegokolwiek innej przyczyny. Zarezerwował sobie miejsce w samolocie do Bostonu. Zjechał windą do podziemnego garażu. Na dole wyciągnął kluczyki i przy wtórze głośniego, odbijającego się od betonu echa, ruszył na swoje stanowisko na pierwszym poziomie.

Podszedł do najnowszego modelu czarnego thunderbirda i otworzył drzwi. Wówczas rozległ się cichy trzask. Barron odwrócił się i spostrzegł dwóch mężczyzn wyskakujących zza przesuwanych drzwi ciemnogramatowego vana parkującego na sąsiednim stanowisku. Zanim zdążył zareagować, wciągnęli go do środka. Jeden z napastników zeskoczył na posadzkę, zatraskując za sobą drzwi, i złapał kluczyki thunderbirda. Wsiadł do wozu Barrona, po czym wolno ruszył w stronę wyjazdu z garażu. W kilka sekund później dołączył do nich van.

Barron po schwytaniu toczył desperacką walkę, ale szybko został pokonany. Większy z mężczyzn jedną ręką zatykał mu usta, drugą natomiast uciskał szyję. W tym czasie mniejszy

za pomocą wzmocnionej nylonem samoprzylepnej taśmy skrepował mu nogi i ramiona.

Wspólnymi siłami, podskakując w rytm ruchów furgonetki, zaciągnęli Barrona do pięćdziesięciogalonowej plastikowej beczki, umocowanej do przyspawanych do bocznej ścianki obejm. Za każdym razem, gdy van skręcał lub zmieniał pas ruchu, woda z pluskiem rozlewała się na metalową podłogę.

Chwiejąc się na nogach, mężczyźni wyprostowali związane ciało Barrona. Większy oswobodził usta lekarza, lecz tylko po to, by przemocą wepchnąć go pod wodę. Potem, stękając z wysiłku, nie zwracali uwagi na zalewające ich strugi wody. Przytrzymali miotające się na wszystkie strony ciało, a kiedy zastygło w bezruchu, mniejszy z nich przeszedł do przodu i otworzył dużą, winylową torbę. Zaczął wyjmować z niej ubrania, które wczesnym rankiem zabrali z jachtu Barrona.

Jeden z oprawców pozostał przy beczce, podtrzymując bezwładne zwłoki doktora.

Barron prawdopodobnie już nie żył, ale było niezmiernie ważne, aby jego płuca napełniły się wodą. Woda w beczce została zaczerpnięta z Potomacu, więc autopsja potwierdzi śmierć na skutek przypadkowego utonięcia. W ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin odpowiednio ubrane ciało doktora zostanie znalezione w pobliżu Tarantelli, a jego samochód na parkingu przystani Buzzard Point.

Furgonetka wraz z pięćdziesięciogalonową beczką powędruje na złomowisko w Alexandrii, w Wirginii. Tam zostanie doszczętnie spalona. Po takim „odkazaniu” trafi na zgniatarkę i zamieni się w czterostopowy metalowy sześcian.

Czwórka mężczyzn wynajętych w Miami wróci wieczorem na Florydę i spotka się, żeby odebrać zapłatę w pewnym domu na południe od Calle Ocho w Małej Hawanie. Kiedy nie będzie żadnych wątpliwości co do tego, że wszyscy są w środku, drugi, niezależnie wynajęty dwuosobowy zespół dokona zdalnej detonacji siedmiu ładunków C-4,

rozmieyszczonych strategicznie pod podłogą domu, zmieniając w parę budynek oraz jego mieszkańców.

Przed północą znikną wszelkie powiązania między pułkownikiem Johnem Barronem, Hudsonem Cooperem i zdrowiem psychicznym prezydenta Stanów Zjednoczonych.

### Rozdział 3

Dmitrij Trawkin po dwudziestu latach służby zawodowej, spośród których dwanaście spędził w sowieckim wywiadzie wojskowym, doszedł do przekonania, że odkrył zasadniczą wadę filozofii marksistowsko-leninowskiej.

Chodziło mu o humor lub raczej o jego brak. Rosjanie z natury byli ludźmi wesołymi.

Tymczasem dwutygodniowy urlop w Moskwie wystarczył, by major GRU nabrał podejrzeń, iż każdy, kto zostaje członkiem partii komunistycznej, poddaje się obowiązkowemu zabiegowi usunięcia części mózgu odpowiadającej za śmiech.

Dowcipy nie budziły niczego prócz tępych spojrzeń. Wystarczyła zabawna anegdota, żeby przeciw jej autorowi wytoczyć oskarżenie. Kawał na temat politbiura zaś był prawdopodobnie równoznaczny z biletem w jedną stronę do wybranego przez dowcipnisia gułagu. Sytuacja wyglądała fatalnie. Kilka świńskich dowcipów opowiedzianych podczas szczytu zrobiłoby więcej dla światowego pokoju niż rozbrojenie kilkudziesięciu przestarzałych pocisków.

Skłonność do zabawy najbardziej podobała mu się u Amerykanów. Nawet Reagan miał kilka dobrych wejść w czasie swej prezydentury, a Ford odegrał scenę godną braci Marx. Jak powszechnie sądzono, Richard Nixon dysponował bogatą kolekcją skrajnie obscenicznych kawałów, przy których produkcje Richarda Pryora trąciły amatorszczyzną. Oczywiście, esencję najlepszego amerykańskiego humoru stanowiła satyra, termin po prostu nie istniejący na Kremlu. Reguły gry zmieniły się po upadku bloku wschodniego w roku

tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym, ale w większości przypadków, przynajmniej jeśli chodzi o wywiad, gracze pozostali ci sami, a ich srogie, pozbawione humoru spojrzenie na świat stało się jeszcze bardziej srogie wobec wiszącego na horyzoncie widma demokracji. Dla szpiega w dwudziestym wieku utrzymujący się pokój był istnym koszmarem.

Trawkin miał absolutną pewność, iż jego zamiłowanie do amerykańskiej komedii zostało odnotowane w aktach ukrytych gdzieś głęboko w kompleksie Mount Alto przy Wisconsin Avenue, Jakiś dupek z KGB śledził prawdopodobnie jego zakupy płyt, z ostatnim albumem Howie Mandela włącznie. Trawkina to nie ruszało. Po dwóch latach pracy na stanowisku zastępcy rezydenta dorobił się ugruntowanej reputacji. Miał do dyspozycji dziesiątki dobrze ulokowanych informatorów oraz nielegalnych imigrantów rozsianych po całym Okręgu Columbia, a nawet poza jego granicami. W wieku trzydziestu ośmiu lat był najmłodszym zastępcą rezydenta w Drugim Dyrektoriacie. Z rotacji etatów za rok lub dwa miał praktycznie zagwarantowany awans na rezydenta albo powrót do centrali w Moskwie i „Akwarium” na obrzeżach starego lotniska Chodinka.

Trawkin spojrzął na zegarek i zmarszczył czoło. Trzecia. Jeśli spóźni się na spotkanie z Kozłowem, natychmiast trafi na prowincję. Zastępca rezydenta ziewnął, siadł w nadmiernie wypchanym fotelu i poprawił krawat. Potem wstał i przeszedł do łazienki. Służbowe mieszkania znajdowały się na trzecim piętrze Sowieckiego Biura Wojskowego na Belmont Road. Trawkin miał do swojej dyspozycji mieszkanie bliżej centrum, ale przyleciał późno w nocy, przewożąc jako kurier worek z korespondencją z moskiewskiej centrali. Zgodnie z rozkazem Kozłowa z lotniska przyjechał prosto do Biura, gdzie odespał nocną harówkę, a teraz szykował się na odprawę.

Przyjrzał się w lustrze swej wąskiej, niemal kociej twarzy i przygłodził niesforny kosmyk płowych włosów odziedziczonych po matce. Głęboko osadzone, orzechowe oczy

oraz patrycjuszowski nos zawdzięczał ojcu. Panie świeć nad jego duszą. Przynajmniej on wiedział co to śmiech! - Trawkin rozpromienił się na wspomnienie gromkiego, dudniącego głosu, trzepania się po kolanach i odrzuconej do tyłu głowy.

- Nie ma co, przystojny z ciebie gość! - mruknął pod nosem z akcentem stanowiącym przedziwną mieszalinę rosyjskiego i irlandzkiego. Strzepnął pyłek z szytej na miarę marynarki „Josepha Wilnera”, po czym wyszedł z mieszkania i najbliższymi schodami dotarł do biura Kozłowa, położonego piętro niżej.

Z zewnątrz georgiański budynek Sowieckiego Biura Wojskowego, wmurowany z czerwonej cegły i otoczony dyskretnym ogrodzeniem z kutego żelaza, robi przyzwoite wrażenie. W środku przypomina labirynt małych biur i wąskich korytarzy. Słabe oświetlenie sprawia, że jego użytkownicy nabierają bladego, chorobliwego wyglądu. Meble mają tam czysto użytkowy charakter. Podłóg z drewna nie przykrywają żadne dywany, a w całym budynku próżno by szukać choćby jednego dzieła sztuki. W lecie centralna klimatyzacja pozostaje niezmiennie w położeniu „zimno”, natomiast zimą jest tam niesamowicie gorąco. Na oknach bez przeszkód osadza się bród, co znacznie utrudnia wykonywanie fotografii wewnątrz z ulicy. Według delikatnego powonienia Dmitrija Trawkina, miejsce to zawsze przesiąknięte było słabym zapachem mokrych wełnianych skarpet.

Biuro Kozłowa składało się z trzech pomieszczeń w amfiladzie, przy czym każde następne było mniejsze od poprzedniego. W pierwszym urzędował sekretarz rezydenta, z drugiego korzystał sam Kozłow, w trzecim zaś odbywały się zebrania z udziałem personelu wyższego szczebla.

Kiedy Trawkin wszedł do środkowego pokoju, generał major czytał przy metalowym biurku. Obok stało obrotowe drewniane krzesło i jeszcze jedno ustawione przed biurkiem. Poza nimi oraz kilkoma ciemnobrązowymi szafkami pod przeciwległą ścianą, w



pomieszczeniu nie było więcej żadnych mebli.

Trawkin usiadł na drewnianym krześle i cierpliwie czekał. Przez rzadkie o barwie nikotyny włosy mógł dojrzeć czaszkę generała. Skóra na niej była gładka i różowa, jak u dziecka. Kozłow uniósł głowę i obraz się zmienił. Ciężka twarz z ciemnym śladem zarostu nie miała w sobie nic dziecinnego. Miał cienkie, bezbarwne wargi, wiecznie zaciśnięte wokół obwisłego, cuchnącego papierosa. Jego duże, czarne oczy osadzone były głęboko nad nalanymi policzkami i zwieńczone kosmatymi, żółto-białymi brwiami. Drgające nozdrza nosa zaś gęsto porastały kręcone włosy. Głos Kozłowa okazał się chrapliwym produktem pięćdziesięciu lat palenia i codziennego picia ćwiartki wódki przez taki sam okres.

- Dmitriju Aleksandrowiczu, dobrze wyglądacie po urlopie.

- Dziękuję, generale.

- Czy z waszą rodziną wszystko w porządku?

- Tak, generale. Matka dziękuje za bombonierkę, którą pan jej przesłał.

- Nie należy zapominać o starych przyjaciółach.

Kozłow i ojciec Trawkina walczyli razem podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Z opowiadań matki wiedział, że obaj ubiegali się o jej rękę, ale to właśnie ojciec zdobył jej względy.

Trawkin zmrużył oczy i usiłował rozpędzić absurdalny obraz Kozłowa klęczącego przed matką z bukietem kwiatów w dłoni. Wybuch śmiechu przed przełożonym nie należał do mądrych posunięć, zwłaszcza jeżeli przełożonym był generał major Giennadij Michajłowicz Kozłow z GRU.

- Na szczęście podczas pańskiej nieobecności panował tutaj spokój. - Generał

chrząknął, przesunął po biurku stertę papierów - rozszyfrowane meldunki od jego agentów.

Trawkin siedział przez chwilę nieruchomo.

- Nic ciekawego - powiedział Kozłow, stukając w dokumenty żółtym od nikotyny palcem. - Borowski zebrał same plotki.

- Tak jest. - Borowski był idiotą. Z trudem radził sobie z zawiązaniem sznurowadeł, ale nawet on potrafił opróżnić kilka „skrzynek pocztowych”.

- Niepokoją mnie wasze kontakty ze Stonem - rzekł Kozłow po chwili milczenia.

- Tak?

- Wiemy, że jest agentem kontrwywiadu FBI i uczestniczy w programie Czerwona Sieć. Z drugiej strony on też na pewno ma świadomość, że nie jesteście członkiem naszej misji handlowej.

- Tak jest.

- Nie dostrzegam w tej znajomości żadnych korzyści. Jego intencje są oczywiste. Chce przeciągnąć was na swoją stronę.

- Wiem o tym, generale.

Szerokie czoło Kozłowa pokryło się zmarszczkami.

- Więc po co toczyć tę grę?

- Lepszy jest wróg znany, niż ten pozostający w ukryciu. - Trawkin wzruszył ramionami. - Ja jestem stroną pasywną. Nie tracę sił ani środków na utrzymywanie tej przyjaźni. Zauważyłem natomiast, że jestem śledzony aż przez sześciu jego ludzi. Kiedy chcę ich zgubić, po prostu to robię i załatwiam swoje sprawy. Zysk polega na tym, że ich personel poświęca mi mnóstwo czasu.

- Rozumiem - Kozłow pokiwał głową.

Jednak Trawkin dobrze wiedział, że Kozłow niczego nie rozumie. Generał był człowiekiem staroświeckim, dla którego subtelność była pojęciem abstrakcyjnym. Jego zdaniem ludność Stanów Zjednoczonych była zżerana przez korupcję i za odpowiednią cenę

można było nakłonić do współpracy dosłownie każdego. Jeżeli potencjalne źródło nie przejawiało dostatecznej chciwości, należało go usidlić za pomocą seksu, narkotyków bądź też kombinacji wszystkich trzech elementów. W pewnym stopniu pokrywało się to z prawdą, ale ludzie pokroju Stephen'a Stone'a w tym szczególnym polowaniu na lisa występowali w charakterze psów gończych, toteż Trawkin wolał bez przerwy mieć ich na oku.

Jeśli przyjaźń ze Stonem oraz cotygodniowe mecze tenisa odwracały uwagę Czerwonej Sieci od prawdziwych zadań Trawkina, gra warta była świeczki. Były jeszcze inne, bardziej złożone przyczyny kontynuowania tej przyjaźni, lecz Trawkin znał już na tyle politykę armii sowieckiej, by nie ujawniać wszystkich swoich źródeł ani szefowi, ani nikomu innemu.

- Dobrze, Dmitrij, na razie ciągnij to dalej. Wiedz jednak, że Starszy Brat\* [\* W GRU terminem „Starszy Brat” określano KGB przyp. tłum.)] węszy wokół ciebie. - Być może to z powodu waszych kosztownych ubrań, Dmitriju Aleksandrowiczu.

- Oczywiście - odparł Trawkin z poważną miną. - Będę pierwszym sowieckim oficerem wywiadu, który uciekł na Zachód z powodu garderoby. - Prychnął z niechęcią.

- Mój Boże, czy oni naprawdę nie mają nic lepszego do roboty?

- Może i nie mają, ale proszę, potraktuj to poważnie. Gurenko, jako były szef sekcji KGB w Waszyngtonie i mój rywal, tylko czeka na potknięcie.

- Spróbuję zachować ostrożność - obiecał Trawkin. Wstał i pozbierał leżące na biurku Kozłowa papiery.

- Zrób tak. - Generał odprawił go machnięciem ręki.

Trawkin stąpając miękko po skrzypiącej podłodze, wyszedł z biura. W czterdzieści minut później był już z powrotem w swoim mieszkaniu. Siedział w wannie z gorącą kąpielą, słuchał jak Bill Cosby rozwodzi się nad swym dzieciństwem i wertował otrzymane od

Kozłowa raporty. Był właśnie w połowie skeczu o starym Dziwaku Haroldzie, kiedy natknął się na krótką notatkę od swego informatora o szpitalu Waltera Reeda.

W Paryżu zapadła noc. Przyniosła miastu ciemność, ale żadnej ulgi w upałach, które od trzech dni dawały się we znaki mieszkańcom. Sierpniowe *fermeture annuelle* trwało w najlepsze i niemal każdy paryżanin uciekał w chłodniejsze strony, pozostawiając miasto turystom.

Paryż, w odróżnieniu od większości wielkich aglomeracji, nie chciał uwierzyć w istnienie zanieczyszczeń. Fabryki ziały dymem. Samochody jeździły bez jakiegokolwiek kontroli emisji spalin, a metro w znacznej mierze funkcjonowało na dieslowskim paliwie. W rezultacie efekt gorąca zwielokrotniał się tysiące razy i miasto dusiło się pod kolosalnym kloszem wypełnionym powietrzem o barwie umbry, cuchnącym i dostatecznie gęstym, by przesłonić wierzchołek wieży Eiffla.

Eric Rhinelandier leżał nagi na wąskim łóżku w „Pension Lipp” i starał się nie oddychać zbyt głęboko. Był przegrzany, zmęczony i zły. Gdyby Gorman nie próbował go głupio przechytryć, znajdowałby się teraz w Goldeneye na północnym wybrzeżu Jamajki i rozkoszował wieczorną bryzą przepływającą nad skałami Oracabessa.

Pracę w Amsterdamie wykonał dokładnie tak, jak Gorman sobie życzył. Usuwał Yanga i pozostałych z precyzją dentysty wyrywającego zepsute zęby. Jeszcze tej samej nocy przyjechał pociągiem do Paryża, gdzie miał nadzieję odebrać część obiecanej zapłaty. Pieniądze jednak nie nadchodziły, a Gorman, ten alfons o świńskich oczach, nie odpowiadał na telefony.

Rhinelandierowi bardziej niż o pieniądze chodziło o reputację. Gorman był zbyt znany, by można go było zignorować. W przypadku gdyby Rhinelandier pozwolił mu wodzić się za nos, inni mogliby spróbować tego samego. Strata czasu była irytująca, ale Gorman musiał

dostać nauczkę, którą wszyscy na długo zapamiętają.

Zabójca siadł na łóżku, spuścił stopy na podłogę i otarł dłonią pot z szerokiej piersi.

Ze stolika obok wziął starego rolexa i sprawdził czas. Dziewiąta piętnaście. Groman miał zjawić się na Cardinal's Cap za czterdzieści pięć minut, a samolot do Montrealu odlatywał dopiero o północy. Miał więc do dyspozycji mnóstwo czasu.

Podszedł do małej porcelanowej umywalki w przeciwległym kącie pokoju, żeby się odświeżyć. Miał ciało znacznie młodszego mężczyzny. Ramiona, kark, piersi oraz uda pokrywały sploty mięśni, a włosy w kroczu były gęste, kręcone i ciemne. Prawdziwy wiek sugerowały jedynie słabe pasma siwizny na skroniach oraz siateczka drobnych zmarszczek w kącikach oczu.

Otworzył stojącą obok zlewu szafę i wyjął ubranie: białą koszulę, ciemne spodnie, kremową, lnianą marynarkę i miękkie, mocno znoszone pantofle. Poza zegarkiem nie nosił żadnej biżuterii. Reszta jego rzeczy znajdowała się już na lotnisku Charlesa de Gaulle'a i automatycznie zostanie przeładowana na samolot do Montrealu.

Ubrał się, po czym sięgnął na górną półkę po pozostały sprzęt. Podszedł do łóżka, postawił jedną stopę na materacu i za pomocą dwóch szerokich gumowych opasek przytwierdził do kostki małego, ośmiostrzałowego, automatycznego sawera. Opuścił nogawkę, postawił nogę na podłodze, a następnie przeszedł się po pokoju, aby oswoić się z wagą broni i sprawdzić, czy nie wyslizgnie się z uchwytu. Dla pewności dodał jeszcze trzecią opaskę, po czym pozbierał portfel, bilet lotniczy, klucze oraz drobne pieniądze. Kanadyjski paszport na nazwisko Johna Duncana, odbierze w recepcji. Wsunął jeszcze do kieszeni na piersi koszuli chromowany długopis.

Rhinelandier wyszedł z pokoju i wąskimi schodami zszedł do holu. Zapłacił rachunek i w zamian otrzymał swój paszport. Zakończył rozliczenia i wyszedł na pełną wąskich

zakamarków Rue des Anglais. Uliczka była ciemna, pusta i śmierdząca kotami. Skręcił w lewo. Szybko dotarł do Bulwaru St. Germain i wsiadł do jednej z taksówek czekających obok stacji metra na Place Maubert. Taksówkarz czytał jakiś kryminał i nawet nie spojrzał na Rhinelandera, gdy ten zajął miejsce na tylnym siedzeniu auta.

- *Impasse Souris*.

- *Pardon!* - spytał kierowca, zerkając w lusterko.

- *Impasse Souris* - powtórzył Rhinelandera. - Montmartre.

- *Me, oui*. - Taksówkarz odłożył książkę na siedzenie obok i wrzucił bieg. Kiedy stary mercedes ruszył z miejsca, jeszcze raz spojrzał w lusterko i ściągnął brwi. Ten pasażer nie był miejscowy, ale nie był też turystą. Jego ubranie wyglądało na włoskie, lecz był zbyt wysoki jak na Włocha - miał co najmniej sześć stóp. Być może dziennikarz - skwitował swą ciekawość wzruszeniem ramion. Każdy, kto wybierał się w tamten rejon Montmartru o tej porze, szukał kłopotów - pomyślał. On zaś wolał trzymać się od nich jak najdalej.

Rhinelander rozparł się na suchej, popękanej skórze siedzenia i pozwolił sobie na chwilę odrętwienia. Mimochodem odnotował, że przejechali Pont au Double i minęli wyniosłe wieże Notre Dame. Po dziesięciominutowej przejażdżce opustoszałymi ulicami, zaczęli piąć się pod górę ku Sacre Coeur. Zanim dotarli do celu, krążyli po istnym labiryncie jednokierunkowych ulic.

Taksówkarz szybko odjechał po otrzymaniu zapłaty, zmierzając na południe, ku bardziej cywilizowanym rejonom lewego brzegu. Rhinelander odprowadził auto wzrokiem, po czym ruszył przed siebie pogrążoną w mroku alejką.

Na jej końcu wznosił się zniszczony, trzypiętrowy budynek o spękanych ścianach, zamurowanych oknach parteru i wejściu chronionym przez ciężkie, okute żelazem, drewniane drzwi. Kiedyś była to zapewne siedziba dobrze prosperującego kupca, ale teraz dom wyglądał

dokładnie jak burdel, którym był w istocie.

Podszedł do drzwi i uderzył w nie zaciśniętą pięścią. Po chwili otworzył się mały wizjer umieszczony na wysokości barków.

- *Was?* - zapytał po niemiecku zmęczony głos. Lustrujące Rhinelandera oko było małe i czujne, a otaczająca je skóra miała szarawy odcień.

- *Ich suche Fraülein Harriet* - Rhineland z łatwością sięgnął po język matki. - *Beeilen Sie sich, bitte. Esist dringend.*

- *Ja ja* - wymamrotał znużony głos. - Oczywiście, to pilna sprawa. Dla was mężczyzn to zawsze jest pilne. Nie potraficie myśleć inaczej, jak tylko jajami. Wizjer zamknął się z trzaskiem, a po chwili Rhineland usłyszał odgłos odciąganych rygli. Jak tylko drzwi stanęły przed nim otworem, pośpiesznie wkroczył do środka. Siwowłosa odzwierna zamknęła za nim drzwi i powlokła się w głąb domu. Nie zaszczyciła go choćby jednym spojrzeniem.

Rhineland pozostał w marynarce, ignorując rząd pustych, metalowych wieszaków w holu. Wyglądało na to, że w „Czapce Kardynała” interesy nie szły najlepiej.

Krótkim korytarzem przeszedł do głównego holu, rozejrzał się po wypełnionym słabym światłem wnętrzu. Obszerna sala miała coś stylowego w wysokim, przyozdobionym sztukaterią suficie oraz dużych, spiralnych schodach z kutego żelaza, które wiodły na wyższe piętra. Uplęnięło jednak wiele czasu, a wraz z nim przeminęła świetność tego miejsca. Gips znaczyły liczne dziury oraz plamy pleśni. Rozpostarty na marmurowej posadzce stary orientalny dywan był wytarty aż do osnowy, zaś w powietrzu unosił się ciężki zaduch kwaśnej kapusty, przemieszany z odorem dawno nie zmienianej pościeli.

W owalnym pokoju stało kilka stolików otoczonych przez przypadkowo dobrane krzesła. Zaopatrzone w aksamitne abażury lampy rzucały blade światło na twarze kobiet, zajętych przeważnie grą w karty, bądź po prostu tępo zapatrzonych gdzieś przed siebie.

Jedna z kobiet, starsza od pozostałych, była zupełnie naga. Na podłodze obok jej krzesła stała pusta butelka po piwie. Drzemała z szeroko rozstawionymi nogami, wsparłszy głowę o szarą ścianę. Jej piersi zwisały niczym puste worki po cukrze, zaś sinawe sutki sterczały z białego ciała niczym gigantyczne pieprzyki. Zwały tłuszczu opadały jej na podolek, zlewając się z pomarszczoną skórą ud. Brzuch, niczym roztopiona lawa, falował ponad kłębowiskiem czerni między jej nogami.

Rhinelandier odwrócił wzrok, próbując przy tym nie oddychać zbyt głęboko.

Pomieszczenie miało w sobie coś z Breughela i aż nadto przypominało jego sny. Chwilę później na schodach pojawiła się kobieta w średnim wieku. Była ubrana w długie, błękitno-pomarańczowe kimono, zaś ciemne włosy od niechcenia upięła z tyłu głowy. Na pierwszy rzut oka wyglądała podobnie jak reszta. W jej szarzielonych oczach połyskiwała jednak inteligencja, a bruzdy wokół umalowanych ust pochodziły od śmiechu, nie zaś rozpacz.

Zeszła na dół i wyciągnęła do niego szczupłą rękę o długich palcach. Rhinelandier uściśnął ją krótko, po czym skinął głową.

- *Herr Duncan* - powiedziała miękko, z wyćwiczoną śpiewnością. - Miło mi znowu pana widzieć. Czym możemy dziś panu służyć?

Niemiecki tej kobiety był mocno formalny, zaś akcent wymuszony. Była Francuzką, Gorman tymczasem pragnął autentyczności. „Czapka Kardynała” stanowiła zapewne replikę przedwojennego burdelu w Berlinie. Ta kobieta miała dobrą pamięć. Był tutaj tylko raz, na spotkaniu z Gromanem.

- Potrzebuję pani pomocy - Rhinelandier patrzył jej prosto w oczy. - Czy możemy wejść na górę?

- Czyżby chciał pan mnie? - spytała figlarnie *Fraülein Harriet*, wypychając do przodu jedno biodro, które zarysowało się wyraźnie pod cienką tkaniną kimona. - Ma pan



świadomość, że to będzie kosztowało więcej, *Herr Duncan*?

- Tu nie chodzi o pieniądze - odpowiedział po niemiecku. - Chcę pani czasu, nie ciała, *meine Dame*.

- Ach, więc teraz zostałam damą! - zawołała ze śmiechem. - Słyszycie dziewczyny? - przeszła na francuski. - Już nie jestem dziwką!

Reszta kobiet nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi.

- Mogę pójść gdzie indziej - cicho powiedział Rhineland.

- *Nein, nein, teuer Knabe!* Jeśli chce pan Harriet, będzie ją pan miał. Chodźmy.

Poprowadziła go schodami na górę i dalej wąskim korytarzem, który biegł przez całą długość pierwszego piętra, gdzie za anonimowymi, prostymi drzwiami znajdowały się przypominające cele pokoje.

- Skąd kobieta wie, który pokój należy do niej? - spytał Rhineland.

- Jeżeli pokój nie jest zamknięty, należy do niej odpowiedziała Harriet ze śmiechem. -

Tylko specjalne pokoje są oznakowane, mój oczywiście także. Mrugnęła porozumiewawczo.

- Pozycja daje pewne przywileje, nawet tutaj, *Herr Duncan*.

Stała przed błękitnymi drzwiami, po czym wydobyła z kieszeni kimona pęk kluczy.

Otworzyła drzwi i wpuściła Rhinelandera przodem. Przy jednej ścianie znajdowało się metalowe łóżko i mały stolik, przy drugiej obity tkaniną parawan, kryjący zapewne nocnik oraz inne przybory toaletowe.

Kobieta z uśmiechem wpatrywała się w Rhinelandera. Rozwiązała pas kimona i lekkim ruchem ramion zrzuciła okrycie na podłogę. Była dość zgrabna jak na swój wiek.

Miała niemal pełne piersi i płaski brzuch.

- Co to ma być, *Herr Duncan*? - zapytała, zerkając na wąskie metalowe łóżko z cienkim materacem.

- Chcę, żebyś uklękła - poinstruował.

Skinęła głową, słysząc znajomą prośbę. Uklękła, wyciągnęła ręce i posłała mu powłóczyście spojrzenie.

- Chodź tutaj - zamruczała.

Podszedł bliżej, stanął wprost nad nią. - Zamknij oczy - polecił.

- Nieśmiały? - spytała ze śmiechem.

- Po prostu zrób to.

- *Jawohl, mein Herr!* - Posłusznie rozwarła usta, czekając, by zaczął.

Rhinelander pochylił się, wyjął tkwiący pod gumowymi opaskami pistolet, lewą rękę położył na głowie Harriet, natomiast prawą wsunął jej między zęby lufę broni. Czując na języku chłód metalu, raptownie otworzyła oczy i spojrzała na niego z przerażeniem.

Wepchnął lufę jeszcze głębiej.

- Nie ruszaj się - powiedział cicho. - Najlżejszy ruch, a twój język razem z mózgiem znajdą się na ścianie. Będę zadawać ci pytania, a ty na nie odpowiesz. Spróbuj skłamać, a umrzesz. Jeśli zrozumiałaś, zamrugaj oczami. Kiedy gwałtownie zatrzepotała powiekami, wyjął jej z ust, zaślinioną lufę i się cofnął. Wciąż trzymał Harriet na muszce.

- Kiedy przychodzi tutaj Groman, kogo pieprzy?

- Mnie. Najczęściej.

- W tym pokoju?

- Nie - odrzekła drżącym głosem. - W specjalnym pokoju z lepszymi meblami.

- To pokój z podglądem, tak?

- Tak.

- Acoz Maxem, jego ochroniarzem?

*Herr* Groman nie pozwalała mu wejść do środka, więc zostaje w samochodzie.

- Gdzie parkuje?

- Na Rue Poulbot.

Rhinelande pokiwał głową.

- Jak na razie dobrze się spisujesz. A teraz powiedz, jak długo Groman tu zostaje?

- Godzinę, czasami dwie lub trzy, jeśli bierze kokainę.

- Czy robi to często?

- Dość często.

- Czy jest stąd tylne wyjście? - Rhinelande wiedział, że takie wyjście istnieje, chciał jednak sprawdzić, czy kobieta mówi prawdę.

Pokiwała głową.

- Tak. Jest tam wąska alejka. Idąc nią, dojdzie pan do schodów przy Rue Drevet.

- Dobrze. Wstań i nałóż szlafrok. - Harriet ubrała się, nie spuszczać oka z wymierzonej w siebie broni.

- Zaprowadź mnie do tamtego pokoju. Nie do sypialni, tylko do przyległego pomieszczenia z wizjerem.

Wyszli na korytarz i po przebyciu kilku zakrętów, zatrzymali się przed drzwiami, w pobliżu których zaczynały się wąskie schody.

- Te schody prowadzą do kuchni na zapleczu - wyjaśniła, widząc jego pytające spojrzenie.

- Doskonale. Pokaż mi pokój. - Skinęła głową, po czym sięgnęła po klucze. Otworzyła drzwi i usunęła się na bok, odsłaniając małą wnękę zbliżoną wielkością do wnętrza szafy. W słabym świetle z korytarza widać było wysoki stółek oraz przytwierdzony do ściany pojedynczy wieszak - jedyne sprzęty w komórce. Rhinelande wcisnął się do środka i siadł na stołku. Przygarbiwszy się nieco, przytknął oko do małego otworu w ścianie.

Zobaczył czysty, świeżo pomalowany na biało i nowocześnie umeblowany pokój. Na ścianach wisiało kilka pejzaży, natomiast podłogę zaścielał duży, zielony dywan. Wygląd tego pomieszczenia miał w sobie coś z „Holiday Inn”.

- Dziura jest zasłonięta przez cień kinkietu - nerwowo wyjaśniła stojąca w korytarzu Harriet. - Widać stąd wszystko, co dzieje się w środku. - Urwała na chwilę.

- Niektórzy to lubią.

- Tak słyszałem. - Rhinelande podniósł się ze stołka, wyszedł z komórki i przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w kobietę. W końcu powiedział: - Dochodzi dziesiąta.

Groman będzie tu lada moment.

- Tak.

- Sprowadź go tutaj. Zrób wszystko, co konieczne, żeby odwrócić jego uwagę. Chcę, żeby znalazł się między twymi nogami i nie myślał o niczym innym, rozumiesz?

- Tak...tak.

- Powiedz mu cokolwiek. - Jeśli go ostrzeżesz, zabiję cię.

- Będziesz patrzeć?

- Tak. - Rhinelande popchnął ją łagodnie. - Idź. Zejdź na dół, żeby go powitać.

Kobieta posłała mu krótkie, przestraszone spojrzenie, po czym odeszła w głąb korytarza. Rhinelande wrócił do komórki i przymknął za sobą drzwi, pozostawiając w nich wąską szparę. Bez pośpiechu zdjął pantofle i skarpetki, powiesił na wieszaku marynarkę.

Potem usiadł na stołku i czekał.

Pięć minut później usłyszał dobiegające stłumione głosy z korytarza. Pochylił się i przytknął oko do wizjera. Drzwi sypialni otworzyły się, ukazując Harriet oraz ciężką sylwetkę Gromana. Kiedyś handlarz narkotyków chlubił się swoim ciałem. Wiele lat folgowania wszelkim uciechom odcisnęło jednak swoje piętno. Pomimo kosztownego garnituru i szytej

na miarę koszuli, jego brzuch przelewał się nad paskiem spodni, a na nosie oraz policzkach widniały plamki popękanych naczyń krwionośnych.

Harriet bez słowa zabrała się za rozporek Gromana.

- Na łóżko - rozkazał Groman ochryłym głosem, ściągając równocześnie z siebie ubranie. Harriet rozciągnęła się na materacu i czekała na niego z podniesioną nogą.

Mężczyzna padł na łóżko, rozsunął szeroko jej uda. Ona zaś splunęła w dłoń i zwilżyła się od środka. Bez jakiegokolwiek gry wstępnej Groman pochylił nad nią wielkie ciało i wtargnął głęboko. Stęknęła, krzywiąc się z bólu. Chwyliła w dłonie w jego blade, owłosione ramiona, gdy wbijał się w nią wściekłym rytmem, zaciskając z wysiłku pośladki i gniotąc stopami pościel.

Rhinelandier wstał ostrożnie ze stołka i wyszedł na pusty korytarz. Gdzieś z dołu dobiegały ciche dźwięki piosenki Aznavoura. Podeszedł na palcach do drzwi sypialni i przytknął do nich ucho. Groman jęczał teraz przy każdym pchnięciu, czemu wtórował głośny pisk sprężyn łóżka.

Rhinelandier powoli wydobyl z kieszeni „długopis”. W rzeczywistości była to rozkładana teleskopowo-metalowa wskazówka, taka jakich używają uniwersyteccy wykładowcy. Dokonał w niej tylko drobnych ulepszeń: usunął plastikową końcówkę, a na jej miejsce założył półcalowe rymarskie szydło z tungstenowej stali. Teraz nacisnął wypukły guzik na wierzchołku wskazówki, zwolnił zatrzask i rozciągnął ją na całą długość osiemnastu cali. Przekręcił dolny element o pół obrotu i zablokował zatrzask z powrotem.

Lewą ręką przekręcił klamkę, w prawej zaś trzymał gotową do użycia broń.

Bezszelestnie wślizgnął się do pokoju i trzema szybkimi krokami podeszedł do łóżka. Groman wtulił twarz w prawe ramię Harriet. Potężnymi rękami podtrzymywał jej wzniesione ku górze biodra.

Rhinelandier płynnym ruchem dźgnął wskazówką, pogrążając szydło w kroczu

Gromana. Długa na półtora stopy stalowa rurka gładko przeszła przez pęcherz, jelita, żołądek, wątrobę i serce, by na koniec wyłonić się u podstawy gardła. Z grymasem na twarzy

Rhinelandier nacisnął kciukiem, zagłębiając w wijącym się ciele ostatni cal wskazówki.

Handlarz narkotyków, którego wszystkie organy wewnętrzne przestały równocześnie funkcjonować, wydał z siebie stłumiony skowyt, po czym opuścił ciężką i martwą głowę na pierś kochanki.

Rhinelandier złapał go za włosy i szarpnął do tyłu. Przerazona i blada jak płótno,

Harriet obserwowała to szeroko otwartymi oczami.

- Zapamiętaj to - warknął Rhinelandier, zbliżając twarz do twarzy kobiety.

- Zapamiętaj jak umarł i opowiedz każdemu, kto cię o to zapyta. - Mocniej pociągnął za włosy Gromana, uwalniając w ten sposób Harriet od ciężaru zwłok. Natychmiast wygramoliła się z łóżka, bezdźwięcznie poruszając ustami. Na prześcieradle ciemniała mokra plama, a w powietrzu rozszedł się zapach moczu. Kobieta zmoczyła się ze strachu.

- Kim jesteś? - zdołała wymamrotać.

- Duchem - odpowiedział. - Kimś, kto nigdy nie istniał.

- Czy mnie też zabijesz?

- Oczywiście, że nie - zapewnił Rhinelandier. - Ty mnie nie oszukałaś; on to zrobił.

Uśmiechnął się, a jego twarz przybrała niemal łagodny wyraz.

- Zostań tutaj przynajmniej przez trzydzieści minut - polecił cicho. - W ten sposób unikniesz kłopotów.

- Tak... tak, oczywiście.

Wyszedł z pokoju i wrócił do komórki po marynarkę, skarpety i pantofle. Zszedł

potem schodami do kuchni na tyłach domu. Piętnaście minut później wziął taksówkę, która

zawiozła go do stacji Aerogare przy Porte Maillot. Na lotnisko Charles'a de Gaulle'a dostał się wahadłowym autobusem. Dokładnie o północy odleciał do Montrealu boeingiem 747 Kanadyjskich Linii Lotniczych.

## Rozdział 4

W sali konferencyjnej pewnego biura w Georgetown siedział za stołem otyły mężczyzna i ciężkim wiecznym piórem „mont blanc” notował coś na leżącym przed nim arkuszu żółtego papieru. Dłoń trzymająca kosztowne pióro była drobna, o gładkiej skórze pozbawionej włosów i doskonale utrzymanych paznokciach.

Drugi koniec długiego stołu zajmował Hudson Cooper. Jak urzeczony śledził płynne ruchy lśniącej stalówki ze szczerego złota oraz kierujące nią miękkie, nieomal kobiece palce. Ta delikatna dłoń zupełnie nie pasowała do reszty ciała grubasa i w najmniejszym choćby stopniu nie znamionowała ogromnej potęgi, którą mogło uruchomić jedno pociągnięcie tego samego, czarnego pióra.

Otyłym mężczyzną był bowiem Hollis C. Macintyre, po prezydencie - najważniejszy człowiek w Waszyngtonie, jeśli nie w całych Stanach Zjednoczonych. Pod względem fizycznym, w zależności od punktu widzenia, albo imponował albo też budził odrazę.

Pomimo osiemdziesiątki zachował wszystkie włosy - wspaniałą białą grzywę wieńczącą masywną, lwią głowę. Miał churchillofskie policzki, duże, ciemne oczy i krótką, masywną szyję wetkniętą między solidne ramiona. Zawsze chodził nienagannie ubrany. Nosił szyte na miarę trzyczęściowe garnitury z Hongkongu - białe w lecie oraz ciemne, w drobne paski, jesienią i zimą. Do nich zakładał swój znak firmowy - muszkę w czerwone, białe i niebieskie grochy.

Formalnie Macintyre przewodniczył partii prezydenckiej, lecz w istocie była to tylko przykrywka. Po pięćdziesięciu latach poruszania się w ruchomych piaskach federalnej

polityki, posiadał niezliczonych sprzymierzeńców w obu izbach Kongresu. Zasiadał w radach nadzorczych dziesiątek firm i międzynarodowych korporacji. Zaskarbił sobie względy wszystkich co ważniejszych postaci w Waszyngtonie, od biurokratów z budżetu, po najwyższej rangi wojskowych. Ponadto piastował również godność tymczasowego prezesa Komitetu Romulusa. Fakt ten jednak nie był odnotowany w ani jednej jego biografii.

- Chyba zanotowałem najistotniejsze punkty - powiedział, zamykając pióro. Głos Macintyre'a, bogaty i głęboki, miał tembr urodzonego oratora. Jego duże oczy patrzyły prosto na Coopera.

- Przypuszczam, że diagnoza pułkownika Barrona została zweryfikowana?

Cooper skinął głową.

- Oczywiście, przez jednego z najlepszych neurologów w kraju. Rzecz jasna, nie miał on pojęcia, kim jest pacjent.

- A co zrobimy z tym Barronem? Jak bardzo można mu zaufać?

- Pytanie jest czysto teoretyczne - odparł Cooper z przelotnym uśmiechem.

- Pułkownik Barron miał dzisiaj wypadek na jachcie. Śmiertelny wypadek.

- Rozumiem. Czy było to konieczne?

- Według mojej oceny nie było alternatywy. Dalsze ciągnięcie tej sprawy wymagałoby zaangażowania Romulusa. Uznałem, że lepiej będzie uprzedzić wszelkie możliwe komplikacje.

- Tak. Prawdopodobnie masz rację. - Otyły mężczyzna odchylił się na oparcie krzesła, splótł drobne dłonie na ogromnym brzuchu i zerkał przelotnie na tacę z *hors d'oeuvres* i winem. Przekąskę przynieśli ludzie z personelu Coopera, Dawno już opuścili budynek. Wrócą rano, żeby posprzątać resztki. Macintyre ponownie spojrzał na zastępcę dyrektora operacyjnego.



- Co powiedziałeś innym? - zapytał w końcu.

Cooper potrząsnął głową.

- Nic. Najpierw chciałem omówić to z tobą. - Umilkł na chwilę. - Romulus nigdy przedtem nie zetknął się z czymś tak poważnym.

- To prawda - przyznał Macintyre. - I podobnie jak twój pułkownik Barron, nie wszyscy spośród nich są w pełni godni zaufania, przynajmniej w tej sprawie. Tymi „innymi” byli: szef połączonych sztabów, sekretarz stanu, wicesekretarz skarbu oraz prokurator generalny. Krótko mówiąc, Romulus składał się z ludzi kierujących najważniejszymi poczynaniami rządu federalnego, a także sił zbrojnych.

- Co zatem im powiemy? - spytał Cooper. Rzucił okiem na zegarek. - Za pół godziny zaczną się schodzić.

Macintyre wzruszył masywnymi ramionami.

- Powiemy im prawdę. A przynajmniej jej część. Prezydent jest chory, lecz na razie nie wiemy, czy to coś poważnego. Istnieje ewentualność, że w przyszłości choroba może przybrać na sile. To w chwili obecnej powinno wystarczyć.

- Brzmi dość uczciwie, ale co z Teresim? - Cooper miał na myśli wiceprezydenta Vincenta Teresiego.

- Nasz włoski przyjaciel dopchał się do prezydentury miażdżąc wszystko po drodze. -

W głosie Macintyre'a zabrzmiała nuta złości. - Gdybym nie wymanewrował go na konwencji, oferując mu ten urząd, rozbiłby partię.

- Albo został prezydentem - wtrącił sucho Cooper.

- To prawda - stwierdził Macintyre - a w tym przypadku wszyscy zostalibyśmy bez pracy, możesz mi wierzyć.

- Romulus nie został stworzony po to, by radzić sobie ze stronnictwami w polityce -

powiedział cichym głosem Cooper. Powołano go do naprawiania katastrofalnych przeoczeń w Konstytucji. Nasze zatrudnienie bądź, jego brak niewiele przy tym znaczą.

- Nie bądź naiwny, Hudson. Komitet Romulus został stworzony dlatego, ponieważ Franklin Delano Roosevelt umierał na serce, a miał dobrego następcę w osobie wiceprezydenta. Gdyby on sam, Eleanor, bądź ktokolwiek z bliskich wiedział, jak poważny był stan jego zdrowia, nigdy nie ubiegałby się o trzecią kadencję, a wówczas prezydentem zostałby Wallace. Potrzebowaliśmy tej trzeciej kadencji i potrzebowaliśmy Harry'ego Trumana. A może wolałbyś, żeby to Dewey negocjował ze Stalinem?

- Teraz sytuacja jest zupełnie inna - zauważył Cooper.

- Nie zgadzam się z tym zdaniem. - Macintyre wolno potrząsnął dużą głową.

- Moim zdaniem sytuacja jest niemal identyczna. Za sześć miesięcy będziemy gospodarzami wielkiego szczytu. Z punktu widzenia polityki światowej jest on nawet ważniejszy niż Poczdam. Tam podzielono Europę, tutaj stawką jest cały świat. Ponadto, wiesz równie dobrze jak ja, że wobec demokratyzacji bloku wschodniego w grę wchodzi miliardy dolarów na cele wojskowe. Nie wspomnę już o przyszłości NATO, Gwiezdnym Wojen oraz naszych stosunków z krajami trzeciego świata, kiedy dołączy do nas środkowa i południowa Ameryka. Te dranie z Kremla pozbawiły nas wszystkich wrogów, Hudson. Pozostał nam tylko ten idiota Kadafi. Nadchodzący szczyt jest najważniejszym wydarzeniem politycznym na przestrzeni ostatnich siedemdziesięciu pięciu lat. Wyznaczy standard stosunków międzynarodowych, który będzie obowiązywać w dwudziestym pierwszym wieku. Czy chcesz, żeby nasze interesy reprezentował Vincent Teresi? Przecież on pada Sowiecom centralną Amerykę na talerzu, jeśli tylko ci pozwolą odprawiać w Moskwie msze. Oprócz innych niedostatków, ten facet jest sentymentalnym głupcem. Sądzę, iż w kategoriach bezpieczeństwa narodowego założenie, że to on miałby sprawować władzę wykonawczą, z

pewnością zostanie przez ten komitet odrzucone.

Macintyre umilkł i trwał przez chwilę nieruchomo, z dłońmi na blacie stołu konferencyjnego.

- Pomyśl, Hudson. Komitet Romulus od śmierci Roosevelta zbierał się tylko siedem razy. Uniósł dłonie i zaczął wyliczać na palcach.

- Atak serca u Eisenhowera, sprawa Marilyn Monroe, Oswald, Ruby, dwukrotnie w czasie Watergate i raz po zamachu Hinckleya na Reagana. Spośród tych siedmiu spotkań zaledwie dwa doprowadziły do bezpośredniego działania, ale stronnicza polityka dochodziła do głosu w każdym z nich.

- O co ci właściwie chodzi? - spytał Cooper. Znał odpowiedź, ponieważ istniała tylko jedna, wolał jednak, by padła z ust Macintyre'a.

- W tym momencie nie jestem całkiem pewien. - Otyły mężczyzna potarł w zamyśleniu nalany podbródek. - Wiem tylko jedno: w żadnym przypadku nie można dopuścić, żeby Vincent Teresi objął prezydenturę Stanów Zjednoczonych!

W holu za plecami Coopera rozległ się cichy dzwonek. Przybył pierwszy z pozostałych członków komitetu. Macintyre ciężko dźwignął się na nogi. Jako prezes występował w roli gospodarza, musiał więc powitać zaproszonych gości.

- Myślę, iż dyskusję o szczegółach powinniśmy odłożyć na później ostrzegł. Obawiam się, że niektórzy członkowie komitetu mogą być nadmiernie wyczuleni na takie rzeczy.

- Jak sobie życzysz - odparł Cooper. Pozostał na miejscu, natomiast Macintyre ciężkim krokiem ruszył do drzwi wejściowych. Wpatrywał się w puste krzesło w przeciwległym końcu stołu, mając przed sobą różowe, miękkie dłonie.

- Kto uwolni mnie od tego uciążliwego klechy? - wyrecytował cichym szeptem. Był jednak sam w pokoju, toteż nikt nie usłyszał pełnego udręki pytania i nie odpowiedział.

## Rozdział 5

Po standardowym, czterdziestopięciominutowym rytuale kluczenia metrem, pieszo i kilkakrotnie zmienianymi taksówkami, Dmitrij Trawkin dotarł przed główne wejście Smithsonian. Doskonale zdawał sobie sprawę, że groteskowa arabeska, którą właśnie zakończył, była normalną procedurą operacyjną, tym niemniej zawsze odczuwał po niej ogromne znużenie. Żył w świecie dręczących lęków i wątpliwości, gdzie wszystko i każdy budził podejrzenia. Przyjaciół w każdej chwili mógł okazać się wrogiem, a wizyta w muzeum była przykrywką dla potajemnego spotkania dwóch agentów.

Trawkin z westchnieniem wepchnął ręce w kieszenie sportowej marynarki. Wbiegł po schodach i wszedł do Wielkiej Sali. Jak można zachować zdrowie psychiczne w biznesie, w którym nic nie jest takie, jak się wydaje? Nie dziwił się więc, że tak wielu jego kolegów popadło w alkoholizm. Przez chwilę pokręcił się w tłumie turystów, po czym ruszył do wyjścia otwierającego się na Mall. Jeszcze parę lat i będzie mógł przyjąć posadę w Sowieckiej Akademii Wojskowej, o której wspominał Kozłow. Normalne życie, może nawet żona, dzieci...

Trawkin zbył te fantazje chrząknięciem i wyszedł na słońce. Nałożył ciemne okulary i zaczął spacerować głównym deptakiem, obsadzonym po obu stronach starannie utrzymanymi wiązami. Dobre miejsce na spotkanie. Pas zieleni między Madison Drive i Jefferson miał przeszło czterysta stóp szerokości, zaś jego długość na odcinku od pomnika Waszyngtona do Wzgórza Kapitolu sięgała dwóch mil. Jeżeli ktoś go śledził albo też jego informatora, będzie widoczny ze znacznej odległości. Powoli ruszył w kierunku wschodnim, przystając, by obejrzeć rzeźby na tyłach bryły Hirshhorn Muzeum.

Zapalił papierosa i rozejrzał się dokoła. Ani śladu ludzi z Czerwonej Sieci, ani śladu Scanlona. Trawkin zaciągnął się głęboko i z nachmurzoną miną wypuścił kłęb dymu. Da mu

jeszcze dwie minuty. Nie było w dobrym tonie spóźnić się na spotkanie z zastępcą rezydenta, zwłaszcza jeśli chciało się dostać od niego pieniądze.

Scanlone, pracownik biblioteki u Waltera Reeda, był jednym z pierwszych, a zarazem najłatwiejszych nabytków Trawkina. Miał rasistowskie poglądy i wyznawał zasadę supremacji białych. Podając się za lobbystę sprzeciwiającego się wprowadzeniu obostrzonych reguł posiadania broni, Trawkin wyjaśnił mu, iż potrzebuje dostępu do danych medycznych szpitala w celu skuteczniejszego zwalczania swoich przeciwników w Kongresie. Tamten połknął przynętę wraz z idącymi w ślad za nią pieniędzmi. Trawkin mógł to udowodnić stosownymi zdjęciami w przypadku, gdyby człowiek ten zaczął kiedykolwiek stwarzać problemy.

Cisnął niedopałek na alejkę i zagrzebał go czubkiem buta. W innych okolicznościach zignorowałby prośbę Scanlona o spotkanie, ale śmierć Barrona, prezydenckiego lekarza, wydała mu się intrygująca. Prezydent przybywa do Walter Reed na badania, niedługo potem jego lekarz ulega nieszczęśliwemu wypadkowi na jachcie, a teraz Scanlon dobija się o pilny kontakt.

- Pan Smith? - Trawkin odwrócił się na dźwięk niskiego głosu. To był Scanlon. Na palcu trzymał przerzuconą przez ramię wymiętą marynarkę. Biała koszula wydymała się na okazałym brzuchu, a pod pachami ciemniały wilgotne plamy. Między kędzierzawymi włosami niskiego mężczyzny perlily się krople potu, a jego oddech był szybki i płytki. Upał dawał się Scanlonowi we znaki.

- Przejdźmy się - zaproponował Trawkin. Nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę Muzeum Historii Naturalnej. Słyszał jak zasapany Scanlon szybko przebiera nogami, żeby dotrzymać mu kroku. Trawkin dostrzegł stojącą na otwartej przestrzeni parkową ławkę. Podszedł do niej i usiadł. Scanlon klapnął obok z westchnieniem ulgi. Trawkin zapalił

kolejnego papierosa i czekał aż tamten nieco odetchnie.

- Jezu, co za upał - wymamrotał Scanlon, ciężko dysząc.

- Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać? - spytał Trawkin, od razu przechodząc do rzeczy. Było naprawdę gorąco i zaintrygowany, czy też nie, nie miał zamiaru poświęcać mu więcej czasu, niż było to konieczne.

- Z powodu Barrona.

- To prezydencki lekarz.

- Zgadza się. - Scanlon skinął głową. Wyciągnął z kieszeni spodni pomiętą chusteczkę i otarł nią spoconą twarz.

- No, co z nim.

- Nie jestem pewien, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie, ale w dniu, w którym doktor Barron utonął, pracowałem na rannej zmianie.

- Tak?

- Tak więc - Scanlon ponownie osuszył twarz - jedną z pierwszych rzeczy, jakie się robi po przyjsciu do biblioteki, to sprawdzenie rejestru zapotrzebowań.

- Wyjaśnij to - wpadł mu w słowo Trawkin.

- Rejestr zapotrzebowań jest w komputerze. Są w nim wszystkie zapotrzebowania na materiały z poprzedniej zmiany. Można się z niego dowiedzieć, jakie materiały zostały wysłane do którego lekarza, dzięki czemu chłopcy z następnej zmiany są w stanie dopilnować, żeby wszystko wróciło do biblioteki.

- A co to ma wspólnego z doktorem Barronem?

- Właśnie do tego zmierzam - odrzekł Scanlon. - Nie wiedziałem, że Barron nie żyje, więc wtedy za bardzo się nad tym nie zastanawiałem i załapałem dopiero później.

- Co załapałeś? - Ton pytania wskazywał, że Trawkin zaczyna tracić cierpliwość.

- Poprzedniego wieczoru doktor Barron złożył zapotrzebowanie na wszelkie znajdujące się w bibliotece publikacje o czymś, co nazywa się...cholera. Grzebał przez chwilę w wewnętrznej kieszeni marynarki. W końcu wydobył złożony kawałek papieru i go rozprostował.

- No, już mam. Potrzebował informacji o chorobie Creutzfeldta-Jakoba.

- Przeliteruj to - polecił Trawkin. Scanlon wolno powtórzył nazwę. Rosjanin zdusił papierosa i spojrzał w głąb Mallu. Jeszcze piętnaście minut, a zaczną wylęgać tłumy na lunch.

- Co to za choroba?

Scanlon wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Równocześnie prosił też o prace na temat Alzheimerera, o ile ma to jakieś znaczenie. W każdym razie, to nie to wydało mi się tak interesujące.

- Doprawdy?

- Tak. - Pokiwał głową. - Najbardziej uderzyło mnie to, że gdy następnego dnia zadzwoniłem do biura z prośbą o zwrot pobranych materiałów, usłyszałem, że on nigdy czegoś takiego nie zamawiał. Powiedzieli mi, że w komputerze musiało dojść do jakiegoś przekłamania. Sprawdziłem to. - Scanlon urwał i wytarł twarz po raz trzeci.

- I?

- Znowu przejrzałem ten rejestr i Bóg mi świadkiem, nie było tam żadnego śladu po zapotrzebowaniu doktora Barrona. Poszedłem nawet do magazynu i sprawdziłem półki. Materiały, które zamawiał, znajdowały się dokładnie na swoim miejscu. Paskudna sprawa.

- Co o tym myślisz? - zapytał Trawkin, choć zdążył już wyrobić sobie własną opinię.

- Przecież to oczywiste - obruszył się Scanlon. - Barron umarł, bo pytał o coś, o czym nikt nie miał prawa wiedzieć. Dlatego oni zrobili z nim porządek i wszystko dokładnie posprząkali.

- Oni posprząтали? - podchwycił Trawkin. - Kim według ciebie mogli być?

Scanlon wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Musiał to być ktoś doskonale obeznany z komputerami.

- Chyba masz dostęp do akt osobowych, prawda? - spytał Trawkin, zmieniając nagle temat.

- No pewnie. - Scanlon zmarszczył czoło. - Dlaczego?

- Chcę dostać akta Barrona.

- Wszystkie?

- Tak. - Trawkin w zamyśleniu przygryzł wargę. - Aż do okresu studiów medycznych.

Kiedy już będziesz gotowy, zadzwoń pod ten sam numer co zwykle.

- Zobaczę, co da się zrobić.

- I jeszcze jedno - wolno dodał Trawkin. - W jaki sposób rejestrowane są rozmowy telefoniczne wychodzące z Waltera Reeda?

- Komputerowo. Mamy system rozliczeniowy podłączony do centralnej jednostki sterującej.

- Czy możesz coś sprawdzić?

- Jasne.

- Chcą wiedzieć, czy Barron telefonował gdzieś ze szpitala przed lub po złożeniu zamówienia w bibliotece.

Scanlon pokiwał głową i otarł usta chusteczką.

- Okay, ale to będzie kosztowało ekstra.

- Zdaję sobie z tego sprawę - uprzejmie odparł Trawkin. - W kopercie znajdziesz dodatkowych pięćset dolarów.

- Scanlon uśmiechnął się szeroko. - Świetnie.



- Potrzebuję tych informacji jak najszybciej - powiedział Trawkin wstając. Odwrócił się i ruszył w stronę pomnika Waszyngtona. Scanlon odprowadził go wzrokiem, potem podniósł się z ławki i pomaszerował w przeciwnym kierunku.

Stephen Stone siedział w podziemiach biura w ciemnej sali telewizyjnej i na wielkim ekranie telewizora oglądał ziarniste powiększenie. Za pomocą trzymanego w dłoni pilota przesuwał obraz do przodu i do tyłu. Po lewej miał Morta Kesslera, natomiast miejsce po prawej zajmował odczytujący słowa z ruchu warg Norman Traynor, stary pracownik biura, który przed dziesięciu laty stracił słuch. Uniknął odstawki tylko dzięki temu, że nauczył się czytać z warg na odległość.

- "...Potrzebuję tych informacji" ... jest jeszcze coś, ale nie widzę - powiedział Traynor, więc Stone przewinał taśmę jeszcze raz. - Obiekt odwrócił się, wypowiadając ostatnie słowa.

- Przepraszam - wtrącił Kessler. - Ten twój chłopak jest bardzo ostrożny. Podejście bliżej byłoby zbyt ryzykowne. Śledziliśmy go z wieży w Smithsonian. To jakieś czterysta, pięćset metrów.

- W porządku. - Stone wzruszył ramionami, po czym spojrzał na Traynora. - Masz to wszystko? - zapytał. Mocno zbudowany, siwowłosy mężczyzna skinął głową i wyjął kasetę z trzymanego na kolanach dyktafonu. Zarejestrował na niej przebieg odczytu z taśmy wideo.

- Zaniosę kasetę technikom, niech dopasują dźwięk do obrazu. Za kilka godzin miks powinien być gotowy.

- Wspaniale. Dzięki Norm.

- Nie ma za co. - Traynor wstał i wyszedł z sali.

- Więc? - zapytał Stone, kiedy zostali sami. Kessler przeszedł w odległy kąt sali, odszukał na ścianie kontakt i włączył światło. Stone zapalił papierosa i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Kessler zaczął przed nim spacerować, relacjonując przebieg akcji.

- Po spotkaniu udał się pieszo do Biblioteki Kongresu, gdzie przez pół godziny grzebał w katalogach. Potem wziął taksówkę i pojechał do antykwariatu McCanna na M Street, specjalizującego się w literaturze medycznej i technicznej. Kupił dwie książki o demencji oraz ogólną pracę o chorobach mózgu. Następnie odwiedził jeszcze trzy księgarnie. Wszędzie to samo. Z tymi zakupami wrócił prosto do mieszkania. Za wszystko zapłacił gotówką.

- Sprytnie - zauważył Stone. - Jeśli chcesz skorzystać z Biblioteki Kongresu, musisz podać nazwisko i przedstawić dokument potwierdzający tożsamość. Prawdopodobnie skorzystał tam z katalogów, żeby zorientować się w dostępnych tytułach, potem zaś dokonał zakupów zgodnie z ustaloną listą.

- Ciekawe, po co mu to wszystko - zastanawiał się Kessler.

- Nie wiem - mruknął Stone. Zapatrzył się w smużkę dymu unoszącego się z papierosa ku niskiemu sufitowi sali telewizyjnej. - Ale depczemy mu po piętach.

- Zobaczymy, czego można się dowiedzieć o praktyce Barrona. Sprawdź, kogo leczył ostatnio poza prezydentem i czy da się powiązać jakiegoś pacjenta z tym Creutzfeldtem-Jakobem.

- Czy zwijamy Scanlona?

- Jeszcze nie teraz. Niech działa.

- Czy masz coś jeszcze? - spytał Kessler.

Stone zabębnił palcami w poręcz fotela.

- Patolog - powiedział w końcu, zapatrzony w pusty ekran telewizora.

- Kto?

- Patolog. Ten, który robił dla biura koronera autopsję Barrona. Spróbuj zdobyć jego nazwisko, dobrze?

- Wygląda na to, że coś ci już chodzi po głowie.

- Niezupełnie - odparł Stone w zadumie - ale jeśli Dmitrij interesuje się martwym doktorem Barronem, ja robię to samo.

Rhineland wprawiając w ruch płetwy mocnymi, rytmicznymi pociągnięciami, z łatwością płynął ponad rafą w bladozielonej wodzie. Poruszał się od dawna ustaloną trasą, robiąc przystanki przy kolejnych bójkach, aby wykonać serię zdjęć. Jaskrawożółte, plastikowe kule, przywiązane do zakotwiczonych w rafie dziesięciostopowych nylonowych linek, gwarantowały, że w trakcie każdego obchodu sfotografuje dokładnie ten sam wycinek rafy.

Zatrzymał się przy najdalszej bójce i sięgnął po przywiązany do nadgarstka czasomierz, żeby sprawdzić odczyt. To było jego drugie nurkowanie w tym dniu. Spędził pod wodą siedemdziesiąt minut. Z danych na wyświetlaczu wynikało, że ma ich do dyspozycji jeszcze jedenaście. Za mało, by wyruszyć w następny obchód, a stojące w zenicie słońce i tak przepłoszyło ławicę bajecznie kolorowych rybek. Zrobi to innym razem. Opuścił ramiona i w ślad za bąblami powietrza popłynął ku powierzchni, gdzie wyostrzonym cieniem znaczyła swą obecność jego trzydziestostopowa łódź, Whosperland.

Łapiąc się rufy sportowego jachtu, wypluł ustnik i ściągnął maskę. Zdjął płetwy, wrzucił je do środka, po czym wspiął się po metalowej drabince przytwierdzonej do pawęży. Na pokładzie dokończył zdejmowanie ekwipunku. Odłożył na bok aparat fotograficzny i oswobodził się z ciemnozielonego kombinezonu, który służył mu od sześciu lat. W samych kąpielówkach zszedł do kabiny. Z małej lodówki wyjął butelkę red stripe'a i wrócił z nią na pokład. Wspiął się do sterówki, siadł w rozgrzanym przez słońce skórzanym fotelu. Poprzez lekko przyciemnioną przednią szybę widział w odległości prawie czterech mil strome, zielone zbocza górujące nad Discovery Bay.

Pociągnął łyk zimnego piwa, rozkoszując się rześkim szczypaniem w język. Na nagiej skórze czuł dotyk słońca. Napięcie kilku ostatnich dni z wolna zaczynało go opuszczać. Jeżeli w jego życiu było coś bezpiecznego, jakieś poczucie przynależności do prawdziwego świata, to właśnie tutaj, na rafie, gdy kołysał się lekko razem z kadłubem „Whisperland”. Przed Jamajką, łodzią i domem w Oracabessa, jego życie sprowadzało się praktycznie do reakcji na wydarzenia. Przyszedł na świat bez własnej tożsamości, toteż za każdym razem dostosowywał ją do własnych potrzeb oraz wymogów pracy. Wyszkolony w zabijaniu - mordował, doskonaląc swe rzemiosło do poziomu sztuki.

Rhineland z uśmiechem sięgnął po papierosy leżące na półce. Odstawił piwo zapalił jednego. Zdjął przy tym z czubka języka kilka okruchów tytoniu. Na stronach jakiegoś tajnego raportu ukrytego głęboko w czeluściach archiwów w Langley, był prawdopodobnie sklasyfikowany jako psychopata. Dobrze jednak wiedział, iż zatrudnieni w agencji psychiatrzy posługiwali się tym terminem głównie po to, by uspokoić samych siebie i racjonalnie przedstawić obłąkany charakter własnych pozycji.

Zresztą, nie miało to większego znaczenia. Kilka lat temu pojął wreszcie prawdę o swoim życiu. W odróżnieniu od większości ludzi żył na dwóch płaszczyznach egzystencji, które nazwał światem wyższym i światem niższym. Pierwszym było jego życie tutaj; życie, jakie ogół społeczeństwa uznałby za „normalne”. Drugim była egzystencja pośród postaci z koszmarów Breughela, ludzi pokroju Phillipe’a Gromana, czy przerażających popleczników Pol Pota. Oba te światy miały własne prawa natury, własne lojalności oraz kłamstwa, odrębne zbiory reguł, których należało starannie przestrzegać. Oba przenikały się nawzajem bez końca, w delikatnie zrównoważonym cyklu. Rhineland pociągnął długi łyk piwa. Jeśli to było szaleństwo, to trudno. Zamknął oczy, odchylił głowę na oparcie fotela. Jeszcze godzina na słońcu, następny papieros i piwo. Potem podniesie kotwicę, dopłynie do przystani w Ocho

Rios i pójdzie do domu.

Paul Mallory, specjalny asystent Hudsona Coopera, zastępcy dyrektora operacyjnego CIA, dotarł na Jamajkę południowym samolotem American Airlines, który wylądował na lotnisku Sir Donalda Sangstera w Montego Bay. Osłabiony przez wilgotny upał, ogłuszony przez koncertującą w głównym holu orkiestrę, przecisnął się wśród tłumu turystów i dotarł do stanowiska Budgetu. Pół godziny później potwierdził swoją rezerwację w Ocho Rios Americana i prowadził poobijaną, wynajętą toyotę po Queens Drive. Dojechawszy do A-3, skręcił na zachód, w stronę odległego o pięćdziesiąt mil Oracabessa.

Wijąca się wzdłuż wybrzeża wąska droga pozwalała oglądać dziwną kombinację nowoczesnych białych hoteli oraz nędznych ruder, porośniętych mangrowcami bagien i srebrnych plaż; gigantycznych paproci przesłaniających wielkie tablice z reklamami świeżego piwa z Red Stripe Brewery albo tropigazu; plantacji trzciny cukrowej i palm kokosowych; dawno opuszczonych wiosek z kamiennymi chatami, których powybijane okna ziały czernią, niczym puste oczodoły. Mallory zupełnie zignorował uroki krajobrazu, koncentrując się na drodze. Dla niego Jamajka nie była rajska wyspą, tylko pułapką, w którą musiał wskoczyć. Do CIA został zwerbowany na ostatnim roku studiów w MIT\* [\* MIT - Instytut Technologiczny Massachusetts (przyp. tłum.). ] Zaczął pracę w sześć miesięcy po tym, jak Richard Nixon został prezydentem, a Richard Helms objął stanowisko dyrektora agencji. Dobrze obeznany z nabierającą rozmachu techniką komputerową, został przydzielony do Wydziału Analiz Zagrożeń i Planów, spędzając większość czasu na gromadzeniu informacji na temat państw w centralnej i południowej Ameryce. W tym okresie kilkakrotnie odbywał podróże w celu ustalenia pewnych faktów. Tamte wyjazdy jednak w niczym nie przypominały ostatnich wypraw do Paryża i na Jamajkę.

W przeszłości Mallory nigdy nie wątpił, że sens jego pracy można łatwo uzasadnić,

nigdy też jego życiu nie zagrażało bezpośrednio niebezpieczeństwo. Zawsze myślał o sobie jak o statystyku, któremu przypadkiem przyszło pracować w wywiadzie, półnaukowcu na spokojnej posadzie, z dostępem do najlepszych na świecie komputerowych zabawek.

Tym razem było zupełnie inaczej. Jako zastępca dyrektora operacyjnego Hudson Cooper posiadał w CIA szerokie uprawnienia. Było jednak oczywiste, iż ta operacja została zaplanowana i wdrożona z pominięciem normalnych procedur. Zainteresowanie Coopera aktami QJ/RAIL - Rhinelandera nie było przypadkowe. Rhineland z kolei także daleko odbiegał od przeciętnego ekspracownika Firmy. Był zabójcą, który nigdy nie został przyłapany na zabójstwie politycznym, co więcej, nic nie wskazywało, że kiedykolwiek był w takie zabójstwo zamieszany. Jeżeli Cooper potrzebował kogoś takiego, mogło to oznaczać tylko jedno: pragnął czyjejś śmierci. Mallory dobrze wiedział, że nie wynajmuje się kogoś o „kwalifikacjach” QJ/RAILA do sprzątnięcia jakiejś płotki. Interesujący Coopera cel musiał należeć do ścisłej czołówki.

Mallory ściągnął brwi i odruchowo poprawił okulary. Kto to mógł być? Usiłował tego dociec od chwili, gdy Cooper zażądał dokumentacji QJ/RAILA. Najprawdopodobniej celem była wysoko postawiona osoba w wywiadzie obcego państwa. Ostatnio jednak w branży panował spokój i tylko w Wielkiej Brytanii ujawniono kolejnego, działającego od wielu lat szpiega.

Jedno wszakże było pewne. Jeżeli trzeba było skorzystać z usług Rhinelandera, przyszła ofiara musiała należeć do kategorii tak zwanych trudnych celów, które nieustannie objęte są ścisłą ochroną albo przebywają w miejscu, do którego trudno się dostać, na przykład na Kremlu. Mallory gwizdnął przez zaciśnięte zęby i zabębnił palcami o lepki plastik kierownicy. Fakt, iż został wciągnięty do jakiejś tajnej i zapewne nielegalnej operacji Coopera, bardzo go denerwował, zwłaszcza że w grę wchodziło morderstwo. Był to według

jego oceny staroświecki i mało efektywny instrument polityki zagranicznej.

Przejeżdżając przez małą wioskę Salt Gut, zdjął nogę z gazu i zaczął zwracać uwagę na okolicę. Przypominał sobie zarazem wskazówki otrzymane na lotnisku w Montego Bay.

Przejechawszy wąską szosą jeszcze kilka mil, dostrzegł opustoszałe ruiny stacji Shella, zniszczonej przez huragan w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym. Skręcił przy nich na jeszcze węższą drogę gruntową, która prowadziła na wybrzeże. Tak, jak mu powiedziano, natrafił wkrótce na dwa potężne słupy zwieńczone dużymi, pomalowanymi na czarno rzeźbami sokołów.

Na słupach nie było blokujących przejazd wrót, więc Mallory skierował samochód na szlak wiodący w głąb dżungli. Po kilkuset jardach przykryty zielonym baldachimem trakt urwał się nagle na niewielkiej polanie z widokiem na ocean. Na środku otwartej przestrzeni stał skromny, murowany bungalow. Kiedyś należał do Iana Fleminga, twórcy Jamesa Bonda. Dzisiaj mieszkał w nim Eric Rhineland, człowiek, który w rzeczywistości posiadał licencję na zabijanie.

Mallory zaparkował toyotę i wyszedł na zalany słonecznym blaskiem trawnik. Mrużąc oczy założył okulary i głęboko odetchnął. Powietrze zawierało w sobie dziwną mieszaninę zapachów: bogatą woń kwiatów, zgniliznę i słonawo-gorzki posmak ciągnącej od morza bryzy. Odwrócił się i osłoniwszy oczy dłonią, zlustrował parterowy dom. Głęboko osadzone okna zostały zabezpieczone okiennicami z grubych listewek. Żaluzje; pamiętał, że tak właśnie nazywała je pochodząca z głębokiego południa babka. Takie właśnie okiennice można było spotkać w Georgii.

Na pokrytym starym gontem dachu widać było całe połączenie znacznie nowszych płytek. Huragan? Obszedł dom dookoła, a kamyki, którymi wysypano patio, chrzęściły mu pod nogami. Budynek miał kształt grubego L. Do środka prowadziły dwa wejścia: szerokie,

przeszkłone drzwi po stronie wychodzącego na ocean, nadmiernie zarośniętego ogrodu oraz wąskie drewniane drzwiczki nieco na prawo od miejsca, gdzie Mallory zaparkował samochód. Drzwi od ogrodu okazały się zamknięte. Zakończył obchód i z wahaniem zapukał do tych wąskich. Jeszcze raz omiół wzrokiem okolicę, ale poza jego toyotą nigdzie nie było widać innych pojazdów. Mallory zapukał ponownie, znacznie mocniej, po czym nacisnął staroświecką klamkę. Drzwi otworzyły się bez oporu, odsłaniając chłodne, ciemne wnętrze. Żałował, że nie były jednak zamknięte i wszedł do środka.

Nagie ściany pokrywał nierówny tynk. Betonową posadzkę, pomalowaną na ciemnoniebieski kolor, zaścielały cienkie, plecione maty. Na wprost Mallory miał wąski, biegnący w głąb domu korytarz, natomiast na lewo otwierało się wejście do małej kuchni. Za łukowym przejściem widział obszerny, nisko sklepiony pokój dzienny. Ignorując kuchnię, Mallory wszedł do mrocznego pokoju. Odrobinę światła zapewniały jedynie wąskie szpary w okiennicach.

Także tutaj ściany były nagie, a wyposażenie bardzo skromne: dwa klubowe fotele obite tkaniną dopasowaną do ciemnoniebieskiej podłogi, mała kanapa o nieco jaśniejszej barwie oraz mocno polakierowany stolik do kawy z jakiegoś egzotycznego drewna. W pobliżu przeszkłonych drzwi w drugim końcu pokoju znajdował się stół z ciemnego drewna, przy którym stały dwa krzesła. Wygląd tego pomieszczenia nie mówił niczego o Rhinelandrze.

Mallory wrócił na korytarz, stanął nieruchomo i wytężył słuch. Lekki grzechot okiennic, odległy przybój, ptaki, mocny łomot jego serca: uciekaj, uciekaj, uciekaj. Rozum podpowiadał, że naruszanie prywatności zawodowego zabójcy nie było dobrym pomysłem, lecz ciekawość, a także polecenie Coopera, by skontaktował się z Rhinelandrem, pchnęły go do dalszych poszukiwań. Jeśli wróci gospodarz, z daleka usłyszy jego samochód.



Za kolejnymi drzwiami znalazł ciasną łazienkę z ubikacją i natryskiem, ale bez wanny. Sprawdził zawartość długiej półki nad umywalką. Mydło „Peara”, wyposażony w uchwyt z kości słoniowej pędzelek od „Harrod’sa”, brzytwa „Wilkinsona”. Napełniona w dwóch trzecich butelka płynu po goleniu „Lagerfelda” i szczypczyki do paznokci. Otworzył butelkę z płynem i powąchał zawartość. Zastanawiał się, czy głęboki i silny aromat był ostatnią rzeczą, jaką zapamiętywały ofiary Rhinelandera przed śmiercią. Zadrżał, zakręcił butelkę i cicho wyszedł na korytarz.

Dalej była spartańsko urządzona sypialnia: pojedyncze łóżko na metalowej ramie, szafa i nocna lampka na małym stoliku. Na stoliku leżała książka Karaibskie ryby rafy koralowej Johna Randalla. Mallory podniósł ją i przerzucił kilka kartek. Odłożył książkę i rozejrzał się po pokoju. Rhineland wciąż pozostawał zagadką. Jak dotąd jego dom był równie interesujący jak „Holiday Inn”. Zawrócił do drzwi. Cooper chciał danych, wyglądało jednak na to, że tutaj ich nie było. Mallory wszedł do ostatniego pomieszczenia. Było w nim ciemno jak w grobie. Znalazł wyłącznik na ścianie przy drzwiach i zapalił światło.

- Jezu Chryste!

Wszystkie cztery ściany kwadratowego pokoju od podłogi po sufit zastawione były regałami z książkami. Kontrastowało z nimi stanowisko pracy wyposażone w komputer, drukarkę laserową, skaner i ploter. Mallory był na bieżąco ze sprzętem, toteż wiedział, że ma przed sobą pierwszorzędny zestaw. Zwalczył pokusę, by zasiąść do klawiatury i sprawdzić zawartość komputera. Skoncentrował swą uwagę na książkach.

Ścianę wprost za stanowiskiem komputerowym zdominowały prace z oceanografii, morskiej biologii techniki, a także z historii marynarki. Ścianę przeciwległą zajmowały książki podróżnicze: Fodor, Fielding, przewodniki Baedekera, stare i współczesne mapy turystyczne, cała półka poświęcona europejskim połączeniom kolejowym, dziesiątki

pojemników ze slajdami - każdy opatrzony nazwą jakiegoś kraju lub miasta. Większość opracowań dotyczyła południowo-wschodniej Azji i Europy. Można było wśród nich natrafić na książki o Karaibach, Ameryce Środkowej i Południowej, a także Oriencie.

Najbardziej wymowne były jednak półki naprzeciw drzwi. Najwyższa z nich zawierała roczniki „Jane's Weapon System”, zaczynające się w połowie lat sześćdziesiątych, książki o sowieckim i amerykańskim uzbrojeniu, podręczniki armii amerykańskiej poświęcone broni niekonwencjonalnej oraz powpinane w segregatory katalogi wszystkich liczących się w świecie producentów broni. Poniżej zgromadzono natomiast dziesiątki tytułów związanych zarówno z krajowym, jak i zagranicznym wywiadem: CIA w Ameryce Środkowej, Agencja, Rozwój i schyłek CIA, Pałac zagadek, Sowiecki Wywiad Wojskowy, Deep Black, Prezydenckie Tajne Wojny, Społeczeństwo i zabójca, Sztuka zabijania, Broń o niskim napięciu. Zbiór zdawał się nie mieć końca. Kolejne półki zawierały literaturę o handlu narkotykami: Handlarze heroiny Alvina Moscowa, Na tropie triad, Wewnątrz Żółtego Trójkąta.

Poza książkami z zakresu marynistyki, biblioteka robiła makabryczne wrażenie.

Przeciętny powieściowy zabójca był tępogłowym sadystą pokroju Nasha z pozdrowieniami z Rosji, lub też pozbawioną twarzy, przypominającą nieco znużoną Nemezis, postacią w rodzaju zabójcy w Dniu Szakala.

Rhineland z kolei, z pominięciem jego psychopatycznego charakteru, był zawodowcem poważnie traktującym swoją pracę. Książki o broni pozwalały mu zachować orientację w najnowszych trendach w tej dziedzinie. Przewodniki mówiły, czego może spodziewać się w różnych portach lotniczych czy hotelach. Literatura szpiegowska oraz handlującego narkotykami podziemia przynajmniej w pewnym stopniu sugerowała, czego może spodziewać się po wrogach, jak i potencjalnych zleceniodawcach. Czysto i schludnie,

zupełnie jak w porządnie prowadzonym biznesie. A jednak...

Mallory wydał wargi i szybko zamrugał oczami. Poczul tępy ucisk w dołku, miał wrażenie, że do ust z głębi gardła napływa mu żółć. Przypomniat sobie fotografie zwłok Phillipe'a Gromana zabitego w burdelu na Montmartrze. Pokazał mu je Henri Faligot z Dyrektoriatu Terytorialnego (DST). Na tym właśnie polegał zawód Rhinelandera i schludny pokój nie mógł zmienić rzeczywistości ukazanej na tamtych obscenicznie klinicznych, czarno-białych odbitkach.

Przyszło mu do głowy, żeby natychmiast wyjść, po prostu zawinąć ogon pod siebie i uciec. Zameldowałby potem Cooperowi, że nie mógł namierzyć QJ/RAILA i na tym cała sprawa by się skończyła. Za niepowodzenie posłaliby go z powrotem do Wydziału Analiz Zagrożeń, ale przynajmniej obracałby się w świecie, który rozumiał.

Mallory poprawił okulary i ciężko westchnął. Melodramat. Wszystko, co miał zrobić, to nawiązać kontakt z tym człowiekiem, nagrać spotkanie. Na tym koniec. Cooper jednak chciał także, by dowiedział się o nim jak najwięcej i właśnie tym teraz się zajmował.

Nie zważając na skurcze żołądka zasiadł do komputera. Uruchomił system, zadowolony, że może zająć się dobrze znaną procedurą. Wywołał menu twardego dysku, po czym wbił wzrok w ekran. Rhinelandier dysponował bogatym oprogramowaniem: edytory tekstu, arkusze kalkulacyjne, programy telekomunikacyjne i projektowe.

Niemal jedną trzecią osiemdziesięciomegabitowej pamięci zajmowały pliki w folderze RAC. Przebiegając palcami po klawiaturze, Mallory otworzył go, a wówczas okazało się, że plik jest opatrzony datą. Pliki ułożone były chronologicznie na przestrzeni ostatnich trzech lat, a różnica czasu między nimi wynosiła siedem, czternaście lub dwadzieścia jeden dni.

Otworzył plik sprzed roku i został nagrodzony obrazem trójwymiarowej siatki i bursztynowych linii płonących na ciemnoniebieskim tle. Całość przypominała nieco ekran

radaru. Opis w lewym górnym rogu zawierał datę i nazwę: mapa analizy rafy.

Minęło kilka minut, zanim Mallory obliczył kody i rozszyfrował zawarte na ekranie dane. Obraz przedstawiał wycinek rafy, a wystukując różne polecenia, można było otrzymać wykresy temperatury, prądów morskich, poziomu pływów, rozkład ławic...dosłownie wszystko. Odchylił się na oparcie fotela i poprawił okulary. To wyjaśniało obecność książek poświęconych oceanografii. Hobby Rhinelandera?

- Dobrze się bawisz? - rozległo się z tyłu. Mallory odwrócił się gwałtownie, czując jak serce usiłuje mu wyskoczyć z piersi i omal nie zgubił przy tym okularów. W nozdrza uderzył go kwaśno-słodki odór własnego strachu. W ustach w ułamku sekundy wyschła cała ślina. Na progu stał Rhineland. Był ubrany w granatową koszulę z krótkimi rękawami i jasnoszare, obcisłe szorty. Stał bosy, zaś w prawej dłoni trzymał niedbale niewielki automatyczny pistolet, którego lufa mierzyła w podłogę.

- Uh... - To było wszystko, co Mallory zdołał z siebie wydusić.

- Wstań - polecił Rhineland. Mallory zrobił, co mu kazano, z trudem utrzymując równowagę na gumowych nogach. Gospodarz usunął się na bok i machnął pistoletem.

- Do salonu.

Słabo pokiwał głową, po czym ruszył z miejsca, mając wrażenie, że jego stopy dzieli od reszty ciała ogromna odległość. Rhineland poprowadził go korytarzem i dalej pod łukowym sklepieniem. Gestem pokazał, żeby usiadł na kanapce, sam zaś zajął miejsce w jednym z klubowych foteli. Pistolet położył sobie na kolanach, a smugi słonecznego blasku kładły się bursztynowymi pasmami na jego twarzy oraz piersi.

Jak się nazywasz? - spytał Rhineland. Mówił spokojnie, głosem pozbawionym jakiegokolwiek akcentu. Ni to Amerykanin, ni to Brytyjczyk, po prostu nikt. Mallory gapił się na broń. Nie chciał i nie potrafił spojrzeć prosto w ciemne oczy tamtego mężczyzny.

- Mallory. Paul Mallory.

- Waszyngton. - To nie było pytanie. Nie było sensu kłamać.

- Tak.

- CIA?

- Tak.

- Kto?

- Cooper.

- Skąd mam to wiedzieć?

- Mam dokumenty - odparł Mallory. Zerknął szybko na twarz Rhinelandera. Jej wyraz nie uległ najmniejszej zmianie. Obojętna, bez śladu zainteresowania, jak gdyby Mallory był pełzającym po podłodze nędznym insektem.

- Każdy może mieć dowolne dokumenty. Spróbuj jeszcze raz.

- Pańskie akta opatrzone są pseudonimem QJ/RAIL. Pracował pan dla firmy pod nazwiskiem Eric Rhineland. Był pan... - Mallory urwał z wahaniem.

- Tak?

- Był pan ostatnio w Paryżu. - Mallory z trudem przełknął ślinę, zastanawiając się, ile jeszcze będzie musiał powiedzieć.

- Tak. - Nadal ta sama mina, ręka trzymająca broń ani na milimetr nie zmieniła położenia. Przypomniawszy sobie zdjęcie rozciągniętego na łożku Gromana z krwawiącą raną kłutą, która wyglądała niczym drugi odbyt. Rhineland nie potrzebowałby nawet sekundy, żeby podnieść pistolet i pociągnąć za spust. Oczyma wyobraźni widział już swój mózg rozbryzgujący się po całym pomieszczeniu, migający krwawą mgiełką w skośnych pasmach światła z okiennic.

- Pan...Pan jest odpowiedzialny za śmierć handlarza narkotyków, niejakiego Phillipe'a

Gromana.

- On mnie oszukał - spokojnie odrzekł Rhineland. - Sam był sobie winien. Znał zasady.
- Rozumiem - wymamrotał Mallory. Zastanawiał się jednocześnie, co mówiły zasady na temat wchodzenia bez zaproszenia do domu Rhinelandera.
- Nie, ty nic nie rozumiesz - pistolet na podółku Rhinelandera poruszył się nieznacznie. Zapadła długa cisza, w końcu gospodarz zapytał. - Po co przyszedłeś?
- Pan Cooper chciałby z panem porozmawiać.
- Porozmawiać?
- Zobaczyć się z panem.
- Dlaczego?
- Nie mam pojęcia.
- Kim jesteś dla Coopera?
- Nie rozumiem.
- Co dla niego robisz?
- Jestem specjalnym asystentem.
- W którym wydziale pracowałeś wcześniej?
- Analizy Zagrożeń i Planowania.
- Bez doświadczeń operacyjnych, pracy w terenie?
- Bez.
- Czy dostałeś jakieś instrukcje dotyczące przebiegu spotkania?
- Nie. On powiedział, że pan i tak w nic nie uwierzy.
- Miał rację. - Znowu zapadła długa cisza. Mallory słyszał dobiegający z oddali szum przyboju. Rhineland, głęboko pogrążony w myślach, zdawał się go nie dostrzegać. Pasma

siwizny na jego skroniach wydawały się śnieżnobiałe na tle głębokiej opalenizny, zmarszczki zaś wokół oczu i ust nadawały twarzy zbyt stary wygląd w porównaniu z resztą atletycznego ciała.

- Czy masz jego numer telefonu? - zapytał w końcu Rhinelander.

Zaskoczony Mallory szybko pokiwał głową.

- Na wizytówce w moim portfelu.

- Wyciągnij ją.

- Tak. - Mallory pokiwał głową. Okulary znowu zsunęły mu się z nosa, lecz tym razem ich nie poprawiał. Wolno sięgnął do marynarki, wyciągnął portfel i odszukał wizytówkę Coopera.

- Połóż ją na stoliku.

- Tak jest. Mallory ostrożnie umieścił bilecik na lakierowanym blacie.

A teraz wynoś się z mego domu - rozkazał Rhinelander. Mallory wstał, czując jak z przerażenia ścieka mu po policzkach zimny i oleisty pot. Jego trzewiami wstrząsnął gwałtowny skurcz. Miał ogromne szczęście, że przeżył.

- Co mam powiedzieć panu Cooperowi? - zapytał.

- Powiedz mu co chcesz. Cokolwiek. - Wykonał nieznaczny gest pistoletem.

- Znikaj.

Mallory zniknął.

## Rozdział 6

Stoneacres, dziedziczna posiadłość rodu Macintyre, znajdowała się nad rzeką Potomac po stronie Wirginii. Rozciągała się czterdzieści pięć kilometrów na południowy wschód od Waszyngtonu, w połowie drogi między miasteczkiem Woodbridge a Państwową Akademią Policyjną FBI w Quantico. Wbrew nazwie\* [\* Stoneacres - Kamienista Ziemia (przyp. tłum.).

] okoliczne ziemie nie były kamieniste, a sama posiadłość nie stała się jeszcze prawdziwie „dziedziczna”. Na czterystuakrowy majątek składały się głównie dzikie lasy i rozległe łąki.

Wielki dom z cegły, w którym mieściło się dwanaście sypialni, zbudowany został stosunkowo niedawno, bo w roku tysiąc dziewięćset dziesiątym. Wzniósł go ojciec Hollisa - Charles Macintyre.

Macintyre senior, Amerykanin urodzony w Glasgow, był technikiem dentystycznym.

W roku tysiąc dziewięćset pierwszym wynalazł i opatentował proces umożliwiający produkcję taniego amalgamatu na plombę, dzięki czemu już w pięć lat później został milionerem.

Potroił swój majątek inwestując sporą sumę pieniędzy w nowo powstałą firmę Ford Motor Company. Ożenił się z córką wpływowego kongresmana i zaczął wieść życie szacownego dżentelmena osiadłego na wsi. W niepamięć odeszły dni strawione na polerowaniu sztucznych porcelanowych zębów. Dzięki wydatnej pomocy teścia oraz żony, po kilku latach Stoneacres stało się miejscem wizyt śmietanki towarzyskiej Waszyngtonu. Przez przestronne sale i izby zwieńczone dębowymi krokiewiami przewinęły się tłumy książąt, polityków i prezydentów.

Hollis Crandall Macintyre przyszedł na świat szóstego lutego tysiąc dziewięćset jedenastego roku, tego samego dnia, co Ronald Reagan - czterdziesty prezydent Stanów Zjednoczonych. Macintyre był pierwszym i jedynym chłopcem z pięciorga rodzeństwa. Od dzieciństwa wychowywano go na przyszłego członka elity: najpierw uczył się w Lockhart Academy, potem ukończył ekonomię na Uniwersytecie Wirginii, i dosłużył się w wojsku stopnia oficerskiego.

Po wyjściu do cywila w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim, Macintyre został asystentem generała Edwina M. Watsona - doradcy prezydenta Roosevelta do spraw



wojskowych. Wielu przyjaciół rodziny, zatwardziałych republikanów, uznało to za zdradę interesów wyższych sfer. Hollis Macintyre jednak zawsze był przede wszystkim realistą. Już w młodości w pełni zdawał sobie sprawę z korzyści płynących z posiadania władzy.

Franklin Delano Roosevelt zdecydowanie wygrał wybory, a Hollis Macintyre szybko zauważył, że Nowy Ład, program szczególnie opiekuńczy, prowadzi do koncentracji władzy w rękach rządu federalnego, a zwłaszcza prezydenta. Praca w Białym Domu pozwoliła Macintyre'owi poznać wszystkie niuanse życia w stolicy kraju. W chwili wybuchu wojny z Japonią był już znany w gabinetach urzędników i na korytarzach Kongresu jako człowiek od wszystkiego. Zawsze był gotów oddać przysługę, by następnie zażądać w zamian dwóch. Kiedy w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku umarł Roosevelt, Macintyre był jednym z najmniej lubianych i najbardziej szanowanych ludzi w Waszyngtonie.

Od tamtego czasu poświęcił się głównie umacnianiu swojej ciężko wypracowanej pozycji. Budował piramidę przysług, słabostek, tajemnic i kłamstw. Jego kolejne oficjalne tytuły i stanowiska w strukturach rządowych nie miały najmniejszego znaczenia. Brał władzę tam, gdzie się dało i wszystkich równo obdzielał łaską.

Przez te wszystkie lata nie zmieniło się w jego życiu tylko jedno: ciągle pozostawał członkiem komitetu Romulus. Poprzez zbieg okoliczności stał się jednym z twórców tej grupy, dzięki czemu znał jej wszystkie tajemnice i zazdrośnie ich strzegł. W czasie rządów kolejnych jedenastu prezydentów, licząc od Roosevelta, to właśnie Hollis Macintyre prześwietlał życiorysy wszystkich kandydatów do komitetu i pilnował, by eks-członkowie dotrzymali złożonej przez siebie przysięgi milczenia. O jego talentach organizacyjnych świadczyło choćby dochowanie tajemnicy. Niemal przez pięćdziesiąt lat nikt publicznie nie wspominał o Komitecie Romulus, a jego istnienie pozostawało tajemnicą, mimo pojawiających się od czasu do czasu plotek.

Piątego dnia po pierwszym spotkaniu komitetu Romulus w związku z diagnozą postawioną przez Barrona, Hollis Macintyre obudził się o wpół do siódmej. Powoli zjadł śniadanie. Tego ranka podano jajka sadzone, smażony bekon i razowy tost. Potem wypił kilka filiżanek jamajskiej kawy. Mimo wczesnej pory był ubrany w garnitur. Siedział na balkonie sypialni na piętrze, wpatrując się w mgiełkę nad Potomakiem, rozrywaną na strzępy przez promienie wschodzącego słońca. O siódmej poszedł z ostatnią filiżanką kawy do sypialni. Usiadł w wielkim, wyściełanym jedwabiem fotelu, stojącym obok łóża i zaczął czytać gazety. Zwykle robił to w limuzynie, jadąc do miasta. Dzisiaj jednak była niedziela i jedyne spotkanie tego dnia miało się odbyć na miejscu, w Stoneacres.

Najpierw otworzył niedzielne wydanie „New York Timesa” i wyciągnął ze środka magazyn. Na okładce widniało zdjęcie Vincenta Teresiego, wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Macintyre poczuł, że robi mu się niedobrze. Zmarszczył brwi i wbił wzrok w uśmiechniętą twarz na okładce. Pomyślał, że to nowa wersja Franka Sinatry z gęstymi czarnymi włosami, roziskrzonymi ciemnymi oczami, i wyćwiczonym uśmiechem, który budził zaufanie wyborców. Choć Teresi miał dopiero czterdzieści cztery lata, był już ulubieńcem mediów. Od śmierci żony przed trzema laty był najlepszym facetem do wzięcia w Waszyngtonie.

Macintyre westchnął ciężko i zrzucił gazety na podłogę. Nie musiał czytać artykułu, by poznać jego treść. Miał „teczkę” Teresiego, pełną materiałów zebranych po tym, jak ten nieznany nikomu człowiek został nieoczekiwanie kandydatem na wiceprezydenta. Mężczyzna rozejrzał się po wielkim, bogato udekorowanym pokoju. Dywany Herez, posadzka z dębu, łóżo z baldachimem, wielokrotnie nagradzana kolekcja obrazów Thomasa Morana, Davida Kennedy’ego i Andrew Melrose’a, marmurowy kominek D’Avulo - wszystko to pamiątki życia. Były treścią poszukiwania spokoju ducha; takiego, jaki zapewnić może tylko porządek,

odpowiednia pozycja i bogactwo. Ale wiceprezydent zdawał się tym gardzić.

Vincenzo Santino Michelangelo Teresi urodzony w Nowym Jorku i wychowany w Kalifornii, wywodził się ze środowiska imigrantów. Takich jak oni było pełno w Brooklynie w latach czterdziestych. Ojciec Vincenza, Antonio Teresi, był wykwalifikowanym mechanikiem i na początku lat pięćdziesiątych przeniósł się z rodziną do San Diego. Znalazł tam zatrudnienie w dynamicznie rozwijającym się przemyśle lotniczym. W drodze między Nowym Jorkiem a Zachodnim Wybrzeżem, Vincenzo stał się Vincentem, a pozostałe imiona zniknęły. Kończąc liceum, Vince Teresi nie był już chłopakiem z Brooklynu, a Kalifornijczykiem z krwi i kości.

Miał też dość oleju w głowie, by wiedzieć, że z braku zdolności i pieniędzy nie ma szans dostać się na studia. Zaciągnął się więc do sił powietrznych i przeszedł szkolenie oficerskie. Trafił do szkoły dla pilotów i przez następne dwa lata odbywał zwiadowcze loty nad Wietnamem Północnym. Po zakończeniu służby, wrócił do Stanów i trafił do Kierownictwa Wywiadu Operacyjnego Sił Powietrznych w Pentagonie. Praca okazała się niezbyt ciężka i Teresi wykorzystał czas wolny, by skończyć prawo na uniwersytecie w Georgetown.

Po niemal sześciu latach w wojsku wyjechał z Waszyngtonu i wrócił do Kalifornii. Pracował w kilku firmach prawniczych. Zaczął się też udzielać najpierw na lokalnej, a potem na stanowej scenie politycznej. Hollis Macintyre nie omieszkał zauważyć, że kariera wiceprezydenta rozwijała się podobnie do jego własnej. Obydwaj cierpliwie, krok po kroku, wspinali się po szczeblach władzy. Teresi był gotów wszystkim oddać przysługę i zgłaszał się do każdego zadania. Zaskarbiał sobie tym tyle wdzięczności, że z prokuratury okręgowej Los Angeles trafił najpierw do kongresu stanowego, by wreszcie wylądować w biurze gubernatora, jako pozostający w cieniu członek gwardii pałacowej Reagana.

Zamiast podążać za Reaganem i jego poplecznikami do Białego Domu w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym, Teresi postanowił pójść dalej własną drogą. Został w Kalifornii, gdzie wyspecjalizował się w prawie ochrony środowiska. Zaczął zdobywać wpływy w narodowym Komitecie partii. Pod koniec kadencji Reagana udało mu się dyskretnie skonsolidować mniej konserwatywne, młodsze frakcje i dzień przed konwencją, która miała oficjalnie potwierdzić kandydaturę Tuckera na prezydenta, przystąpił do działania. Seria niepowodzeń, łącznie z ostatnim skandalem wywołanym przez Quayle'a, sprawiła, że Bush postanowił zrezygnować z ubiegania się o drugą kadencję. Przyczyniło się to do zaostrenia rywalizacji o jego stołek.

Podczas krótkiego spotkania z Macintyre'em, Teresi był uprzejmy, ale stanowczy. Albo zostanie kandydatem na wiceprezydenta, albo doprowadzi do rozbicia głosów na konwencji. Nie miał wystarczającego poparcia, by samemu uzyskać nominację, ale nieprzekonujące zwycięstwo Tuckera na zjeździe macierzystej partii poważnie osłabiłoby jego szansę w wyborach.

Macintyre zdawał sobie sprawę, że jeśli przystanie na żądania Teresiego, będzie to oznaczało początek końca jego własnej kariery politycznej. Nie miał jednak wyboru. Zgodził się i Teresi został kandydatem na wiceprezydenta u boku Tuckera. Najbardziej zabawne w tym wszystkim było to, że po wygranych wyborach większość dziennikarzy przypisała główną zasługę za sukces Teresiemu, jego urokowi osobistemu i elokwencji.

Jedynym przegranym był Hollis Macintyre. Po roku sprawowania rządów, administracja prezydenta Tuckera funkcjonowała sprawnie. Teresi zdobywał sobie z każdym dniem coraz większą popularność. Za trzy lata Tucker znowu będzie kandydował i wygra wybory, a cztery lata później nominacja przypadnie Teresiemu.

Macintyre, jeśli tego dożyje, będzie miał prawie pięćdziesiąt lat i przypadnie mu

rola starego mędrca. Król wyznaczył już swojego następcę. Sukcesja była niezagrożona, więc królotwórca przestał być potrzebny. Wypadał stopniowo z obiegu od czasu, kiedy nie zaproszono go na zaprzysiężenie prezydenta.

Macintyre uśmiechnął się i wziął ze stolika porcelanowy kubek stojący na spodeczku. Pociągnął mały łyk chłodnej aromatycznej kawy i skinął głową. Teraz, kiedy miał już osiemdziesiąt lat, mógł z czystym sumieniem wypuścić z rąk cugle władzy i zająć miejsce w annałach historii. Zamierzał uczynić to jednak na swoich warunkach. Żaden dorobkiewicz z Brooklynu nie będzie decydował o jego losie.

Rozległo się ciche pukanie i drzwi do sypialni otworzyły się. Wszedł Benjamin, lokaj, szofer i ochroniarz Macintyre'a. Zgarbiony siwowłosy Murzyn był synem służącego zatrudnionego przez Charlesa Macintyre'a. Całe życie pracował w Stoneacres. Podobnie jak jego chlebodawca, Benjamin nigdy się nie ożenił. Mieszkał w trzypokojowym apartamencie we wschodnim skrzydle domu i podlegał mu cały personel zatrudniony w majątku - gospodyni, kucharz, dwie pokojówki oraz ogrodnik.

- Dzień dobry panu - powiedział chrapliwym szeptem sędziwy lokaj.

- Dzień dobry, Benjaminie. - Macintyre skinął głową. - Czy goście już przyjechali?

- Pan Cooper zadzwonił i uprzedził, że spóźni się parę minut - odparł Benjamin. - Pan Swanbridge czeka w salonie.

- Dziękuję, Benjaminie. - Macintyre stęknął i podniósł się ciężko z fotela, wspierając się na poręczach. - Kiedy przyjedzie pan Cooper, przynieś do biblioteki kawę i sok pomarańczowy - polecił.

- Dla sekretarza stanu Swanbridge'a herbata z cytryną. Aha, i spytaj Mary, czy rogaliki są już gotowe.

- Oczywiście, sir - odparł Benjamin i skłonił się. - Czy ma pan jeszcze jakieś

życzenia?

- Nie, dziękuję, Benjaminie. Postaraj się tylko, żeby nikt nam nie przeszkadzał w rozmowie. Nie ma mnie dla nikogo.

- Tak jest, panie Macintyre. - Benjamin zniknął za drzwiami. Macintyre stanął przed lustrem od Tiffany'ego, wyprostował muszkę, po czym również opuścił sypialnię.

Zszedł na dół szerokimi schodami wyłożonymi dywanem. Przemaszerował przez główny hol, po czym skierował kroki ku otwartym drzwiom z mahoniu i szkła ołowiowego, które prowadziły do przestronnego salonu. Podobnie jak w innych „gościennych” pomieszczeniach Stoneacres, i tu podłogę pokrywały ciemnozielone płytki Greuby. Po przeciwnej stronie salonu całą ścianę zajmowały wielkie okna, sięgające od podłogi po sufit, oraz para szklanych drzwi. Za nimi widać było trawnik i oddaloną o niecałe sto metrów rzekę. Meble z wikliny oraz białego, polakierowanego kutego żelaza były częścią oryginalnego wystroju.

- Joseph - powiedział Macintyre, wchodząc do zalanego słońcem pokoju. Cieszę się, że cię widzę.

Sekretarz stanu w administracji prezydenta Geoffreya Tuckera odwrócił się od okna i podszedł do Macintyre'a z wyciągniętą ręką. Były wysokim, łysym mężczyzną, o wyglądzie profesora. W ustach miał cygaro. Joseph Saxon Swanbridge wyglądał nie najlepiej, jak na swoje sześćdziesiąt osiem lat. Oczy głęboko osadzone i napuchnięte, były schowane za staromodnymi drucianymi okularami. Jego skóra miała niezdrowy odcień, a artretyzm powykrzywiał usiane brązowymi plamkami dłonie. Za dużo pił, palił i za ciężko pracował. Wciąż pozostawał jednym z najbardziej tęgich umysłów w kraju. Oprócz Macintyre'a, z członków komitetu Romulus, tylko Swanbridge znał wszystkie szczegóły dotyczące choroby prezydenta.

- Zgaduję, że Hudson jeszcze się nie zjawił - powiedział Swanbridge, nie wyjmując z ust cygara.

- Zgadłeś - odparł Macintyre. Ujął Swanbridge'a za łokieć i poprowadził go w stronę drzwi prowadzących do holu. - Zanim przyjedzie, możesz napić się herbaty w bibliotece.

Biblioteka mieściła się w sporym pomieszczeniu na lewo od głównego wejścia do domu. Trzy ściany zastawione były wszelkiego rodzaju książkami. Wiele z nich było w skórzanej oprawie. W kącie stało biurko w stylu Hepplewhite, obok niego spoczywała duża szklana kula. Po przeciwnej stronie znajdował się egipski, marmurowy czarno-złoty kominek, połyskujący w łagodnym sufitowym oświetleniu. Podłoga, podobnie jak w sypialni Macintyre'a, wyłożona była dębową posadzką i przykryta orientalnymi kilimami. Na środku pomieszczenia, wokół dużego stołu z prążkowanego zielonego włoskiego marmuru, stały małe kanapy i wygodne krzesła.

Gospodarz wszedł do dużego, wygodnego pokoju i zasiadł na jednym z obitych krzeseł. Patrzył, jak Swanbridge powolnym krokiem spaceruje po bibliotece i przygląda się grzbietom książek. Od czasu do czasu brał do ręki jakieś błyskotki poustawiane na stolikach. Zajęło mu to trochę czasu, ale w końcu, niczym niezgrabny, łysy owad, zajął miejsce na małej sofie, po drugiej stronie stołu.

Po kilku minutach przyszedł Benjamin, pchając przed sobą wózek z poczęstunkiem.

Na stole pojawiły się rogaliki, konfitury, masło, dzbanek z sokiem pomarańczowym, kryształowe pucharki, kawa i herbata, śmietanka, mleko, cukier, salaterka pełna plasterków cytryny, filiżanki oraz talerzyki. Lokaj skinął głową do Macintyre'a, odwrócił wózek i wyszedł. Zanim znalazł się za drzwiami, Swanbridge już nalał sobie herbaty i zajął się smarowaniem rogalika masłem. Macintyre tylko na niego patrzył. Podobnie jak wielu ludzi ze sporą nadwagą, nie lubił jeść. Lubił za to obserwować, jak robią to inni. Przez jego usta

przewiął się uśmiech, kiedy okruchy zaczęły lądować na wymiętym garniturze sekretarza stanu. Nieskrępowany wymogami protokołu obowiązującego na oficjalnych przyjęciach, Swanbridge był typowym flejtuchem.

- Miałeś kilka dni, żeby przyswoić sobie informacje dotyczące stanu zdrowia prezydenta - powiedział Macintyre, kiedy sekretarz stanu przystąpił do smarowania drugiego rogalika. - Czy wyciągnąłeś jakieś wnioski?

- Wnioski? Na jaki temat? - spytał Swanbridge. Włożył do ust drugą połówkę rogalika i zaczął żuć, wpatrując się pustym wzrokiem w Macintyre'a. Napił się herbaty, po czym odstawił filiżankę.

- Z zebranych przez ciebie informacji wynika, że prezydent cierpi na zwyrodnieniową chorobę mózgu, jakież więc wnioski mam z tego wyciągnąć? Albo jest chory, albo nie.

- Joseph, szkoda czasu na jałowe dywagacje. - Macintyre westchnął. - Unikasz odpowiedzi na moje pytanie. Geoffrey Tucker zapadł na chorobę Creutzfeldta-Jakoba. Wiemy, że nie ma dla niego ratunku. Istnieje niebezpieczeństwo, że zanim umrze, straci kontakt z rzeczywistością i narobi wiele szkód. Musimy z tym coś zrobić.

- Teraz to ty tracisz czas - odparł zimno Swanbridge. - Wiesz o wszystkim od tygodnia. Informacje uzyskałeś od Hudsona Coopera. Dziwnym trafem, nie tak dawno w wypadku na łodzi zginął lekarz prezydenta, na co dzień zatrudniony w szpitalu Waltera Reeda. Potem zwołałeś to spotkanie.

Swanbridge upuścił resztki rogalika na talerz i rozsiadł się wygodnie. Wyciągnął z kieszeni cygaro, odwinął je z folii, odciął końcówkę i zapalił. Zapałkę wrzucił do spodka. Zaciągnął się i spojrzał przez dym na Macintyre'a.

- Tak naprawdę nie zależy ci na mojej opinii na żaden temat, Hollis - powiedział wreszcie. - Ty i Hudson coś knujecie i chcecie, żebym się do was przyłączył.



Macintyre uśmiechnął się. Agenci Tajnej Służby nie bez kozery nazywali

Swanbridge'a „Dziadkiem do orzechów”. Joseph Swanbridge, najbardziej twardy i nieustępliwy sekretarz stanu od czasów Johna Fostera Dullesa, nabierał doświadczenia politycznego pełniąc funkcję wicedyrektora instytutu Hudson finansowanego przez Rand Corporation\*.[\* Jedna z najbardziej prestiżowych amerykańskich instytucji naukowo-badawczych.] Pracował tam ze słynnym Hermanem Kahnem. Następnie przez trzy lata był ambasadorem USA w Związku Radzieckim. Przed otrzymaniem nominacji na stanowisko sekretarza stanu, zajmował stanowisko dziekana Instytutu Studiów Strategicznych w Georgetown. Hollis Macintyre nie znał nikogo, kto zmysłem politycznym dorównywałby temu człowiekowi

- Powiedziałbym raczej, że na wszelki wypadek opracowaliśmy pewien plan odparł tęgi starzec. - Stoimy w obliczu poważnego kryzysu politycznego, który dotknie również ciebie.

- Jeśli prezydent nie może wypełniać swoich obowiązków, należy postąpić zgodnie z zaleceniami ustępu czwartego\* [\* W razie niemożliwości dalszego sprawowania urzędu przez prezydenta, jego obowiązki przejmuje wiceprezydent (przyp tłum.).] - stwierdził Swanbridge. Trzeba odnieść się do odpowiednich sformułowań zawartych w dwudziestej piątej poprawce do Konstytucji Stanów Zjednoczonych.

- To doprowadziłoby do rozdarcia naszego kraju - powiedział beznamiętnie

Macintyre. - Ustęp czwarty to placebo, Joseph, wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Na papierze wygląda doskonale, ale wprowadzenie go w życie jest praktycznie niemożliwe.

- Zdaję sobie sprawę, że byłoby z tym sporo problemów. - Swanbridge skinął głową i strząsnął popiół na spodek. - Teresi musiałby uzyskać zgodę całego gabinetu, a potem złożyć wniosek na ręce przewodniczącego Izby Reprezentantów i przewodniczącego Senatu. Gdyby

Tucker zechciał bronić swojej pozycji, mógłby zażądać głosowania w obu izbach.

- Miałyby na to czterdzieści osiem godzin, gdyby trwała sesja Kongresu zauważył Macintyre. - W innym wypadku, dwadzieścia jeden dni. Zapewne wiesz, że właśnie mamy letnią przerwę w obradach.

- To prawda. - Swanbridge skinął głową. - Nawet bez głosowania, zastosowanie ustępu czwartego mogłoby doprowadzić do uruchomienia ciągnącego się w nieskończoność procesu, a i to pod warunkiem uzyskania zgody pana Teresiego.

- Co jest mało prawdopodobne - burknął Macintyre. - Nawet gdyby się udało, trzeba pamiętać, że wtedy on zostałby prezydentem.

- Nie da się ukryć. - Swanbridge pokiwał głową i zaciągnął się cygarem. W zamyśleniu potarł dłonią łysinę, jakby ją polerował.

- Bez względu na to, do czego doprowadziłoby zastosowanie ustępu czwartego, obawiam się, że objęcie prezydentury przez pana Teresiego miałyby katastrofalne konsekwencje.

- Media go uwielbiają, ale narobił sobie wrogów na Wall Street - powiedział Macintyre. - Wszyscy wojskowi dostawcy z Beltway trzęsą portkami na jego widok.

- Gdyby Vincent Teresi został prezydentem, bez wątpienia stracilibyśmy wielu przyjaciół - stwierdził Swanbridge.

- Nie tylko przyjaciół - poprawił go Macintyre. - Stracilibyśmy wszystko.

- Domyślam się, że teraz przedstawiś mi swój plan - powiedział Swanbridge. - Jak sądzę, rozważyłeś kilka wariantów.

- Oczywiście. - Macintyre skinął głową. - Kilka. - Odkaszlnął, po czym dyskretnie rozpędził ręką dym z cygara Swanbridge'a. - Najbardziej oczywiste jest zarazem najmniej korzystne. Siedzimy po prostu z założonymi rękami i czekamy, aż natura zrobi swoje. W tym

wypadku sprawa jest prosta. Teresi zostaje prezydentem i wybiera kogoś na stanowisko wiceprezydenta, podobnie jak to było, kiedy Ford zajął miejsce Nixona.

- A ja w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin dostaję dymisję - wtrącił Swanbridge i uśmiechnął się, nie wyjmując cygara z ust.

- Podobnie jak pozostali członkowie gabinetu Tuckera - zauważył Macintyre. - W miejsce umiarkowanie konserwatywnej i rozsądnej administracji, nastąpiłyby rządy postępowego chaosu.

- Nie o to chodzi - powiedział Swanbridge, kręcąc głową. - Sedno sprawy tkwi w tym, że Vincent Teresi uważa siebie za drugie wcielenie Jacka Kennedy'ego. Niestety, nim nie jest. Nie ma najmniejszego pojęcia o prowadzeniu polityki zagranicznej, a o myśleniu strategicznym nie wie nic. Owszem, cechuje go duży urok osobisty i jest pełen zapału. Rozwagi jednak nie należy się po nim spodziewać. Ma zbyt wiele słabych punktów.

Odrzucamy wariant pierwszy. Co dalej?

- Brudzimy pieluchę Teresiego i wywlekamy na światło dzienne jakiś skandal, autentyczny albo i nie - powiedział Macintyre. - Hudson opracował kilka scenariuszy.

- Z twojego tonu wnioskuję, że te scenariusze nie nadają się do wprowadzenia w życie - zauważył Swanbridge.

Macintyre wzruszył ramionami.

- Nie chodziło o scenariusze, tylko o ich następstwa. Najpierw Tucker umiera na zwyrodnieniową chorobę mózgu. Potem wiceprezydent ustępuje w atmosferze skandalu. Indeks Dow Jones sięgnąłby dna. Przez następne sto lat nie udałoby się wprowadzić do Białego Domu żadnego z naszych ludzi. Byłoby to politycznym samobójstwem partii.

- A wariant trzeci? - spytał Swanbridge.

- Trzeci i ostatni - powiedział Macintyre. - Jednoczesna śmierć prezydenta Tuckera i

Vincenta Teresiego.

- Wypadek? - Swanbridge nie wydawał się zaskoczony.

- Myśleliśmy o tym. - Macintyre skinął głową. - Najbardziej realistyczny plan zakładał katastrofę samolotu prezydenta. Hudson jest jednak zdania, że kwestie logistyczne i prawdopodobieństwo wykrycia spisku wykluczają tę możliwość.

- Co więc pozostaje?

- Zabójstwo - odparł zimno Macintyre.

- Brzydkie słowo. - Cygaro Swanbridge'a zgasło w trakcie rozmowy. Sekretarz stanu strząsnął zimny popiół do filiżanki i zapalił je na nowo. - Paskudny czyn, nawet w czysto teoretycznych rozważaniach.

- Zgadzam się - powiedział Macintyre. - Mimo to, czasem da się go uzasadnić potrzebą wyższego rzędu.

- W republice bananowej, owszem - odparł Swanbridge i wzruszył ramionami. - W tym kraju coś takiego zawsze prowadziło do tragedii i chaosu.

- To prawda - stwierdził Macintyre. - Od czasów Andrew Jacksona do Ronalda Reagana mieliśmy jednaście zabójstw i zamachów na życie prezydentów. Człowiek, który chciał zabić Jacksona, był niezrównoważonym psychicznie malarzem pokojowym, John Hinckley, Jr.\* [\* W 1981 roku dokonał zamachu na Ronalda Reagana (przyp. tłum.).] miał także problemy z psychiką i dzięki temu uniknął skazania. Nawet dwaj Portorykańczycy, którzy dokonali zamachu na Trumana, byli chorzy umysłowo.

- Do rzeczy Hollis - westchnął Swanbridge.

- Chodzi mi o to, że powody, dla których szaleniec strzela do prezydenta, najczęściej znane są tylko szaleńcowi. Sam czyn nie gra roli. Powoduje tylko zakłócenie pewnego porządku.

- Chcesz przez to powiedzieć, że twój plan polega na czym innym? - spytał

Swanbridge. Nie próbował ukryć sceptycyzmu.

- Nie tyle mój, co Hudsona Coopera - odparł Macintyre.

Sekretarz stanu wybuchnął śmiechem.

- Boże jedyny, Hollis! Nie za wcześnie, żeby zrzucać winę na innych? Póki co, wygląda na to, że ten tajemniczy plan tkwi jeszcze w sferze pobożnych życzeń.

- Obawiam się, że jest już wprowadzany w życie - powiedział Macintyre. - I czy chcesz tego, czy nie, ciebie też dotyczy. Jack Reynolds jest przewodniczącym Izby; ma siedemdziesiąt trzy lata i stymulator serca. Charles Whittaker jest przewodniczącym Senatu. Dwa razy chorował na raka. Jest niemal pewne, że ani jeden, ani drugi z powodów zdrowotnych nie zechce objąć funkcji prezydenta.

- Innymi słowy, to stanowisko przypadłoby mnie?

- Zgodnie z Aktem Sukcesji z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku, ty jesteś następny w kolejności. - To była marchewka, która miała sprawić, że Swanbridge zgodzi się na użycie kija.

- Rozumiem. - Swanbridge zawiesił głos i popadł w zadumę. - Powiedziałeś, że plan jest wprowadzany w życie. Mniemamy, że miałeś na myśli tragiczny wypadek doktora Barrona?

- Tak.

- To robota Hudsona?

- Tak.

- Mam co do niego pewne wątpliwości - wycedził Swanbridge, po czym wrzucił wypalone cygaro do fusów po herbacie. - Ostatnio okazuje coś, co określiłbym niezdrową obsesją na punkcie żony.

- Jego żona nie żyje, Joseph - odparł Macintyre.

- No właśnie - burknął Swanbridge.

Macintyre puścił tę uwagę mimo uszu.

- Hudson będzie tu za chwilę. Opowie ci o szczegółach planu i wtedy będziesz mógł ocenić szansę jego powodzenia. Osobiście uważam, że to, co on proponuje, jest dość sprytnie.

Swanbridge prychnął i włożył rękę do kieszeni marynarki.

- Za dużo sprytu prowadzi do zguby - powiedział i wyciągnął kolejne cygaro.

- Dobry Boże, Joseph! - roześmiał się Macintyre. - Czy to przysłowie?

- Przestroga - odparł Swanbridge, po czym włożył cygaro do ust.

## Rozdział 7

Generał Władimir Arkadiewicz Gurenko, główny rezydent KGB na Amerykę

Północną, stał w oknie swojego gabinetu na poddaszu ambasady radzieckiej na Mount Alto.

Patrzył na rozciągającą się przed nim panoramę centrum Waszyngtonu. Na wprost, w

odległości niecałego kilometra, widać było dach domu wiceprezydenta, który stał na terenie

Obserwatorium Marynarki Wojennej. Półtora kilometra dalej, po prawej stronie, na tle nieba

odcinał się Biały Dom i budynek Kapitolu.

Gurenko, szczupły i ciemnowłosy mężczyzna po pięćdziesiątce, ciężko zapracował na

swoją pozycję. Nie chciał, jak inni, załatwiać sobie awansu na lewo, za pomocą łapówek, czy

tajnych list nomenklatury. Dzięki temu, że wybierał najtrudniejsze i najbardziej niebezpieczne

zadania - miał za sobą służbę w Kambodży, na Kubie i w Afganistanie. Szybko przeskoczył

swoich mniej ambitnych współpracowników. Cierpliwie piął się po szczeblach władzy, by

wreszcie zdobyć upragnioną nagrodę - stanowisko szefa waszyngtońskiej komórki KGB.

Odkąd Europa Środkowa w następstwie „porządków” z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego

dziewiątego roku pogrążyła się w gospodarczym i politycznym chaosie, Waszyngton stał się

ważniejszy niż kiedykolwiek. Czy Amerykanie tego chcieli, czy nie, musieli przeprowadzić pewne zmiany, zwłaszcza w kwestii wydatków na zbrojenia. W wyniku „rewolucji” Gorbaczowa sytuacja wewnętrzna w ZSRR była niezwykle napięta. Jego polityka zagraniczna doprowadziła zaś do tego, że Stany Zjednoczone zostały jedynym mocarstwem zdolnym stawić czoło wielu dotąd nie rozwiązany problemom. Kierowanie komórką KGB w Waszyngtonie wymagało niezwyklej zręczności. W tych czasach trudno było powiedzieć, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Wszystkim to utrudniało życie.

Po przejściu stanowiska od swojego poprzednika, który półtora roku temu przeszedł na emeryturę, Gurenko postąpił rozsądnie, choć niezgodnie z tradycją KGB. Nikogo nie zwolnił ani nie przeniósł na inną placówkę. Zamiast tego, starał się dobrze poznać swoich współpracowników. Chciał zawiązać nowe przymierza i przyjaźnie, a zarazem możliwie najlepiej wypełniać swoje obowiązki. Wyglądało na to, że jego podejście odniosło pożądany efekt. Raporty przesłane do Moskwy przez zastępcę Gurenki, Walentyna Iwaszutina, zawierały głównie pochwały.

Gurenko odpowiadał tylko przed jednym człowiekiem, Siergiejem Julewiczem Kuriochinem, dyrektorem pierwszego departamentu Pierwszego Zarządu Głównego. Była to komórka KGB nadzorująca rezydentury wywiadu radzieckiego w Waszyngtonie, Nowym Jorku, San Francisco i Ottawie. Zajmowała się także koordynacją operacji prowadzonych przeciwko Stanom Zjednoczonym przez wywiady krajów Europy Wschodniej, a także Kuby. Mimo doskonale rozegranej sprawy Jurczenki, pierwszy departament wciąż stał na niepewnym politycznie gruncie. Kuriochin wydawał się zadowolony, że Gurenko stara się zaprowadzić u siebie porządek. Szef waszyngtońskiej komórki ze swojej strony czynił wszystko, żeby utwierdzić przełożonego w tym przekonaniu. Właśnie dlatego tak wzburzył go raport, który tego ranka przekazał mu Jurij Sidorow, szef Wydziału Technicznego.

- No i? - spytał Gurenko, odwracając się od okna. - Co o tym sądzisz? - Na tapczanie po drugiej stronie niskiego pokoju siedział Walentyn Iwaszutin i przeglądał raporty Sidorowa. Dokument składał się z trzydziestu stron i zawierał transkrypty kilku rozmów telefonicznych.

- Wygląda na to, że towarzysz Trawkin przekracza swoje uprawnienia - odparł zastępca Gurenki.

Iwaszutin był szczupły i wyższy od swojego szefa. Miał czarne, nieco przerzedzone włosy. Inni pracownicy ambasady nazywali go „Hieną”. Przewisko to doskonale do niego pasowało.

Gurenko przemaszerował przez pokój i usiadł w fotelu naprzeciw Iwaszutina. Między nimi znajdował się niski, dokładnie wypolerowany stół z drewna brzoźowego. Stał na jaskrawym afgańskim „wojennym” kilimie, przedstawiającym dla Gurenki dużą wartość sentymentalną. Był on bowiem pamiątką jego dwuletniego pobytu w Kabulu. Na kilimie wyhaftowane były czołgi, działa przeciwlotnicze, helikoptery i żołnierze. Ci z czerwonymi twarzami przedstawiali Rosjan, a żółci partyzantów afgańskich. Oczywiście, górą byli Afgańczycy. Anonimowy artysta nie zapomniał nawet o wyszyciu kul, wylatujących z luf karabinów trzymanyh przez dzielnych bojowników. Gurenko i jego koledzy tworzyli podobne dzieła na okładkach zeszytów w szkole.

- Warto się tym zająć? - spytał Gurenko, machnąwszy rękaw stronę raportu.

- Major Trawkin, jako oficer GRU, powinien interesować się głównie sprawami leżącymi w gestii wywiadu wojskowego. Tymczasem odbył już dwa spotkania z tym urzędnikiem ze szpitala imienia Waltera Reeda. Jak pan wie, zgodnie ze standardową procedurą, prowadziliśmy dyskretną obserwację majora. Za drugim razem udało nam się zdobyć lepsze informacje.

- Numer telefonu? - spytał Gurenko, znów wskazując raport.



Iwaszutin skinął głową.

- Tak.

- Który okazał się numerem Hudsona Coopera?

- Tak. Był zastrzeżony, ale nie mieliśmy kłopotów z jego zdobyciem.

- Towarzysz Trawkin zapewne zrobił to samo.

- Bez wątpienia - powiedział Iwaszutin. - Zapewne ma w telekomunikacji tak dobre znajomości, jak my.

- O ile nie lepsze. - Gurenko pokiwał głową.

Iwaszutin się uśmiechnął. Zrozumiał w lot aluzję swojego szefa. GRU było znane z tego, że nie skąpi pieniędzy dla swoich informatorów i agentów.

- Interesująca zagadka - powiedział Iwaszutin i rzucił raport na stół. Nie dodał nic więcej w oczekiwaniu, że Gurenko sam wyciągnie narzucające się wnioski.

- Czy Cooper przechodzi badania okresowe w szpitalu Waltera Reeda? - spytał rezydent KGB.

Zastępca skinął głową.

- Tak. Jego lekarz nazywa się Weinstein.

- Możemy przyjąć, że towarzysz Trawkin wie na temat stanu zdrowia pana Coopera coś, czego my nie wiemy - myślał głośno Gurenko. Intrygująca sprawa. Choć zdarzały się odstępstwa od tej reguły. Szefowie CIA generalnie zawdzięczali swoją pozycję politycznym intrygom, a nie doświadczeniu w pracy wywiadowczej. Ostatnim prawdziwym fachowcem na tym stanowisku był William Colby. Z drugiej strony, wicedyrektorzy skupiali w swoich rękach olbrzymią władzę, a Hudson Cooper, jako zastępca do spraw operacyjnych, był z nich wszystkich najbardziej wpływowy.

- Ciekaw jestem... - mruknął Gurenko.

- Osień? - spytał Iwaszutin po rosyjsku.

- Przyszło mi to do głowy, owszem. - Gurenko skinął głową. Podniósł się i z rękami

założonymi z tyłu podszedł do okna. Dla Gurenki, Iwaszutina i kilku innych

wtajemniczonych oficerów KGB stacjonujących za granicą, słowo Osień nie kojarzyło się tylko z porą roku. Był to bowiem kryptonim legendarnego już „tasiemca” KGB, czyli kreta, agenta działającego w szeregach CIA.

Główny rezydent nie wiedział o nim praktycznie nic. Człowiek ten prawdopodobnie zajmował wysokie stanowisko w agencji. Gurenko nie miał nawet pojęcia, kto jest oficerem prowadzącym „Osina”. Podejrzenia budziło zachowanie pewnego kuriera dyplomatycznego, którego przysłał sam Kuriochin. Zjawiał się on w ambasadzie bez zapowiedzi i przywoził pocztę. Potem znikał na dwadzieścia cztery godziny i wracał tylko po to, żeby zabrać przesyłki do Związku Radzieckiego.

Pół roku temu, kiedy Gurenko wziął krótki urlop, żeby pojechać na pogrzeb matki,

jego podejrzenia się potwierdziły. W czasie suto zakrapianej wódką rozmowy, Kuriochin,

nieco już podpity, podziękował mu za to, że podczas wizyt kuriera „Osina” zachowywał się

tak dyskretnie. Sam fakt, że przełożony wymienił kryptonim tego agenta, stanowił

komplement i dowód zaufania. Gurenko mógł teraz odwdzińczyć się swojemu szefowi.

Jeśli „Osina” był wartościowym agentem, oznaczało to, że najprawdopodobniej został

ulożony w jednym z podstawionych wydziałów CIA. Najbardziej. kluczowy, a zarazem

najbardziej interesujący z punktu widzenia KGB był Wydział Operacji. Zajmował się

prowadzeniem tajnych działań, szpiegostwem oraz kontrwywiadem, co czyniło go

odpowiednikiem radzieckiego Pierwszego Zarządu Głównego.

A skoro „Osina” tam pracował, to wszelkie informacje dotyczące zdrowia człowieka

stojącego na czele tego wydziału mogły mieć ogromne znaczenie. Obserwując zalane

słońcem miasto, Gurenko nagle sobie uzmysłowił, że „Osini” może być jednym z kandydatów na następcę Hudsona Coopera. Główny rezydent w Waszyngtonie odwrócił się od okna i próbował zachować kamienną twarz. Iwaszutin był osnowoj. Należał do elity, do nomenklatury i Bóg jeden wie, dokąd trafiały jego meldunki, oprócz centrali KGB w Moskwie. Gurenko był świadom, że w sprawach politycznych powinien być nad wyraz ostrożny i musi zabezpieczyć się na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

- Powinniśmy przejrzeć akta Hudsona Coopera - powiedział wreszcie.

Iwaszutin skinął głową i wyciągnął z kieszeni marynarki mały notes, po czym zaczął w nim pisać.

- Co z Trawkinem? - mruknął.

- Pełna obserwacja. Załóżcie mu podsłuch na telefon, śledźcie jego każdy krok. Pełna dokumentacja. Niech co najmniej dwóch ludzi ma go przez cały czas na oku.

- Czy złożysz pan raport w Centrali? - spytał spokojnie Iwaszutin.

Kluczowe pytanie. „Osini” był osobistym agentem Kuriochina i jakakolwiek ingerencja w ten układ mogła przysporzyć wielu kłopotów. Ryzykownie było nawet wymieniać kryptonim tego tajemniczego agenta. Z drugiej strony, stan zdrowia Hudsona Coopera mógł mieć duże znaczenie dla dalszego bezpieczeństwa „Osina”. Gurenko zaklął cicho. Oto jak w KGB polityka przeszkadza w normalnej pracy - pomyślał.

- Napisz raport - powiedział wreszcie Gurenko, by wybrnąć z tej sytuacji. Złożysz pod nim swój podpis z mojego upoważnienia.

- Oczywiście. - Iwaszutin skinął głową. - Jak przesłać wiadomość i jakim szyfrem się posłużyć?

Wykorzystaj swój własny kod - odparł Gurenko. - Nie chcę, żeby raport dostał się w ręce ludzi z U-3. Przekazywanie informacji, kodowanie i wysyłanie sygnałów za

pośrednictwem grupy Sidorowa przypominało przekrzykiwanie się na party-line.

- Kiedy zaszyfrujesz raport, wyślij go pocztą dyplomatyczną - dodał Gurenko.

Skorzystanie z usług kuriera oznaczało, że raport trafi do Kuriochina za co najmniej trzydzieści sześć godzin. W tej chwili jednak od pośpiechu ważniejsze było bezpieczeństwo „Osina”.

- To wszystko? - spytał Iwaszutin. Podniósł się, zamknął notes i włożył go do kieszeni.

- Oczywiście. Chcę przeczytać raport, zanim go wyślesz - powiedział Gurenko.

- Tak jest.

- Chcę też, żebyś zniszczył wszystkie kopie raportu Sidorowa, z wyjątkiem tej, którą właśnie przeczytałeś - ciągnął Gurenko. - Dołączysz ją do raportu.

Rozumiem. - Iwaszutin wyszedł i zostawił szefa samego ze swoimi myślami. Gurenko zwrócił się twarzą do okna i znów ogarnął spojrzeniem skąpane w słońcu miasto.

Waszyngton, w żargonie KGB, był symbolem i centrum „Głównego Wroga”.

Oczywiście, brzmiało to głupio i równie dziecinnie jak pamiętne reganowskie „Imperium Zła”, określające Związek Radziecki. Przeciętny Amerykanin rzeczywiście żywił głębokie podejrzenia wobec Związku Radzieckiego i był szczerze przekonany, że obywatele tego kraju to bezmyślne, twardogłowe roboty. Z drugiej strony, przeciętny Rosjanin uważał Stany Zjednoczone za ojczyznę korupcji, grzechu i obrzydliwego rozpasania. Obydwie opinie były przesadzone, ale zawierały w sobie ziarno prawdy. Upadek muru berlińskiego, odejście skompromitowanych polityków i powstanie nowych, demokratycznych rządów w całej Europie Wschodniej nie przyczyniły się do wyeliminowania wzajemnej nieufności. Była w tym pewna ironia losu. Zarówno Rosjanie i Amerykanie szczycili się swoim „patriotyzmem”, a obydwa państwa zrodziły się w wyniku zbrojnego powstania. Przyczyną antagonizmu tych

dwóch mocarstw był stary i głęboko zakorzeniony lęk przed obcymi. Najpierw strzelać, potem zadawać pytania. Gurenko potrząsnął głową. On sam nie był lepszy od innych. Byli jak dzieci bawiące się niezwykle niebezpiecznymi zabawkami.

Weźmy choćby „Osina”. Agent głęboko ukryty w trzewiach Centralnej Agencji Wywiadowczej. Symbol niekompetencji i niefrasobliwości Amerykanów, a zarazem człowiek, dzięki któremu na światło dzienne wychodziła paranoja i politykierstwo panujące na wyższych szczeblach KGB. Gurenko ciężko westchnął. Za jego życia nic się nie zmieni. Jak każdy oficer wywiadu; Rosjanin, Francuz, Brytyjczyk czy Amerykanin, on też żył w świecie kłamstw, oscylującym od najczystszej bieli po najgłębszą czerń.

Rezydent KGB uśmiechnął się powracając pamięcią do zajęć w Szkole Wywiadu Zagranicznego. Znajdowała się niedaleko Moskwy, przy autostradzie Wołokołamskoje w ponurym trzypiętrowym gmazysku z cegły, ukrytym za żółtym murem zwieńczonym drutem kolczastym. Gurenko ta szkoła bardziej przypominała obóz więzienny niż instytut naukowy. To właśnie tam, na lekcjach angielskiego, poznał poezję wielkich romantyków. Największe wrażenie wywarł na nim Byron, człowiek, który poznał świat kłamstw i dawał temu wyraz w swojej twórczości: Czymże bowiem jest kłamstwo? Maskaradą prawdy tylko. Te słowa mogłyby służyć za motto KGB i CIA.

- Sztoj! - jęknął Gurenko ze smutkiem. Dobrze, że „Hiena” nie potrafił czytać w myślach, bo wtedy on byłby już w drodze do oddziału psychiatrycznego więzienia Lefortowo. Rezydent podniósł do oczu lornetkę i skierował ją w stronę dachu Białego Domu. W czasie rządów Cartera i Reagana przeprowadzona została gruntowna renowacja drugiego piętra, czyli strychu. W ciepłe dni widział na dachu solarium opalających się ludzi. Dzisiaj był tam tylko agent Tajnej Służby w przepoconym podkoszulku. Siedział na krzeselku ustawionym pod smętnie zwieszoną flagą Stanów Zjednoczonych.

Gurenko ostrożnie odłożył lornetkę na parapet. Bezcelowe podglądanie innych, podobnie jak poezja Byrona, nie mogły się przysłużyć sprawie radzieckiego wywiadu. Poza tym, miał dużo roboty. Odwrócił się od okna, podszedł do biurka i usiadł. Podsunął do siebie popielniczkę, a potem wyjął z szuflady paczkę opali i zapalniczkę. Następnie poprosił sekretarkę, by zaparzyła mu kawy i zabrał się do przeglądania stosu tygodniowych raportów finansowych. Po kilku minutach, całkowicie pochłonięty sumowaniem liczb, zapomniał o Trawkinie.

Podczas gdy Władimir Gurenko z KGB próbował dojść do ładu z wyśrubowanymi wydatkami swoich podległych oficerów, Dmitrij Trawkin z GRU siedział przy komputerze w Radzieckim Biurze Wojskowym na Belmont Street. Podobnie jak jego rodacy z ambasady, próbował rozwiązać zagadkę.

Komputerem, z którego korzystał, był przedpotopowy Zenit, podłączony do równie archaicznego systemu głównego, znajdującego się w piwnicy. Mimo że regularnie sprawdzano czy nikt nie próbuje włamać się do systemu, a ściany powleczone miedzią chroniły przed elektronicznym podsłuchem, to Trawkin i tak czuł się nieswojo, kiedy na ekranie pojawiały się ściśle tajne informacje.

Trawkin próbował powiązać ze sobą kilka wydarzeń. Miał wrażenie, że szuka igły w stogu siana. Pomrukując gniewnie pod nosem, wyprostował się, przeciągnął i zapalił papierosa. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Za gabinet służyła mu ciasna klitka, na dodatek wypełniona szafkami na dokumenty i pudłami z archiwum, pnącymi się niemal do samego sufitu. Dobrze, że było tu chociaż małe okno, co prawda matowe od kurzu i sadzy, ale przepuszczało dość światła, żeby dało się odróżnić noc od dnia.

- Cholera - mruknął, spojrzawszy na ekran. Przez ostatnie trzy dni niemal cały swój czas poświęcał materiałom otrzymanym od Scanlona i Kozłowa zawracał mu głowę, żeby zajął

się czymś bardziej pożytecznym. Jako zastępca rezydenta, Trawkin był odpowiedzialny za wszystkich oficerów operacyjnych w Waszyngtonie i Nowym Jorku. Kierował pracą ekspertów i przeglądał materiały, które opracowywali przed wysłaniem do Moskwy. Prowadził nadzór nad różnymi nielegalnie przebywającymi w kraju agentami i ich oficerami prowadzącymi.

Trawkin, przeglądając skąpe dossier, jakie udało mu się skompletować, znowu zaklął. Być może Kozłow miał rację; z tych materiałów niewiele wynikało. Trawkinowi na początku wydawało się, że wpadł na trop jakiejś poważnej sprawy. Im dłużej jednak patrzył na zgromadzone przez siebie informacje, tym mniej w nich widział.

Weźmy choćby sprawę Barrona. Bez większego trudu dowiedział się, że człowiek ten wcale nie był osobistym lekarzem prezydenta, tylko jednym ze specjalistów nadzorujących odbywające się co pół roku rutynowe badania głowy państwa. Lekarzem prezydenta był natomiast człowiek o nazwisku Hacker. On i jego szesnastu pomocników mieli do dyspozycji klinikę w piwnicy Białego Domu. Według informatora, od którego Trawkin uzyskał tę informację, Charlie Moorehead był kolegą prezydenta z ławy szkolnej i choć nie zrobił specjalizacji, prowadził własną praktykę.

W pierwszym odruchu Trawkin powiązał ze sobą Barrona, prezydenta oraz prośbę skierowaną do biblioteki, ale teraz nie był pewien, czy słusznie. Z tego, co wiedział, Barron zginął w wypadku na łodzi, a jego wuj chorował na Alzheimera. Wszystko dało się prosto wytłumaczyć, poza dostarczoną przez Scanlona kopią wydruku listy rozmów z telefonu w szpitalu imienia Waltera Reeda. Według niej, doktor Barron dzwonił tylko do jednej osoby z zewnątrz Hudsona Hainesa Coopera, zastępcy dyrektora CIA do spraw operacyjnych. Barron z całą pewnością nie był jego lekarzem.

Trawkin, aby dowiedzieć się czegoś więcej, spotkał się z jednym ze swoich

informatorów w firmie telekomunikacyjnej. Był nim projektant systemów - niejaki Zaricki.

Był on święcie przekonany, że Trawkin jest nadużywającym alkohol zachodniemieckim dziennikarzem, który ma więcej pieniędzy niż pomysłu. Zastępca rezydenta GRU nie zamierzał wyprowadzać go z błędu i dobrze płacił za każdą przysługę.

Na prośbę Trawkina, dodatkowo umotywowany widokiem koperty z pięcioma banknotami studolarowymi, Zaricki poświęcił kilka godzin, by podążać przez labirynt systemu bilingowego tropem numeru Hudsona Coopera. Podobnie jak Scanlon i on osiągnął sukces. Natrafił bowiem na pewien zastrzeżony numer telefonu z Wirginii. Zaricki odnalazł nazwisko abonenta za pośrednictwem biura bilingowego. Był nim niejaki Hollis Crandall Macintyre z Woodbridge w Wirginii. Zarickiemu nazwisko to nic nie mówiło, ale Trawkin miał kolejny twardy orzech do zgryzienia. Co mogło łączyć wojskowego lekarza, zastępcę dyrektora CIA i starego, zgryźliwego polityka, jakim był Macintyre? To wszystko wydawało się bez sensu, niemniej jakieś powiązanie musiało istnieć.

O osiemnastej piętnaście Barron zadzwonił z prośbą o informacje dotyczące choroby Creutzfeldta-Jakoba i powiązanej z nią demencji. O dwudziestej trzydzieści skontaktował się z Hudsonem Cooperem. Ten z kolei o dwudziestej drugiej piętnaście zadzwonił do Hollisa Macintyre'a. Rozmowa Barrona z Cooperem trwała minutę i siedemnaście sekund, natomiast rozmowa Coopera z Macintyre'em dwadzieścia dwie sekundy. Nie minęły dwadzieścia cztery godziny, a doktor John Barron już nie żył.

Trawkin westchnął. Instykt podpowiadał mu, że tych trzech ludzi coś ze sobą łączy, ale musiał znaleźć na to niezbite dowody. Bez nich Kozłowski nie pozwoli mu na dalsze zajmowanie się tą sprawą.

Być może informacje na temat choroby Creutzfeldta-Jakoba były Barronowi potrzebne do artykułu, który pisał. Z kolei jego rozmowa z Cooperem mogła mieć charakter



czysto towarzyski, podobnie jak telefon Coopera do Macintyre'a. W tym wszystkim nie było nic podejrzanego, poza zapewnieniem Scanlona, że ktoś majstrował przy rejestrze próśb w szpitalu imienia Waltera Reeda. Jego zeznania jednak nie wystarczą.

Zadzwoił telefon stojący przy terminalu komputerowym. Trawkin podniósł słuchawkę. Zgłosił się Gregor Sawin, oficer operacyjny, który miał za zadanie obserwować Hudsona Coopera. Jak dotąd Cooper nie uczynił nic niezwykłego.

- Tak, Sawin?

- Mam transmisję.

- Chwileczkę - odparł Trawkin. Podobnie jak wszystkie inne organizacje

wywiadowcze działające w Waszyngtonie, GRU znała wiele najprzeróżniejszych sposobów na zabezpieczenie połączeń radiowych, telefonicznych oraz transmisji mikrofalowych. Przy cichej zgodzie Kozłowa, Trawkin sprowadził dla swoich ludzi wyprodukowane w Szwecji urządzenie kodujące o nazwie Transfertex SR22. Wystarczyło podłączyć je do zwyczajnego telefonu i wystukać na dziewięciocyfrowej klawiaturze odpowiednie, zmieniane co tydzień, numery. Trawkin uczynił to, po czym ponownie podniósł słuchawkę.

- Sawin?

- Tak. Cały czas tu jestem.

- Dobrze. Mów - popędził go Trawkin.

- Hudson Cooper i jego asystent...

- Mallory?

- Tak. Pół godziny temu przyjechali na lotnisko Dulles. Cooper skierował się do

salonu dla VIP-ów czekających na lot zagraniczny, a Mallory poszedł do kasy American

Airlines. Wysłałem Lowczikowa, żeby stanął za nim w kolejce. Okazało się, że Mallory kupił

dwa bilety w pierwszej klasie na Barbados. Samolot odlatuje za dziesięć minut. Lowczikow

obserwuje wyjście, żeby się upewnić, czy naprawdę wejdą na pokład.

- Posługują się prawdziwymi nazwiskami? - spytał Trawkin.

- Nie - odparł Sawin. - Cooper figuruje w spisie pasażerów jako John Barnes. Mallory natomiast jako Thomas Akroyd.

- W porządku Sawin, dobra robota - powiedział Trawkin. - Zostań na lotnisku, dopóki samolot nie odleci. Potem natychmiast wracaj.

- Dobrze. - Sawin przerwał połączenie i w słuchawce rozległ się elektroniczny hałas.

Trawkin odłączył Transfertex. Rozsiadł się wygodniej na krześle i podrapał w zamyśleniu po brodzie. Jeszcze jedna zagadka, która wreszcie powinna pobudzić wyobraźnię Kozłowa. Było mało prawdopodobne, by Cooper jechał na Barbados w towarzystwie Mallory'ego pod fałszywym nazwiskiem w celach czysto rekreacyjnych. Co więcej, nie zdarzało się, by człowiek na tak wysokim stanowisku osobiście uczestniczył w operacji. Zatem, działo się coś dziwnego, równie dziwnego jak rozmowa telefoniczna Barrona z Cooperem. Trawkin pokiwał głową, po czym podniósł słuchawkę i wykręcił trzycyfrowy numer wewnętrzny.

- Dział dokumentów, mówi porucznik Kapalkin.

- Tu pułkownik Trawkin.

- Co mogę dla pana zrobić, pułkowniku?

- Potrzebne mi są nowe dokumenty. - Trawkin wytarł wilgotną dłoń w spodnie. Oby Kozłow wyciągnął takie same wnioski, jak ja - pomyślał.

- Oczywiście, pułkowniku! Czy ma pan jakieś szczególne życzenia?

- Szwajcarski paszport? - zaproponował Trawkin. Mówił dobrą angielszczyzną, ale z akcentem, który pozwalał rozpoznać w nim cudzoziemca. - I wizy: amerykańską i brytyjską, kilka kart kredytowych i do tego trochę śmieci.

- Czy karty muszą być ważne? - spytał Kapalkin.

- Nie - odparł Trawkin. - Będę płacił gotówką.

- To dobrze - powiedział ciepło porucznik. - Szybciej się ze wszystkim uwiniemy, pułkowniku.

- Chcę mieć te papiery na czwartą - stwierdził Trawkin, spoglądając na zegarek. Była już pierwsza trzydzieści.

- W porządku - odparł oficer. - Mamy pańskie zdjęcia w aktach. To potrwa godzinę, no może trochę dłużej.

- Dział Dokumentów w Radzieckim Biurze Wojskowym stanowił zagraniczny oddział Pierwszego Departamentu GRU i posiadał dostęp do gigantycznej bazy danych dotyczących przepisów paszportowych, dowodów tożsamości, praw jazdy, przepustek, dokumentów wojskowych, policyjnych oraz biletów na podróż lądem, morzem czy koleją.

O każdej porze, korzystając z bezpiecznego łącza satelitarne, Kapalkin znał warunki otrzymania zezwolenia na wjazd do danego kraju. Mógł dowiedzieć się, jakie dokumenty wymagane są na dowolnym przejściu granicznym na kuli ziemskiej i sprawdzić, jakich pytań należy się spodziewać ze strony służb granicznych, a także jakie pieczętki powinny widnieć w paszportach, czy innych dokumentach. Pierwszy Departament zaopatrywał też biuro Kapalkina, podobnie jak inne tego typu, w paszporty, dowody tożsamości i prawa jazdy. Trawkin podziękował oficerowi odpowiedzialnemu za dokumenty, odłożył słuchawkę i wyłączył komputer. Jego torba podręczna czekała już spakowana w apartamencie kuriera na ostatnim piętrze. Jeśli uda mu się przekonać Kozłowa co do swoich podejrzeń, może trafi na Barbados, póki trop jest jeszcze świeży.

Stephen Stone wjechał chevroletem do strefy objętej zakazem parkowania na H Street.

Wyłączył silnik i opuścił osłonę przeciwsłoneczną po stronie pasażera, odsłaniając znaczek FBI. Ubrany był w kombinezon Zakładu Budownictwa Komunalnego. Podniósł z siedzenia

kask i wcisnął go na głowę, uzupełniając kamuflaż. Następnie wziął z deski rozdzielczej notatnik i wysiadł z samochodu zamykając za sobą drzwi.

Zaczął grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu ciemnych okularów. Po chwili włożył je na nos, chroniąc oczy przed jasnymi promieniami słońca. Powietrze było gorące i wilgotne, i pot mu spływał po plecach. W tym przebraniu czuł się dość idiotycznie. Ruszył w dół H Street, minął Decatur House, by na Jackson Place skrócić w prawo. Po drugiej stronie ulicy ujrzał wyschniętą, zbrązowiałą trawę porastającą plac Lafayette'a. Od Pennsylvania Avenue i północnej części terenów okalających Biały Dom dzieliło go niecałe sto metrów.

Stone potrząsnął głową. Ciągle jeszcze nie mógł pojąć, jak to się stało, że Trawkin, wysoki rangą sowiecki agent, sprawił sobie mieszkanie tak blisko Białego Domu. Zwłaszcza biorąc pod uwagę nieprzyzwoite sumy, jakie on musiał płacić za swoją norę w wieżowcu na Szesnastej, półtora kilometra dalej na północ.

Agent FBI spojrział przed siebie. Parkować można było tylko po zachodniej stronie Jackson Place i z tego, co dało się zauważyć, nie zostało już ani jedno wolne miejsce. Stone zwolnił i zauważył wóz obserwacyjny, jasnozieloną furgonetkę z napisami: „Zakład Budownictwa Komunalnego, Waszyngton”. Kesslerowi udało się zająć idealne miejsce na południe od budynku, w którym mieszkał Trawkin.

Wąskie domy przy Jackson Place zostały wybudowane w połowie dziewiętnastego wieku. Przed rozbiórką ocalił je John F. Kennedy. Przy jego wsparciu zostały gruntownie wyremontowane, a nowsze jak ten, w którym mieszkał Trawkin, przebudowano tak, by pasowały do dziewiętnastowiecznej kubatury.

Teraz zajmowali je głównie prawnicy i lobbyści, ale kilka z nich nadal służyło za zwyczajne domy mieszkalne. Na Siedemnastej ulicy, zaraz za rzędem budynków, wznosiła się nowoczesna tylna elewacja nowej siedziby Biura Wykonawczego Prezydenta.

Stone podszedł do furgonetki od tyłu i zapukał w umówiony sposób. Odczekał kilka sekund, po czym otworzył drzwi i wkroczył do środka. Uderzyło go gorące, zgęstniałe powietrze, przeniknięte wonią potu i starych skarpet. Mort Kessler i Dofney, chojrak z Wydziału Komunikacji, siedzieli przy elektronicznym sprzęcie. Obydwaj byli rozebrani do pasa i mieli słuchawki na uszach. Wnętrze furgonetki wypełniało słabe światło, sączące się z jarzeniówki w suficie.

Na widok Stone'a Kessler zdjął słuchawki i rzucił je na konsolę. Twarz miał niemal tak czerwoną, jak włosy, a w jego oczach widać było gniew. Obrócił się na krześle. Stone zdjął kask i usiadł na ławie naprzeciwko konsoli. Przed sobą miał cztery monitory przedstawiające widok na zewnątrz furgonetki.

- To wóz obserwacyjny, dobrze mówię? - powiedział Kessler ze złością.

- Zgadza się - przytaknął Stone, usiłując zachować kamienną twarz.

- A dokładniej, jest to wóz obserwacyjny przeznaczony do użytku w Waszyngtonie, prawda?

- Święta prawda. - Stone znów kiwnął głową.

- Mamy tu najlepszy sprzęt - warknął Kessler i machnął ręką w stronę konsoli.

- Cougarret, zabezpieczenie przed podsłuchem rozmów Comsec, Scanloc na radio, Voicelok na telefony, światłowody przenoszące obraz - diabła tam, jest nawet standardowe mikrofalowe urządzenie wewnętrzne - ale na Boga, nie mamy cholernej klimatyzacji.

- Wspomnę o tym dyrektorowi Ruppeltowi. - Stone wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tak, oczywiście, a miłościwie nam panujący opowie ci o swoich problemach finansowych prychnął Kessler, po czym zapalił koola, przez co oddychanie we wnętrzu furgonetki stało się jeszcze trudniejsze.

- Zdobyłeś to? - spytał wreszcie.

„To” było zezwoleniem na założenie podsłuchu wystawionym przez Sąd Obserwacji Obcych Wywiadów. Sąd ten, niewątpliwie najmniej znany organ amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości, rozpatrywał prośby FBI oraz innych agencji federalnych o podjęcie elektronicznej obserwacji domniemanych obcych agentów. Jak dotąd, ani razu w swojej historii nie wydał decyzji odmownej.

- Oczywiście - odparł Stone i wyciągnął z kieszeni kombinezonu gruby, złożony na czworo dokument.

To dobrze. - Kessler kiwnął głową. - Zwłaszcza że już zrobiliśmy, co do nas należało. Spojrzał wyczekująco na Stone'a.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, co powiedziałem - odparł beznamiętnie Kessler. Wskazał kciukiem Dofneya.

- Chuck wszystko powkładał tam, gdzie trzeba, a ja stałem na czatach. Kiwnął głową w stronę ekranów. Na furgonetce umocowane były małe soczewki światłowodowe, co dawało obraz całej okolicy z czterech kamer podłączonych do wideo i konsoli, przed którą siedział Kessler.

Dofney wyglądał jak rugbista: nadmiernie umięśniony, ostrzyżony na jeża młokos.

Odwrócił się na krześle i obdarzył Stone'a szerokim uśmiechem.

Urządzenie radiowe w każdym pomieszczeniu - oznajmił z dumą. - I modulator częstotliwości radiowej na głównej skrzynce przyłączeniowej. Już go dostroiłem. Trawkin ma klimatyzację. W jego mieszkanku było chłodno i przyjemnie.

- Zostawił jakieś niespodzianki? - spytał Stone.

- Włos w szparze między drzwiami a framugą, talk na zamku teczki, o to panu chodzi?

- Dofney był wyraźnie zdumiony. - Coś jak na filmach z Jamesem Bondem?

- Mniej więcej. - Stone westchnął i skinął głową. Młody agent patrzył na niego jak na

pensjonariusza domu starców.

- No... nie! - powiedział wreszcie Dofney. - W ogóle robi się jeszcze takie rzeczy?

- Czasami - odparł Stone. Uznał, że czas zmienić temat. - Opisz mi jego mieszkanie.

- Mam dla pana coś lepszego. - Dofney wyszczerzył radośnie zęby i rzucił Stone'owi gruby pakiet polaroidów przewiązany gumką. - Stary Mort mówił, że przydadzą się panu.

- I miał rację - powiedział Stone i zaczął przeglądać zdjęcia, aby lepiej poznać tropioną zwierzyńcę.

Fotografie przedstawiały wnętrze dużego apartamentu: białe ściany, podłogi z twardego drewna wypolerowane do połysku i przykryte małymi orientalnymi kilimami. Za dużym oknem, znajdującym się we wnęce, widać było rzeźby stojące na placu Lafayette'a. Małą sypialnię wypełniały meble z plastyku.

Kuchnia była nowocześnie wyposażona: robot wieloczynnościowy, automat do makaronu, ekspres do kawy marki Braun. W salonie było widać wazon zasuszonych kwiatów koło kominka, kolekcję, wyglądających na zabytkowe, instrumentów strunowych, zestaw stereo z odtwarzaczem kompaktów, telewizor i jedną ścianę zasłoniętą w całości książkami. Dofney nie był jednak taki tępy, na jakiego wyglądał. Zrobił sporo zbliżeń grzbietów książek. Wyglądało na to, że Trawkina przede wszystkim interesowała historia amerykańskiego oręża. Miał poza tym kilka biografii konserwatywnych polityków, a także całą masę książek o Hollywood, głównie o komediach i komikach. Jedną z półek zajmowały zbiory dowcipów, niektóre, jak się wydawało dość stare. Z beletrystyki było tam zaledwie kilka kryminałów i thrillerów.

- Interesujące - mruknął Stone, przewiązując zdjęcia gumką.

- Wygląda na to, że towarzysz Trawkin w pełni korzysta z uroków służby na dekadentckim Zachodzie. Kessler uśmiechnął się szeroko. - Chuck mówił, że znalazł w jego

szafce kilkadziesiąt prezerwatyw.

- We wszystkich barwach i smakach - prychnął Dofney. - Ten gość to nie szpieg, tylko pies na baby.

- Nie lekceważ go, to szpieg z krwi i kości - odparł Stone. - Nie zapominaj, że ten człowiek jest zastępcą rezydenta GRU na Waszyngton, a nie ma jeszcze czterdziestki.

Podlega mu co najmniej tuzin ludzi. O tylu wiemy, a jest ich pewnie o wiele więcej. - Stone zawiesił głos i otarł rękawem kombinezonu pot z czoła.

- Założę się Dofney, że przeszukując jego mieszkanie, nie znalazłeś niczego o charakterze osobistym: żadnych notatników z adresami, listów, nawet pocztówek z domu.

Możesz być pewien, że każdego dnia przed wyjściem do pracy, Trawkin opróżnia wszystkie kieszenie. Robi to tylko, po to żeby pozbyć się wszelkich papierków, które mogłyby stanowić dowody przeciw niemu. Nie oszukuj się, agencie Dofney: Dmitrij Trawkin jest zawodowcem i to wysoce niebezpiecznym.

Dofney otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale Kessler go uprzedził.

- Mamy towarzystwo - burknął.

- Gdzie? - spytał Stone, prześlizgując spojrzeniem po monitorach.

- Kamera pierwsza, północ - odparł krótko Kessler. Wcisnął lewym palcem wskazującym guzik nagrywania, a prawym - automatyczne powiększenie. Na ekranie widać było ulicę i kilka samochodów.

- Ciemnoniebieski ford - powiedział Kessler. - DFC sześć-siedem-siedem. Kessler w zamyśleniu na chwilę przymknął oczy.

- To z kompleksu na Mount Alto, nie z biura wojskowego. Prawdopodobnie KGB.

- Co robimy? - spytał nerwowo Dofney.

- Nic - odparł Stone, nie odrywając oczu od ekranu.



- Węszą - wyjaśnił Kessler. - Przejadą tędy, potem zrobią rundkę wokół budynku.

- Nie rozumiem. - Dofney zmarszczył brwi. - Skoro oni są z KGB, to co tu robią?

- Niewiele was nauczyli w Wydziale Komunikacji, co? - Kessler zadał retoryczne pytanie. Ford zniknął z ekranu, po czym pojawił się w obiektywie kamery numer dwa, zmierzając w stronę Pennsylvania Avenue.

- To jak „Wielki Brat” i „Mały Brat” - powiedział rudowłosy agent. - KGB i GRU nie przepadają za sobą, więc patrzą sobie na ręce. Ci goście pewnie są na rutynowym patrolu.

Wielu ludzi GRU mieszka poza obrębem Mount Alto i chłopcy z KGB im zazdroszczą.

- Przecież to bez sensu. - Dofney wzruszył ramionami.

- A co, myślisz, że u nas jest inaczej? - spytał Kessler. Ford skręcił w Pennsylvania Avenue i zniknął. - CIA pilnuje DI A, a NS A ma oko na wszystkich naraz. Ten sam cyrk, tyle że my się lepiej ubieramy.

- Chyba chodzi w tym o coś więcej - roześmiał się Stone.

Kessler znacząco uniósł brew i zwrócił się z powrotem w stronę monitorów. Wcisnął guzik powiększenia w kamerze numer jeden, oczekując na ponowne pojawienie się forda, co nastąpiło minutę później.

- Oto i on - mruknął Kessler. Włączył czasomierz. W prawym dolnym rogu wszystkich czterech ekranów pokazały się wskaźniki czasu. Nie ulegało wątpliwości, że tym razem ford jechał wolniej. Kiedy minął furgonetkę, Kessler przeniósł się przed drugi monitor.

- Zatrzymują się - szepnął Stone, wpatrzony w ekran, nie zwracał uwagi na pot zbierający się pod jego oczami. W furgonetce było gorąco i duszno jak w dżungli.

Z forda wysiedli dwaj mężczyźni z małymi czarnymi torbami. Wyższy miał na sobie szorty, kwiecistą koszulę i słomkowy kapelusz. Jego towarzysz ubrany był w strój do joggingu.

- Idą na bal przebierańców, czy co? - mruknął Kessler. Gdy agenci KGB weszli na chodnik, włączył kamerę numer trzy, wymierzoną we frontowe drzwi mieszkania Trawkina. Ford, widoczny w kamerze numer dwa, odjechał. Dwaj mężczyźni pojawili się na ekranie. Zmierzali do budynku, w którym mieszkał Trawkin.

- Ten w słomkowym kapeluszu to chłopak z kontrwywiadu KGB, tzw. Linii KR.

Nazywa się Stefan Gontar - powiedział Kessler, gdy dwaj agenci weszli do budynku i zniknęli z pola widzenia.

- Tego drugiego widzę pierwszy raz w życiu.

- Pomoc techniczna? - zasugerował Stone.

Kessler skinął głową.

- Być może. - Zwrócił się do Dofneya. - Włącz dźwięk.

- Się robi - odparł Dofney. Wcisnął kilka przycisków i rozległ się słaby szum, a taśma zaczęła się kręcić. Technik, wyraźnie zaniepokojony, zwrócił się do Stone'a.

- Myśli pan, że szukają naszych pluskiew? - spytał. Stone potrząsnął przecząco głową.

- To byłby zbyt duży zbieg okoliczności - powiedział. - Wydaje mi się, że to zwyczajna międzyagencyjna rywalizacja.

- Myśli pan, że oni też zakładają mu podsłuch? - spytał Dofney.

- Prawdopodobnie. - Stone skinął głową. - Czy natrafiana twoje zabawki?

Dofney zamyślił się na chwilę, po czym uniósł swoje szerokie ramiona.

- Owszem, to możliwe, ale... nie, nie sędzę. Modulator jest dwie przecznice stąd.

- A urządzenia podsłuchowe?

- To C-Commy - odparł Dofney. - Każemy tak je preparować, żeby wyglądały jak

baterie Duracell. Prawdziwe powymowałem z alarmów przeciwpożarowych. - Umięśniony agent parsknął śmiechem. - Oby tylko nie wybuchł pożar!

Z głośnika dobiegły się ciche trzaski. Kessler włożył słuchawki, a Dofney wzmacnił dźwięk. Stone usłyszał skrzypienie drzwi, potem kroki - metalowe podkówki na drewnianej podłodze.

- Są w środku szepnął Kessler. Stone kucnął między agentami nachylonymi nad elektroniczną konsolą i zaczął nasłuchiwać. Znów usłyszał kroki i pociąganie nosem, jakby jeden z intruzów był przeziębiony, i wreszcie głosy.

- Swiejarło - coś o wiertarce - powiedział Stone, wyęzając słuch. Zaraz po tym, jak zaczął pracować w Rednecie, przeszedł czteromiesięczny kurs rosyjskiego, ale do biegłości w posługiwaniu się tym językiem jeszcze wiele mu brakowało. Po kilku sekundach do jego uszu dobiegł przenikliwy, świdrujący dźwięk.

- Wiertło - stwierdził Kessler. - Pewnie robią dziury w listwie podłogowej.

- Urządzenie radiowe? - spytał Stone, spoglądając na Dofneya.

- Nie - odparł technik. - My możemy prowadzić nasłuch z dowolnego budynku w okolicy. Oni nie mają takiej możliwości. - Dofney się zamyślił. - Pewnie MRC na jakiejś niesłyszalnej częstotliwości... bardzo wysokiej, powiedzmy trzy trzydzieści megaherców.

- To mikrofalowe, rezonujące, wnękowe urządzenie podsłuchowe, podobne do tego, dzięki któremu Sowietci wiedzieli o wszystkim, co działo się w ambasadzie amerykańskiej w Moskwie. A schowali je wewnątrz godła Stanów Zjednoczonych wiszącego nad biurkiem ambasadora.

- Czy to nie zakłóci naszych sygnałów? - spytał Stone.

- Nie. - Dofney potrząsnął głową. - Puszczą wiązkę z dachu ambasady, wychwytyjącą tylko interesujący ich zakres częstotliwości.

- Jeden z nich wychodzi - powiedział Kessler. Mężczyźni we wnętrzu furgonetki wlepili wzrok w ekran monitora. Przez dwie minuty jednak nikt się na nim nie pojawił. W

mieszkańcu Trawkina nadal słycać było odgłosy wiercenia.

- Ten drugi pewnie idzie śladem kabla telefonicznego - mruknął Dofney. Chce założyć podsłuch na skrzynce przyłączeniowej.

- No proszę, ten twój typek znalazł się w centrum uwagi - stwierdził Kessler i spojrzał znacząco na Stone'a. Agent FBI milczał. Przy Dofneyu nie mógł ujawnić żadnych szczegółów sprawy.

Rozległo się natrętnie brzęczenie. Kessler podniósł z konsoli słuchawkę bezpiecznego radiofonu. Przez kilka sekund słucał, po czym skinął głową i zwrócił się twarzą do Stone'a.

- Co?

- To Midbrook - odparł Kessler. - Siedzi pod Radzieckim Biurem Wojskowym. Mówi, że Trawkin właśnie wsiadł z torbą podręczną do lotniskowej limuzyny. Pyta, czy ma za nim jechać.

- Tak - powiedział szybko Stone - ale tylko do czasu, kiedy zorientuje się, o które lotnisko chodzi. Wtedy niech wyśle tam jednego z naszych ludzi. Tylko niech zachowają dyskrecję!

- Oczywiście. - Kessler skinął głową i zaczął mówić do słuchawki.

Stone wstał i przeszedł na drugą stronę furgonetki. Usiadł ciężko na krzeselku i zapalił papierosa. Pomyślał, że gdyby Trawkin znowu był kurierem, na pewno skorzystałby z samochodu należącego do biura wojskowego albo ambasady. Skoro wziął ze sobą torbę podręczną i nie wrócił do swojego mieszkania, oznaczało to, że się spieszył. Ale dlaczego?

Stone potrząsnął głową.

- Cóż ten gnojek knuje? - szepnął.

Rozdział 8

Garnizon Savannah, jak sama nazwa wskazuje, tor wyścigów konnych będący

własnością Barbados Turf Club, znajduje się niedaleko starego garnizonu brytyjskiego.

Wybudowano go przed osiemdziesięcioma laty, półtora kilometra od centrum Bridgetown, stolicy tego wyspiarskiego kraju. Co roku odbywają się tu dwa pełne sezony wyścigowe.

Dla gości, przywykłych do widoku nowoczesnych torów wyścigowych, Garnizon Savannah jest archaicznym paskudztwem. Rozpadająca się główna trybuna zbudowana jest z drewna, a siedzenia, oprócz tych, które znajdują się w łóżach zarezerwowanych dla członków Turf Club, są twarde i niewygodne. Nie obowiązuje tu zakaz palenia, więc istnieje duże niebezpieczeństwo pożaru. Dach przecieka w czasie deszczu, a podczas każdego wyścigu cała trybuna trzęsie się od tętentu kopyt.

Nie pomyślano też o wybudowaniu w okolicy parkingu z prawdziwego zdarzenia.

Samochody zatrzymują się więc tam, gdzie się da. Stajnie na północ od toru są obskurne, a siatka okalająca teren wybiegu dla koni przyozdobiona jest krzykliwymi, kłującymi w oczy billboardami reklamującymi wszystko od Chez Monique's do Willie's Watersports.

Paskudztwo czy nie, tor stanowi jedną z głównych atrakcji wyspy. W czasie odbywających się w soboty gonitw zwykłych czy specjalnych, trybuna zapełnia się do ostatniego miejsca. Przybywają tu fani z Barbadosu, a także turyści z pobliskiego Hiltona oraz innych hoteli stojących przy Highway 7, biegnącej wybrzeżem do lotniska Grantleya Adamsa.

Eric Rhinelandier siedział na trybunie głównej i patrzył na konie zbierające się na linii startu przed ostatnią tego dnia gonitwą, o nagrodę Concorde'a. Jej sponsorem były British Airways, pragnące uczcić piątą rocznicę lądowania pierwszego concorde'a na Barbadosie.

Dziesięć tysięcy funtów nagrody zwabiło wszystkich fanów wyścigów koni czystej krwi.

Rhinelandier, stosownie do okoliczności, ubrany w tenisówki, dzinsy i koszulkę z napisem: „Fundacja Ochrony Zwierząt Barbadosu”, sączył z dużego kubka piwo i od czasu do czasu podnosił do oczu lornetkę Tasco spoglądając na tor. Obok niego siedziała hałaśliwa

grupka tubylców, pokrzykujących do swoich znajomych parę rzędów niżej. Rhineland nie zwracał na nich uwagi i za każdym razem, kiedy patrzył przez lornetkę, poświęcał kilka sekund na obserwację łoży po przeciwnej stronie toru.

Siedziało w niej pięć osób. Dwaj mężczyźni mieli na sobie marynarki i rozpięte pod szyją koszule. Ich towarzyszki nosiły spódnice i bluzki. Piąty z widzów ubrany był po marynarsku, w blezer, białe drelichy i czapkę oficerską. Dawniej człowiek ten bez wątpienia prezentował się całkiem przyzwoicie, ale teraz nawet przez lornetkę można było dostrzec na jego twarzy czerwone ślady, świadczące o nadmiernym zamięłowaniu do trunków. Miał pięćdziesiąt kilka lat, był nieco przy kości, a kiedy zdjął czapkę, Rhineland zauważył na jego głowie dużą łysinę. Pozostałe włosy przybrały niezdrową białą barwę. Nazywał się William Harper. Był szefem komórki CIA na Barbadosie.

Departament Stanu uznawszy tę wyspę za mało ważną zarówno z gospodarczego, jak i strategicznego punktu widzenia, postanowił poprzestać na przysłaniu tu tylko charge d'affaires.

Skromna grupa dyplomatów amerykańskich zajmowała kilka biur w budynku

Canadian Imperial Bank na Broad Street w Bridgetown. Zaraz po przyjeździe Rhineland wybrał się tam na krótki rekonesans. Wziął kilka broszurek i wyszedł.

Na podstawie tego co zobaczył i wyczytał w materiałach zabranych z biura, wysnuł kilka wniosków. Według jednej z broszurek, w placówce dyplomatycznej zatrudnionych było osiem osób: sam charge d'affaires, niejaki Howard Sawyer, jego asystent, dwie sekretarki, recepcjonistka oraz oficerowie odpowiedzialni za imigrację, informację oraz sprawy publiczne.

Doświadczenie nabyte w kontaktach z zagranicznymi komórkami CIA podpowiadało

Rhinelandowi, że to Harper, oficer do spraw informacji, jest człowiekiem, o którego mu

chodzi. Po pierwsze, jego gabinet był niemal tak duży jak gabinet charge d'affaires. Po drugie nie ulegało wątpliwości, że Harper ma więcej pieniędzy od swojego szefa. Jeździł dwuletnim volvo. Mieszkał na pokładzie statku żaglowego wartego sześćdziesiąt tysięcy dolarów, przycumowanego na Waterfront Arcade przy Bay Street. Nosił też drogie ciuchy. Tymczasem Sawyer miał pięcioletniego isuzu i mieszkał z żoną i dwójką dzieci w stosunkowo skromnym bungalowie.

Po wynajęciu małego samochodu z płóciennym dachem, Rhineland przez dwa dni śledził Harpera, i z każdą chwilą nabierał pewności, że człowiek ten pracuje dla CIA. Oficer do spraw informacji przebywał w swoim gabinecie nie dłużej niż godzinę lub dwie dziennie. Większość czasu spędzał na swoim żaglowcu oraz w klubach i barach Bridgetown.

Nie znaczyło to, że się obijał. Jeśli obowiązywały tu te same reguły, jak w innych komórkach CIA, zadaniem Harpera było nawiązanie kontaktów i infiltracja lokalnej śmietanki towarzyskiej. W efekcie miało powstać obfite dossier zarówno miejscowych, jak i ich gości, które przynajmniej w części mogło okazać się przydatne dla Agencji. W żargonie CIA, Harper „zarzucał wędkę”, a samochód, łódź i łoża w Turf Club były i przynętą, i kamuflażem.

Podczas inwazji na Grenadę i poprzedzających ją działań CIA, które zmierzały do zdestabilizowania sytuacji politycznej w tym kraju, uwidoczniły się strategiczne walory Barbadosu jako bazy wypadowej dla wywiadu i wojska. Obecność Harpera na wyspie miała przypominać innym krajom, zwłaszcza w regionie Karaibów i Ameryce Środkowej, że armia Stanów Zjednoczonych czuwa.

Harper postanowił jednak dorobić sobie na boku. Kierując lornetkę w stronę łoży, Rhineland raz jeszcze przyjrzał się dwóm mężczyznom i ich towarzyszkom. Tak naprawdę nic ich ze sobą nie łączyło. Wysokie blondynki zostały sprowadzone specjalnie na to spotkanie, prawdopodobnie z Miami lub Nassau. Mężczyźni pracowali dla rządu

kolumbijskiego. Torres, starszy z nich, pełnił funkcję asystenta kolumbijskiego charge d'affaires. Młodszy, wyższy i gładko ogolony, był przynajmniej oficjalnie - szoferem. Jeśli Rhinelandier właściwie odczytał wszystkie znaki na niebie i ziemi, Harper dał się wciągnąć w przemyt narkotyków. Najprawdopodobniej wykorzystywał do tego celu „specjalną” pocztę dyplomatyczną, używaną jedynie przez CIA i stanowiącą absolutne tabu.

Prowadząc dyskretną obserwację Harpera, Rhinelandier zauważył, że agent CIA w Bridgetown dużą część wolnego czasu spędza w towarzystwie Torresa i jego szofera, głównie na swojej łodzi. Tego ranka, przed przybyciem na tor wyścigowy, przez kilka godzin wnosili na pokład jedzenie, alkohol i wodę, a potem napełnili zbiorniki paliwem. Barbados dzieliło od Wenezueli około trzystu pięćdziesięciu kilometrów. Przyjmując, że spotkanie ze statkiem przewożącym narkotyki nastąpi w połowie drogi, rejs musiał potrwać co najmniej dwadzieścia cztery godziny.

Rhinelandera zupełnie nie obchodziło to, że Harper jest zamieszany w handel narkotykami. Nie był pierwszym pracownikiem CIA, który wykorzystał swoją pozycję dla zysku. Natomiast bardzo ważne było to, że znalazł sobie zajęcie, które odwracało jego uwagę od wydarzeń na wyspie. Skoro bowiem pucołowaty szef komórki CIA wybierał się na rendez-vous z przemytnikami kokainy, to nie będzie się mieszał w sprawy Rhinelandera.

Bomba poszła w górę i konie wyskoczyły na pierwszą prostą. Z gardeł i tak hałaśliwych widzów wyrwał się przeciągły ryk radości. Wszyscy wokół Rhinelandera zerwali się na równe nogi, wymachiwali rękami i wykrzykiwali imiona faworytów, ściskając w dłoniach karteczki z zakładami. Nie zwracając uwagi na gonitwę, ani na rozszalały tłum, Rhinelandier zaczął przeciskać się w stronę schodów.

Kiedy konie weszły w drugi wiraż, Rhinelandier był już na dole. Spiker wykrzykiwał kolejność stawki tak niewyraźnie, że jedyne, co dało się zrozumieć, to imię faworyta, Charlie



Muffina. Według programu wyścigów należał on do syndykatu, któremu przewodził William Harper.

Szedł dalej i wkroczył w ciemny szeroki korytarz biegnący pod trybuną, po czym przez kołowrót dostał się na słońce. Za plecami wciąż słyszał ryk tłumu, ale tu, na parkingu, panowała cisza. Za ogrodzeniem stało kilka prywatnych autobusów, kierowcy czekali na zakończenie ostatniego wyścigu, w nadziei na podebranie klientów liniom publicznym. Odnalazł swój samochód, usiadł za kierownicą i zapalił silnik. Kilka minut później wjechał na autostradę i skierował się na północ, do Bridgetown. Mimo wyścigów, był strasznie duży ruch. Przejechanie półtora kilometra, które dzieliło tor od Trafalgar Square i przystani jachtów przy moście Chamberlaina, zajęło Rhinelandrowi niemal piętnaście minut. Rhinelandr przeprowił się przez most między Careenage a Inner Basin, po czym skręcił w lewo przy pomniku lorda Nelsona, a następnie dojechał nabrzeżem do parkingu znajdującego się na drugim końcu przystani. Wtedy ponownie podniósł lornetkę do oczu i błędził spojrzeniem po masztach i ciasno stłoczonych budynków przy moło, aż wreszcie wypatrzył łódź Harpera. Był to „Sandpiper”, z nazwą wymalowaną na burcie. Wtedy usiadł wygodnie i zamknął oczy.

Po czterdziestu minutach zerknął po raz kolejny przez lornetkę na żaglowiec i zauważył, że na pokładzie wreszcie coś zaczyna się dziać. Harper, Torres i szofer przygotowywali się do wyjścia w morze. Dwóch kobiet nigdzie nie było widać. Rhinelandr doszedł do wniosku, że albo siedziały pod pokładem w kabinie, albo nie zostały zaproszone na tajną wyprawę. Gdyby Harper miał choć trochę oleju w głowie, nie wziąłby ich ze sobą. Niemal punktualnie o szesnastej „Sandpiper” ruszył wzdłuż Careenage, z włączonym silnikiem i częściowo rozwiniętymi żaglami. Ukryty w cieniu dachu samochodu, obserwował przepływającą łódź. Harper, z czapką oficerską zsuniętą na czoło, stał przy sterze, a

kolumbijski szofer, rozebrany do kusych szortów, czułgał się po pokładzie dziobowym i udawał pochłoniętego dłubaniem przy takielunku. Popisywał się przed dwiema blondynkami w bikini, wygrzewającymi się na słońcu. Rhineland potrzęsnał głową. Harper, postąpiłeś nierozsądnie - pomyślał.

Zaczekał, aż „Sandpiper” wyjdzie z portu, po czym włączył silnik. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Mallory i Cooper przylecą samolotem startującym o siódmej trzydzieści z Dulles. Oznaczało to, że zostało mu jeszcze trzy godziny, a miał jeszcze dużo do zrobienia.

Hotel „Tropicana Court” stał na plaży przy Highway 7, zaraz za Hastings i mniej więcej pięć kilometrów od centrum Bridgetown. Goście mieli do dyspozycji basen, restaurację pod gołym niebem, a nawet spory skrawek malowniczej plaży.

W głównym budynku było osiemnaście pokoi rozmieszczonych na trzech piętrach.

Klatki schodowe na tyłach prowadziły na pomosty łączące ze sobą skrzydła hotelu. Wszystkie pokoje wyglądały tak samo: po lewej stronie od wejścia kuchnia, po prawej zaś łazienka. Od sypialni kuchnię dzieliła lada ze stołkami barowymi.

Obok, przy ścianie, stała szafka i biurko. Między łózkami znajdował się mały składany stolik i dwa krzesła. Szklane zasuwane drzwi prowadziły na balkon, z którego rozciągał się widok na basen, restaurację i sięgający po horyzont ocean. Sąsiednie balkony oddzielone były od siebie stiukowanymi betonowymi ścianami, w które wstawione zostały zamykane na zasuwę drzwi. Stał tu też jeszcze jeden stół oraz dwa aluminiowe składane krzeselka.

Wszystkie pokoje miały identyczny wystrój: podłogi wyłożone jasnozielonymi płytkami, różowe ściany i meble z mocno polakierowanego klonu. Pościel i ręczniki były w tym samym, co podłoga, zielonkawym kolorze, a hotelowa zastawa została dopasowana do

różowych ścian.

Rhinelande po przyjeździe na Barbados wybrał „Tropicana Court” ze względu na korzystne położenie, a także praktycznie swobodny dostęp do kwater gości. Wynajął dwa sąsiadujące pokoje: numery trzynasty i czternasty, znajdujące się na drugim piętrze wschodniego skrzydła budynku. Wyjaśnił kierownikowi, że jeden z nich bierze dla swoich znajomych, którzy lada dzień mieli przyjechać ze Stanów. Zapłacił gotówką za tydzień z góry. Przypatrując się, jak kierownik wpisuje dane do komputera, zauważył, że pokoje od numeru piętnastego do osiemnastego były wolne. Miał więc całe piętro do swojej dyspozycji. Po wyjeździe Harpera i jego towarzyszy, pojechał do hotelu. Zaparkował wóz, po czym wszedł na ostatnie piętro. W zamku tkwił pasek celofanu, który włożył tam wcześniej. By to znak, że w czasie jego nieobecności nikt nie próbował dostać się do środka. Otworzył drzwi. Stojąc na korytarzu pod gołym niebem, wsłuchał się w ciszę i wciągnął w nozdrza powietrze. Wszystko wydawało się w porządku. Rhinelande wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi, po czym zajrzał do łazienki, kuchni i na balkon. Wszędzie pusto. Stojąc na balkonie, zapalił papierosa i spojrzał w dół. Mężczyzna w średnim wieku, o spalonych od słońca tłustych ramionach, pływał w basenie, a dwie kobiety w bikini opalały się na zielonych leżakach, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Rhinelande usiadł przy stoliku i strząsnął popiół do wypełnionego niedopałkami spodka. Zza drzew oddzielających basen od morza wyłaniała się plaża, która także świeciła pustkami. „Tropicana Court” nie narzekał na nadmiar klientów.

Rhinelande siedział na balkonie jeszcze kilka minut. Palił papierosa i wsłuchiwał się w cykanie świerszczy i pomruk oceanu. Wreszcie zgasił niedopałek i wszedł do pokoju. Tam przykucnął, wsunął dłoń pod narzutę przykrywającą łóżko stojące bliżej balkonu i wyciągnął sfatygowaną niebieską winylową torbę z symbolem Pan Am. Następnie otworzył ją i wyjął ze

środką wiertarkę, piłki do metalu, taśmę izolacyjną, mały śrubokręt, zwój kabla, tubkę płynnego lutu, izolowane szczypce do cięcia drutu i kit hydrauliczny.

W torbie było też pudełko z uruchamianym głosowo dyktafonem Panasonic, studwudziestominutowa mikrotaśma BASF, paczka baterii Duracell oraz duży, noszony za uchem, aparat słuchowy marki Beltone, przypominający urządzenie produkowane w latach pięćdziesiątych. Rhineland kupił to wszystko, wraz z torbą, w kilku sklepach w Bridgetown w przeciągu ostatnich trzech dni. Część narzędzi położył na stoliku przy drzwiach balkonowych i wziął się do pracy.

Za pomocą śrubokręta ostrożnie zdjął pokrywę z aparatu słuchowego i dokładnie obejrzał urządzenie. Zgodnie z jego oczekiwaniami, mechanizm składał się z miniaturowego tranzystorowego odbiornika połączonego z mikrofonem i baterią. Ostrożnie podważył mikrofon śrubokrętem i wyjął ze słuchawki, po czym przeciął druciki biegnące do odbiornika. Następnie oddzielił dwa metry kabla i połączył je kropelkami lutu z przerwany obwodem aparatu słuchowego.

Podszedł do łóżka, wziął wiertarkę i piłki do metalu, po czym usiadł na podłodze pod ścianą dzielącą sąsiednie pokoje. Wybrał punkt tuż nad gniazdkiem i szybko wywiercił cztery dziury tworzące rogi kwadratu o bokach długości mniej więcej dwudziestu centymetrów.

Potem piłką wyciął zaznaczony fragment płyty ściennej. Pochylił się i zajrzał do dziury. Jego pomiary okazały się dokładne: skrzynka z bezpiecznikami i gniazdko znajdowały się po drugiej stronie sąsiedniego pokoju.

Podniósł się i powrócił do łóżka. Wziął baterie, dyktafon, taśmę izolacyjną i położył to wszystko na stole. Płynny lut stwardniał jak należy, tworząc solidne połączenie. Oderwał dwa dwudziestocentymetrowe paski taśmy izolacyjnej, po czym ostrożnie podniósł słuchawkę aparatu. Następnie przy użyciu taśmy połączył ją z mikrofonem elektrostatycznym w

dyktafonie. W ten sposób otrzymał prymitywne, ale sprawne urządzenie podsłuchowe.

Wymienił baterie w dyktafonie, po czym włożył kasetę. Na wszelki wypadek sprawdził, czy wszystko poprawnie działa. Wcisnął guzik nagrywania i zaczął szeptać do mikrofonu, wpatrując się w igłę wskazującą poziom dźwięku. Urządzenie działało doskonale. Przewinął więc taśmę, po czym zabrał swoje dzieło i podszedł do dziury w ścianie.

Ponownie wziął wiertarkę, włożył rękę do otworu i przejechał palcem po żeliwnej skrzynce przesłaniającej gniazdko w sąsiednim pokoju. Następnie tuż pod nią wywiercił dziurę. Z kieszeni spodni wyjął paczkę kitu. Z szarej masy ulepił kulę, którą okleił mikrofon z aparatu słuchowego. Znow włożył rękę do dziury, wymacał mały otwór pod skrzynką i drugą ręką ostrożnie umieścił w nim mikrofon, przyciskając mocno, tak by nie wypadł. Następnie wsunął dyktafon do dziury i położył go na drewnianej belce między dwiema płytami ściennymi. Na koniec wstawił na miejsce wycięty uprzednio fragment płyty, przytwierdził kitem i posprzątał po sobie, wrzucając wszystkie śmieci do torby.

Po dziesięciu minutach zakończył pracę. Upewnił się, też, że po jego skromnych czynnościach renowacyjnych nie pozostały żadne ślady. Przesunął szafkę trzydzieści centymetrów w lewo i zasłonił przyklejony kitem fragment płyty ściennej nad gniazdkiem. Rozejrzał się raz jeszcze po pokoju i zerknął na zegarek. Uwinął się w niecałą godzinę. Zostało mu jeszcze mnóstwo czasu.

Przeszedł na sąsiedni balkon. Otworzył szklane drzwi i wkroczył do pokoju, łudząco podobnego do tego, w którym przed chwilą przebywał. Podszedł do gniazdka przy szafce i uklęknął. Na płycie ściennej dało się zauważyć smużkę tynku. Polizał palec i dokładnie wytarł brud. Pochylił się jeszcze niżej i sprawdził wywiercony przez siebie otwór. Był prawie niewidoczny, jak ucho igielne zagubione w cieniu płyty ściennej i kontaktu elektrycznego. Specjaliści od podsłuchu mogli znaleźć to miejsce po skrupulatnym przeszukaniu, ale

Rhinelandera dał Hudsonowi Cooperowi za mało czasu na przedsięwzięcie jakichkolwiek środków bezpieczeństwa. Zamknął drzwi prowadzące na sąsiedni balkon i wyszedł z pokoju przez drzwi wejściowe. Wróciwszy do siebie, wrzucił klucz od trzynastki do koperty z nadrukiem „Tropicana Court” i usiadł przy biurku, by napisać instrukcje dla Coopera. Po pięciu minutach wsiadał już do samochodu. Dwie minuty później był w drodze na lotnisko Grantleya Adamsa.

Zgodnie ze zwyczajami w CIA, Hudson Cooper i Paul Mallory powinni byli podróżować oddzielnie, ale Cooper tym razem postanowił darować sobie zasady. Skoro obydwaj podróżowali z paszportami dyplomatycznymi, a Mallory przykuty był do „specjalnego” bagażu dyplomatycznego CIA, absurdem byłoby udawać, że się nie znają. Przylecieli punktualnie. Słońce zaczynało opadać ku horyzontowi, kiedy zesli na płytę lotniska i wraz z resztą pasażerów ruszyli w kierunku terminalu.

- Co to za hałas do licha? - spytał Cooper. Powietrze wypełniał dziwny dźwięk, podobny do skrzypienia, bądź do pisku, jakby wokół obracały się tysiące małych drewnianych kół wymagających przesmarowania.

- Świerszcze - odparł Mallory. Cooper wpatrywał się pustym wzrokiem w okno w trakcie lotu, a jego asystent przestudiował trzysta stron Przewodnika po Barbadosie. - Mają tu ich plagę. Są wszędzie.

- Aha mruknął Cooper bez cienia zainteresowania. Jego myśli krążyły wokół Rhinelandera i zaplanowanego spotkania.

Cooper i Mallory przez betonowe sklepienie nad głównym wejściem weszli do terminalu. Wymijając kolejkę pasażerów w kontroli celnej i biura imigracyjnego, pomachali celnikom przed oczami czerwonymi paszportami i natychmiast zostali przepuszczeni.

Dziesięć minut później byli już w głównej hali lotniska.

- Zgodnie z instrukcją powinniśmy podejść do przedstawicielstwa American Express - powiedział Cooper, wyraźnie zdenerwowany. Wszyscy wokół byli poubierani w jaskrawe typowe dla turystów ciuchy. On miał na sobie ciemnoszary garnitur, białą koszulę, krawat w paski i czarne buty.

- Tędy - powiedział Mallory, wskazując dłonią widoczny w głębi hali znajomy niebiesko-biały symbol. Strój asystenta Coopera - rozpięta pod szyją koszula i lekka jasna kurtka - bardziej pasował do okoliczności. Zdradzała go jednak teczka przykuta kajdankami do lewego nadgarstka. Dla każdego, kto zwróciłby uwagę na tych dwóch mężczyzn, byłoby oczywiste, że nie są zwykłymi turystami.

Przedarli się przez tłum wypełniający halę i wreszcie doszli do małej budki z napisem American Express. Przywitała ich miła i uśmiechnięta kobieta. Cooper od razu spytał, czy nie ma dla nich jakichś wiadomości. Kobieta spojrzała po przegródkach i wręczyła zastępcy dyrektora CIA kopertę. Podziękował, po czym wziął Mallory'ego na bok.

- Klucz - powiedział, otwierając kopertę. Następnie przeczytał wiadomość napisaną na papeterii hotelu „Tropicana Court” i oddał ją Mallory'emu.

Instrukcje były krótkie i jasne. Mieli pojechać taksówką do hotelu „Tropicana Court” i wejść do pokoju numer trzynastie, otwierając drzwi kluczem, który znajdował się w kopercie. Tam dołączy do nich Rhineland. Po spotkaniu Mallory i Cooper wrócą na lotnisko i polecą do Miami samolotem British West Indies Airline odlatującym o północy. Z Miami do Waszyngtonu zabierze ich samolot linii Eastern. Bilety BWIA będą leżeć na biurku w ich pokoju. W notatce zostało powtórzone to, co słyszeli już wcześniej: Rhineland nie zjawi się, jeśli zauważy, że ktoś obserwuje jego, albo pokój który zajmuje w „Tropicana Court”.

- Uczciwie stawia sprawę. - Mallory pokiwał głową.

Oczywiście, wcale nie uważał, że to uczciwy układ, przynajmniej jeśli chodziło o jego

udział. Coraz bardziej wplątywał się w tajną eskapadę Coopera i z każdym dniem coraz mniej mu się to podobało. Sam fakt, że dał się wciągnąć w tajną operację, w której uczestniczył sam zastępca dyrektora, przepełniał go głębokim niepokojem. Na domiar złego w sprawę tę miał się wmieszać płatny zabójca. Mallory oglądał jego zdjęcia w Paryżu, a na Jamajce widział zimne, pozbawione życia oczy tego człowieka. Asystent Coopera miał dziwne przeczucie, że jeśli przeżyje, długo będzie tłumaczył się ze swoich działań przed komisją śledczą Kongresu. Jak dotąd, pocieszające było tylko to, że Cooper nie udzielił mu żadnych szczegółowych informacji, a Mallory wolał o nic nie pytać. Nie był głupcem, a lata spędzone w dziale analizy zagrożeń nastroiły go sceptycznie do wszelkich operacji prowadzonych przez agentów. Nie spodziewał się wtedy, że pewnego dnia i on będzie uczestniczył w jednej z nich. Pozostawiając za sobą budkę American Express, Cooper i Mallory skierowali się do wyjścia z hali lotniska. Ominęli również kolejkę dziwnie wyglądających japońskich furgonetek, które rozwoziły pasażerów do hoteli. Odszukali taksówkę i podali kierowcy adres. Taksówka, podobnie jak wszystkie na Barbadosie, nie została wyposażona w taksometr, ale obaj nie mieli ochoty na targowanie się, więc przystali na pierwszą cenę, jaką podał im szofer. Pomrukując pod nosem coś o „zdupiałych” amerykańskich turystach, taksówkarz pchnął dźwignię biegów i włączył się w strumień samochodów kierujących się w stronę autostrady.

Zapadał już zmierzch, gdy dotarli do hotelu. Ostatnie promienie słońca malowały horyzont na ciemnoczerwono. Taksówkarz nadal pomrukiwał coś pod nosem i ruszył w stronę Bridgetown, pozostawiając Coopera i Mallory’ego u stóp krętych schodów prowadzących do pokoju numer trzynaście. Cooper wyjął z kieszeni klucz i wręczył go asystentowi. Mallory miał pójść przodem, by w razie zastawionej pułapki chronić swojego szefa.

Mallory lekko zdyszany, z sercem bijącym zbyt mocno, by złożyć to na karb



zwykłego zmęczenia, dotarł na szczyt schodów i skierował się do pokoju. Kiwnął głową do szefa, włożył klucz do zamka i wszedł. Po chwili zza drzwi wyłoniła się jego głowa.

- W porządku - powiedział cicho. Cooper podszedł do niego i razem weszli do środka, po czym Mallory zamknął drzwi.

- Sprawdź, czy nie ma podsłuchu - nakazał Cooper, włączył światło i rozejrzał się po pokoju. Następnie otworzył drzwi balkonowe i wyszedł na zewnątrz.

W tym czasie Mallory odpiął kajdanki, którymi przypięty był do teczki i położył ją na łóżku. Wyjął z kieszeni kółko z kluczami, otworzył zamek i podniósł wieko. W środku znajdowała się skrzynka, która zawierała detektor urządzeń podsłuchowych ISA, z drukarką i skanerem. Aparat ten mógł sprawdzić wszystkie częstotliwości radiowe od dwudziestu kiloherców, tuż poza zasięgiem słuchu ludzkiego, do jednego gigaherca, już w świecie mikrofal. Na skanerze pojawiały się wszystkie wykryte sygnały radiowe, co z kolei umożliwiało wykrycie „przytulnych” urządzeń podsłuchowych, to znaczy takich, które wykorzystywały częstotliwości przybliżone do używanych przez popularne stacje radiowe i telewizyjne. Dzięki temu „ukrywały” się w ich cieniu. W momencie namierzenia stacji radiowej, linia biegnąca przez ekran skanera szła ostro w górę, a „ukryte” pluskwy pokazywały się jako mniejsze spiętrzenia wykresu w jej pobliżu.

Mallory połączył odbiornik ze skanerem, położył na biurku, po czym wcisnął wtyczkę do gniazdka. Jasne światło sączące się z lamp na suficie i brak doświadczenia spowodowały, że nie dostrzegł małej dziurki tuż pod plastikową pokrywą kontaktu.

Następnie podszedł do biurka i włączył zasilanie. Na ciemnozielonym ekranie pojawiła się prosta, oznaczająca sygnał nośny i rozległo się buczenie i ze szpary w dolnej części urządzenia wysunął się czysty pasek papieru. Mallory odpowiednio ustawił wszystkie przełączniki i włączył opcję przeszukiwania.

Linia na ekranie natychmiast stała się zygzakowata, a urządzenie zaczęło wypluwać zadrukowany pasek papieru. Mallory dokładnie go obejrzał, po czym wyjął z kieszeni przewodnik po Barbadosie.

- Masz coś? - spytał Cooper, wchodząc do pokoju i zasuważąc za sobą drzwi balkonowe.

- Wierzchołki wykresu siedem dziewięćdziesiąt i dziewięćset. Trzy ultrakrótkie, jedna telewizyjna. - Machnął przewodnikiem. - Zgodne z częstotliwościami, na jakich nadaje miejscowe radio i telewizja.

- Nic poza tym?

- Nic.

- Czyli pokój jest czysty. - Cooper skinął głową i usiadł przy stoliku. Świadomość, że nie jest na podsłuchu przyniosła mu wyraźną ulgę. Oczywiście, nie wiedział, że urządzenie ISA, choć zdolne wykryć najbardziej nowoczesny sprzęt radiowy, pozostaje głuche na prosty podsłuch z kawałka kabla i mikrofonu, jaki zmontował Rhineland.

- Co teraz? - spytał Mallory zwijając sprzęt.

- Najprawdopodobniej nasz koleżka zjawi się, kiedy będzie pewien, że jesteśmy sami - odparł Cooper. - Pozostaje nam czekać.

Eric Rhineland siedział przy stoliku pod parasolem, między barem a basenem hotelu „Tropicana Court”. Powoli sączył z butelki piwo i wpatrywał się w rozświetlone okno pokoju numer trzynaście. Kilka minut wcześniej zauważył na balkonie sylwetkę mężczyzny. Cooper albo jego asystent, Mallory.

Zapalił papierosa i na wszelki wypadek odwrócił twarz od okna, mimo że od tamtej strony zasłaniał go parasol. Zaciągnął się głęboko i powoli wypuścił dym.

Rozważał sytuację, w jakiej się znalazł. Instynkt podpowiadał mu, by nie spotykał się

z tymi ludźmi. To, że Mallory odnalazł go na Jamajce, było ostrzeżeniem: dawni pracodawcy Rhinelandera wiedzieli, gdzie jest i co robi. Najgorsze jednak, że Cooper pragnął spotkać się z nim osobiście. Mało prawdopodobne, aby zastępca dyrektora CIA do spraw operacyjnych zdecydował się na rozmowę z człowiekiem od brudnej roboty, gdyby nie knuł czegoś, z czym nawet CIA nie chciała mieć nic wspólnego.

Rhinelander znów zaciągnął się głęboko i powtórnie spojrzął w okna sąsiadującego pokoju. Długo nad tym myślał, rozważył setki możliwości, ale nadal nie potrafił znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego Cooper pragnął się z nim zobaczyć. Jakkolwiek na to spojrzeć, istniały tylko dwie możliwości: albo chciał go wynająć, albo, z bliżej nieznanego powodu, zabić.

Nie miało to dla niego większego znaczenia. Tak czy inaczej, nie mógł już wrócić na Jamajkę i raczej musiał spotkać się z Cooperem. Czemu więc nie miałby zrobić tego teraz? Spojrzał na zegarek, dopił resztkę piwa i zgasił papierosa w plastikowej popielniczce. Już czas.

Obszedł wkoło basen. Gumowe podeszwy tenisówek przyklejały się do mokrego betonu. Trzymał się blisko ściany, by nie było go widać z okna ich pokoju. Następnie skręcił za róg budynku i skierował się w stronę schodów. W ciemnościach słyszał tylko cykanie świerszczy, szum morza i wiatru kołyszącego gałęziami pobliskich drzew.

Wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie. Dotarł na drugie piętro i bez wahania skierował kroki we właściwym kierunku. Zapukał. Nie chcąc narażać się na niepotrzebne ryzyko, zaniechał przywiązania broni na Barbados i był przekonany, że Cooper i Mallory postąpili podobnie.

Drzwi otworzył Mallory. Ubrany był w rozpiętą pod szyją koszulę i spodnie. Po lewej stronie Rhinelander zauważył kurtkę wiszącą na wieszaku. Mądre posunięcie: zdejmując ją,

agent CIA pokazywał, że jest nie uzbrojony. Spojrzał przez ramię Mallory'ego i dostrzegł szczupłego, łysiejącego mężczyznę siedzącego na krześle przy drzwiach balkonowych.

Hudson Cooper wciąż miał na sobie marynarkę i nienagannie zawiązany krawat. Mallory wyciągnął rękę, ale Rhinelandier zignorował ten gest. Zamknął drzwi, po czym ruchem głowy nakazał asystentowi Coopera iść przodem.

Cooper, gdy weszli do pokoju, wstał z miejsca i wyciągnął rękę. Tym razem Rhinelandier nie zignorował tego gestu. Uścisk dłoni Coopera był ciepły i mocny. Jeśli zastępca dyrektora CIA był nerwowy albo wystraszony, nie dał tego po sobie poznać.

- Hudson Cooper - powiedział puszczając dłoń Rhinelandera. Zrobiliśmy wszystko, co kazałeś.

- To dobrze - odpowiedział. - Może od razu przejdźmy do rzeczy. Macie mało czasu!

- To prawda stwierdził Cooper. - Wygląda na to, że ułożyłeś nam napięty plan.

- To było konieczne - odparł Rhinelandier. - Zwłaszcza po tym, jak kilka dni temu naruszono moją prywatność. - Spojrzał znacząco na Mallory'ego.

- Przepraszam za tamto najście - powiedział Cooper. Odkaszlnął i gestem ręki przywołał swojego asystenta. Mallory podszedł do niego i Cooper szepnął mu coś na ucho. Agent skinął głową, po czym wyszedł na balkon, zamykając za sobą drzwi.

- Nie ufa mu pan? - spytał Rhinelandier.

- Oczywiście, że mu ufam - powiedział Cooper. - Ale lepiej, żeby jak najmniej ludzi wiedziało o tej sprawie.

- Rozumiem - stwierdził Rhinelandier. - Skoro o niczym nie wie, nie stanie mu się krzywda.

- Coś w tym stylu - odparł Cooper. Odkaszlnął nerwowo. Nastąpiła chwila ciszy.

Rhinelandier, podirytowany, zmarszczył brwi.

- Przygotowanie tego spotkania kosztowało mnie sporo wysiłku. Nie traćmy więc czasu - powiedział cicho. - Czego pan właściwie chce?
- Chcemy skorzystać z twoich usług.
- „My”? To znaczy kto? - spytał Rhineland. - Agencja?
- Nie całkiem - odparł Cooper. - Powiedzmy, że chodzi o grupę wysoko postawionych i wpływowych osób.
- Zostałem przeszkolony przez kilka organizacji, z pańską włącznie, panie Cooper.

Wie pan, kim jestem i czym się zajmuję. Przejdźmy do rzeczy. Chcecie, żebym kogoś zabił. Kogo?

Zastępca dyrektora CIA się zawahał. Ostatnia chwila, by się wycofać. Zaciśnął zęby, przeklinając w duchu splot okoliczności, który przywiódł go w to miejsce.

- Geoffreya Jamesa Tuckera, prezydenta Stanów Zjednoczonych - odparł zimno Cooper. Nie odrywał oczu od Rhinelandera, oczekując jakiejś reakcji z jego strony. Rozmówca Coopera tylko skinął głową i zapalił papierosa.

- Dlaczego? - spytał po chwili, wydmuchując dym.

- On umiera - wyjaśnił Cooper. - Zwyczajna choroba mózgu. Został mu jeszcze niecały rok życia. Choroba przyjmuje postać postępującej demencji, która może okazać się... kłopotliwa, biorąc pod uwagę pełnioną przez niego funkcję.

- Rozumiem - powiedział Rhineland z kamienną twarzą. - Czy prezydent Tucker wie, że jest śmiertelnie chory?

- Nie.

- Ale pan to wie. I kilka innych osób także?

- Tak.

- Jeśli Tucker umrze, prezydentem zostanie Vincent Teresi. Nie wydaje mi się, żeby

wam na tym zależało.

- To prawda - odparł Cooper.

Zapadła chwila ciszy. Rhinelandier zamyślił się nad słowami Coopera, po czym skinął głową.

- Chcecie, żebym zabił obydwu? - powiedział wreszcie i zgasił papierosa w popielniczce.

- Tak!

- Macie jakiś plan - powiedział Rhinelandier w zamyśleniu. - Chcecie osiągnąć coś więcej.

- Tak - odparł Cooper. - Myśleliśmy o tym, żeby Teresi zginął „w nieszczęśliwym wypadku”, ale wtedy pozostałby problem postępującej demencji Tuckera. Wiceprezydent ginie w wypadku, chory prezydent mianuje nowego wiceprezydenta, po czym składa rezygnację albo umiera - tego byłoby za wiele. - Zastępca dyrektora CIA zawahał się na chwilę. - Ale mamy inny pomysł. - Znów zawiesił głos, jakby nie chciał powiedzieć tego, co zamierzał.

- Słucham - zachęcił go Rhinelandier. Spojrzał przez ramię Coopera. Mallory stał na balkonie, ostentacyjnie odwrócony plecami do pokoju.

- Dwa miesiące wcześniej szef naszej komórki w Bejrucie poinformował, że Nezar Assad wysoki rangą członek grupy Abu Nidala organizuje nową siatkę terrorystyczną. Grupa miała prowadzić działalność na terenie Stanów Zjednoczonych. Obserwowaliśmy Assada i dziesięć dni temu schwytaliśmy go na przejściu granicznym w Niagara Falls, kiedy próbował nielegalnie dostać się do Stanów. W tej chwili jest w naszych rękach. Kiedy dowiedzieliśmy się o chorobie prezydenta, doszliśmy do wniosku, że należy przedsięwziąć drastyczne kroki i w związku z tym pan Assad mógłby się nam przydać.

- Chcecie zrobić z niego drugiego Oswalda - Rhinelandier wszedł Cooperowi w słowo.

- Ja pociągam za spust, a wina spada na niego. Trop będzie prowadzić do Libii.

- Dokładnie - odparł Cooper. - Gdybyśmy mieli niezbite dowody, że prezydent i wiceprezydent zginęli z ręki człowieka będącego na usługach Kaddafiego, to Bliski Wschód byłby nasz. Wszyscy stanęliby po naszej stronie.

- Ile mam czasu? - spytał Rhinelandier.

- Mało. Sześć do ośmiu tygodni. Trzeba to zrobić, zanim objawy choroby staną się bardziej widoczne.

- Gdzie dojdzie do zamachu?

Cooper znów się zawahał. Obmyślili cały plan z Macintyre'em. Atak terrorystyczny w samym sercu Ameryki. Czyn tak brutalny i ohydny, że każda forma odwetu będzie usprawiedliwiona. W tej chwili wydawało mu się to szaleństwem, ale może właśnie dlatego miało szansę powodzenia.

- W Białym Domu - powiedział Cooper wprost. - Najlepiej w Gabinetcie Owalnym, żeby zrobić jak największe wrażenie.

Rhinelandier zamyślił się i potrząsnął głową.

- To może okazać się niemożliwe - odparł wreszcie. - W najlepszym wypadku będzie to bardzo trudna sprawa.

- Owszem - powiedział Cooper. - Ale myśląc w kategoriach symbolu, jest to miejsce idealne. Drugi w kolejności jest Camp David, w grę wchodzi także samolot prezydenta i Sequoia.

- Zanim podejmę decyzję, będę musiał przeprowadzić rekonesans - ostrzegł

Rhinelandier. - Jak dotąd, zabójcom prezydentów nie udawało się ujść z życiem.

- Doskonale rozumiem twoje wahanie.

- Chciałbym też uzyskać odpowiedź na jedno pytanie - powiedział Rhineland.
- Proszę bardzo.
- Dlaczego padło akurat na mnie? Znam co najmniej pół tuzina innych ludzi o podobnych... kwalifikacjach.
- Anonimowość - odparł Cooper. - Oczywiście, że jest wielu specjalistów w twojej dziedzinie, ale żaden z nich nie jest tak niewidzialny jak ty. Z tego, co wiemy, akta posiadane przez nasze biuro są jedynym dokumentem świadczącym o twoim istnieniu. Oficjalnie zniknąłeś w chwili, kiedy włączyłeś się do programu Feniks. Od tamtej pory wszystko, co dotyczy twojej tożsamości, było odpowiednio preparowane. Tym lepiej i dla nas, i dla ciebie.
- Zwłaszcza gdyby coś się nie udało - zauważył Rhineland.
- O wiele istotniejsze jest to, że gdybyś wpadł w tarapaty i został schwytyany lub zabity, trop nie doprowadziłby do nas - odparł Cooper. - Coś jeszcze?
- Warunki.
- Słucham - powiedział Cooper.
- Po pierwsze, musi pan zrozumieć, że w tej chwili nie wyraziłem jeszcze swojej zgody. Najpierw muszę zorientować się, czy to zadanie jest wykonalne. Jeśli uznam, że tak, dam wam znać.
- Ile czasu potrzebujesz? - spytał Cooper.
- Tydzień, maksimum dziesięć dni.
- Zgoda.
- Tylko za to chcę dwieście tysięcy dolarów z góry, plus dowód tożsamości, żebym mógł korzystać z tych pieniędzy.
- Zgoda.
- Jeśli wasi ludzie będą mnie obserwować, więcej mnie nie zobaczycie. Potrzebuję



anonimowości tak jak wy.

- Oczywiście, to w pełni rozumiałe.

- Pański asystent, Mallory.

- Co takiego?

- Chcę mieć do czynienia tylko z nim. Od tej chwili, wyłącznie on może się ze mną spotykać i rozmawiać. Jeśli będę czegoś potrzebował, on mi to dostarczy.

- Mallory nie jest głupi. Prawdę mówiąc, już się niepokoi - powiedział Cooper. - Jeśli powiem mu coś więcej o tej sprawie, to tak jakbym skazywał go na śmierć. On się tego domyśli.

- Wie, że chcecie kogoś zabić, ale nie wie, kogo - odparł Rhineland. - Niech pan mu powie o czymś, w co by uwierzył.

- Dobrze.

- Jeszcze jedno. Ostatnia rata zapłaty będzie wysoka.

- Ile? - spytał Cooper.

- Tyle, na ile was stać - odparł Rhineland i uśmiechnął się lekko. - W nie oszlifowanych kamieniach szlachetnych. Żadnych diamentów. Trudno je sprzedać i łatwo namierzyć. Same szmaragdy i nic, co przekraczałyby wagę jednego karata.

To da się załatwić - powiedział Cooper. - Coś jeszcze?

- Tak - odparł spokojnie Rhineland. - Spróbujcie mnie wykiwać i rzucić na pożarcie wilkom, to zabiję was... wszystkich, co do jednego.

- Rozumiem. Nie ma powodów do obaw.

- Cieszę się. - Rhineland skinął głową. - Na tym zakończymy naszą rozmowę. -

Zapalił papierosa i rozsiadł się wygodnie.

Cooper spojrział na zegarek, po czym podszedł do drzwi balkonowych i zastukał w

szybę. Paul Mallory odwrócił się, zaskoczony. Cooper przywołał go skinieniem palca.

Mallory posłusznie wszedł do pokoju.

- Już wszystko omówiliśmy - powiedział Cooper. - Możemy jechać na lotnisko.

- Tak. - Mallory skinął głową. Obszedł stolik, przy którym siedział Rhineland z papierosem w ustach i podniósł metalowy kuferek zawierający sprzęt ISA.

- Znaleźliście coś za pomocą tej zabawki? - spytał Rhineland.

Mallory potrząsnął głową.

- Nic - powiedział.

- Tak myślałem. - Rhineland skinął głową i zwrócił się do Coopera.

- Przed wyjazdem pójście na lotnisku do restauracji „Voyager”. Serwują tam niezłe ryby i małże, a w czasie lotu do Miami nie dostaniecie nic do jedzenia.

- Dzięki za radę. Chętnie skorzystamy - odparł Cooper i wyciągnął rękę na pożegnanie.

- Będziemy w kontakcie - dodał bez przekonania.

Kilka minut później Rhineland był już sam w pokoju. Odczekał jeszcze chwilę, by mieć pewność, że dwaj przybysze zdążyli zamówić taksówkę z gabinetu kierownika. Wypalił dwa papierosy i wyszedł z pokoju, zamykając drzwi na klucz.

W sąsiednim pokoju wyjął dyktafon z kryjówki i odłączył od niego urządzenie słuchowe. Następnie przewinał taśmę i odsłuchał kilka minut nagrania. Prymitywne urządzenie doskonale spełniło swoje zadanie. Nagranie było polisą ubezpieczeniową Rhinelandera.

Włożył taśmę do kieszeni i wyszedł na balkon. W dole widać było połyskujący niesamowitym blaskiem niebieski prostokąt, opustoszałego o tej porze basenu. Z restauracji dobiegały śmiechy i odgłosy rozmów, a z oddali płynął przytłumiony huk rozbijających się o

brzeg fal.

Taśma była niezmiernie ważnym dowodem, zwłaszcza teraz, kiedy Rhinelandier wiedział już co Cooper knuje. Nie ulegało wątpliwości, że człowiek tego pokroju nie zdawał się na ślepy los. Zatrószył się więc o to, żeby mieć kogoś w odwodzie, kto po zakończeniu operacji, pozaciera wszystkie ślady bez względu na jej wynik.

Wpatrywał się w basen i zaczął rozmyślać o rafie. Należała już do przeszłości. Cooper ją odszukał i tym samym zniszczył. Dlatego Rhinelandier nie miał wyboru. Jeśli dojdzie do wniosku, że zadanie jest wykonalne, będzie musiał to zrobić. Jeżeli zaś przeżyje, znów stanie się kimś innym, wybierze się w inne miejsce i tym razem zniknie na zawsze.

## Rozdział 9

Siergiej Julewicz Kuriochin wyglądając przez okno swojego mieszkania na drugim piętrze budynku przy ulicy Żdanowa w Moskwie, zawiązał krawat na chudej, pomarszczonej szyi. Z czystego nieba promieniało słońce i sądząc po lekkich ubraniach noszonych przez nielicznych przechodniów, było ciepło. Minęła dziewiąta i tłumy zdążające do stacji metra na placu Dzierżyńskiego już mocno się przerzedziły. Siwowłosy, lekko przygarbiony starzec odetchnął głęboko i uśmiechnął się ciepło. Pod mieszkaniem, które zajmował od ponad czterdziestu lat, znajdowała się „Cafe Sardyna”. W powietrzu unosił się zapach, który wskazywał, że tego dnia kucharze przygotowywali *pielmeni* - ostre pierogi z mięsem, zwykle podawane w warzywnym bulionie. Kuriochin postanowił, że zanim pójdzie do pracy, zamówi porcyjkę na kolację. Założył marynarkę o dawno niemodnym kroju i przejrzał się w lustrze na drzwiach szafy. Może i był stary, tego nie dało się ukryć, ale za to elegancki, jak mało kto! Kuriochin włożył lucky strike'a w staromodną bursztynową firkę i zapalił go zapalniczką, skonfiskowaną zestrzelonemu w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku nad Związkiem Radzieckim pilotowi U-2 - Gary'emu Powersowi. Starszy człowiek zaciągnął się

głęboko i radośnie uśmiechnął. *Pielmieni*. Ten dzień dobrze się zapowiadał.

Opuścił mieszkanie na poddaszu i złożył zamówienie u właściciela kawiarni.

Przeszedł potem przez wąską ulicę i skierował kroki do pięciogwiazdkowego hotelu „Berlin”.

Po raz kolejny podziękował niebiosom za korzystne usytuowanie swojego mieszkania. Hotel gościł głównie turystów z zagranicy i w kiosku Kuriochin mógł za waluty wymienialne kupować swoje ulubione papierosy.

Po dokonaniu zakupu, Kuriochin wyszedł z hotelu, mrużąc przed słońcem ukryte za grubymi szklami oczy. Nucąc pod nosem zaimprovizowaną melodyjkę, ruszył w stronę stacji metra na placu Dzierżyńskiego. Przy wejściu zerknął na niski budynek z różowego kamienia po przeciwnej stronie placu. Dawniej mieściło się tam centrum kierowania wszystkimi operacjami KGB. W miarę upływu czasu gmach ten stał się za mały, nawet gdy korzystano z blokhauzu po lewej i budynku dobudowanego po prawej stronie placu.

Kuriochin zjechał na dół ruchomymi schodami i wsiadł do pociągu jadącego w kierunku południowym. Jako szef Pierwszego Departamentu Pierwszego Zarządu Głównego, mógł korzystać z limuzyny z tablicą rejestracyjną MOC z osobistym szoferem, ale on wolał usługi transportu publicznego. Kierowca z KGB prawdopodobnie dorabiałby sobie szpiegowaniem dla innych agencji. W samochodach bez trudu można było założyć podsłuch, a poza tym piętnastominutowa jazda metrem pod rzeką Moskwą i prospektem Lenina była całkiem przyjemna.

W pociągu oprócz Kuriochina było tylko kilka wiekowych babuszek, o grubych, powykrzywianych reumatyzmem palcach, zaciśniętych na uchwytych niezliczonych papierowych i plastikowych toreb na zakupy, noszonych przez wszystkich zapobiegliwych moskiewskich konsumentów. Im dalej pociąg zagłębiał się w południowe przedmieścia Moskwy, tym bardziej pustoszał. Gdy dotarł do stacji Biełajewo, w wagonie został już tylko

Kuriochin.

Wysiadł przystanek dalej w Tęplem Stanie. Niedaleko stąd znajdowała się siedziba Pierwszego Zarządu Głównego. Budynek stacji metra, zbudowany ze szkła i stali, stał przy skrzyżowaniu K Ring, i ulicą Związków Zawodowych. Był to jedyny gmach w promieniu czterystu metrów. Oprócz ciężarówek na K Ring w okolicy nie było żadnych innych samochodów. Jak zwykle, pod stacją czekał jeden z ciemnozielonych minibusów, których jedynym zadaniem było wożenie pracowników Pierwszego Zarządu Głównego.

Kuriochin okazał przepustkę i wszedł do minibusu. Po chwili wóz ruszył i skierował się na południe, by następnie zjechać z wielopoziomowego skrzyżowania otaczającego K Ring. Wąska droga wiodła na zachód, do sosnowego lasu, który, jak się wydawało, znajdował się na zupełnym odludziu.

Nie zważając na zakaz palenia, zapalił kolejnego lucky strike'a i podziwiał widoki, świadom, że wkrótce krajobraz się zmieni. Po chwili wóz wjechał na rozległą polanę, ciągnącą się na niemal czterysta metrów we wszystkie strony. W jej centrum wznosił się ponad czubki drzew, niczym wytwór pozaziemskiej cywilizacji, ośmiopiętrowy gmach złożony z trzech skrzydeł. Tworzył wzór, który z góry przypominał symbol mercedesa. Pod ziemią mieściło się kolejne sześć pięter, a także doskonale zabezpieczony schron. Z płaskiego dachu budowli wyrastał las anten telekomunikacyjnych. W punkcie, w którym stykały się trzy skrzydła budynku, było jedno wolne miejsce na lądowisko dla helikopterów. Wewnątrz gmachu mogło pracować piętnaście tysięcy ludzi naraz.

Minibus zatrzymał się przy ponurym frontonie budynku. Kuriochin uprzejmie podziękował kierowcy, wysiadł i wszedł przez duże drzwi ze zbrojonego szkła do korytarza. Przy bramce z wykrywaczem metalu wręczył przepustkę uzbrojonemu i umundurowanemu oficerowi. Ten rzucił na nią okiem i skinął głową w stronę bramki. Kuriochin przeszedł przez

nią bez żadnych przygód.

Obcasy jego dokładnie wypolerowanych brytyjskich butów miarowo stukały o podłogę, na której widniał symbol KGB - miecz z tarczą. Przy windzie po prawej stronie pomieszczenia wyjął mały klucz z kieszeni kamizelki i otworzył windę. Wcisnął guzik ze znakiem B-6 i drzwi zasunęły się cicho. W normalnych okolicznościach pojechałby od razu do swojego gabinetu na ósmym piętrze, ale Baklinow, uważany za prawą rękę Kuriochina w wydziale do spraw amerykańskich, poprosił o spotkanie w „Jajku”, które w większości ambasad i budynków należących do wywiadu, było kapsułą o wielkości pokójki, odporną na wszelkiego rodzaju podsłuch. Jej wnętrze, nie dość, że odcięte od reszty świata, to również przed każdym spotkaniem było dokładnie sprawdzane, podobnie jak wszyscy uczestnicy. Kapsuła w Tęplem Stanie znajdowała się dwadzieścia osiem metrów pod ziemią, obok schronu przeciwoatomowego.

Drzwi windy otworzyły się na poziomie B-6 i Kuriochin wszedł do małego korytarza, gdzie czuwał kolejny umundurowany oficer. Pokazał mu przepustkę i skręcił w prawo. Wąski korytarz zaprowadził go do dużego, wyłożonego miedzią pomieszczenia, w którym mieściło się „Jajko”. Tutaj też był strażnik, tym razem w cywilu. Otworzył Kuriochinowi ciężkie drzwi z obitymi gumą krawędziami, po czym zamknął je za nim. Szef Pierwszego Wydziału znalazł się w małej śluzie powietrznej o ścianach ze stali. Kilka sekund później drzwi po drugiej stronie ciasnego pomieszczenia otworzyły się i Kuriochin wkroczył do „Jajki”.

Kapsuła miała sześć metrów długości i trzy i pół metra szerokości. W środku mieścił się tylko stół konferencyjny tuzin krzeseł. Ściany wykonane były z czarnej substancji przypominającej plastik, a podłogę przykrywała ciemnoniebieska wykładzina. Jedynym źródłem światła były cztery panele w suficie. Oprócz mebli, znajdowała się tu jeszcze przenośna niszczarka dokumentów oraz pojemnik z wodą. Ogólnie w pomieszczeniu

panowała ponura i klaustrofobiczna atmosfera. Za każdym razem, kiedy tu wchodził, miał wrażenie, że jest grzebany żywcem.

W środku czekał na niego Baklinow. Był średniego wzrostu, miał szerokie ramiona, a nad czołem utworzyły mu się łysiejące zakola. Ten czterdziestodwuletni mężczyzna o kwadratowej szczęce i krzaczastych brwiach przypominał raczej zapaśnika niż oficera wywiadu mającego za sobą karierę naukową.

Kuriochin siadł u szczytu stołu i przysunął do siebie dużą popielniczkę. Zerknął na zegarek. Dziesiąta trzydzieści. Od przebudzenia wypalił tylko trzy papierosy.

Niezmordowany doktor Trepów będzie zadowolony. By uczcić swoje osiągnięcie, szef wywiadu włożył do fiki czwartego lucky strike'a i zapalił.

- No i? - spytał, zwracając się do Baklinowa.

- Chodzi o raport generała Gurenki - odparł kierownik wydziału do spraw Stanów Zjednoczonych. - Miały miejsce nieprzewidziane wydarzenia.

- Słucham.

- Nasi ludzie widzieli, jak Trawkin, zastępca rezydenta GRU, wsiadał do samolotu lecącego na Barbados. Wrócił niecałe dwadzieścia cztery godziny później.

- Krótkie wakacje - mruknął Kuriochin, zaciągając się papierosem.

- Kiedy zniknięcie Trawkina wyszło na jaw, Gurenko kazał swoim ludziom obserwować lotnisko. W nocy miał przylecieć samolot z Barbadosu. Istniała możliwość, że na jego pokładzie będzie Trawkin. Jednak zamiast niego z samolotu wysiedli Hudson Cooper i jego asystent, Mallory.

- Interesujące. - Kuriochin skinął głową. Rozsiadł się w fotelu, przymknął oczy.

Papieros skierował się ku górze. - Twoim zdaniem Trawkin spotkał się na Barbadosie z Cooperem.

- Nie przychodzi mi do głowy żadne inne wytłumaczenie. - Baklinow wzruszył

ramionami. - Wydaje mi się, że Amerykanie usiłują skaptować Trawkina.

- Myślisz, że tak wysoko postawiony człowiek jak Cooper zajmowałby się tym osobiście? - zadrwił Kuriochin. - Może to i możliwe, ale bardzo mało prawdopodobne.

- A jeśli Trawkin zażądał spotkania z Cooperem? - podsunął Baklinow.

- Dlaczego miałby to zrobić? - spytał Kuriochin pochylając się. - A co ważniejsze, dlaczego Cooper miałby przystać na taki warunek? - Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

Przerwał ją Baklinow.

- Bo Trawkin miał coś do zaoferowania? - powiedział niepewnie.

- Owszem. - Kuriochin skinął głową, po czym wyjął niedopałek z fiki i zgasił go w popielniczce. - Ciekawi mnie, co takiego mógł mieć? - Wydał wargi w zamyśleniu. -

Potrzebne nam są jakieś wskazówki, fragmenty układanki.

- W swoim pierwszym raporcie towarzysz generał Gurenko wspomniał o „Osinie” - powiedział ostrożnie Baklinow.

Kuriochin potrząsnął głową.

- To nie wchodzi w grę - wycedził. - Niemożliwe, by Trawkin wiedział cokolwiek o „Osinie”. - Bezwiednie wyciągnął następnego papierosa i włożył go do fiki.

Bez wątpienia to właśnie ze względu na konieczność rozmowy o Osieni Baklinow poprosił o spotkanie w „Jajku”. O istnieniu tego agenta wiedziało zaledwie kilkunastu ludzi w całym KGB, a mniej niż połowa z nich znała jego kryptonim.

„Osini” od samego początku był człowiekiem Kuriochina. Było to jeszcze w czasach, gdy obecny szef Pierwszego Wydziału pełnił funkcję rezydenta KGB w Budapeszcie. W dużej mierze to dzięki niemu jego agent osiągnął tak wysoką pozycję w wywiadzie Stanów Zjednoczonych. Kuriochin zapalił papierosa, przygryzając sfatygowaną bursztynową fikę.



„Osin” był jego polisą ubezpieczeniową, klejnotem w koronie sukcesów i na samą myśl, że mógł zostać zdemaskowany, w duszy Kuriochina budził się głęboki niepokój.

- A ten człowiek ze szpitala wojskowego, którym Trawkin tak się zainteresował? - zasugerował Baklinow. - Może ma to jakiś związek z tym, co się stało?

- Może. - Kuriochin skinął głową. - Musimy jednak dowiedzieć się czegoś więcej.

Przydałaby się na przykład lista pacjentów, którymi opiekował się ten Barron.

- To nie powinno być trudne - odparł Baklinow. Po chwili namysłu dodał: Domyślam się, że towarzysz pułkownik Trawkin powinien być nadal obserwowany.

- Oczywiście - powiedział Kuriochin i uśmiechnął się nieznacznie. Jego szare oczy za szklami okularów wydawały się nieco blade. - Zasugeruję Gurence, żeby nie wchodził w drogę Giennadijowi Kozłowowi. I bez tego starego niedźwiedzia mamy dosyć problemów.

- Rozumiem - odparł Baklinow i przechylił lekko głowę. Po chwili zdał sobie sprawę, że spotkanie dobiegło końca i wyszedł. Pozostawił Szefa Pierwszego Wydziału samego.

- Interesujące - powiedział Kuriochin do siebie szeptem. - Ale dlaczego na Barbadosie?

Na kilka minut pogrążył się w myślach, przeszukując zakamarki pamięci. Niedawno jego uwagę zwróciło coś, co mogło mieć związek z tą sprawą, coś, co usłyszał, a może wyczytał w miesięcznym raporcie. Wreszcie przypomniał sobie o co chodziło. Wstał i skierował się do drzwi służby powietrznej. By potwierdzić swoje podejrzenia, musiał porozmawiać z Lemieszem, szefem Drugiego Wydziału, zajmującego się Ameryką Środkową.

William Arnold Ruppelt, dyrektor programu Rednet w FBI, siedział za biurkiem i uważnie słuchał Stephena Stone'a i Morta Kesslera, którzy przekazywali mu najświeższe informacje zdobyte w czasie obserwacji Trawkina. Ruppelt był idealnym pracownikiem FBI.

Miał szczęśliwą rodzinę z trójką dzieci i piętrowy dom w McLean w Wirginii. Krok po kroku pisał się po szczeblach biurokratycznej i maszyny FBI, przenosząc się z oddziału do oddziału. Powoli zdobywał punkty u swoich przełożonych, uczęszczając na wieczorowe kursy i specjalne seminaria oraz czytając wszystkie książki, które należało przeczytać. Nawet wyglądał jak typowy agent: szczupły, wysoki, krótko ostrzyżony zawsze w granatowym lub ciemnoszarym garniturze, lakierkach i w dwuogniskowych okularach, które zakładał do czytania „Washington Post”.

Za plecami Ruppelta, w wysokim, wąskim oknie, rozlegało się donośne wycie urządzenia klimatyzacyjnego. Na zewnątrz z zamglonego niebieskiego nieba lał się bezlitośnie żar. Stone się skrzywił. Nic dziwnego, że sesje Kongresu kończą się, gdy z wiśni opadają pierwsze kwiaty. To miasto nie nadaje się do zamieszkania przez ludzi w okresie letnim.

- Zdaje się, że nie bardzo rozumiem, do czego to wszystko zmierza - powiedział

Ruppelt, kiedy Stone zakończył swój raport. - Czy ten Trawkin zamierza dać się zwerbować CIA?

- Wszystko na to wskazuje - przytaknął Stone.

Connie, żona Ruppelta, zajęła się wystrojem gabinetu męża i pełno w nim było niskich mebli. Zupełnie nie pasowały do dziewiętnastowiecznych wnętrz budynku, ani do osobowości Ruppelta, który najlepiej czułby się w latach pięćdziesiątych.

- Ale dlaczego na Barbadosie? - spytał Ruppelt, marszcząc brwi.

- Wydaje nam się, że wiemy - odparł Kessler. - CIA nie ma zezwolenia na działanie na terenie Stanów Zjednoczonych. Na Barbadosie natomiast mogą robić, co chcą.

- Mimo wszystko, to kłusownictwo - zauważył Stone ze złością. - Trawkin nie jest dla każdego. To zastępca rezydenta GRU na Waszyngton i Nowy Jork. To nasza działka i Cooper

doskonale o tym wie. Informujemy CIA o naszych działaniach za pośrednictwem Komitetu

Międzyagencyjnego na mocy dyrektywy prezydenta. Cooper wie, że Trawkin jest nasz.

- Może to Trawkin się z nim skontaktował - powiedział Ruppelt pojednawczo. - Nad tym nie mamy kontroli. Powinniśmy odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego miałyby to zrobić.

- Najprawdopodobniej chodzi o sprawę z Cabrera - zasugerował Kessler, zerkając niepewnie na Stone'a.

- Cabrera? - spytał Ruppelt. - Francisco Cabrera, prezydentem Kostaryki?

- Zgadza się. - Stone skinął głową. Nie chciał poruszać tego tematu, dopóki nie będzie absolutnie pewien swego. Dobrze, że Mort wspomniał o tym w tej chwili. Jeszcze pięć minut, a Ruppelt poddałby się bez walki i rozkazał zapomnieć o Trawkinie.

- Nie bardzo rozumiem - powiedział Ruppelt, wyraźnie zbity z tropu. - Co Kostaryka ma z tym wspólnego?

- Kostaryka jest na krawędzi bankructwa - wyjaśnił mu Stone. - Sytuacja pogarsza się z roku na rok. Ostatnio Cabrera zaczął umizgiwać się do Rosjan. Chodzą słuchy, że chce im odstąpić port na Pacyfiku w zamian za wszelkiego rodzaju pomoc. Departament Stanu wie o tym i od pewnego czasu udziela wsparcia niejakiemu Juanowi Jose Morazanowi. To szef Policji Narodowej. Pięć tysięcy ludzi, wyszkolonych i uzbrojonych przez Amerykanów, to jedyne siły zbrojne w Kostaryce.

- Nadal nie rozumiem - powiedział Ruppelt.

- Kiedy szukaliśmy listy pacjentów Barrona, natknęliśmy się na coś interesującego -

ciągnął Stone. - Trzy dni przed śmiercią doktora Morazan pojawił się w szpitalu imienia Waltera Reeda. Miął tam przejść dość poważną operację żołądka. Za wszystko zapłacił Departament Stanu. Zdaje się, że Morazan jest absolwentem Akademii w West Point lub

podobnej szkoły. Wizyta była utrzymywana w tajemnicy. W gazetach nie pojawiła się żadna wzmianka na ten temat. W każdym razie, Barron jako ordynator, stanął na czele grupy zajmującej się Morazanem, choć nie przeprowadził operacji, ani nie doglądał pacjenta. - Stone zawiesił głos w nadziei, że Ruppelt sam wyciągnie odpowiednie wnioski. Nadzieja okazała się płonna.

- Mów dalej - powiedział dyrektor Rednetu.

- Morazan ma siedemdziesiąt jeden lat. Z uzyskanych przeze mnie informacji wynika, że czyni go to szczególnie podatnym na chorobę Creutzfeldta-Jakoba, którą tak interesował się Trawkin. Jeśli to prawda, że Morazan może lada dzień wpaść w stan całkowitej demencji, Departament Stanu musi zmienić plany. W tej sytuacji przygotowywany przez Coopera zamach stanu w Kostaryce straciłby sens.

- Stawia to też w innym świetle wizytę Coopera na Barbadosie - dodał Kessler i przesunął się na brzeg krzesła. - Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że spotkał się tam z kimś z Kostaryki.

- Czy w aktach doktora Barrona jest coś, co mogłoby wskazywać, że Morazan rzeczywiście zapadł na tę chorobę? - spytał Ruppelt.

- Nie da się tego stwierdzić. - Stone wzruszył ramionami. - W szpitalu nic nam nie chcą powiedzieć, a na nakaz sądowy nie mamy co liczyć, bo oficjalnie to jednostka wojskowa.

- Może powinniśmy spytać o to Trawkina - powiedział Kessler zirytowany.

Najwyraźniej cała sprawa działała mu na nerwy. - Wygląda na to, że ma lepsze znajomości w szpitalu niż my.

- Myślę, że powinniśmy na jakiś czas zawiesić tę operację - stwierdził spokojnie Ruppelt. - Nierozsądnie byłoby mieszać się w sprawy CIA.

- A to dlaczego? - odparował Stone. - Cooper bez skrupułów włazi nam w paradę.

- Tego jeszcze nie jesteśmy pewni - powiedział Ruppelt, po czym wstał i położył

dłonie na biurku. Dał im do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

- Chcę, żebyście dali sobie teraz z tym spokój. Osobiście porozmawiam o tej sprawie z Cooperem na następnym spotkaniu międzyagencyjnym.

- Czyli kiedy? - spytał Stone.

Ruppelt pochylił się i przejrzał wielki, oprawiony w skórę notatnik.

- Za dwa tygodnie - powiedział wreszcie, podnosząc głowę.

- Doskonale. - Stone westchnął ciężko i wstał. - To co mamy robić do tego czasu?

- Ostatnia kontrola wykazała, że w Waszyngtonie zarejestrowanych jest kilkuset

Rosjan - odparł Ruppelt bezbarwnym tonem. - Może oni zasługują na wasze zainteresowanie?

- Chodź, Stef - powiedział Kessler, świadom poniesionej porażki, i ruszył do drzwi. -

Zapolujemy sobie na komuchów.

Po kilku minutach spotkali się w biurze Stephena Kessler przyniósł z kantyny talerz ciastek podgrzanych w kuchence mikrofalowej oraz dwa wielkie kubki kawy. Stone nie miał ochoty najedzenie. Zapalił camela lighta i napił się kawy.

- Co robimy? - spytał i spojrzał na Kesslera siedzącego po drugiej stronie biurka.

Rudowłosy agent uniósł ramiona w geście zniechęcenia.

- Przykro mi to mówić, ale Roop ma rację. Dmitrij Aleksandrowicz nie jest jedynym

podejrzany typem w mieście. Każdego dnia co najmniej tuzin chłopców i dziewcząt od

Gurenki krąży po barach Beltway w poszukiwaniu informatorów. My natomiast nie

zweryfikowaliśmy jeszcze listy nielegalnych imigrantów pracujących dla Trawkina i

Kozłowa. Zaobraczkowanie wszystkich nowych ptaszków, które przyfrunęły w styczniu z

nowym personelem ambasady, może nam zająć całe lato.

- Robota dla statystyków - burknął Stone. - Grzebanie w papierkach.

- Ruppelt lubi takie rzeczy - odparł Kessler. - To urzędas. Wszystko robi zgodnie z przepisami. - Agent prychnął i ugryzł kawałek ciastka truskawkowego, po czym mówił dalej z pełnymi ustami. - Za nic nie podjąłby się przeprowadzenia jakiejś głośnej operacji. Umarłby ze strachu, gdyby zobaczył swoje nazwisko w „Time”.

- Pracuje tutaj osiemdziesięciu sześciu ludzi - stwierdził Stone. - Śledzą podejrzanych, robią zdjęcia i słuchają, co w trawie piszczy. Moim zadaniem jest koordynowanie ich działań i składanie raportów Ruppeltowi. Tak mówią przepisy.

- No i? - spytał Kessler.

- No i to właśnie robię prawie przez cały czas - powiedział gorzko Stone.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że zajmujemy się przede wszystkim pilnowaniem porządku i całkiem nieźle nam to wychodzi, ale raz na jakiś czas trafia nam się taki Dmitrij Aleksandrowicz Trawkin.

- Szycha. - Mort Kessler skinął głową.

- Dokładnie - powiedział Stone, wyciągając papierosa z ust. - Ktoś, kto naprawdę liczy się w tej grze. To wyzwanie. A on coś knuje, Mort. Czuję to. On coś wie, a nam przejdzie to koło nosa.

- Myślisz, że Roop odda Dmitrija Cooperowi? - spytał Kessler.

- Oczywiście. - Stone skinął głową. - W ten sposób uniknie konfrontacji i zdobędzie kilka punktów u szefostwa.

- No to co robimy? - nie ustępował Kessler. - Walczymy z systemem?

Stone usiadł. Krzesło zaskrzypiało pod jego ciężarem. Sprawami kontrwywiadu zajmowało się osiem agencji i trzynaście komitetów Państwowego Zarządu Wywiadu Zagranicznego. Był to polityczny i logistyczny labirynt, stworzony dla zawodowych

urzędników w typie Williama Ruppelta. Stephen Stone nigdy nie potrafił się w nim odnaleźć.

Doskonale wiedział, jaka jest jego pozycja w biurze. Mógł awansować tylko na stanowisko zajmowane przez Ruppelta. Nie chciał tego, ani też na to nie liczył. Zdawał sobie sprawę, że jego kariera utknęła w martwym punkcie, więc tak czy inaczej miał niewiele do stracenia. Stał wobec wyboru: albo postąpi zgodnie z poleceniem Ruppelta i wycofa się z tej sprawy, albo zachowa się jak prawdziwy glina i podąży tropem Trawkina. Wyprostował się.

- To byłoby ryzykowne - powiedział wreszcie. - Cooper jest zastępcą dyrektora do spraw operacyjnych, czyli odpowiada za wszelkie tajne działania CIA. Nie zajmowałby się osobiście Trawkinem, gdyby gra nie szła o bardzo wysoką stawkę. Cała ta sprawa cuchnie polityką.

- Myślisz, że nie chodzi tylko o Cabrerę? - spytał Kessler, wyjmując papierosa z paczki Stone'a.

- Podejrzewam, że jeśli zaczniemy szukać głębiej, możemy wplątać się w sprawy, o których lepiej byłoby nic nie wiedzieć - ostrzegł Stone. - Jeśli mamy dalej zajmować się Trawkinem, musimy robić to bardzo dyskretnie.

- To się da załatwić. - Kessler wyszczerzył zęby. - Jesteś zastępcą dyrektora. Przygotuj operację, wymyśl jej jakiś kryptonim i przydziel ją mnie. Ja zbiorę grupę ludzi, którzy potrafią trzymać język za zębami. Roop wie, że zawsze gdzieś się podziewam. Nawet nie zauważy mojej nieobecności.

- Możemy mieć kłopoty - powiedział cicho Stone. - Poważne kłopoty.

- Dajesz mi pretekst do wycofania się? - spytał Kessler.

- Chyba tak. - Stone wzruszył ramionami.

- Pieprzyć to - odparł rudowłosy agent z szerokim uśmiechem na ustach. Nie ma nic gorszego od siedzenia na lotnisku Dulles i liczenia typów z Europy Wschodniej

wylewających się z samolotów Aeroflotu. - Zgasił papierosa i wziął od Stone'a następnego.

- No to jak nazwiemy tę operację? Powinno to być coś, co spodobałoby się Roopowi.

- Zaraz sprawdzę - powiedział Stone. Odwrócił się na krześle i włączył komputer.

Podobnie jak wszystkie wydziały FBI, i Rednet korzystał z księgi kryptonimów wybieranych losowo przez komputer, a potem układanych w kolejności alfabetycznej. Wszystkie używane kryptonimy były usuwane z rejestru.

- No i? - spytał Kessler, gdy Stone zapisał na kartce nazwę, która pojawiła się na ekranie komputera.

- Idealna nazwa - odparł Stone, wyłączając urządzenie. - „Tylne Drzwi”.

Dmitrij Trawkin siedział przy stoliku w ogródku kawiarni hotelu „Georgetown Four Seasons”, położonej po drugiej stronie miasta. Popijał mrożoną herbatę. Oprócz niego było tu jeszcze tylko kilku klientów. Większość gości hotelowych wolało klimatyzowane wnętrza Aux Beaux Champs, bądź bogato udekorowane kuluary, gdzie też można było coś przekąsić. W kremowym garniturze od Armaniego i swoich ulubionych okularach przeciwsłonecznych Serengeti Driver, Trawkin wyglądał jak typowy gość hotelu „Four Seasons” i nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi poza kelnerem, który żywił nadzieję na suty napiwek. Sącząc mrożoną herbatę, pułkownik GRU skoncentrował się na leżących przed nim notatkach. Chciał jakoś uporządkować myśli przed powrotem do Radzieckiego Biura Wojskowego na Belmont Drive, gdzie miał złożyć raport ze swojej wyprawy na Barbados Kozłowski. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny udawało mu się odwlec to spotkanie. Trawkin westchnął i zapalił papierosa. Na domiar złego, niepokoiło go to, że był obserwowany.

Nie chodziło tylko o to, że ktoś go śledzi. W końcu od dawna robili to ludzie Stone'a z Rednetu i ekipa Gurenki. Jednak działania FBI i KGB były czysto rutynowe i dzięki temu



obserwatorów bez trudu dało się wypatrzeć i zgubić. Zarówno Stone, jak Gurenko nie próbowali kamuflować swoich działań. Obydwaj wiedzieli, że Trawkin jest ważną figurą i nic więcej ich nie obchodziło. Prowadzona przez nich obserwacja miała tylko dać mu do zrozumienia, że nie jest w Waszyngtonie jedynym wilkiem w owczej skórze.

Ale tym razem było inaczej. Śledzili go prawdziwi zawodowcy i gdyby nie popełnili kilku drobnych błędów, nic by o tym nie wiedział. Tak czy inaczej, dopiero koło południa zdał sobie sprawę z tego, że ktoś go obserwuje. Upłynęła kolejna godzina, zanim wypatrzył podążających jego tropem ludzi. Z upływem czasu nabrał przekonania, że nie są z FBI ani z KGB. Nie zgadzały się ani samochody, ani ubrania, ani sposób działania.

Kim zatem byli ci ludzie i czym wytłumaczyć ich nagłe zainteresowanie zastępcą rezydenta GRU? Przeciętny Amerykanin mógłby wymienić cztery czy pięć organizacji wywiadowczych, ale Trawkin był o wiele lepiej zorientowany w sytuacji. Według najnowszych badań, w Waszyngtonie prowadziły działalność dwadzieścia cztery amerykańskie tego rodzaju organizacje. Od standardowych; typu CIA, DIA czy NSA, po mniej znane grupy, jak Biuro Analizy i Wywiadu Departamentu Stanu. Do tego dochodziło co najmniej pięćdziesiąt siedem wywiadów zagranicznych, od brytyjskiej SIS, po japońskie Naicho i włoskie SISMI. Niemcy mieli BND, Francuzi DGSE, a Izraelczycy Mossad. Nawet Maroko dorobiło się własnych tajnych służb DGED. Trawkin wiedział, że może go śledzić każda z tych grup. Ale po co?

Podczas lata w Waszyngtonie nie działo się praktycznie nic. Był to czas wymiany personelu, urlopów i prac porządkowych. Nie licząc spotkań z informatorami i agentami, jedyną interesującą sprawą, jaką zajmował się Trawkin, związana była z informacjami zdobytymi w szpitalu imienia Waltera Reeda. Czy o to właśnie mogło chodzić? Trawkin zmarszczył brwi, zaciągnął się dymem i znów spojrzał na listę. Co takiego właściwie

wiedział?

Według Scanlona, urzędnika ze szpitala wojskowego, Barron poprosił o informacje o chorobie Creutzfeldta-Jakoba na dwa dni przed śmiercią. Następnego dnia wieczorem, skontaktował się z kimś z Marylandu. Jak się okazało, rozmówcą Barrona był Hudson Cooper, zastępca dyrektora CIA do spraw operacyjnych. Inny informator, tym razem pracownik firmy telekomunikacyjnej, dostarczył Trawkinowi wydruk rozmów z telefonu Coopera w Watergate z tego samego wieczoru.

Wykonał wtedy cztery telefony: dwukrotnie zadzwonił na numer do głównej siedziby CIA, potem do swojego biura w Waszyngtonie. Na koniec skontaktował się z Hollisem Macintyre'em, politykiem starej daty, wygryzionym z ekipy Tuckera. Nie ulegało wątpliwości, że coś łączy Coopera z Macintyre'em. Nic jednak ponadto nie dało się ustalić. Najdziwniejszy w tym wszystkim był niespodziewany wyjazd Coopera na Barbados w towarzystwie asystenta - Paula Mallory'ego. Jeżeli ci dwaj nie romansowali ze sobą, oznaczało to, że mieli tam do załatwienia jakieś podejrzane sprawy CIA. W dodatku starali się zachować wszystko w całkowitej tajemnicy. Pojechali z fałszywymi paszportami dyplomatycznymi.

Nie było żadnych dowodów mogących powiązać telefon od Barrona z tą krótką wycieczką na Barbados. Trawkin jednak kierując się instynktem, pojechał za Cooperem. Wyjazd okazał się niemal całkowitą klęską, co było jednym z powodów, dla których starał się uniknąć spotkania z Kozłowem. Ciężko będzie wytłumaczyć konieczność obciążenia i tak napiętego budżetu kosztami jednodniowej wycieczki na Karaiby.

Trawkin dotarł na Barbados niecałe półtorej godziny po Cooperze i Mallorym. Lecił samolotem linii BWIA z lotniska Dulles. Dyskretnie obdzielał swoich rozmówców pieniędzmi i opowiadał im najprzeróżniejsze kłamstwa. Dowiedział się, że Cooper i Mallory

zaraz po przyjeździe udali się taksówką do stosunkowo taniego hotelu „Tropicana Court”.

Taksówkarz Leon Blaize, tubylec w średnim wieku, pamiętał swoich „zdupiałych” pasażerów, ale kierownik nocnej zmiany w hotelu nie przypominał ich sobie.

Trawkin nie poddał się i delikatnie próbował wyciągnąć z niego informacje, kogo ci dwaj mogli odwiedzić. Po pewnym czasie kierownik wymienił jedno nazwisko: John Duncan, Kanadyjczyk. Człowiek ten, jak się okazało, wynajął dwa sąsiadujące pokoje, ale wyglądało na to, że nie korzystał z żadnego z nich. Według kierownika, Duncan miał ciemne włosy i był opalony jak ktoś, kto spędził dużo czasu w tropikach. Był niezłe wysportowany i wyglądał na czterdzieści parę lat. Za obydwa pokoje zapłacił gotówką.

Kolejne banknoty zmieniły właściciela i Trawkin dostał do ręki klucze do pokoiów z numerami trzynastą i czternaście. Trzynastka była czysta, ale pokój obok okazał się nieco bardziej interesujący. Trawkin niemal natychmiast zauważył pedantycznie wyciętą dziurę w ścianie i skojarzył ją z małym otworem pod gniazdkiem elektrycznym w pokoju obok.

Trzynastka była na podsłuchu, założonym prawdopodobnie przez tajemniczego pana Duncana. Po sześciu godzinach drzemki na plastikowym siedzeniu na lotnisku Grantleya Adamsa i czterech następnych w samolocie do Waszyngtonu, Dmitrij Trawkin nadal nie potrafił znaleźć racjonalnego wyjaśnienia.

Lista, którą tego ranka zabrał ze skrzynki kontaktowej Scanlona, zdawała się zawierać pewną wskazówkę. Trawkin wbił wzrok w kartkę leżącą przed nim na stole. Rzuciło mu się w oczy jedno nazwisko: Juan Jose Morazan, szef kostarykańskiej elitarniej Policji Narodowej. Według najnowszych raportów wywiadu, Morazan stanowił największe zagrożenie dla powodzenia półtajnych negocjacji na temat otwarcia dla Rosji jednego z portów kostarykańskich. Był głównym kandydatem do przejęcia władzy, gdyby doszło do przewrotu inspirowanego przez CIA. Natomiast z listy Scanlona wynikało, że Morazan został

przywieziony do szpitala imienia Waltera Reeda na operację żołądka, a oficjalnie zajął się nim doktor Barron.

Trawkin dopił mrożoną herbatę i w zamyśleniu zaczął rozgryzać kostkę lodu.

Morazan był mocno posunięty w latach, co czyniło go podatnym na chorobę Creutzfeldta-Jakoba. Bez swojego pionka CIA nie mogła przejąć kontroli nad Policją Narodową.

Trudności z wprowadzeniem w życie planu przewrotu wojskowego w Ameryce Środkowej, bez wątpienia zmusiłyby Coopera do podjęcia energicznych działań. Łatwiej dałoby się

wytłumaczyć niespodziewaną wizytę zastępcy dyrektora CIA na Barbadosie, gdyby rzeczywiście chodziło o Kostarykę. Ale co z tym wszystkim miał wspólnego Kanadyjczyk

John Duncan i dlaczego potajemnie zarejestrował przebieg spotkania z Cooperem i

Mallorym? Pułkownik GRU spojrział na zegarek. Trzecia piętnaście: pora rozpocząć grę.

Wstał i wyciągnął z kieszeni marynarki portfel. Położył na stole banknot

pięciodolarowy, i skierował się przez labirynt pustych stolików do wyjścia. Kątem oka

zauważył, że jeden z jego „opiekunów” rusza za nim. Facet średniego wzrostu, zadbany, w

dobrze skrojonym szarym garniturze, nosił ciemne okulary i wypolerowane do połysku czarne

lakierki. Na pewno nie z KGB, za niski na FBI. Trawkin w myślach nazwał go „Brooks

Brother”. Jeśli nic się nie zmieniło, „Wymięty” i „Wąsacz” będą czekali w kularach. Ci dwaj

jeździli ciemnoniebieskim thunderbirdem. W przypadku gdyby Trawkin zdecydował się iść

pieszo, „Brooks Brother” mógł pójść za nim, wspomagany przez dwóch ludzi czekających na

zewnątrz. Dobrze to obmyślili, ale to nie wystarczy.

Dmitrij Trawkin celowo wybrał hotel „Four Seasons”. Wobec braku miejsc do

parkowania w okolicy Georgetown, hotel zapewniał podziemny parking wszystkim, których

było na to stać. Trawkin godzinę wcześniej zatrzymał się przy wejściu do hotelu i dał

kierowcy dziesięć dolarów więcej: Obiecał mu następne dziesięć, jeśli dokładnie o trzeciej

piętnaście podstawia auto pod wejście do hotelu. Nawet gdyby „Wymięty” i „Wąsacz” deptali mu po piętach, to ściągnięcie samochodu z parkingu zabierze im trzy-cztery minuty, a Trawkin w tym czasie zdąży im się wymknąć. Owszem, na dłuższą metę niewiele mu to da, ale przynajmniej obserwatorzy dowiedzą się, że zostali zdemaskowani.

Kierowca hotelowy spisał się na medal i ciemnozielony Chevrolet Trawkina czekał z włączonym silnikiem przy krawężniku. Pułkownik GRU wcisnął chłopakowi dziesięć dolarów do ręki. Wśliznął się za kierownicę i szybko ruszył. Ominął wieżę zegarową przed hotelem, by po chwili włączyć się w strumień pojazdów na M Street. Kilka sekund później przedarł się przez skrzyżowanie z Dwudziestą Dziewiątą i skierował na północ, ku Q Street i mostowi Dumbarton nad Rock Creek Parkway. Póki co, wymknął się swoim opiekunom.

Część druga

Nie mam wrogów.

Dlaczego miałbym się bać?

William McKinley\*

\* Prezydent Stanów Zjednoczonych w latach 1897-1901, zginął z ręki zamachowca (przyp. tłum).

Rozdział 10

Eric Rhinelandier przyleciał do Miami Eastern Airlines z Kingston. Miał na sobie ciemnoniebieski garnitur i niósł dwie walizki w kolorze rdzy. Legitymował się kanadyjskim paszportem na nazwisko John Duncan. Według tego dokumentu, urodził się dwudziestego drugiego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku w Toronto i obecnie był dziennikarzem wolno uprawiającym zawód. Paszport został wystawiony w listopadzie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku, a jego ważność przedłużono po raz pierwszy w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego. Od tego czasu, zgodnie z

obowiązującymi w Kanadzie przepisami, powtarzano tę czynność co pięć lat. Paszport i towarzyszące mu dokumenty były autentyczne. Duncan naprawdę był dziennikarzem i pracował w Sajgonie. Zginął wraz z ośmioma niewinnymi ludźmi od wybuchu bomby przed kawiarnią.

W kilka godzin po śmierci Duncana jego pokój hotelowy został ogołoceny przez zawodowych złodziei. Wszystkie rzeczy osobiste: ubrania, portfel, aparat fotograficzny Nikon, maszyna do pisania Olivetti Lettera 22 i paszport - trafiły na czarny rynek.

W normalnych okolicznościach, po upływie określonego czasu, dokumenty stawały się bezużyteczne. Duncan jednak nie miał bliskich krewnych, ani stałego zatrudnienia, więc rząd kanadyjski zapomniał o jego paszporcie. Rhineland kupił dokument wraz z portfelem w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku w Kambodży. Rok później przedłużył jego ważność w ambasadzie kanadyjskiej w Bangkoku. Do stwierdzenia tożsamości wystarczył odnaleziony w portfelu Duncana akt urodzenia. Zrobił też nowe zdjęcia do paszportu, na których miał brodę.

Od tamtej pory za każdym razem przedłużał paszport na kilka miesięcy przed upływem terminu ważności i dostarczał nowe zdjęcia. Wykonując zadanie, z reguły posługiwał się kilkoma nazwiskami. Paszport Duncana służył mu tylko do podróży. Rzadko z niego korzystał, zachowując go na czarną godzinę.

Teraz jednak nie mógł już mieć z niego więcej korzyści. Mallory zdemaskował go w Paryżu i odszukał na Jamajce. Musiał sprawić sobie nową tożsamość, ponieważ wymagało tego zadanie, którego miał się podjąć. John Duncan, zmieciony z powierzchni ziemi po wybuchu w Sajgonie przed ponad dwudziestu laty, miał zniknąć po raz kolejny.

Rhineland zarezerwował telefonicznie pokój w hotelu „Fontainebleau”. Wyrwał się z tłumu przelewającego się przez ogromną halę lotniska i poszedł na postój taksówek.

Kwadrans później jechał już do Miami w klimatyzowanym, wygodnym samochodzie.

Kierowca, Kubańczyk z Little Havana, spróbował nawiązać z nim rozmowę, ale Rhinelandier odpowiedział mu po niemiecku i reszta podróży upłynęła w całkowitej ciszy.

Samochód ruszył na wschód Airport Expressway. Za wielopoziomowym skrzyżowaniem w Moore Park zjechał na Florida 112, w stronę plaży przy Stearns Park.

Taksówka włączyła się w strumień samochodów kierujących się do Miami Beach, skręciła w betonowe kaniony Collins Avenue i wreszcie zatrzymała się przed „Fontainebleau”. Olbrzymi hotel z ponad tysiącem pokoi był idealną kryjówką dla Rhinelandera. Był całkowicie anonimowy tylko za sto pięćdziesiąt dolarów za dobę.

Przemierzył monumentalne kuluary, ozdobione charakterystycznymi żyrandolami i zgłosił się w recepcji. Wynajął tam samochód i poszedł na górę. Pokój na siedemnastym piętrze był mały, typowy dla hoteli na całym świecie. Okno wychodziło na Ocean Atlantycki i skąpaną w słońcu plażę. Rhinelandier zamówił kawę i lokalne wydanie „Heralda”, po czym zaczął się rozpakowywać. Choć już dawno przezornie pousuwał z nich wszelkie metki, ubrania wkrótce miały zniknąć, razem z paszportem Duncana.

Wkrótce obsługa przyniosła kawę i gazetę. Usiadł przy stoliku pod oknem, zapalił papierosa i wziął się do pracy. Otworzył gazetę na stronie z nekrologami i zaczął je uważnie studiować.

W powieści Dzień Szakala Fredericka Forsytha anonimowy zabójca, chcąc zdobyć nowe dokumenty, złożył wniosek o przyznanie paszportu pod nazwiskiem zmarłego przed wieloma laty dziecka. Fabuła posuwa się naprzód głównie dzięki przedstawionym przez autora rozmaitym błędom i niedopatrzeniom urzędników, a także naiwnym i prymitywnym środkom bezpieczeństwa na lotniskach międzynarodowych i przejściach granicznych.

Rhinelandier, któremu powieść bardzo się podobała, wiedział, że czasy „Szakala” dawno

odeszły.

Miałby duże kłopoty, gdyby starał się zdobyć nowe dokumenty tak, jak opisywał to Forsyth. Takie były konsekwencje komputeryzacji i centralizacji danych. Poza tym, problem ten dało się rozwiązać w o wiele prostszy sposób.

Rhinelandier miał już trzech kandydatów. Najbardziej obiecująco prezentował się nekrolog pana Holta.

HOLT, GAVIN. Zmarł nagle w Miami w wieku czterdziestu trzech lat. Jedyne syn George'a i Elwiry Holtów z Valdosta w stanie Wisconsin. Obydwoje rodzice nie żyją.

Znajomi mogą pożegnać się ze zmarłym w domu pogrzebowym Baxter and Styles, 3205 NW 11th Avenue. Ceremonia pogrzebowa odbędzie się siedemnastego lipca o czternastej.

Kremacja i pochówek nastąpi na cmentarzu Southern Memorial Park, NE 151 ul., North Miami. Zamiast kwiatów, prosimy o wpłaty na konto Amerykańskiego Stowarzyszenia Pomocy Chorym na Serce.

W książce telefonicznej figurował tylko jeden G. Holt, zamieszkały na Biscayne Boulevard. Rhinelandier wykręcił numer i po kilku minutach oczekiwania odłożył słuchawkę. Holta najwyraźniej nie było w domu. Następnie zadzwonił do zarządcy cmentarza Southern Memorial Park. Okazało się, że Southern Memorial oddalony jest o dwadzieścia cztery kilometry od centrum miasta i znajduje się na granicy z sąsiednimi okręgami.

Zerknął na zegarek. Była trzynasta. Ceremonia pogrzebowa potrwa około godziny, a zanim procesja dotrze do cmentarza, upłynie kolejna godzina. Miał więc trzy do pięciu godzin na wszystko. Wystarczy. Zadzwonił do recepcji i poprosił o podstawienie wynajętego samochodu. Przebrał się w dżinsy, tenisówki, białą koszulę i brązową skórzaną kurtkę. Następnie zdjął poszwy ze wszystkich czterech poduszek leżących na dużym łożu i wcisnął je do jasnożółtej nylonowej torby. Wziął ze sobą też aparat fotograficzny Nikon F2,



teleobiektyw i parę cienkich rękawiczek.

Z torbą w ręku wyszedł z pokoju i zjechał windą na dół. W kiosku kupił atlas Miami, a w kwiaciarni tuzin herbacianych róż. Z pakunkami w rękach skierował się do wyjścia. Przed hotelem czekał już wynajęty ciemnoniebieski pontiac tempest z klimatyzacją.

Wręczył napiwek chłopakowi parkującemu samochody. Włożył pakunki do bagażnika, usiadł za kierownicą i ruszył. Po przejechaniu niecałych dwustu metrów, zatrzymał wóz na parkingu przy Indian Beach. Włączył klimatyzację i przez następne dziesięć minut oglądał atlas samochodowy. Usiłował dokładnie określić swoje położenie.

Według mapy, Holt mieszkał tuż niedaleko Dolphin Expressway, naprzeciw Parku Dwóchsetlecia. Zazaczył to miejsce mazakiem, po czym wysiadł i otworzył bagażnik. Bez pośpiechu rozwiązał wstążkę na pudle z różami i wysypał kwiaty. Następnie odchylił matę przykrywającą koło zapasowe i wyciągnął podnośnik. Włożył go do opróżnionego pudła razem z poszwami z poduszek, po czym pieczołowicie przewiązał pudło wstążką i wsiadł z powrotem do samochodu.

Ruszył na południe Collins Avenue, która zawiodła go do dzielnicy Art Deco, pełnej hotelików z lat trzydziestych i czterdziestych. W słońcu połyskiwały iglice hotelu „Plymouth” i pomalowana w pomarańczowe pasy fasada „Essex”. Na skrzyżowaniu z Piątą Ulicą Rhineland skrzył na zachód i włączył się w strumień samochodów jadących Mac Arthur Causeway na drugi brzeg. Po dwudziestu minutach dotarł na miejsce. Zaparkował wóz na Jedenastej i ponownie otworzył bagażnik. Zdjął kurtkę, otworzył torbę, wyjął aparat i przykręcił teleobiektyw.

Mieszkanie Holta mieściło się w białym wieżowcu o nazwie „Foxfire”. Był to prostokątny, piętnastopiętrowy gmach z parkingiem i podziemnym garażem. Rhineland wziął aparat fotograficzny, przeszedł na drugą stronę Biscayne Boulevard, gdzie rozciągał się

opadający ku wodzie Park Dwóchsetlecia. O tej porze dnia było tam wielu ludzi. Ścieżkami przechadzały się matki z wózkami i pracownicy pobliskich firm korzystający z przerwy na lunch. Wśród dorosłych, niczym kolorowe ryby pływające w akwarium, przemykały na rolkach i deskorolkach bosonogie dzieci ubrane w błyszczące satynowe szorty z zawiązanymi chustami na szyi.

Wokół przystani przylegającej do parku cumowały łodzie, a w oddali wznosiły się białe kadłuby statków wycieczkowych zacumowanych w porcie w Miami. Rhinelandier znalazł wolną ławkę i usiadł. Przez kilka minut udawał, że robi zdjęcia, po czym odwrócił się twarzą w stronę Biscayne Boulevard i wieżowca „Foxfire”. Wzbudziłby podejrzenia, gdyby przyniósł do parku teleskop albo lornetkę. Na człowieka z aparatem fotograficznym nikt nie zwracał uwagi.

Mrużąc oczy, wycelował teleobiektyw w główne wejście do budynku i ustawił ostrość. Następnie poruszył aparatem, jakby starał się uzyskać idealne ujęcie i wcisnął wyzwalacz. Wyglądało na to, że w „Foxfire” nie było strażnika, albo zrobił sobie przerwę. Do budynku wchodziło się przez parę oszklonych drzwi. Między pierwszymi a drugimi znajdowały się skrzynki pocztowe oraz domofon. Ktoś na pewno by otworzył, gdyby wcisnąć kilka guzików, ale lokatorzy mogliby przypomnieć sobie później tajemniczą wizytę.

Rhinelandier wstał powoli i ruszył ścieżką z powrotem w kierunku ulicy. Przeszedł na drugą stronę, skręcił w lewo i pewnym krokiem wszedł głównym wejściem do budynku. Odszukał pod numerem tysiąc sto szesnastym nazwisko Holta. Było to jedenaste piętro. Odwrócił się na pięcie i wyszedł na zewnątrz. Czuł, że zaczyna oblewać go pot. Na Jamajce powietrze było gorące, ale suche dzięki chłodnym wiatrom znad morza. Tutaj upał był nie do zniesienia. Każdy oddech pozostawiał w nozdrzach ledwo wyczuwalny fetor zgnilizny.

Zmarszczył brwi; im szybciej wyjedzie z Miami, tym lepiej.

Podszedł do samochodu, włożył do bagażnika aparat i wyjął przewiązane wstążką pudło z „rózami”. Zamiast ponownie podejść do budynku od frontu, przeszedł kawałek ulicą Dziesiątą, po czym skręcił na Pierwszą Aleję, która zawiodła go do skrzyżowania z szeroką aleją prowadzącą na tyły wieżowca „Foxfire”. Od tej strony budynek nie prezentował się już tak korzystnie. Stały tu przeładowane pojemniki na śmieci, a asfalt na parkingu był popękany i prowizorycznie załatany w kilku miejscach. Droga biegnąca w dół prowadziła do sfatygowanej metalowej bramy podziemnego garażu. Wisiał nad nią napis, który przypominał lokatorom, że nawet gdy drzwi są otwarte, każdy lokator powinien użyć klucza. Z lewej strony stał słup, na którym umieszczony był specjalny zamek.

Wspiął się na parking, położył pudło na ziemi i zapalił papierosa. Oparł się o balustradę i czekał. Pięć minut później nadjechał samochód. Zjechał na biegnącą w dół rampę i zatrzymał się przy słupie. Kierowca otworzył okno, włożył klucz do zamka i po kilku sekundach rozległo się skrzypienie charakterystyczne przy otwieraniu bramy garażu.

Rhineland zerknął na zegarek i wychylił się przez balustradę, kiedy samochód znów ruszył. Wóz zniknął w podziemiach budynku i brama garażu zaczęła się zamykać. Wszystko trwało dwadzieścia jeden sekund - mnóstwo czasu.

Po dziesięciu minutach pojawił się następny samochód. Rhineland podniósł z ziemi pudło i zaczął schodzić w dół. Kierowca drugiego samochodu już przekręcał klucz w zamku. Gdy znalazł się w alei, Rhineland odwrócił się do niego plecami i ruszył przed siebie, nasłuchując odgłosu otwierającej się bramy. Powoli policzył do dziesięciu, dając kierowcy dość czasu, by wjechał do środka, po czym odwrócił się na pięcie i zerwał do biegu. Wpadł do wnętrza garażu tuż przed zamykającą się bramą. Zmrużył oczy i wypatrzył w ciemności tylne światła samochodu, dzięki któremu tu się dostał.

Schował się w cieniu betonowego słupa i zaczekał, aż kierowca zaparkuje wóz i

wysiadzie. Następnie wychylił się i obserwował nieznanego, który podszedł do oświetlonych wind. Większość lamp fluorescencyjnych, które teoretycznie powinny oświetlać wnętrze garażu, nie świeciła.

Mężczyzna zniknął w windzie. Rhinelande odczekał jeszcze kilka sekund, po czym ruszył przed siebie lekkim krokiem. Gdyby teraz ktoś go zauważył, uznałby, że jest właścicielem jednego z zaparkowanych tu samochodów. Przywołał windę. Po chwili światelko zgasło, zadzwonił dzwonek i otworzyły się drzwi po prawej stronie. Rhinelande wszedł do środka i wcisnął guzik jedenastego piętra.

Po drodze winda nie zatrzymała się ani razu. Wysiadł i rozejrzał się. Podłogi na jedenastym piętrze przykryte były ciemnoniebieską wykładziną, a kremowe ściany wyglądały na niedawno pomalowane. Między mieszkaniami do ścian przymocowane były kinkiety, a w powietrzu unosił się słaby zapach odświeżacza powietrza. Ktoś starał się, żeby wnętrze budynku, w odróżnieniu od parkingu, prezentowało się przyzwoicie.

Mieszkanie Holta znajdowało się na końcu korytarza, naprzeciw drzwi na klatkę schodową. Doskonale - pomyślał Rhinelande, tylko jeden sąsiad przez ścianę. Błyskawicznie wyciągnął podnośnik z pudła i ustawił go w poprzek drzwi tak, by jeden koniec znalazł się przy samej framudze, tuż nad klamką. Wtedy wsunął zwinięte poszwy między koniec podnośnika a metalową framugę. Przytrzymał całość i kręcił korbą, aż lewar utkwiał w drzwiach.

Technika, jaką się posłużył, była dobrze znana agentom ubezpieczeniowym i pracownikom biur ochrony, ale rzadko wspomniano o niej potencjalnym nabywcom domów.

Rhinelande doskonale wiedział, że nowoczesne metody stosowane w budownictwie pozostawiają wiele do życzenia. Otóż, aby uniknąć komplikacji i umożliwić kupowanie drzwi razem z framugą, wykuwa się zwykle o parę centymetrów większy otwór na drzwi.

Między krawędziami otworu a framugą powstaje szczelina, kiedy drzwi zostają wstawione. Wkłada się w nią w kilku miejscach drewniane kliny, a pozostałą część wypełnia tynkiem. Po pewnym czasie kliny luzują się w wyniku otwierania i zamykania drzwi i wokół framugi tworzy się pusta przestrzeń.

Wtedy trzeba lekko odgiąć framugę za pomocą podnośnika. W przypadku drzwi Holta wystarczyło odchylić ją o dwa centymetry. Zamek był całkiem solidny, ale nie miało to żadnego znaczenia. Po czterdziestu dwóch sekundach od chwili, kiedy Rhinelandier włożył podnośnik we framugę, drzwi otworzyły się same.

Rozejrzał się raz jeszcze, po czym nogą wepchnął pudło do mieszkania. Następnie wyjął podnośnik oraz poszwy z framugi i wszedł do przedpokoju. Zamknął za sobą drzwi i przytrzymał je, żeby framuga powróciła do swojej pierwotnej pozycji. Potem położył podnośnik, poszwy i pudło na niskim drewnianym stole i zaczął oglądać mieszkanie.

Apartament Holta był duży i słoneczny. Po lewej stronie od drzwi wejściowych znajdowała się mała kuchnia, a po prawej ubikacja. Na wprost był salon z balkonem wychodzącym na Biscayne Boulevard i park po drugiej stronie ulicy. Między salonem a jadalnią znajdowała się sypialnia z łazienką oraz krótki korytarz prowadzący do gabinetu, zajmującego róg budynku.

Podłogi, poza łazienkami i kuchnią, przykrywała ciemnoszara wykładzina. Ściany były białe, tylko sypialnię pomalowano na intensywny zielony kolor. Mieszkanie umeblowane było w stylu charakterystycznym dla epoki przemysłowej: czarne, lakierowane lampy stojące; skórzane i chromowane fotele oraz tapczany; marmurowa płyta na sonotubie w pastelowych barwach. Dużą część wyłożonej ciemnoniebieskim laminowanym tworzywem kuchni zajmowała wielka czarna lodówka z podwójnymi drzwiami.

O głównym lokatorze mieszkania najwięcej jednak mówił gabinet. Dwie ściany

zastawione były szafami pełnymi książek. Przy trzeciej stał komputer, stół kreślarski i szafki na dokumenty; czwartą natomiast w większej części zajmowało okno. Wystarczyło rzucić okiem na grzbiety książek i teczek, by odgadnąć zawód Gavina Holta. Był architektem, specjalizującym się w projektowaniu małych i średniej wielkości placówek medycznych, takich jak kliniki i domy spokojnej starości. Przeglądając zawartość teczek, Rhinelandier odnalazł adres biura Holta w CenTrust Tower. Drogie meble i nowoczesny sprzęt komputerowy wskazywały, że nieboszczykowi nieźle się wiodło.

W teczce z napisem „Finanse” znajdowała się starannie sporządzona lista osobistych numerów identyfikacyjnych, umożliwiających korzystanie z kilku kart kredytowych i gotówkowych, oraz aktualne wyciągi z konta i rachunki. Wyglądało na to, że wszystkie karty są ważne. Zapisał PIN-y na kartce wyrwanej z notesu leżącego na biurku i schował ją do kieszeni. Na innej teczce widniał napis „Sprawy urzędowe”, ale nie było w niej testamentu. Jego majątkiem dysponował będzie syndyk wyznaczony przez władze okręgu Dade; jeśli Holt przed śmiercią nie spisał ostatniej woli. Zanim wszystkie sprawy zostaną uporządkowane, upłynie ładnych parę tygodni, a może nawet miesiący. Rhinelandier z zadowoleniem pokiwał głową.

Aktówka Holta stała między stołem kreślarskim a szafką. Było w niej kilka pism handlowych, notatnik z adresami, parę długopisów, a w tylnej kieszeni paszport. Obejrzał zdjęcie nieboszczyka. Miał szczupłą twarz, mizerny wąsik i wysokie czoło. W najmniejszym stopniu nie przypominał Rhinelandera, ale z samego rysopisu nie można było jednoznacznie tego stwierdzić: „Włosy - ciemnobrązowe, oczy - niebieskie, sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu”. Po zamianie zdjęcia w paszporcie Holta na fotografię z paszportu Duncana, wszystko by się zgadzało. Schował dokument z powrotem do aktówki, dorzucił kilka kartek wyjętych na chybił trafił z szafki, parę książek i zaniósł teczkę do sypialni.

Przystąpił też do przeszukania pokoju. Nauczony doświadczeniem, robił to powoli i metodycznie. W szafie znajdującej się w sypialni wisiał tuzin uszytych na zamówienie garniturów i kilka lekkich kurtek. Na półkach leżały złożone i zapakowane w plastik koszule, na którym widniała nazwa miejscowej pralni. Na dole były ustawione w szeregu buty. Stał tu też worek pełen kijów golfowych, hantle oraz skórzana torba, w której znajdowała się rakietka do squasha marki Slazenger, zaplombowana puszka z piłkami oraz okulary ochronne, na pierwszy rzut oka dość drogie. Rakietka wyglądała na nową, a kije golfowe były mocno sfatygowane.

Przeszukał też kieszenie garniturów i w drugim z lewej znalazł to, na czym mu szczególnie zależało: klucze i portfel Gavina Holta, zawierający karty kredytowe, prawo jazdy, kartę ubezpieczenia społecznego, kartę biblioteczną z MetroDade Cultural Center oraz dowód kupna sportowego samochodu marki Austin Healy, rocznik tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty siódmy. Z portfelem w dłoni, Rhinelander rozejrzał się po pokoju, przypominając sobie treść nekrologu.

Wpłaty na konto Amerykańskiego Stowarzyszenia Pomocy Chorym na Serce. Holt najprawdopodobniej umarł w tym mieszkaniu na atak serca. Ciało odnalazł sąsiad, znajomy albo kolega z pracy i to on zajął się organizacją pochówku. W domu pogrzebowym nie trzeba okazywać dokumentów denata. Z tego, co wiedział, ludzi nie grzebało się z portfelami i paszportami. Prawdopodobnie przez dłuższy czas nikt nie zauważył zniknięcia portfela i jego zawartości.

Rhinelander wcisnął go do kieszeni spodni i szukał dalej. Złota zapalniczka Dunhill z wygrawerowanymi inicjałami G.H., paczka zapalek z restauracji Joe's Stone Crab w Miami Beach, pół paczki cukierków miętowych i długopis marki Cross. Wziął wszystko. Na koniec wyciągnął z szafy worek z kijami golfowymi i dużą czarną walizkę, do której wrzucił to, co

znalazł w kieszeniach ubrań Holta, po czym ponownie podszedł do szafy. Sprawdził rozmiary koszul i uznał, że będą na niego pasować. Kilka z nich włożył do walizki. Potem przeszukał szafkę stojącą przy łóżku i zabrał z niej majtki, ciemne skarpetki, dwie pary spinek do mankietów i kilka chusteczek. Podobnie jak na zapalnicze, na chusteczkach i spinkach widniały inicjały właściciela.

Następnie Rhineland zamykał walizkę i po raz ostatni rozejrzył się po pokoju.

Wszystko wyglądało tak jak przedtem. Usatysfakcjonowany, podniósł walizkę oraz worek z kijami golfowymi i zaniósł je do przedpokoju. Spojrzał na zegarek. Druga trzydzieści. Spędził w mieszkaniu Holta nieco ponad pół godziny - zostało jeszcze dużo czasu. Wrócił do gabinetu, usiadł przy biurku i grzebał po szufladach dotąd, aż znalazł książkę telefoniczną.

Odszukał numer biura Wydziału Komunikacji, które mieściło się w Metro Dade

Center przy Pierwszej i tam zadzwonił. Trzy razy odsyłano go do innych wydziałów, zanim uzyskał potrzebną informację. W wypadku zgubienia prawa jazdy, można było wyrobić sobie duplikat od ręki, ale pod warunkiem posiadania świadectwa urodzenia, numeru ubezpieczenia społecznego i numeru zgubionego prawa jazdy. Rhineland, zadowolony, odłożył słuchawkę i wstał. Jeśli nie pojawią się nieprzewidziane trudności, jeszcze tego dnia będzie miał dowód tożsamości.

Po piętnastu minutach upewnił się, że nie zostawił po sobie żadnych śladów i wyszedł z budynku, tym razem frontowymi drzwiami. W ręku trzymał walizkę, a przez ramię przewiesił worek z kijami golfowymi. Wyglądał jak typowy mieszkaniec Miami z perspektywą wakacji na polu golfowym. Podszedł do samochodu, wrzucił wszystko do bagażnika, wyjął podnośnik z worka i odłożył go na miejsce. Następnie zamknął klapę, usiadł za kierownicą i włączył silnik oraz klimatyzację.

Zapalając papierosa, raz jeszcze zajrzał do atlasu i odszukał Metro-Dade Center.



Zaznaczył to miejsce, po czym zjechał na ulicę. Godzinę później, już z nowym prawem jazdy, skierował się do Miami Beach i hotelu „Fountainbleau”.

Następnego ranka zwrócił wynajęty samochód, wyprowadził się z hotelu i pojechał na lotnisko. W jednej z ubikacji w sali przylotów zniszczył wszystkie dokumenty Johna Duncana, z paszportem włącznie, wrzucił szczątki do sedesu i spuścił wodę.

Wrócił do zatłoczonej hali, podszedł do bankomatu Citibanku i wsunął MasterCard Holta do otworu. Następnie wpisał kod z listy znalezionej w mieszkaniu nieboszczyka. Maszyna posłusznie wypluła dwieście dolarów. Schował banknoty i kartę do portfela Holta. Skoro MasterCard nie została skasowana, z innych kart zapewne też można było swobodnie korzystać.

Rhineland skierował kroki do budki American Express i kupił czeki podróżne za trzy tysiące dolarów - połowę maksymalnej kwoty, jaką mógł wydać ze złotej karty Holta. Transakcja przebiegła bez żadnych problemów. Z czekami podróżnymi w portfelu wrócił do przedstawicielstwa firmy Hertz i wynajął czarnego lincolna continental z klimatyzacją. Oczekując na podstawienie samochodu, zapisał sobie instrukcje, jakie wraz z mapą Florydy otrzymał od recepcjonisty. Pięć minut później jechał już na wschód Airport Expressway. Po upływie kolejnego kwadransa dotarł do skrzyżowania z autostradą 95 i skierował się na północ, gdzie znajdował się kolejny przystanek na jego rozkładzie: Palm Beach i hotel „Breakers”.

## Rozdział 11

Waszyngtońskie „Au Pied de Cochon” to francuskie bistro na Wisconsin Avenue między Dumbarton a N Street. W tej okolicy znajduje się kilka innych francuskich restauracji, jak choćby „Aux Fruits De Mer”, czy „Georgetown Bar and Grill”, ale tylko „Au Pied” otwarte jest dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jedzenie jest tanie i stosunkowo niezłe,

obsługa przyzwoita, a quasi-francuskiej atmosfery lokalowi przydają ogródek na zewnątrz, obity blachą kontuar, obrusy w kratkę i kawa ze śmietanką serwowana w ogromnych filiżankach. To właśnie w tej przytulnej knajpce na przestrzeni lat Amerykanom udało się skłonić kilku sowieckich agentów, by przeszli na ich stronę. Fakt ten upamiętniała mosiężna tabliczka wisząca obok drzwi.

- CIA to dzieci - zauważył generał Giennadij Kozłow. Rezydent GRU wrzucił do ust kawałek rogalika i popił go kawą. Mrużąc oczy przed słońcem, obserwował paradujących po chodniku turystów, którzy wcześniej rozpoczęli dzień. Kozłow potrząsnął głową. - Jurczenko był tu na kolacji z eskortującymi go agentami CIA, a oni pozwolili mu odejść. - Kozłow wybuchnął rubasznym śmiechem i zjadł kolejny kawałek rogalika. - Facet jakby nigdy nic, wrócił pieszko do naszej ambasady!

Witalij Jurczenko, zastępca Siergieja Kuriochina w Pierwszym Zarządzie Głównym, „przeszedł na drugą stronę” w sierpniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku w Rzymie. Po trzech miesiącach powrócił do swoich poprzednich pracodawców i zorganizował w Waszyngtonie konferencję prasową, podczas której twierdził, że został porwany i nafaszerowany narkotykami przez Amerykanów. Incydent ten skompromitował CIA w oczach opinii publicznej i był majstersztykiem dezinformacji w wykonaniu Kuriochina i KGB.

- Myślę, że nie docenia pan CIA - powiedział Trawkin, zapalając papierosa. Jak dotąd, nie tknął kawy. - U nich po prostu obowiązują inne zasady. Jurczenko oficjalnie był uciekinierem, nie więźniem. Jego opiekunowie mogli zatrzymać go tylko siłą.

- Byli głupcami! - mruknął przełożony Trawkina. - Cała ta sprawa dowiodła niekompetencji Amerykanów. CIA od lat bezskutecznie próbowała wytropić legendarną już wtyczkę Kuriochina w swoich szeregach i w końcu doszła do wniosku, że taki agent nie

istnieje. Kiedy Jurczenko przeszedł ponownie na naszą stronę, wszelkie informacje, które przekazał CIA, straciły swoją wartość. Amerykanie wobec tego przyjęli założenie, że od początku kłamał i w związku z tym w ich szeregach naprawdę działa dobrze zakamuflowany agent. Mit jest podtrzymywany, paranoja CIA narasta i coraz więcej czasu, pieniędzy i wysiłku marnuje się na poszukiwania wpływowego agenta, który nie istnieje. To absurd!

- Wysoko pan ceni towarzysza Kuriochina - powiedział Trawkin.

- Bardzo wysoko - odparł Kozłow. - Nasz dobry znajomy Siergiej wyniósł sztukę kłamstwa na prawdziwe wyżyny. - Wzruszył ramionami. - Zresztą, cóż w tym dziwnego - spytał retorycznie - skoro ma w CIA i FBI publiczność gotową uwierzyć w każdą bzdurę, jaką wymyśli?

- A co z Cooperem? - Trawkin skierował rozmowę na właściwe tory.

- Dmitriju Aleksandrowiczu, nie usłyszałem od ciebie nic, poza kilkoma niepowiązanymi faktami i domysłami - odparł Kozłow. - To zdecydowanie za mało, żebym przystąpił do działania. Zmarszczył krzaczaste brwi i potarł zarośnięty policzek. - A szczerze mówiąc, Dmitriju, twoja ostatnia wyprawa na Barbados każe mi wątpić w twoją wiarygodność.

- Była konieczna - stwierdził Trawkin. Odsunął filiżankę z kawą i pochylił się nad stołem. - Potwierdzają to najświeższe informacje.

- Naprawdę? - spytał Kozłow zgryźliwym tonem. - Czy są to informacje, które można będzie zamieścić w raporcie z wykonania budżetu, żeby usprawiedliwić twoją przejażdżkę? Cooper i Mallory pojechali na Barbados, gdzie spotkali się z człowiekiem o nazwisku Duncan. Fakt, że Cooper wybrał się tam osobiście, jest już wysoce podejrzany. Operacja, którą przygotowuje z Duncanem, musi być niezwykle ważna.

Kim jest ten Duncan? - spytał Kozłow. - Czy wiemy coś o nim?

Z jego paszportu wynika, że jest kanadyjskim dziennikarzem.

- Co Ottawa ma o nim do powiedzenia?

- Skontaktowałem się z Kamieniem, który ma wtyczki w tamtejszym biurze

paszportowym i urzędzie skarbowym. John Duncan działał na własną rękę. W pierwszych latach wojny pojechał do Wietnamu. Od tamtego czasu kilkakrotnie przedłużał ważność swojego paszportu, ale ani razu nie zjawił się w ojczyźnie.

- No i?

- Tenże John Duncan od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku nie złożył deklaracji podatkowej.

- Myślisz, że ktoś kupił jego paszport na czarnym rynku? - spytał Kozłow.

- Najprawdopodobniej. - Trawkin skinął głową. - W każdym razie człowiek, który spotkał się z Cooperem i Mallorym, nie był dziennikarzem.

- A gdzie on jest teraz?

- Tutaj - odparł Trawkin. - Albo w Miami. Sprawdziłem w Inturiscie. Przedwczoraj przyleciał do Stanów samolotem Eastern Airlines z Kingston.

Wytropienie Duncana nie sprawiło mu trudności. Inturist - państwowe biuro podróży, funkcjonowało na tych samych zasadach co inne tego typu agencje. Miało dostęp do Pegasusa, programu komputerowego opracowanego przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Biur Podróży, ułatwiającego rezerwację miejsc dla turystów. Wystarczyło wpisać nazwisko Duncana i zawęzić krąg poszukiwań do osób wyruszających z Wysp Karaibskich, aby komputer odnalazł go na liście pasażerów przybywających do Miami. Do Pegasusa przezornie dołączony został ukryty program, który skutecznie wymazał z pamięci prośbę Inturistu o udzielenie informacji.

- Powiedz zatem - rzekł Kozłow, opierając się wygodniej i zapalając opala.

- Kim jest ten człowiek?

Myślę, że Duncan jest zabójcą wynajętym przez Coopera. Informacje, które uzyskałem od pracownika szpitala Waltera Reeda, wskazują na to, że Juan Jose Morazan cierpi na zwyrodnieniową chorobę mózgu. Wiemy o powiązaniach Morazana z CIA. Już od pewnego czasu zanoszą się na zamach stanu w Kostaryce. Obecnie prowadzimy rozmowy z Francisco Cabrerą, prezydentem tego kraju. Jeśli zakończą się one powodzeniem, zyskamy otwarty port na Oceanie Spokojnym. To może znacznie zwiększyć nasze wpływy w Ameryce Środkowej, a zarazem wydatnie zaszkodził prestiżowi Stanów Zjednoczonych. Zmiana sytuacji w Europie sprawiła, że Ameryka Środkowa stała się kluczowym, ze strategicznego punktu widzenia, obszarem. Stany Zjednoczone zrobią wszystko, aby nas tam nie dopuścić. Może z tego wyniknąć następna Kuba, a nawet Wietnam. Taka konfrontacja mogłaby się okazać katastrofalna dla wszystkich.

- To, co mówisz ma sens - powiedział Kozłowski, kiwając głową. - Kontynuuj.

- Za miesiąc Cabrera ma przyjechać do Waszyngtonu na rozmowy z prezydentem Tuckerem. To wizyta oficjalna, z całym towarzyszącym temu ceremoniałem. Sądzę, że wtedy Duncan dokona zamachu.

- Myślisz, że zaplanował to Cooper? - spytał Kozłowski.

- Tak - odparł Trawkin bez wahania.

- Nie. - Kozłowski potrząsnął swoją wielką głową. - To byłoby błędem. Cabrera jest lewicowcem; natychmiast zrobiono by z niego męczennika.

- Mnie też to nie dawało spokoju - odparł Trawkin - dopóki nie poznałem lepiej przeszłości Cabrery. Otóż prezydent Kostaryki nie bardzo nadaje się na męczennika.

- Dlaczego?

- Jest powiązany z człowiekiem o nazwisku George Morales, kolumbijskim

handlarzem narkotyków skazanym przez sąd w Miami na karę więzienia. Współpracował też z bankiem Nugan Hand. Niewiele więc potrzeba, żeby z Cabrery lewicowca zrobić bossa kartelu narkotykowego. Całe bogactwo Kostaryki, a właściwie to, co z niego zostało, znajduje się w rękach nie więcej niż dwudziestu starych rodów, z których połowa jest zamieszana w handel narkotykami. Za zabójstwo Cabrery można by obwinie którykolwiek z nich. Z drugiej strony, po śmierci prezydenta, Morazan miałby prawo wprowadzić stan wojenny, a wtedy pożegnalibyśmy się z naszym portem na Pacyfiku.

- A ty zakładasz, że wszystko ku temu zmierza?

- Z ich punktu widzenia najważniejsze jest szybkie działanie. - Trawkin skinął głową.

- Morazan jest umierający. Wyjazd Cabrery będzie dla niego wymarzoną okazją. Po wprowadzeniu stanu wojennego, Morazan zrezygnuje albo zostanie do tego zmuszony, a jego miejsce zajmie marionetka CIA. Nie byłby to pierwszy taki przypadek. Istnieje nawet precedens historyczny. Cooper był członkiem grupy prowadzącej działania zmierzając do obalenia reżimu Figueresa w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym roku. Wie zatem, co i jak.

- Wygląda na to, że sporo nad tym myślałeś, Dmitriju Aleksandrowiczu mruknął Kozłow.

- Wszystko pasuje - powiedział Trawkin.

- Być może - odparł Kozłow, po czym zgasił papierosa na resztkach rogalika. - Ale to nie nasza sprawa.

- Co takiego?

- To nie nasza sprawa - powtórzył generał. - Jesteś zastępcą rezydenta GRU w Waszyngtonie. Twoim zadaniem - zresztą moim także - jest gromadzenie informacji technicznych, które mogą okazać się przydatne dla wojska. Fantazjowanie na temat Morazana

i Cabrery nie należy do naszych obowiązków. To zadanie przede wszystkim dla naszych starszych braci.

- Od czasu kryzysu kubańskiego KGB trzyma się z daleka od Ameryki Środkowej - prychnął pogardliwie Trawkin. - Gurenko puściłby te informacje mimo uszu.

- Całkiem słusznie - odparł zimno Kozłow. - Zastanów się - ciągnął - nawet gdyby się okazało, że masz rację, co powinniśmy zrobić? CIA wynajmuje zabójcę, który ma zamordować prezydenta Kostaryki. Zamach najprawdopodobniej nie powiedzie się, ale tak czy inaczej przeprowadzone zostanie śledztwo. Co by się stało, gdyby w jego wyniku wyszło na jaw, że mieliśmy z zamachem jakikolwiek związek, choćby najzupełniej przypadkowy? Dmitrij, wierz mi, GRU nie przyniesie to żadnych korzyści. Co najwyżej skończymy w krematorium w Kodynce.

- No to co mamy zrobić? - spytał Trawkin.

- Nic - odparł Kozłow. „Prawda to nie wiadomości, a wiadomości to nie prawda”.

Siwowłosy generał zaśmiał się ze starego dowcipu, opartego na dwuznacznym odniesieniu do tytułów dwóch radzieckich gazet.

Generał pogroził Trawkinowi palcem, pokrytym nikotynowymi plamami.

- Prawda to czy nie, nie chcę widzieć swojego nazwiska w amerykańskich gazetach.

Zamierzam umrzeć spokojną śmiercią, zakonserwowany wódką w mojej daczce w Podolsku.

- Jeszcze jedno - powiedział Trawkin. - Jestem pod obserwacją.

- No to co? - Kozłow wzruszył ramionami. - My obserwujemy Gurenkę, Gurenko obserwuje nas, FBI obserwuje wszystkich naraz.

- To nie KGB ani ludzie Stone'a.

- Poważnie? - spytał Kozłow, zaintrygowany. - Kto zatem?

- Nie jestem pewien, ale gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że CIA odparł

Trawkin.

- Jeb moj! - zaklął siarczyście generał. - Od jak dawna?

- Od powrotu z Barbadosu.

- Anioł stróż? - spytał Kozłow.

Być może - odparł niepewnie Trawkin. „Anioł stróż” był agentem obserwującym innego agenta z tej samej organizacji, by sprawdzić, czy nie śledzi go nieprzyjaciel.

- Oczywiście, że tak - powiedział Kozłow karcącym tonem. - Był na lotnisku i zauważył, że śledzisz Coopera. Cholerny świat, Dmitrij! Powinieneś zwracać uwagę na takie rzeczy!

- Spieszyło mi się - odparł Trawkin, świadom, że to żadne wytłumaczenie. Do jego obowiązków jako zastępcy rezydenta należało szkolenie personelu GRU w rozpoznawaniu takich właśnie szczegółów. Kozłow miał rację. Był to niewybaczalny błąd.

- Wiedzą, że ich zauważyłeś?

- Tak sędzę, generale - odparł Trawkin, przybierając formalny ton.

- A co z mieszkaniem? - spytał ponuro rezydent.

- Słucham?

- Czy jest na podsłuchu?

- Nie wiem - odpowiedział Trawkin.

Kozłow westchnął.

- Masz czas do wieczora, żeby wynieść się stamtąd i przeprowadzić na Belmont Road

- stwierdził. - Możesz zająć kwatery kuriera.

- Oni mnie tylko obserwują, generale - odparł Trawkin. - Nie sędzę, żeby w tej chwili groziło mi jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. - Myśl, że miałyby zamieszkać w obskurnym małym mieszkanku na poddaszu Radzieckiego Biura Wojskowego, przyprawiała zastępcę



rezydenta o dreszcz obrzydzenia. Wyobraził sobie zwały kurzu pod łóżkiem i kwas akumulatorowy udający kawę.

- Niech diabli wezmą twoje bezpieczeństwo! - krzyknął Kozłow. - Tu chodzi o bezpieczeństwo narodowe. Jeśli Cooper planuje zamach na głowę państwa, musimy trzymać się od tego z daleka. Gdybym miał choć trochę oleju w głowie, kazałbym ci pojechać na dwutygodniowy urlop do domu, żeby się ciebie stąd pozbyć.

- Na jak długo? - spytał Trawkin.

- Dotąd, aż to będzie konieczne! odparł Kozłow. - Przynajmniej do czasu, aż ten Cabrera wróci do swojego kraju.

- O ile tam wróci - dodał Trawkin.

- Niech cię o to głowa nie boli - burknął Kozłow. - Wykorzystaj dobrze czas i przygotuj ten raport na temat agentów z Nowego Jorku, na który czekam od miesiąca.

- Tak jest, generale - odpowiedział Trawkin, starając się przybrać skruszony ton.

Zdawał sobie sprawę z tego, że generał idzie mu na rękę. Tydzień czy dwa na Belmont Road były łagodną karą w porównaniu z tym, co Kozłow rzeczywiście mógł zrobić. Z drugiej strony, wciąż pozostawały pewne pytania, na które Trawkin chciał uzyskać odpowiedzi.

Porzucił tę myśl i wstał. Choć Kozłow zaliczał się do starych przyjaciół jego rodziny, przede wszystkim był jednak generałem GRU i nie należało mu się sprzeciwiać. W razie gdyby Trawkin dalej ciągnął swoje śledztwo po tym, jak otrzymał rozkaz przerwania, ten stary człowiek o żabiej twarzy mógł mu zniszczyć karierę.

Trawkin wcisnął rękę do kieszeni, po czym wykonał lekko obsceniczny gest i skłonił się sztywno przed swoim przełożonym.

- Spakuję kilka rzeczy i od razu zawiozę je na Belmont Road powiedział.

- Dobrze. - Kozłow skinął głową i zmarszczył brwi. - I nie zamierzam tolerować

twojego zuchwalstwa, Dmitrij - dodał. - Pokazywałem przełożonym figę w karmanie, kiedy ciebie jeszcze na świecie nie było. - Ukryta w kieszeni pięść Trawkina rozwarła się, jakby ścisnął w niej rozpalony węgiel. - Jeśli masz mi coś do powiedzenia - ciągnął Kozłow to mów prosto w oczy; twoje zachowanie jest wybitnie niekultywne.

- Tak jest - odparł Trawkin.

- No dobrze. - Generał skinął głową. - Dość niestrawności jak na jeden dzień. Kozłow zapalił kolejnego opala i machnął ręką na znak, że Trawkin może odejść.

- Teraz zostaw mnie w spokoju. Spotkamy się po południu w moim gabinecie.

- Jak pan sobie życzy, generale - wyrecytował podwładny. Odwrócił się na pięcie i wyszedł z lokalu. Postanowił wrócić do mieszkania na piechotę. W powietrzu czuć jeszcze było świeżość poranka i Trawkin uznał, że spacer dobrze mu robi. A przynajmniej pomoże choć częściowo uporać się z ogarniającą go frustracją.

Ulice centrum Waszyngtonu przewijały się za przyciemnianymi szybami okien limuzyny niczym mglisty szary sen. W klimatyzowanym, luksusowym wnętrzu kuloodpornego lincolna Hollis Macintyre wysłuchiwał raportu Hudsona Coopera. Limuzyna chroniła go od upału dającego się we znaki mniej łaskawie potraktowanym przez los obywatelom. Samochód, wraz z kierowcą, oficjalnie należał do rządu, ale Joseph Swanbridge, sekretarz stanu, wykorzystując swoją pozycję, polecił bezterminowo wypożyczyć wóz Macintyre'owi jako swojemu „głównemu doradcy”.

- Z tego, co mówisz, wynika, że zastosowane przez ciebie środki bezpieczeństwa okazały się niewystarczające - powiedział Macintyre.

Hudson Cooper, siedzący naprzeciw niego ze szklanką wody mineralnej w dłoni, wzruszył ramionami.

- Niefortunny zbieg okoliczności - odparł łysiejący zastępca dyrektora CIA. Nie

mieliśmy pojęcia, że GRU ma swojego człowieka w szpitalu Waltera Reeda.

- Ani że wspomniany agent GRU był pod obserwacją grupy Rednet - mruknął

Macintyre, zirytowany. - Wygląda na to, że nasz misternie uknuty plan zaczyna się sypać.

- Wszystko da się jeszcze naprawić - zapewnił Cooper i napił się wody mineralnej.

Limuzyna sunęła przez most Arlington Memorial. Na południu widać było Pentagon, z tej odległości przypominający gigantyczny bunkier. Cooper był ciekaw, jak też ten gmach będzie wyglądał za tysiąc lat: posępne, niebezpieczne ruiny, owiane mgłą legendy? A może powstanie muzeum wypełnione zakurzonymi pamiątkami z zamierzchłej przeszłości?

- Ile ten Trawkin właściwie wie? - spytał Macintyre. Lincoln zjechał z mostu i skręcił na George Washington Parkway.

- Niewiele, jeśli idzie o fakty - odparł Cooper. - Najwyraźniej doszedł do wniosku, że jeden z pacjentów doktora Barrona ma chorobę Creutzfeldta-Jakoba. Wie, że Barron dzwonił do ciebie i ty dzwoniłaś do mnie. Sprawa wydała mu się na tyle poważna, że poleciał za mną i Mallorym na Barbados, możemy więc przyjąć za pewnik, iż zdobył pewne informacje na temat Rhinelandera.

- A Stone, ten agent FBI? - spytał Macintyre.

- Sam niewiele może zdziałać - wycedził Cooper. - A jego szef, Ruppelt, to urzędnik, który by zrobił wszystko, byle nie stracić pracy. Za żadne skarby nie chciałby wchodzić CIA w drogę. Nie spytał mnie o to wprost, ale jestem prawie pewien, że myśli, iż polujemy na Trawkina.

- Żeby go zwerbować? - spytał Macintyre.

- Tak. - Cooper skinął głową. - Nie wyprowadzałem go z błędu. Według Ruppelta, Stone myśli, że wszystko to ma jakiś związek z Francisco Cabrera.

- Tym Kostarykańczykiem? Dlaczego?

- Jakiś czas temu nawiązaliśmy współpracę z Juanem Jose Morazanem, mianowanym przez Cabrerę *jefe* Policji Narodowej. Morazan był w szpitalu Waltera Reeda w tym samym czasie, kiedy prezydent przechodził tam badania.

- Morazan był pacjentem Barrona? - spytał Macintyre zdumiony.

- Nie bezpośrednio, ale Barron, jako ordynator, oficjalnie przyjął go do szpitala.

Czyli Stone myśli, że to Morazan jest chory?

- Na to wygląda. - Cooper skinął głową. - Mam nadzieję, że Trawkin też tak uważa.

- A co właściwie dzieje się z Morazanem? - spytał Macintyre.

Cooper parsknął śmiechem.

- To właśnie jest w tym wszystkim najzabawniejsze powiedział. - Stone i Trawkin niewiele się mylą. Morazan jest zdrow jak ryba. Ściągnęliśmy go tutaj na konsultacje, a ta historia z chorobą żołądka to rzeczywiście tylko zasłona dymna. Zdaniem Ruppelta, Stone jest przekonany, że Morazan cierpi na chorobę Creutzfeldta-Jakoba, a my jesteśmy w kropce, bo zamierzaliśmy zastąpić nim Cabrerę, zanim dojdzie do podpisania układu z Sowietami.

- Czyli twoim zdaniem Rosjanie myślą to samo?

- Prawdopodobnie - odparł Cooper. - A to może oznaczać, że nie będą się mieszać do tej sprawy.

- Tak sądzisz? - spytał Macintyre, unosząc brew.

- Zdecydowanie - odpowiedział Cooper bez cienia wątpliwości. - Ameryka Środkowa ma dla nich zbyt duże znaczenie, żeby mieli angażować się w nieczyste działania CIA. Staną z boku i będą patrzeć, co się dzieje.

Limuzyna dotarła do granicy z Fairfax County i ruszyła płatną autostradą na południe.

Od zjazdu na drogę do Langley podróżnych dzieliło jeszcze kilka minut jazdy. Macintyre podrapał się po nosie i zamyślony wyjrzał przez okno.

- Ten Rosjanin jest na fałszywym tropie, ale za dużo wie. Trzeba go wyeliminować - powiedział wreszcie, splatając dłonie na ogromnym brzuchu schowanym w fałdach gabardyny.

- Zgadzam się - przytaknął Cooper.

- Czy można to załatwić dyskretnie?

- Tak sądzę - odparł zastępca dyrektora CIA. - Ruppelt spodziewa się, że rosyjski agent przejdzie na naszą stronę... szkoda byłoby go zawieść.

- A co z ludźmi od Trawkina?

- Ich też da się przekonać - powiedział Cooper. - Trawkin to dziwak - nosi drogie ubrania, jest bardzo zamerykanizowany. Kozłów z GRU może nie uwierzyć w jego zdradę, ale KGB to kupi.

- Opracowałeś plan? - spytał Macintyre.

Cooper skinął głową.

- Jest już realizowany.

- Są jeszcze jakieś problemy?

- O ile wiem, to nie. - Cooper wzruszył ramionami. - Ruppelt kazał swoim ludziom zostawić Trawkina w spokoju, a bez niego Stone nie będzie w stanie niczego zrobić ze strzępkami informacji, jakie udało mu się zdobyć.

Lincoln dotarł do zjazdu z autostrady na Chain Bridge i skręcił na rampę. Wielki zielony znak oznajmiał, że droga sto dwadzieścia trzy wiedzie do Głównego Biura Administracji Autostrad Federalnych oraz głównej siedziby Centralnej Agencji Wywiadowczej.

- A ten twój asystent... Mallory? - spytał Macintyre.

- Podałem mu nieco urozmaiconą wersję wydarzeń - odparł Cooper. Powiedziałem, że

chodzi o aferę narkotykową, w którą zamieszany jest szef naszej komórki na Barbadosie, kostarykańskie władze. Dodałem też, że wiąże się ona ze skandalem związanym z bankiem Nugan Hand. - Zastępca dyrektora CIA wypił resztę wody mineralnej, po czym mówił dalej.

- Dosyć to naciągane, ale powinno wystarczyć, przynajmniej do czasu, aż sprawa zostanie załatwiona.

- A potem?

- Potem Mallory odejdzie - odparł zimno Cooper. - Na zawsze. - Zastępca dyrektora CIA wbił wzrok w człowieka siedzącego naprzeciw.

- Nie martw się, Hollis. O wszystkim pomyśleliśmy.

- Mam nadzieję - powiedział Macintyre i wyduł wargi. - Od tego zależy los nas wszystkich.

Paul Mallory, w szlafroku i kapciach, z kubkiem kawy w dłoni, obserwował z okna swojego mieszkania samochody jadące King Street. Już od dawna mógł sobie pozwolić na lepsze lokum niż to, mieszczące się nad sklepem przy wąskiej, ruchliwej ulicy. Był to jednak jego pierwszy własny dom po ukończeniu MIT, a przeprowadzka zawsze wydawała mu się niewarta zachodu.

Fakt, że pomimo swojego wieku Mallory wciąż był kawalerem, dla niektórych ludzi w agencji, mógł wydawać się podejrzany. Drobiazgowo śledztwo przeprowadzone przed laty przez Wydział Zasobów Ludzkich, niczego nie wykazało. Śledczy doszli do wniosku, że Mallory nigdy nie potrafił obchodzić się z kobietami, a poza tym nieszczególnie się nimi interesował. Nie miał też skłonności homoseksualnych. Wobec tego ostatecznie skonkludowano, że Paul Mallory jest taki, jak się wszystkim wydaje: wysoce inteligentny, geniusz komputerowy, którego jedynym nałogiem jest kolekcjonowanie kryminałów i thrillerów.

Łysiejący, lekko zgarbiony mężczyzna odwrócił się od okna i szurając nogami ruszył przed siebie wzdłuż szaf zajmujących całą szerokość salonu. Sączył chłodną kawę, z zadowoleniem patrzył na jakże doskonale mu znane tytuły książek na półkach.

Mallory, pedant w każdym calu, poukładał swoje zbiory najpierw według gatunku, potem tematu i wreszcie według nazwisk autorów. Ludlum i Littell zostali zaklasyfikowani jako thrillery szpiegowskie/USA, Fleming jako szpiegostwo/Wlk.Bryt, John D. MacDonald znalazł się w dziale przygodowe/USA, a Agatha Christie, P.D. James i Ruth Rendell w kryminały/Wlk.Bryt. Istniało jeszcze kilkanaście innych kategorii. W zbiorze składającym się z pięciu tysięcy pozycji reprezentowanych było ponad stu pisarzy. Każda z książek została wpisana do opracowanego przez Mallory'ego komputerowego katalogu i zachowana w pamięci IBM-a 386, stojącego po przeciwnej stronie pokoju.

Mallory nie poprzestał tylko na skatalogowaniu swoich zbiorów. Każdą z powieści dokładnie przeanalizował, wynotowując przykłady zastosowania właściwej i niewłaściwej terminologii, interesujące technologie i procedury oraz jakiegokolwiek inne informacje, które mogłyby okazać się przydatne. Zaczął tak robić po przeczytaniu Sześciu dni Kondora; gdzie autor przedstawił fundację finansowaną rzekomo przez CIA, która szperała po najprzeróżniejszych książkach w poszukiwaniu niezbędnych danych. Powieść tę później sfilmowano; główną rolę zagrał sam Robert Redford.

Początkowo analizował książki z czystej ciekawości. Wkrótce dowiedział się o istnieniu grup, które korzystając z sieci komputerowej, grają w gry roleplaying. Przed pięcioma laty działało ich zaledwie kilkaset i żadna z nich nie zajmowała się intrygami szpiegowskimi czy zagadkami kryminalnymi. Teraz jednak istniało już ponad dziesięć tysięcy grup, z których duża część prowadziła gry o interesującej Mallory'ego tematyce. Członek określonej grupy otrzymywał hasło, za pomocą którego mógł się włączyć do gry, po czym

przyznawano mu określoną rolę w trwającej właśnie rozgrywce. Na początku zapisywał się wszędzie, gdzie się dało. Ostatnio jednak ograniczył się do uczestnictwa w kilku najbardziej rozbudowanych grach, których ukończenie nieraz trwało kilka miesięcy.

Mallory ze zmarszczonym czołem odwrócił się i podszedł do stolika. Komputer był włączony, na ekranie niecierpliwie migał kursor. Agent CIA poprawił okulary wolną ręką i westchnął. Musiał stawić czoło tej sytuacji; przecież właśnie w tym celu zrobił sobie dzisiaj wolne. Ale jeszcze nie był gotów.

- Jeszcze jedną kawę - mruknął i poszedł wąskim korytarzem do małej kuchni.

Wypłukał kubek i nalał doń kawy z ekspresu, dodał śmietankę. Następnie wyszedł na korytarz, minął schody prowadzące na dół do drzwi wejściowych, i skierował się do małej, niewiele większej od celi więziennej, sypialni z małym oknem wychodzącym na zaśmieconą alejkę na tyłach budynku. Mallory ubrał się szybko w sfatygowaną bluzę z napisem MIT i wiekowe niebieskie spodnie od dresu, pamiętające jeszcze czasy szkoły średniej. Parsknął ironicznym śmiechem. Ciekawe, co pan Colfax mógłby powiedzieć teraz. Ze sportowca od siedmiu boleści wyrósł superagent numer sześć.

Nauczyciel wychowania fizycznego, człowiek potężnej postury, dawniej pilot myśliwca w Korei, bezceremonialnie naigrawał się z chłopaka o patykowatych nogach, pragnącego dostać się do szkolnej drużyny lekkoatletycznej. Obrzucał go całą gamą przezwisk, od czterookiej łajzy, po cienkiego Bolka. Miał oczywiście rację. Mallory'emu nie udało się przejść pomyślnie nawet pierwszych testów. Nigdy jednak nie wybaczył Colfaxowi tego, że wydał na niego wyrok, nie dając mu szansy wykazania się.

Mallory prychnął pogardliwie i zawiązał sznurek opasujący go w talii. Następnie wziął kubek z kawą i wrócił do salonu. Niech diabli wezmą przeszłość i takich osobników jak Ernie Colfax. Teraz nie chodziło już o zwykłe upokorzenie. Gra toczyła się o wyższą stawkę



niż miejsce w drużynie lekkoatletycznej. Tylko gniew, jaki ogarniał Mallory'ego, był ten sam. Hudson Haines Cooper wziął go za głupca i tym samym popełnił kardynalny błąd. Usiadł przed komputerem, włożył do stacji dyskietkę z plikami skopiowanymi z głównego komputera w Langley i przejrzał zawarte w nich informacje. Patrząc na przewijające się przez ekran dane, przyszła mu do głowy idiotyczna myśl, że w dzieciństwie powinien był zacząć palić. Teraz przynajmniej miałby coś, co pomogłoby mu rozładować napięcie. Zamiast tego, napił się gorącej kawy i przygryzł wargę.

Według opowieści Coopera, QJ/RAIL vel Eric Rhinelandier został potajemnie zatrudniony w związku z koniecznością przeprowadzenia operacji, której celem miało być „posprzątanie” w Agencji. Scenariusz był cudownie prosty. Szef komórki CIA na Barbadosie, niejaki William Harper, był zamieszany w przemyt kokainy z Kolumbii do Stanów Zjednoczonych przez Kostarykę, Jamajkę i Bimini, wyspę u brzegów Florydy. Łącznikiem Harpera w Kostaryce był Carl Alfonso Hoffman, spadkobierca zbitej na handlu kawą fortuny Hoffman-Ramirez, a zarazem adiutant Juana Jose Morazana, szefa wpływowej Policji Narodowej.

Zdaniem Coopera, Hoffman zajmował się organizowaniem kryjówek dla samolotów Harpera i jego ludzi, a także zapewniał bezpieczeństwo transportom kokainy z lądowiska pod San Jose do portu w Limon. Wyglądało też na to, że Morazan wie o przemyśle narkotyków i działalności Hoffmana, ale przymyka na to oczy ze względu na pewne „okoliczności”, między innymi polityczne i finansowe wsparcie udzielane mu przez konsorcjum Hoffman-Ramirez.

Morazan miał także poparcie CIA i był głównym kandydatem Departamentu Stanu na objęcie władzy po Cabrerze, więc powiązania Hoffmana z agentem CIA budziły zrozumiałą niepokój. Rhinelandier miał „posprzątać”, czyli zabić Williama Harpera i Carla Alfonso

Hoffmana, gdyby to okazało się konieczne. Czytając między wierszami, należało się domyślić, że CIA zamierza przeprowadzić poważną operację w Kostaryce i nie chce pozostawić za sobą żadnych brudów, które mogłyby zostać odnalezione przez „Washington Post”.

Na pierwszy rzut oka, wszystko zgadzało się z obowiązującym w CIA kodem postępowania, ale Mallory spędził zbyt wiele czasu w dziale analizy zagrożeń, by przyjąć wyjaśnienia swojego przełożonego za dobrą monetę. Jego podejrzenia wzbudziło osobiste zaangażowanie Coopera w tę sprawę. W przypadku gdyby sytuacja naprawdę wyglądała tak, jak ją opisał zastępca dyrektora CIA do spraw operacyjnych, jego priorytetem byłoby zdystansowanie siebie i agencji od planowanej operacji. Dziwne wydawało się też wynajęcie takiego człowieka, jak Rhineland. Owszem, nie figurował w żadnych aktach, ale został zatrudniony przez CIA i gdyby jakaś śledcza komisja senacka zechciała głębiej poszperać, wszystko mogłoby się wydać. O wiele łatwiej byłoby wynająć jednego z ludzi Hoffmana, lub kogoś z Kostaryki.

Mallory usiadł na krześle i wlepił oczy w ekran. Opowieść Coopera nie trzymała się kupy. Cooper kłamał, bo chciał coś ukryć. Na pytanie: dlaczego?, jest jedna odpowiedź.

Właściwa operacja była zbyt poważna, nawet dla specjalnego asystenta zastępcy dyrektora do spraw operacyjnych.

Zamyślony poprawił okulary i pokiwał głową. To przynajmniej miałyby sens.

Właściwa operacja była tak supertajna, że Cooper zajął się nią osobiście, obejmując funkcję oficera prowadzącego Rhinelandera i kontaktując się z nim za pośrednictwem własnego asystenta. Cooper jako zastępca dyrektora CIA do spraw operacyjnych, miał ogromną władzę i mógł bez większych trudności korzystać z funduszy zgromadzonych na różnych specjalnych kontaktach agencji. Równie łatwo będzie mu zatrzeć za sobą ślady.

To właśnie było największym zmartwieniem Mallory'ego i właściwym powodem, dla którego nie poszedł do pracy pod pretekstem złego samopoczucia. Operacja, do której zaangażowano Rhinelandera, bez względu na jej cel i ostateczne efekty, będzie musiała zostać całkowicie zatuszowana. Wszystkie dowody pobierania pieniędzy ze specjalnych kont znikną, wszelkie dokumenty zostaną zniszczone, a specjalna grupa zlikwiduje Rhinelandera. Wtedy on, Paul Mallory, będzie jedynym człowiekiem mogącym wskazać na udział Hudsona Hainesa Coopera w tej operacji.

Wnioski byłyby oczywiste, gdyby miał sporządzić na ten temat raport dla działu analizy zagrożeń. Jako łącznik między Rhinelandem a Cooperem, był ostatnim ogniwem łączącym CIA z przeprowadzoną operacją, a to oznaczało, że jego życie jest zagrożone; gdyby zaś Cooper uznał, że ze strony Mallory'ego grozi mu niebezpieczeństwo, mógł rozdeptać go jak robaka.

Mallory pochylił się i wpisał komendę zatrzymującą scrolling ekranu. Następnie wpatrzony w monitor usiadł wygodnie, ciągnąc się za wargę. Miał przed sobą szczegółowy opis sytuacji na Grenadzie w październiku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku, który wykazał ponad wszelką wątpliwość, że inwazja amerykańska była niczym nieuzasadniona. Dowodził on także, że operacja Urgent Fury z powodu braku współpracy między poszczególnymi formacjami sił zbrojnych była fatalnie zaplanowana. Raport zawierał także prawdziwą listę ofiar. Wśród nich znalazł się cały oddział komandosów Delta, którzy zginęli tylko dlatego, że nikt nie sprawdził poziomu paliwa w ich helikopterze. W razie gdyby to wyszło na jaw, rozpętałyby się wielki skandal, a Mallory miał jeszcze o wiele ciekawsze materiały.

Dzięki specjalnemu certyfikatowi bezpieczeństwa i doskonałej znajomości tajników komputera, bez większego trudu ściągnął potrzebne informacje i zatarł ślady swojej

działalności. Najtrudniejsze jednak było znalezienie sposobu na ukrycie tych dokumentów w miejscu, gdzie nie znajdzie ich nikt z agencji.

Pomysł wykorzystania danych z komputera jako karty przetargowej w rozgrywce z agencją pochodził z powieści Roberta Littella *Amator*. Zarówno w książce, jak i w jej filmowej wersji, główny bohater, Charlie Heller, wykrada ważne dane i szantażem zmusza swoich przełożonych, by pozwolili mu na prowadzenie pościgu za terrorystami, którzy zamordowali jego przyjaciółkę. Heller ukrywa te informacje w pamięci elektronicznej maszyny stawiającej horoskopy. Znajduje się ona w restauracji, nieopodal domu ojca zabitej dziewczyny.

Owszem, całkiem to sprytne, ale już za pierwszym razem, kiedy Mallory czytał powieść, pomysł z maszyną stawiającą horoskopy wydał mu się niedorzeczny. Heller jest specjalistą od kodów komputerowych, więc zaszyfrowanie dokumentów nie sprawia mu trudności. Nawet gdyby je skompresował, w maleńkiej pamięci maszyny nie zmieści się nawet część danych, a tym bardziej nie dał się ich wyświetlić. Poza tym, byt maszyny tego typu jest wysoce niepewny. A gdyby została zabrana na przegląd? Czy po prostu wyrzucona na złom, bo nie przynosiła wystarczająco dużych zysków restauracji?

Mallory był przekonany, że on wpadł na lepszy pomysł. Siedząc przed komputerem, przystąpił do działań zapewniających mu bezpieczeństwo na wypadek, gdyby coś zaczęło iść nie po jego myśli.

Na początek za pomocą programu ARC skompresował wykradzione przez siebie dokumenty. Program ten usuwał wszystkie odstępy między słowami i literami, co powodowało, że dane zajmowały mniej miejsca. Korzystano z niego głównie przy ściąganiu gier i innych materiałów z sieci bądź ich ładowaniu.

Następnie uruchomił program szyfrujący, zmieniając dokument w plątaninę liter i

cyfr. Dodał do tego funkcję zegara z dołączonymi trzema poleceniami. Pierwsze dotyczyło rozszyfrowania, drugie umożliwiała powiadomienie operatora systemu. Trzecie natomiast ustawiało zegar - w tym wypadku na czwartą piętnaście czasu wschodniego.

Kiedy wszystko było gotowe, włączył modem, po czym zaczął szukać odpowiedniej kryjówki. Przez prawie godzinę studiował wydruk działających grup i łączył się z każdą z nich, aż wreszcie znalazł taką, która była w sam raz.

Nosiła ona nazwę Dom Sherlocka. Była to gra detektywistyczna, prowadzona przez kogoś, kto nazywał się David Prados. Na stronie tytułowej podany był adres w Pacific Heights, niedaleko bazy lotniczej Andrews. Według załączonej informacji, Prados wyjechał do Europy na czas nieokreślony, ale Dom Sherlocka działał automatycznie, przyjmował wszelkie wiadomości i pozostawał na LODIS WEB.

Najbardziej zainteresowała go ta ostatnia informacja. Za skrótem LODIS kryło się sformułowanie „long distance”, czyli „duża odległość”, a WEB był siecią umożliwiającą przesyłanie wiadomości na wielkie odległości bez konieczności uiszczania opłat za połączenie. Jak w dawnych czasach, kiedy to wszelkie informacje przekazywane były telefonicznie ze stacji do stacji, dane płynęły z jednego komputera do drugiego, który przesyłał je dalej. Wystarczyło je włączyć do sieci, by poszły w świat automatycznie w chwili, kiedy WEB zacznie działać, zwykle między trzecią trzydzieści a czwartą trzydzieści czasu wschodniego.

Mallory tak napisał swój program, po to, żeby „wiadomość”, w pełni rozkodowana, popłynęła przez WEB, od jednego węzła sieci do następnego, trafiając po drodze do wszystkich grup działających w sieci. Było ich tysiące i każda z nich otrzymać miała „wiadomość”, z migającym pilnym poleceniem dla operatora systemu.

Każdego dnia będzie musiał włączyć Dom Sherlocka i przed czwartą piętnaście

wyzerować zegar po to, by „wiadomość” nie została wysłana. W razie, gdyby tego nie zrobił, dokumenty kompromitujące CIA zaczęłyby automatycznie pojawiać się na ekranach tysięcy komputerów w całym kraju.

Zadowolony, że zrobił wszystko, co mógł, by zapewnić sobie bezpieczeństwo, wpisał polecenie wysłania wiadomości. Poproszony o podanie hasła, z kwaśnym uśmiechem wpisał „Moriarty”. Ekran wyczyścił się, po czym pojawiło się pytanie o nazwę pliku, do którego trafić miała „wiadomość” od Mallory’ego. Wpisał „Baskerville”, po czym dodał litery ARC, wskazujące, że jest to program skompresowany. Nazwa została zaakceptowana i rozpoczął się transfer danych.

Mallory odetchnął głęboko i zaniósł kubek do kuchni. Kiedy dane zostaną załadowane, a dyskietki zniszczone, poczuje się bezpieczniej. Przynajmniej na jakiś czas. Wylał zimny brązowy płyn do zlewu, nalał sobie kawy z ekspresu i znów powrócił myślami do szkolnych dni, zastanawiając się, czy jego życie ułożyłoby się inaczej, gdyby wtedy załapał się do drużyny lekkoatletycznej. Powoli potrząsnął głową. Dobrze o tym wiedział, że niczego by to nie zmieniło.

Top Secret, opracowany przez Boba Burtona słowniczek terminologii szpiegowskiej, definiuje „mieszkanie kontaktowe” jako „miejsce spotkań, kryjówkę bądź kwaterę główną siatki szpiegowskiej. Zwykle jego właścicielem bądź najemcą jest „czysta” osoba, która nie figuruje w żadnych osobowych bazach danych”. Książka nie wspomina, jak wiele takich właśnie miejsc wykorzystywanych jest przez pracowników wywiadów, zaprzyjaźnionych i wrogich, zwłaszcza w rejonie Waszyngtonu. Dwanaście najważniejszych organizacji wywiadowczych, z FBI włącznie, dysponowało niemal dwustoma lokalami tego typu, podczas gdy obce ambasady oraz agencje zza żelaznej kurtyny, jak KGB, GRU, czy chiński SAD, posiadały dalsze sto.

Centrala operacji „Tylne Drzwi” została ulokowana w małym budynku u stóp Obserwatorium Morskiego. Do piętrowego mieszkania można było wejść prosto z podziemnego garażu, co zapewniało pewną dozę bezpieczeństwa i dyskrecji. Właścicielem była fikcyjna korporacja, która rzekomo nabyła apartament po to, by mieć gdzie ulokować przybywających w gościnę oficjeli. Korporacja ta stanowiła element programu ochrony świadków FBI, a w mieszkaniu czasem przesłuchiwano jego potencjalnych beneficjentów. Zamiast ubiegać się o oficjalne zezwolenie na korzystanie z mieszkania należącego do FBI, Stone poszedł do wydziału administracji. Zaczekał, aż urzędniczka dyżurująca w zatłoczonym biurze opuści na chwilę swoje stanowisko i zabrał wiszące na haku klucze. Mało prawdopodobne, aby przez najbliższe kilka tygodni ktoś się po nie zgłosił. Nawet gdyby tak się stało, Stone zawsze mógł się wykręcić bałaganem w papierach.

Z wyposażeniem mieszkania także nie było żadnych problemów. Kessler wymachując sfalszowanymi aktami sprawy „Tylne Drzwi”, wydebił od służb technicznych wszystko, co mogło okazać się potrzebne, włącznie z aparatem szyfrowania głosu, nadajnikami i odbiornikami radiowymi, terminalem komputerowym z dostępem do banku informacji o przestępstwach oraz sprzętem do nocnej obserwacji.

Ponownie powołał się na sprawę „Tylne Drzwi”. Ściągnął czterech zaufanych ludzi z biur FBI w Baltimore i Waszyngtonie, a ich przełożonych odesłał do Stone’a po weryfikację przeniesienia. Jako zastępca dyrektora Rednetu, posiadał wystarczający autorytet, by uspokoić inspektorów z biur regionalnych. Zacierając ślady, skrupulatnie usunął z krążących po biurze akt wszelkie dokumenty mogące wzbudzić podejrzenia Ruppelta. „Tylne Drzwi” stały się sprawą widmem, Latającym Holendrem żeglującym po urzędniczych morzach FBI, niewidzialnym dla wszystkich oprócz Stone’a, Kesslera i grupki współpracujących z nimi agentów.

Według zamysłu Stone'a, zespół miał przede wszystkim dyskretnie obserwować

Trawkina w nadziei, że w zarzuconą na niego sieć złapie się ktoś jeszcze. Szef grupy śledczej przede wszystkim był ciekaw, z kim zastępca rezydenta GRU kontaktuje się osobiście, interesowało go także, kto wydaje się nim szczególnie zainteresowany.

Jako że oficjalnie miał dać sobie spokój z Trawkinem i zająć się bardziej przyziemnymi sprawami w biurze CIA na placu Folgera, mógł tylko od czasu do czasu zaglądać do „mieszkania kontaktowego”, ale Mort Kessler dobrze się spisał i dość szybko zdołał wypatrzeć dwie grupy obserwujące Trawkina. Zdaniem Kesslera, pierwsza z nich była z KGB i, podobnie jak zespół Stone'a, nie prowadziła jednak zbyt intensywnych działań.

Drugiej grupy natomiast nie udało mu się zidentyfikować. Był przekonany, że nie przysłała jej FBI. Na zdjęciach udało się uwiecznić ośmiu mężczyzn, dwie kobiety i co najmniej sześć samochodów. Obserwatorzy nie odstępowali Trawkina na krok. Według Kesslera, wyglądało to na operację CIA, zapewniającą bezpieczeństwo osobie obserwowanej, co nie wskazywało na to, że zastępca rezydenta GRU rzeczywiście nosi się z zamiarem przejścia na drugą stronę. Stone nie był tego taki pewny. Jeśli Trawkin miał zdradzić swoich dotychczasowych pracodawców, czemu jeszcze tego nie uczynił? Jeśli zaś CIA tylko opiekowała się nim, dlaczego trwało to tak długo? Z drugiej strony, równie dobrze mógł to być podstęp Gurenki z Trawkinem w roli przynęty, podobny do tego, jakim posłużyła się KGB, by uwiarygodnić Jurczenkę w oczach CIA, a następnie organizując jego powrót, zbić agencję z tropu. Była to obłądna gra, podsycająca obłąd, a póki co wyglądało na to, że nikt nie chce wykonać pierwszego ruchu.

Tego popołudnia, o drugiej, Stone opuścił biuro na placu Folgera. W recepcji powiedział, że na resztę dnia bierze sobie wolne. Przez następne dziesięć minut zmagął się z płóciennym składanym dachem samochodu, po czym, zasępiony, pojechał w stronę centrum.



Po dotarciu pod stację Union, na rondo wokół pomnika Kolumba, wiedział już na pewno trzy rzeczy: jest wściekły, sfrustrowany i głupi. Jego gniew spowodowany był wazeliniarską postawą Ruppelta wobec CIA, frustracja tym, że sprawa Trawkina utknęła w martwym punkcie; natomiast fakt, iż się nią zajął, dowodził jego głupoty. Dawniej autentycznie wierzył, że robi coś dobrego dla swojego kraju. Przeświadczenie to legło w gruzach przed kilkoma laty, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy rozpadło się jego małżeństwo. Oczywiście obydwie rozczarowania były ściśle ze sobą powiązane. Z upływem lat coraz mniej łączyło Stone'a z żoną, a zarazem nękały go coraz większe wątpliwości odnośnie do zadań FBI; zwłaszcza tych, które bezpośrednio go dotyczyły. Co pewien czas na nowo budziły się w jego sercu gorące uczucia do Debbie. Zdarzało się również, że służba w kontrwywiadzie znów nabierała dlań uroku, ale to nie wystarczyło. Zarówno w życiu osobistym, jak w pracy nie potrafił już zdobyć się na pełne zaangażowanie.

Zapalając papierosa, ruszył zakorkowaną Massachusetts Avenue w kierunku zachodnim. Nie tylko był wściekły, sfrustrowany i głupi, ale przede wszystkim niepotrzebnie się narażał. Prowadząc operację „Tylne Drzwi”, wręcz wystawiał się na odstrzał. Kto wie, może podświadomie tego właśnie chciał. Instykt podpowiadał mu, że istnieje związek między śmiercią Barrona, Hudsonem Cooperem a Dmitrijem Trawkinem. Nie przekonywała go także ta historia z Morazanem. W tej sprawie chodziło o coś większego. Miał przygnębiające wrażenie, że lada chwila rozpęta się piekło, a on nie zdoła temu zapobiec. W tych okolicznościach, gdyby Ruppelt dowiedział się o „Tylnych Drzwiach”, oznaczałoby to koniec kariery zastępcy szefa Rednetu, a może coś gorszego.

Przemknął przez skrzyżowanie z Rock Creek Parkway, po czym skręcił na drogę do małego osiedla u stóp Obserwatorium Morskiego. Wjechał w spowite w ciemnościach trzewia podziemnego parkingu, zaparkował wóz, a następnie wszedł schodami na parter do korytarza.

Odnalazł właściwe drzwi i otworzył je kluczem, który dostał od Morta Kesslera.

Wszedł do środka. Zobaczył rudowłosego agenta siedzącego przy swoim stanowisku, z dużymi słuchawkami zsuniętymi na szyję. Na stole przed Kesslerem walał się sprzęt radiowy. Agent właśnie przeżuwał kolejny kęs ogromnej kanapki, a na skanerze częstotliwości stała butelka piwa. Kessler skinął głową przełożonemu i jakby nigdy nic jadł dalej.

Stone zdjął marynarkę, czując na twarzy ożywczy podmuch chłodnego powietrza wypływającego z urządzenia klimatyzacyjnego. Poszedł do kuchni i z lodówki wziął puszkę pepsi. Zapalił następnego papierosa, po czym wrócił do salonu.

Mieszkanie było beżowe i nijakie. Meble, podobnie jak bezbarwna wykładzina, przykrywająca niemal całą podłogę, pochodziły ze sklepu Sears. Na półkach i na kominku nie stało zupełnie nic. Ściany natomiast były pozbawione oprawionymi w ramy plakatami galerii sztuki, o których nikt nigdy nie słyszał. Na parterze mieściły się salon, kuchnia, toaleta i gabinet, a piętro zajmowały trzy sypialnie i łazienka. Jediną atrakcją mieszkania był widok z okien salonu, na kanion Rock Creek i rozciągającą się w oddali trawiastą równinę porośniętą pojedynczymi drzewami.

- Co słyszać? - spytał Stone, zasiadając w miękkim fotelu i stawiając popielniczkę na jednej poręczy i puszkę pepsi na drugiej.

Kessler wzruszył ramionami i podniósł piwo do ust. Pociągnął duży łyk odstawił butelkę, beknął cicho i znów wzruszył ramionami.

- Niewiele. Rano zjadł śniadanie z Kozłowem w Au Pied de Cochon. Potem wrócił pieszo do domu. Jeszcze tam jest.

- Czy ktoś go obserwuje?

- Wygląda na to, że chłopcy z KGB zrobili sobie przerwę na lunch - odparł Kessler. -

Pewnie polegają na urządzeniach podsłuchowych, które zainstalowali w jego mieszkaniu.

- Nasze są tam nadal? - spytał Stone.

- Jasne. - Kessler skinął głową, po czym włączył jeden z aparatów radiowych. Z głośnika stojącego przy butelce dobył się głuchy syk.

- To mikrofon umieszczony w jego telefonie. - Kessler przekręcił przełącznik i dźwięk ucichł. - Facet siedzi dość cicho, odkąd wrócił ze śniadania. Trzaskające drzwi, otwierane szuflady, inne tego typu odgłosy i niewiele poza tym. Aha, wziął prysznic.

- Fascynujące - burknął Stone i napił się pepsi. - Gdzie reszta naszych ludzi?

- Tobias karmi gołębie na placu Lafayette'a. W razie gdyby Trawkinowi znów przyszła chętka na spacer, on pójdzie jego śladem. Copeland czeka w samochodzie za rogiem. - Rudowłosy agent nagle zeszywniał, podciągnął słuchawki i przycisnął je do uszu. -

Chwileczkę - mruknął, kręcąc różnymi pokrętłami. - Wychodzi. Zdaje się, że coś niesie ze sobą.

- Co na przykład? - spytał Stone i wychylił się do przodu.

- Pudło, może walizkę. Coś ciężkiego. - Nastąpiła chwila ciszy, po czym Kessler skinął głową. - Już wyszedł. Zamknął drzwi na klucz. - Agent przysunął do siebie duży mikrofon, a następnie włączył Motorolę.

- „Kompas Jeden”, tu „Kompas Zero”, jak mnie słyszysz?

- Tu „Kompas Jeden”, słyszę cię dobrze. - „Kompasem Jeden” był George Tobias, agent stojący na czatach na placu Lafayette'a. Pod kryptonimem „Kompas Dwa” krył się Bob Copeland, czekający w nieoznakowanym samochodzie na H Street, przed Metropolitan Club.

- „Mały Lis” wyszedł z nory - poinformował go Kessler.

Na chwilę zapadła cisza, po czym zgłosił się Kompas Jeden.

- Widzę go, „Kompas Zero”. Niesie walizkę.

- W którym idzie kierunku? - spytał Kessler.

- Na północ. W stronę H Street. Mam iść za nim?

- Nie - nakazał Kessler. - Zostań tam, gdzie jesteś. On może zawrócić. Przełączył kanał i wezwał Copelanda. - „Kompas Dwa”, „Mały Lis” idzie w twoją stronę.

- Dzięki, „Kompas Zero”.

- Dokąd on idzie? - spytał Stone.

- Gdziekolwiek się wybiera, na pewno nie pójdzie tam pieszo - odparł Kessler. -

Najbliższa sowiecka placówka to biuro attache morskiego, róg Dwudziestej Pierwszej i L Street.

- Może idzie do skrzynki kontaktowej?

- Z walizką? - roześmiał się Kessler.

- Faktycznie, to bez sensu. - Stone wyszczerzył zęby.

- „Kompas Zero”, tu „Kompas Dwa”. „Mały Lis” wsiada do taksówki, rusza H Street w kierunku zachodnim.

- Spryciarz. - Kessler pokiwał z uznaniem głową. - Wie, że ma na karku Starszego Brata, więc zamiast dzwonić po taksówkę, zatrzymuje ją na ulicy.

- A gdzie jest „Starszy Brat”? - spytał Stone.

- Pewnie zaraz się pokaże - odparł Kessler. Połączył się z Tobiaszem i kazał mu wrócić do mieszkania kontaktowego, po czym znów zmienił kanał. - „Kompas Dwa”, czy ktoś go śledzi?

Dwóch typów w obszernych garniturach, jadą fordem escortem - z głośnika dobiegł zniekształcony przez trzaski głos Copelanda. - Dołączyli do niego, kiedy skręcał na Osiemnastą. Teraz jedzie na północ.

- A nie mówiłem? - powiedział Kessler.

Stone zgasił papierosa, wstał i podszedł do wielkiej mapy dystryktu Kolumbia przypiętej do gołej beżowej ściany po lewej ręce Kesslera. Czerwone szpilki oznaczały sowieckie agencje i biura, czarne - stanowiska ludzi w operacji „Tylne Drzwi”, a żółte - miejsca odwiedzane przez Trawkina w ostatnich dniach. Palec Stone’a powędrował Osiemnastą ulicą w górę mapy. Za Dupont Circle było pół tuzina miejsc, do których Trawkin mógł się wybrać. Najprawdopodobniej jednak jechał do Radzieckiego Biura Wojskowego na Belmont Street. Ironią losu było to, że biuro to znajdowało się niemal dokładnie naprzeciw kryjówki agentów FBI. Budynki oddzielał od siebie kanion Rock Creek.

- Biuro wojskowe - powiedział Stone, odwracając się twarzą do Kesslera.

- Też tak sędzę. - Agent skinął głową. Następnie obydwaj wsłuchali się w słowa

Copelanda, niestrudzenie opisującego trasę pokonywaną przez Trawkina. Z Osiemnastej

taksówka skręciła w S Street, po czym ruszyła Dwudziestą Czwartą na północ. Wóz wjechał

na teren starego osiedla Kalorama, gdzie do dziś zachowały się duże domy wybudowane jeszcze w epoce Beaux Arts.

- Teraz wiem już na pewno, że wybiera się do biura wojskowego - powiedział Stone. -

Nic innego tam nie ma.

- Nie próbuje wymknąć się spod obserwacji - zauważył Kessler. - Pewnie „Starszy Brat” niewiele go obchodzi.

- Może chce się zadekować na jakiś czas - zasugerował Stone. - To by wyjaśniało, dlaczego wziął walizkę.

- A może wraca do ojczyzny - powiedział Kessler.

Z głośnika dobiegły głośniejsze trzaski.

- „Kompas Zero”, tu „Kompas Dwa”. Mamy problem.

- Mów, „Kompas Dwa”.

- Zrobił się tu mały korek. Taksówka skręciła na Tracy Place, a tam w poprzek jezdni stoi ciężarówka firmy Gateway Movers. Jeśli się zbliżę, wjadę tym typom w gajkach w bagażnik. - Chwila ciszy. - Nie, nie, chwileczkę, ciężarówka cofa... O cholera! - Ostatnie słowo przeszło w donośny ryk.

- „Kompas Dwa”, tu „Kompas Zero”. Co się dzieje? - Brak odpowiedzi. Kessler, zaniepokojony, spróbował jeszcze raz.

- „Kompas Dwa”, tu „Kompas Zero”. Jak mnie słyszysz? - Znow cisza.

- „Kompas Zero”, Tu „Kompas Dwa”. - Copeland, zdyszany i wściekły.

- Co się, do diabła, dzieje?

- To była pułapka, Mort - odparł Copeland, zapominając o tym, że wedle obowiązujących przepisów uczestnikom akcji nie wolno zwracać się do siebie po imieniu. - Ciężarówka cofnęła się tylko kawałek, żeby przepuścić taksówkę, a potem znow zablokowała drogę.

- A „Mały Lis”?

- Drapnęli go - wykrztusił Copeland, łapiąc powietrze do ust. - Próbowałem obejść ciężarówkę, ale było już po wszystkim. Taksówkarz jest nieprzytomny, „Mały Lis” zniknął razem ze swoją walizką, a chłopcy w gajkach się wściekają.

- Powiedz mi, niech się stamtąd wynosi - nakazał Stone. - Nie chcemy mieć do czynienia z KGB ani miejscowymi glinami. Zapowiada się niezły bajzel. Zastępca dyrektora Rednetu odwrócił się twarzą do mapy i wbił wzrok w skrzyżowanie Tracy i Dwudziestej Czwartej.

Porwanie w biały dzień miało miejsce zaledwie dwie przecznice od Radzieckiego Biura Wojskowego. Tylko jedna organizacja dysponowała odpowiednimi środkami, by przeprowadzić tego rodzaju operację. Stone wyjął szpilkę z mapy i wbił ją w skrzyżowanie.

- Cooper - powiedział chrapliwym szeptem. - To musi być on!

## Rozdział 12

Jeśli Palm Beach to ostatnie, pełne przepychu i o wiele zbyt drogie schronienie amerykańskich noworyszów, to hotel „Breakers” jest twierdzą zamkową, bogato zdobioną fortecą z gładkiego różowego granitu z Tennessee z jednej strony. Dwie bliźniacze wieże czujnie obserwują Atlantyck. Z drugiej zaś jest wąski przesmyk Intercoastal Waterway, za którym rozciągają się dzikie, nieucywilizowane obszary West Palm Beach, gdzie łuki symbolizujące McDonald’s rosną przy Dixie Highway niczym złote chwasty, a pokoje motelowe wyposażone są w wibrujące łóżka.

W hotelu „Breakers”, wybudowanym przez Henry’ego Flaglera, współzałożyciela koncernu Standard Oil, mieściło się sześćset pokoi i dwa baseny. Oprócz tego, goście mieli do dyspozycji korty tenisowe oraz pole golfowe. Tutaj znalazł swoją siedzibę Państwowy Związek Krykieta. Każdego roku na bujnych trawnikach ogrodu od zachodniej strony odbywały się rozgrywki mistrzowskie. Breakers zaprojektowany został przez Leonarda Schultze, głównego architekta przy budowie hotelu „Waldorff-Astoria” w Nowym Jorku. Siedemdziesięciu pięciu rzemieślników sprowadzonych z Europy wyczarowało ponad trzy i pół akra fresków na suficie, odbijających się w dokładnie wypolerowanych różowych podłogach z marmuru i oświetlonych wspaniałymi kandelabrami z brązu i kryształu. Sprowadzono je z Wenecji i Austrii. Fasada, tysiące razy wykorzystywana jako tło do reklam i zdjęć modelek, także w rzeczywistości robiła niesamowite wrażenie. Wzorowane na Villa Medici w Rzymie, ale niemal dziesięciokrotnie większe, wschodnie i zachodnie skrzydła gmachu otaczały otwarty dziedziniec, z fontanną na środku, będącą dokładną repliką jednej z tych, które znajdowały się w Ogrodach Boboli we Florencji.

Eric Rhineland nie miał zamiaru zamieszkać w hotelu „Breakers”. Z tego, co

wyczytał na Jamajce, wynikało, że tutaj właśnie zdobędzie to, co będzie mu potrzebne do wykonania kolejnej części planu.

Wynajętym samochodem przebył most Flagler Memorial. Ciemnowłosy mężczyzna skręcił na Royal Poinciana Way. Po prawej stronie znajdował się klub golfowy „Breakers”. Rhineland pojechał Breakers Row na południe i po chwili był już przed głównym wejściem do hotelu.

Zgodnie ze wskazaniem znaku na podstawie fontanny, Rhineland trzymał się prawej strony. Po chwili znalazł wolne miejsce do parkowania między srebrnym continentalem a czarnym rolls-roycem. Eric Rhineland ubrany w strój do gry w tenisa kupiony pół godziny wcześniej w sklepie sportowym w West Palm Beach, z drogą raketą w dłoni, wysiadł z samochodu i założył ciemne okulary marki Serengeti Driver. Wyglądał jak większość gości hotelowych: facet w średnim wieku, dobrze zbudowany, no i bez wątplenia bogaty.

Zapalił papierosa, by zyskać na czasie i dyskretnie ogarnął spojrzeniem otwarty dziedziniec. Po obu stronach wejścia znajdowały się portyki, a za każdym z nich stały samochody, zaparkowane w rzędach przed wysokimi palmami, otaczającymi rozległe, dobrze utrzymane trawniki. Część aut stała na głównym parkingu, bardziej na północ. Latem hotelarze w Palm Beach nie mogli liczyć na duże dochody, ale Breakers miał wystarczająco dużo stałych klientów, by zarobić na sobie. Gośćmi hotelu byli głównie starsi ludzie. Wielu z nich mieszkało tu przez cały rok. Główny parking świecił pustkami, ale sporo samochodów stało przy wejściu do hotelu, wszystkie luksusowe: cadillaki, lincolny, rolls-royce'y oraz jaguary. Oprócz dużych sedanów, znalazło się tam też kilka aut sportowych.

Rhineland ruszył lekkim krokiem w stronę głównego wejścia, wypatrując na tablicach rejestracyjnych znaku kopuły Kapitolu, charakterystycznego dla samochodów z Waszyngtonu. Nawet bez zaglądania na główny parking, udało mu się znaleźć trzy takie auta:



ciemnoniebieskiego cadillaca Seville, srebrnego porsche targa oraz bentleya z lat siedemdziesiątych. Ominął porsche'a i wśliznął się między bentleya a wóz zaparkowany obok. Drzwi po stronie kierowcy były zamknięte na klucz. Dał więc za wygraną i poszedł dalej. Po chwili przystanął i zaczął obserwować ludzi grających w krykieta. Odczekał minutę, może dwie, po czym odwrócił się i ruszył z powrotem, w stronę południowego portyku.

Następnie obszedł fontannę i skierował się do północnej części dziedzińca, gdzie stał cadillac Seville na waszyngtońskich numerach. Drzwi były otwarte. Rhinelander położył raketę tenisową na klapie silnika samochodu stojącego obok cadillaca i pochylił się, jakby chciał zawiązać sznurowadło. Następnie uklęknął, podniósł rękę i otworzył drzwi. Z pochyloną głową wsunął się do samochodu i zajrzał do schowka. Dowód rejestracyjny tkwił w przezroczystej plastikowej obwolucie. Wyciągnął go i szybko przeczytał dane:

JOHN HAMILTON GRAY

1949 CONNECTICUT AVE.

THE WYOMING APARTMENTS

WASHINGTON, D.C. 20009

Schował dokument, wśliznął się z samochodu, ostrożnie zamknął drzwi i wstał. Cała operacja trwała niecałe pół minuty. Wziął raketę i skierował kroki do głównego wejścia do hotelu. W recepcji przez kilka sekund udawał, że pisze coś na hotelowej papeterii; następnie złożył kartkę we dwoje i przywołał recepcjonistę.

- Chciałbym zostawić wiadomość dla Johna Graya - powiedział cicho Rhinelander.

- Oczywiście - odparł recepcjonista.

Był młody, nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia jeden lat, ale w ciemnym garniturze, białej koszuli i ciemnozielonej muszce wyglądał niezwykle poważnie jak na swój wiek.

Wpisał nazwisko do komputera i spojrzawszy na ekran zmarszczył brwi.

- W tej chwili mieszka u nas dwóch J. Grayów,

- Chodzi o Johna Graya z Waszyngtonu - powiedział Rhineland.

Recepcjonista skinął głową.

- Ach, tak. Państwo Gray. - Wyciągnął rękę po kartkę z wiadomością. Rhineland wręczył mu swój „list”, po czym poczekał, aż chłopak włoży go do odpowiedniej przegródki.

Pokój pięćset dwadzieścia sześć. Podziękował recepcjoniście, po czym podszedł do automatów telefonicznych. Wykręcił numer pokoju. Odczekał pół minuty. Żadnej odpowiedzi. I bardzo dobrze.

Wyszedł głównym wejściem z hotelu i skierował się do swojego samochodu. Skoro cadillac stał przed hotelem, to państwo Gray nie mogli być daleko. Do klasycznego podwieczorku serwowanego w „Breakers”, opisywanego przez wszystkie przewodniki, została jeszcze godzina. W jadalni też ich raczej nie było. Pozostawała plaża i korty tenisowe. Tak czy inaczej, miał niewiele czasu.

Podszedł do wynajętego samochodu, otworzył bagażnik, wrzucił do niego marynarkę i zaczął grzebać w torbie z rzeczami, które przed mniej więcej godziną nabył w sklepie żelaznym. Wreszcie wyjął wycięty z blachy prostokąt, rozmiarami zbliżony do formatu książki leżącej na dnie bagażnika.

Nożycami do metalu wyciął półkole z blachy przy dłuższym boku prostokąta i mniejszy kawałek w kształcie litery „V” bardziej z tyłu. Następnie okleił krawędzie otworu czarną taśmą izolacyjną. Pozostawił wycięty półksiężyc i pozostałą część blachy odsłonięte. Z torby wyciągnął piłkę do metalu i ostatnie kilka centymetrów ostrza także owinał taśmą. Na koniec włożył blachę i piłkę do książki i zamknął bagażnik.

Zamiast wchodzić ponownie od frontu, tym razem skierował się do drzwi w południowym portyku. Znalazł się w środku, przemaszerował przez pełen wyplatanych mebli

hol. Z książką w dłoni, wszedł do jednej z wind i wcisnął guzik z numerem piątym. Drzwi zamknęły się i winda ruszyła w górę.

Na korytarzu piątego piętra nie było żywej duszy. Znak na wprost windy wskazywał.

Rhineland ruszył w prawo. Pokój pięćset dwadzieścia sześć znajdował się na końcu korytarza, około dwunastu metrów od wyjścia zapasowego. Włamanie do pokoju Grayów nie było konieczne. Nie zamierzał podejmować zbędnego ryzyka tylko po to, by obejrzeć ich rzeczy. Już na pierwszy rzut oka zamek w drzwiach wydał mu się wyjątkowo łatwy do sforsowania.

Zamki nie były zmieniane od przebudowy głównego budynku po pożarze w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku; bogato zdobione miniaturowe lwie łby skrywały najzwyklejsze w świecie zamki wpuszczane. Piłka do metalu okazała się zatem niepotrzebna.

Rozejrzał się po korytarzu, wyjął z książki blaszany wytrych i wsunął go między drzwi a framugę, tuż nad zamkiem. Wcisnął blaszkę do środka tak, by półksiężyc znalazł się nad mechanizmem zamka. Zaczął powoli opuszczać narzędzie, aż poczuł opór, a wycięcie w kształcie półksiężyca znalazło się na zasuwie.

Ponownie rozejrzał się po korytarzu, po czym wsunął palec wskazujący prawej dłoni do oklejonego taśmą otworu w kształcie litery „V”. Następnie zaczął delikatnie ciągnąć blaszkę do siebie. Metal zaczepił się o stożkową zasuwę i drzwi otworzyły się. Wszedł do pokoju. Wytrych włożył z powrotem między stronicę książki, którą schował do tylnej kieszeni spodni, po czym zaczął odliczać trzysta sekund.

Pokój był stosunkowo mały i niezbyt bogato umeblowany. Dwa łóżka rozdzielone nieudolnie zamaskowanym sejfem, spełniającym funkcję stolika pod telefon i lampę. Biurko, krzesło, dwie szafki naprzeciwko łóżek, fotel i wyściełany szeszlony przy oknie. Jasnozielona wykładzina, narzuty w tym samym kolorze, zasłony w kwiecisty wzór. Przy drzwiach stała

szafa na ubrania ze składanymi drzwiami; druga, podobna, była pod łazienką.

Działał szybko. Najpierw przeszukał szafy, potem szuflady, a biurko zostawił na koniec. Nigdzie nie było kostiumów kąpielowych ani szlafroków, a z łazienki zniknęły duże ręczniki. Istniało więc spore prawdopodobieństwo, że Grayowie poszli na basen lub nad morze. Doliczył do stu pięćdziesięciu, zebrał wszystkie rzeczy osobiste gospodarzy, jakie udało mu się znaleźć i rzucił je na łóżko.

Były tam: torebka pani Gray, z portfelem i kartami kredytowymi, schowana w jednej z poduszek, leżących w szafie na półce, portfel pana Graya, znaleziony w skarpetach w szufladzie; klucze wyciągnięte z kieszeni tweedowej marynarki; leżące w szufladzie biurka paszporty, bilety, kwity, oraz plan podróży, upchnięte w grubym folderze z biura podróży Butterfield and Rosen, z siedzibą na M Street w Georgetown.

Odłożył folder i otworzył torebkę. W środku było kółko z kluczami. Porównał je z kluczami pana Graya. Były wszystkie, oprócz kluczy do skrytki. Gray miał także kilka innych małych kluczyków, prawdopodobnie do bagażu, dwa sfatygowane klucze Medeco oraz jeden błyszczący, z napisem Secor. Pani Gray także posiadała dwa Medeco. Znalazł też klucze do domu. Zdjął po jednym z każdego kółka i włożył je do kieszeni spodni. Zabrał też Secora.

Zawartość portfela pozwoliła mu lepiej poznać jego właściciela. Gray był sześćdziesięciodwuletnim prawnikiem, powoli szykującym się do przejścia na emeryturę. Był też głównym wspólnikiem w firmie Gray, Gladstone & Taylor. Miał dwie zamężne córki, jedna mieszkała w Teksasie, druga w Kolorado. Rhineland zapisał numer prawa jazdy Graya, po czym wziął jego kartę ubezpieczeniową i schował ją do kieszeni. Następnie obejrzał karty kredytowe; zabrał tylko Diner's Club. Zostało mu sto sekund.

Po otwarciu foldera Butterfield and Rosen, wyciągnął zeń plan podróży, z którego wynikało, że Grayowie mieli spędzić w hotelu „Breakers” jeszcze dziesięć dni. Potem zaś

mieli pojechać na jedną noc do Miami i następnego dnia wyruszyć statkiem wycieczkowym „Queen Elizabeth II” na rejs dookoła świata. Miał on trwać kilka ładnych miesięcy.

W folderze był jeszcze jeden interesujący dokument: kopia kwitu wystawionego przez waszyngtońską firmę o nazwie Housecalls Inc. Firma ta w czasie nieobecności Grayów miała co trzy dni podlewać kwiaty w ich domu oraz zabierać wszelką korespondencję. Rhineland się nachmurzył. To stanowiło pewien problem, choć niezbyt poważny. Zapisał numer telefonu firmy, po czym schował kopię z powrotem do foldera. Doliczył już do dwustu pięćdziesięciu. Pora się zbierać.

Szybko schował wszystkie rzeczy tam, gdzie je znalazł. Doliczył do trzystu i stał już pod drzwiami. Przed wyjściem rozejrzał się raz jeszcze, by sprawdzić, czy niczego nie przeoczył. Następnie upewnił się, że nikogo nie ma na korytarzu i wyszedł, delikatnie zamykając drzwi.

Był zadowolony, że wszystko poszło tak gładko. Wyszedł z hotelu i wsiadł do samochodu. Po kilku minutach jechał już w stronę mostu łączącego Palm Beach ze stałym lądem. Nie spodziewał się, że tak szybko uda mu się zdobyć wszystko, co będzie potrzebne w Waszyngtonie. Grayowie oszczędzili mu mnóstwo wysiłku. Liczył na to, że w najlepszym wypadku znajdzie lokum w Waszyngtonie na tydzień, może na dziesięć dni. Przeszło trzymiesięczny rejs dookoła świata dawał mu aż za dużo czasu. Nawet kwit z Housecalls Inc. był cenny. Nic łatwiejszego, telefonicznie zgłosić rezygnację z usług firmy. Fakt zaś, że państwo Gray powierzyli opiekę nad domem obcym ludziom, świadczył, iż nie najlepiej żyli ze swoimi sąsiadami.

Sukces wyprawy do „Breakers” sprawił, że postanowił przyspieszyć o jeden dzień realizację swojego planu. Zamiast nocować w Holiday Inn, jak zamierzał, pojechał Olive Avenue na południe do skrzyżowania z Okeechobee Boulevard, a następnie skręcił na

Tamarind i zatrzymał wóz przed dworcem kolejowym. Na parkingu szybko przebrał się, po czym wszedł do budynku dworca i wykupił bilet do Nowego Jorku z miejscówką w wagonie sypialnym. W informacji dowiedział się, że pociąg przybędzie do West Palm Beach o osiemnastej trzydzieści pięć, i odjedzie dziesięć minut później. Do Waszyngtonu miał dotrzeć następnego dnia wczesnym popołudniem.

Rhinelandier wrócił na parking i przez następne dwadzieścia pięć minut sprzątał wynajęty samochód. Nie używane narzędzia i materiały ze sklepu żelaznego wyrzucił do zbiornika na śmieci stojącego przy budynku dworca. Pozbył się również stroju do gry w tenisa, rakiety oraz kijów golfowych świętej pamięci Gavina Holta. Wycięty z blachy klucz oraz książkę wrzucił do walizki zabranej z mieszkania nieboszczyka w Miami, którą zostawił bagażowemu i wręczył mu pięciodolarowy napiwek, zaznaczając, że ma dobrze jej pilnować i przynieść do pociągu w jednym kawałku. Zjadł kolację w obskurnej knajpce po drugiej stronie ulicy i wrócił na dworzec akurat w chwili, kiedy pociąg wjeżdżał na peron.

Odszukał swój przedział, przez kilka minut wyliczał stewardowi wagonu sypialnego swoje życzenia, po czym zasiadł w składanym fotelu, który miał zniknąć w momencie opuszczenia pryczy. Po chwili steward zjawił się ponownie, tym razem z tacą, na której stała filiżanka i dzbanek z kawą. Dał mu napiwek, nalał kawy i zapalił papierosa.

O szóstej czterdzieści pięć pociąg szarpnął i ruszył. Zaraz za stacją Rhinelandier ujrzał po lewej stronie jezioro Clear Lake, otoczone drapaczami chmur. W świetle zachodzącego słońca wyglądały jak zaśnieżone. Podczas gdy pociąg toczył się ciężko przez Riviera Beach, do przedziału wszedł konduktor i sprawdził bilet. Po jego wyjściu Rhinelandier zamknął drzwi na zasuwę. Usiadł przy oknie i patrzył przez chwilę na przewijający się za szybą krajobraz, paląc papierosa i sącząc kawę. Kiedy zapadł zmrok, zadzwonił po stewarda, by zaścielił mu łóżko.

Później wyłączył lampę, usiadł na krawędzi łóżka i zapalił ostatniego papierosa, wpatrując się w światła mijanych wiosek północnej Florydy, rozrzuconych wzdłuż starej drogi biegnącej wybrzeżem. Po kilku minutach zgasił papierosa i zasunął zasłonę.

Przez jakiś czas leżał nago na czystej pościeli i szeroko otwartymi oczami wpatrzył się w ciemność. Wsłuchując się w stukot kół pociągu, zaczął snuć rozmyślenia o Waszyngtonie, jutrzejszym dniu i zleconym zadaniu. W głębi duszy wiedział już, że podejmie się go, bez względu na ryzyko, konsekwencje i niewielkie prawdopodobieństwo powodzenia. Nie doszedł jednak do żadnych konkretnych wniosków, Rhineland przewrócił się na bok, zamknął oczy i zapadł w głęboki sen.

Podczas gdy Eric Rhineland spał, Dmitrij Aleksandrowicz Trawkin powoli odzyskiwał przytomność. Wychodził z mroku etapami, poszukując po omacku wyjścia z absolutnej nicości. Podążał tropem wskazywanym przez budzące się do życia zmysły.

Szpitalny zapach, najpierw dodawały otuchy, potem wywoływał lęk. Co on robi w szpitalu?

Dlaczego nic nie widzi ani nie słyszy? Potem ten obrzydliwy smak w ustach, jaki ostatnim razem czuł po operacji wyrostka robaczkowego. Narkoza. Jezu Chryste! Operowali go! Kto?

Wreszcie dźwięk i obraz. Cichy terkot klimatyzacji, białe płytki akustyczne w górze i przygaszona lampa fluorescencyjna. Trawkin podniósł głowę i jego skronie natychmiast przeszył silny ból. Mały pokój, jasnozielone ściany i jedno wąskie okno, bez zasłon. Za oknem panowała ciemność.

Trawkin z jękiem bólu zwiesił nogi z łóżka i usiadł prosto. Ból w skroniach przeszedł w mdłości połączone z zawrotami głowy. Zaciskając zęby, przełknął ślinę, wstrzymując żółć wzbierającą mu w gardle. Poczekał, aż mdłości miną. Po minucie poczuł się nieco lepiej.

Bez wątpienia znajdował się w pokoju szpitalnym. Miał na sobie zawiązany z tyłu fartuch szpitalny, rozchylony na plecach. Nie był podłączony ani do kroplówki, ani do

cewników. Mało prawdopodobne, by trafił na chirurgię. Dlaczego właściwie mieliby go operować?

Powoli zaczynała powracać mu pamięć. Jechał taksówką do Radzieckiego Biura Wojskowego. Zamiast dotrzeć do Kalorama Road, taksówkarz skręcił na Tracy Place, nie dalej niż przecnicę albo dwie od celu. Zaczął coś mówić, ale wtedy rozległ się huk. Trawkin pamiętał jak przez mgłę dużą czerwono-biało-niebieską furgonetkę pocztową uderzającą w bok taksówki. A potem nic, aż do teraz.

Zmusił się, by wziąć kilka głębokich oddechów. Próbował w ten sposób dać odpór ogarniającej go panice. Został uprowadzony - to nie ulegało wątpliwości. Pytanie, tylko kto to zrobił. Swoi? Owszem, to możliwe, ale mało prawdopodobne. Po co go porywać, skoro był w drodze do Radzieckiego Biura Wojskowego? To pozostawiało w kręgu podejrzanych Gurenkę i Starszego Brata, CIA oraz Stephena Stone'a.

Opierając się na rękach, wstał z łóżka, po czym chwiejnym krokiem podszedł do okna. Po zewnętrznej stronie nie było krat, ale szybę zabezpieczała stalowa siatka. Przysłonił dłońmi oczy i wyjrzał przez okno. W ciemności udało mu się wypatrzeć rozciągający się w dole odsłonięty teren, przypominający boisko i mające w oddali kształty drzew. Żadnych migocących świateł, ani odległej poświaty unoszącej się nad miastem. Podszedł więc do łóżka i ciężko usiadł. Gurenko i KGB nie mieli takich ośrodków w pobliżu Waszyngtonu. Kozłow też.

Delikatnie, koniuszkami palców, zaczął masować skronie. Pragnął w ten sposób uśmierzyć straszliwy ból i zebrać myśli. Zamknął oczy i próbował się skoncentrować, ale zaraz zaczęło mu się kręcić w głowie.

Nie Gurenko, nie Kozłow - rozważał. Stone czy CIA? Stone nie miał dostatecznie dużego wsparcia, by zorganizować uprowadzenie, a gdyby prasa dowiedziała się, że FBI



zabawia się w porywanie obcych dyplomatów, poważnie ucierpiałby na tym wizerunek biura.

Co więcej, intuicja od samego początku podpowiadała mu, że Stone jest porządnym człowiekiem, mimo iż pracuje w kontrwywiadzie.

Pozostała więc tylko CIA. Trawkin od samego początku podejrzewał, że to agencja zorganizowała jego porwanie. Nie potrafił natomiast odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego poważyła się na tak drastyczny krok. CIA nie miała prawa prowadzić działań na obszarze Stanów Zjednoczonych. Co więcej, jego uprowadzenie było pogwałceniem niepisanej zasady nietykalności agentów w stolicach obu krajów. Nie obejmowała ona tylko obywateli danego kraju pracujących dla obcego wywiadu. Poza tym, jako członek personelu ambasady radzieckiej, posiadał immunitet. Naruszenie jego nietykalności oznaczało, że ktoś, najprawdopodobniej Hudson Cooper, był czymś wysoce zaniepokojony.

Jeżeli za porwaniem rzeczywiście stała CIA, oznaczało to, że znalazł się w jednym z dwóch miejsc: albo w Camp Peary, czyli na „Farmie” - jak pisano w powieściach szpiegowskich - albo w mniej znanym Bowie Institute. W pierwszej szkolono przyszłych agentów w podstawach pracy wywiadowczej i działań operacyjnych. Znajdowała się ona ponad sto pięćdziesiąt kilometrów od Waszyngtonu, pod Williamsburgiem. Za daleko, by ryzykować przewiezienie tam porwanego dyplomaty. Tymczasem instytut oddalony był od miejsca uprowadzenia o niecałe sześćdziesiąt kilometrów i zajmował zaledwie skrawek gigantycznego i szczerlnie zabezpieczonego terenu Narodowego Centrum Badań nad Rolnictwem na północ od miasteczka Bowie w stanie Maryland.

W budynku instytutu, wybudowanym w latach trzydziestych, początkowo mieścił się poprawczak dla dziewcząt. We wczesnej fazie drugiej wojny światowej przejęła go OSS, kierowana przez Williama Donovana. Wtedy powstało tam centrum szkolenia agentów wysyłanych za ocean. Po wojnie przez wiele lat budynek stał pusty. Jego funkcje przejął

bowiem nowo wybudowany Camp Peary. Pod koniec lat pięćdziesiątych uznano, że rozwijająca się CIA powinna mieć własną placówkę medyczną niedaleko Waszyngtonu i wewnątrz starego poprawczaka zostało gruntownie wyremontowane.

Wschodnie skrzydło, niegdyś internat, przekształcono w oddział szpitalny. Dwie świetlice zmieniono na pokoje pielęgniarek, klasy w bloku centralnym w sale operacyjne.

Oprócz tego przeprowadzono jeszcze szereg innych zmian. Między innymi powstała specjalna sala do operacji plastycznych. Odbudowano także basen w zachodnim skrzydle, zaś na miejscu sali gimnastycznej powstało kino i sala konferencyjna.

W latach sześćdziesiątych w Bowie Institute prowadzone były wątpliwej sławy eksperymenty z MKultra oraz LSD. Wkrótce potem stał się on miejscem odpoczynku i regeneracji sił dla agentów powracających z misji, jak i tajną kliniką odwykową dla wybranych pracowników agencji i ich żon. Od czasu do czasu przesłuchiwano tu też wysokiej rangi szpiegów, jak na przykład Witalija Jurczenkę.

To właśnie Jurczenko z KGB Rosjanie zawdzięczali większość informacji na temat Bowie Institute. GRU poznało je głównie dzięki „sympatyzującym” z wywiadem wojskowym oficerom, pracującym dla Starszego Brata. Jurczenko twierdził, że trzykrotnie zabierano go na przesłuchania do instytutu, a każda sesja trwała kilka dni. Prawdopodobnie ze względu na zajmowane przez niego wysokie stanowisko w KGB, nie zaaplikowano mu narkotyków, ale on sam mówił, że widział kilka pokoi do przesłuchań wyposażonych w sprzęt umożliwiający stosowanie tej metody; między innymi wózki z pasami, szafki z lekami i kroplówki.

Oficerowie prowadzący przesłuchanie próbowali zahipnotyzować Jurczenkę, ale on, jak sam twierdził, okazał się niepodatny na hipnozę i nie udało mu się wejść w trans.

Agent KGB miał niewiele do powiedzenia na temat wyglądu Bowie Institute i jego dokładnego położenia. Wiedział tylko, że jest to długi budynek stojący na osi wschód-zachód,

że zewnętrzne mury są z cegły, a dach pokryty jest łupkiem. Według jego obliczeń, gmach miał około stu metrów długości, piętnaście do dwudziestu metrów wysokości, i stał na małym wzniesieniu na dużej polanie, otoczonej gęstym lasem iglastym. Czubki drzew sięgały nie wyżej niż na dziesięć-dwanaście metrów. Jurczenko nie zdobył żadnych informacji na temat straży, ogrodzeń czy urządzeń elektronicznych chroniących przed intruzami.

Trawkin spróbował ponownie wstać, zaciskając dłoń na prześcieradle. Powoli obszedł łóżko, po czym powłókł się do drzwi. Oczywiście, były zamknięte i od wewnątrz bez klamki. Nie zważając na ogarniające go mdłości, zaczął chodzić wokół pokoju, podpierając się ręką ścian. W szafie nie było żadnych ubrań, nic prócz papierowych kapci i czystej pościeli. Łazienka prezentowała się równie ponuro: sedes z poręczami dla niepełnosprawnych poruszających się na wózku, pedał spłuczki, oraz duży zlew z nierdzewnej stali. Cienkie ręczniki i ściereczka do twarzy, nie rozpakowana kostka mydła, trzy rolki papieru toaletowego na metalowej półce.

Po zakończeniu obchodu, major GRU ostrożnie podszedł do łóżka i usiadł z ulgą. Leki czy narkotyki, jakie mu podano, przestawały działać i powoli odzyskiwał zdolność jasnego myślenia. Nie pozwolił, by ogarnął go lęk. Na długo przed tym, jak mianowano go oficerem GRU, został *specjalnoje naznaczenije*, absolwentem szkoły Specnazu w Głównym Sztabie Lotnictwa, sto siedemdziesiąt pięć kilometrów na południowy wschód od Moskwy. Skoro przeżył mordercze ćwiczenia na bagnach w jednostce komandosów w Riazaniu, przetrwał wszystko, nawet pobyt w Bowie Institute - pomyślał.

Usłyszał cichy trzask i odwrócił się, marszcząc brwi. Drzwi do jego pokoju otworzyły się i stanęli w nich dwaj mężczyźni, ubrani w luźne białe fartuchy. Byli średniego wzrostu, pierwszy bardziej umięśniony od drugiego, ale obydwaj bez wątpienia sprawni fizycznie. Lepiej zbudowany miał jasne włosy, a jego szczuplejszy towarzysz był brunetem i nosił gęstą

brodę. Blondyn pchał przed sobą wózek inwalidzki.

- *Nu, pajdiom* - nakazał ciemnowłosa mężczyzna. Mówił po rosyjsku bez śladu akcentu, z monotonną intonacją - tak, jak tego uczą na amerykańskich uniwersytetach.

- Czemu miałbym pójść z wami? - spytał Trawkin po angielsku. - Nie wiem, kim do diabła jesteście ani gdzie mnie przywieziono.

- Nie musisz tego wiedzieć - odparł brunet, nadal mówiąc po rosyjsku. Powtarzam, idziemy.

Trawkin zamyślił się na chwilę. W jego stanie głupotą byłoby stawiać opór. Skinął więc głową, po czym powoli wstał z łóżka. Brunet odsunął się na bok, przepuszczając blondyna z wózkiem. Ten podszedł do łóżka i zaczął, aż Trawkin usiadł na wózku, po czym przypiął mu ręce pasami do poręczy. Ciemnowłosa mężczyzna przytrzymał drzwi i wywiózł Trawkina z izolatki.

Najpierw prowadzili go długim, jasno oświetlonym korytarzem, potem skręcili w lewo i zatrzymali się przed małą windą. Zjechali piętro niżej. Szeroki korytarz o marmurowych podłogach doprowadził ich do dawnego biura naczelnej pielęgniarki poprawczaka dla dziewcząt. Na starej, obitej skórą leżance rozłożone było ubranie Trawkina.

- Ubierz się - nakazał ciemnowłosa mężczyzna po rosyjsku. - Kiedy będziesz gotów, pójdziesz tam. - Tu wskazał ręką drzwi po drugiej stronie pomieszczenia. Blondyn odpiął pasy, którymi skrępowany był Trawkin i cofnął się o krok. Po kilku sekundach obydwaj mężczyźni wyszli, zamykając za sobą drzwi na korytarz.

Trawkin podjechał na wózku do leżanki i wstał. Ubranie pochodziło z walizki, którą zostawił w taksówce. Ciemnoniebieska marynarka, jasnoszara koszula, majtki, skarpety, mokasy i jedwabny krawat w niebiesko-czerwone paski, jeden z jego ulubionych. Trawkin ubrał się powoli, po czym podjechał do drzwi.

Otworzył je i zatrzymał się, zaskoczony. Pokój wyglądał zupełnie inaczej, niż się tego spodziewał. Zamiast ponurej sali przesłuchań, miał przed sobą bogato umeblowany salon. Wszedł do środka i zamknął drzwi. Najwięcej miejsca w pokoju zajmowała kanapa. Przed nią stał stolik z marmurowym blatem, na którym walały się czasopisma.

Naprzeciw kanapy stały dwa wyściełane fotele, a za nimi, pod ścianą, znajdowało się antyczne biurko. Po lewej stronie był kominek w stylu art-deco z trzaskającymi w ogniu polanami. Na białych ścianach wisiały dziewiętnastowieczne obrazy w stylowych ramach.

Pokój zalany był łagodnym światłem płynącym z lamp schowanych we wnękach w suficie.

Drewniane drzwi obok biurka otworzyły się i do pokoju wszedł nieznajomy mężczyzna. Wyglądał na około pięćdziesiąt lat, miał gęste siwiejące włosy, opadające w lokach na czoło i duże piwne oczy. Był ubrany w ciemne spodnie, zamszowe buty i brązową tweedową marynarkę narzuconą na jasnoniebieską koszulę. Nie miał krawata. W prawej ręce trzymał notatnik, a w lewej wypchaną tekturową teczkę.

- Pan Trawkin? - spytał nieznajomy, wyciągając rękę. - Nazywam się David Cook. -

Trawkin, zbity z tropu, uścisnął mu dłoń. Ręka Cooka była chłodna i sucha. Amerykanin wskazał rozmówcy tapczan; major GRU posłusznie usiadł. Cook spoczął naprzeciw niego w fotelu, po czym otworzył teczkę i zerknął do notesu.

- Na początek dopełnijmy formalności, dobrze? - zaczął Cook. - Nazywa się pan Dmitrij Aleksandrowicz Trawkin?

- Nie zamierzam odpowiadać na żadne pytania - odparł major GRU.

- Urodził się pan w Lalowie, małym mieście pod Moskwą - ciągnął Cook. Pański ojciec, Aleksander Antonowicz Trawkin, zmarł przed sześcioma laty na atak serca. Pańska matka, Maria Fiodorowna Trawkina, obecnie mieszka na prospekcie Uljanowa dwadzieścia sześć, między parkiem Sokolniki a stacją Ryską, zgadza się?

Tamten milczał. Zawsze żył ze świadomością, że CIA posiada jego dane, ale kiedy usłyszał z ust tego mężczyzny adres swojej matki, coś go ścisnęło w żołądku. Po chwili, ciekaw dalszego ciągu tego przesłuchania, skinął głową.

- Tak - powiedział wreszcie.

- Doskonale, dziękuję panu - uśmiechnął się Cook, zadowolony. - Jest pan majorem GRU, pod rozkazami generała Giennadija Kozłowa, prawda?

- Pełnię funkcję ekonomicznego doradcy radzieckiej misji handlowej w Waszyngtonie i zostałem nielegalnie uprowadzony przez Centralną Agencję Wywiadowczą - odparł Trawkin. - Chcę rozmawiać z ambasadorem radzieckim.

- Ależ oczywiście. - Cook skinął głową, uśmiechnięty. - Czy mógłby mi pan powiedzieć, kiedy postanowił przejść na stronę Amerykanów?

- Niczego takiego nie zrobiłem - odparł spokojnie Trawkin. - Jak mówiłem przed chwilą, zostałem uprowadzony przez CIA.

- Czy pańska decyzja miała podłoże polityczne? - spytał Cook, ignorując wypowiedź Trawkina.

- Nie przeszedłem na stronę Amerykanów - powtórzył Trawkin.

Cook, wciąż uśmiechnięty, obejrzał się przez ramię. Drzwi obok biurka otworzyły się i wszedł blondyn, który wcześniej pchał wózek Trawkina. Tym razem miał na sobie biały uniform z mosiężnymi guzikami i niósł tacę ze srebrnym serwisem do herbaty i talerzem małych ciastek. Blondyn postawił naczynia na stole między Trawkinem i Cookiem, po czym wyszedł bez słowa.

- No, to mamy coś na ząb! - ucieszył się Cook. Zamknął teczkę i położył ją na stole, przy talerzu. Nalał herbatę do dwóch filiżanek. - O ile dobrze pamiętam pańskie akta, pija pan herbatę z cytryną i cukrem, zgadza się?

- Tak. - Trawkin skinął głową. To był jakiś obłąd. Herbata? W środku nocy?

Cook podał mu filiżankę i machnął ręką w stronę ciastek.

- Proszę, niech pan się częstuje - powiedział agent CIA. Trawkin uzmysłowił sobie, jak bardzo jest głodny i wziął dwa małe ciasteczka, po czym położył je na krawędzi talerzyka. Następnie zamieszał herbatę i pociągnął łyk gorącej, słodkiej cieczy. Z filiżanką i talerzykiem w ręku, nadgryzł jedno z ciasteczek i zaczął, aż kęs rozpuścił się w ustach. Wyglądało na to, że w Bowie Institute mają niezłego kucharza. Żując następny kawałek ciastka, spojrzał na Cooka. Padły kolejne pytania.

Hollis Macintyre, w stroju wieczorowym, stał z kieliszkiem szkockiej w dłoni przy wielkim oknie w salonie apartamentu Hudsona Coopera w Watergate i wpatrywał się w ciemność. Było już dobrze po północy i ogarniało go zmęczenie. Zanim przyszedł z wizytą do zastępcy dyrektora CIA, spędził kilka godzin na przyjęciu Gourmet Society w Georgetown, ale jako że przez cały czas myślami był przy sprawie Trawkina, wieczór ten należało uznać za stracony.

Potężnie zbudowany mężczyzna odwrócił się od okna i zmarszczył brwi, zmagając się z kolejnym tego dnia atakiem gwałtownego bólu brzucha. Hudson Cooper siedział przy bogato zdobionym biurku po drugiej stronie pokoju i cicho rozmawiał przez telefon.

Oddychając ciężko, powoli poczłapał do jednego z obitych skórą foteli stojących wokół kominka i usiadł. Napił się szkockiej, po czym postawił kieliszek na stoliku. Po kilku minutach Cooper odłożył słuchawkę i dołączył do niego.

- No i? - spytał Macintyre, gdy zastępca dyrektora CIA zasiadł w fotelu.

- Wszystko zgodnie z planem - odparł Cooper, patrząc na kominek.

- Twój człowiek w Bowie o niczym nie wie?

- Wie tyle, ile potrzeba - westchnął Cooper. - Zrobiłem wszystko, żeby jak najmniej

osób znało prawdziwy cel operacji. Porywacze byli z wydziału tajnych operacji. Cook jest psychologiem z Biura Analizy Sytuacji w Związku Radzieckim. Resztą zajmują się służby techniczne. Ma to wyglądać tak, jakby uprowadzenie Trawkina zostało upozorowane, by ukryć fakt, że dobrowolnie przeszedł na naszą stronę.

- Myślisz, że nam się uda?

- Powinno - odparł Cooper. - W pokoju przesłuchań w Bowie jest pół tuzina ukrytych kamer i mikrofonów. Kiedy Cook skończy, będziemy mieli co najmniej dwie godziny materiału. Pytania zostały tak przygotowane, żeby uzyskać odpowiedzi, które można będzie przemontować odpowiednio do naszych celów. Końcowym efektem będzie pięć - lub piętnastominutowy segment, ukazujący Trawkina jako naszego nowego współpracownika. Nie musimy nawet rozgłaszać tego publicznie. Wystarczy wysłać kopię Kozłowskiemu albo Gurence.

- Uwierzą w to? - spytał sceptycznie Macintyre.

Cooper wzruszył ramionami.

- Może nie, ale będą musieli się z tym pogodzić - odparł zastępca dyrektora.

- Czy należy się spodziewać reperkusji z ich strony?

- Pewnie odegrają się na naszych w Moskwie, może kogoś wydalą, nic ponadto. Jeśli nie będziemy próbowali wykorzystać sprawy Trawkina przeciwko nim, może w ogóle nic nie zrobią. Póki co, klimat polityczny zmusza nas, byśmy zachowywali się jak najlepsi przyjaciele, przynajmniej na pokaz. Możliwe, że w ogóle nie nastąpią żadne reperkusje.

- Wspominałeś, że Trawkin przeszedł szkolenie w Specnazie - powiedział powoli

Macintyre i napił się szkockiej. - Czy możliwe jest, by uciekł z Bowie?

- Raczej nie - odparł Cooper.

- A gdyby jednak? - nie ustępował tamten.



- Wyciągnęliśmy wnioski ze sprawy Jurczenki - powiedział Cooper, uśmiechając się ponuro. - Tym razem będziemy mieli dowód, że major Trawkin zgłosił się do nas z własnej nieprzymuszonej woli. - Cooper potrząsnął głową.
- Nie, Hollis - ciągnął, odchylając się do tyłu - myślę, że udało nam się skutecznie wyeliminować Dmitrija Aleksandrowicza Trawkina z gry. Nawet gdyby wy dostał się z Bowie Institute, nie miałby dokąd pójść. Mogę cię zapewnić, że jego ludzie już go skreślili.
- Czyli nasz plan wchodzi w kolejną fazę - mruknął Macintyre, kręcąc kieliszkiem.
- Na to wygląda - odparł Cooper.
- Kiedy należy spodziewać się wiadomości od Rhinelandera?
- W przeciągu następnych dwóch, trzech dni, o ile nie pojawią się nieprzewidziane trudności. Skontaktuje się z Mallorym i powie, czy zadanie jest wykonalne.
- A jeśli uzna, że jest? - spytał cicho Macintyre.
- Wtedy zwołamy zebranie komitetu i podejmiemy ostateczną decyzję - odparł Cooper.

Macintyre odstawił kieliszek i wbił wzrok w Coopera.

- Nie podoba ci się to, co robimy, prawda, Hudsonie? - spytał wreszcie.
- Moje osobiste odczucia nie mają znaczenia - odparł zastępca dyrektora CIA. - Jestem członkiem komitetu Romulus. Z moim stanowiskiem wiążą się określone obowiązki, do których należy także troska o to, by naszym krajem nie kierował człowiek chory psychicznie.
- Cooper zawiesił głos, pochylił głowę i ścisnął nos kciukiem i palcem wskazującym. Wyprostował się i mówił dalej.
- Jeśli chodzi ci o to, czy pochwalam zabójstwo prezydenta i wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych, odpowiedź brzmi: nie. Uważam ten pomysł za odrażający ze wszech miar. Z drugiej strony, zdaję sobie sprawę ze skuteczności takiego planu i nie waham się, by go

poprzeć.

- Wyraziłeś się wystarczająco jasno - odparł Macintyre i pozwolił sobie na mały uśmiech. Z trudem podźwignął się z fotela. - Muszę już iść - powiedział i wyciągnął rękę do Coopera. Agent CIA wstał, uściśnął mu dłoń, po czym odprowadził go do drzwi mieszkania.

- Kiedy poznam odpowiedź Rhinelandera, natychmiast się z tobą skontaktuję - powiedział Cooper, otwierając drzwi.

- Będę wdzięczny - odparł Macintyre.

Raz jeszcze uściśnęli sobie dłonie, po czym Macintyre odszedł. Cooper zamknął drzwi i odetchnął głęboko. Było już dobrze po pierwszej w nocy i zmęczenie dawało mu się mocno we znaki, ale miał jeszcze sporo roboty. Powłókł się do biurka i podniósł słuchawkę telefonu.

W Moskwie minęła dziewiąta i w terminalu lotniska Szeremietiewo roiło się od podróżnych. Tu i ówdzie widać było małe grupki milicjantów. Bystre oko Siergieja Julewicza Kuriochina wypatrzyło także kilku strażników granicznych z KGB, w zielonych mundurach.

Kuriochin z małą torbą w ręku i papierosem w ustach, skręcił w wąski korytarz wiodący do poczekalni dla VIP-ów. Nie lubił długich podróży, zwłaszcza samolotem, ale wyjazdu do Warszawy nie dało się uniknąć. Dobrze chociaż, że leciał Aerofłotem, a nie polskimi liniami.

W poczekalni było już sporo ludzi. Kiedy wszedł przez automatycznie otwierane drzwi do środka, wszyscy podnieśli głowy. Zaraz potem opuścili wzrok, jakby intuicyjnie wyczuwali moc spowijającą tego starego człowieka, niczym niewidzialny płaszcz.

Kuriochin zmarszczył brwi, kiedy zobaczył, że ktoś wstaje i zmierza w jego stronę.

Był to Baklinow, kierownik wydziału amerykańskiego w Tęplem Stanie. Potężnie zbudowany mężczyzna zatrzymał się dwa kroki przed swoim przełożonym i skłonił się sztywno.

- Co za niespodzianka - powiedział Kuriochin. Dał swoją torbę Baklinowowi i poszedł za nim. Usiedli z dala od pozostałych pasażerów. Kuriochin zgasił papierosa w wypełnionej piaskiem popielniczce. Poprawiając druczane okulary, spojrzął na Baklinowa. - O co chodzi? Przeszedł raport z Waszyngtonu, od Gurenki - powiedział niepewnie jego podwładny.
- Dostaliśmy go w nocy. Od razu przyjechałem tutaj.
- Raport? O czym? - spytał Kuriochin. Wyjął paczkę papierosów z kieszeni brązowego płaszcza. Zapalił lucky strike'a i spojrzął wyczekująco na Baklinowa.
- Chodzi o Trawkina, majora GRU, o którym rozmawialiśmy.
- Co z nim? - spytał Kuriochin, wydmuchując chmurę niebieskawego dymu.
- Wygląda na to, że przeszedł na drugą stronę.
- Mów jaśniej - nakazał Kuriochin spokojnym tonem.
- Trawkin zniknął. Nasi ludzie stracili go z oczu. Zdaje się, że jego ucieczka została bardzo profesjonalnie przygotowana. Gurenko jest pewien, że ktoś mu w tym pomógł.
- Innymi słowy, to było ukartowane - stwierdził Kuriochin.
- Tak. - Baklinow odetchnął głęboko. - Możemy mieć problemy z Kozłowem. On twierdzi, że Trawkin został porwany.
- Gadanie. Próbuje ratować swój honor. Trawkin był jego protegowanym, a ten stary lubieżnik sypiał z jego matką.
- Tak czy inaczej Gurenko czeka na instrukcje.
- Powiedz mu, żeby nic nie robił, przynajmniej na razie - powiedział Kuriochin po chwili namysłu. - Jeśli Trawkin zdradził, ta wiadomość w końcu przedostanie się do prasy, nawet gdyby Amerykanie próbowali ją zataić. Ich system ochrony tajemnic państwowych jest dziurawy jak sito. Gurenko powinien przyjąć, że stało się najgorsze.
- A jeśli Trawkin się odnajdzie?

- Powiedz towarzyszowi Gurence, że od tej pory major Trawkin nie istnieje -

powiedział Kuriochin z łagodnym uśmiechem. - Jeśli się pojawi, oznaczać to będzie, że albo przeszedł na stronę CIA, albo został wypuszczony na wabia. Tak czy inaczej, nie będziemy mieli z niego żadnego pożytku. Pozostaje nam się cieszyć z tego, że narobił wstydu Giennadijowi Kozłowowi.

Do Kuriochina i Baklinowa podeszła młoda, wyraźnie zdenerwowana stewardesa w beżowym uniformie Aeroflotu i położyła na stoliku tacę z porcją wędzonego łososia, kromkami czarnego chleba, karafką herbaty i dwiema małymi szklankami. Kuriochin zgasił papierosa, po czym położył na kromce kawałek ryby i zaczął jeść. Baklinow niczego nie tknął; gdyby szef życzył sobie, żeby jego podwładny coś zjadł, to by go poczęstował.

- Coś jeszcze? - spytał Kuriochin, spoglądając na Baklinowa.

- Nie. Myślę, że Gurenko będzie zadowolony. *Spasiba*.

- *Niet prabliem* - odparł Kuriochin, zadziwiając Baklinowa znajomością współczesnego slangu. - A teraz pozwól mi zjeść w spokoju.

- Oczywiście, panie generale. - Baklinow wstał, pochylił głowę w ukłonie i wyszedł z poczekalni dla VIP-ów. Kuriochin tymczasem przyrządził sobie kolejną małą kanapkę, tym razem kładąc na łososiu marynowane kapary. Zjadł ją i nalał sobie herbaty.

Sącząc gorący płyn, patrzył na płaskorzeźbę na ścianie: szerokie w ramionach kobiety przyciskające pszenicę do łona; muskularni mężczyźni pracujący w pocie czoła w kuźni.

Boże, wszędzie to samo! Odwrócił spojrzenie od socrealistycznego arcydzieła, pomyślał o Trawkinie i zaczął się zastanawiać, czy w Waszyngtonie nie dzieją się ciekawsze rzeczy, niż mu się początkowo wydawało. Warto by to sprawdzić po powrocie z Warszawy.

## Rozdział 13

W tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym roku Henry Adams, powieściopisarz,

historyk i potomek prezydentów, oraz jego bliski przyjaciel polityk, John Hay, wybudowali domy obok siebie, w północnej części placu Lafayette'a w Waszyngtonie, przy Szesnastej ulicy. Oddalone zaledwie o dwieście metrów od „Domu Prezydenta”, stały się miejscem spotkań śmietanki towarzyskiej. Można było sobie wyobrazić, jak Theodore Roosevelt wpada tu na popołudniową herbatkę i odkrywa z pewnym oburzeniem, że Henry James dobrał się już do świeżych ciasteczek.

Domy rozebrano w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku, by zrobić miejsce dla nowego hotelu, nazwanego oczywiście „Hay-Adams”, ku pamięci dwóch wielkich osobistości. Fakt, że stał on tak blisko Białego Domu, przydawał mu atrakcyjności, ale w latach siedemdziesiątych „Hay-Adams”, choć wciąż cieszący się pewną popularnością, wypadł z listy najbardziej modnych hoteli waszyngtońskich.

Kuluary, wyłożone ciemną boazerią, spowijał półmrok, pokoje były obskurne, a obsługa beznadziejna. Na początku lat osiemdziesiątych hotel zmienił się w widmową starą damę, zachowującą resztki godności przez wzgląd na bliskość do centrum władzy, ale mocno podupadłą.

W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim wszystko się zmieniło, gdy „Hay-Adams” został zakupiony przez Davida Murdocka, kalifornijskiego finansistę i wyremontowany pod czujnym okiem jego żony - Gabriele. Po roku hotel odżył w całej swojej krasie: pokoje i apartamenty stały się bardziej przytulne, w kularach pojawiły się imponujące kandelabry. Salę Henry'ego Adamsa, w której można było zjeść śniadanie, pomalowano ciepłymi barwami, a w restauracji i barze pojawiły się dywany. Fasadę budynku dokładnie umyto, mosiężne ozdoby wypolerowano, a w recepcji pojawiła się nowa jasnoniebieska papeteria z adresem „Plac Lafayette'a”, mimo że główne wejście do hotelu znajdowało się przy Szesnastej.

Historia tego słynnego budynku budziła w nim pewne zaniepokojenie. Eric

Rhinelander jednak bardziej zainteresowany był faktem, że z okien wychodzących na południe na czwartym, piątym i szóstym piętrze widać było jak na dłoni północną fasadę Białego Domu i przyległe tereny. Od szóstej rano robił zdjęcia nikonem z trzystumilimetrowym teleobiektywem, zamontowanym na niskim statywie postawionym na stoliku z drzewa wiśni.

Używał filmu Polachrome 35 mm do slajdów, by jego zainteresowanie siedzibą prezydenta nie budziło podejrzeń. Zdjęcia zamierzał wywołać za pomocą taniego zestawu, kupionego poprzedniego dnia, zaraz po przyjeździe do Waszyngtonu.

W czasie trzydziestoletniej kariery zawodowej wykonał wiele zadań o różnym stopniu trudności, począwszy od krwawych jatek w dżunglach Laosu i Kambodży, a skończywszy na precyzyjnych zabójstwach na peronach paryskiego metra. Mordował agentów KGB śpiących w swoich łóżkach, południowoamerykańskich dyktatorów w objęciach kochanek. Na swoim koncie miał także brytyjskiego naukowca, zabitego we własnym laboratorium oraz tureckiego handlarza bronią, który zginął w swoim samolocie na wysokości sześciu tysięcy metrów nad Morzem Egejskim.

Ale nic nie mogło się równać z zadaniem, jakiego miał się podjąć. Każda głowa państwa, z natury pełnionej przez siebie funkcji, była „trudnym celem”. Prezydent Stanów Zjednoczonych był bez wątpienia najtrudniejszym z trudnych. Do tego jeszcze dochodziło życzenie Hudsona Coopera, że zabójstwo ma nastąpić w Białym Domu. Na pierwszy rzut oka wydawało się to nie tylko nierealne, ale wręcz szalone.

Jeszcze nigdy nikt nie próbował zabić prezydenta w Białym Domu czy na przylegającym doń terenie. Zabójstwo Johna Kennedy’ego i niezliczone zamachy na jego następców spowodowały, że Biały Dom stopniowo zmieniał się w niemożliwą do zdobycia

fortecę. Mówiło się nawet, iż na dachu budynku Departamentu Skarbu ukryta jest wyrzutnia rakiet ziemia-powietrze.

Z drugiej strony, Hudson Cooper doskonale wiedział, co robi. Zabójstwo prezydenta i wiceprezydenta w Białym Domu byłoby ciosem w samo serce amerykańskiej mitologii.

Można nie przepadać za człowiekiem u steru władzy, ale tak jak Konstytucja, flaga i Dzwon Wolności, Biały Dom oraz urząd, jaki reprezentował, były świętością dla przytłaczającej większości Amerykanów. Zbezczeszczenie tego miejsca oburzyłoby cały naród.

I właśnie tego chciał Cooper. Jeśli jego plan się powiedzie i winą za śmierć głowy państwa obarczony zostanie znany terrorysta, Nezar Assad, zastępca dyrektora CIA i ludzie, dla których pracował, będą mogli zmienić dotychczasowy kierunek polityki bliskowschodniej. Pozycja Kaddafiego zostanie poważnie zachwiana, a rozbudzona obawa przed atakami organizacji terrorystycznych spowoduje znaczne zwiększenie wydatków budżetowych na agencje wywiadowcze.

Przyjechał tu po to, żeby sprawdzić, czy zadanie jest wykonalne. Pochylił się i przyłożył oko do celownika aparatu.

Od północnej strony na teren Białego Domu można się było dostać przez dwie bramy, północno-wschodnią i północno-zachodnią. Przy każdej z nich stała mała stróżówka, w której wartę pełnili dwaj umundurowani oficerowie Służby Ochrony Prezydenta. Mniej więcej co dziesięć minut przy stróżówkach przystawali agenci Tajnej Służby w cywilu, patrolujący trawnik od północnej strony Białego Domu. Naliczył dwunastu umundurowanych strażników i sześciu cywilów.

Obserwując sam Biały Dom, wypatrzył dwóch umundurowanych oficerów w stróżówce od wschodniej strony, dwóch agentów na krętym podjeździe biegnącym od bramy do wejścia do wschodniego skrzydła budynku, dwóch przechadzających się wzdłuż

wschodniego skrzydła, dwóch pilnujących wejścia od północnej strony i sześciu pełniących wartę wokół zachodniego skrzydła i Biura Prasowego.

W sumie doliczył się trzydziestu sześciu ludzi. Przyjmując, że od południowej strony Białego Domu pilnuje co najmniej tylu agentów, oznaczało to, iż miał do czynienia z ponad siedemdziesięcioma ludźmi odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo na zewnątrz budynku.

Wokół Białego Domu zainstalowano również sporo urządzeń elektronicznych. Na maksymalnym zbliżeniu teleobiektywu wypatrzył powoli obracające się wieżyczki z kamerami, ukryte za szczelinami wentylacyjnymi na dachu. Kamery znajdowały się też pod okapem, ich obiektywy wycelowane w podjazdy i trawniki przed budynkiem.

Przy północno-zachodniej bramie dało się zauważyć róg małej szarej skrzynki, częściowo schowanej u podstawy jednej z kamiennych kolumn. Z niej wychodził ledwo widoczny gruby kabel, znikający w ziemi. Najprawdopodobniej było to więc urządzenie kontrolne mikrofalowej bariery ochronnej. Przy uważniejszej obserwacji z pewnością można by wypatrzyć kilka podobnych, rozrzuconych na całej długości ogrodzenia. Zakopane w ziemi kable wytwarzały niewidoczną barierę mikrofalową, zdolną wykryć każdego intruza próbującego dostać się przez ogrodzenie na teren Białego Domu.

Zrobił jeszcze kilka zdjęć, po czym odchylił się i zapalił papierosa. Przy takim poziomie zabezpieczeń należało się spodziewać czujników ukrytych w trawie, kamer działających w podczerwieni i być może radaru wykrywającego intruzów. Oprócz strażników i urządzeń elektronicznych, istniały też przeszkody w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Wielkie betonowe bariery rozmieszczone po klęsce bejruckiej już dawno zostały usunięte, ale w asfalcie, tuż za bramami, widać było wiele mówiące ślady. W razie gdyby ktoś spróbował wjechać z dużą szybkością na teren Białego Domu, z ziemi wysunęłaby się potężna kolczatka, która może przebić wszystkie opony i zdemolować podwozie każdego pojazdu, poza



czołgiem.

Rhinelandier westchnął, wydmuchując nosem dym. Wziął do ręki leżący na stoliku zeszyt i zaczął zapisywać swoje obserwacje.

Myśliwy polujący na wielkiego zwierza nazwałby Biały Dom trudnym do spenetrowania legowiskiem, ale według niego zadanie to nie było bynajmniej niemożliwe.

Wystarczyła pobieżna obserwacja zabezpieczeń budynku, by zauważyć, że przede wszystkim miały one powstrzymać szaleńców próbujących sforsować ogrodzenie i fanatyków w samochodach-pułapkach, wyładowanych materiałami wybuchowymi. Krótko mówiąc, ochrona przyjmowała założenie, że nikt o zdrowych zmysłach nie będzie chciał zabić prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Zdaniem Rhinelandera, który na własne oczy widział efekty działalności terrorystów od Dublina po Dubrownik, takie rozumowanie było niesamowicie naiwne. Wziął do ręki przewodnik po Waszyngtonie, zakupiony na dworcu kolejowym. Odszukał rozdział o Białym Domu i żółtym markerem zaznaczył godziny zwiedzania budynku: od dziesiątej do dwunastej, od wtorku do soboty.

Rzucił książeczkę na stół, zgasił papierosa w kryształowej popielniczce, po czym zapalił następnego. W epoce szwadronów śmierci, bomb ukrytych w walkmanach i krwawych reżimów południowoamerykańskich, rezydencja prezydenta Stanów Zjednoczonych była otwarta dla wszystkich przez pięć dni w tygodniu.

Potrząsnął głową, usiłując wyobrazić sobie grupy turystów pętających się po siedzibie premiera Wielkiej Brytanii na 10 Downing Street, czy pułki uzbrojonych w aparaty fotograficzne Japończyków lub Niemców rozbiegających się po korytarzach Pałacu Elizejskiego w Paryżu. To było absurdem, ale tu, w Waszyngtonie, było to przyjmowane jako coś najzupełniej normalnego, niczym przejażdżka tunelem strachu w Disney landzie czy

wspinaczka na koronę Statuy Wolności.

Nachylił się i ponownie spojrział przez celownik aparatu. Biały Dom. Co pozostawało po odrzuceniu całej symboliki tego miejsca? Trzypiętrowa posiadłość, z parterem niewidocznym od strony hotelu ze względu na zagłębienie terenu, i trzecim piętrem skrytym za murem ochronnym, biegnącym po krawędzi dachu. Od wschodniej i zachodniej strony budynku kolumnowe portyki łączą wschodnie i zachodnie skrzydło. Wszystko pośród drzew, trawników i fontann; zupełnie jak w parku. Może to i robiło wrażenie, ale o godzinę jazdy stąd można było zobaczyć większe pałace, zbudowane w o wiele piękniejszych okolicach. Uświadomienie sobie tego faktu miało stanowić klucz do sukcesu. Biały Dom jest jak inne, tylko lepiej strzeżony. Każdy zamek miał swój klucz; każdy problem - rozwiązanie.

Odsunął się od aparatu i ponownie wziął do ręki notes. Zanotował sobie w punktach, czego jeszcze musi się dowiedzieć, zanim podejmie dalsze działania:

Rozkłady

Tajna Służba

Służba Ochrony Prezydenta (mundury)

obsługa (posiłki?)

zmiany wart

światła?/obserwacja?/częstotliwości radiowe?

Prezydent/Wiceprezydent

dzienny plan zajęć/czy taki istnieje?

dzieci/krewni

samochody/gdzie?

jedzenie

Tucker/Teresi

życiorysy

nawyki

Budynek/tereny

historia

plany budynku?

książki/pisma

mapy/plany

inne dokumenty

plan Blair House

Broń

cicha

najlepiej nie z metalu (ochrona/wykrywacze?)

zabójcza

trucizna/strzałka?

CO2?

Mallory

lista zakupów

Odłożył długopis, pomasował oczy kciukiem i palcem wskazującym, po czym ziewnął. Na razie wystarczy. Nie było sensu prowadzić dalszych działań, dopóki nie zadomowi się w mieszkaniu Johna Graya. Zaczął pakować sprzęt fotograficzny. Czas wynieść się z hotelu „Hay-Adams”.

Kiedy wybiło południe, Rhineland był już w drodze do o wiele skromniejszego hotelu „Holiday Inn” na Connecticut Avenue. W recepcji przedstawił się jako John Gray i podał numer karty Diner’s Club jako rękojmię zapłaty za dwutygodniowy pobyt.

Dla niego nie istniało coś takiego jak szczęśliwy traf. To, że w hotelu „Breakers” znalazł takich ludzi jak Gray’owie i że wyjechali oni na tak długi okres, było miłą niespodzianką, ale niczym więcej. Dopatrywanie się w tym szczęśliwego trafu byłoby błędem. Liczenie na tego rodzaju przypadkowe sploty okoliczności mogło się źle skończyć, dlatego też na wszelki wypadek wynajął pokój w „Holiday Inn”. Jeżeli zaś z jakiegoś powodu musiałby uciekać z Wyoming Apartments, mógł znaleźć schronienie w hotelu oddalonym o zaledwie kilkaset metrów.

Rhinelanders wszedł na górę. Jego pokój okazał się mały, ale funkcjonalny. Stały w nim dwa łóżka, biurko i szafka. Położył walizkę na łóżku, podszedł do okna i rozsunął ciężkie jasnozielone zasłony. Zgodnie z życzeniem, miał widok na Connecticut Avenue.

Na wprost okna wznosił się biały gmach hotelu „Hilton”, z głównym wejściem na T Street. Nieco bardziej na lewo, naprzeciw tylnej elewacji „Hilтона”, znajdowały się Wyoming Apartments. Niegdyś z okien tych trzech połączonych ze sobą sześciopiętrowych bloków można było oglądać panoramę południowo-zachodniego Waszyngtonu, ale wybudowany później hotel przywłaszczył sobie ten wspaniały widok i podziwianie go umożliwił tylko swoim gościom.

Wyjął aparat, po czym podszedł do okna i przez teleobiektyw dokładnie przyjrzał się budynkowi, w którym mieszkali państwo Gray. Na pierwszy rzut oka, na podstawie dość nieudolnie wykończonych ozdób architektonicznych, można było przypuszczać, że wybudowany został na początku wieku. Sądząc z wyglądu dużego łuku, umieszczonego w zagłębieniu muru, niegdyś tam właśnie znajdowało się główne wejście do budynku, od jakiegoś już czasu zastawione małym oknem i urządzeniem klimatyzacyjnym. Kierując obiektyw w prawo, obejrzał budynek od strony Columbia Road.

Było tam troje podwójnych drzwi, prowadzących do poszczególnych bloków. Położył

kamerę na szafce i zapalił papierosa. Wpatrzony w Wyoming Apartments, pogrążył się w zamyśleniu.

Skoro były trzy wejścia to mało prawdopodobne, by przy którymkolwiek z nich dyżurował strażnik. Zważywszy na wiek budynku, na dziedzińcach między blokami znajdowały się na pewno drzwi dla służby. Do Wyoming Apartments wchodziło się od strony Columbia Road, ale w karcie rejestracyjnej na samochód Graya podany był adres przy Connecticut Avenue. Oznaczało to zapewne, że państwo Gray mieszkali w pierwszym z trzech bloków. Mógł przypuszczać, że bez trudu dostanie się do środka.

I rzeczywiście przyszło mu to łatwo. Ubrany w dżinsy i dzianą niebieską koszulę z krótkimi rękawami i z nikonem przewieszonym przez ramię, Rhineland opuszczył hotel. Po drugiej stronie Connecticut Avenue przystanął pod pomnikiem George'a B. McClellana, generała z czasów wojny secesyjnej, zrobił zdjęcie, po czym przemaszerował po pasach do Columbia Road.

Lekkim krokiem podszedł do frontowych drzwi pierwszego z trzech bloków składających się na Wyoming Apartments i otworzył je. Udał, że grzebie po kieszeniach w poszukiwaniu kluczy i rozejrzał się dyskretnie. Tę część budynku dobudowano stosunkowo niedawno, zapewne ze względów bezpieczeństwa. Po prawej stronie był domofon, dwa mieszkania na każdym piętrze; państwo Gray mieszkali pod numerem pięćset drugim.

Naprzeciw wejścia znajdowały się solidne szklane drzwi, a za nimi kuluary, w których była marmurowa podłoga, kręte schody, a po bokach staroświeckie windy klatkowe. Żadnego stanowiska ochrony.

Wyjął z kieszeni klucze i wypróbował pierwszego z nich, marki Medeco. Pasował.

Drzwi otworzyły się. Szybkim krokiem przeszedł przez hol i skierował się do windy po lewej stronie. Wcisnął guzik piątego piętra. Po chwili znalazł się na małym holu, przypominającym

parterowe kuluary. Były tu dwa mieszkania, pięćset jeden po prawej stronie, pięćset dwa po lewej. Otworzył drzwi kluczem Secor i wszedł do mieszkania państwa Gray.

Za drzwiami znajdował się mały hol. Na ścianie po prawej stronie, na wysokości oczu, wisiała mała szara skrzynka od alarmu. Paliły się na niej trzy światełka, dwa zielone i jedno czerwone. Przy zielonych widniały napisy „Monitorowanie” i „Impuls”, a czerwone podpisane było „Włącz/Wyłącz”. Pod światełkami znajdował się uruchamiany kluczem wyłącznik. Rhineland włożył klucz do dziurki i przekręcił. Na miejscu czerwonego światełka pojawiło się zielone. Rhineland schował klucze do kieszeni i zamknął drzwi.

Mieszkanie było ogromne, a sądząc po wysokiej jakości meblach i sprzętach domowych, Gray miał za sobą niezwykle udaną karierę adwokacką. Po lewej stronie wysokie, zwieńczone łukiem przejście prowadziło do przestronnego salonu, mającego co najmniej dwanaście metrów długości i sześć szerokości. Pokój ten podzielony był na dwie części pokrytymi warstwą czarnego lakieru chińskimi parawanami, zdobnymi w pozłacane żurawie i smoki. Po jednej stronie parawanów, wokół kominka stało kilka obitych skórą foteli, a na drugim końcu salonu znajdowały się kanapy, krzesła, stoliki z drzewa palisandra i piękne szesnastowieczne intarsjowane biurko. Dębową podłogę przykrywały stare perskie dywany, a na jasnożółtych ścianach wisiały dzieła dziewiętnastowiecznych malarzy amerykańskich w bogato zdobionych ramach, każde z nich odpowiednio podświetlone. Duże okna wychodziły z jednej strony na Columbia Road, a z drugiej na Connecticut Avenue.

Obramowane mosiądzem drzwi z drewna i ołowiowego szkła wiodły do równie imponująco prezentującej się jadalni. Ściany obite były jedwabiem w kolorze brzoskwini. Kandelabr a la Wedgewood oświetlał długi stół w stylu Chippendale’a, z należącymi do kompletu krzesłami, stojącymi na dużym kazachskim dywanie w jasnych barwach. Sklepione przejście po drugiej stronie jadalni prowadziło na korytarz ciągnący się

przez całe mieszkanie. Na ścianach wisiały oprawione w ramki zdjęcia, głównie rodzinne: Gray z żoną, z dziećmi w różnych latach, w mundurze marynarki Stanów Zjednoczonych, z prezydentami od Eisenhowera do Reagana.

Po prawej stronie korytarza znajdowały się: spiżarnia, duża, ale staroświecka kuchnia, mała winda dla służby, łazienka, rupieciarnia pod tylnymi schodami i dwa nieduże pomieszczenia, niegdyś być może zajmowane przez służących, a obecnie przerobione na pokój gościnny i szwalnię.

Tymczasem po lewej stronie, naprzeciw kuchni, mieścił się gabinet. Jedna ściana w całości zastawiona była książkami, a po przeciwnej stronie, w oszklonych gablotach, stały trofea wygrane w golfa. Naprzeciw zasłoniętych draperiami okien znajdował się kominek i wypolerowane na wysoki połysk mahoniowe biurko. Tylko stanowisko pracy pana domu zupełnie nie pasowało do reszty pokoju.

Na nowoczesnym stalowym stole stał komputer Everex 386 z wielkoekranowym kolorowym monitorem i faksem marki Toshiba. Na półce pod stołem leżała laserowa drukarka, a na biurku - wyglądająca na bardzo nowoczesną konsola telefoniczna, która zdawała się być podłączona do komputera. Na stoliku pod oknem stały pudełka z programami, wśród których znalazły się trzy różne bazy danych: dla księgowych, program do naliczania opłat za usługi adwokackie oraz programy do nauki obsługi PC Linku, InfoNetu i kilku innych sieci. Gray może i przeszedł na emeryturę, ale bynajmniej nie zamierzał spocząć na laurach.

Po lewej stronie korytarza były jeszcze dwa pokoje z łazienkami, pełniące funkcję sypialni; w tym, bliżej gabinetu, stało niewielkie łóżko dla jednej osoby, a w drugim duże łożo. W pokoju w głębi korytarza dominowała zieleń i błękit, a podłogę przykrywała miękka wykładzina. Natomiast w sypialni bliżej gabinetu wyczuwało się brak kobiecej ręki - białe

ściany, drewniana podłoga, przykryta tylko słomianą matą w nogach łóżka. Wyglądało na to, że państwo Gray sypiają oddzielnie.

Rhinelander wrócił do gabinetu, wyjął z kieszeni dzinsów mały notatnik z adresami, usiadł za biurkiem i podniósł słuchawkę. Zadzwoił w dwa miejsca. Najpierw do Housecalls. Podając się za Johna Graya, powiedział, że choroba zmusiła go do wcześniejszego powrotu i w związku z tym dalsza opieka firmy nad jego mieszkaniem nie jest konieczna. Dodał, że wyśle prawnika po korespondencję i klucz do skrzynki. Następnie zadzwonił na numer otrzymany od Hudsona Coopera w czasie spotkania na Barbadosie. Odezwała się automatyczna sekretarka. Szybko, ale wyraźnie odczytał numer do budki telefonicznej w Visitors Center na dworcu Union i podał godzinę - dziesiątą trzydzieści następnego ranka. Mallory miał się tam stawić o tej porze i czekać na telefon.

Wyszedł następnie z mieszkania państwa Gray i wrócił do pokoju w „Holiday Inn”.

Było wpół do drugiej. Miał dość czasu, żeby pójść po nowe ubrania i odebrać klucz do skrzynki z Housecalls. Przez resztą dnia zamierzał buszować po dobrych antykwariatach w poszukiwaniu materiałów. Wieczorem wprowadzi się do Wyoming Apartments.

Uśmiechnął się do siebie. Jak zawsze przed akcją poczuł charakterystyczny nerwowy ucisk w żołądku. Stał na środku pokoju hotelowego, zamknął na chwilę oczy i przywołał w pamięci Biały Dom, oglądany przez obiektyw aparatu fotograficznego. Obszar polowania został wyznaczony; można więc rozpocząć łowy.

Część trzecia

Taki już los prezydenta.

Harry Truman,

z komentarza odnośnie do zamachu na swoje życie

Rozdział 14



Podczas gdy Rhinelandier przygotowywał się do zakupów, Stephen Stone kończył jeść spóźniony lunch w restauracji na dachu hotelu „Washington”. Naprzeciw niego siedział Lyall Spencer, szef personelu Tajnej Służby Białego Domu. Wiał słaby wietrzyk, ale było tak gorąco, że obydwaj mężczyźni zdjęli marynarki.

Spencer dobiegał już pięćdziesiątki; od dwudziestu pięciu lat pracował w Departamencie Skarbu, a ponad połowę tego czasu spędził w Tajnej Służbie. Od niemal trzech lat pełnił funkcję szefa personelu w Białym Domu. Oznaczało to, że wkrótce czeka go przeniesienie do jakiegoś biura w terenie lub do głównej kwatery Tajnej Służby na G Street. Był postawnym mężczyzną o szerokich ramionach i grubej szyi, co upodabniało go do graczy w amerykański futbol. Miał krótko przystrzyżone, nieco przerzedzone siwiejące włosy. Spod ciemnych okularów wyłoniły się brązowe oczy; z ich ciepłą barwą kontrastowało przenikliwe, zimne spojrzenie.

Stone przyglądał się, jak szef Tajnej Służby w Białym Domu wbija widelczyk w resztki tortu. Spotkali się ze sobą kilka razy w okresie, kiedy Spencer pracował w waszyngtońskim biurze. Zdarzyło im się także wpaść na siebie na jakichś przyjęciach. Stone wiedział o swoim rozmówcy niewiele ponadto, że był rozwiedziony i miał dwójkę nastoletnich dzieci mieszkających w Kalifornii.

Patrząc na niego, Stone widział człowieka żyjącego w stanie ciągłego napięcia połączonego z ogłupiającą nudą. Każdy dzień był dla Spencera niekończącym się pasmem próbnych i fałszywych alarmów. Jako człowiek osobiście odpowiedzialny za bezpieczeństwo najważniejszej osoby w kraju, musiał bezustannie zachowywać czujność. Życie w takim stresie nieuchronnie prowadziło do zawału, alkoholizmu lub rozpadu małżeństwa. Nikt jednak Spencera siłą nie zmusił do pracy w Białym Domu; zdecydował się na to sam, z własnej nieprzymuszonej woli.

Kiedy Spencer skończył jeść, Stone zamówił kawę, a gdy ją podano, obydwaj zapalili papierosy i przeszli do rzeczy.

- Nieczęsto zdarza się, żeby FBI zapraszało naszych ludzi na lunch - powiedział Spencer. - Z tego, co mówiłeś przez telefon, wynika, że działasz na własną rękę. - Mówił zadziwiająco ciepłym barytonem. - O co ci chodzi? - spytał wprost.

- Po prostu chcę uniknąć zbędnych formalności - odparł Stone. - Krótka rozmowa może nam w przyszłości oszczędzić papierkowej roboty.

- Pod warunkiem, że nie wspomnimy o tym spotkaniu naszym szefom stwierdził Spencer.

- O ile wiem, nasi przełożeni nie przepadają za sobą. - Stone wzruszył ramionami.

Obydwaj doskonale zdawali sobie sprawę z napięć istniejących na linii FBI - Tajna Służba. Częściowo przez wzgląd na zasady bezpieczeństwa wewnętrznego przyjęte w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku, FBI zajmowało się głównie już popełnionymi przestępstwami, zamiast zbierać informacje mogące im zapobiec. W wyniku ograniczenia działalności wywiadowczej biura na terenie Stanów Zjednoczonych, dane przekazywane Tajnej Służbie stawały się coraz mniej wartościowe. Pół tuzina przesłuchań w Kongresie nie pomogło w rozwiązaniu tego problemu.

- No dobrze. Do licha z przepisami, przynajmniej póki co - powiedział Spencer. -

Pytaj, o co chcesz, a ja będę się napawał tym, że dla odmiany to FBI zgłasza się do nas po informacje.

- Francisco Cabrera - zaczął Stone, bacznie obserwując swojego rozmówcę. Spencer ani drgnął; był niczym cyborg w szarym flanelowym garniturze.

- Co z nim? - Agent Tajnej Służby pociągnął łyk kawy i spojrzał tępyim wzrokiem na Stone'a.

- Dotarły do mnie pewne plotki związane z jego wizytą.

- Nie mam czasu na twoje gierki - odparł Spencer. - Cabrera jest prezydentem

Kostaryki i przyjeżdża w przyszłym miesiącu na oficjalne otwarcie nowego budynku ambasady. Te informacje możesz znaleźć w gazetach, a ty węszysz wokół mnie. Dlaczego?

- Czy były jakieś groźby pod jego adresem? - spytał Stone. - OPI nic nie mówiło?

- OPI to Biuro Wywiadu Ochronnego funkcjonujące w ramach Tajnej Służby.

Takich rzeczy za darmo się nie zdradza - odparł Spencer. - Dlaczego chcesz to wiedzieć?

Przez długą chwilę panowała cisza.

- Mieliśmy na oku pewnego Rosjanina. Niedawno zniknął - powiedział wreszcie

Stone, nieznacznie przeinaczając fakty. - Wysoko postawiony oficer GRU. Wykazywał spore zainteresowanie Cabrerą.

- To znaczy? - spytał Spencer, zaintrygowany.

- Prawdopodobnie planowany jest zamach na prezydenta Kostaryki - odparł Stone.

Przy słowie „zamach” oczy Spencera zaiskrzyły się, po czym na jego twarz powrócił kamienny wyraz.

- Czy to informacja z pewnego źródła? - spytał agent Tajnej Służby.

- Tak - odparł Stone.

Spencer odchylił się do tyłu.

- Jedno pytanie - powiedział po chwili. - Dlaczego nie dowiedziałem się o tym normalnymi kanałami?

- Dostałem polecenie, bym przestał zajmować się tą sprawą - odparł cicho Stone. -

Powiedziano mi, że wykracza ona poza kompetencje FBI. - Znaczenie tych słów było oczywiste. Rozkaz odsunięcia Stone'a musiał nadejść z agencji wywiadowczej wyższego

szczebla, a ponieważ w sprawę zamieszany był sowiecki agent, oznaczało to, że ową agencją była CIA.

- Cholera jasna - powiedział Spencer. - Tylko tego mi było trzeba! - Zgasił papierosa w ostatnim kawałku tortu, po czym zapalił następnego.

- Naprawdę nic o tym nie słyszałeś? - spytał Stone.

Spencer potrząsnął głową.

- Ni cholery - powiedział. - Jak długo miałeś tego Ruska na oku, zanim ci go dmuchnęli?

- Wystarczająco długo, by wiedzieć, że coś wyniuchał - odparł ostrożnie Stone.

Mógłby się w końcu zaplątać, gdyby zbyt daleko zabrnął w swoim kłamstwie.

- Macie jakieś dowody rzeczowe?

- Nie - odparł Stone, potrząsając głową. Akurat to było w pełni zgodne z prawdą. Jak dotąd, miał tylko kilka luźno powiązanych ze sobą poszlak. Chryste! Gdyby to do niego zgłosił się Trawkin!

- W porządku. - Spencer skinął głową. - Zajmę się tym. Kiedy ostatnio sprawdzałem, mieliśmy w komputerze około czterdziestu tysięcy świrów. Może jest wśród nich jakiś sfrustrowany kostarykański emigrant.

- A zawodowcy? - spytał Stone.

- Oczywiście, ich też sprawdzę - westchnął Spencer. - Jak mam się z tobą skontaktować, gdybym coś znalazł?

- Dam ci numer telefonu - odparł Stone, po czym wyjął z kieszeni długopis i napisał na serwetce numer do mieszkania służącego za centrum operacji „Tylne Drzwi”. Złożył ją w dwoje i podał Spencerowi. Agent Tajnej Służby wstał i wcisnął serwetkę do kieszeni spodni. Następnie zdjął marynarkę z oparcia krzesła i narzucił ją na ramiona.

- Dzięki za lunch - powiedział i skinął głową. Włożył ciemne okulary, odwrócił się i ruszył do wyjścia slalomem między stolikami. Stone odprowadził go spojrzeniem, po czym odchylił się do tyłu, patrząc na rozciągające się w dole miasto. Znad dachu budynku Departamentu Skarbu wyłaniał się Biały Dom, a dalej widać było Blair House - przeznaczony dla gości prezydenta. Tam też za kilka tygodni na czas swojej wizyty w Waszyngtonie zamieszkać miał Francisco Cabrera.

Stephen Stone opierał się pokusie zapalenia kolejnego papierosa i zmarszczył brwi.

Wyrzał przez niski murek, zaczął obserwować samochody jadące przez Pennsylvania Avenue w stronę Kapitolu, którego biała kopuła, oddalona o półtora kilometra, była ledwo widoczna w gęstym, rozgrzanym powietrzu.

- Chyba mi odbiło - szepnął. Postępując niezgodnie z poleceniem Ruppelta, ryzykował własną karierę, a teraz jeszcze pogorszył sytuację kontaktując się ze Spencerem i włączając Tajną Służbę do tej sprawy. Najgorsze było to, że nie miał się komu wyzalić. Poczł się samotny i po chwili uświadomił sobie, że myśli o Debbie.

Tracił czas. Ona nie wróciła jeszcze z tej konferencji w Paryżu. Potrząsnął głową w zamyśleniu i ulegając pokusie zapalił następnego papierosa. W którymś momencie jego życie stoczyło się z torów normalności i nagle znalazł się na jakiejś dziwacznej bocznic, zamieszkaney przez porwanych Rosjan, głowy państw Ameryki Środkowej i kobietę, której bardziej pożądał teraz, kiedy się z nią rozwiódł.

Z grymasem złości na twarzy szybko wstał i założył marynarkę. Takie rozmyślenia naprawdę mogły człowiekowi zrobić sieczkę z mózgu. Jedynym lekarstwem na to była praca, a to oznaczało dalsze prowadzenie sprawy Dmitrija Aleksandrowicza Trawkina. Agent kontrwywiadu wyjął z portfela garść banknotów. Część z nich włożył pod szklanę, po czym śladem Spencera wyszedł z restauracji.

Według Siergieja Kuriochina, Praga uosabiała wszystkie wady Europy Środkowej, tej dawnej i współczesnej. Dla architekta mroczne miasto nad Wełtawą było peanem na cześć barokowego gustu Habsburgów. Strome, kręte ulice i fortece na wzgórzach przypominały o feudalnej przeszłości. Z politycznego punktu widzenia panował tu duch wszechobecnej nieuczciwości, ujawniającej się tak u szeregowych urzędników podkradających ołówki, jak i wysokich rangą oficjeli wynajmujących bogatym turystom swoje domy na wsi. Jedzenie było bez smaku, pokoje hotelowe obskurne, a kurz w powietrzu drażnił zatoki. Zdaniem Kuriochina, tylko piwo w Pradze było wyśmienite.

Od ponad trzydziestu lat kontaktował się z agentami w tym mieście i od czasu do czasu musiał się tu zjawić osobiście. Jego podróże do Pragi miały też pokazać młodym ambitnym z KGB, że jest człowiekiem, z którym wciąż należy się liczyć, a nie starym prykiem, mającym lata świetności za sobą. Tym razem jednak jego wyjazd nie miał wyłącznie charakteru propagandowego; tylko bowiem za pośrednictwem swojego agenta w Pradze Kuriochin mógł zorganizować spotkanie z „Osinem”.

System ten funkcjonował niemal od czasu, kiedy „Osin” rozpoczął działalność. Agent rosyjski w Pradze, należący do siatki KGB, współpracował z człowiekiem, który pośredniczył w kontaktach Kuriochina z wolnym strzelcem mieszkającym w Amsterdamie. Był nim niejaki Tetar van Elven, który prowadził kilka hurtowni i regularnie przyjeżdżał do Pragi po wyroby ze szkła.

Agent z Pragi nie wiedział o istnieniu van Elvena, ten zaś nigdy nie słyszał o agencji z Pragi. Niebezpieczeństwo wpadki było więc nikłe. System ten umożliwiał także utrzymanie prawdziwej tożsamości „Osina” w tajemnicy przed tysiącem wścibskich oczu w Tęplem Stanie. Agent w wyższych sferach amerykańskiego wywiadu był największą chlubą Kuriochina, który strzegł go jak oka w głowie.

O siódmej trzydzięci wieczorem, po zjedzeniu marnego posiłku w kawiarni „Pasaż” w hotelu „Ambasador”, wiekowy oficer rosyjskiego wywiadu wyszedł na plac Wacława i ruszył na południe, w stronę ulicy Opletałowej i górującego nad placem pomnika przedstawiającego króla Wacława na koniu.

Plac ten właściwie był bulwarem długości około siedmuset metrów, z szerokimi chodnikami ginącymi w cieniu drzew. Z obu stron ciągnęły się rokokowe budynki, w których mieściły się restauracje, biura linii lotniczych, butiki, sklepy z antykami i galerie. W letnie noce, takie jak ta, ulice zmieniały się w tory przeszkód. Przechodnie musieli lawirować między wózkami sprzedawców lodów, budkami, w których każdy, mógł sobie kupić tłuste kiełbaski, tłumami prażan i wieśniaków w strojach tyrolskich oraz tułającymi się po mieście grupami niemieckich turystów.

Kuriochin szedł przed siebie nie rozglądając się na boki. Na pierwszy rzut oka plac wyglądał jak praski odpowiednik Piątej Alei na Manhattanie, ale jego rola w historii była nieporównywalnie większa. To tutaj w roku tysiąc dziewięćset osiemnastym proklamowano republikę, a w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym odbył się triumfalny przejazd czołgów Armii Czerwonej. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym te same czołgi powróciły tu, by stłumić Praską Wiosnę, a rok później student filozofii Jan Palach dokonał samospalenia pod pomnikiem Wacława.

Ale dla Kuriochina nie miało to najmniejszego znaczenia. Był za stary, żeby zawracać sobie głowę historią. Przedzierając się przez tłum, czuł w kościach swoje siedemdziesiąt siedem lat. Jego serce, które pewnie przybrało już konsystencję bibułki, przy każdym kroku biło mocno w piersi. Kuriochin walczył na wojnach, o których nikt nigdy nie słyszał, miał kobiety od Murmańska po Melitopol i był świadkiem wzlotów i upadków wszystkich możliwych od Berii do Andropowa. Przez te wszystkie lata doszedł do wniosku, że posiadanie

władzy jest jedyną prawdziwą przyjemnością, a przetrwanie jedyną zasadą. Jego życie stało się zawiłą grą prowadzoną z dnia na dzień, bez nostalgii za przeszłością czy nadziei na przyszłość. Dla niego autentycznie liczyła się tylko teraźniejszość.

Zamyślony, dotarł do alei U. Natrowskiego, tak wąskiej, że niemal niewidocznej od strony placu Waława. Ruszył tonącym w cieniu chodnikiem, nie zwracał uwagi na ciemne, brudne okna małych sklepów po obydwu stronach. Czterdzieści metrów dalej znajdował się cel jego wyprawy: Antykwariat Masaryk.

Rosjanin ogarnął spojrzeniem skąpy zbiór książek leżących za brudną szybą: dawno nieaktualny przewodnik po Pradze w języku francuskim, wczesne penguinowskie wydania P. G. Wodehouse'a oraz dwie powieści Stephena Kinga po niemiecku. Za wyłożoną poplamionym filcem wystawą znajdowało się małe pomieszczenie. Pod ścianami stały szafy domowej roboty, których półki były tylko w połowie zastawione książkami. W tylnej części pomieszczenia za sfatygowanym biurkiem siedział mężczyzna w średnim wieku; za plecami miał zasłonę skrywającą wyjście na zaplecze, a na biurku przed nim leżał wielki rudy kocur. Antykwariusz, w nadgryzionym przez mole szarym swetrze opinającym wielki brzuch, zajęty był przeglądaniem starego „Penthouse'a”. Oto Masaryk przy pracy, studiujący nielegalnie rozprowadzane pisma, dzięki którym jego interes jakoś się kręcił.

Kuriochin wszedł do małej księgarni i ku swojemu zadowoleniu zauważył, że na dźwięk otwieranych drzwi w oczach sprzedawcy błysnął strach. Ujrzał, kim jest jego gość, usiadł więc wygodniej i odetchnął z ulgą. Kuriochin zamknął drzwi i podszedł do niego.

- Myślałem, że może już dzisiaj nie przyjdiesz - mruknął antykwariusz, patrząc na

Kuriochina. Mówił po angielsku; tylko w tym języku mogli się porozumieć. Masaryk nie był w stanie nauczyć się rosyjskiego, a Kuriochin nie zamierzał nadwerężyć swojej krtani nie dającymi się wymówić czeskimi głoskami. Rosjanin skrzywił się i zmarszczył nos. Smród



nieświeżego piwa spowijał Masaryka niczym całun.

- Powiedziałem, że przyjdę - odparł - więc jestem.

Masaryk skinął głową z tępym wyrazem twarzy i odłożył „Penthouse’a”. Następnie odsunął się z krzesłem od biurka i otworzył środkową szufladę. Wyjął z niej cienką kopertę, którą wręczył Kuriochinowi. Rosjanin dokładnie ją obejrzał, dotykając wykrzywionymi reumatyzmem palcami wszystkich czterech rogów i zamknięcia. Dawniej do zabezpieczania przesyłek przewożonych przez kurierów używało się wosku, ale obecnie nie było to konieczne. Już przed wieloma laty sam Kuriochin zaproponował, by krawędzie kopert pokrywać cienką warstwą kleju kauczukowego. Metoda ta była tania, skuteczna i wciąż pozostawała w użyciu.

Nie patrząc na Masaryka, otworzył kopertę. W środku znalazł kartkę papieru i bilet kolejowy do Amsterdamu z przesiadką w Berlinie, oznakowany pieczętką Cedoku, Czeskiego Państwowego Biura Podróży. Podróż miała potrwać niemal dwadzieścia godzin.

Dystans ten drogą lotniczą można by pokonać dziesięć razy szybciej, ale Kuriochin wolał trzymać się z daleka od lotnisk Ruzyně i Schipol, na których roiło się od szpicli.

Przeniósł spojrzenie na kartkę, poprawił okulary i mrużąc oczy w słabym świetle przeczytał krótką wiadomość: „CANAL HOUSE 148 KEIZERSGRACHT. TEL. 262-231 PO PRZYJEŹDZIE”.

Nie było podpisu, ale suma cyfr w numerze telefonu wskazywała, że autorem

krótkiego liściku jest Tetar van Elven. Schował kartkę i bilet do koperty, po czym włożył ją do wewnętrznej kieszeni marynarki. Z drugiej kieszeni wyjął inną kopertę, wypełnioną używanymi banknotami. Były to marki niemieckie - waluta preferowana przez Masaryka.

Kuriochin wręczył pieniądze antykwariuszowi, który od razu włożył je do szuflady biurka.

Sądząc po jego wyrazie twarzy, nie mógł się doczekać, aż zostanie sam i w spokoju przeliczy

zarobioną sumę.

To by było na tyle - powiedział agent KGB, nie kryjąc pogardy.

Masaryk z pieniędzmi w ręku uśmiechnął się tępo.

- Do zobaczenia. - Skinął głową.

Kuriochin nie odpowiedział; odwrócił się i wyszedł. Idąc w stronę placu Wacława, zastanawiał się, kiedy czeska służba bezpieczeństwa wreszcie zrobi nalot na antykwariat i zaciągnie tego wazeliniarza do aresztu w komendzie na ulicy Bartolomiejskiej. Rosjanin potrząsnął głową i zmarszczył brwi. Doświadczenie nauczyło go, że niezależnie, kto jest u władzy: marksiści, służbiści czy onaniści, w każdym państwie i w każdym mieście żyje ktoś taki jak Lars Masaryk, ze swoimi haniebnymi interesami. Państwa bloku wschodniego nie kontrolowały handlu tym pornograficznym paskudztwem. Kuriochin splunął na chodnik. W czasach jego młodości takich jak Masaryk wytępiono by jak szczury. A teraz to, co robili, było czymś normalnym. Te ohydztwa były już dostępne nawet w Rosji. Kuriochin znów potrząsnął głową; za długo żył na tym świecie.

Dotarł do bulwaru i ruszył w stronę hotelu, głęboko oddychając. Gdy wreszcie udało mu się oczyścić nozdrza z kwaśnego smrodu sklepiku Masaryka, mógł skupić myśli na podróży do Amsterdamu. W godzinę później już spał i śnił o dawnych bitwach, tych przegranych i wygranych: sny zadające kłam zasadzie, że liczy się tylko dzień dzisiejszy.

Dmitrij Trawkin leżał na łóżku w swoim pokoju w Bowie Institute. Przeglądał „Newsweeka” sprzed miesiąca i walczył z biorącą się z wymuszonej bezczynności frustracją. Tego dnia został przeniesiony tu ze szpitala, ale niewielka to była zmiana na lepsze. Jego nowy pokój był mały, z wąskim oknem obitym drucianą siatką. Drewniana podłoga niedawno została wypucowana na wysoki połysk, a popękane ściany pomalowano na biało. W pokoju stało łóżko, drewniane krzesło i nijako wyglądająca szafka. Wnęka w ścianie po lewej stronie

została przerobiona na małą łazienkę ze zlewem i sedesem. Jediną ozdobą był wiszący na ścianie portret Richarda Milhousa Nixona.

Rzucał sobie „Newsweeka” na kolana po raz dwudziesty w przeciągu tych minut.

Wbił wzrok w portret, zamyślony nad złośliwością losu, który dał mu za jedyne towarzystwo uśmiechniętą twarz Nixona. Agent GRU się skrzywił. Właściwie to, że byli tu razem, miało sens: obydwaj złapali się w wielką pajęczynę kłamstw, mistyfikacji i oszustw. Na tym jednak podobieństwa się kończyły. Stary dobry Dick zarabiał sześciocyfrowe sumy za książki o swoich wybrykach, a on, głupi Dmitrij, zamknięty w mnisiej celi, dostawał z łaski trzy posiłki dziennie.

Zdawał sobie sprawę, że Giennadij Kozłow już go skreślił. Trawkin nie miał o to do niego pretensji. Szef po prostu nie mógł postąpić inaczej, bez względu na swoje osobiste odczucia. Fakt, że został porwany, był bez znaczenia. Skoro Amerykanie go zgarnęli, został zdemaskowany; jego nagły powrót wzbudziłby natychmiastowe podejrzenia. Cała ta sytuacja przypominała sprawę Jurczenki, tyle że tym razem role się odwróciły. Być może - myślał - CIA chce się odegrać na KGB.

Tak czy inaczej, nie miało to dla niego większego znaczenia. Na razie były pilniejsze sprawy. Od pierwszego przesłuchania niemal cały swój czas poświęcał na obmyślanie planu dalszego postępowania. Jak dotąd, doszedł do wniosku, że musi zrobić trzy rzeczy: uciec z Bowie Institute; zebrać dowody na to, że uprowadzenie nie było mistyfikacją; no i wreszcie przekonać Giennadija Kozłowa o swojej niewinności. Mimo jego nieskrywanej fascynacji Zachodem, myśl o samotnym życiu w Stanach Zjednoczonych, bez możliwości powrotu do ojczyzny, była dla Trawkina nie do zniesienia.

Z zamyślenia wyrwał go trzask otwieranych drzwi. Stanęli w nich ci sami dwaj mężczyźni, którzy zabrali go na poprzednie przesłuchanie; tym razem nie mieli ze sobą

wózka inwalidzkiego. Podobnie jak poprzednio, pierwszy odezwał się szczupły brunet, ale o dziwo po angielsku.

- Pójdiesz z nami - powiedział krótko. Trawkin w odpowiedzi skinął głową, po czym wstał, a dwaj mężczyźni zaprowadzili go labiryntem słabo oświetlonych korytarzy do tego samego gustownie umeblowanego pokoju, w którym poprzednio rozmawiał z Davidem Cookiem, dziwnie zachowującym się śledczym.

Eskortujący Trawkina mężczyźni wpuścili go do środka, po czym zamknęli drzwi, pozostawiając majora GRU samego. W pokoju nie było Cooka, ale w powietrzu unosił się dziwnie znajomy zapach. Bez wątplenia dym z papierosa, ale nie był to ani słodkawy aromat amerykańskiego tytoniu, ani drażniący smród europejskiego tabac-noir. Trawkin zmarszczył brwi i zaczął pociągać nosem. Mocny, naturalny zapach, przypominał nieco woń dymu z cygara.

Na stole stała duża zapalniczka z rzeźbionego szkła. Sądząc z jej pozycji, ten, kto z niej korzystał, siedział na tapczanie. Trawkin okrążył stół i podniósł popielniczkę, oglądając niedopałki wciśnięte w szarobrazowy popiół. Jeden z nich był na tyle długi, by dało się odczytać markę: coronado. Czyżby meksykańskie papierosy? A może kubańskie? Skąd tu się wzięły i dlaczego akurat teraz? Może przesłuchiowano tu jakiegoś uciekiniera z Ameryki Łacińskiej? Bez sensu. A może... Biorąc pod uwagę znane Trawkinowi fakty, wniosek narzucał się sam: chodziło o Francisco Cabrerę. Zatem przesłuchiwanym nie był uciekinier, ale raczej zabójca, a może ktoś, kto miał odegrać jego rolę.

Wziął niedopałek i ostrożnie wrzucił go do kieszeni marynarki. Cook wciąż się nie zjawiał. Odstawił popielniczkę i zaczął krążyć po pokoju w poszukiwaniu innych śladów. Przy antycznym biurku przystanął i zaczął nad słuchiwać jakichkolwiek dźwięków dochodzących zza drzwi. Cisza. Szybko przeszukał szuflady. Notatniki, długopis, pudełko

zapalek z restauracji Big Wong na H Street. Trawkin znalazł ten lokal; piwnica, atmosfera jak w palarni opium. Włożył zapalki do kieszeni i szukał dalej. Nic, nic, ale... Zaraz!

Blat, by go nie poplamić, przykryto dużą jasnobrązową bibułą w skórzanej ramie. W lewym dolnym rogu stał telefon, a na górze, w marmurowej podstawie, tkwiło pióro Parkera. Wokół telefonu bibułę pokrywały różne rysunki i zapiski. Jeden z nich zwrócił uwagę Trawkina. Słowo napisane długopisem, wzięte w ramkę, po czym wykreślone, z widniejącym pod nim numerem telefonu:

LUPE

01-506- 21 40 00

„Lupe” po hiszpańsku znaczyło „wilk”. Może to pseudonim? Zapisany na bibule numer zaczynał się od zero jeden, co wskazywało, że jest zagraniczny; z tego wynikałoby, że pięćset sześć to kierunkowy do jakiegoś kraju. Trawkin czym prędzej zapisał imię i numer na kartce z notesu. Złożył ją w czworo, schował do buta, w nadziei, że w razie rewizji pozostanie niezauważona.

Obejrzał biurko, by upewnić się, czy wszystko jest na swoim miejscu, po czym usiadł na kanapie. Wziął pismo ze stołu i siłą woli uspokoił nerwy, choć serce wciąż biło mu mocno w piersi. Imię i numer mogły nic nie znaczyć, ale mogły też być śladem, którego tak długo szukał.

- Połknął haczyk - powiedział David Cook, obserwując Trawkina na ekranie monitora.

Hudson Cooper przytaknął w skupieniu. Byli sami w sali obserwacyjnej, ponieważ Cook zrobił dyżurnym przerwę. Psycholog odwrócił się od ekranu i przystąpił do studiowania pytań przygotowanych na następne „przesłuchanie”, Cooper zaś nie odrywał oczu od Trawkina.

Uprowadzenie zastępcy rezydenta GRU było ryzykowne, ale nieuniknione. Teraz

wyglądało na to, że na dłuższą metę okazało się korzystne. Początkowo porwanie miało być

prowizorycznym rozwiązaniem problemu nieoczekiwanego wzrostu aktywności Rednetu.

Trawkin wpadł na trop Rhinelandera. Biorąc jednak pod uwagę fakt, że był obserwowany przez Stephena Stone'a i jego ludzi, niebezpieczeństwo wykrycia właściwego spisku z każdym dniem stawało się coraz większe.

Trawkin i Stone niewłaściwie zinterpretowali zdobyte przez siebie informacje. Było to nad wyraz korzystne, ale Cooper wiedział, iż nie da się ich wiecznie wodzić za nos. Bez dodatkowych działań ze strony agencji, któryś z nich w końcu dojdzie prawdy. Stąd porwanie.

Usunięcie Trawkina pozbawiało Stone'a najważniejszego źródła informacji. Po to, by jeszcze bardziej utrudnić mu zadanie, Cooper dał do zrozumienia jego szefowi, Ruppeltowi, że Trawkin pracuje dla CIA. W związku z czym owo porwanie tak naprawdę było ucieczką rosyjskiego agenta. Ruppelt bez żalu umył ręce od tej sprawy. Cooper osiągnął to, co zamierzał i usunął potencjalne zagrożenie.

Pozostawał problem, agenta GRU. Na początku Cooper chciał go usunąć, jak doktora Barrona, ale porwanie i czas spędzony w Bowie Institute sprawiły, że o Trawkinie zrobiło się zbyt głośno. Nie można go też było trzymać tu bez końca.

W związku z tym zastępca dyrektora dostrzegł możliwość wykonania kolejnego odważnego ruchu. Skoro Trawkina nie można zatrzymać ani zabić, trzeba go uwolnić. Po wyjściu na wolność agent GRU będzie persona non grata zarówno u swoich mocodawców, jak w KGB. Po pewnym czasie sam dojdzie do wniosku, że aby przeżyć, musi przejść na stronę Amerykanów i wtedy na pewno zgłosi się do Stone'a. To, czy tak uczyni, czy też wcześniej zajmie się nim KGB, nie miało dla Coopera większego znaczenia. Tak czy inaczej, zostanie przesłuchany i wyjawিi podrzucone mu przez CIA informacje na temat planowanego zamachu na Cabrerę, co jeszcze bardziej je uwiarygodni i odwróci uwagę od Rhinelandera.

A tego dnia wreszcie zadzwonił pod umówiony numer. Mówił krótko i zwięźle.

Mallory przekazał Cooperowi wiadomość od Rhinelandera. Otrzymał uprawnienia i przelał odpowiednią kwotę ze specjalnego konta zastępcy dyrektora do spraw operacyjnych na konto w Nowym Jorku, zarejestrowane na podstawioną osobę. Z dowodem tożsamości, umożliwiającym dysponowanie tymi pieniędzmi, asystent Coopera jeszcze tego wieczoru poleciał do Nowego Jorku i miał od razu wrócić, tak by następnego ranka mógł stawić się w Visitors Center. Wyglądało na to, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Cooper obserwując Trawkina, pozwolił sobie na słaby, ponury uśmiech. Biorąc pod uwagę śmiertelną chorobę prezydenta Tuckera i możliwość przejęcia władzy przez wiceprezydenta Teresiego, ich usunięcie było konieczne i nieuniknione. Mimo to, początkowo na samą myśl o tym robiło mu się ciężko na sercu. Złe przeczucia nękały go niczym mroźny wiatr. Pojawienie się Trawkina jeszcze pogorszyło mu nastrój. Teraz jednak, kiedy plan był już wprowadzany w życie, Trawkin został usunięty na boczny tor, a Stone skutecznie zablokowany, zaczynał wierzyć, że wszystko może jednak dobrze się skończyć. Uśmiechnął się nieco szerzej, próbując wyobrazić sobie, kto z senatorów stanie na czele komisji śledczej powołanej do zbadania zabójstwa prezydenta i wiceprezydenta.

- Panie Cooper? - W jego myśli wdarł się głos Davida Cooka. Cooper odwrócił się i spojrzał na niego.

- Tak?

- Chodzi o te pytania... Wynika z nich, że mam wyciągnąć z niego jak najwięcej na temat działań GRU w Ameryce Środkowej, ze szczególnym uwzględnieniem Kostaryki, zgadza się?

- Tak.

- Ciekaw jestem, czy planujemy tam jakąś operację. Te pytania są dość niejasne.

- Proszę to traktować jako rutynowe przesłuchanie, panie Cook, i nie doszukiwać się żadnych podtekstów - odparł. Wstał i spojrzał raz jeszcze na Trawkina, siedzącego na kanapie w sali przesłuchań. - I proszę po zakończeniu przesłuchania przynieść mi transkrypt.
- Oczywiście.
- Będę w biurze administracji - dodał. - Jutro przewozimy towarzysza Trawkina na „Farmę” i chcę sprawdzić, czy wszystkie papiery są w porządku. - Kiwnął Cookowi głową.
- Dobranoc.
- Dobranoc, panu.

Zastępca dyrektora CIA wyszedł z sali obserwacyjnej i ruszył przed siebie wąskim korytarzem prowadzącym do wschodniego skrzydła budynku. Jeśli Trawkin był choć w połowie tak dobrym komandosem Specnazu, jak wskazywały na to jego akta, to ucieczka nie sprawi mu trudności i jutro o tej porze będzie już krążył po ulicach Waszyngtonu.

## Rozdział 15

Noc ochłodziła gorące i wilgotne powietrze nad Waszyngtonem. Pozostawiała za sobą długie, poszarpane pasma mgły, unoszące się tuż nad ziemią, przylegające do drzew i lamp ulicznych. Na źdźbłach trawy pojawiły się krople rosy, znikające za kilka chwil, kiedy słońce zaczęło się ociężale piąć ku górze nad kamiennymi gmachami centrum, obwieszczając nadejście nowego dnia.

Eric Rhineland, w ciemnoniebieskim dresie, jechał staroświeckim rowerem z trzema przerzutkami w stronę placu Farraguta. Przy akompaniamencie cichego syku opon na mokrym asfalcie przedzierał się przez wąski sznur samochodów stojących w porannym korku. Kupił rower poprzedniego dnia w sklepie sportowym na P Street, razem z zamkiem i zamykanym bagażnikiem zamontowanym za siedzeniem.

Przejechał plac Farraguta, minął naczelne biuro Amerykańskiej Izby Handlowej,



przebiegł H Street i skierował się Jackson Place w stronę skrzyżowania z Pennsylvania Avenue. Na końcu ulicy zatrzymał się, po czym poszedł do parku Lafayette'a. Tam przypiął rower do stojaka, niemal dokładnie na wprost Blair House. Czterdzieści metrów dalej, po drugiej stronie ulicy, widać było kamienne strażnice i masywną bramę blokującą wjazd na West Executive Avenue.

Zdjął z szyi kluczyk na łańcuszku i otworzył metalowy bagażnik, po czym wyjął z niego mały czerwony nylonowy plecak, jednocześnie wciskając guzik włączający ukrytą pod nim kamerę wideo Kyocera KD3030. Następnie zamknął bagażnik i wyjął z plecaka lekką bluzę pasującą do ciemnoniebieskiego dresu. Założył ją, podbiegł do pomnika Rochambeau. Przez kolejne pięć minut robił rozgrzewkę, rozglądając się dyskretnie po Pennsylvania Avenue.

Wstępna obserwacja z okna hotelu „Hay-Adams” oraz materiały przestudiowane przez niego wykazały, że najważniejsze będzie wybranie odpowiedniego momentu działania. Nawet te kilka godzin w „Hay-Adamsie” wystarczyło, by zauważyć, że w Białym Domu wszystko odbywało się zgodnie z fanatycznie przestrzegany rozkładem. Zmiany warty następowały z dokładnością co do minuty, patrole poruszały się po wytyczonych trasach, a wszyscy, którzy tu przyjeżdżali i stąd odjeżdżali, robili to punktualnie o ustalonej godzinie.

Rhineland nie zdołał jeszcze poznać tego rytmu w całej jego złożoności. Innymi słowy, nie wiedział, jak koordynowane są działania poszczególnych agentów. Dlatego właśnie schował w bagażniku kamerę wideo. Zdecydował się na Kyocerę dlatego, że wyposażona była w funkcję rejestrowania kadrów w określonych odstępach czasu, co umożliwiało obserwację długotrwałych procesów. Dokupił jeszcze mały obiektyw światłowodowy i lampę na baterie. Wy tłumaczył sprzedawcy, że jest nauczycielem i chce nakręcić film o życiu insektów, który mógłby wykorzystać na lekcjach biologii.

Później, w podziemnym parkingu hotelu „Holiday Inn”, obejrzał dokładnie kamerę, wybił punktakiem mały otwór w tylnej części metalowego bagażnika. Następnie włożył do środka kamerę i lampę, przeciągnął kabel obiektywu przez otwór i przykleił przezroczystym lakierem do paznokci.

Wreszcie, późnym popołudniem, pojechał taksówką do parku Lafayette’a i przez pewien czas szukał odpowiedniego miejsca na ustawienie roweru. W czasie obserwacji z hotelu „Hay-Adams” zauważył, że praktycznie nikt oprócz zagranicznych dyplomatów nie wjeżdżał na teren Białego Domu przez południową bramę. Inni korzystali z zamkniętej dla ruchu West Executive Avenue oraz bram od zachodu i wschodu, przy Pennsylvania Avenue. Wreszcie zdecydował się zostawić rower w stojaku, ponieważ tam nie wzbudził on żadnych podejrzeń, a ponadto z tego właśnie miejsca był najlepszy widok ogólny, między innymi na wjazd od zachodniej strony i West Executive Avenue. Baterie niklowo-kadmowe do kamery i lampy działały przez dwie godziny nagrywania, co w zupełności wystarczało. Po włączeniu funkcji spowolnionego rejestrowania, kamera uruchamiała się tylko na dwie sekundy w ciągu minuty, nagrywając dwadzieścia cztery kadry co trzydzieści sekund. W przeciągu dwunastu godzin powstanie dwudziestoczworominutowy film złożony z tysiąc czterystu czterdziestu pojedynczych obrazów, pokazujących samochody wjeżdżające i wyjeżdżające z dwóch bram.

Pochwalił się swoją sprawnością strażnikom Służby Ochrony Prezydenta stojącym po drugiej stronie Pennsylvania Avenue, zakończył rozgrzewkę i zaczął biec. Minał Blair House, po czym skręcił na północ w stronę Washington Circle. Następnie, ulicą Dziewiętnastą dobiegł do hotelu Presidential, po czym wrócił taksówką do Wyoming Apartments.

Wziął prysznic, przebrał się, po czym przez dwie godziny studiował materiały, które zebrał poprzedniego dnia. O dziewiątej rano zjadł śniadanie w „Holiday Inn”, a o dziesiątej

szedł już do Visitors Center na stacji Union, z kopertą zawierającą instrukcje dla Coopera bezpiecznie schowaną w wewnętrznej kieszeni bluzy.

Paul Mallory, w przepoconej niebiesko-białej płócienniej koszuli, stał ze słuchawką przy uchu, oparty o ściankę budki telefonicznej. Było już niemal wpół do jedenastej. Tkwił tu od piętnastu minut, by nikt mu nie zajął automatu. W Visitors Center roiło się od turystów i podróżnych kierujących się na stację Union bądź do metra oraz stamtąd powracających.

Mallory wsunął palec pod okulary i otarł piekące oczy z potu. Potwornie bolała go głowa i dawała mu się we znaki nadkwasota żołądka. Po raz dwudziesty tego dnia zaczął wyrzucać sobie w duchu, że nie wybrał sobie jakiegoś innego zajęcia.

Ostatnie dni były piekłem. Tylko on wiedział, ile wysiłku i skupienia kosztowało go udawanie przed Cooperem, że wszystko jest w porządku: wysyłanie sprawozdań budżetowych, przypominanie szefowi o spotkaniach i zajmowanie się aktualnymi dokumentami. Na szczęście Cooper poświęcał większość swojego czasu jakiemuś szpiegowi przetrzymywanemu w Bowie Institute, ale nawet to nie było w stanie przynieść mu ulgi. To, co wiedział i czego się domyślał, sprawiało, że wyobraźnia stała się jego największym wrogiem. W czasie lotu do Nowego Jorku i z powrotem rozmyślał głównie o tym, jak Cooper może się go pozbyć. Znalazł dobrych kilkanaście sposobów.

W miarę upływu czasu cała operacja budziła w nim coraz większy niepokój, zwłaszcza gdy brał pod uwagę swój, w końcu spory, w niej udział. Dla człowieka myślącego tak samo logicznie, jak on, wnioski nasuwały się same. Agencja nie miała prawa zabijać, ale Rhineland był zawodowym mordercą. Z tego wynikało, że operacja przygotowywana przez Coopera jest z mocy urzędu, co oznaczało, iż każdy, kto w niej uczestniczy, zostanie usunięty.

- Cholera - wyszeptał Mallory. Zamrugał oczami, usiłując pozbyć się z nich kropel potu, wsłuchany w szum i trzaski dobywające się ze słuchawki. Plan zabezpieczenia przy

wykorzystaniu sieci komputerowej był niegłupi, ale po to, by spełnił swoje zadanie, Cooper musiał się dowiedzieć o jego istnieniu, Mallory z kolei nie miał dość odwagi, by wyjawić szefowi, co wie. Z drugiej strony, tak naprawdę, niczego nie wiedział; jego domysły, choć oparte na logicznym rozumowaniu, były tylko i wyłącznie domysłami.

- Cholera - powtórzył. Wszystko, co robił, z kim rozmawiał, każda nowa informacja wciągała go głębiej w to bagno, a on nie mógł temu w żaden sposób zapobiec. Odetchnął głęboko. Poprzez doświadczenie nabyte przy pracy w dziale analizy zagrożeń spróbował, rozumując logicznie znaleźć, jakiś optymistyczny aspekt swojej sytuacji. Jedyne, co mu przychodziło do głowy, było to, że jeszcze żyje. Zerknął na zegarek. Punktualnie dziesiąta trzydzieści. Odłożył słuchawkę, po czym wytarł spocone dłonie o spodnie. Po kilku sekundach telefon zadzwonił.

- Mallory - powiedział asystent Coopera, usiłując przybrać spokojny ton.

- Jak mam na imię? - Chłodny, beznamiętny głos Rhinelandera.

- QJ/RAIL - odparł Mallory.

- W czym siedzisz? - W znaczeniu: w którym wydziale pracuje.

- W operacjach - powiedział Mallory.

- Dziesiąta ulica pięć-jeden-sześć - poinstruował go Rhinlander. - Naprzeciw Ford's

Theater, u podnóża schodów stoi zielony kosz na śmieci. Wrzuć do niego to, czego chcesz. To, czego ty chcesz, będzie przyklejone do pokrywy od strony wewnętrznej. Pojedziesz metrem ze stacji Union do Metro Center. Stamtąd wyjdiesz wyjściem G i jedenastym. Masz dwadzieścia minut. Ruszaj. - Połączenie zostało przerwane.

Mallory dotarł na wyznaczone miejsce po czternastu minutach. Okazało się, że pod podanym przez Rhinelandera adresem znajdował się dom, do którego zanesiono Lincolna po zamachu na jego życie. Był to wąski dwupiętrowy budynek z cegły, wciśnięty między szary

biurowiec a klub nocny. Do drzwi frontowych prowadziły kręte schody. Zgodnie z opisem, u ich podnóża stał zielony metalowy kosz.

Podszedł do schodów, położył rękę na żeliwnej poręczy, po czym wrzucił do kosza kopertę; następnie podniósł pokrywę i odkleił mniejszą kopertę pozostawioną przez Rhinelandera. Na ulicy było kilku ludzi, ale zdawali się nie zwracać na niego uwagi. Jeśli Rhinelandier przebywał gdzieś w pobliżu, dobrze się ukrył.

Włożył kopertę do kieszeni, po czym ruszył Dziesiątą w stronę E Street i Pennsylvania Avenue. Do ściany biurowca stojącego obok kosza na śmieci przytwierdzony był automat telefoniczny, ale Mallory nie zatrzymał się przy nim, choć wiedział, że od razu po odebraniu przesyłki powinien skontaktować się z biurem. Po dotarciu do skrzyżowania z E Street, wyrosła przed nim masywna forteca budynku J. Edgara Hoovera, gdzie mieściła się główna siedziba FBI, co jeszcze pogorszyło mu nastrój. Zamierzał bowiem zrobić coś, co można by spokojnie uznać za zdradę.

Na Pennsylvania Avenue przystanął i przysiadł na brzegu dużej betonowej donicy, z której wystrzeliwała w górę fontanna jakichś kwitnących krzewów, usychających w promieniach słońca. Wyciągnął kopertę z kieszeni. Wyglądała na standardową, którą można było kupić w każdym kiosku. Nie zauważył żadnych specjalnych zabezpieczeń. Na wierzchu nic nie było napisane. Do pokrywy została przyczepiona taśmą klejącą, po której zostały dwa ślady kilkucentymetrowej szerokości.

Zmarszczył brwi i schował kopertę z powrotem do kieszeni. Mrużąc oczy, spojrzął na stary budynek Głównego Urzędu Skarbowego po drugiej stronie Pennsylvania Avenue i zaczął rozmyślać, co też powinien teraz uczynić. W planach na ten dzień Cooper miał tylko przyjęcie w Blair House na cześć kanadyjskiego premiera, ale dopiero o siódmej. Obecnie zastępca dyrektora do spraw operacyjnych przebywał w Bowie Institute. To dawało

Mallory'emu pewną swobodę działania. Inna sprawa, że Cooper wiedział o planowanej na dziesiątą trzydzieści rozmowie z Rhinelandem i gdyby nabrał podejrzeń, mógł za pomocą komputera sprawdzić, kiedy jego asystent stawił się w pracy. W najlepszym razie Mallory miał kilka godzin, nie więcej.

To wystarczy. Mallory skinął głową i podjął ostateczną decyzję. Warto było zaryzykować, żeby poznać prawdę. Asystent Coopera wstał niezgrabnie i podszedł do krawężnika. Zatrzymał taksówkę, wsiadł do poobijanego samochodu i podał kierowcy swój adres w Aleksandrii.

Niecałe dwie minuty po odejściu Mallory'ego, Rhineland wyjął kopertę z kosza na śmieci, po czym wrócił do Metro Center. Przez następne pół godziny jeździł metrem przesiadając się na różnych stacjach, by upewnić się, czy człowiek Coopera nie wysłał kogoś za nim. Wreszcie, gdy nabrał pewności, że nikt go nie śledzi, wrócił taksówką do hotelu „Holiday Inn”, i poszedł pieszo do Wyoming Apartments.

Zgodnie z jego prośbą, koperta zawierała książeczkę bankową z nowojorskiego oddziału Citibanku z pełnym wykazem wpłat i wypłat oraz obecnym stanem konta - dwieście tysięcy dolarów. W środku była też karta Visa na nazwisko James Smythe, karta do bankomatu oraz prawo jazdy wydane w stanie Nowy Jork ze zdjęciem na tyle niewyraźnym, że równie dobrze mogło przedstawiać Rhinelandera, jak każdego innego człowieka o identycznym kolorze włosów.

Poszedł do gabinetu, usiadł i zapalił papierosa. Na biurku przed nim leżała sterta książek i czasopism zakupionych w różnych waszyngtońskich księgarniach. Przyzwyczajony do zbierania danych w pocie czoła, był zdumiony tym, jak wiele jest ogólnie dostępnych informacji na temat Białego Domu. Odkładając papierosa do kryształowej popielniczki, otworzył notes i wziął się do pracy.

Biały Dom, oficjalnie znany jako Amerykański Rezerwat Federalny 1, był pierwszym budynkiem rządowym w Waszyngtonie. Zaprojektował go James Hoban, irlandzki architekt, na podstawie planów angielskiej posiadłości wiejskiej. Kamień węgielny pod budowę domu, który miał się stać wzorem dla budowniczych w całej Ameryce, został położony w ty siac siedemset dziewięćdziesiątym drugim roku. Stojący na małym wzniesieniu, nad bagnami ciągnącymi się do Tiber Creek, płynącego nieopodal w tamtych czasach, budynek był wilgotny i niewygodny, a oprócz tego domownikom dawały się we znaki potworne przeciągi. W tyśac osiemset pierwszym roku do Białego Domu wprowadził się Thomas Jefferson i dobudował skrzydła, w których mieściły się warsztaty, piwnice z winami oraz prezydencka stajnia. W tyśac osiemset czternastym roku Waszyngton wpadł w ręce Brytyjczyków, którzy doszczętnie spalili Biały Dom. Po odbudowie, został ponownie otwarty w tyśac osiemset osiemnastym roku przez prezydenta Monroe'a, a w tyśac osiemset dwudziestym czwartym i tyśac osiemset dwudziestym dziewiątym dobudowano odpowiednio południowy i północny portyk. W ciągu następnych stu dwudziestu lat kolejni prezydenci coś dodawali, usuwali, zmieniali i przerabiali. Do zachodniego skrzydła dołączone zostały biura, wykopano też schrony i tunele. Jeden z nich biegł z piwnicy we wschodnim skrzydle budynku do Departamentu Skarbu, inny wiódł z zachodniego skrzydła do siedziby Departamentu Wojny, przerobionej następnie na Biuro Wykonawcze Prezydenta, a trzeci ciągnął się z piwnicy Białego Domu do biur w zachodnim skrzydle.

Kiedy prezydentem został Truman, budynek był w opłakanym stanie. Energicznemu politykowi udało się jednak przekonać kongresmanów, że nie będzie wyglądało to najlepiej, gdyby sufit Sali Przyjęć Dyplomatycznych runął na głowę zagranicznego dyplomaty. Kongres przyznał więc odpowiednie fundusze na remont. Trumanowie przenieśli się do Blair House i Biały Dom został wypatroszony. Dobudowano wtedy dwie niżej położone piwnice oraz

komory pod trawnikiem od północnej strony. Potem zamontowany został stalowy szkielet mający podierać nowe podłogi i ściany. Oryginalne drzwi, kominki i gzymsy były przechowywane w bezpiecznym miejscu i po zakończeniu prac w budynku, wróciły na swoje miejsca. Remont dobiegł końca w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku i kosztował amerykańskich podatników około sześciu milionów dolarów.

Następcy Trumana dokonali kilku zmian, choć nie były one znaczące. Basen Roosevelta w przybudówce do zachodniego skrzydła został otwarty na nowo przez Kennedy'ego, zapomniany przez Johnsona, a następnie przerobiony przez Nixona na salę, w której odbywały się konferencje prasowe. Potem przypomniał sobie o niej dopiero prezydent Tucker. Kennedy otworzył również pokoje na strychu. On też wybudował nowy schron, podobno przeciwatomowy, w którym obecnie mieściła się główna siedziba Agencji Komunikacyjnej Białego Domu.

Agencja ta wyglądała dość interesująco. Według zebranych informacji, była największą - co z tego wynikało - najbardziej tajną grupą pomocniczą w Białym Domu. Złożona z niemal ośmiuset zmieniających się co pewien czas specjalistów z wojska, zajmowała się obsługą tablicy przyłączowej łączącej prezydenta z dyplomatycznymi i wojskowymi amerykańskimi sieciami komunikacyjnymi na całym świecie.

Najbardziej cenna dla Rhinelandera była informacja, że centralna konsola radiowa tej agencji umożliwia natychmiastowe połączenie z samochodami personelu Białego Domu.

Ważne było też to, iż Agencja Komunikacyjna dostarczała Tajnej Służbie sprzęt do komunikacji, włącznie z zabezpieczonymi przed podsłuchem krótkofalówkami. Tajemnicza grupa obsługiwała również system przywoławczy Białego Domu, za pomocą którego można złapać każdego członka personelu w dowolnym miejscu na obszarze Dystryktu Kolumbia.

O historii Białego Domu napisano wiele książek; natomiast trudniej było znaleźć



dokładne informacje na temat Tajnej Służby i członków personelu. Jednak i z tym Rhinelandier się uporał. Po przejrzaniu kilkunastu pozycji, zaczynał mieć stosunkowo pełny obraz siedziby prezydenta i tego, jak funkcjonowała.

Pracowało w nim dziewięćdziesięciu trzech członków personelu, choć żaden z nich nie mieszkał w posiadłości. Byli wśród nich stolarze, hydraulicy, tapicerzy, kucharze, kelnerzy oraz windziarze. Wszyscy oni bezpośrednio podlegali głównemu zarządcy, który, jak z tego wynikało, faktycznie kierował Białym Domem. Poza tym, trzydziestu sześciu oficerów Państwowej Służby Parkowej opiekowało się terenami wokół budynku oraz cieplarnią i magazynem.

Tajna Służba posiada tysiąc osiemset agentów w Waszyngtonie, a ośmiuset z nich, podzielonych na kilka zmian, zajmuje się ochroną prezydenta i wiceprezydenta. O każdej porze dnia i nocy głowy państwa strzegło czterdziestu agentów w cywilu, których każdy ruch obserwowany był w centrum komunikacji znajdującym się pod Gabinetem Ovalnym w zachodnim skrzydle budynku. Przy ogrodzeniu terenów Białego Domu i każdej bramie straż pełniło dodatkowych stu dwudziestu pięciu członków Służby Ochrony Prezydenta. Zarówno jedni, jak i drudzy wyposażeni byli w nadajniki radiowe i różne rodzaje broni, od pistoletów po przenośne wyrzutnie rakiet Redeye, przechowywane na wszelki wypadek.

Oprócz Tajnej Służby, istniał też złożony ze stu osób Wydział Bezpieczeństwa Technicznego, mający siedzibę na terenie Białego Domu. Ludzie ci regularnie przeczesywali budynek w poszukiwaniu podsłuchu, materiałów radioaktywnych oraz innych rzeczy mogących stanowić zagrożenie dla prezydenta albo jego rodziny. Wydział Bezpieczeństwa Technicznego odpowiadał też za system bezpieczeństwa na zewnątrz. Jego częścią, zgodnie z podejrzeniami Rhinelandera, była bariera mikrofalowa, a także kamery na podczerwień, wykrywacze ruchu oraz radar przeciwpiechotny wewnątrz budynku i zakopane w trawie

czujniki sejsmiczne. Do tego wszystkiego dochodziły przyciski alarmowe, urządzenia namierzające, wykrywacze metalu oraz aparaty roentgenowskie i karty identyfikacyjne umożliwiające wstęp tylko do określonych sektorów.

Korzystając z planów i powiększonych zdjęć z artykułu w „National Geographic” oraz porównawczych planów ze specjalnego wydania „Life” na temat prezydenta, zaczął wykreślać schematyczny diagram Białego Domu i otaczających go terenów. Zaznaczał kolorowymi mazakami wszystkie zabezpieczenia. Na pierwszy rzut oka budynek wydawał się całkowicie niedostępny, ale ze swojego doświadczenia wiedział, że często dążenie do wybudowania takiej niemożliwej do zdobycia fortecy prowadzi do przeoczeń.

Zamkowe mury i strażnicy nie powstrzymały intruza, który wdarł się do sypialni królowej Elżbiety, a nadzwyczajne środki bezpieczeństwa nie przeszkodziły Stauffenbergowi w podłożeniu bomby niecały metr od Adolfa Hitlera. Patrzył na materiały rozłożone na biurku i był pewien, że znajdzie w nich logistyczne niedopatrzenie, jeden prosty błąd, który umożliwi mu wdarcie się za mury tej Troi.

Paul Mallory wszedł do łazienki i dokładnie obejrzał kopertę pod światłem.

Wyglądało na to, że Rhineland nie zostawił mu żadnych niespodzianek. Po pięciu minutach, wciąż nie mogąc opanować nerwów, Mallory zaniósł kopertę do salonu, zawahał się przez chwilę, po czym rozciął nożem do papieru. Ze środka wypadła kartka papieru. List był krótki i napisany drukowanymi literami w zwięzłym, suchym stylu charakterystycznym dla depeesz agencyjnych:

WEDŁUG MOJEJ OCENY ZADANIE JEST WYKONALNE. PRZYJMUJĘ  
ZAŁOŻENIE, ŻE POZOSTAJE AKTUALNE, O ILE NIE OTRZYMAM INNYCH  
INSTRUKCJI.

OBIEKTY MUSZA PRZEBYWAĆ W MIEJSCU WYMIENIONYM W CZASIE

NASZEJ ROZMOWY. BY UMOŻLIWIĆ REALIZACJĘ PLANU, INFORMACJE DOTYCZĄCE BEZPIECZNEGO POŁĄCZENIA CROWN MAJA ZOSTAĆ MI PRZEKAZANE NAJPÓŹNIEJ 72 GODZINY PO OTRZYMANIU TEGO LISTU. INFORMACJE CO DO WPLĄTY ZALICZKI ZOSTANĄ PRZESŁANE W PRZECIĄGU NASTĘPNYCH SIEDMIU DNI. NIEZASTOSOWANIE SIĘ DO MOICH POLECEŃ BĘDZIE OZNACZAŁO REZYGNACJĘ Z REALIZACJI PLANU.

List nie był podpisany. Mallory zmarszczył brwi i przeczytał go raz jeszcze. Próbował odgadnąć jego prawdziwe znaczenie. Wyglądało na to, że Rhinelandier przeprowadził rekonesans i doszedł do wniosku, że jest w stanie wykonać zlecenie, czegokolwiek by dotyczyło. Słowo „obiekty” wskazywało na to, że chodziło o więcej niż jedną osobę. Mallory nie miał też pojęcia, cóż mogła oznaczać wzmianka o bezpiecznym połączeniu Crown. Jedno było pewne: słowo „obiekty” niemal na pewno wykluczało możliwość, by to Cabrera stanowił cel, podobnie jak wspomnienie o „zaliczce”. Zakładając konto bankowe dla Rhinelandera, Mallory był przekonany, że dwustutysięczny depozyt w Citibanku jest przynajmniej częścią wynagrodzenia zabójcy, ale z listu wynikało, iż nie otrzymał on jeszcze zaliczki. Największa w historii CIA opłata za usługi „wolnych strzelców” wyniosła pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Tyle dostali trzech ludzie, wynajęci do zamordowania Trujillo w maju tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku. Nawet wliczając inflację, wydatek przekraczający ćwierć miliona dolarów byłby mocno wygórowany, nawet gdyby w grę wchodziło usunięcie takiej płotki, jak Cabrera.

Jeśli nie Cabrera był celem, to kto? Przynajmniej dwóch ludzi nazywanych obiektami, którzy mieli znaleźć się w określonym miejscu w określonym czasie na tyle ważnych, by konieczne było korzystanie z bezpiecznej sieci łączności Crown. Mallory potrząsnął bezradnie głową; do tej pory przyjmował założenie, że ofiary Rhinelandera vel QJ/RAILA

zginana obszarze Stanów Zjednoczonych. A jeśli się mylił? Może słowo Crown (Korona) - oznaczało królową Elżbietę albo księcia Karola. Nie! Te rozważania do niczego nie prowadziły. Miał po prostu za mało informacji.

Spojrzał na zegarek. Przez te korki dojazd do biura zajmie mu przynajmniej godzinę.

Złożył kartkę z listem i wsunął z powrotem do koperty. Założył wygniecioną marynarkę, ruszył w stronę schodów. Na rogu znajdował się punkt usługowy, w którym mógł skopiować list, a być może nawet kupić nową kopertę. Jeśli Mallory'emu będzie sprzyjać szczęście, Hudson Haines Cooper nigdy nie dowie się, że ktoś otwierał jego korespondencję.

Eric Rhinelandier niemal punktualnie o szóstej po południu, ubrany w dres, zabrał rower ze stojaka na placu Lafayette'a. Włożył bluzę do bagażnika, wyłączył kamerę i odjechał. Po trzydziestu minutach dotarł do hotelu „Holiday Inn”, zostawił rower w stojaku na parkingu podziemnym i poszedł do swojego pokoju.

Wziął prysznic, przebrał się w ciuchy, które przed godziną rozłożył na łóżku, po czym zszedł na parking podziemny. Podeszedł do roweru, wyciągnął z bagażnika kamerę i opuścił garaż głównym wyjściem. Skierował się do Wyoming Apartments.

Minęło dwadzieścia minut, zanim Rhinelandierowi udało się tak poprzestawiać kable w magnetowidzie pana Graya, by można było podłączyć doń ośmiomilimetrową kamerę.

Wreszcie zasiadł przed telewizorem i zaczął odtwarzać to, co działo się tego dnia przy bramie prowadzącej na West Executive Avenue. Najpierw na szybkich obrotach, potem wolniej.

Pod bramę podjeżdżały głównie samochody personelu. Od czasu do czasu

przejeżdżała jakaś limuzyna. Pojawiły się też inne pojazdy - kilka wozów dostawczych i ciężarówka Służby Parkowej. Wszystkie, oprócz jednego, zostały zatrzymane i skontrolowane przez strażników. Była to biała furgonetka na rządowych numerach rejestracyjnych, która przyjechała o siódmej piętnaście rano. Według zegara w rogu ekranu. Obejrzał ten fragment

kilka razy. Zwracał uwagę na najdrobniejsze szczegóły, jak choćby ten, że przednia część skrzyni samochodu, nad kabiną kierowcy, zdawała się być wyposażona w agregat chłodniczy. Z uśmiechem na twarzy, Rhinelandier zatrzymał taśmę w momencie, w którym przepuszczona bez kontroli furgonetka wjeżdża w bramę. Zapalając papierosa, zaczął przeglądać stertę materiałów leżących przed nim. Znalazłszy to, czego szukał, rozsiadł się wygodnie na krześle za biurkiem Johna Graya i otworzył czasopismo, które wyciągnął spośród dziesiątek innych.

Był już prawie pewien, że to, co widział na zatrzymanym kadrze na ekranie, pozwoli mu dostać się na teren Białego Domu; drogę ucieczki natomiast odszukał na stronie czterysta osiemdziesiątej szóstej pisma „National Geographic” z kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku.

## Rozdział 16

Siergiej Kuriochin ostrożnie zszedł na parter małego hotelu, trzymając się mocno jedną ręką poręczy. „Dom nad Kanałem” nie miał windy, a schody były bardzo strome. Jednak mimo alpejskiej stromości schodów, hotelik miał pewne zalety: przepiękną maleńką restaurację, w której podawali rijstafel. Było to miejsce, które śmiało mogło konkurować z najbardziej znanymi indonezyjskimi restauracjami w śródmieściu.

Starszy pan przeszedł przez mały hol i kierował się na zewnątrz. Panowała chłodna noc. Zapiął tweedową marynarkę i sięgnął do kieszeni, szukając papierosów. Znalazł prawie pustą paczkę i zapalił jednego. Zapatrzył się w ciemną Keizergracht, aż po błyszczące światła wąskich kamieniczek dalej na końcu ulicy. Uśmiechnął się do siebie. Amsterdam był dla niego Wenecją bez Włochów. Poza Moskwą był jego ulubionym miastem w Europie. Skierował się na południe w stronę Herenstraat, ciesząc się widokiem i dźwiękami zatłoczonej ulicy i położonego za nią kanału. Ulica przepelniona była samochodami i

rowerami. Większość z nich podążała w tym samym kierunku co on. Tłumy turystów, jak i mieszkańców miasta kierowały się o tej porze do centrum, którego najważniejszym miejscem było Dam Square.

Tuż przed mostem spinającym oba brzegi kanału przy Herenstraat Kuriochin, skręcił w stronę małej kawiarni przylegającej do Shaffy - teatru należącego do dużej, szybko rozwijającej się sieci. Usiadł przy stoliku na zewnątrz pod wąską markizą i zamówił kufel piwa. Celem jego obserwacji była barka mieszkalna zacumowana przy brzegu kanału. Nosiła mało pociągającą nazwę: „Pięć Much”.

Kelner przyniósł Kuriochinowi piwo. Wielka czapa piany prawie przelewała się przez brzeg olbrzymiego kufła. Upił łyk i otarł usta. Ze swojego miejsca doskonale widział cienki izolowany przewód, wychodzący z lekko wyoblonego dachu łodzi i podłączony do pobliskiej skrzynki na brzegu. Tetar van Elven, agent Kuriochina w Amsterdamie, kradł nie tylko informacje, ale i elektryczność.

Siwy mężczyzna upił jeszcze łyk z kufła i zapalił papierosa. Przez następne dwadzieścia minut siedział spokojnie, pijąc piwo i paląc papierosa. Błądził oczyma po kawiarnianych stolikach, zaparkowanych pod kątem na końcu ulicy samochodach i przechodzących chodnikiem ludziach. W końcu uspokojony stwierdził, że barka nie była obserwowana. Dopił piwo i wszedł do kawiarni, by zatelefonować.

- Halo! Tetar van Elven. - Głos w słuchawce był mocny i serdeczny.

- Heeft u iets in zwaar! - odpowiedział Kuriochin umówionym hasłem.

- Ya. In Nylon.

- Binnen tien minuten - rozkazał agent KGB. Wrócił na swoje miejsce pod markizą, zapalił kolejnego papierosa i czekał. Po dziesięciu minutach pojawił się Tetar van Elven. Ten prawie pięćdziesięcioletni sprzedawca wyrobów szklanych zadawał sobie wiele trudu, by

wyglądać młodziej. Blond włosy były za długie, miał zbyt opaloną pociągłą przystojną twarz, a ubranie za bardzo modne. Znał się na TLQCTy i postępował według rozkazów. Kuriochin zgasił papierosa w stojącej na stoliku popielniczce. Marksizm był dobry dla mas. Po wieloletniej służbie w wywiadzie nauczył się, że im lepiej agent jest opłacany, tym efektywniej działa. Wyglądało na to, że szpiegostwo jest typowe raczej dla kapitalizmu.

Van Elven przeskoczył przez niskie nadburcie barki i trapem zszedł na ląd. Dłonią o długich palcach przyczesał włosy, obrócił się i skierował się w stronę Herenstraat i Dam Square. Kuriochin uważał, że barka dawała van Elvenowi odosobnienie i pewność, że zauważy natychmiast każdego, kto będzie go obserwował.

Starszy mężczyzna poczekał jeszcze kilka minut, po czym wsunął pięcioguldenowy banknot pod pusty kufel i wyszedł z kawiarni. Przeszedł na drugą stronę wąskiej uliczki, ostrożnie wspiął się na trap i znalazł się na pokładzie „Pięciu Much”.

Po kanałach Amsterdamu pływa około trzech tysięcy łodzi mieszkalnych. Połowa z nich nie jest zarejestrowana. Mają przeróżne kształty i rozmiary, od wielkich dziesięcio-, dwunastopokojowych mastodontów, do przypominających szopy kabin zabudowanych na kadłubach zwykłych barek. Łodzie stały się popularne po drugiej wojnie światowej, ale w latach sześćdziesiątych stanowiły nie lada problem. Władze miejskie próbowały kilkakrotnie zakazać mieszkania na barkach. Nic z tych planów nie wyszło. Pływające domy stały się taką samą częścią atmosfery Amsterdamu jak Rembrandt, dzielnica czerwonych świateł przy Oudezijds Voorburgwal na Starym Mieście i bary z marihuaną przy Haarlemmerstraat.

„Pięć Much” po części przypominała nowojorskie poddasze i sklep z antykami.

Wnętrze kabiny zostało zbudowane jako jedno pomieszczenie. Podłoga była wypolerowana na wysoki połysk, w suficie z odkrytymi belkami znajdowały się cztery wielkie świetliki.

Wysokie i wąskie okna wzdłuż lewej i prawej burty miały szyby wykonane z nowoczesnego

przyciemnianego szkła. Kuchnia wciśnięta w kąt z przodu łodzi stanowiła prawdziwe dzieło sztuki. Reprezentowane tu były wszystkie style, od bawarskich giętych krzesel, do sekretarzyka w stylu Ludwika XIV. Całe tuziny półek dźwigały zadziwiającą kolekcję szkła i kryształu z każdego kraju i okresu.

Na środku pomieszczenia stał prosty stół jadalny, używany przez van Eldea jako biurko. Na blacie, otoczony stosami dokumentów, rachunków i zamówień, stał komputer IBM, zaś na klawiaturze leżała średniej wielkości koperta. Kuriochin zasiadł za stołem i rozdarł ją. Wewnątrz znalazł mikrokasetę magnetofonową oraz dyskietkę - niekompatybilną z komputerem van Eldena.

Agent KGB sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął dyktafon Philipsa na mikrokasety. Otworzył urządzenie i wetknął kasetę od „Osina”. Dyskietkę zaś wrzucił do kieszeni i nie zaprzętał sobie nią na razie głowy. Na dyskietkę jak zwykle skopiowane zostały za pomocą skanera różne dokumenty i raporty. Mikrokaseta zaś zawierała jakąś pilną informację.

Kuriochin włożył do ucha słuchawkę dyktafonu, wyregulował głośność i z zamkniętymi oczyma ochylił się do tyłu. Przez chwilę panowała cisza, po czym usłyszał grobowy, zmieniony przez urządzenie głos swego najcenniejszego agenta.

*...Tak jak żądałeś w ostatniej transmisji, cała masa materiału, zgromadzona na dyskietce, odnosi się do badań agencji na temat instalacji w Iwanowie i przekazania wyprodukowanego materiału do nowej bazy w Kohtla-Jarve. Na podstawie prywatnych rozmów z wysokimi urzędnikami agencji uważam, że możemy śmiało przyjąć, iż wstępna przykrywka została bez zastrzeżeń przyjęta przez Wywiad Obrony i Pentagon. Centralna Agencja Wywiadowcza jednak nadal trzyma Kohtla-Jarve pod stałą obserwacją, używając satelity KH-jedenaście na zasadzie: jeden na trzy. Dlatego do czasu, kiedy obserwacja*



*zostanie zakończona radzę podtrzymać kamouflaż.*

*Pewnie zainteresuję cię informacja, że mam nowe zlecenie od Hudsona Coopera. Jak pewnie wiesz, jestem na liście stałych kurierów agencji, jeśli tylko nie koliduje to z moją pracą. Dlatego nie zaskoczył mnie jego telefon. Jednak rozmiar zlecenia jest podejrzany i wymaga przeprowadzenia śledztwa.*

*Cooper z jakiegoś powodu chce mnie wysłać po zakup najlepszej jakości szmaragdów za sumę dwóch milionów dolarów. Mam mu je dostarczyć osobiście do agencji. Jest to tak samo interesujące jak fakt, że mam użyć funduszy ulokowanych na trzyzowym koncie w Credit Suisse. Na wypadek, gdybyś nie wiedział, trzyzowe konto to dyskretny fundusz Sekcji Operacji Europejskich wicedyrektora CIA do spraw operacji. Wycofanie pieniędzy, nie pojawi się w księgach rachunkowych.*

*Budżety operacji są zwykle większe i dwa miliony to nieszczególna kwota, ale zakup szmaragdów jest dla mnie podejrzany. Wygląda tak jak próba załatwienia płatności dla jakiejś grupy w taki sposób, by nie można było wytropić źródła. Interesujący jest też fakt, że nie ma żadnych informacji w oficjalnych kanałach. Cooper ostatnio zajmuje się tylko zdrajcą z GRUnazwiskiem Trawkin, którego trzymają w Bowie.*

*Kamienie zostaną kupione od Mouwesa i Van der Loona, Albert Cuypstraat numer osiem. Cooper dał mi dokumenty na nazwisko przedstawiciela szwajcarsko-holenderskiego konsorcjum o nazwie Ashengruppe Juvelen. Wydaje mi się, że jest to firma należąca do agencji, ale nie jest nigdzie zarejestrowana. Szczerze mówiąc, cała ta sprawa mi śmierdzi. W każdym razie wydało mi się, że pewnie będziesz chciał się tym zająć. Jeśli masz jakieś pytania albo polecenia, przekaż je zwykłą drogą.*

Agent KGB wyjął słuchawkę z ucha i wyłączył dyktafon. Wszechobecny Dmitrij

Trawkin znowu się pojawił. Tym razem związany z zastępcą dyrektora CIA do spraw operacji

i potajemnym zakupem szmaragdów, które według agenta najprawdopodobniej posłużą do opłacenia jakiejś grupy. Kuriochin od dawna wiedział, że nawet najbardziej nieprawdopodobna analiza wywiadowcza „Osina” była precyzyjna jak szwajcarski zegarek. Starszy pan odchrząknął. W Tęplem Stanie istniała nawet teoria, że ten tajemniczy człowiek mający tak dobre kontakty dostarczał im rewelacyjnych materiałów, ponieważ był w rzeczywistości podwójnym agentem pracującym dla Amerykanów.

Wyjął kasetę z dyktafonu i włożył urządzenie wraz z taśmą do kieszeni. Spojrzał na zegarek. Było już późno. Starszy pan o skrzypiących kościach powinien już znajdować się w łóżku. Odsunął krzesło i wstał wzdychając. Jeszcze jeden dzień w Amsterdamie - i do domu. Mimo że kochał rodzinę, a szczególnie Moskwę, perspektywa powrotu do gordyjskiego węzła biurokracji w Tęplem Stanie wcale nie przyspieszała bicia jego serca. Obrócił się i wyszedł na pokład „Pięciu Much”, przeszedł trapem na nabrzeże kanału i powolnym krokiem, zatopiony w myślach, skierował się z powrotem do hotelu.

Oficjalne rezydencje gościnne prezydenta mają cztery różne adresy: tysiąc sześćset pięćdziesiąt trzy i tysiąc sześćset pięćdziesiąt jeden Pennsylvania Avenue i dwa przyległe domy za rogiem przy Jackson Place. Zbudowane w tysiąc osiemset dwudziestym czwartym roku dla doktora Josepha Lovella, bliźniacze domy przy Pennsylvania Avenue stały się ulubionym miejscem spotkań prezydenta Andrew Jacksona z jego współpracownikami. Te ważne, lecz nieformalne posiedzenia nazywano: „rządem kuchennym”.

Oba domy zostały kupione przez rząd federalny za administracji Franklina Roosevelta. Utworzono w nich rezydencje oficjalnych gości prezydenta. Za czasów Nixona zakupiono ostatnie dwa przyległe wiktoriańskie budynki i połączono ich wnętrza z domami przy Pennsylvania Avenue. W tych domach przy Jackson Place urządzono kwatery dla pracowników prezydenckich gości.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku Blair House, wymagający gruntownego remontu w co najmniej takim samym stopniu, co czterdzieści lat wcześniej Biały Dom, został poddany modernizacji kosztem ponad pięciu milionów dolarów. Wzmocniono środki bezpieczeństwa, włączając w to instalację szyb kuloodpornych. Z tyłu budynku wzniesiono salę wypoczynkową dla gości i wybudowano podwórze, którym można było przejść do nowo wybudowanych biur. Do zmiany wystroju stu dwunastu pokoi zatrudniono całe oddziały najsztywniejszych w kraju dekoratorów wnętrz po to, aby je umeblować. Dokonano prawdziwych najazdów na kilka składów z antykami. Efekt renowacji, odnowienia i nowego wystroju był, według artykułu w „Przeglądzie Architektonicznym” - uderzający.

Hudson Cooper uważał jednak, że całe to dzieło było tylko marnowaniem pieniędzy.

Zastępca dyrektora CIA do spraw operacji podjechał pod Blair House, gdzie był zaproszony na przyjęcie na cześć kanadyjskiego premiera. Wręczył kluczyki komandosowi odpowiedzialnemu za parkowanie samochodów, po czym przeszedł przez chodnik i stanął przed podwójną bramą z kutego żelaza. Agent Secret Service uchylił przed nim jedno skrzydło. Drugi stał pod kolumnami ganku na niskim podeście wiodącym do głównego wejścia.

Cooper zdawał sobie sprawę, że obaj agenci byli uzbrojeni i wiedział, że renowacja Blair House uwzględniała między innymi zamontowanie wykrywacza broni, zainstalowanego w pustej ramie bramy. Patrzył na szyby w drzwiach budynku. Gotów był się założyć, że pionowe zasłony powieszony za kuloodpornymi szybami były u dołu obciążone i wykonano je z materiału odpornego na wybuch bomb. Miały służyć za ochronę wnętrza przed odłamkami szkła.

Drugi agent otworzył szerokie białe drzwi wejściowe. Cooper zaś przeszedł z

ciężkiego wieczornego powietrza w klimatyzowany chłód ozdobnie wytapetowanego hallu wejściowego Blair House. Został oficjalnie powitany przez Maggie Scarfe-etatową hostesę Blair House. Udał się w kierunku, skąd dochodziły dźwięki muzyki kameralnej i zapach drogich perfum. Skręcił więc w lewo i przeszedł przez salon do znacznie większego Dillon Room z dwoma kominkami i francuskimi drzwiami wychodzącymi na ogród.

Dla Coopera „przytulność” Dillon Room doskonale określała jego odczucia wobec Blair House i przymusowej, urzędowo wymaganej obecności przy różnych oficjalnych okazjach. Uważał, że bladozielone ręcznie malowane chińskie tapety w ogóle nie pasowały do pokoju reprezentacyjnego Stanów Zjednoczonych wobec zagranicznych gości. Tak samo jak delikatna porcelana, bonsai, wentylatory w kominkach i tor przeszkód złożony ze stolików z różanego drzewa postumentów na kwiatki i wyściełanych jedwabiem krzeseł. Miało się wrażenie wystawy mebli. Cooper z miną pełną dezaprobaty zaczął przeciskać się przez plotkujący tłum ludzi w czarnych krawatach i wieczorowych sukniach, stojących w wielkim prostokątnym salonie. Skierował się w stronę złoconej sofy, ustawionej na wprost otwartych francuskich drzwi. Skinął głową kilku osobom, których twarze wydawały mu się znajome, po czym przecisnął się za kanapą i wyszedł na zewnątrz do wewnętrznego ogrodu.

Wysoki, łysiejący mężczyzna spojrział na zegarek i stwierdził, że było już po ósmej.

Przyjęcie zaczęło się o szóstej. Piętnaście czy dwadzieścia minut kręcenia się wśród gości gwarantowało mu, że jego obecność zostanie zauważona. Potem mógł wrócić do domu w Watergate i czekać na wyniki sprawy Trawkia.

W ogrodzie było chłodno. Wysokie ceglane ściany nowego budynku biurowego rzucały cienie na podwórze. Rząd drzew magnolii zasłaniał czerwone cegły, a świetnie utrzymany prostokątny klomb z kwiatami i krzewami, otoczony kamiennym murkiem, nadawał mu kolorowy akcent. Goście przechadzali się alejkami wytyczonymi przez kamienne

urny z kwiatami. Dookoła krążyli kelnerzy w białych marynarkach, z tacami pełnymi kieliszków i kanapek.

Cooper chwycił kieliszek szampana i wtopił się w tłum. Na końcu podwórza dostrzegł ciężką szczękę kanadyjskiego premiera, pozującego wraz z żoną, kanadyjskim ambasadorem Braithewaite i Vincentem Teresi do oficjalnej fotografii. Wicedyrektor CIA odwrócił się, starając się, by pomiędzy nim a wiceprezydentem pozostawał wielki klomb.

Miał świadomość, że nie więcej niż połowa zgromadzonych gości waszyngtońskiej elity, wiedziała, kim on był. Większość z tych, którzy go znali, odwracała się plecami, gdy nadchodził.

Dyrektor przez ostatni rok nie był w stanie pełnić obowiązków, ponieważ stan jego serca gwałtownie się pogarszał, więc wyznaczył Coopera na swego towarzyskiego przedstawiciela. Zgodnie z protokołem zastępca musiał być obecny na wszystkich przyjęciach na cześć mężów stanu, choć z uwagi na charakter swej pracy był zawsze wśród zapraszanych gości pariasem. Był strażnikiem brzydkich tajemnic kraju i zawodowym podglądaczem.

Dla polityków nie stanowił najlepszej partii do towarzyskiej pogawędki. Wobec tego, że wyglądał i zachowywał się jak przedsiębiorca pogrzebowy, wcale nie nawiązywał kontaktów.

Wybrał sobie miejsce przy rogu kamiennego muru i zaczął obserwować, jak obok przechodzą elegancko ubrani ludzie; chwycił urywki ich rozmów. Konwersacje były pozbawione treści, a słowa jakby pochodziły z innego świata. Myślał tylko o obecności Rhinelandera w mieście.

Przypominało to pokrywanie szronem zimowego okna: kryształki łączą się i rozrastają we wzory geometryczne, aż całe okno jest pokryte wzorami. To zimny oddech Hollisa Macityre'a rozpoczął cały proces, a plan zaaprobowali starsi członkowie komitetu Romulusa. Jeśli Rhinelandero wi się nie uda, to Cooper wiedział, że to jego głowa spadnie.

- Panie Cooper. - Zaskoczony wicedyrektor CIA obejrzał się i ujrzał idealnie

telewizyjną twarz Vincenta Teresi.

- Panie prezydencie - skłonił głowę Cooper. Jakiś atawistyczny instynkt nakazał mu odstawić kieliszek z szampanem na murek, by obie ręce mieć wolne.

- Widzę, że obaj pełniimy obowiązki podczas nieobecności naszych szefów skomentował wiceprezydent ich obecność na przyjęciu. Uśmiechnął się, lecz był to drapieżny, wilczy uśmiech.

- Jak się czuje dyrektor Maitland?

- Źle - odparł Cooper, zdenerwowany pytaniem. Obaj doskonale wiedzieli, że

Maitlandz całą pewnością będzie musiał odejść ze stanowiskaw ciągu kilku miesięcy, dając ludziom Tuckera i Teresi'ego możliwość obsadzenia kluczowego stanowiska w państwie.

Wicedyrektor CIA nie mógł powstrzymać się od zadania pytania:

- A jak się czuje prezydent?

- Lekka grypa - odpowiedział swobodnie Teresi. - Pojechał z żoną na kilka dni do

Camp David i nabiera sił. - Znowu się uśmiechnął. - Szczerze mówiąc nasi goście z północy nie chcieli specjalnie przeszkadzać mu w leczeniu.

- Rozumiem - skwitował to Cooper. Z namysłem patrzył na Teresi'ego i zastanawiał się, czy wiedział o prawdziwej chorobie Tuckera. Pewnie nie miał o niczym pojęcia. Teresi nie byłby pierwszym wiceprezydentem w historii Stanów Zjednoczonych, który miał pojęcie o poważnej chorobie w Białym Domu. Thomas Marshall, wiceprezydent za rządów Woodrowa Wilsona, także nie wiedział o neurologicznych problemach swego zwierzchnika, a Lyndon Jackson uznał, że problemy Kennedy'ego z plecami miały coś wspólnego z jego wcześniejszymi wyczynami na morzu. Nic także nie wiedział o długotrwałej walce z chorobą Addisona.

- Może to nie jest odpowiednia chwila, żeby o tym mówić - odezwał się wciąż uśmiechnięty Teresi - ale chciałbym zamienić z tobą kilka słów na temat twojego żądania rozszerzenia obserwacji satelitarnej w związku z raportem na temat działalności Kohtla-Jarve.
- Tak? - spytał zimno Cooper. Słuchając intonacji w jego głosie, pomyślał, że wiceprezydent musiał wielokrotnie ćwiczyć prawidłową wymowę rosyjskiej bazy morskiej nad Bałtykiem.
- Chcemy polepszyć stosunki z Rosjanami - wyjaśnił wiceprezydent strofującym tonem. - Prezydent i ja zgodziliśmy się, że podwojenie obecności satelitów nad bazą produkującą prototypowe systemy radarowe dla przybrzeżnych łodzi patrolowych nie przysłuży się dobrze temu celowi.
- Te radary to tylko przykrywka odparł Cooper. Starał się nie pokazać narastającej w nim irytacji. - Pozostawienie sprzętu na widoku podczas przelotu KH-jedenaście nie było błędem - to przynęta.
- Pewnie potrafisz to udowodnić?
- Sowieci używają zmodyfikowanego trawlera „Odisiej” klasy Majakowski - pływającej fabryki broni chemicznej - wyjaśnił zimno Cooper. - Jeszcze sześć miesięcy temu jego bazą był Kijów. Teraz zawija do Kohtla-Jarve.
- To żaden dowód - oznajmił Teresi. - Poza tym mam wrażenie, że ten scenariusz ze statkiem-widmem został już ujawniony.
- Ma pan złe wrażenie - odparł Cooper. - „Odisiej” jest prawdziwy - w przeciwieństwie do instalacji w Iwanowie.
- Gdzie produkują systemy radarowe - przerwał mu Teresi.
- Tak duża fabryka musiałaby emitować w podczerwieni bardzo silne promieniowanie
- wyjaśnił Cooper. - A fabryka w Iwanowie jest niemal zimna. To tylko magazyn na sprzęt

przychodzący z Kohtla-Jarve - nie wysyłany do bazy, tylko stamtąd odbierany. Jeśli dostanę KH-jedenaście na wystarczająco długo, mogę to udowodnić. Potrzebujemy tylko przelotu satelity nad statkiem w chwili, gdy będzie rozładowywany w porcie.

- Obawiam się, że to niemożliwe - oznajmił Teresi. Swego asa trzymał na koniec. Po to właśnie rozpoczął w ogóle tę rozmowę: dla osobistej satysfakcji.

- Twoje żądanie o dodatkowy przydział czasu na satelitę zostało odrzucone.

Oczywiście możesz ponownie o to wystąpić na najbliższym posiedzeniu szefów służb wywiadowczych.

Wicedyrektor CIA dźwignął nieco plecy i chwycił na wpół opróżniony kieliszek szampana, który podniósł i powoli opróżnił. Jego twarz wyprana była z jakichkolwiek emocji. Patrzył tylko na wiceprezydenta, nie mówiąc ani słowa. W milczeniu spoglądał na niego z namysłem przez około pół minuty, po czym skinął głową, odstawił kieliszek na murek, odwrócił się i odszedł. Nie miał wątpliwości, że Vincenzo Santino Teresi był bardzo błyskotliwym człowiekiem, ale żył w świecie polityki i słodkich obietnic. Tymczasem jego świat był ciemny i cuchnący.

Ostatnie promienie słońca ozłociły ściany Blair House; zaś Biały Dom po drugiej stronie Pennsylvania Avenue pogrążył się w cieniu. Cooper wyszedł przed bramę numeru tysiąc sześćset pięćdziesiąty pierwszy i wręczył komandosowi swój bilet parkingowy. Młody żołnierz powiedział coś do mikrofonu krótkofalówki - najprawdopodobniej przekazywał numer kwitu któremuś z kierowców czekających w podziemiach parkingu nowego budynku biurowego, do którego wjazd znajdował się za rogiem, przy Siedemnastej ulicy. Wicedyrektor CIA czekał z rękoma założonymi na plecy i rozmyślał o swoich wrogach.

- Boże, mam nadzieję, że to wyjdzie - mruknął Stephen Stone. Wypisał resztki koktajlu mlecznego z kubka. Bez humoru popatrzył na ciemne zabudowania Narodowego Centrum



Badań Rolniczych. Samochód, w którym siedział, zaparkowany był w wąskiej uliczce około kilometra od Instytutu Bowiego.

- Odpręż się, Stef - powiedział zza kierownicy uspokajająco Mort Kessler. Plan jest bez pudła.

- Która godzina? - zapytał Stone, rzucając pusty kubek na podłogę wozu.

- Za kwadrans dziesiąta - rzucił rudowłosy agent FBI. - Nic się nie będzie działo jeszcze przez co najmniej piętnaście minut.

- Jeśli w ogóle będzie się coś działo - westchnął Stone. Sięgnął ręką na półkę na desce rozdzielczej i z leżącej tam paczki wyciągnął camela. Przypalił papierosa i zamknął oczy, by uchronić wzrok przyzwyczajony już do ciemności.

- Odpręż się - powtórzył Kessler. - Mamy dobre wieści. - Agent o okrągłej, przypominającej jabłko twarzy, wykorzystując wszelkie dostępne FBI źródła informacji - w tym kelnerów w Bowie - odkrył, że „obiekt” miał być tego wieczoru o dziesiątej przeniesiony w inne miejsce. Dowiedział się też, że rolniczy ośrodek badawczy w Bowie miał zatwierdzony plan lotu. Samolot miał wystartować o dziesiątej trzydzieści z pobliskiego lotniska Beltsville. Zgodnie z planem miał lądować na międzynarodowym lotnisku imienia Patricka Henry’ego w Newport News. Kessler jednak miał niemal stuprocentową pewność, iż prawdziwym celem było zastrzeżone lądowisko w Camp Peary o kilka kilometrów na północ od York River.

- Za zgodę na tak chorą akcję powinienem się chyba dać przebadać - oznajmił Stone. Zaciągnął się głęboko nikotyną i wypuścił dym przez otwarte boczne okno. Z zewnątrz przedostawał się mocny zapach otaczających ich sosen. Słysząc było ciągle cykanie świerszczy.

- To wcale nie jest chory plan - roześmiał się Kessler. - To tylko wet za wet. Wiesz tak

samo dobrze jak ja, że te wszystkie ploty o przejściu na naszą stronę to głównie prawda. Cała ta sprawa przechwycenia Trawkina jest sprzeczna z prawem. CIA porywa sowieckiego dyplomatę i przetrzymuje go wbrew jego woli. Narusza to cały wór międzynarodowych porozumień, nie wspominając już o kodeksie karnym. Jak CIA mogłaby na nas narzekać, skoro my tylko odwrócimy cały ten proces?

- Mogłaby, ponieważ my nie jesteśmy z KGB. Jesteśmy agentami Federalnego Biura Śledczego - wszystko jedno, co mamy wypisane na tablicach rejestracyjnych. Agencja podobno jest naszą siostrzaną organizacją.

- To dupki - zmarszczył się Kessler.

W ciągu kilku minut od otrzymania informacji, o tym że Trawkin miał być wywieziony z ośrodka w Bowie, Mort Kessler zmontował operację wyrwania go z łap CIA. Stone musiał przyznać, że plan, był genialnie prosty.

Użyli nie oznakowanych wozów z biura w Baltimore, wyposażonych w dyplomatyczne tablice „zorganizowane” w waszyngtońskiej Sekcji Samochodów Służby Specjalnej. Sześciuosobowa grupa zablokuje Trawkina i jego „opiekunów” w drodze na lotnisko Beltsville i uwolni oficera GRU.

Jeśli będą mieli szczęście, CIA przyjmie, iż to KGB odbiło swego rodaka. W najgorszym razie agencja może podejrzewać Stone'a i jego ludzi, lecz nie mogłaby mu niczego udowodnić i złożyć żadnej oficjalnej skargi.

Stone zdawał sobie sprawę, że Ruppelt w końcu dowie się, co się stało. Miał jednak nadzieję, że materiał z przesłuchania Trawkina złagodzi jego gniew. Był pewien, że Trawkin będzie mówił, choć może to robić z niechęcią. Ludzie Trawkina z kolei stwierdzą, że musiał mieć coś na sumieniu i nie miał innego wyjścia jak przejść na drugą stronę. Hudson Cooper był potężnym wrogiem, ale pozyskanie takiego rozgrywającego, jak Dmitrij Aleksandrowicz

Trawkin da mu broń nie do pokonania nawet przez wicedyrektora CIA.

Zgasił papierosa w popielniczce samochodowej i spojrzał w ciemność. Cała operacja brzmiała doskonale w klimatyzowanym wnętrzu jednego z tajnych domów operacyjnych FBI przy Rock Creek Park. Tutaj jednak w upale i wilgoci nie był pewien, czy ma rację. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to może uda im się zapobiec politycznemu zabójstwu i wynieść z afery coś, czym mógłby być zainteresowany wywiad. W przeciwnym razie będzie musiał pożegnać się z karierą.

Opuścił rękę na siedzenie obok nogi i dotknął krótkofalówki. Jedno niewłaściwe posunięcie czy błąd jednego z jego ludzi, wywoła aferę. Stone brał udział w wystarczająco wielu operacjach i wiedział, że nigdy nic nie idzie dokładnie według planu i zawsze może wyskoczyć coś niespodziewanego.

- Jeśli choć jeden człowiek nie będzie na wyznaczonej pozycji, to położymy robotę - ostrzegł Stone.

- Wszyscy są na swoich miejscach. Sinclair jest w zaroślach przed frontową bramą.

Putnam jest przy skrzyżowaniu z kolczatką, Midbrook i Dofney w miejscu blokady na drodze Springfield-Hillmeade. Piętnaście sekund na zabranie Sinclaira. W sumie będziemy jakąś minutę do tyłu. Połowę tego czasu nadrobimy na drodze do krzyżówki Powder Mill i Springfield. Midbrook da nam znać, jak tylko zobaczy ich światła. Wtedy zaczynamy.

Rudy agent sięgnął pomiędzy siedzenia i otworzył neseser. W środku znajdował się

smith

&

wesson

oraz

zestaw

do

tłumienia

demonstracji,

w

tym

trzydziestosiedmiomilimetrową strzelbą gazową, pociski penetrujące tru-flite, gazowe granaty z gumowymi kulkami oraz pociski z gazem łzawiącym.

- Buuum! - uśmiechnął się agent. Stone w odpowiedzi również wyszczerzył zęby.

Optyzm kolegę był bardzo zaraźliwy.

- Dmitrij będzie się krzywił nawet wówczas, jeśli wyrwiemy go z diabelskich łap agencji - zaśmiał się Stone. - Po takim przyjęciu będzie płakał przez tydzień.

- Lepiej przelewać łzy niż krew - odpowiedział Kessler. Z krótkofalówki rozszedł się trzeszczący dźwięk. Obaj mężczyźni nagle zeszywnieli. Stone uniósł radiostację do ust.

Kessler pochylił się do przodu i uruchomił silnik.

- Es ist grun - Sinclair zastosował kod „zielony” po niemiecku na wypadek, gdyby ktoś słuchał ich rozmów.

- Ich verstehe - odparł zwięźle Stone. Siedzący obok Kessler zaczął odliczać.

- ...pięć, sześć, siedem, osiem...

Przy dziewięciu wrzucił bieg wozu pościgowego i z wygaszonymi światłami ruszył z miejsca. Stone zmienił kanał krótkofalówki i powiadomił resztę grupy.

- Zundung. - Zapalać.

Dmitrij Trawkin siedział na przednim siedzeniu samochodu pomiędzy dwoma agentami i zastanawiał się, czy będzie to jego ostatnia podróż w życiu. Jeśli tak, to Mutt i Jeff nic mu o tym nie powiedzieli. Mutt, silnie umięśniony blondyn, siedział za kierownicą i

długą, wijącą się drogą dojazdową do Instytutu Bowie, prowadził ciemnozieloną furgonetkę GMC. Jeff, ciemnowłosa mężczyzna, siedział pomiędzy Trawkinem a drzwiami. Okna były zamknięte, a z otworów wentylacyjnych na desce rozdzielczej dmuchało chłodne powietrze.

- Tylko mi nie mówcie - odezwał się oficer GRU przerywając ciszę - że zabieracie mnie na koncert Eddieego Murphy'ego.

- Zamknij się - odezwał się zimno Jeff. Dojechali do końca wysadzanej drzewami alei.

Wysokie skrzydła bramy rozsunęły się na boki, sterowane zdalnie przez strażników z budynku, obserwujących wyjazd furgonetki na ekranach monitorów.

- Świnia - mruknął do siebie Trawkin. I to jeszcze zupełnie pozbawiona poczucia humoru.

- Co powiedziałaś? - rzucił Jeff.

- Nic - odpowiedział Trawkin i wewnątrz auta znowu pogrążyło się w ciszy. Mutt skręcił na południe w Powder Mill Road. Było już całkiem ciemno. Świat był teraz tylko wąskim tunelem, wierconym przez halogeny reflektorów w ciemności. Trawkin zdołał dojrzeć tylko zaorane pola i las.

Rosjanin opadł na oparcie. Żałował, że nie ma papierosów; wiedział, że Mutt i Jeff nie poczęstują go. Bardzo chciał się odprężyć i spróbować rozważyć możliwości działania. W chwili, gdy wyglądał przez okno samochodu, przyszłość nie wyglądała zachęcająco.

Przesłuchanie przeprowadzone przez łagodnego pana Cooka było sztuczne. To takie zarzucenie sieci, by wy badać, co wie na temat kostarykańskiego projektu. Teraz dopiero się zacznie. Twardo zadawane pytania i równie twarde traktowanie; może nawet będą go faszerować narkotykami?

- Mamy towarzystwo - oznajmił lekko Mutt i spojrział na lusterko wsteczne.

- Gdzie? - zapytał Jeff. Ciemnowłosa mężczyzna sięgnął pod marynarkę i wyciągnął

rewolwer SW kalibru 0.44 z krótką lufą.

- Za nami, dwieście metrów, bez świateł.

- Cholera. - Jeff pochylił się do przodu i zajrzał w lusterko po swojej stronie. - Dodaj gazu - rozkazał.

Mutt przyspieszył. Siła bezwładności wcisnęła Trawkina w oparcie kanapy. Siedział sztywno pomiędzy dwoma mężczyznami. - Nie ryzykował gwałtownych ruchów, ponieważ obok znajdował się nerwowy facet z bronią. Starał się szybko analizować sytuację. Zdawał sobie sprawę, że los zaczynał się do niego uśmiechać, ale nie bardzo wiedział, jak wykorzystać tę sytuację. Wszystko zależało od tego, kto za nimi jechał. Jeśli była to jedna z grup KGB Władymira Gurenki pragnąca go „wyratować”, to wolał już raczej zostać w rękach CIA; agencja przynajmniej pozostawiłaby go przy życiu. Z Gurenką taka myśl nawet nie przyszła mu do głowy.

Mutt, skupiony za kierownicą, z dużą prędkością wziął łuk drogi i z prędkością prawie stu dwudziestu kilometrów na godzinę wpadł na skrzyżowanie Powder Mill Road i szosy Springfield-Hillmeade. Mijając skrzyżowanie, uświadomił sobie nagle, że z przeciwka zbliżał się jakiś samochód. Jechał niewłaściwą stroną i miał włączone długie światła. Niemal równocześnie pękły wszystkie cztery opony. Guma została rozorana na dymiące od tarcia paski przez ostrą jak brzytwa stal węglową kolczastego łańcucha, chwilę wcześniej ułożonego w poprzek drogi. Mutt miał utrudnione prowadzenie samochodu, ponieważ kilkanaście metrów łańcucha oplatało natychmiast przednią oś i wał napędowy. W jednej chwili wirujące końce przecięły wszystkie przewody. Następnie metrowy odcinek łańcucha przebił podłogę furgonetki i rozdarł prawy but Mutta, przecinając ścięgną Achillesa i zamieniając kostkę w pokrwawioną masę kawałków mięśni, kości i skóry z buta.

Podczas gdy Mutt krzyczał, furgonetka wpadała w szeroki boczny poślizg. Samochód

jadący z naprzeciwka, oślepił ich światłem halogenowym. Stone i Kessler jechali w zaciemnionym samochodzie. Nagle przyspieszyli. Wzmacniany stalowy zderzak uderzył w bok furgonetki i zepchnął ją do płytkiego rowu po prawej stronie drogi.

Trawkin, całkowicie oślepiony, zatoczył się na Jeffa, dławiącego się własną krwią. Jego prawy policzek został strzaskany podczas uderzenia o okno. Agent CIA skierował rewolwer na siedzenie obok i strzelał raz po raz. Rosjanin chwycił go za rękę, zwracając broń w inną stronę. Tymczasem po jego lewej, skręcony na siedzeniu, wrzeszczał Mutt. Starał się rozpaczliwie dosięgnąć częściowo amputowanej prawej stopy.

Funkcjonariusz GRU dosłyszał nagle serię ostrych, głuchych dźwięków i szyby furgonetki rozleciały się we wszystkie strony. To grupa uderzeniowa wystrzeliła gazowe pociski penetrujące. Zaraz potem wystrzelono granaty gazowe, piętnastki z gumowymi kulkami. Kilka sekund później wewnątrz wozu wypełniła dusząca chemiczna mgła. Zanim stracił przytomność, poczuł, że gardło mu płonie, a z oczu lecą wodospady łez. Wydawało mu się, że słyszy, jak ktoś mówi po niemiecku. Nie rozpoznawał jednak zakrytej goglami i gumową maską twarzy, która spoglądała na niego poprzez dziurę po szybie czołowej. I tak było mu wszystko jedno. Utrata przytomności wyzwoliła go od koszmarnego widoku wnętrza furgonetki.

## Rozdział 17

Śródmieście dla większości ludzi to dzielnica wieżowców, gęstego ruchu samochodów i zatłoczonych chodników. Niewielu jednak mieszczuchów zdaje sobie sprawę, że pod ich stopami znajduje się monstrualnie rozbudowany system tuneli, kanałów i piwnic, wybiegający daleko poza wyobrażenie podziemnego świata przez Dantego. Pod znaną powierzchnią znajduje się drugie miasto: Hades zapomnianych rzek, porzuconych rur i przejść, zatopionych kanałów ściekowych, tuneli, katakumb i piwnic.

Londyn ma dwa i pół tysiąca kilometrów takich kanałów ściekowych, sto sześćdziesiąt kilometrów zakrytych rzek, sto czterdzieści kilometrów tuneli, dziewiętnaście kilometrów podziemnych przejść pomiędzy budynkami rządowymi, i sto sześćdziesiąt tysięcy kilometrów kabli i rur. Nowy Jork posiada gigantyczne tunele położone ponad dwieście pięćdziesiąt metrów pod chodnikami miasta, a w Chicago kilkanaście metrów pod powierzchnią znajduje się zapomniany system tuneli transportowych o łącznej długości stu kilometrów.

Waszyngton nie jest tu żadnym wyjątkiem. Eric Rhinelandier odkrył pierwszą wskazówkę na ten temat ukrytą w pożółkłym starym numerze „National Geographic”. Dalsze poszukiwania kontynuował w oparciu o publikacje na temat podziemnej historii miasta. Znalazł mnóstwo wiadomości. Po wizytach w kilku miejskich urzędach i antykwariacie w Georgetown miał już wszystko, czego szukał.

Artykuł zamieszczony w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku w „National Geographicu” pt. „Cuda Nowego Waszyngtonu”, opisywał między innymi nowo wybudowaną elektrociepłownię na rogu ulic: Dwunastej i D, zaraz przy Biurze Druku i Grawiury. Rhinelandier natychmiast sprawdził i okazało się, że elektrociepłownia, choć unowocześniona i rozbudowana, nadal istniała w tym samym miejscu, kilka przecznic na zachód od hotelu „L'Enfant Plaza”.

W tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku elektrociepłownia zapewniała ciepło siedemdziesięciu jeden budynkom w rejonie Federalnego Trójkąta, w tym Białemu Domowi. Gigantycznych rozmiarów rury z parą zostały poprowadzone ponad pięciokilometrowej długości wybetonowanym tunelem idącym wzdłuż ulicy Dwunastej i dalej pod Alejami: Pennsylvania, Maryland i Constitution. Autor artykułu Frederick G. Vosburgh po wizycie w elektrociepłowni odwiedził jeszcze Departament Skarbu. Jego przewodnik, jeden z



inżynierów zakładu ciepłowniczego, zapewnił go, że podziemną drogą mógłby bez trudu dotrzeć do celu u zbiegu ulicy Piętnastej i New York Avenue.

Wizyta w Urzędzie Planowania Dystryktu Kolumbia i godzina w Biurze

Informacyjnym Robót Publicznych pozwoliły zabójcy zapoznać się z ogólną historią miejskich systemów ściekowych i kanałów burzowych od czasów Wojny Secesyjnej. W księgarni przy ulicy M. zdobył kilka książek objaśniających arkaana inżynierii lądowej.

Sprzedawca wyglądał na zachwyconego, że ktoś zechciał w końcu je wynieść z jego sklepu.

Zebrane materiały przejrzał w Wyoming Rhineland i szybko wyrobił sobie pogląd na podziemny labirynt.

Waszyngton zanim stał się stolicą, był kawałkiem malarycznego bagna na brzegach Potomacu poniżej portu rzeczno-georgetown w Maryland i powyżej Alexandrii w Virginii.

Łąki były na ogół podmokłe z powodu wód Rock Creek płynącego na zachód i wpadającego do rzeki na początku Greene Street w Georgetown oraz niezliczonych odnóg Tiber Creek.

Jego dwa główne dopływy brały swój początek ze źródła, w miejscu którego obecnie znajduje się skrzyżowanie ulic: V i Czternastej. Dalej płynęły poprzez centrum Waszyngtonu,

obmywając wyniosłe wzgórza Białego Domu i Kapitolu, by w końcu dotrzeć do ujścia James Creek przy Buzzard Point i Fort Lesley McNair oraz waszyngtońskiej Stoczni Marynarki

Wojennej przy wschodniej odnodze Potomacu. Drugi, jeszcze bardziej ospały i rozlazły strumień opływał wzgórze Kapitolu, skręcając przy nim na północ i prowadząc dalej wzdłuż dzisiejszej Constitution Avenue.

W czasie powstawania miasta, odnogi strumieni służyły zarówno jako wodociągi, jak i ścieki. Zwiększało to ryzyko wystąpienia epidemii i nadawało Waszyngtonowi reputację miasta bardzo niebezpiecznego dla zdrowia. W tysiąc osiemset drugim roku, według planu rozwoju miasta wykonanego przez francuskiego architekta Pierre'a L'Enfanta, zachodnia

odnoga Tiber Creek została pogłębiona i zamieniona w kanał. Istniał nawet projekt połączenia strumienia - teraz już kanału - Tiber z kanałami Chesapeake i Ohio w Georgetown.

Przeprowadzono kanał aż do miejsca, z którego było widać Kapitol. Jednak w tysiąc osiemset sześćdziesiątym roku nie dokończona droga wodna służyła za otwarty ściek, choć trzeba przyznać, że jego brzegi były wyłożone kamieniami.

Po Wojnie Secesyjnej podjęto pierwsze próby założenia kanalizacji. Meandrujące odnogi Tiber Creek zostały nakryte i wybudowano akwedukt, którym do miasta dopływała z północy świeża woda. Kanał Tiber został częściowo zasypany i również nakryty, tworząc pierwszą wersję Constitution Avenue. Większość ścieków nadal płynęła tymi samymi korytarzami. Teraz przynajmniej nie były one na widoku. Przez następne półwiecze - w miarę jak rosło miasto - rozwijał się system podziemnych tuneli i ścieków.

W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym roku podczas wielkich prac ziemnych utworzono basen pływowy. Choć większość ludzi dzisiaj uważa ten zbiornik za znakomite miejsce na wypoczynek i świetną lokalizację pomników Waszyngtona, Lincolna i Jeffersona, jest to także wielkie osiągnięcie inżynierii wodnej. Podczas przyprływu system śluz i pomp zbiera do basenu wodę. Woda ta później jest spuszczana Kanałem Waszyngtona dla utrzymania jego czystości. W tym samym czasie odnowiono główny kanał burzowy pod Constitution Avenue. W kanale kilkaset metrów na północ od Mostu Arlington Memorial wybudowano dodatkową „bramę wodną” dla kontrolowania odpływu ścieków do Potomacu. W basenie pływowym przy ulicy Siedemnastej znajdował się wylot kanału burzowego, zaś przy przepompowni obok stoczni marynarki wojennej przy ulicy O miał ujście kanał ściekowy.

Z książek o inżynierii lądowej dowiedział się, że pierwsze kanały ściekowe były wyłożone cegłą i w przekroju przypominały jajko. Zawsze biegły też zgodnie z

ukształtowaniem terenu, niezależnie od tego, jak powierzchnia była pofałdowana. Późniejsze kanały i wodociągi budowane były z gliny i betonowych rur. Stare i nowe systemy z konieczności połączone były ze sobą i odpowietrzane studzienkami ściekowymi i włazami umieszczonymi w odpowiednich odległościach.

Eric Rhineland o wpół do dwunastej w nocy, w dobę po wyratowaniu Dmitrija Trawkina przez grupę Stephena Stone'a, zaparkował wynajętego minivana pod wiaduktem autostrady Dwunastej ulicy. Wsunął się do tylnej części wozu, by zmienić ubiór na nocną wycieczkę. Ściągnął koszulkę i dzinsy. Wbił się w jednoczęściowy strój do nurkowania z lycry, na który nałożył kombinezon pracownika robót publicznych Dystryktu Kolumbia, skradziony wcześniej z ciężarówki stojącej na parkingu elektrociepłowni. Z tego samego źródła pochodził pogięty kask. Wziął też podniszczoną walizę doktora i notatnik, po czym wyszedł z samochodu, zamykając go starannie.

Przeszedł przez tory i wspiął się na murek, za którym biegła ulica D. W kilka chwil później wchodził już otwartą bramą na parking elektrociepłowni, po czym śmiało pchnął drzwi dla obsługi i znalazł się w głównej kotłowni. Pomieszczenie było niewiarygodnie wielkie. Pomiedzy wysokimi na kilka pięter i szczelnie zaizolowanymi kotłami było szerokie przejście. Były one ze sobą połączone poskręcaną pajęczyną szerokich rur i drabinek. Kotłownię jasno oświetlały dziesiątki lamp zwisających z dźwigarów. Pomieszczenie było prawie opuszczone. Tylko dwóch robotników pracowało cicho w oddali. Uszy mieli osłonięte ochronnymi słuchawkami, izolując się w ten sposób od ciągłego grzmotu kotłów. Już w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku zakład był niemal całkowicie zautomatyzowany. Obecnie za pomocą komputerów, cała elektrociepłownia mogła być obsługiwana przez dwudziestu ludzi. Dlatego też latem w elektrociepłowni pracowała tylko połowa załogi.

Rhineland nie zwracał uwagi na mężczyzn pracujących na drugim końcu wielkiego pomieszczenia. Przeszedł leniwie przez centralnie umieszczone przejście. Starał się wyobrazić sobie specyfikację projektu zakładu, którą oglądał w Biurze Planowania. Urzędnik przedstawił mu plany. Nie pytał o nic. Uprzejmie, lecz bez zainteresowania kiwał głową, gdy Rhineland przedstawiał mu swoją historjkę o budowie dokładnego modelu historycznej parowozowni Conrail z tysiąc dziewięćset siedemnastego roku.

Odnalazł drzwi do północnego tunelu obsługowego. Otworzył je i zszedł kręconymi metalowymi schodkami na niższy poziom elektrociepłowni. Dalej szedł po prostu za ciemnozielonymi strzałkami wymalowanymi na jasnożółtych ścianach. Kilka pięter niżej znalazł w końcu wejście do tunelu i poprzez ciężkie, zrównoważone przeciwwagą drzwi wkroczył do korytarza. Tunel miał niewiele ponad trzy metry wysokości i sześć szerokości. Oświetlał go rząd obudowanych w metalowe kosze lamp, niknących w dali. Środkiem korytarza biegła wiązka niemal półmetrowej średnicy rur, z których każda była otulona grubą izolacją. Co trzydzieści metrów rury miały przykręcone łączniki. Wiązki cieńszych rur i kabli, umocowane do ścian, nikły w głębi tunelu.

Trzymał się podniesionego nieco betonowego chodnika po lewej stronie tunelu.

Poszedł w kierunku północnym. Miejscami wielkie centralnie ułożone rury nikły pod podłogą, umożliwiając obsłudze przejście do tuneli od wschodniej strony korytarza.

Rhineland zauważył, że w betonowej podłodze w regularnych odstępach znajdowały się ciężkie włazy; na ścianie wypisane były ich numery i nazwy: DCWW#234/12<sup>TM</sup> /IND. JUNCT, PW#5/FREER SUB #3, PW #8/ JEFF.

Po dziesięciu minutach doszedł do wnęki wbudowanej w zachodniej ścianie tunelu. W niszy znajdował się mały, pomalowany na szaro metalowy właz oznaczony napisem: CONSTITUTION AVE. KOLEKTOR/PRZELEW. Wiedział z lektury fachowych książek, iż

kolektor był głównym odpływem wody burzowej lub ścieków, a czasem i obu naraz. Był również miejscem zbierania się wtórnych ścieków i służył za awaryjny odpływ kontrolujący poziom wody burzowej. Wejście znajdowało się gdzieś pod skrzyżowaniem Constitution Avenue i ulicy Dwunastej. Po zmurszałej zasuwie i zawiasach mógł sądzić, że drzwi nie były otwierane od dziesięcioleci.

Odłożył notatnik i walizę, po czym rozejrzał się po korytarzu. Był pusty i cichy.

Słyszał tylko stłumione kapanie wody i własny oddech. Chwycił oburącz wielką zasuwę i nacisnął mocno w dół. Sześćdziesięcioletni mechanizm obrócił się z zaskakującą łatwością; pręt blokujący wysunął bez trudu bolce z ich gniazd. Podniósł notatnik i bagaż, pociągnął drzwi i wszedł do wnętrza.

Panowała tam idealna ciemność. Otworzył torbę i wyciągnął małą halogenową latarkę samochodową. Następnie zamknął właz i zablokował go wewnętrzną zasuwą, po czym włączył latarkę. W jasnym świetle ujrzał, że znajduje się w małym, niemal okrągłym pomieszczeniu, z którego ścian odpadały płaty mokrego betonu. Pomieszczenie nie miało więcej niż dwa i pół metra średnicy i metr osiemdziesiąt wysokości. Pośrodku podłogi znajdowało się wejście do szybu o średnicy około siedemdziesięciu centymetrów.

Postawił latarkę tak, by świeciła do góry. Po czym rozpiął kombinezon i zdjął kask.

Ubrany jedynie w jednoczęściowy kostium do nurkowania i buty na grubej podeszwie, usiadł na brzegu szybu machając nogami. Otworzył znowu walizę i wyjął z niej mały czerwony nylonowy plecak, którego używał podczas tego krótkiego okresu, gdy biegał po Lafayette Square. Tym razem plecak zawierał maskę, izolowane rękawice do nurkowania, pas, kompas Ikelite mocowany do przegubu ręki, i pół tuzina dwudziestocentymetrowych butli ze sprężonym powietrzem. Każda zawierała zapas powietrza na pięć minut. Zamknięta zamkiem błyskawicznym kieszeń plecaka, zawierała jeszcze pojemnik świecącej w ciemnościach żółtej

farby w sprayu, czekan wysokogórski na krótkim stylisku, dwadzieścia metrów cienkiej nylonowej linki i komplet haków.

Siedział na skraju ciemnej dziury w podłodze. Zapiął pas, przymocował do niego zapaloną latarkę i butle ze sprężonym powietrzem, linę i czekan, po czym zwinął leżący obok kombinezon i wcisnął go na dno plecaka. Zapiął pasek kompasu na przegubie lewej ręki, włożył rękawice i w końcu przełożył ramiona przez uprząż plecaka. Notatnik i kask włożył do walizy, zamknąją i wrzucił do dziury pomiędzy zwisające nogi. Po kilku sekundach bagaż z grzmiotem dotarł do dna, wzbudzając lekkie echo.

Przeszedł przez krawędź szybu, szukając stopami obutymi w mokasyny szczelbi drabinki. Znalazł stopień, zacisnął dłoń na poręczy i pochylił się, oświetlając wnętrze szybu. Zadowolony, zaczął powoli i ostrożnie schodzić. Pamiętał, by nie opierać się całym ciężarem ciała na szczelblu, dopóki go nie wypróbuje. Kilka minut później dotarł do następnego pomieszczenia, identycznego jak to, które właśnie opuścił, choć bardziej wilgotnego i w znacznie gorszym stanie. Po raz drugi upuścił torbę, zszedł szybem niżej. Powietrze wyraźnie oziębiło się, ciężkie od piźmowego zapachu.

Nagle znalazł się w głównym tunelu kolektora. Był to wyłożony cegłami korytarz szeroki na co najmniej dziesięć metrów i na pięć wysoki. Zdjął stopę z ostatniego stopnia żelaznej drabinki, znalazł się na wąskim betonowym schodku i oświetlił szeroki kanał. Cienkie, miękkie stalaktyty zwisały z zaprawy cegieł w łuku sufitu, a ściany pokrywała pobłyskująca w świetle warstewka kanałowego śluzu. Rhinelandier pociągnął nosem. Dźwięk odbił się od ścian i sufitu, zaś echo zamieniło go w krótki, warczący śmiech.

Przypiął latarkę ponownie do pasa, ściągnął z ramion plecak, otworzył główną komorę i rozbebeszył zawartość, szukając pojemnika. Zerwał kapturek, wstrząsnął pojemnikiem i obok wejścia do szybu wyrysował zieloną literę X. Farba spłynęła nieco, zanim zaschła,

pozostawiając dwa błyszczące żółte zacieki, wyciekła jak krew z rany jakiegoś podziemnego stwora.

Rhinelander założył plecak i sprawdził wskazania kompasu. Obracał się dookoła, aż znalazł się twarzą na zachód - w tym samym kierunku, co niemal niewidoczny w ciemnościach rurociąg po jego prawej. Porzucił znoszoną walizę przy wejściu do szybu i zaczął się szybko posuwać środkiem przejścia. Wyliczył, że jeśli nie napotka żadnych przeszkody, to przebycie ponad kilometra do następnego punktu zajmie mu nie więcej niż piętnaście minut.

Po drodze strumień światła latarki wydobywał z ciemności ujścia drugorzędnych ścieków, ustawionych pod kątem w stosunku do głównego kanału. Wszystkie znajdowały się po drugiej stronie tunelu. Były to północne kolektory, którymi spływały labiryntem podziemnych przejść pod miastem nieczystości z Brentwood Heights i Columbia Park. Bezdeszczowa pogoda sprawiła, że większość bocznych kanałów była sucha. Z niektórych tylko sączyła się woda do głównego kolektora. Zauważył, że niektóre ujścia miały znacznie większą średnicę niż pozostałe i były wyposażone w małe tamy i zrównoważone bramy, które miały przepuszczać jedynie naprawdę wysoką wodę. Zabójca, odsuwając myśl o groteskowych okolicznościach swej misji, z podziwem patrzył na genialne dzieło inżynierii, wykorzystujące do działania jedynie siłę grawitacji.

Po dwudziestu minutach znalazł się w pomieszczeniu wysokim na co najmniej dziesięć metrów i pełnym podpór, kolumn i pokrzyżowanych zapór. Woda była tu głębsza, a gęsty płyn przelewał się przez szerokie korony zapór. Wodospady z wyżej położonych kanałów spływały do centralnego zbiornika. Po obu stronach pomieszczenia było widać ujścia dziewięciu kanałów, położone na różnych wysokościach i kierujące się w różne strony. Oprócz ostrego światła jego latarki, było zupełnie ciemno. Powietrze cuchnęło stęchlizną;

smród zatykał nozdrza mężczyzny i powodował rozstrój żołądka...

Wstrzymał oddech, ponownie spojrzął na ręczny kompas i obrócił się za igłą magnetyczną na północ. Droga wzdłuż rury zaprowadziła go w miejsce niemal dokładnie pod Ellipse. Według jego informacji, piwnice z ogrzewaniem i wodą do klimatyzacji, pod północną częścią Białego Domu, były w odległości dokładnie osiemset pięćdziesiąt cztery i siedemdziesiątych metra.

Po drugiej stronie dostrzegł trzy ujścia kanałów burzowych wysokości dorosłego człowieka. Jedno skręcało na północny zachód, inne - na północny wschód. Środkowy kanał biegł w kierunku północnym z odchyleniem zaledwie dwóch stopni na wschód. Miał szczęście - wszystkie trzy kanary były kompletnie suche.

Zabójca ruszył śliskim chodnikiem, podpierając się dłonią w rękawiczce o nachyloną ścianę. Dotarł do głównej zapory ustawionej w poprzek kanału i ostrożnie jej dotknął wyciągniętymi ramionami. Po jego prawej znajdował się niski tunel odpływowy, który był jego celem. Sześć metrów niżej na końcu zapory ukształtowanej w formie klina znajdował się dolny kolektor. Jego dno pokryte było błotnistą breją, poznaczoną drobnymi smugami wody.

Za nim, metr ponad koroną wału, znajdował się przepływ przelewowy. W ekstremalnych warunkach, gdy ilość napływającej wody przekraczała zaplanowany poziom, nadmiar przelewał się i był kierowany do kanału w północnej części basenu pływowego, znajdującego się dokładnie pod pomnikiem Johna Paula Jonesa.

Przeszedł wzdłuż zapory do jej drugiego końca i wspiał się po krótkiej, zardzewiałej żelaznej drabince do przejścia znajdującego się po północnej stronie. Z bólem ramion dotarł w końcu do ujścia środkowego tunelu. Przykucnął na chwilę. Czekał, aż uspokoi mu się oddech, po czym i wstał, schylając głowę pod niskim, wysklepionym sufitem. Promień latarki migał na ociekających wilgocią ścianach tunelu. Skulony ruszył szybkim krokiem.



Przemoczone buty wydawały chlupiące dźwięki.

Po półgodzinie zatrzymał się i opadł na kolana. Rozmasował bolące mięśnie karku i ramion. Liczył kroki przebyte od wejścia do tunelu. Przeszedł prawie osiemset metrów. Wziął kilka głębokich wdechów z butli ze sprężonym powietrzem, po czym poszedł dalej brejowatą nawierzchnią korytarza.

Ocena odległości była bliska prawdy. Sto metrów dalej ujrzał plamę na lewej ścianie tunelu - szarą, pokruszoną powierzchnię pięćdziesięcioletniego betonu, w której widać było porzewiały szkielec zbrojenia. Był to pierwszy dowód, że znajduje się blisko celu. Pośrodku pokruszonej powierzchni ściany tkwił otwarty koniec rury o średnicy dwudziestu pięciu centymetrów. Podczas renowacji Białego Domu, za czasów Trumana, oprócz przebudowy wnętrza i rozbudowy dwóch poziomów piwnic, wymieniono również całą kanalizację i elektrykę. Stercząca w ścianie rura w kanale burzowym pochodziła najwyraźniej z tego okresu. Dziesięć metrów dalej promień latarki natrafił na drugi i dużo ważniejszy dowód. Jakiś czas temu łukowe sklepienie sufitu tunelu zaczęło się walić. Wszędzie walały się porozbijane cegły i kawałki zaprawy. Jasne światło latarki Rhinelandera'a wydobyło z ciemności ziejącą w górze dziurę i dwumetrowy kawałek żeliwnej rury o średnicy dwudziestu centymetrów, odgałęziającej się od głównej rury z elektrociepłowni. Mniejsza rura biegła w poprzek tunelu. Obliczył, że znajduje się przy północnym krańcu piwnic z kolektorami centralnego ogrzewania i klimatyzacji. Jediną niewiadomą pozostawała teraz odległość. Jak daleko było z tunelu do piwnic?

Zgodnie z oryginalnym planem budowy Białego Domu, umieszczonym w archiwach federalnych pod numerem pierwszym, tunel oznaczony na schemacie jako jeden z niezliczonych dopływów Tiber Creek, biegł w odległości dwudziestu metrów od południowo-wschodniego rogu budynku. Ujęcie wody pitnej mieszkańców rezydencji prezydenta

stanowiła studnia wykopana w piwnicy w południowo-wschodnim rogu gmachu. Strumień używany był jako ściek i kanalizacja. Zbudowano też odpowiedni kanał, aby usprawnić odpływ wody burzowej.

Pierwsze piwnice pod północnym portykiem wykopano za czasów Teodora Roosevelta, gdy w budynku zaczynało brakować powierzchni gospodarczych. W tamtych latach piwnic używano jako magazynów do składowania prezydenckich mebli, porcelany i ton prezentów od oficjalnych gości. Podczas generalnej przebudowy za czasów Trumana wszystko, co znajdowało się w piwnicach, zostało usunięte i dwa podziemne piętra zostały rozbudowane. Dzięki temu pomieściły teraz również nowoczesny system centralnego ogrzewania i klimatyzacji.

W „First Lady” i innych biografiach ludzi zamieszkujących kiedyś Biały Dom Rhineland wyczytał, że wybudowane za prezydentury Roosevelta piwnice sięgały trzy metry poza linię portyku i pięć metrów w bok z każdej strony. Dom miał mniej więcej dwadzieścia na trzydzieści pięć metrów. Na podstawie wymiarów samego portyku obliczył, że ściana piwnicy musiała wówczas znajdować się w takim razie w odległości sześciu metrów od kanału. Rozbudowa dokonana za czasów Trumana musiała jeszcze zmniejszyć tę odległość.

Rhineland zdawał sobie sprawę, że istniał tylko jeden sposób, by wyznaczyć miejsce, w którym się znajdował. Zrzucił plecak z ramion, rozpiął boczną kieszeń i wyciągnął mały czekan. Wybrał miejsce, gdzie zaprawa pomiędzy cegłami była spękana, i wziął się do roboty.

Wieczorem nad wzgórzami łańcucha Apalachów zaczęły rozbudowywać się ciemne chmury burzowe, zasłaniając gwiazdy od Charlottesville w Wirginii po Harrisburg w Pensylwanii. Toczący się, poznaczony błyskawicami front mógł nadejść w każdej chwili.

Masa chmur zesłała w końcu w trójkątną nizinę Dystryktu Kolumbii i zaczęła padać deszcz.

Wielkie tłuste krople poczęły uderzać w dachy i okna domów w Randolph Hills, Springbrook i Calverton. W ciągu dziesięciu minut nastąpiło oberwanie chmury. Tonem spadającej wody towarzyszyły grzmoty piorunów i oślepiające światła błyskawic.

Waszyngtończycy od ponad trzech tygodni dusili się w upale. Ziemia była sucha i chłonna. Zbiorniki McMillan i Georgetown miały niski poziom wody, a zwykle energiczny nurt Rock Creek miał prędkość niższą o połowę. Sto tysięcy wysuszonych trawników w hrabstwie Montgomery korzystało z deszczu idącego w stronę Chesapeake. Wszystkie podmiejskie ścieki zamieniły się w spienione, wartkie strumienie.

W ciągu kilku minut woda dotarła do Seminary Road i przelała się poprzez postawione w kolektorach zapory, po czym zaczęła wypełniać kanały burzowe, niosąc przy okazji tony śmieci: potłuczone butelki, puszkę i inne odpadki. Następnie wypełniła drugorzędne tunele i z furją popłynęła głównymi kanałami burzowymi, rozlewając się pod całym miastem. Ulewa w kilka minut zalała cały podwody labirynt.

Eric Rhinelandier już od półtorej godziny pracował w kanale burzowym. Wtedy dopiero zwrócił uwagę, że coś jest nie tak. Do tego czasu wykuł w ceglanej ścianie tunelu kwadrat o boku jednego metra i wgryzł się w głąb twardej gliniastej gleby na głębokość ponad pół metra. Nie dotarł jednak do ściany piwnicy.

Wyrzucił za siebie kolejny ładunek ziemi na już częściowo zablokowane przejście, zrobił przerwę i spojrzał na północny koniec tunelu. Minęło kilka sekund, zanim pojął, co przyciągnęło jego uwagę, ale w końcu zrozumiał: cuchnące, zatęchłe powietrze zaczęło się poruszać. Wyraźnie czuł przeciąg na policzku. Zesztywniał cały i zaczął nasłuchiwać. Odgłos był słaby i odległy, ale natychmiast wiedział, co to takiego: była to płynąca z wielką prędkością woda: wodospad Niagara, którego huk łagodziła duża jeszcze odległość.

Zareagował natychmiast: chwycił plecak i nałożył go na ramiona, przeskoczył rumowisko gruzu oraz ziemi i biegnąc pochylony tunelem, odpiął od pasa jedną z butli ze sprężonym powietrzem. Dokładnie wiedział, co się stało i klął w duchu, że nie sprawdził wcześniej prognozy pogody.

Woda dosięgła go, gdy był o trzysta metrów od głównego pomieszczenia kolektora.

Trzymał w zębach ustnik i ścisnął butlę z powietrzem. Zwinął się cały w kulę, osłaniając twarz wolną ręką. W jednej chwili został porwany potężnym prądem, który poniósł go dalej. Instynkt płetwonurka nakazywał mu trzymać się pośrodku nurtu, ale i tak mimo to obijał się o ściany tunelu. Jediną ochronę stanowił plecak i cienki kombinezon z lycry.

Czterdzieści sekund później potężny nurt zaniósł go do kolektora pod Constitution Avenue i wyrzucił do cuchnącego basenu u podnóża zapory.

Przez jedną straszliwą sekundę mężczyzna bał się, że został uwięziony w bagnistej brei, z której nie uda mu się wydostać o własnych siłach. Jednak błyskawiczny przybór spienionej wody wyniósł go w górę. Udało mu się wyrwać oblaną gumą latarkę z mocowania przy pasie i bardzo wolno przedrzeć na drugą stronę tunelu, gdzie znajdowała się przymocowana do cegieł zardzewiała drabinka.

W momencie gdy już znalazł się wyżej, ponad poziomem wody, opadł na kolana, drżał na całym ciele. Krwawił z kilkunastu ran, a strój do nurkowania został podarty na strzępy. Wiedział jednak, że ma szczęście, że żyje. Zmusił się, by wstać i rozejrzeć po kolektorze. Stwierdził, że zbiornik za tamą szybko napełniał się wodą, zaś wschodni kanał, kilka godzin wcześniej zupełnie suchy, teraz był napełniony niemal do poziomu tamy.

Prognozował, że w kilka minut woda przedrze się przez koronę zapory i błyskawicznie zatopi niższy kolektor.

Szybko zdał sobie sprawę z tego, że ucieczka drogą, którą tu przybył, nie ma szans

powodzenia. Dolny tunel był jeszcze bardziej niebezpieczny - szczególnie, wtedy jeśli woda będzie nadal przybierać. Jediną szansę na przeżycie stanowił tunel przelewowy prowadzący do basenu pływowego. Nie tracił czasu. Poszedł z trudem w kierunku zapory i dotarł do ujścia południowego korytarza. Miał on owalny przekrój jak kanał północny, ale był szerszy i wystarczająco wysoki, tak, że można było się bez trudu wyprostować. Ponieważ tunel ten był tylko awaryjnym przelewem, jego nawierzchnia pozostała sucha i czysta.

Biegł korytarzem, nasłuchując jakichkolwiek oznak zbliżającej się fali. W dwadzieścia minut później dotarł do wylotu tunelu. Tak jak się tego spodziewał, na ostatnich kilku metrach tunel zbiegał ostro w dół do zbiornika oleistej, spokojnej wody. Jego wylot znajdował się pod powierzchnią i najpewniej zamknięty był kratą z powodów bezpieczeństwa.

Po pięciu minutach odpoczynku włożył maskę, wkręcił drugą butlę i zanurzył się w wodzie, przyświecając sobie latarką drogę. Oddychał głęboko i nie zwracał uwagi na rosnący ból z poranionych rąk i nóg. Dotarł wrzeczcie do wylotu tunelu. Jedynym śladem po kracie zagrządzającej dostęp do kanału były zardzewiałe szczątki skobla. Przepłynął przez otwór wielkiej rury i w kilka sekund znalazł się na powierzchni zbiornika, gdzie zdarł maskę i wystawił twarz na deszcz.

Przez chwilę pluskał się w wodzie, wielkimi haustami łykając cudownie świeże powietrze, po czym przepłynął kilka metrów i znalazł się przy wyłożonym płytami brzegu. Brzegi basenu były opustoszałe, co nie było dziwne ze względu na pogodę i późną godzinę. Podciągnął się, wdrapał na górę i znalazł się w alejce biegnącej wzdłuż nabrzeża. Następnie wślizgnął się pod przeszło mostu East Basin. Trząśnięcie na całym ciele. Szybko pozbył się resztek stroju pływaka i założył kombinezon roboczy.

Włożył do plecaka pas, latarkę i strzępy licry, obciążył ładunek kilkoma kawałkami

pokruszonego betonu i wrzucił do wody. Nawet w kombinie, w którego kieszeni znajdował się dobrze zabezpieczony portfel z dowodem osobistym, trudno byłoby mu wytłumaczyć, co robi przed świtem w deszczu nad wodą. Jeśli jednak gliniarz zatrzyma go z plecakiem, jakiegokolwiek tłumaczenia na nic by się zdały. A i tak w plecaku nie było nic, czego nie zdołałby odkupić.

Pół godziny później znalazł minivana, przebrał się w suche rzeczy i pojechał na podziemny parking hotelu „Holiday Inn”. Po dziesięciu minutach znalazł się pod prysznicem apartamentu John Grey w Wyoming. Była godzina piąta nad ranem.

Jak przystało na zawodowego mordercę, zmył z siebie pot i kurz nocnej pracy.

Tymczasem głęboko w przesiąkniętej wodą ziemi pod Białym Domem zachodziły niewidoczne dla nikogo procesy. Chociaż Rhineland nie wierzył w hit szczęścia, los czy przypadek, to na pewno dostrzeże ironię tego faktu.

Potężny nurt płynący wąskim kanałem burzowym wypychał wszystko, co znalazło się na jego drodze, również cegły wykute przez Rhinelandera. Prąd zaczął wymywać odsłoniętą ziemię, co spowodowało zawalenie się korytarza na odcinku pięciu metrów - w tym również sufitu. O świcie, gdy deszcz już przeszedł i opadła woda, okazało się, że powstał nowy loch, szeroki na ponad sześć metrów. W południowo-wschodnim rogu nowo powstałego, nisko sklepionego pomieszczenia widać było strukturę wykonaną przez człowieka. Była to ściana piwnicy północnego portyku.

## Rozdział 18

Dmitrij Trawkin wyłączył magnetowid i wyciągnął się wygodnie w głębokim fotelu. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin trzykrotnie obejrzał filmy z Eddiem Murphym i miał już dosyć oglądania. Widział też Good Morning Vietnam, Robin Williams Live, Howie Mandel s Hawaiian Special i jednaście odcinków Fawłty Towers. Początkowo

zainteresowała go specyficzna metoda zmiękczenia więźniów, ale teraz był już tym wszystkim znudzony. Męczyły go też monotonne zestawy obiadowe składające się wyłącznie z pizzy albo pieczonych kurczaków oraz cukierkowy wystrój jego dwupokojowego apartamentu w hotelu „Holiday Inn”.

Prostokątny pokój dzienny wyłożony był grubą wykładziną dywanową w kolorze kremowym - stał tu owalny stół, cztery chromowo-plastikowe krzesła, sofa, ława z wyściełanymi fotelami i „kącik RTV”: telewizor, magnetowid i radiomagnetofon. Za przesuwanymi szklanymi drzwiami znajdował się wąski balkonik. Drzwi do niego były zamknięte na klucz. W ciągu dnia Trawkin oglądał tylko gęste korony kilku drzew wystających ponad cedrową poręcz balkonu.

Sypialnia była równie sterylna: podwójne łóżko, ciemnoniebieskie lampki w kształcie wazy po obu jego stronach, komoda z szufladami i wielka, pusta garderoba z oszklonymi drzwiami, ustawionymi pod takim kątem tak, by człowiek leżący na łóżku nie widział swego odbicia. Była też wielka łazienka bez okna z jacuzzi. Trawkin poszedł do łazienki i spryskał twarz zimną wodą. Osuszył ją małym, włochatym i bardzo różowym ręcznikiem. Bez wątpienia te krótkie chwile w łazience stanowiły najbardziej interesujące wydarzenia tego dnia - pomyślał.

Westchnął i rzucił się na łóżko, układając głowę na dłoniach. Porywacze zabrali mu zegarek, ale po kolorze nieba widocznego za balkonowymi drzwiami oszacował, że był wczesny wieczór. Teraz czekała go wielka niewiadoma: pizza czy kurczak? Posiłek przyniesie nawiedzony, małomówny rudzielec o niemal niewidocznych brwiach. Otworzy drzwi i wejdzie do pokoju z tacą nakrytą serwetką.

Postawi ją na stole w pokoju dziennym, pośle mu przelotny uśmiech i rzuci tajemnicze spojrzenie w kierunku tacy. Zdawał sobie sprawę, że to tylko psychologiczna zagrywka, ale

za każdym razem dał się na to nabrać. Rudy wychodził, Trawkin z niepewnością unosił serwetę, zastanawiał się, czy tym razem na talerzu znajdzie obiad, czy też stado pajaków.

Trawkin patrzył w sufit i zaczął głośno naśladować uzbeckiego komedianta parodiującego W.C. Fieldsa.

- Towarzyszu Dmitriju, coraz głębiej włączysz w szambo. - Dowcip nie wywołałby śmiechu w sali posiedzeń w Moskwie, ale w tych okolicznościach nie potrafił wymyślić nic lepszego.

- Szczerze, przyjaciele, wolałbym teraz być w Nowosybirsku. - Lepiej, ale wciąż mało dowcipne.

Nie pamiętał swojego porwania: kojarzył jedynie oślepiające światła, gaz łzawiący, mówiące po niemiecku i zduszone pod gumowymi maskami głosy. Przypomniawszy sobie, że zanim stracił przytomność, rozmyślał, czy Niemcy zostali wynajęci przez Gurenkę. Ale teraz nie był już tego taki pewien. Gurenko nie dostarczyłby mu kaset z komediami, a apartament - był zbyt dekadentcki jak na salę przesłuchań KGB. Odbicie przez Gurenkę wyglądałoby inaczej: najpierw nafaszerowałiby go narkotykami, potem w kufrze poleciałby pierwszym samolotem do Moskwy.

Usłyszał lekkie pukanie do drzwi i opuścił nogi na podłogę. Zdziwił się. Rudy nigdy nie pukał, a drzwi i tak zawsze były zamknięte na klucz. Wstał i poszedł do pokoju dziennego. Pukanie powtórzyło się, tym razem głośniejsze. Podeszedł do drzwi spróbował przekręcić klamkę. Drzwi się otworzyły.

Na zewnątrz stał bardzo przystojny, czarnowłosa mężczyzna o siwiejących skroniach i twardym, nieprzystępnym spojrzeniu. Miał na sobie wymięty niebieski garnitur, białoniebieską koszulę i granatowy krawat oraz tanie zdeптane mokasyny. Mężczyzna wyglądał, tak jakby nie golił się i nie spał przez ostatnie trzy doby. Trawkin natychmiast go



rozpoznał: był to Stephen Stone, jego odpowiednik w Rednet.

- Panie Stone odezwał się Trawkin. Łamigłówa okazała się prosta. Usunął się na bok, wpuszczając zmęczonego agenta do pokoju. Zamknął drzwi i gestem zaprosił go, by usiadł w fotelu.

- Proszę usiąść - dopowiedział. Funkcjonariusz FBI skinął głową i opadł na miękki mebel. Trawkin usiadł na sofie i z drewnianej skrzyneczki stojącej na ławie wyjął papierosa. Przypalił go i rozparł się wygodnie, spoglądając na Stone'a z nieukrywaną ciekawością.

- Wierzę, że był pan dobrze traktowany, majorze Trawkin? - zapytał Stone. Mówił po rosyjsku sztywno i z wyraźnym trudem.

- Całkiem dobrze - odparł Trawkin. Uśmiechnął się. - Proszę mówić po angielsku. Zna pan rosyjski całkiem nieźle, ale od pana akcentu wypadają zęby.

- Przepraszam - powiedział Stone.

- Doceniam pana wysiłki - odparł Trawkin. - Dziękuję.

Obaj mężczyźni siedzieli i przez dłuższą chwilę nie odzywali się. Obserwowali się nawzajem. Który z nich wykona pierwszy ruch? Bawili się razem w szpiegów przez ostatnie półtora roku, ale takie spotkanie twarzą w twarz, szczególnie w takich okolicznościach, było czymś zupełnie nowym. Trawkin i Stone mogli wiele wygrać i na pewno żaden z nich nie oddałby niczego za darmo. W końcu Trawkin przerwał milczenie.

Domyślałem się, że to pan wyrwał mnie z żarłocznych szczęk Agencji. Wielkie dzięki.

- Proszę mi nie dziękować, majorze. Teraz, kiedy już pana złapałem, nie bardzo wiem, co powinienem z panem zrobić.

- Niech mi pan mówi Dmitrij - oznajmił Trawkin.

- W porządku, Dmitrij. Mam na imię Stephen. - Urzędnik FBI zawahał się i wyjął papierosa z pudełka na ławie. Były to chesterfieldy bez filtra; jeden papieros zawierał tyle

nikotyny i smoły, co cała paczka camel lights. Stone przypalił i zaciągnął się z lubością.

- Mam pytanie - odezwał się Rosjanin.

Stone skinął głową.

- Strzelaj.

- Wyrwałeś mnie Agencji. Dlaczego?

- Porwanie jest przestępstwem federalnym - odparł bez zająknięcia Stone. I podlega pod zadania FBI.

- Proszę - powiedział Trawkin, przybierając zboląły wyraz twarzy.

- Dobra odparł Stone zmęczonym głosem. - Po pierwsze, to co zrobiła CIA, było nielegalne. Porwanie jest ścigane jako zbrodnia, a poza tym CIA nie ma prawa prowadzić operacji na terenie kraju. Pętali się po moim terytorium. Zresztą, chciałbym wiedzieć, po co w ogóle cię porywali.

- Z całą pewnością było to naruszenie protokołu - zgodził się Trawkin. Czy wyobrażasz sobie, co by było, gdybyśmy bez przyczyny zaczęli robić na siebie zasadzki na ulicach?

- Po co więc podjęli ryzyko? - zapytał Stone. - Co takiego wiesz, że skłoniło ich to do takiego ruchu?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. - Trawkin wzruszył ramionami.

- Bzdura - odparł Stone. - Musisz coś o tym wiedzieć.

- Może.

- I masz zamiar zachować to dla siebie?

- Może - skinął głową Rosjanin.

- I kto tu się bawi w szpiegów? - zapytał Stone.

- Wyjaśnijmy sobie coś - powiedział Trawkin, opierając łokcie na kolanach. Możesz

mówić do mnie Dmitrij, a ja mogę nazywać cię Stephenem, ale nadal będzie nas dzielić fakt, że ty jesteś oficerem kontrwywiadowczym FBI, a ja jestem majorem GRU. Nie przeszedłem na stronę Centralnej Agencji Wywiadowczej, ani na stronę FBI. Jestem agentem obcego kraju przetrzymywanym wbrew własnej woli. - Nastąpiła chwila milczenia. Stone zgasił wypalonego do połowy papierosa i oparł się w fotelu.

- Dobra - odezwał się w końcu. - Jesteś wolny. - Funkcjonariusz FBI obejrzał się przez ramię. - Drzwi są otwarte. Możesz iść. Dam ci nawet na taksówkę. Możesz być przy Mount Alto za dwadzieścia minut. Jestem pewny, że generał Gurenko z KGB powita cię z otwartymi ramionami.

- Tuche - odpowiedział ponurym głosem Trawkin.

- Spójrz prawdzie w oczy, Dmitrij - poradził mu Stone. - Jesteś przegrany. Po tym, jak dorwał cię Cooper, Kozłow nie przyjmie cię z powrotem. Gurenki nic zaś tak nie ucieszy jak twój widok na sznurze, kołyszącym się na wietrze. Wyjdź za drzwi, a będziesz miał na głowie GRU, KGB i CIA.

- Co proponujesz? - zapytał Rosjanin.

- Współpracę.

- Z FBI?

- Ze mną. Zrobiłem to na własną rękę.

- Tak myślałem - powiedział po namyśle Trawkin. - Wyrwanie mnie z łap ludzi

Coopera nie wyglądało na operację, na którą pan Ruppelt wydałby zgodę.

- Ruppelt bałby się podetrzeć własny tyłek, jeśli nie miałby pisemnej zgody z podpisem kogoś ważniejszego.

- A więc to nie jest oficjalne przesłuchanie? - zapytał Trawkin.

- Nie - odparł Stone potrząsając głową. - Żadnych taśm i takich tam.

- To po co tu jestem? Nie podkradłeś mnie Cooperowi kierowany impulsem dobrego samarytanina.

- Barron - odezwał się Stone. - Cooper i Mallory na Barbados. Cabrera.

- Psiakrew - odezwał się Trawkin cmokając z zaskoczenia. - Śledziłeś mnie.

- Nie żartuj - roześmiał się Stone. - Stanowiłeś mój główny obiekt od ponad roku.

- Czuję się zaszczycony - skrzywił się Trawkin.

- Cabrera - powtórzył Stone.

- Czekał - powiedział Trawkin, wyciągając otwartą dłoń. - Porozmawiamy, ale pod jednym warunkiem.

Jakim warunkiem? - zapytał Stone.

Wymiana informacji. Ja współpracuję i ty także. Jedynym sposobem, żeby wrócić do łask Giennadija Kozłowa, jest wyciągnięcie z kapelusza jakiegoś dyplomatycznego królika.

Pracujemy razem. Zgoda? - Rosjanin wypuścił z ust cienką smużkę dymu.

Stone pomyślał, że chyba nie ma takiego królika na świecie, który mógłby pozwolić

Trawkinowi na powrót do łask. Stwierdził jednak, że nie powinien mu chyba teraz o tym mówić. Po odpowiednio długiej chwili skinął głową.

- Zgoda.

Prawie dwie godziny zajęło im wzajemne uzupełnienie informacji. W trakcie rozmowy przyłączył się do nich Kessler z ogromną pizzą od Armanda przy Wisconsin Avenue. Kessler notował w grubym żółtym notatniku, gdy obaj jedli i rozmawiali.

- Dobra - odezwał się rudy, siedzący z boku przy ławie. - Na razie mamy tyle. -

Teatralnie odchrząknął i spojrzał na Stone'a, a potem na Trawkina. Agent FBI zapalił papierosa; Rosjanin pociągnął łyk pepsi z puszki.

- Strzelaj - powiedział Stone. - Obaj z Dmitrijem zamieniamy się w słuch.

- Będę mówił w porządku chronologicznym. Przerwij, jeśli coś opuszczę. Odchrząknął znowu i zaczął mówić.

- Najpierw mamy telefon od Barrona. Dzwoni do Hudsona Coopera, wicedyrektora do spraw operacji Centralnej Agencji Wywiadowczej, a w chwilę później Cooper dzwoni do Hollisa Macintyre'a, szarej eminencji na Kapitolu i jeszcze dalej. Doktor Barron zażądał wcześniej z biblioteki Waltera Reeda materiałów na temat dość częstej choroby Creutzfeldta-Jacoba. Wygląda na to, że wszelkie dane o tym zamówieniu zostały wymazane. W każdym razie, kilka dni później doktor Barron kończy żywot.

- Zostaje zamordowany przerwał mu Stone. - Wyniki autopsji nie budzą wątpliwości.

Biorąc pod uwagę godzinę śmierci, zasolenie wody w jego płucach powinno mieć znacznie wyższą wartość, ponieważ wtedy był przyływ. Został utopiony, ale nastąpiło to przy niskiej wodzie. Ustalenie okoliczności zajęło lekarzowi trochę czasu.

- Dobra - przytaknął Kessler. W każdym razie... Barron zostaje zamordowany. Krótco po tym pan Cooper i jego asystent pan Paul Mallory lecą z wizytą na Barbados. Spotykają się z czarnowłosym, ciemnokim, średniego wzrostu mężczyzną, który przedstawia się jako John Duncan. Duncan pojawia się potem w Miami - przylatuje samolotem z Jamajki. Wtedy to ślad się urywa. W tym czasie dostajemy polecenie natychmiastowego zakończenia obserwacji naszego Dmitrija - każą nam odczepić się od wszystkiego, co ma z nim jakikolwiek związek. Po cichu jednak wędzimy dalej i dogrzebujemy się do Kostaryki. Wtedy: bum! Dmitrij zostaje porwany. Spędza kilka dni w Bowie i w czasie wstępnego przesłuchania pada wiele pytań dotyczących Ameryki Południowej. Do tego mamy niedopałek hiszpańskiego papierosa i numer telefonu w Kostaryce. Uwalniamy Dmitrija z łap Coopera - i to koniec naszej historii. Czy coś opuściłem?

- Jak myślisz? - zapytał Stone.

Trawkin leżał wyciągnięty na sofie z głową opartą na poduszce. Sięgnął ręką do drewnianego pudełka po papierosa. Przypalił go i dmuchnął w sufit wąską smuzkę dymu. Stone pomyślał, że oficer GRU najwyraźniej nie potrafi myśleć bez papierosa w ustach.

- Jest tu trochę dziur - odezwał się Trawkin po kilku zaciągnięciach.

- Gdzie - zapytał Kessler, chwytając za ołówek i pochylając się nad czystą kartką.

- Po pierwsze, po co Barron dzwonił do Coopera? - podsunął Rosjanin.

- Masz swojego człowieka u Waltera Reeda. Może Cooper też ma tam kogoś? - odparł Stone.

- No dobra - odezwał się Trawkin z sofy. - To po co Cooper dzwonił do Macintyre'a?

- Może to nie ma nic wspólnego - zasugerował Kessler, drapiąc się po brodzie gumowym końcem ołówka.

- Przyjmijmy, że ma to związek - powiedział Stone. Barron do Coopera, Cooper do Macintyre'a.

- Niewiele wiem o tym Macintyre'u - powiedział Trawkin.

- Szara eminencja - wyjaśnił mu Kessler. - Wsparł nominację Tuckera na prezydenta - ale nie Teresi'ego. Po inauguracji wysłali go na zieloną trawkę.

- Zapomnijmy o nim na chwilę - przerwał im Stone. - Co z Cabrera?

- To tylko podejrzenia - powiedział Trawkin spuszczać nogi na podłogę i prostując się na sofie.

- Wyjaśnij mi to - rzucił Stone.

- Dzięki panu Cooperowi i tobie miałem ostatnio dużo czasu na oglądanie sufitu - odparł oficer GRU. Im więcej na niego patrzę, tym mniej sensu widzę w tym wszystkim.

- Masz na myśli Cabrera? - zapytał Stone.

- Wszystko - odpowiedział Rosjanin. - Gdyby to była operacja KGB, to

powiedziałbym, że celowo otrzymywaliśmy błędne informacje. Przyjmujemy, że Cabrera jest w to zamieszany, ponieważ przebywał na Barbadosie, a Barron był lekarzem Morazana u Waltera Reeda.

- To ma sens wzruszył ramionami Stone. - Jeśli Morazan ma CreutzfeldtaJacoba, to CIA musi szybko pozbyć się Cabrery. W takim razie Cooper wynajmuje Duncana, by wykonał robotę.

- Możliwe - zgodził się Trawkin. - Ale co będzie, jeśli to wszystko zostało spreparowane? Taka zasłona dymna? Cooper nie jest głupi, a mimo to tak łatwo zdobyłem ten hiszpański niedopałek i kostarykański numer telefonu.

- Jedź dalej - odezwał się Stone.

- Przypuśćmy, że Cooper rozpoczął operację i że nie przewidywał w niej mojego udziału - ciągnął Rosjanin. - To mogłoby wyjaśnić moje porwanie. Podsuwa mi papierosa i numer telefonu, żebym pomyślał, że to Cabrera jest celem. A potem pozwala mi uciec.

Doskonale wie, że mogę się schronić tylko w FBI.

- Myślisz, że odbicie ciebie zostało ukartowane - zapytał Kessler.

- Zadziwiający przypadek. - Rosjanin wzruszył ramionami. - Cooper ma moje akta, zdaje sobie z tego sprawę, że byłem w Specnazie. Mimo to wysłała mnie w nocy furgonetką tylko z dwoma ludźmi. Prawdopodobnie mieli mnie zawieźć do Camp Peary na bardziej intensywne przesłuchania. Według normalnej procedury powinni wezwać helikopter, który przetransportowałby mnie bezpośrednio z ośrodka Bowie.

- On ma rację - odezwał się Kessler. - Ten lot z Beltsville jest trochę dziwny.

- Wszystko kręci się wokół Coopera - zastanowił się Stone. Odruchowo wyjął ze skrzynki kolejnego papierosa i zapalił go. - Wszystko skupia się wokół niego.

- Co znowu naprowadza nas na Barbados - powiedział Trawkin. - Jeśli przyjmujemy, że

poleciał po to, by zapewnić sobie usługi pana Duncana, to znowu postępował wbrew zwykłej procedurze.

- Innymi słowy, nie jest w zwyczaju, by wicedyrektor CIA wykonywał robotę operacyjną - podsumował Kessler.

- Od samego początku nie dawało mi to spokoju - wyrzucił z siebie Stone. Cooper nie tylko wykonuje robotę w terenie, ale wynajmuje też człowieka z zewnątrz, prawdopodobnie Jamajczyka - oczywiście jeśli można tu polegać na prawdziwości numeru lotu Duncana do Miami.

- Macie cokolwiek na temat Duncana? - zapytał Trawkin.

- Nic - odparł Stone kręcąc głową. - Pusta kartka.

- Czornyj - wyszeptał Trawkin. - Czarna fiszka.

- Co to takiego? - zapytał Kessler.

- As w rękawie - wyjaśnił Rosjanin. - Nikt nie skojarzy Duncana z Cooperem.

- A dlaczego nie wziął kogoś z Kostaryki? - spytał retorycznie Stone. - Jeśli chce zdjąć Cabrerę w taki sposób, by go z tym nie kojarzono, to byłoby to najprostsze wyjście.

- On nie używa zwykłych kanałów - odezwał się Trawkin. - I podejmuje ogromne ryzyko. To wszystko nie ma sensu.

- O czym ty mówisz? - spytał Stone.

- O tym, że rezultat nie usprawiedliwia skali ryzyka - wtrącił Kessler. - Cooper nie położyłby swej kariery pod ostrze gilotyny dla takiego Cabrery. Wzięliśmy się za rozpracowywanie śladu kostarykańskiego, ponieważ wyglądał na prawdziwy.

- Zgadza się - skinął głową Trawkin. - Przypomina to paski folii aluminiowej rzucane z samolotów dla zmylenia radarów przeciwnika.

- Dobra - odezwał się skołowany Stone. - Jeśli to nie Cabrera jest celem, to kto u licha



nim jest?

- Wszystko sprowadza się do doktora Barrona - powiedział Kessler przerzucając notatki. - Czegoś się dowiedział i ta wiedza go zabiła.

- Prawdziwym celem jest inny z jego pacjentów - podsumował Stone. - Tylko kto to jest?

- Wydaje mi się, że wiem - odpowiedział Trawkin ściszym głosem. Zgasił papierosa i spojrzał uważnie na obu funkcjonariuszy FBI.

- Celem Coopera jest prezydent Stanów Zjednoczonych.

W Georgetown, w odległości półtora kilometra od kryjówki FBI, spotykało się na prośbę Coopera czterech starszych członków komitetu Romulusa. Pierwszy zjawił się Cooper, potem przybył Hollis Macintyre, i dalej: sekretarz stanu Joseph Swanbridge oraz prokurator generalny prezydenta Tuckera Stuart Shrenk. Ten ostatni, choć dopiero niedawno mianowany, przez wiele lat pracował jako waszyngtoński adwokat. Był bliskim przyjacielem Swanbridge'a. Członkowie komitetu postanowili powiedzieć Shrenkowi wszystko o sytuacji Tuckera i wyjawić mu plan rozwiązania tego problemu. Sekretarz stanu prywatnie powiadomił prokuratora o sytuacji kilka dni temu.

Shrenk, Macintyre i Swanbridge usadowili się wygodnie w fotelach w salonie. Cooper podszedł tymczasem do stojaka na kółkach, na którym stał wielki ekran i magnetowid.

Wicedyrektor CIA wsunął do urządzenia kasetę, zgasił światło i usiadł w fotelu po lewej stronie ekranu. W kilka sekund później na kineskopie pojawiły się kolorowe pasy. Pokój wypełnił monotony szum. Hudson Cooper włączył pilotem przewijanie taśmy do przodu.

- Jest to zmontowany materiał, pochodzi z kilku źródeł - wyjaśnił Cooper. Jego głos niósł się echem po wielkim, zaciemnionym pokoju.

- Niektóre ujęcia pochodzą z kamer obserwacyjnych w Białym Domu: jadalni,

korytarzy, wind. Część jest przegrana z telewizji. Jest też materiał „zorganizowany” od Mike’a Kaufmanna.

- Faceta, który robi Tuckerowi dokumentację? - zapytał Swanbridge.

- Dokładnie - odpowiedział Cooper. Wszystkie materiały pochodzą z ostatnich dziesięciu dni.

Kolorowe pasy znikły, a na ekranie pojawiło się zrobione z wysoka ujęcie prezydenckiej jadalni. Główny stół w pomalowanej na jasnozielony kolor sali, był nakryty na dwadzieścia pięć osób. Prezydent siedział przy końcu stołu w północnej części. Kamera, umieszczona dyskretnie w północno-zachodnim rogu pod samym sufitem, ukazywała profil silnego, łysiejącego mężczyzny. Po jego prawej stronie siedziała kobieta, w wieku około pięćdziesięciu lat. Mała na sobie ciemnoniebieską wieczorową suknię. Po lewej zaś młoda dziewczyna, w wieku najwyżej dwudziestu lat. Była ładna i nieco podobna do starszej. Wyglądały na matkę i córkę. Cooper wcisnął przycisk pauzy na pilocie i obraz stanął.

- Kolacja została podana na cześć nowego kanclerza Niemiec, Johanna Schillera - wyjaśnił. - Prezydent znajduje się w środku ujęcia. Kobieta obok niego to Annalise Schiller - żona kanclerza, młodsza to Angelika Schiller - córka. Ma osiemnaście lat. Dalej widać Gail Tucker - Pierwszą Damę, a naprzeciw niej sekretarza stanu Swanbridge’a. Kanclerz siedzi przy drugim końcu stołu.

- Oni prawie nie znali angielskiego - odezwał się Swanbridge. W ciemnościach widać było tylko rozżarzony koniec jego cygara. - Cały wieczór był nudny jak cholera.

- Nie dla wszystkich - pocieszył go Cooper. - Patrzcie.

Wicedyrektor CIA włączył przycisk szybkiego przewijania taśmy na podglądzie.

Aktorzy tego filmu ożywili się jak na filmach Chaplina. Ubrani w białe marynarki kelnerzy wpadali i wypadali, głowy kiwały się w niesamowitym tempie, talerze opróżniały się w

ułamkach sekund, a kieliszki napełniały jeszcze szybciej. Cooper znowu włączył pauzę i zrobił zbliżenie. Ekran wypełnił widok prezydenckich pleców i przestrzeni pomiędzy nim a siedzącą obok młodą kobietą.

- Najnowsza japońska technologia - powiedział Cooper.

Włączył „play” i mężczyźni z rosnącą fascynacją patrzyli, jak prezydent przesuwając swoją rękę z uda na nogę córki kanclerza. Dłoń poruszała się po udzie kobiety tam i z powrotem i zatrzymała się dokładnie na jej łonie. Teraz poruszały się już tylko palce Tuckera.

- Mój Boże! - wyszeptał Shrenk z sofy. - Co on wyprawia?

- To co widać - powiedział Cooper. - To trwa jakieś dwie-trzy minuty. Potem zabiera łapę, jakby się sparzył.

- W ogóle tego nie zauważyłem - odezwał się Swanbridge.

Cooper przewinął taśmę dalej. Sceneria się zmieniła. Tym razem prezydent z żoną spacerowali zadrzewioną aleją. W tle widać było dwóch agentów Secret Service. Tucker był ubrany w niebieskie dzinsy i ciemnozielony włóczkowy sweter. Gail Tucker miała na sobie płócienną sukienkę i jasnobrązowy zamszowy żakiet. Starsze małżeństwo na wieczornym spacerze.

- To Camp David, prezydent dochodzi do zdrowia po „grypie” - mówił tymczasem Cooper. - To film z dokumentacji Kaufmanna.

W miarę, jak zbliżali się do kamery, ich sylwetki zaczęły wypełniać cały ekran.

Tucker zatrzymał się. Cooper wcisnął pauzę. Twarz prezydenta wyrażała dziecinne niemal niedowierzanie. Funkcjonariusz CIA puścił taśmę dalej. Tucker obrócił się i spojrzał na dwóch agentów Secret Service, po czym powiedział coś do żony. Ujęła go za ramię, ale opierał się, chciał iść dalej. Prezydent znowu coś powiedział i nie trzeba było umieć czytać z ruchu warg, by pojąć, że wypowiedział słowa: „pieprzona dziwka”. Wyrwał ramię z uchwytu

żony i wyszedł poza kadr. Jego twarz wyrażała złość graniczącą z furją.

- Jest z nim coraz gorzej - oznajmił Swanbridge.

- Rzeczywiście - wyszeptał Macintyre.

Oglądali jeszcze przez dwadzieścia minut różne ujęcia ukazujące pogorszenie się stanu zdrowia prezydenta. Większość epizodów na pierwszy rzut oka nie zwracała uwagi, ale jeśli skupiło się uwagę, to stawało się jasne, że stan umysłowy prezydenta jest coraz gorszy.

Cooper wyłączył magnetowid i zapalił światło, gdy film się skończył.

- Mówiąc, że chodzi o kogoś innego, uzyskałem prognozę dla mężczyzny w wieku prezydenta z chorobą Creutzfeldta-Jacoba powiedział Cooper. - Zgodnie z diagnozą, Tucker jest w zaawansowanym stadium. Jego następne faux pas może mieć fatalne skutki polityczne.

- Jego żona pewnie coś podejrzewa - stwierdził Shrenk. - Chyba nie codziennie prezydent nazywa Pierwszą Damę pieprzoną dziwką.

- Według moich informacji, ona martwi się, że mąż jest przemęczony - odparł Cooper.

- Nie sądzę, żeby coś zaczęła podejrzewać.

- A co z jego lekarzem? - zapytał Swanbridge.

- Którym? Tym z Białego Domu, czy od Waltera Reeda?

- Obydwoma - odparł sekretarz stanu.

- Na miejsce Barrona został przyjęty niejaki Egenthaler. Nie ma o niczym pojęcia. W karcie zdrowia nie ma też niczego, co mogłoby zwrócić jego uwagę. Jak wiecie, lekarzem Białego Domu jest Charlie Moorehead. Internista i stary przyjaciel rodziny. Nie rozpoznałby Creutzfeldta-Jacoba nawet, gdyby prezydent miał tę nazwę wypisaną na czole.

- Lekarz Białego Domu to przecież synekura - powiedział Macintyre. - Wszyscy to wiemy.

- Ile mamy czasu, zanim prasa zwącha, co się dzieje? - spytał Shrenk.

- To może się stać w każdej chwili - odpowiedział Cooper. Zapalił papierosa, czego prawie nigdy nie robił publicznie.
- A ta sprawa z Ruskim? - przerwał Macintyre. - Załatwiłeś to?
- Tak - Cooper skinął głową. - Odbiła go grupa Redneta, gdy Ruppelt się dowie, to na sto procent zawiesi Stone'a. Trawkin nie jest już wiarygodny u swoich. Bez ochrony Stone'a wyląduje w piachu. W każdym razie, obaj nadal grzebią się w sprawie Cabrery i nie stanowią dla nas zagrożenia.
- Mam taką nadzieję - powiedział Macintyre.
- Pytanie brzmi: co robimy dalej? - odezwał się zimno Swanbridge.
- To, co zaplanowaliśmy - odpowiedział Cooper. Nic się nie zmieniło. Szczerze mówiąc, nie mamy specjalnie wyjścia, ponieważ łączność z naszym człowiekiem jest jednostronna. Podczas ostatniego kontaktu potwierdził, że zadanie jest wykonalne. Podjąłem starania, by dostał zaliczkę.
- Będziesz jeszcze miał z nim kontakt? - zapytał Macintyre.
- Tak.
- Powinien wiedzieć, że teraz szybkość działania jest bardzo ważna - podsunął zwalisty mężczyzna w białym garniturze.
- A jeśli zażąda więcej pieniędzy? - zapytał Cooper.
- To pytanie nie ma sensu powiedział Macintyre. - Aby odebrać forszę, musiałyby być jeszcze żywy. - Obrócił się ku Shenkowi. - A co z sukcesją?
- Tak jak mówiliśmy - odparł prokurator generalny. Przewodniczący i sekretarz Senatu mają włączone do akt zaświadczenia o niezdolności do pełnienia swoich funkcji ze względu na zły stan zdrowia. Dwudziesta piąta poprawka do Konstytucji nie przewiduje jednoczesnej śmierci prezydenta, jak i wiceprezydenta, wprowadzę więc ustawę sukcesyjną z

tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Została ratyfikowana w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym, nie widzę więc żadnego problemu. Sekretarz Swanbridge może zostać od razu zaprzysiężony.

- Prezydent Swanbridge - powiedział z ledwo maskowanym podziwem w głosie czerwony już na twarzy sekretarz stanu. Wyglądało na to, że przed przyjściem na spotkanie sporo wypił. - To brzmi bardzo miło.

- Nie pozwolimy, żeby uderzyło ci to do głowy - odezwał się zimno Macintyre. - Bądź o to spokojny.

Hudson Cooper przysłuchiwał się, jak trzej mężczyźni omawiali problemy logistyczne, które mogłyby wyniknąć po zamordowaniu prezydenta. Zadziwiał go lekki, niemal konwersacyjny ton rozmowy. Czy Brutus i jego towarzysze też byli tacy spokojni na kilka dni przez Idami Marcowymi? Czy przed nieszczęsną wizytą Kennedy'ego w Dallas odbyło się podobne spotkanie najbliższych współpracowników prezydenta? W domu w Georgetown zapadały przełomowe decyzje w historii Stanów Zjednoczonych. To było chore. Wicedyrektor CIA poczuł nagle ciężar własnego życia. Kolejne lato przeżyte w świetle cieni, gdzie zaufanie oznacza zdradę, a prawda zostaje obrócona w kłamstwo.

Kiedyś - tak przynajmniej wierzyli - wywiad to była gra dla dżentelmentów, rozgrywana według dżentelmeńskich zasad. Cooperowi stanął przed oczyma brązowy pomnik Nathana Hale'a, który strzegł wejścia do kwatery CIA w Langley. Dla Allena Dullesa i szpiegowskiego establishmentu w Waszyngtonie, Hale był ideałem szpiega-dżentelmena. Brytyjczycy zaś uważali go za jeszcze jednego zdrajcę, na równi z Bluntem, Philbym, Burgessem i MacLeanem.

Dzisiaj w tym pokoju nikt nie zgłasza pretensji do honoru - pomyślał. Żaden z nas nie jest Nathanem Hale'em, żałującym, że może oddać za ojczyznę tylko jedno życie. Geoffrey

Tucker nie jest żadnym tyranem, obalonym przez ludzi, którym historia wystawi w końcu pomniki. Zastępca dyrektora Agencji popatrzył na nich po kolei. Na pewno nie byli bohaterami ani dżentelmenami i nie rozgrywali gry. Dla Coopera było to straszne. Dla tych ludzi śmierć Geoffreya Tuckera i Vincenta Teresi'ego oznaczała po prostu praktyczne wyjście z sytuacji, naprawienie politycznego błędu, zbilansowanie ksiąg. Po prostu biznes.

W Moskwie zaczynało już świtać. Pierwsze promienie słońca rzucały czerwonożłote cienie na cebulowate wieże dzwonnicy Iwana Wielkiego na Kremlu. Za placem Czerwonym, kilka przecznic na północ od ulicy Żdanowa, Siergiej Juliewicz Kuriochin przygotowywał się do codziennych zajęć.

Starszy mężczyzna niosąc poranną kawę do swego apartamentu poczuł ból w lewym ramieniu. Usiadł przy antycznym zużytym biurku i prawą dłonią rozmasował bolący staw ramieniowy. Arterioskleroza dawała mu się coraz bardziej we znaki i leczenie kortizonem nie dawało już tak dobrych efektów.

Kuriochin przypalił sobie lucky strike'a, upił łyk gorącej słodkiej kawy i z namysłem popatrzył na teczki z aktami leżące przed nim na blacie biurka. Teczki były jaskrawożółte. Na każdej znajdował się czerwony poziomy pas i odbity czarnym stemplem napis: Sowiersziennno siekrietno - absolutnie tajne. Zgodnie z prawem, teczki nigdy nie powinny były opuścić Centralnego Rejestru w Tęplym Stanie, ale stopień i władza Kuriochina dawały mu szczególne przywileje.

Do wczesnych godzin rannych pracował nad aktami, robiąc notatki. Im dłużej siedział nad teczkami, tym słabszy wydawał mu się pozostawiony ślad. Gurenko - rezydent w Waszyngtonie - już dawno ustawił swojego człowieka wśród ludzi Kozłowa z GRU. Dzięki temu kontaktowi zdobył zapis ostatnich działań Dmitrija Trawkina, w tym kopię jego komputerowych operacji. To z kolei prowadziło do Barrona, lekarza od Waltera Reeda, jego

śmierci i dalszej pracy Trawkina nad tymi sprawami.

Początkowo Kuriochin przyjął za prawdziwy scenariusz z Kostarykańczykiem

Cabrerą i szefem policji Morazanem. Im bardziej jednak sprawdzał możliwość, że Morazan mógłby być chory, tym bardziej było to nieprawdopodobne. Starszy oficer wywiadu zawierzył swemu instynktowi i dziwnej informacji od „Osina”, zaczął podążać w zupełnie innym kierunku.

Zaintrygował go telefon Hudsona Coopera do Hollisa Macintyre’a i dziwna wizyta wicedyrektora CIA na Barbados. Zażądał - i natychmiast otrzymał - raporty Gurenki na temat węzowych ruchów Coopera w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Ludzie jego pokroju są poddawani nieustannej inwigilacji. Śledzenie go nie było zresztą specjalnie trudne. Na uwagę zasługiwał fakt, że w raportach zaczęły pojawiać się nazwiska Hollisa Macintyre’a i Josepha Swanbridge’a, a w ostatnich kilku dniach - również prokuratora generalnego Stuarta Shrenka. Spotkania Coopera, Swanbridge’a i Macintyre’a miały miejsce w domku wiejskim Macintyre’a oraz w małym domu przy Cherry Hill Lane w Georgetown. Właścicielem budynku była firma Delaware Real Estate Holdings Ltd, która okazała się być spółką należącą do CIA. Innymi słowy, dom przy Cherry Hill Lane był kryjówką Agencji i.

Według informacji zebranych na podstawie piętnastu milionów akt znajdujących się w Centralnym Rejestrze KGB, Macintyre był szarą eminencją każdej administracji od czasów Roosevelta. Na pewno był kiedyś wszechpotężny. Teraz jednak znajdował się na emeryturze i nie miał żadnych powiązań poza towarzyskimi z Josephem Swanbridge’em i Stuartem Shrenkiem. Na pewno też nie miał żadnych punktów wspólnych z Hudsonem Cooperem. Istniały także nie potwierdzone informacje, że w jednym z pierwszych spotkań przy Cherry Hill Lane uczestniczyli zastępca szefa Kolegium Szefów Sztabu oraz sekretarz skarbu. Kuriochin przymknął powieki. Smużka dymu z krótkiego już papierosa przedostała się



do oczu. Ze zmarszczoną miną zaczął przerzucać kartki żółtego notatnika. Spisek w łonie waszyngtońskiej elity, zakup klejnotów o wartości kilku milionów dolarów - najprawdopodobniej w celu opłacenia jakiejś tajnej operacji, niezwykła wizyta Coopera na Karaibach - to na pewno nie dla Cabrery czy Morazana. Gdyby któryś z nich był celem, to Shrenk i Swanbridge próbowaliby dystansować się od tej akcji, zamiast ją współorganizować. Starszy mężczyzna uczył kolejną falę bólu w ramieniu i aż jęknął. Może powinien pójść na basen przy ulicy Volczonka albo do łaźni parowej, zamiast do biura. Ogromny kompleks sportowy przy nabrzeżu Kropotkina był oddalony tylko o kilka stacji metra. Jeśli pójdzie do łaźni, to i tak powinien zdążyć do pracy przed swymi kolegami. Zgasił papierosa i wstał od biurka. Dosyć na dzisiaj.

Ból był nie do zniesienia - czegoś takiego nigdy jeszcze nie przeżył. Jednak ostre szpony żarłocznego drapieżnego ptaszyska rozdzierały mu pierś. Zdał sobie sprawę, co się z nim dzieje - serce go w końcu zawiodło. Biło coraz słabiej i pompowało coraz mniej krwi.

- Ja umiraju - wyszeptał zadziwiony prostą prawdą swego stwierdzenia.

- Umieram. - Odwrócił się i zrobił jeden chwiejny krok w kierunku oszklonego kredensu na końcu pokoju. Oczy utkwił na dolnej półce mebla, na której była ustawiona mała, jaskrawo pomalowana lalka matrioszka. Na pewno ją znajdą, ale czy dostrzegą? Czy będą wiedzieli, co znaleźli? Dobra zagadka na koniec życia. Uśmiechnął się pomimo straszliwego bólu. Uśmiech natychmiast zamarł mu na ustach i krew odpłynęła z jego twarzy.

- Mat'! - wyszeptał. Znowu był dzieckiem, Siergiejem Juliewiczem Kuriochinem, synem Zinaidy Kuriochinej. Odetchnął rozpaczliwie, usiłując zaczerpnąć powietrza i skonał. Stephen Stone, wyczerpany i całkowicie wykończony przesłuchiwaniami Trawkina, zszedł do krótkiego, ciemnego hallu i skierował się w stronę South Capitol Street, do mieszkania jego byłej żony. Wiedział, że Debbie wróci z Paryża dopiero następnego dnia. On

natomiast nie był w stanie znieść myśli o powrocie do swego kawalerskiego, nieklimatyzowanego mieszkania. Wnioski, do jakich doszli w kryjówce przy Rock Creek, były ogłuszające. Nawet lekki ślad obecności Debbie w pustych pokojach był lepszy od całkowitej samotności.

Apartament zajmował parter wyremontowanej kamienicy wybudowanej zaraz za Rayburn Building, na północ od torów Conrail. Było to staroświeckie, wysokie mieszkanie w kolejowym bloku. Przedpokój przechodził w długi korytarz, w którym drzwi do wszystkich pokoi znajdowały się po prawej stronie. Okna salonu i jadalni wychodziły na ulicę, a łazienki, kuchni i sypialni - na wąskie przejście pomiędzy domem Debbie i sąsiednim budynkiem. Tylne drzwi na końcu korytarza przy wejściu do łazienki prowadziły do maleńkiego ogródka na tyłach domu.

Gdyby ktoś nie znał Debory Stone i przeczytał jej życiorys z dużym dorobkiem naukowym z języków europejskich i historii, mógłby spodziewać się, że jej mieszkanie będzie zastawione ciemnymi, ciężkimi meblami i dywanami w zimnych kolorach. Na ścianach będą wisały reprodukcje polskich obrazów przedstawiające sceny z polowania. W rzeczywistości mieszkaniu na pewno wiele można było zarzucić, ale nie to, że jest ciemne i zimne.

Stephen wiedział, że Debora chciała rozdzielić życie prywatne od zawodowego. Całe mieszkanie więc było urządzone w stylu art deco. W salonie stały fotele Frankla w stylu chińskim, komoda z hebanu łączonego z marmurem oraz zaokrąglony barek z wystawy paryskiej z tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku, inkrustowany kością słoniową i intarsjowany motywami roślinnymi. Jadalnia wypełniona była meblami, które sprawiały wrażenie, jakby zostały wyniesione z liniowca pasażerskiego z lat dwudziestych. Wszędzie stało szkło z wrytym napisem: „Fauere”.

Stone nie zwracając na to wszystko uwagi, przeszedł przez korytarz do łazienki, rozebrał się i wszedł pod prysznic. Pozwalał, by woda opływała mu twarz i ciało, z nadzieją, że może zmyje z niego wszystkie kłopoty.

Nawet jeśli Trawkin się mylił, to funkcjonariusz FBI wiedział, że ma dostatecznie dużo poszlak, by zacząć działać. Wynajęcie przez Coopera zabójcy było w jawnej sprzeczności z wydaną przez prezydenta dyrektywą - niezależnie od tego, kto stanowił cel. Powinien zawiadomić przynajmniej Secret Service, by mogli rozpocząć śledztwo. Wyglądało na to, że spisek jest niezwykle rozgałęziony.

Cooper niemal na sto procent działał poza normalnymi kanałami CIA. Trawkin miał rację: wyrwanie go przez grupę FBI z rąk CIA było równie bezprawne i nie można było wykorzystać żadnych informacji zdobytych tą drogą. Gdyby poszedł z tym do Ruppelta, dyrektor musiałby go zawiesić, a Trawkina zwrócić Cooperowi. Obiektywnie patrząc, Stone zostałby uznany za sfrustrowanego agenta FBI, z sowieckim agentem jak jedynym potwierdzeniem całej historyjki. Nawet „Washington Post” nie opublikowałby tak fantazyjnej teorii spiskowej, jak ta, którą odkryli razem z Trawkinem.

Stone wyszedł z kabiny prysznicowej, wytarł się pobieżnie i owinał w talii ręcznikiem. Stał przed lustrem umocowanym do drzwi apteczki, wytarł zaparowaną szybę i spojrzał na swoje odbicie. Kogo chciał oszukać? Nieważne było, czy w to wierzy. Jeśli Trawkin ma rację i Cooper zamierzał zabić prezydenta Stanów Zjednoczonych, to wicedyrektor CIA zrobi wszystko, by utrzymać swą operację w tajemnicy. Nie cofnie się przed niczym, a już na pewno nie przed morderstwem.

Zastanawiał się nad tym wychodząc z łazienki i człapiąc bosymi stopami. Z ubraniem w ręku skierował się do sypialni. W progu stanął jak wryty i otworzył szeroko usta ze zdumienia. Debbie - jego była żona - siedziała na brzegu łóżka i zdejmowała rajstopy. Na

podłódze leżała czarna płócienna torba podróżna.

- Dobrze ci było pod prysznicem? - zapytała uśmiechnięta.

Stojąc w progu, skinął głową. Był zakłopotany intymnością chwili: on tylko owinięty ręcznikiem, ona miała rajstopy ściągnięte do kostek. Ze zdziwieniem stwierdził, że jest podniecony.

- Taaa, dzięki - wymamrotał. Była piękna w dziwny i prosty sposób. Niemal jego wzrostu, miała nogi modelki, a jej piersi były wielkie i pełne. Włosy, długie do ramion<sup>4</sup> okalały szeroką, inteligentną twarz. Kiedyś miały kasztanowy kolor, ale teraz widać w nich było siwe kosmyki, których wcale nie ukrywała.

- Złapałam wieczorny lot z Paryża - wyjaśniła ziewając. Wstała i ściągnęła przez głowę ciemnozieloną sukienkę. Pod spodem miała niemal przejrzysty kremowy biustonosz i majtki. Bielizna była, podobnie jak meble w jej mieszkaniu, w stylu art deco. Biustonosz obramowany był delikatną koronką, a w przedniej części majtek widniało wycięcie ukazujące ciemną masę włosów łonowych.

- Co ty tu właściwie robisz? - zapytała rozpinając biustonosz. Zwinęła materiał i wrzuciła go do torby.

- Musiałem z kimś porozmawiać odparł. - Zdawałem sobie sprawę, że cię nie będzie, ale... - Zawiesił głos, bo nie wiedział, jak to jej wyjaśnić. Starał się omijać wzrokiem jej piersi.

- Jesteś pewny, że przyszedłeś tylko porozmawiać? - zapytała, wskazując na ręcznik obwiązany dookoła jego bioder.

- Mam taki nawyk - powiedział uśmiechając się lekko.

Daj tu ten nawyk - zaśmiała się.

Przeszedł przez pokój i stanął przed nią.

- Słuchaj - odezwał się w końcu. - Musisz być wykończona. Zaraz się ubiorę i

będziesz mogła spokojnie odpocząć.

Debbie pokręciła głową i otuliła rękoma jego kark.

- Cieszę się, że cię tu widzę - powiedziała cicho. - To miła niespodzianka, nawet jeśli

wpadłeś tu przypadkowo. - Pochyliła się lekko do przodu, wzięła jego dolną wargę do ust i

zaczęła ją delikatnie ssać.

- Nie jesteśmy już małżeństwem, ale rzecz nie polega na wspólnym mieszkaniu. -

Opuściła jedną rękę i wsunęła ją pod ręcznik. Zamknął oczy, czując ciepło jej palców. Zamiast

jednak podniecić się jeszcze bardziej, ujrzał w wyobraźni film Zaprudera o zabójstwie

Kennedy'ego. Klatka po klatce widział, jak na pokrywie bagażnika lincolna rozpryskuje się

mózg prezydenta.

- Przepraszam powiedział otwierając oczy.

Wyglądała na przejętą.

- Jakiś problem?

- Nie mogę o tym mówić - westchnął.

- Nie bądź śmieszny - odparła. - Jestem twoją byłą żoną Deborą Basti Stone, ostatnią z

Madziarów. - Masowała go rytmicznie prawą ręką, aż znowu był podniecony. Przestała i

oburącz pchnęła go na łóżko.

- Z tym nie poradziłiby sobie nawet ostatni Madziarzy - powiedział. Odrzucił ręcznik i

położył się na miękkim materacu.

- Nie byłabym tego taka pewna - roześmiała się, opadając na kolana pomiędzy jego

rozłożone nogi.

W godzinę później Debbie cicho wysliznęła się z łóżka, by nie obudzić śpiącego

mężczyzny. Pomimo wątpliwości, dał sobie radę z jej wymaganiami. Po uldze fizycznej,

przyszła też psychiczna, gdy opowiedział jej całą sytuację. Poszedł natychmiast spać, a ona leżała z otwartymi oczyma.

Podeszła na palcach do szafy, okryła ramiona jasnozielonym chińskim szlafrokiem i wyszła z sypialni. W lodówce w kuchni znalazła otwartą butelkę rieslinga, nalała sobie kieliszek i poszła do salonu. Usiadła przy telefonie na fotelu obitym materiałem w kwiatki i upiła kilka łyków wina. Z pudełka ze wzorem w zygzaki, stojącego na małej ławie obok fotela, wzięła papierosa. Przypaliła go i usiadła w fotelu, patrząc w sufit.

Po dziesięcioletnim stażu pracy w Instytucie Studiów Europejskich, Debbie Stone zajmowała się analizą każdej ważniejszej operacji wywiadowczej przeprowadzonej przez Wschód i Zachód od czasu drugiej wojny światowej. Interesowała się szczególnie Rosją i krajami bloku wschodniego. Była też specjalistką w zagadnieniach dotyczących Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch i Niemiec Zachodnich. I nic, czym się do tej pory zajmowała, nie przypominało scenariusza, który przedstawił jej Stephen.

Jak na ironię, jej tożsamość miała chyba nie mniejsze znaczenie niż rewelacje Stephena. Nachyliła się nad stolikiem, głęboko zaciągnęła papierosem, po czym zgasiła niedopałek. Zarejestrowana była w aktach Instytutu Studiów Europejskich i Centralnej Agencji Wywiadowczej jako Debora Basti, a w aktach Węgierskiej Allavedelmi Hatosag (Państwowej Służby Bezpieczeństwa) jako Anna Danilla Rakozi. Podniosła słuchawkę telefonu, wystukała niemal już zapomniany numer. Z drugiej strony linii ktoś uniósł słuchawkę, a ona wypowiedziała tylko jedno słowo:

- „Osin”.

Część 4

Cieszę się, że odchodzę... to najbardziej samotne miejsce na świecie.

Z przemówienia Williama Howarda Tafta,

opuszczającego Biały Dom po zakończeniu

prezydenckiej kadencji

## Rozdział 19

W trakcie rozeznania Eric Rhinelandier zgromadził imponującą kolekcję książek na temat Białego Domu. Było w tym kilka opracowań historycznych, przeglądy architektoniczne i stos biografii. Odkrył, że magazyn „Life” i „National Geographic” zamieściły szczegółowe plany gmachu i rysunki przekrojów. Dodał do tego informacje pochodzące z kilku publikacji o Secret Service i z książek i pism ilustrowanych wyciął zdjęcia Owального Gabinetu. Na podstawie własnych obserwacji i taśmy z małej kamery wideo był w stanie rozpoznać personel Białego Domu i codzienną rutynę pracowników.

Dzień przy Pennsylvania Avenue tysiąc sześćset zaczynał się o sódmej piętnaście, wraz z przyjazdem samochodu dostarczającego żywność. Była to nie oznaczona biała furgonetka-chłodnia zbudowana na podwoziu fordą econoline. Rhinelandier dzięki swej lekturze wiedział, że pojazd był kierowany przez komandosa, a obok niego siedział agent Secret Service z odbezpieczoną strzelbą. Wóz wjeżdżał na teren Białego Domu od strony Executive Avenue. Stawał na krótko przed bramą, gdzie strażnik sprawdzał przepustkę kierowcy. W tym czasie drugi strażnik używając lusterka na długiej rączce, przypatrywał się podwoziu. Po kontroli furgonetka podjeżdżała na tyły Białego Domu, gdzie wyładowywano żywność do kuchni znajdującej się w suterenie.

Rhinelandier zdawał sobie sprawę, że cała żywność dostarczana do Białego Domu była regularnie sprawdzana przy użyciu skomplikowanych urządzeń. W przypadku Białego Domu żywność od ponad dwudziestu różnych stałych dostawców przekazywana była do McCreery Provisioners - firmy kateringowej w Georgetown, sprawdzonej przez służby bezpieczeństwa. Różnorodne zamówienia były stamtąd przekazywane jednym transportem prosto do Białego

Domu. Ładunek - już na paletach - pod nadzorem agenta Secret Service był wnoszony do samochodu i dostarczany do budynku gospodarczego.

Po trzykrotnej analizie trasy przejazdu, zwrócił uwagę, że po podjeździe pod tylne wejście do budynku McCreery'ego kierowca i agent Secret Service pozostawiali każdego ranka niestrzeżony samochód na prawie piętnaście minut. Pili najprawdopodobniej poranną kawę z papieroskiem w towarzystwie pracowników firmy. Przy trzeciej wizycie przeszedł wąską alejkę na tyłach domu i wszedł do kabiny furgonu.

Trzydziestosekundowy rekonesans potwierdził jego wcześniejsze wnioski wyciągnięte na podstawie zanalizowania taśmy wideo. Wóz był fabrycznie nowy i wyposażony w zewnętrzną chłodziarkę. Agregat zamontowany był nad szoferką, a wewnątrz chłodni znajdował się tylko wentylator. Dzień wcześniej został oprowadzony po identycznym wozie w firmie leasingowej w Alexandrii i wiedział, czego może się spodziewać.

Według sprzedawcy, zewnętrzne agregaty działały bez zarzutu, jeśli tył chłodni nie był zbyt załadowany. W takim przypadku zablokowany zostawał przepływ powietrza i zamrożone produkty topniały. W całej chłodni przewożony towar należało rozmieszczać luźno, by umożliwić swobodną cyrkulację zimnego powietrza. Dlatego właśnie większość chłodni z zewnętrznymi agregatami miała wstawione przed przednią ścianę specjalne drewniane przegrody zabezpieczające wentylator przed przesunięciem ładunku.

Chłodnia Secret Service nie stanowiła wyjątku. Przegroda ze sklejki miała wysokość metra dwudziestu centymetrów oraz szerokość dwóch i pół metra. Odsunięta była od ściany o około czterdzieści centymetrów. Opukując drewno kostkami palców, Rhineland doszedł do wniosku, że przestrzeń za przegrodą była pusta, wzmocniona tylko pionowym łączeniem pośrodku płyty. Końce sklejki umocowane były do burt sześcioma wkrętami Philipsa.

Mnóstwo miejsca do ukrycia się i wystarczająco dużo czasu, by odkręcić śruby. Rhineland



wyjął z kieszeni taśmę mierniczą, zrobił kilka pomiarów drewnianej konstrukcji i nie zauważony wyszedł z chłodni. Opracowywał teraz pierwszą fazę przedostania się do Białego Domu. Druga była równie prosta. Wykonał ją następnego dnia po oględzinach chłodni. Użycie chłodni było jedną z trzech możliwości, jakie Rhinelandier opracował, by dostać się na teren Białego Domu. Jednak to było najłatwiejszą częścią całej operacji. Powodzenie planu zależało od tego, czy uda mu się pozostać nie zauważonym w Białym Domu przez długie pięć minut. Aby to osiągnąć, potrzebował barw ochronnych - jakiegoś przebrania.

Najprostsze to podanie się za agenta Secret Service - agenci nie nosili żadnych mundurów. Mieli tylko specjalne znaczki przypięte do marynarek, oznaczone odpowiednimi kolorami. Ochroniarze Białego Domu stanowili jednak bardzo wąską grupę ludzi i doskonale się znali. Niekiedy do ochrony wzywano ludzi z biur terenowych, ale działo się tak tylko przy specjalnych okazjach. Lepszym wyjściem byłoby podanie się za funkcjonariusza Służby Ochrony Personelu.

Funkcjonariusz nazywał się Paul Axworthy. Miał czterdzieści cztery lata i w SOP służył siedem lat. Wcześniej przez jedenaście lat był funkcjonariuszem policji miejskiej. Przez cztery lata jako sierżant na wszelkich testach miał wyniki znacznie przewyższające przeciętne. W końcu uświadomił sobie, że połączenie różnorodnych czynników, w tym kwot etnicznych i polityki wewnętrznej, oddalało jego szansę na dalszy awans w policji. Zgłosił się więc do Służby Ochrony Personelu i został przyjęty.

Axworthy podczas służby w policji ożenił się i dochował trzech córek. Obecnie był rozwiedziony. Większość pensji i wszystkie honoraria za nadgodziny przysyłał byłej żonie mieszkającej w Fort Myer. To, co mu zostawało, ledwo starczało na własne wydatki i wynajem dwupokojowego mieszkania w Columbia Heights.

Rhineland w trakcie wstępnej obserwacji z „Hay Adams” nie znał przeszłości Axworthy’ego. Z grubsza odpowiadał jego rysopisowi. Śledząc funkcjonariusza ochrony Białego Domu, zabójca odkrył jego adres i nazwisko. Następnego wieczoru, gdy Axworthy miał służbę, Rhineland włamał się do jego mieszkania.

Następną pozycją na liście zabójcy była kwestia zdobycia broni. W powieściach sensacyjnych zawsze występuje jakiś genialny rusznikarz albo handlarz bronią, który jest na dodatek zaprzyjaźniony z bohaterem. Rhineland zdawał sobie jednak sprawę, że w rzeczywistości tacy ludzie nie istnieją. A jeśli nawet istnieli, to już dawno stracili życie dzięki swym klientom. Żaden morderca na zlecenie nie zawierzyłby swojego bezpieczeństwa obcemu człowiekowi, choć Bogiem a prawdą nie było potrzeby podawania nazwiska i adresu takiemu specowi. Odkładając na bok bohaterów Forsythe’a i Fleminga, prawdziwy zabójca wolał przeprowadzać swe zlecenia w mało kosztowny, lecz skuteczny sposób.

Stauffenberg użył teczki z dynamitem próbując zabić Hitlera, Ramon Mercader - toporka usiłując zabić Leona Trockiego, Booth wypalił ze strzelby w głowę Lincolna z odległości mniejszej niż pół metra, zaś sześciu mężczyzn starało się zastrzelić de Gaulle’a w Petit Clamart karabinami maszynowymi. Prawda wygląda jednak inaczej. Morderstwo na zlecenie jest rzadko tak intrygujące i romantyczne, jak przedstawiają to powieściopisarze. Rhineland wybrałby granat ręczny; wiedział jednak, że Hudson Cooper nie życzył sobie, by po ścianach Owального Gabinetu ściekała krew i kawałki mózgow. Facet z CIA i jego tajemniczy konspiratorzy potrzebowali wydarzenia, które można pokazać w telewizyjnych wiadomościach: czegoś okrutnego, lecz na tyle lekkiego, by mogli to przy kolacji obejrzeć telewizzowie na całym świecie.

Użycie karabinu byłoby po prostu śmieszne. Strzelba również nie wchodziła w rachubę, ze względów technicznych, jak i estetycznych. Oczywistym wyborem byłby pistolet,

szczególnie, że miał występować jako funkcjonariusz SOP. Oddanie w takich okolicznościach dwóch celnych strzałów było raczej mało prawdopodobnie. Rozpatrzył wszystkie aspekty planu i doszedł do wniosku, że potrzebuje cichej samopowtarzalnej lub automatycznej broni, która przy małej odległości zada śmiertelne rany.

Jak na ironię, kryteria, które ustalił kierując się wyborem broni, doprowadziły go ostatecznie do prawdziwego „zbrojmistrza”. W przeciwieństwie do eleganckiego Q z książek o Jamesie Bondzie czy małego, zawsze wykwintnie ubranego Belgijczyka z powieści Forsytha, człowiek Rhinelandera, który miał ledwo ukończone dwadzieścia lat, długie włosy związane w kucyk i koszulkę Defa Lepparda i działał otwarcie przy deptaku na przedmieściach Baltimore.

Nazywał się Willis Johnson. Prowadził sklep o nazwie „Gasworks”. Miał na składzie broń, amunicję i ubrania ochronne do paintballa - gry mającej wiele wspólnego z tzw. szkołą przetrwania. Z tego, co Rhinelandier wiedział, była to bardzo kosztowna wersja zabawy w kowbojów i Indian. Według Willisa Johnsona, paintball został wymyślony na początku po to, by znaczyć drzewa dla tartaków. Inspektorzy leśni wynajdywali drzewa do ścięcia i oznaczali je pociskiem z pistoletu na sprężony dwutlenek węgla. Pocisk składał się z żelatynowej kuli napęlnionej mieszaniną farby i oleju mineralnego.

W miarę upływu lat broń i akcesoria stały się bardzo skomplikowane, tak samo jak reguły samej gry. W niepamięć odeszły jednostrzałowe pistolety do znaczenia pni i ganień się wśród drzew. Teraz zorganizowane grupy robiły podchody i rozgrywały całe bitwy na specjalnie przygotowanych terenach, na których wybudowano wietnamskie wioski, forty z drewnianymi palisadami, atrapy czołgów. Uczestnicy gry używali pistoletów maszynowych o nazwach handlowych, takich jak terminator. Ubierali się w stroje maskujące. Sami preparowali pociski i ciągali swoje żony po całym kraju z zawodów na zawody.

W strzelnicy urządzonej w piwnicy budynku Willis Johnson zaprezentował klientowi zaprojektowaną przez siebie broń. By to pistolet maszynowy z krótką lufą, napędzany dwutlenkiem węgla z butli mocowanej do paska i podłączonej gumowym przewodem do twardej plastikowej kolby pistoletu przypominającego uzi. Gaz napędzał sprężynę, która z kolei wyrzucała pociski z farbą z lufy z prędkością około dwustu metrów na sekundę.

Niewielka prędkość, ale ponieważ była znacznie niższa od szybkości rozchodzenia się dźwięku, to broń była cicha.

Strzelnica miała trzy stanowiska z oddalonym o osiemnście metrów celem.

Stanowiska na całej długości rozdzielone były wysokimi na metr i osiemdziesiąt centymetrów płótkami ze sklejki. Na końcu znajdowały się pomalowane na czarno sylwetki ludzkie.

Zgodnie ze słowami Willisa, sylwetki - również wykonane ze sklejki - były zmywane wodą z węża na koniec każdego dnia.

- To jak prawdziwa broń - powiedział młody Murzyn, nakładając gogle. Wcisnął włącznik światła nad środkowym stanowiskiem.

Ma pan tu trzy ustawienia: bezpiecznik - to pozycja z czerwoną kropką na dźwigni, poza tym strzelanie pojedyncze oraz ogniem ciągłym. - Willis ustawił broń na strzelanie pojedyncze i nacisnął spust. Rozległ się cichy trzask i na głowie sylwetki ukazała się czerwona jak krew plama o średnicy około dziesięciu centymetrów.

- Ten dźwięk to kula uderzająca o drewno - wyjaśnił Johnson z uśmiechem. Jest bardziej cichy w lesie. Przełączył na ogień ciągły, przybrał minę zboląłego Charlesa Bronsona i znowu wystrzelił. Stuki zlały się w jeden hałas, który nagle umilkł. Magazynek z dwudziestoma pociskami został opróżniony w dwie sekundy. Johnson wyrysował pociskami czerwoną linię na sylwetce od krocza po szyję.

- Robi wrażenie powiedział Rhineland.

Johnson wręczył mu broń i z kieszeni sfatygowanej kurtki wyciągnął przypominający rurkę załadowany magazynek. Pokazał Rhinelandrowi, jak załadować pociski wielkości kulek do łożysk, po czym odsunął się na bok. Rhineland wcisnął piętnastocentymetrowej długości czarną plastikową butlę ze sprężonym gazem do kieszeni marynarki i stanął w pozycji strzeleckiej. Wystrzelił pięć pocisków: lewe oko, prawe oko, serce, żołądek, krocze.

- Widać, że już pan używał broni - odezwał się Johnson patrząc na czerwone plamy na sklejce.

- Czasami - odparł Rhineland. - Jak określiłby pan optymalny dystans dla takiej broni?

Tak naprawdę? - zapytał Johnson.

Rhineland skinął głową. - Tak.

- Osiemnaście, dwadzieścia metrów, jeśli strzela pan na zewnątrz - odpowiedział młody mężczyzna. - Trajektoria lotu jest całkiem płaska, ale kule są lekkie, a lufa nie gwintowana.

Rozumiem - odparł. Zważył broń w ręku. - Butla z dwutlenkiem jest plastikowa, tak samo pistolet. Dużo jest w tym metalu?

Prawie wcale - powiedział Johnson. - Może to brzmi trochę głupio, ale największym problemem z produkcją tych cacek była sprawa czyszczenia ich po użyciu. Teraz można je myć w automatycznej zmywarce do naczyń. Niemal wszystkie nieplastikowe elementy zastosowane w tej broni, to ceramika. Prawdopodobnie największym elementem metalowym w tym pistolecie jest sprężyna.

Wrócili na górę i dwadzieścia minut później Rhineland wyszedł ze sklepu. Zostawił młodemu człowiekowi rysunki broni, jaką chciał, by mu wykonał. Pistolet składał się jedynie z lufy, spustu i ramy konstrukcyjnej. Wyglądał raczej jak zapalarka do gazu niż broń. Johnson

zapewnił, że będzie gotowy za trzy dni.

Rhineland w drodze do Waszyngtonu zatrzymał się jeszcze w dwóch miejscach. W księżce telefonicznej znalazł tani skład z hydrauliką i elementami grzewczymi, gdzie kupił dwa tuziny używanych termostatów mieszkaniowych. Ze składu udał się do sklepu hobbystycznego po trzy strzykawki modelarskie, stosowane do wkrapiania kleju w trudno dostępne miejsca. Po zrobieniu zakupów, zabójca wrócił do stolicy i wypakował sprawunki w Wyoming. Następnie przejrzał swe szczegółowe notatki na temat planowanej operacji i z zadowoleniem stwierdził, że pozostała mu do załatwienia jeszcze tylko jedna rzecz.

Ubrany w garnitur z krawatem, przeszedł do „Holiday Inn” i wynajął samochód używając karty Visa Jamesa Smythe’a. Wyjechał z Waszyngtonu i skierował się w stronę Maryland, do małego miasteczka Indian Head. Znalazł tam marinę wymienioną w kupionym wcześniej przewodniku. Wynajął łódź mieszkalną na tę samą kartę. Jednostka miała co najmniej dziesięć lat. Pomalowana była na nie zwracający uwagi bładoniebieski kolor. Na pokładzie znajdowało się tylko to, co niezbędne, bez żadnych luksusów. Na ośmiu i pół metrach długości pomieszczono koje dla sześciu osób, mesę z kambuzem i łazienkę z prysznicem. Łódź napędzały dwa silniki wewnętrzne. Według tego, co mówił kierownik mariny, łódź zdolna była rozwinąć prędkość sześciu węzłów pod prąd i ośmiu z prądem, jeśli sternik potrafił wykorzystać pływy. Jacht idealnie pasował do planów Rhinelandera. Wynajął łódź na dwa tygodnie, zostawił kaucję w wysokości pięciuset dolarów i powiedział kierownikowi, że przejmie jednostkę następnego dnia.

Planując operację, myślał początkowo o czymś dużo szybszym niż łódź mieszkalna.

Zabójca wiedział jednak, że zbyt długo już przebywa w Wyoming, a kanciasty, anonimowy stateczek, który właśnie wynajął, idealnie nadawał się do spędzenia ostatnich kilku dni przed akcją. Zadowolony, że załatwił tę sprawę, wrócił do Waszyngtonu, zostawił wóz pod

„Holiday Inn” i wrócił do Wyoming.

Następne kilka godzin rozważał szczegóły operacji. Sprawdzał po kilka razy każdy detal i możliwość. Przemyslał powtórnie kwestie dostania się do środka, wydostania się i ucieczki. Sprawa broni i amunicji była pod kontrolą. Wybrał nawet datę: sobota, dwunastego sierpnia. By to dzień, gdy Beach Boys występowali na barce zacumowanej w Watergate, a prezydent Stanów Zjednoczonych obchodził w Białym Domu swoje urodziny. Teraz już tylko miał zadzwonić do Mallory’ego. Spojrzał na zegarek. Mijały właśnie ostatnie minuty środy - dziewiątego sierpnia. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to za siedemdziesiąt dwie godziny będzie po wszystkim. Rhineland zebrał notatki i ułożył je na biurku. Zgasił światło i poszedł spać.

## Rozdział 20

Stephen Stone siedział w kawiarni w „Holiday Inn” w Alexandria Pił wywracającą wnętrzości kawę, palił camele z filtrem jednego za drugim i rozmyślał nad przyszłością. Były funkcjonariusz FBI z cuchnącym stęchlizną dyplomem z prawa i byłym rosyjskim szpiegiem na karku. Nie wyglądało to obiecująco, szczególnie że Ruppelt straszyl go konsekwencjami prawnymi, jeśli nie wykrztusi z siebie w końcu miejsca ukrycia Trawkina. Na razie dyrektor jedynie zawiesił go na czas nieokreślony. Stone zdawał sobie sprawę z tego, że to tylko stan przejściowy. Cooper na pewno będzie naciskał Ruppelta o wydostanie z niego adresu Trawkina, a Ruppelt oczywiście przeniesie ten nacisk niżej.

Znudzona kelnerka po raz piąty tego ranka napełniła Stone’owi filiżankę i poszła wzdłuż niewielkich boksów w stronę lady. Funkcjonariusz FBI odprowadził ją wzrokiem i popatrzył dalej, w kierunku hallu. Miał nadzieję, że dojrzy Morta Kesslera. Rudy agent był teraz jego jedynym łącznikiem z biurem. Nawet ta nić była bardzo wiotka. Stone od pięciu dni był zawieszony, a Kessler od samego początku wiedział, że będzie śledzony.

Stone westchnął, wsypał do kawy rozpuszczalnej śmietanki i zapalił kolejnego

papierosa. Dzięki Debbie Trawkin był bezpieczny, przynajmniej na razie. Dużo czasu zajęło jej przyswojenie wiadomości, którą jej opowiedział tamtej nocy. W końcu jednak ją zaakceptowała. Oboje doskonale wiedzieli, że pomagają ryzykując własną karierę, ale machnięciem ręki zbyła jego podziękowania i przeszła od razu do rzeczy.

Następnego dnia rano Debbie poszła do pracy w instytucie i do obiadu zorganizowała Trawkinowi nowe schronienie. Na tablicy ogłoszeń w biurze administracyjnym dostrzegła ofertę wynajmu domku letniskowego. Odkryła, że właścicielką posesji była pani profesor z Georgetown, dla której wykonała jakąś pracę w ubiegłym roku. Zapłaciła kaucję i w zamian otrzymała klucze i mapę. Dom znajdował się kilka kilometrów na zachód od Bowling Green po wirgińskiej stronie Potomacu, nad jeziorem Anna.

Tamtego wieczoru, upewniając się, że nikt ich nie śledzi, pojechali z Trawkinem do wynajętego domku. Po drodze zatrzymali się na krótko w znanym z wojny secesyjnej miasteczku Spotsylvania, by kupić jedzenie. Dom był bajecznie piękny. Była to chata z drewnianych bali, z czterema sypialniami. W pobliżu rozciągała się własna plaża, ze slipem dla łodzi i hangarem. Dom otoczony był drzewami i prowadziła doń tylko wąska, kręta dróżka, biegnąca od szutrowej drogi dojazdowej.

Pozostawili tu Trawkina i wrócili do Waszyngtonu. Stephen nie chciał, by Debbie dalej mieszała się w tę sprawę. Następnego dnia został zawieszony w czynnościach i od tego czasu nie widział swej byłej żony ani Trawkina.

Mort Kesser wszedł do kawiarni akurat w chwili, gdy Stone gasił papierosa.

Rudowłosy agent wśliznął się na krzesło naprzeciw Stephena. Na jego twarzy pojawiło się zdziwienie.

- Kiepsko wyglądasz - oznajmił, po czym zamówił wielką szklankę soku pomarańczowego.



- Bo kiepsko się czuję - odparł Stone. - Nikt cię nie śledził?
- To tak samo głupie pytanie jak: „Nie śpisz?” - uśmiechnął się Kessler. Kelnerka przyniosła sok i agent upił duży łyk.
- Nie byłoby mnie tutaj, tylko strząsałbym teraz ogon, gdyby mnie ktoś śledził.
- Nie denerwuj się - westchnął. - Powiem inaczej: nikt nie próbował cię śledzić?
- Nie dzisiaj. W każdym razie nikogo nie zauważyłem. - Kessler wzruszył ramionami, a Stone odetchnął. Mort potrafił zachowywać się jak duch i znał każdą sztuczkę, gdy w grę wchodziła obserwacja lub śledzenie kogoś.
- Dobra - powiedział Stone. - Co się dzieje?
- Jeśli chodzi o biuro, to jesteś trędowaty - oznajmił rudy agent. - A każdy, kto z tobą pracował, został naznaczony.
- Ty też? - zapytał Stone.
- Możesz się założyć, że też. - Kessler wytarł nos. - Dostałem dwutygodniowy urlop, a potem zaczynam pracę w terenowym biurze w Seattle.
- Cooper - powiedział Stone poirytowanym tonem.
- Coś w tym rodzaju - odparł Kessler. - Rup jest sam mocno wkurzony. Chodzi mu o to, że nie chcesz powiedzieć, gdzie schowałeś Dmitrija.
- Mówiłem mu już, że nic nie wiem o Trawkinie - oznajmił Stone, po czym zapalił następnego papierosa. - Wiem też, że ostatnią informacją, jaką mam na jego temat, jest to, że został porwany przez nie zidentyfikowanych osobników.
- On zdaje sobie sprawę z tego, że robisz go w konia - odparł Kessler, popijając sok. - Coś mi się wydaje, że jeden z tych chłopców, którzy nam pomagali w Baltimore, musiał się wygadać. Kilka dni temu nasi koledzy dosłownie rozerwali na strzępy Rock Creek.
- Znowu Cooper - wyszeptał Stone.

- Też tak mi się wydaje - przytaknął Kessler. - Kilka dni temu jakieś dwa typy weszły po twoim biurze. Załadowali wszystko w pudła i wywieźli.

- Mają coś na ciebie?

- Nic poza tym, że się znamy - odparł Kessler. - Nie mają żadnych dowodów, że pomogłem wyrwać Dmitrija z łap Agencji. Ale wydaje mi się, że Rup coś podejrzewa. Gdy tylko natknę się na niego przypadkowo w korytarzu, patrzy na mnie dziwnym wzrokiem. - Kessler uśmiechnął się. - Co gorsza, powiedziałem mu, że od razu biorę urlop.

- Aby śledzić Mallory'ego?

- Taki był plan, jeśli dobrze pamiętam - przypomniał mu Kessler. - To on musi być łącznikiem z naszym zabójcą.

- Jeśli rzeczywiście istnieje jakiś zabójca - wymamrotał Stone przez zaciśnięte zęby.

- O co ci chodzi? Tracisz zaufanie do hipotezy towarzysza Dmitrija?

- Nie - odparł agent FBI. - Ale musisz przyznać, że cała sprawa wygląda tak, jakby była wymyślona przez czubka. Mamy spisek, którego celem jest zamordowanie prezydenta Stanów Zjednoczonych, zamieszany jest w to wicedyrektor CIA, a naszym świadkiem jest oficer rosyjskiego wywiadu.

- Omawialiśmy to już setki razy - odpowiedział Kessler. - Informacje przekazane przez Trawkina potwierdzają nasze obserwacje i pasują do wizyty Coopera na Barbados. Do tego jeszcze telefon Coopera do Hollisa Macintyre'a. Obaj od lat kombinują na boku. To Macintyre pociągając za sznurki, spowodował, że Tucker został wybrany. A teraz chcą go wyeliminować.

- Aż trudno uwierzyć - westchnął Stone. - Zdusił w popielniczce papierosa i przypalił sobie następne. Stojąca przed nim kawa była zimna, brązowa jak błoto. Czuł, że zaczyna mu protestować żołądek. Nie wymyślono jednak jeszcze żadnego środka na niestrawność

wywołaną przez zabójstwo.

- Ja nie mam z tym problemów - wzruszył ramionami Kessler. - Wiesz, że ten kraj został zbudowany na spiskach i zabójstwach. A Cooper wcale nie jest taki święty. Pamiętaj, że pracuje w organizacji, która usiłowała zamordować Castro zatrutym cygarem.

- Dobra - zdecydował ostatecznie Stone. - Co robimy?

- To, co ustaliliśmy wcześniej - zaczął rudy agent. - Musi istnieć jakaś nić. Cooper na pewno się nie odkryje, jeśli nie będzie do tego zmuszony. Mallory był z nim na Barbados, więc on jest naszym celem.

- Udało ci się coś na niego znaleźć?

- Niewiele. Sprytny, w naszym wieku. Matematyczny geniusz. Pracował w Biurze Analizy Zagrożeń. Cudowne dziecko komputera.

- Nie wygląda mi na typową agencyjną zasłonę dymną - powiedział Stone.

- Może i nie, ale on naprawdę świetnie się do tego nadaje. Cooper będzie mógł go usunąć, nie wzbudzając żadnych podejrzeń, gdy już będzie po wszystkim. Jego akta są tak czyste, że niedobrze się robi: żadnej rodziny, bliskich przyjaciół w Agencji. My też nic na niego nie mamy.

- Cooper pewnie robi go w konia - zastanowił się Stone.

Kessler skinął głową.

- To może być dobra myśl. Pewnie wie tylko tyle, że prowadzi tajnego agenta skaptowanego przez szefa - ciągnął Stone.

- Musi zdawać sobie sprawę z tego, że to nielegalna operacja - powiedział Kessler. - Agent CIA nie ma prawa działać na terenie kraju.

- Nie bądź naiwny. Wiesz dobrze, że na samej tylko Florydzie Agencja prowadzi przynajmniej kilkanaście własnych operacji. Miami to jedna wielka baza rekrutacyjna.

- Ale wciąż mamy szansę go odkręcić.

- W jaki sposób? - Zaaapelujemy do jego patriotyzmu?

- Nie, do instynktu samozachowawczego - odparł Kessler. Jeśli rzeczywiście chodzi tu o zamordowanie Tuckera, a Mallory ma być zasłoną dymną, to Cooper pozbędzie się go, gdy tylko operacja zostanie zakończona. Pozwólmy mu przepuścić te dane przez jego komputer w Biurze Analizy Zagrożeń!

- Jeszcze nie teraz - oświadczył Stone. - Poobserwujmy go i sprawdźmy, czy nie doprowadzi nas do tego faceta z Barbados.

- A co będzie jeśli go znajdziemy? - zapytał Kessler. - Nie możemy pójść z tym do Rupa, to jedno jest pewne.

- Jeśli będziemy mieli dostateczne dowody, to mogę pójść do Lyalla Spencera z Secret Service.

- Dobra - skinął Kessler. - Wkładamy pana Mallory'ego pod lupę.

- Sam będziesz to robił? - spytał Stone.

Rudowłosa mężczyzna potrząsnął przecząco głową. - Putnam i Dofhey wciąż są ze mną - przynajmniej dopóki pozwalam im pracować na drugą zmianę. Gdzie ciebie szukać, jeśli coś znajdziemy - w domu czy u...

- Debbie? - Stone uśmiechnął się pokrywając zakłopotanie. Mort Kessler był jedynym kolegą w pracy, który wiedział o jego ciągłych powrotach do byłej żony. Potrząsnął głową.

- Nie. Będę w kryjówce nad jeziorem Anna z naszym rosyjskim przyjacielem - przynajmniej dzisiaj w nocy. Masz numer telefonu.

- Dobra - skinął głową Kessler i wstał od stolika. - Zadzwoń, jeśli coś się wydarzy.

Stephen Stone patrzył, jak przyjaciel wychodzi z kawiarni. Odsunął filiżankę i oparł się znużony o klejące winylowe obicie krzesła. Żołądek wywracał mu się na drugą stronę, ale

to nie on powodował ten głuchy, głęboki ból w brzuchu. W jakiś sposób, pewnie zawdzięczając to instynktowi i paranoi wynikającej z wykonywanego zawodu, wiedział, że mają bardzo mało czasu.

Generał Władimir Gurenko, szef sekcji KGB w Waszyngtonie przeciągnął się siedząc w fotelu. Opierał głowę na rękach złączonych na karku i zamknął oczy. Jego zastępca, major Walentin Iwaszutin, siedział na niskiej sofie na końcu pokoju i przerzucał leżący na stoliku stos wydartych z dalekopisu arkuszy papieru oraz ręcznych notatek. Wielkie panoramiczne okno za Gurenką było rozmazane przez strugi deszczu. Ulewa zaczęła się wczesnym popołudniem i najwyraźniej nie zamierzała szybko zakończyć. Deszcz był jednak złudną pociechą - upał w stolicy wcale nie zelżał.

- Spróbujmy jeszcze raz - powiedział cicho ciemnowłosy rezydent KGB. Wciąż miał zamknięte oczy. - To wszystko, co mamy do tej pory.

- Nasi koledzy w moskiewskim biurze postąpili zgodnie z procedurą, gdy generał Kuriochin nie pojawił się na planowym rannym posiedzeniu - powtórzył Iwaszutin. Spoglądał na wydruki z dalekopisu.

- Do mieszkania generała wysłano dwóch ludzi. Weszli do środka i stwierdzili, że generał nie żyje. Najprawdopodobniej zmarł na zawał serca.

- Nie ma żadnych wątpliwości co do przyczyny śmierci? - zapytał Gurenko. W kręgach KGB „zawał” był już wytartym eufemizmem, który skrywał wiele wydarzeń.

- Na razie nie - odparł Iwaszutin. - Postępowano według przepisów. Zaplombowali mieszkanie i wezwali zespół „ochrony”, zabrano ciało. Oprócz notatek, które sporządził generał tuż przed śmiercią, nasi ludzie znaleźli drewniany klucz ukryty w jednej z drewnianych „matrioszek”. Miał ich całą kolekcję. Zajęło im to trochę czasu, ale w końcu odkryli, że tym kluczem można otworzyć małe pomieszczenie ukryte za półkami na książki.

Znajdowały się tam napisane szyfrem pamiętniki.

- Darujmy sobie te szczegóły - rozkazał Gurenko. - Skup się na najważniejszym.

- Szyfr należał do typu stosowanego co najmniej za czasów Wielkiej Wojny

Ojczyźnianej - kontynuował spokojnie Iwaszutin. - Był łatwy do złamania. Oprócz innych informacji, pamiętniki wskazały nam prawdziwe nazwisko „Osina”. - Iwaszutin przerzucił stos i wyciągnął ręcznie, pospiesznie sporządzone notatki. Zawahał się na chwilę, przeglądając naprędce przygotowane dane.

- Dalej - popędził go Gurenko. Otworzył oczy i wyprostował się w fotelu. Bębnił długimi, szczupłymi palcami po blacie biurka.

- Urodziła się siedemnastego sierpnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku w Budapeszcie jako Anna Danilla Rakosi. Jej ojcem był doktor Lutz Rakosi, wykładowca historii na uniwersytecie. Matka zmarła podczas jej narodzin. W wieku siedemnastu lat dostała stypendium na wydziale historii i języków Uniwersytetu Moskiewskiego. Zwerbowaliśmy ją dwa lata później. Po śmierci ojca wróciła do Budapesztu, by kontynuować studia, a jednocześnie przekazywać nam informacje o działalności studentów.

- Jaki interes mógł mieć w tym Kuriochin? - zapytał generał.

- Generał i pozostali dowódcy Wydziału Zagranicznego szukali sposobu na umieszczenie swojego człowieka w Centralnej Agencji Wywiadowczej, gdy w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku straciliśmy Saszę. Sposoby rekrutowania agentów przez CIA polegają na ogół na wybieraniu najlepszych studentów z uniwersytetów tak zwanej Ivy League. Generał uznał, że podrzucanie naszych studentów do ich systemu edukacyjnego było drogą rokującą duże nadzieje. Rozkazał tajnej policji w Budapeszcie, by meldowała mu o każdej możliwości zmiany tożsamości dziewczyny. I według pamiętnika

Kuriochina, możliwość ta pojawiła się jesienią tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku. Węgierskie małżeństwo, które na długo przed rewolucją tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych, wróciło na wakacje do Budapesztu. Oboje zginęli w nieszczęśliwym wypadku samochodowym.

- Coś takiego - westchnął Gurenko. „Wypadek samochodowy” był w KGB takim samym eufemizmem jak „zawał”.

- Tak - zapewnił go major. - Małżonkowie nosili nazwisko Basti - Sandor i Danuta.

Facet pracował w nowojorskiej firmie dostarczającej wyroby hydrauliczne, a ona zajmowała się domem. Nie mieli dzieci. Wydział Techniczny wydał jej paszport, zgodnie z którym dziewczyna była ich córką. Już jako Debora pojechała ze szczątkami „rodziców” do Stanów. Z tego co wiemy, nie mieli żadnej rodziny.

- Oczywiście, że nie - uśmiechnął się lekko Gurenko. - Nie mogło być.

- Rakosi, znana od teraz jako Debora Basti, zapisała się na Uniwersytet Kolumbia i uzyskała magisterium z historii i rosyjskiego. Zważywszy, że studiowała w Moskwie i miała zdolności językowe, nie jest zaskakujące, że otrzymała stypendium pomagisterskie na uniwersytecie Georgetown. I tam została zwerbowana przez Instytut Studiów Europejskich.

- CIA - odezwał się w zamyśleniu Gurenko.

- Dokładnie - skinął głową Iwaszutin. - W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku zauważył ją Hudson Cooper, wicedyrektor do spraw operacji. Zatrudnił ją jako analityka strategii i kuriera wysokiego szczebla. Pracuje nad każdym ważniejszym projektem i analizą od siedmiu czy ośmiu lat.

- I cały czas pracowała także dla Kuriochina - powiedział Gurenko z mimowolnym uznaniem.

- To ona musiała być źródłem znanej szeroko intuicji generała - oznajmił Iwaszutin. -

Zgodnie z jego notatkami, została nawet zatrudniona jako konsultantka w ramach programu kontrwywiadowczego.

- Intryguje mnie jej powiązanie ze Stephenem Stone'em z FBI.

- Wszystko wskazuje na to, że był to zbieg okoliczności - wzruszył ramionami

Iwaszutin. - Poznali się na konferencji i mieli romans. Potem zaczęli się spotykać. Jeśli się nad tym zastanowić, to brzmi to prawdopodobnie. Zajmowali się podobnymi zagadnieniami, mieli ze sobą wiele wspólnego. Nie mamy rysu psychologicznego tej kobiety, ale można przypuszczać, że ma poczucie winy. To taki mały prezent dla generała - mógł poprzez nią poznawać działania kontrwywiadowcze FBI.

- Wiedza, którą nie zamierzał się z nami dzielić - odparł Gurenko. Zabębnił palcami po blacie biurka. - A ta kuriochinowska teoria spisku? - zapytał po chwili.

- Przed śmiercią sporządził na ten temat notatki - odparł Iwaszutin niepewnym głosem. Obaj mężczyźni zdawali sobie sprawę, że wkraczali w niebezpieczny świat polityki. Kuriochin nie żył i nie wiadomo było, kto zostanie jego następcą; najprawdopodobniej nowy szef, ktokolwiek to będzie, odziedziczy „Osina” i całą tą delikatną sytuację.

- Miał kontakt z tą Basti czy Rakozii w Amsterdamie - powiedział Gurenko.

- Tak - skinął głową Iwaszutin. - Nie było to typowe spotkanie, ale informacje zostały przekazane. Za tą teorią przemawia harmonogram zajęć Debory Basti. Była na konferencji w Paryżu i ostatnie trzy dni spędziła w Holandii. Znajdowali się tam w tym samym czasie.

Zgodnie z zapiskami w pamiętniku, kupowała dla Coopera wielką ilość kamieni szlachetnych i płaciła czekami z doskonale zamaskowanego szwajcarskiego konta. Według niej, kamienie - prawdopodobnie szmaragdy - miały służyć do opłacenia jakiegoś agenta. Wielkość zakupu wskazuje, że musi to być jakaś duża operacja.

- Tylko tyle wykryła?



- Tak. - Iwaszutin odchrząknął. - Generał Kuriochin dalej pociągnął ten scenariusz.

- Czy używał naszych danych?

- Z tego, co wiemy, tak. Zestawił podejrzenia Trawkina z informacjami o Hollisie

Macintyre, sekretarzu stanu Snowbridge'u i prokuratorze generalnym Stuarcie Shrenku.

Wszystko wskazuje na to, że w domu przy Cherry Hill Lane odbyło się wiele spotkań. Jak się okazało, budynek należy do firmy będącej przykrywką dla CIA.

- Ale nie ma nic dziwnego w tym, że tacy ludzie spotykają się gdzieś prywatnie -

wskazał Gurenko. Zacisnął wargi. - Sprawdziłeś nasze dane na ten temat?

- Właśnie nasi ludzie nad tym pracują - odparł zastępca Gurenki.

- A ostatnie spotkanie? - zapytał rezydent KGB.

- Macintyre, Swanbridge, Shrenk, a także zastępca przewodniczącego Kolegium

Szefów Sztabów i sekretarz skarbu. Spotkanie odbyło się w dwa dni po tym, jak „Osin”

przekazała Cooperowi kamienie.

- Według naszych informacji i mojej rozmowy z Kozłowem na temat zniknięcia

Trawkina, wynika, że facet wymyślił jakąś teorię na temat Kostaryki.

- Kuriochin w swoim pamiętniku twierdzi, że to ślepy zaułek - odparł Iwaszutin,

przerzucając wzrokiem swoje zapiski. - Zmyłka.

- A ty co o tym sądzisz?

- Nie do mnie należy wygłaszanie opinii - powiedział spokojnie zastępca rezydenta.

- Ani do mnie - sparował Gurenko, uśmiechając się drapieżnie. - Pracujemy, opierając się na faktach, a nie na domysłach.

- Tak.

- Jakie więc mamy fakty? - zapytał retorycznie Gurenko, wyciągając się wygodnie w fotelu.

- Trawkin znikną, ale nie przechodzi na drugą stronę - tak przynajmniej uważa Kozłow.

Cooper ma bezprecedensowe spotkanie na Barbadosie, a zaraz potem wysyła towarzyszkę Rakozii, Bastii czy też Stone, jakkolwiek ją nazwiesz, po znaczną ilość kamieni szlachetnych, prawdopodobnie po to, by opłacić nimi usługi faceta z Barbadosu. - Gurenko urwał na moment. - Dla przypomnienia, towarzyszu Walentynie, powiedz mi, do jakich wniosków doszedł generał Kuriochin na chwilę przed nieszczęśliwym końcem, który nie mógł przyjść bardziej nie w porę?

- Jego wnioski nie opierają się na informacjach operacyjnych - odparł z niepewnością w głosie.

- Wnioski generała stanowią udokumentowany fakt - powiedział łagodnie Gurenko. - Są to ostatnie słowa zapisane przez generała.

- Towarzysz generał Kuriochin stworzył teorię, że taka grupa ludzi i wielka suma pieniędzy, a także niezwykły splot wydarzeń wskazują na to, iż planowane jest polityczne morderstwo na wielką skalę.

- I nie jest to zabójstwo szefa policji Kostaryki ani nawet kostarykańskiego prezydenta?

- Nie, towarzyszu generale.

- A jak sądził Kuriochin: kto miałby być celem, Walentynie?

- Prezydent Stanów Zjednoczonych.

- Sytuację komplikuje w znacznym stopniu fakt, że w sprawę zamieszany jest wysoki rangą oficer GRU i głęboko zakonspirowany szpieg KGB.

- Tak, towarzyszu generale - potwierdził Iwaszutin, świadom, że został przez przełożonego wymanewrowany. Zapis tej rozmowy - albo w formie jego własnego raportu, albo na taśmie magnetofonowej z całą pewnością kręcającego się gdzieś pod biurkiem -

wykaże, że z formalnego punktu widzenia to właśnie on wskazał wnioski wynikające z tej sytuacji. Głasnost czy nie, zwiastun złych wiadomości wciąż pozostawał niezbyt kochaną postacią.

- Musimy podjąć jakieś działania - oznajmił Gurenko. Spojrzał na zastępcę. - Masz jakieś propozycje? - zapytał z kamienną twarzą.

- Nie, panie generale - odparł Iwaszutin.

Gurenko uśmiechnął się.

- Powinieneś wykazywać więcej inicjatywy, Walentyne - powiedział pokasłując. - Bo staniesz się zbyt nieruchawy.

- Tak jest - odparł zimno blady mężczyzna.

- Chcę, by znaleziono „Osin” i śledzono ją przez całą dobę.

- Czy mam podjąć jakieś działania? - zapytał Iwaszutin. Wyraźnie widać było, że liczy na to, że jego szef potknie się na tym pytaniu i posunie się daleko.

- Jeszcze nie - Gurenko potrząsnął głową. - Chyba że zajdzie wyraźna potrzeba. Na tym etapie mamy do czynienia ze spiskiem, nie zabójstwem. Jeśli okaże się, że jest powiązana bezpośrednio z operacją Coopera, to poproszę Moskwę o zgodę na wyeliminowanie jej z gry. A na razie trzeba obserwować ją dzień i noc. To samo z tą bandą Coopera. Macie ich również śledzić, tylko dyskretnie. I obserwujcie stale ten dom przy Cherry Hill Lane.

- Trzeba będzie do tego wielu ludzi - zauważył Iwaszutin.

- Mamy wielu ludzi - odparł Gurenko. W rejonie Waszyngtonu dysponował dwustu „legalnymi” agentami, i w każdej chwili mógł jeszcze sprowadzić posiłki z ambasad krajów bloku wschodniego.

- Jednak... - zaczął Iwaszutin i urwał myśl.

- Przestańmy przed sobą udawać - powiedział Gurenko, przerywając ciszę, zmęczony

już tym semantycznym tańcem, który stanowił część jego pracy. Przede wszystkim postrzegał siebie jako żołnierza, a żołnierz rozwiązuje problemy, a nigdy ich nie unika.

- Obaj świetnie wiemy, że śmierć generała Kuriochina wywoła bez wątpienia walkę o władzę w Tęplem Stanie. Tak będzie i ta walka może wywrzeć wpływ na nas obu. Na razie mamy tu niebezpieczną sytuację, z którą jakoś musimy sobie poradzić. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że grupa wysoko postawionych Amerykanów zawiązała spisek w celu zamordowania własnego prezydenta. Wygląda na to, że dwóch naszych agentów jest w to pośrednio zamieszanych. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że jest to niedopuszczalne. Za żadne skarby nie wolno nam się mieszać w wewnętrzne rozgrywki Amerykanów, ale musimy wiedzieć tyle, by usunąć z gry naszych ludzi.

- Usunąć? - zapytał Iwaszutin, unosząc jedną brew. Zaczął porządkować leżące przed nim papiery.

- Tak - potwierdził twardym głosem Gurenko. W taki czy inny sposób. Oboje - Trawkina i tę „Osini”. Zanim będzie za późno.

- A jeśli na drodze staną nam CIA albo Stone?

- To będzie ich zły dzień - oznajmił Gurenko. - Stosunki między naszymi krajami zawsze były bardzo proste. Byliśmy zniechęconymi wrogami. Teraz musimy za wszelką cenę udawać, że staliśmy się świetnymi przyjaciółmi. Najmniejsze podejrzenie, że w jakiś sposób jesteśmy zamieszani w spisek, a cały świat napadnie na nas jak sfora psów gończych. Jeśli musi umrzeć, niech się tak stanie. My musimy być tacy jak ich symbol sprawiedliwości: ślepi.

Okręcił się na obrotowym krześle i popatrzył przez rozmazane deszczem okno.

Iwaszutin zgarnął dokumenty w jeden stos i wetknął je pod pachę. W chwilę później wymknął się cicho i zamknął bezgłośnie drzwi.

Nad Waszyngtonem zapadał zmierzch, gdy do domu przy Cherry Hill Lane w

Georgetown zaczęli schodzić się członkowie komitetu Romulusa. Wciąż padał deszcz.

Uporczywe ciepłe strugi lejące się z nieba przemieniły miasto w łaźnię parową. Do dziewiątej wieczorem wszyscy zaproszeni dotarli na spotkanie. Zostali dokładnie sfotografowani i sfilmowani przez grupę operacyjno-śledczą KGB, która usadowiła się na dachu wykańczanego budynku przy Cecul Place, sto metrów dalej.

O dziewiątej trzydzieści kelnerzy z działu obsługi CIA podali w jadalni kawę i na długim stole z drewna orzechowego rozstawili karafki z wodą. Zaraz potem wyszli z sali.

Członkowie komitetu Romulusa usiedli przy stole. Posiedzenie się zaczęło.

Jak zwykle na końcu stołu usiadł Hollis Macintyre. Naprzeciw niego, na drugim

końcu, zajął miejsce Hudson Cooper. Po lewej stronie Macintyre'a siedzieli

wiceprzewodniczący Kolegium Szefów Sztabów generał Marcus D. Andrews i Elaine

Goodhouse, twarda i słodko zachowująca się piękność z południa w wieku około

sześćdziesiątki, która była asystentką sekretarza skarbu. Naprzeciw Andrewsa i Goodhouse

zajęli miejsca Joseph Swanbridge, sekretarz stanu, oraz Stuart Shrenk, prokurator generalny.

Na żądanie Macintyre'a spotkanie zaczęło się od przedstawienia sytuacji przez Coopera.

- Wygląda na to, że zbliżamy się do kulminacyjnego momentu - mówił powoli, cedząc słowa. - Nasz człowiek zażądał zapłaty i chce się z nami spotkać, zanim zrobi swoje.

- Wyzaczył już datę? - przerwał mu Shrenk.

- Tak - skinął głową Cooper. - Podczas urodzinowego przyjęcia prezydenta.

- To już pojutrze - zauważyła Elaine Goodhouse. Siwowłosa kobieta wyglądała na zaskoczoną. - To wszystko dzieje się tak szybko.

Goodhouse była ostatnim członkiem komitetu, który dowiedział się o tym planie, i nawet wtedy odbyło się to wobec sprzeciwu pozostałych. Działo się tak dlatego, że prawie

nikt z nich nie znał jej dobrze. W końcu to zdanie Hollisa Macintyre'a przeważało: tak jak Swanbridge i Shrenk, miała przejąć nowe obowiązki i należało ją o wszystkim poinformować.

- A co z tym Rosjaninem Dmitrijem Trawkinem? Na ostatnim spotkaniu mówiłeś, że sytuacja jest pod kontrolą. - Macintyre zetknął dłonie końcami palców i dotknął nimi nosa.

- Jak już powiedziałem, Trawkin i tak miał być wypuszczony. Początkowo sądziłem, że został odbity przez swoich. Myliłem się. Został porwany przez Stephena Stone'a, wicedyrektora programu Rednet z FBI, który został zawieszony w pełnieniu obowiązków z powodu tej akcji na własną rękę.

- Czy wiadomo, gdzie ukrywa się Trawkin? - zapytał prokurator generalny Shrenk.

- Tak. W chacie nad jeziorem Anna. Obserwujemy ten dom.

- Jak Stone wynalazł to miejsce? - zapytał generał Andrews.

- Dzięki swojej byłej żonie. Właściwie to sam podsunąłem jej ten pomysł.

- Przepraszam? - odezwał się Swanbridge. - Ty jej to podsunąłeś?

- Pan Cooper ma niezły ubaw - wymamrotał Hollis Macintyre. - Debora Stone pracuje w Instytucie Studiów Europejskich. Tak się składa, że jest również zatrudniona przez Centralną Agencję Wywiadowczą.

- O cholera - roześmiał się generał Andrews. - Innymi słowy, masz go na patelni.

- Dokładnie - zgodził się Cooper.

- I do tego pięknie zapakowanego - powiedział Macintyre. - Teraz pozostaje tylko pytanie, komu wręczyć ten prezent.

- Szczerze? - odezwał się Shrenk. - Z prawnego punktu widzenia, im mniej wiemy o dalszych losach towarzysza Trawkina, tym lepiej.

- Z prawnego punktu widzenia wszyscy powinniśmy zostać oskarżeni o zawiązanie spisku, kochanie - uśmiechnęła się asystentka sekretarza skarbu. - Ale masz rację. Ten

Rosjanin to tylko szczegół, który powinniśmy pozostawić panu Cooperowi. To, co powinniśmy wiedzieć, to procedura... hm, po zrobieniu brudnej roboty, jeśli można tak powiedzieć.

- Rzeczywiście - skinął głową Swanbridge. - Przejście musi być gładkie. Nie możemy sobie pozwolić na kłopoty tak jak w aferze Haiga. - Sekretarz stanu obrócił się lekko na krześle. - Hollis?

- Nie będzie żadnych kłopotów - powiedział uspokajająco Macintyre. - Z wyjątkiem mnie i generała Andrews, wszyscy będziecie na urodzinach prezydenta, chyba się nie mylę?

- Skinęli bezgłośnie głowami. Macintyre się uśmiechnął.

- Dobrze. Teraz wszystko w rękach Josepha. - Macintyre skłonił swą wielką, lwiągową w stronę Swanbridge'a.

- Porozmawiam z Jackiem Reynoldsem i Charlesem Whittakerem, gdy tylko upewnimy się, że prezydenta i pana Teresi nie ma wśród nas. Obaj będą na przyjęciu.

Rozumiem, że ich pełnomocnictwa znajdują się już u prokuratora generalnego.

- Tak jest - skinął głową Shrenk. - W takim wypadku sukcesja odbywa się automatycznie. Joseph nie musi być nawet zaprzysiężony. Po prostu zostaje prezydentem Stanów Zjednoczonych z racji niedyspozycji urzędującego prezydenta i wiceprezydenta.

- Nie wiedziałam o tym - wymamrotała Elaine Goodhouse. - A co z Johnsonem?

Przecież po zamordowaniu Kennedy'ego został zaprzysiężony na pokładzie Air Force One?

- Mydlenie oczu - westchnął Macintyre. - Stary cap prowadził już wtedy kampanię i doskonale wiedział, że zaprzysiężenie to tylko taki gest pod publiczność.

- W porządku - odezwał się generał Andrews. - Co dalej?

- Wypuścimy trochę zasłony dymnej - odezwał się Hudson Cooper. - Dziennikarze będą chcieli mięsa. Damy im więc naszego mitycznego terrorystę.

- Chcemy oderwać uwagę opinii publicznej od zabójstwa tak szybko, jak to tylko możliwe - wtrącił się Macintyre. - Jeśli uda nam się tym posterować, to środki masowego przekazu będą nawoływać do ataku na Libię zamiast wzywać Senat do przeprowadzenia śledztwa w sprawie morderstwa.

- A tego z całą pewnością nie chcemy - uśmiechnęła się Elaine Goodhouse.

- Rzeczywiście nie chcemy - zgodził się Macintyre. - W każdym razie, w czterdzieści pięć minut, a najpóźniej w godzinę po tym wydarzeniu Joseph zostanie oficjalnie prezydentem. I po kłopotcie - teraz wszystko pójdzie gładko. Uwaga opinii publicznej będzie skupiona na naszym libijskim terroryście, a my będziemy mogli w tym czasie uporządkować swoje sprawy.

- Takie jak zmiany w rządzie, panie prezydencie? - zapytał prokurator generalny.

- Między innymi, Stuarcie - zaśmiał się Swanbridge.

- Mam pytanie do pana Coopera - powiedział generał Andrews.

- Tak?

- Aby nasz człowiek osiągnął cel, zarówno prezydent, jak i Teresi muszą znaleźć się jednocześnie w Owalnym Gabinetecie. Przyznaję, że obaj będą na przyjęciu urodzinowym, ale jak zamierza pan skłonić ich do spotkania w Gabinetecie bez żadnych podejrzeń?

- Pomyślałem o tym, panie generale - odparł Cooper. - Postarałem się o wyznaczenie spotkania poprzez Rumsforda i biuro szefa personelu. Nie podawałem powodów, dla jakich chcę spotkać się z prezydentem. Rozpuściłem jednak plotki, że chciałbym nieoficjalnie złożyć na ręce prezydenta swą rezygnację. Teresi od samego początku marzy o tym, by mnie wykopać. Będzie naciskał, by dyrekcję objęli jego ludzie, gdy ja i Maitland znikniemy ze sceny. Nie przepuści okazji, by od razu przycisnąć Tuckera. Rumsford jest człowiekiem Teresi'ego; postara się więc, żeby wiceprezydent dowiedział się o tym, że chcę złożyć



rezygnację.

- O której godzinę masz wyznaczone spotkanie z prezydentem? - zapytał Swanbridge.

- Na dziesiątą wieczorem - powiedział Cooper.

- O dziesiątej piętnaście będziesz już prezydentem Stanów Zjednoczonych

zawyrokował Macintyre.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze - odezwał się starszy mężczyzna.

- Macintyre machnął lekceważąco ręką. - Wszystko pójdzie dobrze, Joseph powiedział

mocnym głosem. Gwarantuję ci to.

Debora Stone siedziała w cichym salonie swego waszyngtońskiego mieszkania i

wpatrywała się w szarą metalową skrzynkę, która stała przed nią na stoliku. Była długa na

trzydzieści centymetrów, szeroka na dwadzieścia i wysoka na piętnaście centymetrów.

Wierzch umocowany był na zawiasach i zabezpieczony zamkiem szyfrowym. Prostota

pudełka uderzająco kontrastowała z urządzeniem w stylu art deco wewnątrz. Pudło zawierało

całą jej tożsamość.

Po rewelacjach byłego męża zadzwoniła do swojej skrzynki kontaktowej uspiętego

od dawna agenta KGB i dowiedziała się o śmierci Siergieja Kuriochina. Wiadomość ta

wstrząsnęła nią niepomierne i sprawiła, że Debora wyciągnęła na światło dzienne metalową

skrzynkę. Niewiarygodna opowieść Stephena i jej powiązania z Hudsonem Cooperem były

już bardzo stresujące, ale śmierć Kuriochina wydawała się niemożliwa do zniesienia.

Spotkała się z nim tylko raz w Moskwie, krótko po zwerbowaniu jej przez KGB.

Jednak Kuriochin był obecny w jej życiu przez ponad dziesięć lat. To on sprawił, że zyskała

nagle nową tożsamość i nowe życie. Zdawała sobie sprawę, że tylko on znał prawdę o niej - i

w ten sposób tylko on był prawdziwy w jej życiu. Całe jej życie, małżeństwo ze Stephenem,

przyjaźń z kolegami z Instytutu Studiów Europejskich, praca dla Centralnej Agencji

Wywiadowczej - wszystko to było oszustwom opartym na kłamstwach. To Kuriochin pokazał jej cel, dla którego warto to robić. Nawet kiedy nagrywała dla niego wiadomości na taśmę, to czuła, jakby w ten sposób prowadziła z nim rozmowę. Teraz to się skończyło. Po starym szpiegu pozostało jej tylko stalowe pudło.

Od samego początku wiedziała o istnieniu skrzynki i miejscu jej ukrycia: była zakopana niedaleko końca tunelu pod parkiem zoologicznym. Jej kontakt znał szyfr zamka, ale nie znał miejsca ukrycia pudła. Znalezienie pakunku i wykopanie go z ziemi było proste. Zrobiła to po odstawieniu Stephena i rosyjskiego agenta nad jezioro Anna. Teraz jednak nie bardzo wiedziała, czy rzeczywiście chce wiedzieć, co jest w środku.

Debbie Stone, ochrzczona przez Kuriochina mianem „Osien” wstała, znalazła pudełko papierosów i przypaliła jednego. Nie mogła usiedzieć w miejscu chodziła z kąta w kąt. Dotykała i przekładała z miejsca na miejsce ozdóbki, które zbierała od lat. Kłamstwa - tak samo jak jej nazwisko, praca, cały jej świat tylko obrazki, które miały uwiarygodnić tożsamość osoby, która nigdy nie istniała. Obróciła się i ponownie spojrzała na skrzynkę. Nie wiedziała, co robić.

Usiadła na sofie i zaciągnęła się głęboko papierosem. Miała przed sobą trzy drogi, a każda przedstawiała pewne ryzyko. Mogła postąpić zgodnie z procedurą i zameldować się rezydentowi KGB w Waszyngtonie albo moskiewskiemu centrum. Jednak szef waszyngtońskiego biura był niewiadomą - znała tylko jego nazwisko. Meldowanie się moskiewskiemu centrum także było strzałem na oślep. Nie miała żadnych możliwości, by sprawdzić, kto obejmie kierownictwo Pierwszego Dyrektoriatu i jakie będą poglądy tego człowieka.

Drugim wyjściem było nie podejmowanie żadnych działań. Ten wybór wyglądał najrozsądniej, ale zdawała sobie sprawę, że w końcu napięcie związane z takim życiem w

zawieszeniu stanie się nie do zniesienia.

Trzecim było przejście na drugą stronę. Z wyjątkiem własnej działalności nie mogła jednak zaoferować żadnych informacji o KGB. I do kogo miałyby się zwrócić? Do Hudsona Coopera, czy do byłego męża?

Przezesła dłoń włosy i w zamyśleniu potrząsnęła głową. Najbardziej wartościowa byłaby dla każdego z nich, gdyby zaproponowała, że dalej będzie robić swoje, jednak nie miała na to siły. Dała się zwerbować Kuriochinowi, ponieważ szczerze wierzyła, że ustrój radziecki był lepszy od zachodniego. Sowiecka demokracja socjalistyczna była dla niej bardziej sprawiedliwa i ludzka niż amerykański kapitalizm monopolistyczny. Mogła porównać oba ustroje. Przez ostatnie dziesięć lat żyła w końcu w Ameryce.

Debbie zgasła papierosa w popielniczce. Dobrze jest siedzieć w fotelu i rozważać sobie wady i zalety ustrojów politycznych. Ona miała zaś do czynienia z organizacjami wywiadowczymi dwóch wielkich mocarstw. Fakt, że działała praktycznie jako prywatny szpieg Kuriochina, musiałby być w równym stopniu niewygodny dla KGB, jak i CIA.

Następca generała na stanowisku szefa Pierwszego Dyrektoriatu nie będzie przekonany o jej lojalności. Hudson Cooper zaś stałby się pośmiewiskiem w całej CIA, gdyby wyszło na jaw, że jego doradca i kurier do specjalnych zadań - okazał się szpiegiem KGB.

Ostatecznie otworzyła pudło, uważnie przekręcając tarczę szyfrowego zamka. Uniosła wieko i nachyliła się, by zajrzeć do środka. Była tam zaklejona koperta, dwa paszporty - jeden kanadyjski, drugi szwajcarski, książeczka czekowa ze złotym stemplem Banque Credite Internationale de Geneve, mały mosiężny klucz na skórzanym rzemyku i kasetka magnetofonowa, na której nie było żadnej naklejki. Przyjęła jednak, że na kasecie została nagrana wiadomość od Kuriochina, ponieważ wszystkie raporty składała generałowi w taki właśnie sposób.

Z bijącym sercem wstała i poszła do sypialni po walkmana. Położyła urządzenie na stoliku, nałożyła słuchawki i wsunęła kasetę, wcisnęła przycisk i czekała. Po chwili usłyszała silny, spokojny, mocno naznaczony moskiewskim akcentem głos Kuriochina. Mówił po rosyjsku. Aż zamrugła oczami ze zdziwienia: generał zwracał się do niej używając, prawdziwego imienia.

*Moja droga Anno Rakoz! Fakt, że słuchasz teraz tego nagrania oznacza, że nie ma mnie już wśród żywych, albo zostałem pożarty przez macki ośmiornicy zwanej na zewnątrz KGB. Tak czy inaczej, nadszedł czas, abyśmy się pożegnali.*

*Dobrze nam się przez te lata pracowało, i podjąłem odpowiednie środki ostrożności, aby twoja tożsamość pozostała tajemnicą. Jeśli jednak jestem już martwy, albo znalazłem się w niedelikatnych łapach moich kolegów z Lubiani, to twoje nazwisko może szybko wypłynąć. Mając to na uwadze, powtarzam, że twoja tajemnica niedługo wyjdzie na jaw - musisz podjąć kilka decyzji i szybko działać.*

*Po pierwsze, istnieje kwestia twojej pracy i lojalności wobec organizacji, do której oboje należeliśmy. Udowodniłaś swoją ogromną wartość wywiadowczą i masz powody, by być z siebie dumna. Z drugiej strony, jak z pewnością wiesz, KGB tak jak jej odpowiedniki w innych krajach, jest instytucją bardzo podatną na politykę wewnętrzną. Agent, który okazał się niezmiernie wartościowy dla jednego człowieka, może stanowić straszliwe obciążenie dla drugiego.*

*Po drugie, kwestia twojej przyszłości i osobistego bezpieczeństwa. Jeśli z jakichś przyczyn nie wierzysz w przychylne powitanie przy Mount Alto albo w centrum w Moskwie, nie wahaj się i uciekaj. Masz w skrzynce dwa paszporty i książeczkę czekową konta w szwajcarskim banku, które zostało utworzone na nazwisko Monique Le Clerc, tak samo jak oba paszporty: kanadyjski i szwajcarski. Na koncie jest wystarczająca suma, byś mogła żyć w*

*dostatku do końca życia.*

*Trzecia sprawa to moja ostatnia wola jako szefa Pierwszego Dyrektoriatu. Przez dwadzieścia pięć lat sporządzałem notatki z mojej pracy. Początkowo pisałem je dla ćwiczenia pamięci, potem - aby mieć materiał do spisania pamiętników. W miarę, jak upływały lata, zacząłem sobie jednak zdawać sobie sprawę, jak bardzo niebezpieczny był już sam fakt sporządzania tych notatek. Mogłyby zostać mylnie odczytane przez moich zwierzchników w KGB albo wrogów zewnętrznych. Zamiast je zniszczyć, zdecydowałem się je ukryć. Dzięki częstym podróżom zagranicznymi mogłem przewozić je do skrytki depozytowej. Stwierdziłem, że to dziwne, iż ciągle trzymam te zapiski - może z przewrotności, a może w celu zapewnienia sobie czegoś w rodzaju nieśmiertelności ~ sam nie jestem tego pewien. W każdym razie piszę nadal i zapisane notatniki przewożę do skrytki. Znajdują się w skrzynce numer czterdzieści dziewięć siedemdziesiąt dziewięć w oddziale Banque Nationale de Paris w Saint-Mande na przedmieściach stolicy Francji. Kluczyk do skrzynki przywiązany jest do rzemyka. Możesz zrobić z notatkami, co ci się żywnie podoba: przeczytać albo nie, rozdać, użyć w targach jeśli nie będziesz miała innego wyjścia. Są teraz twoje, droga Anno. Na koniec, jeśli zdecydujesz się pozostać w tej grze, masz tam kopertę. Znajduje się w niej lista wszystkich naszych agentów w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Zjednoczonym Królestwie. Są tam także dane naszych szpiegów w NATO. W sumie jest tam około sześciuset pięćdziesięciu nazwisk-przy każdym data werbunku i inicjały oficera werbunkowego. Niektórzy z nich przeszli na naszą stronę pięćdziesiąt lat temu i wielu z nich na pewno od tamtego czasu wysoko awansowało.*

*Jakiś czas temu, po sprawdzeniu ich działalności, stwierdziłem, że ogromna większość tych domniemanych agentów - każdy z własnym dossier, oficerem prowadzącym i dużym budżetem - była całkowicie nieprzydatna z wywiadowczego punktu widzenia. Niektórzy, jak ty*

*i kilku innych, okazali się wyjątkowo cenni, reszta zaś powinna zostać zmieciona z naszej listy płac. Ja powinienem być tą miotłą.*

*Proponuję następujący sposób postępowania: przejdź na drugą stronę, lecz swojego anioła stróża wybierz bardzo ostrożnie. Daj Amerykanom listę, lecz nie rób tego od razu.*

*Przekazuj im nazwiska powoli, na przykład przez rok. Na pierwszy rzut oka wygląda to na przysługę dla Amerykanów, ale tak naprawdę może to zdruzgotać ich aparat wywiadowczy, tak jak przejście na stronę Rosjan Philby 'ego, Burgessa i Macleana. Byli oni podejrzewani o zdradę i prawie całkowicie nieprzydatni dla naszych celów. Ujawnienie ich pracy dla nas całkowicie sparaliżowało działalność brytyjskich służb wywiadowczych. Ich reputacja została na zawsze splamiona. Żadna agencja na świecie nie ufa teraz Brytyjczykom i żadna z nich nie dopuści ich do swoich informacji.*

*Masz teraz okazję osiągnąć podobny rezultat: jeden agent może sparaliżować działalność całej wielkiej agencji wywiadowczej. Ta akcja zagwarantuje ci miejsce w podręcznikach historii. Mnie zresztą też.*

*W każdym razie, droga Anno, wybór należy do ciebie. Kończąc, chciałbym tylko zaznaczyć, że powinnaś podjąć decyzję jak najszybciej - dopóki jeszcze możesz decydować o własnym losie. Daswidania, moje dziecko, i niech Bóg będzie z tobą.*

Głos generała urwał się. Debbie słyszała teraz tylko lekkie skrzypienie krzesła.

Kuriochin nachylał się, pewnie by wyłączyć magnetofon - pomyślała. Krzesło skrzypiało jakby było obite skórą. Musiało być już mocno podniszczone. Wyobraźnia podsunęła jej widok starca siedzącego w wytartym krześle i aż zadrzała od tej myśli.

Ściągnęła słuchawki i rzuciła je na stolik. Generał miał rację: gdyby przeszła na drugą stronę i przekazała Amerykanom listę agentów, CIA zatrzęsłoby się po same fundamenty.

Pokręciła z niedowierzaniem głową. Czuła, że jej kariera budowana była właśnie w tym celu.

Roześmiała się, przypaliła kolejnego papierosa i sięgnęła do pudła po zaklejoną kopertę. Odda się w ręce Amerykanów i przekaze im listę generała. Powie im także o Trawkinie i spisku na życie prezydenta. Powinni jej dać za to medal!

Z niecierpliwością rozerwała kopertę i wyciągnęła spięte kartki papieru. Powoli przejrzała listę z wypisanymi na maszynie nazwiskami. Przy każdym nazwisku wpisano zawód agenta, nazwisko i rangę oficera werbunkowego. Lista została sporządzona według kolejności werbowania. Najwcześniejszy werbunek pochodził z tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku i dotyczył wojskowego w stopniu majora, który stacjonował w Berlinie. Debbie rozpoznała to nazwisko. Facet od czasów wojny wysoko awansował. Czytała kolejne nazwiska. Jedne kojarzyła, inne wcale. Według listy, większość agentów została zwerbowana krótko po ukończeniu uniwersytetów. Niemal wszyscy pracowali w szacownych zawodach. Niemal wszyscy byli mężczyznami.

Przeglądała dokument, aż dotarła do ostatniej strony. Pośrodku kartki natrafiła wzrokiem na nazwisko, na widok którego ślina wyschła jej w gardle. Data werbunku przypadała na lipiec tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku; miejscem był Waszyngton. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co widzi, Debbie zaczęła czytać listę od początku. W lewym górnym rogu wypisana została data sporządzenia dokumentu: kwiecień tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty szósty. To wtedy stalowe pudło zostało zakopane w ziemi - w siedemnaście lat po zwerbowaniu tego człowieka przez KGB. Trzęsącymi się rękoma przerzuciła kartki, aż dotarła do ostatniej strony. Jej wzrok znowu przyciągnęło nazwisko znajdujące się pośrodku kartki.

- On nie mógł wiedzieć - wyszeptała cicho i nagle zdała sobie sprawę, że mówi po węgiersku. Czuła, jak nazwisko z listy wbija się w jej czaszkę jak cierń.

- On nie mógł wiedzieć.

Eric Rhinelandier płynął dwunastometrową łodzią mieszkalną po Potomacu.

Płynął powoli, pod prąd, jednak nie więcej jak dwa-trzy węzły. Chesapeake zostało już pięćdziesiąt mil z tyłu. Było wczesnie rano. Niebo miało kolor jasnej stalowej szarości. Rzeka była ciemna, a na jej tle niesamowicie wyglądały kłęby białej mgły, która unosiła się kilka centymetrów nad powierzchnią wody.

Po raz pierwszy od czasu opuszczenia Jamajki poczuł spokój. Wszystko: woda, łódź, cisza i samotność miały z pewnością wielki wpływ na jego nowy nastrój. Zdawał sobie jednak sprawę, że głównie wyciszyła go jego podświadomość, potrzebował bowiem koncentracji. Najlepszym sposobem na to było właśnie udanie się w miejsce, gdzie jedyną rzeczywistość stanowiło powierzone mu zadanie.

Sterując jedną ręką, spojrział na mapę rozłożoną na stoliku nawigacyjnym po jego lewej stronie. Według własnych obliczeń znajdował się już około dwudziestu pięciu mil od Waszyngtonu i zbliżał się właśnie do Hogbow Island. Notka na mapie mówiła, że jest to własność Parku Narodowego, tak jak większość z kilkudziesięciu wysepek na Potomacu, rozrzuconych na obszarze od Zatoki Chesapeake po wzgórza Wirginii.

Zmniejszył prędkość, pociągając do siebie podwójną dźwignię. Ledwo posuwał się naprzód pod prąd. Wyjrzał na zewnątrz i szukał wzrokiem miejsca, gdzie mógłby przybić do brzegu. Płynąc jakimkolwiek innym stateczkiem, musiałby się cały czas martwić o zanurzenie i trzymać się uważnie koryta zdradliwej rzeki, a także unikać mielizn. Jego łódź miała zanurzenie rzędu siedemdziesięciu centymetrów i dwa zabudowane motory Chryslera o łącznej mocy dwustu siedemdziesięciu koni mechanicznych, zdolne przepchnąć stateczek przez każdą mieliznę.

Idealnie nadawała się do jego celów. Była zbudowana w latach sześćdziesiątych,



pozbawiona blichtru nowoczesnych jachtów. Stanowisko sterowe umieszczone było wygodnie w przestronnej kabinie na prawej burcie. Mesa znajdowała się zaraz za jego plecami. Na drugiej burcie umieszczona była część kuchenna, z kuchenką gazową, piekarnikiem i lodówką.

Dwa stopnie niżej, na śródokręciu, znajdował się po lewej stronie wielki schowek, a po prawej kabina wyposażona we wszystkie wygody, nawet w prysznic. Część rufowa to kabina armatorska, wyposażona w podwójne łóżko i toaletkę. Dalej małymi drzwiami można było przejść do przedziału silnikowego. Podłogi łodzi wyłożone były ciemnoniebieską wykładziną dywanową, a ściany teakiem. Na dachu, nad mesą, znajdował się odkryty mostek z drugim stanowiskiem sterowym.

Stateczek miał niezłe wyposażenie: prosty radar, radiostację i echosondę w rzeczywistości ulepszoną wersję rybackiego echolotu. W razie potrzeby można było z niego wydusić dziesięć węzłów; prędkość podróżna zaś wynosiła sześć. Z pełnymi zbiornikami można było nią przepłynąć dwieście mil. W zupełności wystarczało mu to do jego celów.

Pojawiły się pierwsze promienie słońca i przegoniły opary mgły. Przed Rhinelandem wyłoniła się nagle wyspa. Z odległości pół mili wyglądała jak posadzona na wodzie kępa drzew. Zbliżył się i stwierdził, że mapa nie kłamała. Wyspa była całkiem spora. Miała nawet długą i wąską na sto metrów zatoczkę. Wejścia do niej strzegły dwie skały.

Wbił wzrok w mały ekran echosondy, umocowany w górnej części konsoli sterowej i skierował stateczek lekko na ukos nurtu, aż znalazł się trochę powyżej wejścia do zatoczki. Zmniejszył obroty silnika niemal do zera, by prąd zdryfował łódź w dół rzeki, po czym popchnął dźwignie gazu do oporu. Silniki zagrały i w jednej chwili przepchnęły barcę pomiędzy wielkimi skałami do wnętrza zatoki.

Wpłynął na spokojną wodę, znowu zmniejszył obroty silnika i pozwolił łodzi płynąć

siłą inercji do wąskiego paska żwirowej plaży. Echsonda niemal do samego brzegu pokazywała głębokość prawie dwóch metrów. Po zetknięciu się kadłuba z dnem, przerzucił na chwilę bieg na wsteczny i wyłączył silniki. Łódź stanęła w odległości około trzech metrów od brzegu. Rhinelandier powoli przeszedł na pokład dziobowy, rzucił kotwicę do wody. Szarpnął i upewnił się, że osiadła na dnie. Następnie przeszedł na rufę, zeskoczył do wody i przywiązał łódź liną do zwalonego w wodę pnia wierzby.

Wdrapał się na pokład i zszedł do mesy, po lornetkę. Wyszedł z powrotem na zewnątrz. Oparł się wygodnie o reling na lewej burcie i spenetrował przez lornetkę wejście do zatoki i rzekę. Wejście do małej, ukrytej zatoczki znajdowało się po zawietrznej stronie szlaku. Nawet jeśli będą w pobliżu przepływały jakieś łodzie, to jego barkę będą zasłaniać przed ludzkim wzrokiem dwie skały u wejścia. Nie miało to jednak żadnego znaczenia - nie zamierzał zatrzymywać się tu na długo.

Wrócił do mesy i wziął małą torbę lotniczą, zawierającą pistolet do paintballa kupiony w sklepie w Baltimore. Ze schowka wyjął pusty plecak, po czym poszedł do kambuza, otworzył lodówkę i z pojemnika na warzywa wyjął dużą plastikową torbę. Mniejszy pakunek wyciągnął z zamrażarki. Włożył plastikowe torby do plecaka, zarzucił ładunek na ramiona i wspiął się schodami na górę. Po chwili znalazł się na rufie. Zeskoczył na zwalone drzewo i zszedł na porośniętą trawą brzeg, tam znalazł ścieżkę wiodącą do góry pomiędzy zarośla.

Cała wyspa zgodnie z wyrysem mapy wznosiła się łagodnie, a pochylenie przechodziło w wąską grań ułożoną wzdłuż linii północ-południe. Nie zaznaczono żadnych budynków i z tego, co widział większość część wyspy porastały jawory i drzewa gumowe. Ścieżka natomiast wyglądała na koryto wyschniętego strumienia, spływającego okresowo ze wzgórza zarośniętego teraz wierzbowką i platanami. Liście i gałęzie były jeszcze ciężkie od deszczu, który padał poprzedniego dnia. Miał nadzieję, że może spływająca woda jeszcze

bardziej rozmyśla przestrzeń pomiędzy kanałem i ścianą piwnicy. Od czasu pierwszej wyprawy kilkakrotnie przeszedł swą podziemną trasą ucieczki, choć tym razem wchodził do podziemnego labiryntu włazem przy skrzyżowaniu ulic: F i Trzynastej. Droga z ciepłowni przy Dwunastej była zdecydowanie dłuższa. Wszystko było dopięte na ostatni guzik, z wyjątkiem kilku drobnych detali i pakunku, który zamówił u Mallory'ego.

Znalazł się na łące, która była zaznaczona na mapie. Rozejrzał się dookoła. Wszędzie spokojnie i cicho. Słyszał tylko niecierpliwy stukot głodnego dzięcioła, bardzo zajętego swą pracą. Ptaka nie było widać od strony rzeki, z czego był zadowolony. Na końcu polany dostrzegł spróchniały pień. Podeszedł tam, zrzucając plecak z ramion. Otworzył górną komorę, wyjął dużą plastikową torbę i wytrząsnął zawartość na pień. W torbie znajdował się łeb kozy, który kupił u rzeźnika w Aleksandrii i trzymał w zamrażalniku na łodzi.

Sięgnął do plecaka po mniejszą torbę, odwrócił się od pnia i obcasem wyrysował na mokrej trawie wielki owal dookoła pieńka. Jeśli nie będzie miał szczęścia, to prezydent będzie siedział za swym biurkiem w Owálnym Gabinetcie, stanowiąc bardzo mały cel. Łeb kozy na pieńku znajdował się na niższym poziomie, niż - jak to wyliczył - głowa Tuckera, ale odległość, z której będzie musiał strzelać w Owálnym Gabinetcie, była zbliżona.

Zabójca zajął pozycję z lewej strony owalu, mniej więcej w miejscu, które odpowiadało usytuowaniu przejścia z Owálnego Gabinetu do biura sekretarek, naprzeciw francuskich drzwi ogrodowych z kuloodpornego szkła, wychodzących na Różany Ogród. Z miejsca, w którym stał, teraz łeb kozy był obrócony profilem, inaczej niż będzie ustawiony Tucker, ale za to lepiej będzie mógł wypróbować amunicję, którą przygotował do tej roboty. Przykląkł, otworzył zamek błyskawiczny torby lotniczej, wyjął broń oraz małą siekierę z czerwoną rączką. Odłożył toporek i sprawdził pistolet. Z wyjątkiem mechanizmu spustowego oraz sprężyny, cały był wykonany z czarnego plastiku i do złudzenia przypominał

obrzuca bez kolby. Górna lufa była w rzeczywistości magazynkiem żelatynowych kul. W dolnej znajdował się mechanizm sprężynowy. Do tylnej części pistoletu przymocowany był wąż od zbiorniczka z dwutlenkiem węgla. Naciśnięcie spustu uwalniało na chwilę sprężony gaz, który wyrzucał kulę z prędkością sto pięćdziesiąt - dwieście metrów na sekundę. Zażądał, by pistolet został wyposażony w mechanizm samopowtarzalny, co oznaczało, że broń mogła strzelać automatycznie, wypluwając dwadzieścia pocisków o rozmiarach kulek do łożysk w czasie krótszym niż dwie sekundy.

Lufa i mechanizm spustowy miały razem długość dwudziestu ośmiu centymetrów.

Pistolet był niezauważalny, gdy przymierzył broń, ubrany w mundur SOP, idealnie mieścił się w rękawie, przymocowany do ręki dwoma taśmami. Rura ze sprężonym gazem biegła pod rękawem wzdłuż ramienia i pod pachą do butli przymocowanej do paska.

Z niniejszej plastikowej torby wyjął tuzin żelatynowych kulek i załadował je.

Zabezpieczył zamek, ustawił pistolet na strzelanie pojedyncze i zwiesił na chwilę swobodnie rękę. Odetchnął kilka razy głęboko, powoli wypuścił powietrze, po czym uniósł broń i wystrzelił jednym płynnym ruchem.

Rozległ się twardy trzask, gdy dwutlenek węgla wypełnił komorę i wystrzelił kulę. W ułamek sekundy później makabryczny cel na pieńku zadygotał lekko. Martwe oko błyszczące w odciętej głowie nie wykazało żadnej reakcji na uderzenie. Zabójca odłożył broń i butlę z gazem na pusty plecak, uniósł toporek i podszedł do pieńka, by zbadać rezultat próby.

W przeciwieństwie do fikcyjnych bohaterów powieści, Rhinelandier doskonale zdawał sobie sprawę, że kawałek wołowiny powieszony na płocie albo melon wiszący na sznurku nie były żadnym sprawdzianem użyteczności broni. Ludzkie ciało składało się z czegoś więcej niż z mięsa. Twardości melona także nie można było równać z wytrzymałością ludzkiej czaszki. Wybrał więc łeb kozy.

Przyklęknął na jedno kolano, by sprawdzić wynik uderzenia żelatynowej kuli. Trafiła centymetr pod lewym okiem, tworząc poszarpaną dziurę o średnicy dwóch, centymetrów. Używając jednej ręki, obrócił łeb i uśmiechnął się z zadowoleniem widząc, że nie ma dziury wylotowej. Uniósł toporek, wymierzył w środek czaszki i rozłupał ją jednym silnym cięciem. Łeb rozpadł się na dwie części. Spojrzał na wnętrze koziej głowy. Specjalnie powiedział rzeźnikowi, żeby zostawił mózg w ten sposób miał możliwość sprawdzić, czy broń była coś warta.

Cios siekiery rozciął mózg na pół, odsłaniając zniszczenie, jakiego dokonała specjalnie przygotowana amunicja. Palcem wskazującym prześledził drogę pocisku poprzez szarą masę mózgową. Pocisk po uderzeniu w czaszkę rozpląszczył się i rozpadł na kawałki, które rozprysły się po całym mózgu, siekając go na drobne cząstki. Aż skinął głową, bardzo zadowolony ze swojej roboty. Jeśli pociski dały sobie radę z czaszką kozy, to tym bardziej poradzą sobie z głową prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Normalny pocisk do paintballa składa się z żelatynowej powłoki, wewnątrz której znajduje się mieszanina farby wodnej - zwykle koloru czerwonego - i oleju z dorsza. Przy uderzeniu żelatynowa powłoka pęka i farba z olejem rozpryskuje się, tworząc plamę o około dwudziestocentymetrowej średnicy na ubraniu „celu”. Tak naznaczonego przeciwnika uważa się za „zabitego”. Generalnie cała ta gra w paintballa jest unowocześnioną i kosztowną wersją zabawy w Indian i kowbojów.

Zamiast normalnych kul, nabył kilkaset pustych żelatynowych „pocisków”, do napełnienia specjalną farbą fluorescencyjną, służących do nocnych gier. Z kupionych wcześniej termostatów wylał rtęć i strzykawkami modelarskimi, które dostał w sklepie hobbystycznym, wstrzyknął płynny metal, zmieszany pół na pół z wodą z kranu, do wnętrza pustych żelatynowych kulek. Woda i rtęć nie mieszały się, tak jak olej i woda. Tak

spreparowane kule zamroził na dwadzieścia cztery godziny i uzyskał mieszaninę metalu i lodu. W swym pokoju w Wyoming wypróbował jedną z nich, wywalając w centymetrowej grubości sklejce wielką dziurę - z odległości sześciu metrów.

Balistyka była stosunkowo prosta. Kula wystrzelona niemal bezgłośnie z napędzanego gazem pistoletu z prędkością wyjściową stu czterdziestu-stu sześćdziesięciu metrów na sekundę, ustawiała się cięższą, metalową częścią w przedniej części kuli, usuwając lżejszy lód do tyłu. Metal przy uderzeniu o drewno lub kości zachowywał przez chwilę kształt, popychany przez lód, który, tak jak woda, nie jest podatny na ściskanie. Tarcie wyzwolone przy wejściu pocisku w cel rozpuszcza żelatynową powłokę i zmrożone kulki rtęci rozpadają się we wszystkich kierunkach, rozdzierając tkankę mózgową jak ładunek śrutu. Efekt zastosowania takiego pocisku był zabójczy. Kule do paintballa pozostawiały po sobie bardzo korzystne wrażenie. Poddźwiękowa prędkość pocisku gwarantowała, że nie będzie rany wylotowej. Tucker i Teresi będą mogli leżeć w otwartych trumnach, a ściany Owального Gabinetu pozostaną czyste.

Rhinelandier złożył obie połówki łba kozy, chwycił pistolet i podszedł do linii, którą wcześniej wyrył obcasem. Tym razem stanął w miejscu zajmowanym przez kominek w Owalnym Gabinetecie, w odległości około dziesięciu metrów od prezydenckiego biurka. Ustawił broń na ogień ciągły, uniósł lufę i wcisnął spust. Rozległo się staccato trzasków. Pistolet wystrzelił grad zmrożonych pocisków prosto w resztki koziej głowy tkwiącej na pniaku. Wszystkie kule, jakie pozostały w magazynku, trafiły w cel. Roztrzaskały szczękę, czaszkę, nos i policzek. W niemal całkowitej ciszy kawałki kości, futro, tkanka mózgową i płyny tkankowe rozprysły się w powietrzu. W trzy sekundy od naciśnięcia spustu, łeb dosłownie rozplynał się w powietrzu. Na pieńku pozostała tylko gęsta, ciemna plama. Odbyło się to przy dźwiękach nie głośniejszych od stukotu maszyny do pisania.

Dzięcioł, którego wcześniej słyszał, znowu zaczął dziobać drzewo. Siedział gdzieś na skraju polany i robił więcej hałasu niż broń Rhinelandera. Zabójca spojrzał na pniak i uśmiechnął się.

- Wspaniale - powiedział cicho.

W Waszyngtonie znajduje się co najmniej setka różnych dogodnych miejsc, skąd turyści mogą oglądać kopułę Kapitolu. Najbardziej znany jest chyba pocztówkowy widok wzgórza z Mali, ukazujący budynek Kongresu w całej marmurowej krasie. Najmniej znany jest bez wątpienia widok z cementowni położonej nad rzeką Anacostia na nieużytkach pomiędzy Mostem Fredericka Douglassa i waszyngtońską Stoczną Marynarki Wojennej. Kopuła widziana od strony rzeki wznosi się, drżąc w rozgrzanym powietrzu, ponad apokaliptycznym widokiem pordzewiałych zbiorników, pokrytych graffiti hurtowni, skleconych z kawałków blachy szop i stosów przemysłowych śmieci. Obszar ten jest ograniczony mostem, Potomac Avenue, ulicą O i rzeką. Wokół cementowni na okrągło jeżdżą ciężarówki, a raz na jakiś czas policyjny radiowóz przedziera się, skrzypiąc resorami przez zapuszczone, nie utwardzone drogi, wijące się pośród gór śmieci. Jednym słowem - pełna chwastów i szczurów, opuszczona przez ludzi okolica.

Jest to Waszyngton, jaki rzadko oglądają turyści, odmienny od pięknych pomników i szerokich ruchliwych ulic: martwa strefa, jak rak tocząca zdrowe ciało miasta. To miejsce, gdzie spotykają się przestępcy i spiskowcy, miejsce, gdzie robi się podejrzane interesy i obraca wielkimi pieniędzmi.

Paul Mallory niespokojnie czekał przy nie oznakowanym niebieskim fordzie z garażu Langley. Czuł, jak w brzuch wbija mu się kabura z małym płaskim pistoletem, ukryta pod jaskrawa hawajską koszulą. To Hudson Cooper podsunął mu pomysł, by wziął na spotkanie broń. Twierdził że będzie się czuł pewniej. Rusznikarz powiedział mu, by założył jakieś luźne

ubranie, które zakryje wybrzuszenie na brzuchu i w razie konieczności pozwoli szybko sięgnąć po pistolet. Zamiast jednak pewności siebie, miał uczucie, że gra w filmie Hawaje PięćZero”, a myśl o wyciągnięciu broni przeciwko komuś takiemu jak Rhineland przyprawiała go po prostu o mdłości. Z grymasem na twarzy poprawił okulary i rozejrzał się po pustym terenie. W ostateczności, użyłby pistoletu, by strzelić sobie w głowę - w końcu gdyby spróbował wyciągnąć broń na zabójcę, to i tak czekałaby go pewna śmierć.

Gdzie u diabła on się podziewał? Rhineland telefonicznie przekazał bardzo precyzyjne informacje co do czasu i miejsca, tymczasem upłynęło już pół godziny od wyznaczonego czasu spotkania i wciąż go nie było widać. Nie pojawił się żaden samochód; gorzej - od czasu, gdy tu przybył, nie dostrzegł ani jednego człowieka. Spojrzał przez otwarte okno do wnętrza forda. Na siedzeniu leżały dwa pakunki owinięte brązowym papierem. W mniejszym znajdowało się pudełko po butach z kamieniami dla Rhinelandera. Klejnoty owinięte były kawałkami bawełny. W większym był specjalny radionadajnik Motoroli, którego zażądał zabójca, oraz dwuipółkilogramowa głowica z rakiety przeciwczołgowej AT3 Sagger. (Sagger był bronią sowiecką, teraz bardzo już rozprzestrzenioną na Bliskim Wschodzie).

- Mallory! - Nie wiadomo było, skąd dochodził głos. Agent nie dostrzegł niczego, co by go ostrzegło przed nadejściem Rhinelandera: żadnych smug kurzu ciągnących się za samochodem przekraczającym skrzyżowanie przy złomowisku. Nic z wyjątkiem rozżarzonego słońca i głosu. Głosu Rhinelandera.

- Tak? - Odparł Mallory. Odruchowo wyciągnął ręce do tyłu i dotknął rozpalonego metalu drzwi samochodu, zastanawiając się, czy morderca ma ze sobą broń. Zamrugał i przełknął ślinę. Głos dochodził gdzieś z przodu, z okolicy betonowego wzgórka umacniającego brzeg rzeki.



- Przyniosłeś wszystko? - Zdecydowanie brzeg rzeki. Cholera! Ten sukinsyn dotarł tu od strony wody!

- Tak. Wszystko, czego chciałeś. - Mallory znowu poczuł suchość w ustach.

- Dobra - odpowiedział niewidoczny głos. - Wyciągnij to z samochodu, przynieś na skraj drogi i odjedź.

- Tak - potwierdził Mallory. Powoli odwrócił się, trzymając dłonie z dala od pasa z bronią. Otworzył drzwiczki, nachylił się i wyciągnął obie paczki, po czym zaniósł je na pobocze. Przez chwilę zdawało mu się, że widzi coś wśród krzaków i śmieci: promień słońca, odbity przez... Lufę pistoletu? Soczewkę lornetki? Celownik optyczny? Włosy zjeżyły mu się nawet na piersi. Ze strachem przypomniał sobie Jamajkę i moment, gdy odnalazł go Rhinelander. Martwe i przerażająco zimne oczy, ponieważ zbyt wiele widziały i są zdolne do wszystkiego.

Mallory postąpił tak, jak zabójca mu kazał. Potem wrócił do forda, usiadł za kierownicą i odjechał. Gdy jechał w stronę ulicy O, koła wozu wyrzucały tumany kurzu. W kilka sekund pozostał po nim tylko pył wirujący w powietrzu i dwa pakunki na skraju drogi. Słońce nadal mocno paliło. Kurz zaczął opadać na hałdy śmieci, jak zasłona dymna na polu bitwy.

- Co się u diabła dzieje? - zapytał Mort Kessler patrząc przez lornetkę. Czeka przez pół godziny, potem rzuca pakunki na pobocze i tyle go widzimy.

- Coś musieliśmy przeoczyć - odparł Stephen Stone i nadal obserwował teren przez potężną lornetkę Zeissa. Obaj dyskretnie schowali się w opuszczonej hurtowni dwieście metrów od miejsca, gdzie Mallory zaparkował forda. Hurtownię wypełniała zastarzała mieszanka lekkich zapachów, które mieściły się gdzieś w skali pomiędzy koźmi a ludzką uryną. Zapach uryny można było usprawiedliwić po przeczytaniu pordzewiałego szyldu nad

zrujnowaną rampą ładunkową, z którego wynikało, że hurtownia należała do producenta lakierów poliuretanowych. Tylko skąd zapach koni?

- Tam - rzucił krótko Kessler z wyraźnym podnieceniem. Rudy agent pochylił się lekko do przodu. - Prawa strona drogi.

Stephen Stone obrócił się lekko na prawo i spojrział przez potężne szkła. Samotna postać szybko przesuwała się po betonowym wzniesieniu, ustawionym pomiędzy drogą i brzegiem rzeki. Mort Kessler stojący obok niego odłożył lornetkę i rzucił się do aparatu fotograficznego ustawionego na statywie. Szybko wyregulował ostrość i wcisnął spust szybkiej migawki, zrobi co najmniej tuzin zdjęć mężczyzny w chwili, gdy ten zeskakiwał z betonu i unosił pakunki.

- Cholera - wymamrotał Stone. - Przyszedł od strony rzeki, co oznacza, że ma łódź.

Dlaczego wcześniej o tym nie pomyśleliśmy?

- Bo nie mieliśmy czasu - pocieszył go Kessler, fotografując znowu zaciekle. - I tak ledwo zdążyliśmy założyć ten podsłuch na telefonie Mallory'ego.

- Gdzie mógł wynająć łódź? - zastanowił się Stone patrząc, jak tamten wspina się z powrotem na betonowe umocnienie.

- Eastern Power Boat Club albo Anacostia Boat Dock. Obie przystanie znajdują się pięć minut drogi w górę rzeki.

- Dobra - skinął głową Stone i odszedł od brudnego okna. - Wywołaj zdjęcia i siedź dalej Mallory'emu na ogonie. Ja pojedę za tym gościem i zobaczę, może czegoś się dowiem.

- Mam nadzieję, że nie marzą ci się bohaterskie czyny? - zapytał Kessler.

- Będę prowadził obserwację wzrokową z dużej odległości - uśmiechnął się Stone.

Uniósł dłoń wnętrzem do góry. - Przysięgam, że nie będę się wygłupiać.

- Jak się skontaktujemy? - zapytał rudy agent, wkładając lornetkę do pokrowca.

Stone zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Miejsce musiało być bezpieczne, takie, gdzie nikt nie będzie mógł ich obserwować.

- Hotel „Marriott” w Key Bridge - powiedział w końcu. - Parking przed głównym wejściem.

Generał Władimir Arkadiewicz Gurenko zjechał windą na dół ze swego biura w głównym kompleksie Mount Alto. Zastanawiał się w tym czasie nad swoim losem i planował następne posunięcia. Inteligencja, talent i motywacja zanosły go na szczyty, które były właściwie poza zasięgiem dla ludzi bez nomenklaturowych układów. Teraz jednak sytuacja wyglądała źle. W tych okolicznościach może wszystko stracić. Jego kariera, a może i życie zależały teraz od tego, w jaki sposób poradzi sobie ze sprawą tej „Osiny” i Dmitrija Trawkina. A jeszcze każdy jego ruch był skrzętnie obserwowany przez tego szczura Iwaszutina.

Kuriochin przed śmiercią opracował teorię o możliwości zamordowania prezydenta.

Zarówno Debbie Stone - agentka generała - jak i Dmitrij Trawkin - oficer GRU - byli w tę sprawę głęboko zamieszani. Jeśli taka operacja zostałaby przeprowadzona, to rosyjski ślad z pewnością wypłynąłby na wierzch, opóźniając głośność i pieriestrojkę o całe dekadę.

Gurenko, podobno jak Kuriochin i większość wysokich oficerów KGB, uważał filozofię Gorbaczowa za szaleństwo, które przyniesie Związkowi Radzieckiemu najgorszy bałagan w dziejach kraju. KGB nie było już taką potęgą, jak w dawnych czasach. Politbiuro na pewno nie będzie łaskawym okiem patrzeć na ludzi wmieszanych w ten amerykański spisek.

Z drugiej strony, „Osina” była niezwykle cennym agentem, a Trawkin oficerem wojska. Nie byłoby łatwe usunięcie ich, przynajmniej w politycznym tego słowa znaczeniu.

Kozłow, dowódca Trawkina w GRU, był głupcem, ale głupcem z przyjacielami postawionymi bardzo wysoko, a „Osina” była podopieczną Kuriochina. Nawet spoczywając w kostnicy, stary sukinsyn był wszechmocny - będą się go w KGB bać nawet, gdy jego ciało zostanie

pochowane w kremłowskich murach. Ludzie, którzy przetrząsali jego mieszkanie w Moskwie, znaleźli pamiętniki sięgające czterdziestu lat wstecz, a istniała uzasadniona obawa, że mógł zrobić kopie tych dzienników. Gurenko ze zmęczeniem potrząsnął głową. Ta sprawa będzie się odbijać czkawką jeszcze przez dziesięciolecia!

Winda zjechała na trzeci poziom pod ziemią; Gurenko wyszedł wąski korytarz.

Surowe betonowe ściany pomalowane były pobieżnie na żółto. Na podłodze ułożono zgrzebne brązowe linoleum. Był pewny, że wybrano takie kolory dla przypomnienia posłanym tu ludziom więzienia na Łubiance - tak na wypadek, gdyby zbytnio zapatrzili się na kolorowe i błyszczące wystawy Wisconsin Avenue, oddalonej o kilka przecznic na wschód. Znalazł się na końcu korytarza. Pchnął wygłuszone obiciem drzwi i usłyszał natychmiast huk wystrzałów - wszedł do podziemnej strzelnicy. Członkowie radzieckiego korpusu dyplomatycznego, a nawet pracownicy ochrony ambasady, nie mieli prawa wwozić na teren Stanów Zjednoczonych żadnej broni. Ograniczenie to obchodzili, kupując potrzebne uzbrojenie w którymś z kilkudziesięciu miejscowych sklepów sportowych. Strzelnica służyła również za laboratorium badawcze, w którym sprawdzano najnowsze modele broni, skonstruowane dla amerykańskiej armii.

Mężczyzna, którego szukał, stał przy trzecim stanowisku. Nazywał się Artiom

Roginski - ciemnowłosy typ z włosami poprzetykanymi siwizną i dłońmi jak bochny, tak wielkimi, że prawie całkowicie chował się w nich szwajcarski pistolet maszynowy Rexim-Favor. Roginski oparł drewnianą kolbę broni o biodro i zaczął seriami strzelać do tarczy, gdy Gurenko ruszył w jego stronę. Minę miał tak znudzoną, jakby wbijał nity w stalową blachę.

- Roginski - zawołał Gurenko, starając się przekrzyczeć echo wystrzałów. Olbrzym obrócił się, zachowując znudzoną minę. Rozpoznał Gurenkę, choć nie okazał tego po sobie.

W amerykańskim Departamencie Stanu Roginski widniał jako młodszy attache w dziale

kulturalnym

ambasady.

Naprawdę

jednak

był

dowódcą

rzadko

używanego

dziesięcioosobowego komanda Specnazu - jedynej takiej grupy w całej Ameryce Północnej.

W ostatnich dwóch latach komando zostało zatrudnione tylko czterokrotnie. W każdym z tych

przypadków do odnalezienia zaginionych pracowników ambasady. Dwóch pracowników

odnaleziono w izbach wytrzeźwień policji miejskiej, w jednym wykryto romans

homoseksualny i tylko jeden pracownik okazał się zdrajcą, który przeszedł na drugą stronę.

- Dzień dobry, towarzyszu generale - powitał go Roginski, odkładając pistolet

maszynowy na ławkę.

- Scenariusz, który przedstawił panu towarzysz Iwaszutin, wchodzi w życie - oznajmił

krótko Gurenko. - Proszę zebrać sześciu ludzi i za godzinę być w sali konferencyjnej.

- Oczywiście - odparł Roginski. - Czy jeszcze coś?

- To wszystko - odpowiedział Gurenko. Odwrócił się i poszedł w stronę grubo obitych

drzwi.

- To dobrze - powiedział za wychodzącym Roginski. Uniósł rexima-favora, wrzucił

cały magazynek i popatrzył na cel kołyszący się dwadzieścia metrów przed nim. Miał on

zarys postaci człowieka i pomalowany był na czarno. Wcześniej wystrzelił w nim wielką

dziurę na wysokości klatki piersiowej. Jedyne podobizna głowy była stosunkowo cała.

Zarepetował broń, odciągnął bezpiecznik i dotknął palcem spustu. Odetchnął głęboko, uniósł pistolet do oka i przycisnął spust. Głowa celu znikła. Obserwatorzy zakasłali z aprobaty. Czas na piwo, zanim pójdzie na spotkanie z generałem.

## Rozdział 22

Trzyosobowy zespół przeczesywał mieszkanie Paula Mallory'ego w Alexandrii z metodyczną dokładnością. Wszyscy trzej mieli na sobie granatowe wiatrówki, na których plecach wydrukowano białe napisy: STOŁECZNA SŁUŻBA KURIERSKA. Dwóch roznosiło po całym domu zawartość wielkich walizek, podczas gdy trzeci pracował nad komputerem Mallory'ego. Specjalista, który sporządził psychologiczny portret Mallory'ego, nie wykluczył możliwości, że mógł on sprzeniewierzyć tajne materiały. Mężczyzna przy komputerze był specjalistą komputerowym. Do tej pory znalazł już w komputerze ukrytą przez Mallory'ego informację o Rhinelandrze, a teraz pracował nad rozkodowaniem programu, by przekazać tę informację pocztą elektroniczną do biura.

Od czasów sprawy Philipa Agee i Victora Marchetti pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku lat siedemdziesiątych oraz ustanowienia federalnej Ustawy o Wolności Informacji, w Agencji zdecydowano, że należy przedsięwziąć środki w celu zapewnienia CIA bezpieczeństwa wewnętrznego. W połowie lat siedemdziesiątych w Dziale Operacyjnym powstał specjalny, utajniony wydział. W bilansach finansowych określany był jako Grupa Analiz Historycznych. GAH. Grupa ta oficjalnie pracowała w biurze w Georgetown, lecz tak naprawdę rezydowała w Camp Peary - czyli po prostu na „Farmie”.

Ich zadaniem nie było analizowanie historii, lecz wręcz przeciwnie - zmienianie jej biegu. Członkowie GAH-a mieli robotę wówczas, gdy agent przeszedł na drugą stronę albo operacja się nie udała. Usuwali lub podmieniali akta w urzędach publicznych, zmieniali ludziom tożsamość i tak wygładzali wydarzenia, by przystawały do oficjalnej polityki agencji.

W sprawie Mallory'ego, którą nakazał im przeprowadzić sam zastępca dyrektora do spraw operacji, zadanie polegało na podrażnieniu uczciwości agenta, by pozbawić go w ten sposób wiarygodności. Wicedyrektor nie wchodził w szczegóły, było jednak jasne, że Mallory zamierzał opublikować materiały, do których miał dostęp jako specjalny asystent Coopera. Zespół pracujący obecnie w mieszkaniu przewracał do góry nogami jego życiorys.

Podrzucał dowody, które wskażą, że jest szczególnie wstrętnym przypadkiem homoseksualisty ze skłonnościami do młodych chłopców. Podrzucili cały zestaw listów miłosnych oraz korespondencji na inne tematy. Okazało się, że jest niewiarygodny, chciwy i stanowi potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Po rozmieszczeniu dowodów, fotograf zrobił zdjęcia in situ, które później będzie można wykorzystać i wręczyć Departamentowi Sprawiedliwości w celu wszczęcia postępowania pod zarzutem szpiegostwa i zdrady - chyba że facet pójdzie na współpracę.

Zespół GAH przez dwie godziny wypełniał zadanie. Jego członkowie zabrali ze sobą dwie puste już walizy, po czym wsiedli do nie oznakowanej furgonetki i ruszyli w drogę powrotną do Camp Peary. Mieszkanie zostało odpowiednio spreparowane kompromitującymi dowodami, a dysk komputera wyczyszczony dokładnie z wszelkich niebezpiecznych informacji. Teraz zadanie miała przejąć zupełnie inna grupa, która będzie musiała tylko aresztować i doprowadzić Mallory'ego na przesłuchanie.

Lyall Spencer, szef oddziału Secret Service ochraniającego Biały Dom, szedł jedną ze ścieżek wijących się po północnej stronie ogrodu. Ręce trzymał w kieszeniach marynarki. Starał się zwalczyć ostry ból żołądka. Po czternastu latach służby, w tym trzech latach spędzonych na ochronie Białego Domu, poważnie myślał o dymisji. Miał czterdzieści siedem lat, był rozwiedziony, wpadał powoli w alkoholizm i czuł zmęczenie.

Innymi słowy, wypalił się już i gotował się do odejścia. Był jednak niemal pewny, że

kierowanie terenowym oddziałem gdzieś w Des Moines albo w innym zapomnianym przez Boga miej scu niewiele zmieni w j ego życiu po trzech latach spędzonych w Białym Domu. Praca była cholernie uciążliwa, ale miała też swoje zalety. Panienki w barach robiły wszystko, o co poprosił, gdy tylko pokazywał swoją blachę.

W tej chwili jednak nie myślał o przyjemnościach - był w pracy. Nic na świecie nie było ważniejsze od bezpieczeństwa prezydenta Stanów Zjednoczonych, a on był odpowiedzialny za to zadanie. Tak często używał tego stwierdzenia udzielając pouczeń swoim podwładnym, że podarowali mu nawet koszulkę z napisem: „Stoisz przed odpowiedzialnością”. I była to prawda: prezydent był odpowiedzialny za kraj, a on, Lyall Spencer, syn George’a, hydraulika z Nowego Jorku, i Marie, wyrabiającej ciasteczka z jabłkami księgowej, odpowiadał za bezpieczeństwo prezydenta.

Szef Secret Service opadł ciężko na ławkę przy ścieżce i zapalił tego dnia pięćdziesiątego pierwszego papierosa. Przepisy zabraniały palenia na służbie. Palił więc poza godzinami pracy. Pogląd Spencera na ten temat był bardzo klarowny: nie należy dopuścić, by turyści widzieli agenta ochrony Białego Domu z papierosem w ustach.

Godzina przed zachodem słońca, gdy cienie wydłużały się i przygasał blask słońca, ograniczając ostrość widzenia, była dla niego najgorsza. W Wietnamie mówili o niej: godzina śmierci. Półmrok sprawiał, że czuł się niespokojny.

Oczywiście było to głupie i niczym nie uzasadnione uczucie, szczególnie w tym miejscu. Dla ludzi z zewnątrz Biały Dom stanowił symbol potęgi Ameryki. Pojawiał się wszędzie: zarówno na banknotach dolarowych, jak i w dziennikach CNN. Spencer jednak widział więcej od turystów. Trawnik, na którym dzieci podczas świąt wielkanocnych turlały pisanki, stanowił jedno wielkie pole minowe, usiane czujnikami ruchu. Płot wzmocniały ukryte kable mikrofalowe, a szyby w oknach były wykonane ze szkła kuloodpornego.



Prezydent mógł znaleźć się w niebezpieczeństwie wychodząc z jakiegoś hotelu albo witając się z tłumem. Biały Dom było dla niego bezpiecznym miejscem. Dlatego też Harry Truman nazwał swoją siedzibę wielkim białym więzieniem.

Spencer zaciągnął się papierosem i wypuścił dym w nieruchome, wilgotne powietrze.

Niepokój mógł wydawać się w jego sytuacji śmieszny, ale na tym między innymi polegała jego praca. Pomimo wszystkich detektorów ruchu, wykrywaczy metali, wewnętrznego systemu radarowego, przycisków alarmowych, tak naprawdę nawet tutaj prezydent nie miał żadnej gwarancji bezpieczeństwa. Nie trzeba było snajpera z karabinem, aby zabić prezydenta. Wystarczyłaby cegła albo przycisk do papieru.

Przyjęcie urodzinowe, jakie Tucker miał wydać następnego dnia, napawało go takim właśnie niepokojem. On i pozostali funkcjonariusze Secret Service przedsięwzięli wszelkie środki ostrożności. Wszyscy zaproszeni goście tak jak personel firmy cateringowej i sprzątającej zostali dokładnie prześwietleni. Sprawdzili nawet, czy w dostarczonym z zewnątrz cieście, z którego miał zostać upieczony tort, nie było trucizny. To wszystko jednak nie oznaczało wyeliminowania zagrożenia. Wystarczyło, że któryś z gości w jakiś sposób oszuka służby bezpieczeństwa, okaże się niezrównoważony psychicznie i chwyci nóż do krojenia ciasta. Niemniej zrobili wszystko, co w ich mocy, by prezydent był bezpieczny.

Wciąż jednak ciążył mu lunch, który zjadł ze Stephenem Stone'em, i nie mógł zapomnieć o ich rozmowie. Jeśli Cabrera był w niebezpieczeństwie, to zagrożony był także prezydent. Ale nawet po sprawdzeniu tych rewelacji, nie dał się ponieść emocjom. Próbował skontaktować się ze Stone'em. Podany numer nie odpowiadał, a gdy zadzwonił do jego biura w FBI, został potraktowany bardzo zimno. Dopiero od znajomych dowiedział się, że Stone został zawieszony w pełnieniu obowiązków.

Westchnął ciężko. Zdusił papierosa, strząsnął popiół na żwir ścieżki, zaś niedopałek

wsunął do kieszeni marynarki. Stone wydawał mu się rozsądnym człowiekiem, choć szef Secret Service nie znał go zbyt dobrze. Zawieszenie go w pełnieniu obowiązków było dość dziwne i w jakiś sposób ciążyło nad całą rozmową. Nie mógł nic na to na razie poradzić. Ten kiepski scenariusz przedstawienia „El Presidentes” będzie musiał poczekać do następnego miesiąca. Teraz musi zająć się przyjęciem urodzinowym.

Wyjął krótkofalówkę z uchwytu przy pasie i wywołał centrum dowodzenia w piwnicy wschodniego skrzydła budynku.

- „Piwnica”, tu „Smok-Jeden”. Jak tam sytuacja?

- Czysto, „Smok-Jeden” - usłyszał metaliczny głos dyżurnego strażnika.

- Gdzie „Diament”? - zapytał Spencer używając radiowego sygnału wywoławczego prezydenta.

- Je obiad ze „Smaragdem” w rodzinnej jadalni.

- W porządku - odpowiedział Spencer. - Dajcie mi znać, jeśli któreś z nich będzie się wybierało na spacer.

- Dobra, „Smok-Jeden”.

Spencer schował krótkofalówkę i poszedł dalej ścieżką w stronę posterunku przy Pennsylvania Avenue i West Executive. Szedł powoli ze zwieszoną głową. Myślał o środkach, jakie powinien zastosować następnego dnia. Zastanawiał się również, czy czegoś nie przeoczył, marząc jednocześnie o zimnym piwie.

Eric Rhineland wrócił już po raz ostatni do Wyoming, zrobił sobie herbaty i wziął się za pakunki. Na razie odłożył pudło z kamieniami na bok i ostrożnie otworzył scyzorykiem drugą paczkę, po czym uważnie wyjął jej zawartość. Położył obłą głowicę przeciwczołgową wyposażoną w sprężynowy zapalnik kontaktowy na blacie biurka i obejrzał ją z uwagą.

Dwupółkilogramowy ładunek został zrobiony z użyciem pikrytu amonium. Uzbrojona w

zwykły mechanizm zegarowy, wywoła odpowiednio głośną eksplozję, w odpowiednim momencie.

Dotarł już do miejsca, gdzie do piwnicy wchodziły główne kable elektryczne i telefoniczne. Mógł je w każdej chwili przeciąć, ale wybuch ładunku posłużył do odwrócenia uwagi po wypełnieniu zadania i pomoże dostać się do kanału. Głowica, zdolna wywalić dziurę w dziesięciocentymetrowej grubości pancerzu, wystarczy w zupełności, by rozbić stosunkowo cienką betonową ścianę piwnicy.

Następnie zabójca wydobyl z paczki nadajnik i ułożył go obok pudełka ze szmaragdami. Dokładnie takie radio znajdowało się na wyposażeniu Secret Service w Białym Domu. Ten egzemplarz został dostrojony do częstotliwości używanej przez ludzi Spencera. Rhineland sam mógłby odnaleźć kanał, na którym rozmawiali, stosując skaner z Radio Shack. Byłaby to jednak niepotrzebna strata czasu i energii, skoro Cooper mógł bez trudu dostarczyć mu dostrojoną krótkofalówkę.

W paczce pozostała już tylko płaska, zaklejona manilowa koperta. Sprawdził ją jeszcze, by upewnić się, że Mallory nie próbował jej otworzyć, po czym scyzorykiem rozdarł brzeg. Wewnątrz znajdowały się dwa dokumenty. Jeden zawierał kody wywoławcze stosowane przez oddział Secret Service w Białym Domu oraz ich znaczenie; drugi, złożony z kilku spiętych razem kartek, był harmonogramem prezydenckiego przyjęcia urodzinowego.

Przerzucił najpierw wzrokiem listę sygnałów radiowych. Próbował je zapamiętać:

Prezydent - „Diament”

Wiceprezydent - „Kobalt”

Pierwsza Dama - „Smaragd”

Sekretarz Stanu - „Krzemień”

Sekretarz Obrony - „Granat”

Przewodniczący Izby Reprezentantów - „Złoto”

Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego - „Granit”

Lekarz Białego Domu - „Heliotrop”

Rzecznik prasowy - „Szkapa”

Biały Dom - „Korona”

Air Force One (samolot prezydencki) - „Anioł”

Marine One (prezydencki helikopter) - „Ostrze”

Prezydencka limuzyna - „Dyliżans”

Rezydencja dla VIP-ów - „Tarcza”

Kapitol - „Miecz”

Baza Lotnicza Andrews - „Hełm”

Camp David - „Zagroda”

Szef grupy Secret Service - „Smok”

Kwatera dowództwa Secret Service - „Piwnica”

Odłożył kartkę i zajął się z kolei harmonogramem przyjęcia. Dokument zawierał nawet kompletną listę zaproszonych gości oraz jadłospis. Program urodzin był fotokopią oryginalnego harmonogramu wykonanego na papierze firmowym Białego Domu. Pobieźnie przejrzał listę gości i przeszedł do planu samego przyjęcia.

18.30

Powitanie w Salonie Dyplomatycznym

Wejście Południowe

19.00

Koktajl w Sali Wschodniej

„Niech żyje szef

19.45

Kolacja w sali jadalnej

21.00

Tort i kawa

Biblioteka

„Werble i Fanfary”

21.45

Ognie sztuczne na północnym trawniku

Na harmonogramie ktoś dopisał starannie ołówkiem niewielką notatkę: „od dwudziestej pięćdziesiąt do dwudziestej pięćdziesiąt pięć”. Z tego, co wiedział, kolacje w Białym Domu odbywały się ściśle według harmonogramu. Posiłek zacznie się zatem punktualnie o dziewiętnasta czterdzieści pięć i zakończy dokładnie godzinę później. Potem nastąpi piętnastominutowa przerwa, na przejście do biblioteki i toaletę. Podczas tych piętnastu minut prezydent i wiceprezydent dzięki planowi Coopera spotkają się w Owalnym Gabinetcie. Zabójca rozwinął powiększone plany pomieszczeń Białego Domu.

Sala jadalna znajdowała się na państwowym - czyli drugim - piętrze budynku, w jego zachodniej części. Prezydent, wiceprezydent oraz Hudson Cooper będą musieli pójść tylnymi schodami od głównego korytarza, albo zjechać windą. Winda, w której musieliby znaleźć się dodatkowo dwaj agenci Secret Service, byłaby zbyt zatłoczona, więc bardziej prawdopodobna była sytuacja, że raczej zjedną schodami. Z klatki schodowej wyjdą następnie na zachodni korytarz na parterze i przejdą obok kuchni i kwater obsługi.

Jak dopisze pogoda, to do Owального Gabinetu będą szli kolumnadą przez Ogród Różany. Jeśli będzie padać, przejdą korytarzem obok niedawno wybudowanego basenu. Z planu wyliczył dokładne odległości i kilkakrotnie przeszedł taki sam dystans, mierząc czas.

Jeśli będą szli powoli, przejście do Owального Gabinetu zajmie im cztery i pół minuty.

Owalny Gabinet miał cztery wejścia: francuskie oszklone drzwi na prawo od prezydenckiego biurka, wychodzące na kolumnadę i Ogród Różany; niemal niewidoczne drzwi w ścianie po lewej stronie biurka, do prywatnego gabinetu prezydenta; wyjście na prawo od kominka w północnej części sali, do sekretariatu, oraz drzwi na lewo od kominka, służące jako oficjalne wejście do gabinetu, wychodzące na wąski korytarz.

Z wyjątkiem szklanych drzwi do ogrodu oraz wejścia do prywatnego gabinetu, pozostałe drzwi wykonane były z grubych dębowych desek pomalowanych na biało. Drzwi można było otwierać w obu kierunkach. Zabezpieczone były tylko pionowymi bolcami. Miały zasuwki z klamką po wewnętrznej stronie i zamkiem na klucz od zewnątrz. Szyby jak w oknach tak i w drzwiach, były kuloodporne. Zastłony zaś na trzech wąskich oknach za prezydenckim biurkiem były podszyte tkaniną syntetyczną, która zatrzymywała ewentualne odłamki.

Podczas gdy prezydent i wiceprezydent będą znajdować się w gabinecie, dwóch agentów Secret Service będzie pełnił straż na zewnątrz. Pierwszy przy szklanych drzwiach francuskich, drugi pod oknami od południowej strony, trzeci agent będzie stał na korytarzu pod głównym wejściem do gabinetu, czwarty zaś za drzwiami w sekretariacie.

Rozmieszczenie i liczba agentów bezpośrednio pilnujących bezpieczeństwa Owального Gabinetu stanowiły najważniejszą przeszkodę w realizacji planu. Będzie musiał pokonać przynajmniej jednego agenta Secret Service, aby przedostać się do prezydenta. Po długich rozmyślaniach zdecydował w końcu, że do Owального Gabinetu dostanie się z sali posiedzeń rządu. Długa, wąska sala sąsiadowała z sekretariatem prezydenta. Łączyła się z kolumnadą i korytarzem biegnącym wzdłuż basenu.

Jeśli pójdzie w stronę zachodniego skrzydła rzadko używanym tunelem w piwnicy,

dotrze do schodów na parterze i znajdzie się w zasięgu wzroku agenta Secret Service, który stoi pod drzwiami w prywatnym gabinecie prezydenta. W praktyce może to tak wyglądać, jakby oddalał się od Owального Gabinetu i szedł w stronę kolumnady. Tam jednak skręcił w prawo do korytarza kolumnady i wejdzie do sali posiedzeń rządzących z dwóch niewielkich drzwi, usytuowanych po obu stronach kominka. Pozostanie wówczas pod drzwiami, aż nadejdzie odpowiedni moment na wejście do sekretariatu. Wyeliminuje wówczas dyżurującego tam agenta i będzie miał wolną drogę do Owального Gabinetu. Po wykonaniu roboty, wyjdzie tą samą trasą, którą wszedł.

Jeżeli w tym momencie wybuchnie ładunek podłożony w piwnicy w północnym portyku, to zabraknie elektryczności w całym budynku. Ponieważ w piwnicy znajdował się także generator do zasilania awaryjnego, to cały Biały Dom zostanie pozbawiony światła. System bezpieczeństwa Białego Domu i przyległych terenów miał oddzielne zasilanie. Przez krótki czas jednak „Piwnica”, czyli usytuowana w zachodnim skrzydle siedziba dowództwa Secret Service, będzie ślepa, głucha i niema. W tym właśnie czasie przedostanie się z powrotem do piwnicy w północnej części budynku.

Zgodnie z przepisami, w wypadku potencjalnego zagrożenia agencji ochrony Białego Domu mieli natychmiast zająć się osłanianiem przydzielonych im ludzi. Ponieważ prezydent i wiceprezydent mieli być w Owalmym Gabinecie, to praktycznie cały oddział, z wyjątkiem czteroosobowej grupy ochraniającej żonę prezydenta, skieruje się do zachodniego skrzydła, by utworzyć szczelny kordon wewnątrz, jak i na zewnątrz budynku.

Półtorej minuty od odkrycia zabójstwa zaalarmowany zostanie każdy agent Secret Service i Służby Ochrony Personelu, a teren Białego Domu będzie odcięty od reszty świata, tak by uniemożliwić zabójcy ucieczkę. O wszystkim będzie powiadomiona natychmiast policja miejska i FBI. Zostaną obstawione dworce autobusowe, kolejowe oraz lotniska Dulles,

National i Baltimore. Możliwe jest nawet zarządzanie blokad drogowych.

I tak nic by to wszystko nie dało.

Hotel „Marriott” w Key Bridge znajdował się przy moście Francisa Scotta po stronie stanu Wirginia, pomiędzy George Washington Memorial Parkway i Lee Highway. Od strony pomocnej znajdował się Potomac. Po stronie waszyngtońskiej usytuowany był Uniwersytet Georgetown. Na wschód od hotelu znajdowała się zadrzewiona Wyspa Roosevelta, a na południe wznosiły poszarpane baszty domów mieszkalnych, biurowców i hoteli składających się na przedmieście Rosslyn. Dalej na południe, ukryty za ścianą budynków, leżał Cmentarz Arlington, a za nim niska forteca Pentagonu.

Stephen Stone stał przy swoim samochodzie na parkingu przed „Marriotten” z papierosem w ustach. Patrzył na światła błyskające na gmachu Centrum Kennedy’ego, którego wielki kształt był ledwo widoczny poprzez drzewa rosnące na Wyspie Theodore’a Roosevelta. Za Centrum Kennedy’ego miasto spowite było zasłaniającym je obłokiem gorących spalin. Tutaj, po stronie Wirginii, było chłodniej, tak przynajmniej wydawało się agentowi FBI, który narzucił na siebie pomietą marynarkę.

Poszukiwania zabójcy utknęły w martwym punkcie. Dziesięć minut zajęło dotarcie do samochodów i pięć dalszych dojazd do Power Boat Club za mostem Anacostia. Następnych dziesięć minut legitymowali się kierownikowi przystani. W sumie upłynęło za wiele czasu. W rezultacie dostał tylko listę łodzi wynajętych tego dnia i zwróconych po południu. Znajdowało się na niej siedemnaście nazwisk, a ponieważ Stone był zawieszony w pełnieniu obowiązków, nie miał możliwości szybkiego sprawdzenia tych ludzi.

Czekając na Morta pod „Marriotten”, wykręcił numer do Debbie w pracy, a potem do domu. Nie odbierała. Nikt nie podnosił słuchawki również w chacie nad jeziorem, co jeszcze bardziej go zaniepokoiło. Nawet jeśli Debbie nie było, to Trawkin musiał tam siedzieć.



Pozostawała jedynie możliwość, że Rosjanin znajdował się na przystani poza zasięgiem dzwonka telefonu.

Palił jednego papierosa za drugim. Nie zważał na kwaśne szczypanie w gardle i zaciągnął się głęboko. Jeśli Trawkin miał rację, to spisek na życie prezydenta znajdował się w ostatniej fazie. On zaś nie mógł nic zrobić. Obaj z Rosjaninem zostali odcięci od swoich organizacji z chirurgiczną precyzją, pozbawieni możliwości działania i wiarygodności. Boże! Nawet nie miał broni! Zwykle nie nosił pistoletu, a samopowtarzalny służbowy smith wesson spoczywał na górnej półce komody w jego mieszkaniu.

Na parking wtoczył się brązowy ford Morta Kesslera. Rudy agent znalazł wolne miejsce i zaparkował. Podszedł do Stone'a. Przysiadł na niskim murku na skraju parkingu i spojrzał z nadzieją na kolegę.

- I co? - zapytał.

- Cholerne gówno - odparł Stone - mam listę nazwisk. Przejrzyj je na komputerze.

- Zdjęli Mallory'ego - powiedział Kessler głucho. - Widziałem wszystko z chodnika po drugiej stronie ulicy.

- Cholera!

- Owszem - mruknął Kessler. - Musieli czekać na niego wewnątrz. Jechałem za

Mallorym do samej Alexandria Wchodzi do domu, a dziesięć minut później podjeżdża ambulans. Dwóch facetów ubranych w pielęgniarskie fartuchy idzie na górę z noszami i wraca z Mallory'm skrupowanym fartuchem po samą brodę i z krwią na twarzy. Ambulans odjeżdża i w kilka minut później trio buldożerów schodzi na dół. Wszyscy ubrani w granatowe wiatrówki nieśli wielkie walizy. Wsiadają do nie oznakowanej furgonetki i odjeżdżają. Żeby nie było niedomówień, powinni tylko mieć wymalowane na plecach napisy:

„CIA”.

- Cooper zaczął sprzątać - powiedział w zamyśleniu Stone. Rzucił papierosa w ciemność. - Zamyka wszystkie wyjścia.
- Myślisz, że to już się zaczyna? - zapytał Kessler.
- Na to wygląda - odpowiedział Stone. - Duncan czy też jakkolwiek ma na nazwisko, nie ryzykowałby spotkania takiego jak dzisiejsze, gdyby nie nadszedł już czas wywiązać się ze zobowiązań.
- Więc co będziemy robić? Pójdziemy do Spencera?
- Z czym? Jak to będzie wyglądało, gdy zawieszony w obowiązkach agent FBI ma jako jedyny dowód słowa Rosjanina? Mort, nie mam ani jednego cholernego faktu, którym mógłbym go przekonać. Są to hipotezy i poszlaki. Gdybym do niego poszedł, to byłbym jedyną osobą, którą by aresztował.
- A więc? - Kessler wzruszył ramionami. - Pozostaje tylko jedno wyjście.
- Jakie?
- Znaleźć Duncana i zdjąć go.
- Łatwiej powiedzieć niż wykonać - skrzywił się Stone. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął złożoną kartkę papieru z listą z Power Boat Clubu.
- Na początek to niewiele.
- Lepiej tyle niż nic - odparł Kessler.
- Skoro jedziesz do biura, sprawdź, co Tucker będzie robił przez najbliższych kilka dni. Spotkania, przemówienia i takie tam. Jeśli ma go nie być w mieście, zobacz, gdzie wyjeżdża.
- To nie będzie trudne - skinął głową Kessler. - Biuro Protokołu Prezydenta powinno mieć te informacje. Coś jeszcze?
- Broń - odpowiedział Stone. Urwał i ze zmartwioną miną przygryzł dolną wargę.

Pomyślał o Trawkinie i Debbie. Oboje byli straszliwie bezbronni. - Może powinieneś zorganizować także coś dla Rosjanina - powiedział w końcu. Kessler nie wyglądał na zachwyconego tym pomysłem, niemniej skinął głową. Wstał i otrzepał spodnie z kurzu.

- Gdzie zetknie nas los następnym razem? - zapytał Kessler śmiejąc się.

- Znowu tutaj. Powiedzmy o siódmej trzydzieści jutro rano.

- Dobra - zgodził się Kessler. - Może uda nam się dokonać jakiegoś cywilizowanego czynu, na przykład zjeść razem śniadanie.

- Jeszcze jedno - powiedział Stone. - Przejeżdż się obok domu Debbie i sprawdź, czy jest w mieszkaniu. Przez cały dzień nie mogłem się z nią skontaktować. Jest pewnie w chacie z Trawkinem, ale muszę przyznać, że zaczynam się martwić. - Spojrzał na przyjaciela. - I zachowaj ostrożność, mogą to miejsce obserwować.

- Zrobione - potwierdził Kessler. Po raz drugi tego dnia rozjechali się w różnych kierunkach.

- Zawsze czułem, że jakoś nie pasujesz do tego otoczenia - powiedział Hollis

Macintyre, rozglądając się po salonie w domu Coopera w Watergate. Wielkie panoramiczne okno wychodzące na Potomac było zasłonięte. W ogromnym pokoju paliły się tylko dwie lampki.

- Miriam zawsze lubiła antyki - odparł gładko wicedyrektor CIA. - Twierdziła, że przypominają jej matkę. - Cooper skinął głową w stronę wielkiego olejnego obrazu, który oprawiony był w ozdobne ramy i wiszącego nad kominkiem. Portret ukazywał kobietę o brzydkiej twarzy, ubraną w surową czerń od szyi po czubki butów. Obramowanie kominka zastawione było metalowymi ramkami, w których tkwiły pożółkłe fotografie.

Macintyre skłonił głowę z grzeczną aprobatą. Cooper tymczasem wstał i przeszedł do stojącego po drugiej stronie pokoju biurka. Chwytał kilka teczek z aktami i wrócił na swoje

miejsce w fotelu, ustawionym naprzeciw Macintyre'a, po drugiej stronie szklanej ławy. Otyły mężczyzna delikatnie odstawił filiżankę Wedgewooda ze spodeczkiem na szklany blat i rozparł się wygodnie na sofie. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy. Bładoróżowe dłonie złączył na brzuchu wyraźnie rysującym się pod marynarką.

- Domyślam się, że wszystko idzie zgodnie z harmonogramem - odezwał się w końcu.

- Jak najbardziej - przytaknął Cooper. Otworzył jedną z teczek i przejrzał pobieżnie jej zawartość.

- Z tego, co mówiłeś przez telefon zgaduję, że twoje podejrzenia dotyczące Mallory'ego nie były bezpodstawne.

- Spełnił swoje zadanie - odpowiedział Cooper. - Już się nim zajęliśmy.

- Dobrze. Żadnych problemów?

- Niewiele brakowało - przyznał wicedyrektor CIA. - Jako zabezpieczenie wpisał w program komputera pewne informacje. Usunęliśmy je i zmieniliśmy nieco jego akta: utajony, zakompleksiony pederasta, może stanowić potencjalne zagrożenie.

- Niezbyt oryginalne - oznajmił Macintyre.

- Może i nie - zgodził się Cooper. - Ale bezpieczne. Nie ma żadnej rodziny.

- Dobra - zgodził się grubas. - Co dalej?

- Kolacja zaczyna się o siódmej czterdzieści pięć jutro wieczorem. Nie zostałem zaproszony, ale nalegałem, by prezydent przyjął mnie właśnie tego wieczoru. Kolacja kończy się o ósmej czterdzieści pięć; kawę i tort podają o dziewiątej. Będę miał więc pięć minut w Gabinetcie Ovalnym - od ósmej pięćdziesiąt do ósmej pięćdziesiąt pięć.

- I wtedy uderzy twój człowiek.

- Nasz człowiek - poprawił go Cooper. - Owszem.

- Będą cię podejrzewać - wymamrotał Macintyre.

- Rozmawialiśmy już o tym, że po zabójstwie będziemy przesłuchiwani w tej sprawie.

Skąd ten „nasz” zabójca mógł się dowiedzieć, że będziesz z prezydentem w Gabinetie Ovalnym?

- Powiedział mu Mallory - oznajmił zimno Cooper.

- Obawiam się, że nie bardzo rozumiem.

- Nezar Assad - wyjaśnił Cooper. - Nasz terrorysta z grupy Abu Nidala.

- Mów dalej.

- Spreparowaliśmy legendę, według której Assad zwerbował Mallory’ego poprzez drobne przysługi. Jeśli zajdzie taka potrzeba, możemy przedstawić fotografie Mallory’ego z chłopcami. Assad używając Mallory’ego, by zdobyć informacje na mój temat, opracowuje swój plan zabójstwa.

- A w jaki sposób terrorysta dostaje się do Białego Domu?

- Poprzez przeoczenie Secret Service i dzięki Mallory’emu. Assad zostanie dopisany w ostatniej chwili do listy obsługi gości na kolacji.

- Trochę dziurawa ta twoja historyjka - przerwał Macintyre.

- I tak ma być - odparł Cooper. - Historia zbyt kompletna jest od razu podejrzana.

Mniej faktów, więcej hipotez, które prowadzą tylko do większego zamieszania.

- Rozumiem - powiedział z namysłem Macintyre - potrzebny jest świeży grób.

- Dokładnie - odpowiedział Cooper. - Idealnym przykładem jest sprawa Kennedy’ego: strzały z kilku stron, zmiana policjanta na motocyklu, spreparowane fotografie Oswalda, nawet związki Ruby’ego z policją w Dallas. Potrzeba tylko kilku kluczowych punktów.

Resztą zajmą się środki masowego przekazu.

- A co z naszymi ludźmi? - spytał Macintyre.

- Tym także już się zajęliśmy - uspokoił go wiceszef CIA. Nachylił się i rozrzucił akta

na stoliku. - Tak jak chciałeś - kompletne akta każdego członka Romulusa, w tym także Swanbridge'a. Powinny wystarczyć na wypadek jakiegoś nagłego nawrotu sumienia.

- A masz moje akta? - spytał Macintyre, uśmiechając się lekko.

- My nie musimy straszyć się aktami - odparł Cooper, uśmiechając się w odpowiedzi.

- Tyle wiemy o sobie, że wzajemnie trzymamy się w szachu. - Zebrał teczki w równy stos i położył przed siwowłosym, wielkim mężczyzną.

- To moja ostatnia akcja dla Romulusa. Jutro kończę z tym, Hollis. Ja naprawdę wręczam jutro Tuckerowi rezygnację.

- Toż to absurd - wykrzyknął zaskoczony Macintyre. - Jeśli chcesz, możesz rzucić Agencję - na pewno zasłużyłeś sobie na emeryturę - ale doskonale wiesz, że nie możesz opuścić Romulusa. Nawet jeśli nic już nie robisz dla grupy.

- Nie strasz mnie - odpowiedział Cooper ze znużeniem w głosie. - Jestem na to zbyt stary i zbyt zmęczony.

- To nie groźba, tylko fakt - oznajmił Macintyre. Zaklął cicho, prostując się na sofie.

- Trzykrotnie na przestrzeni ostatnich czterdziestu lat próbowano rozgłosić informacje o Romulusie na zewnątrz. Dwóch ludzi to byli członkowie komitetu, a trzeci był dziennikarzem związanym z czwartym członkiem. Wszyscy czterej zostali wyeliminowani, zanim zdolali wyrządzić jakiegokolwiek szkody poza wywołaniem kilku dziwnych plotek.

Cooper nachylił się i otworzył rzeźbioną skrzynkę ustawioną na ławie. Wyjął z niej papierosa i przypalił go srebrną zapalniczką swej zmarłej żony. Macintyre wyglądał na zaskoczonego. Cooper bardzo rzadko palił.

- Posłuchaj mnie uważnie Hollis - powiedział w końcu śmiertelnie zimnym, obojętnym głosem. - Całe moje dorosłe życie pracowałem w wywiadzie. Mój zawód to sztuka mistyfikacji i oszukiwania. Widziałem już, jak mało znaczące kłamstewka zamieniano w

spisek i zbrodnie stanu. Znam takie fakty z najnowszej historii tego kraju, że usmażyłbyś się na miejscu słuchając o tym. Nie staraj się mnie pouczać. - Zgasił papierosa i spojrzał na Macintyre'a. - Hollis, my omawiamy tutaj zdradę i zastanawiamy się, co robić, gdy będzie po wszystkim.

- Czyżbym wyczuwał nutkę poczucia winy? - spytał grubas, zupełnie nie poruszony słowami Coopera.

Wicedyrektor CIA zaśmiał się krótko i drapieźnie.

- Poczucie winy? - zapytał z oczyma rozszerzonymi ze zdumienia. - Poczucie winy jest dla ludzi, którzy mają sumienie - coś, czego my pozbyliśmy się już całe wieki temu.

- To pewnie prawda, ale nie zmienia to faktu, że nie mam ochoty spędzić kilku ostatnich lat mojego życia w więzieniu. Chcę się tylko upewnić, że nic nie zostało pozostawione przypadkowi i nikt zamieszany w tę sprawę nie zechce nagle publikować swoich pamiętników.

- Więc nie masz się czym martwić - odpowiedział Cooper. - A już na pewno nie mną.

Sam odpowiadam za moje grzechy i jeśli odczuję potrzebę wyspowiadania się, to zrobię to w samotności.

- A więc w porządku. - Macintyre skinął głową i uśmiechnął się miło. Wyprostował się z trudem i wstał, po czym wygładził poły załamanej na brzuchu marynarki i strzepnął odruchowo pyłek z rękawa.

- Jeszcze jedno - powiedział.

- Tak?

- Czy ten Rosjanin i nasz przyjaciel z FBI sprawiają kłopoty?

- Trawkin zaszył się w lesie - odparł Cooper. - Stone zaś został zawieszony i nie ma żadnych możliwości, by nam szkodzić. Jeśli zaczniesz coś robić, zostanie usunięty.

- Dobrze - uśmiechnął się Macintyre. Przeszedł do hallu wejściowego; Cooper

podążył za nim. Grubas chwycił klamkę i zastygł na chwilę.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to przez dłuższy czas nie będziemy się widywać.

- Tak jest - zgodził się Cooper. - Zgodziliśmy się, że nie będziemy się spotykać, jeśli nie liczyć normalnych codziennych posiedzeń oficjalnych. Zresztą, w najbliższym czasie nie będziemy mieli czasu na życie towarzyskie.

- To prawda - odpowiedział Macintyre ponurym głosem. - Zdaje się, że mamy przed sobą kilka czarnych dni. - Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. - Będę w Stoneacres, gdybyś mnie potrzebował.

Cooper skinął głową na pożegnanie i dokładnie zamknął drzwi na zasuwę. Przeszedł do salonu i popatrzył na ledwo widoczny w ciemności portret nad kominkiem, po czym opuścił wzrok na ziejącą zimnem dziurę samego kominka. Od czasu, gdy umarła Miriam, nie rozpałał ognia.

- Naprawdę czarne dni - powiedział cicho.

Stone po rozstaniu z Mortem Kesslerem skierował się na południe. Przedzierał się poprzez resztki popołudniowego szczytu. Jechał Jefferson Davis Turnike do Fredericksburga i tam skręcił na zachód w drogę stanową numer 208, wijącą się pośród wzgórz. Zapadła już noc. Droga była prawie opustoszała. Zbliżał się do jeziora Anna i kryjówki urządzonej w chacie.

Patrzył przez szybę na dwie bliźniacze smugi jasnego światła emitowanego przez reflektory jego samochodu i rozmyślał o całej sytuacji. Przypadkowo przekazana rosyjskiemu szpiegowi informacja prowadziła do kolejnych wydarzeń, których łańcuch miała zakończyć dopiero śmierć prezydenta. Stone przez lata bawił się w oszukańcze gry wywiadu, ale zdawał sobie sprawę, że istniały tam ścisłe reguły i dokładnie wytyczone granice, do których



stosowali się wszyscy. Czasem wygrywali przeciwnicy, czasem my, ale gra szła dalej. Ta sprawa była inna i zdawał sobie sprawę, że daje się wciągnąć w czarną, jak droga przed nim i znacznie bardziej niebezpieczną dziurę.

Znalazł zjazd z szosy i skręcił w żwirową gruntową dróżkę do jeziora, dalej wzdłuż poszarpanej linii brzegowej. Chata wynajęta przez Debbie znajdowała się po drugiej stronie, oddzielona od sąsiadów dziesięcioma akrami lasu sosnowego i paproci. Debbie mówiła, że domek został zbudowany pod koniec lat dwudziestych przez rodziców jej kolegi, profesora z Uniwersytetu Georgetown.

Po dziesięciu minutach od zjazdu z szosy, w światłach reflektorów ujrzał skrzynkę pocztową z wypisanym na taśmie odblaskowej nazwiskiem Sleeman. Zwolnił i skręcił w wąski podjazd. Gałęzie sosen drapały karoserię wozu i uderzały w szyby. Wcisnął trzykrotnie klakson, uprzedzając o swoim przybyciu umówiony sygnał, by Trawkin mógł rozpoznać nieproszonych gości. W chwilę później dotarł do końca wąskiej dróżki; w świetle reflektorów zobaczył domek. Nie dostrzegł nigdzie samochodu Debbie - najnowszego modelu subaru kombi, zaś w chacie nie paliły się światła. Stone wyłączył silnik i zgasił światła, po czym wysiadł z wozu. Przez chwilę żałował, że nie ma broni.

Stał przy samochodzie i czekał, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Chata położona była na szczycie niewielkiego wzniesienia, zbiegającego łagodnie do wody. Dom miał dwa wejścia: jedno naprzeciw niego, z boku chaty, a drugie główne wejście, całe oszklone - usytuowane było od strony jeziora. Wijąca się, wyłożona kamieniami ścieżka prowadziła od ganku do przystani i hangaru, oddalonych o pięćdziesiąt metrów. Mimo że wyczuł wzrok, nie był w stanie dostrzec wody; słyszał tylko szum fal. Wyczuł też jakiś zapach. Palone drewno. Ktoś w chacie palił ogień w kominku. Wokół czuć było żywicą i świeżą trawą. Słyszał tylko zwykłe leśne dźwięki i tykanie stygnącego silnika. Mnóstwo

gwiazd na czystym czarnym niebie, ale nie było księżycy. Czy naprawdę wszystko w porządku?

Może. Ale gdzie jest Trawkin?

- Tutaj - usłyszał za sobą głos, jakby tamten czytał w jego myślach. Stone obrócił się, przyklękając jednocześnie na ziemi, z mocno bijącym sercem. Dmitrij Trawkin wyszedł z ciemności, wyciągając przed siebie dłonie, by pokazać, że jest nie uzbrojony.

- Słyszałem klakson, ale wolałem się upewnić.

- Cholera, nieźle mnie wystraszyłeś!

- Przyjmij moje przeprosiny - uśmiechnął się Trawkin.

- Nie było tu mojej byłej żony? Spytał Stone wstając.

- Wczoraj przywiozła trochę żarcia. Od tego czasu nie widziałem jej - odpowiedział uprzejmie Rosjanin. Oficer GRU nie golił się od czasu porwania go przez Coopera i nosił teraz rudawą brodę, która znacznie go postarzała.

- Wejźmy do środka - zaproponował Stone. Trawkin skinął głową i obaj weszli schodkami na oszklony ganek. Minęli rząd wiklinowych, pomalowanych na białą mebli i weszli go głównego pomieszczenia.

Na widok tego pokoju musiały odżyć wspomnienia u każdego, kto kiedykolwiek spędzał wakacje w domku nad jeziorem. Sofa zrobiona z tylnej kanapy ford-T, lampowe radio, podniszczony stół, obrazki dzieci oprawione w ramki, obrysy ryb złapanych w jeziorze jakiegoś dawno zapomnianego lata. W małym kominku paliły się polana, usuwające z domu chłód i rzucające błyski na wypolerowaną przez tysiące kroków podłogę. Stone opadł na samochodowe siedzenie i odchylił głowę na starą skórę kanapy. Trawkin usiadł na zwykłym prostym krześle obok kominka. Za nim tonęły w ciemności schody prowadzące na piętro.

- Niedobrze? - spytał Trawkin.

- Gorzej - odparł Stone. Usiadł prosto i zaczął przeszukiwać kieszenie. Trawkin rzucił mu papierosa marlboro i podał pudełko zapalek.

- Jak bardzo? - indagował go Rosjanin, również przypalając sobie papierosa.

- Cooper zdjął Mallory'ego.

- To jego asystent?

- Tak. Zaraz po tym, jak spotkał się z Duncanem. Próbowałem go śledzić, ale go zgubiłem. Kessler poszedł za Mallory'm i widział, jak zdjęła go jedna z grup Coopera.

- Co możemy zrobić? - spytał Trawkin, drapiąc się po brodzie.

- Kessler sprawdza, czy można odszukać trop Duncana. Mam się z nim spotkać jutro.

- Chcę jechać z tobą - powiedział Trawkin, powoli cedząc słowa.

- Nie ma mowy - odparł twardo Stone, potrząsając głową. - Postaw nogę w

Waszyngtonie, a jesteś trupem. Dobrze o tym wiesz.

- Muszę porozmawiać z Kozłowem i wyjaśnić sytuację. Może...

- Może co? - spytał zimno Stone. - Kozłow to starszy człowiek. Dobrze wiesz, że ta sprawa na pewno już jest poza jego gestią. Teraz ludzie Gurenki szukają cię po całym mieście.

- Ale...

- Ale co? - warknął Stone. - Jesteś moim jedynym dowodem na to, co się dzieje. Więc siedź na tyłku i nie ruszaj się stąd. - Funkcjonariusz FBI odetchnął głęboko.

- Przepraszam - powiedział po dłuższej chwili. Chyba zaczynam trochę svirować.

- To całkiem zrozumiałe - Trawkin wzruszył ramionami. - Nie znajdujemy się w zbyt korzystnej sytuacji.

- Masz niezłe rozeznanie - roześmiał się gorzko Stone. Na zewnątrz rozległ się odgłos klaksonu. Ktoś zatrąbił trzy razy.

- Debbie - powiedział z ulgą i wstał z miejsca.

- Spokojnie - wyszeptał Trawkin. Prześlizgnął się obok Stone'a i nakazał mu ruchem ręki iść za sobą. Rosjanin wpadł do kuchni i wyszedł na zewnątrz bocznymi drzwiami. Agent FBI wyszedł za nim. Przyklekli obok siebie przy ścianie domu, ukryci w głębokim cieniu. Stone słyszał pracujący w oddali silnik samochodu.

- Nie unosz twarży i patrz spod przymkniętych powiek - nakazał mu Trawkin. - Twarz białego człowieka jest jak księżyc - odbija każdy blask. Gdy zatrzyma wóz, upewnij się, że jest sama. Jeśli w samochodzie będzie ktoś oprócz niej, uciekamy. I żadnych bohaterskich wyczynów. Zrozumiałeś? - Stone skinął tylko głową. Teraz dowodził tu Rosjanin. Zdawał sobie sprawę, że szkolenie Trawkina w Specnazie było daleko pełniejsze niż jego trening w Quantico.

W końcu samochód pojawił się pod domem. Stone aż się uśmiechnął. Rozpoznał kształt dużego kombi i dostrzegł twarz Debbie za szybą czołową. Kobieta skręciła na podjeździe i zaparkowała obok wozu Stephen'a. Agent FBI zaczął już wstawać z ukrycia, gdy Trawkin zacisnął boleśnie dłoń na jego przedramieniu. Stone był kilkanaście centymetrów wyższy i dwadzieścia pięć kilogramów cięższy od swego towarzysza, ale uścisk Rosjanina był mocny, jakby miał rękę ze stali.

- Zaczekaj - powiedział Trawkin.

Stone zrobił jak mu powiedziano. Patrzył, jak jego była żona wychodzi z samochodu i zamyka drzwiczki. Skierowała się w kierunku domu i przeszła kilka kroków, po czym zawahała się, przystanęła i wróciła do swego subaru. Otworzyła drzwi od strony pasażera, nachyliła się i zaraz potem wyprostowała, trzymając w ręku aktówkę. Ściskając neseser mocno w dłoni, skierowała się z powrotem w kierunku domu. Trawkin krótko i przenikliwie zagwizdał, po czym wstał i wynurzył się z cienia. Stone poszedł w jego ślady i wyminął

Rosjanina, zbliżając się do kobiety.

- Stephen - zawołała, przystając w połowie drogi między samochodem i oszklonym gankiem. - Co ty tu robisz w tych ciemnościach?

- Bawię się z Dmitrijem w komandosów. - Uśmiechnął się i obejrzał przez ramię na Rosjanina, który wyszedł z cienia. Stone ponownie popatrzył na Debbie. Wyglądała na wyczerpaną. Była blada i pod oczyma miała szaroniebieskie plamy ze zmęczenia.

- Chodź tutaj - odezwał się sięgając po jej teczkę. - Pozwól, że poniosę.

- Nie! - zawołała odsuwając się szybko do tyłu.

Stone cofnął wyciągniętą rękę, jakby się sparzył.

- Odpręż się. Nie mam zamiaru cię okradać.

- Przepraszam - powiedziała. Skinęła głową stronę zbliżającego się Trawkina. -

Zdaje się, że jestem trochę zbyt...

Pojedynczy pocisk z fińskiego karabinu bojowego velmet trafił piękną kobietę o kasztanowych włosach prosto w nasadę karku. Sekundę później Trawkin i Stone usłyszeli huk wystrzału. Z przerażeniem patrzyli, jak Debbie z wytrzeszczonymi oczyma pochyła się do przodu, trafiona w plecy następną kulą, która rozerwała jej przeponę i wyrzuciła w powietrze fontannę strzępów ubrania, krwi i kości.

Stephen Stone, krzycząc rzucił się naprzód do martwej, lecz wciąż stojącej na nogach kobiety. W momencie, gdy trzeci pocisk urwał jej szczyt czaszki, Trawkin chwycił agenta FBI za kołnierz i odciągnął go do tyłu, z dala od linii ognia. Walczył z wrywającym się Amerykaninem. Udało mu się zaciągnąć go do cienia i przycisnąć mu twarz do ziemi tuż przy schodach wiodących na ganek. Nieruchomo leżące trzy metry dalej ciało Debbie trafiły kolejne pociski.

Oficer rosyjskiego wywiadu odbył szkolenie w Specnazie, potrafił więc błyskawicznie

analizować podobne sytuacje. Bardzo wiele, szybko następujących po sobie strzałów. Nie było jednak słycać stukotu samopowtarzalnego mechanizmu, typowego dla broni automatycznej. Musiało więc być kilku snajperów i wszyscy byli ukryci z lewej strony, w lasu. Ucieczka do któregoś z samochodów oznaczała w takiej sytuacji śmierć. Ich szansą były tylko drzewa z tyłu domu.

- Nie podnoś się - ostrzegł szeptem, nie zmniejszając ucisku na karku Stone'a.

- Ale Debbie...

- Nie żyje - odparł szorstko Trawkin. - Jeśli nie chcesz zginąć jak ona, musisz robić, co ci każe.

- Kto...

- Cicho - rozkazał mu Trawkin. Nasłuchiwał przez chwilę. Nic nie było słycać, nawet trzasku gałązki. Profesjonaliści. Czekali, aż oni zrobią jakiś ruch.

- Trzymaj się mnie - wyszeptał Rosjanin. Wciąż przytrzymał dłonią kark Stone'a.

Zaczął czołgać się w tył. Trzymał się osłony ganku i samochodów. Jeśli będą mieli szczęście, to wozy i ganek zasłonią ich poruszenia. Pełzając jak najniżej, dotarli do rogu chaty i się zatrzymali. Trawkin znowu zaczął nasłuchiwać. Wytężył słuch i wzrok. Jeśli jeden lub kilku zabójców oddzieliło się od głównej grupy i przeszło w tę stronę, to Trawkin ze Stone'em stanowiliby świetny cel próbując przeskoczyć otwartą przestrzeń.

Trawkin wciąż klęczał, z ręką na ramieniu Stone'a. Przepelznął wzdłuż bocznej ściany domu i przystanął obok stosu drewna opałowego po prawej. Oczy miał już przyzwyczajone do ciemności. Bez trudu dojrzał więc ostry zarys siekiery wbitej w jeden z pieńków.

Wyciągnął rękę, wyszarpnął toporek i chwycił go mocno w dłoń. Lepsze to niż nic.

- Zostań tutaj - wyszeptał. - Licz powoli do dziesięciu i potem skacz za mną. Prosto w

las. - Stone skinął głową, a Trawkin wstał i zaczął biec. Jego ruchy były płynne i ciche. Stone,

wciąż odrętwiały od widoku Debbie rozrywanej kulami, patrzył, jak Rosjanin znika w czerni lasu. Zaczął odliczać do dziesięciu, po czym poderwał się i pobiegł.

W połowie drogi do zbawczej ściany drzew usłyszał świst. Był pewny, że kula musnęła rękaw jego marynarki. Pocisk wbił się następnie w ścianę budynku, kilka metrów za jego plecami. Niewiele myśląc, agent FBI rzucił się na ziemię i przekręcił kilka razy wokół osi, po czym rzucił się i na czworakach przebiegł kilka metrów dzielących go od lasu. Tam wpadł na Trawkina, trzymającego luźno w jednej ręce karabinek velmet z charakterystycznie wygiętym magazynkiem. Skinął drugą ręką i wszedł głębiej w zarośla. Stone ruszył za nim, potykając się po drodze o ciało jednego z napastników. Mężczyzna klęczał pochylony do przodu, jakby modlił się do Allacha. W jego karku tkwiła siekiera, wbita tak mocno, że głowa została niemal odcięta. Po lewej stronie trupa leżała mała składana saperka, a jej ostrze zabrudzone było świeżą ziemią. Dalej widać było porządnie, równo wykopane stanowisko strzeleckie, głębokie na trzydzieści centymetrów i szerokie i długie na tyle, by człowiek, który by się tam położył, pozostawał niewidoczny z odległości kilku kroków.

- Jezu - westchnął Stone. Zacisnął szczęki, by nie wymiotować.

- Słuchaj mnie uważnie - odezwał się Trawkin poważnym głosem. - Pierwszego dnia chodziłem dookoła domu zapoznając się z terenem. Znajdujemy się trzydzieści metrów od plaży. To wzgórze opada w stronę wody. Dziesięć metrów w prawo jest przystań i hangar. Znajduje się tam łódź motorowa, ponton i kajak. Jeśli przedostaniemy się na skraj plaży, znajdziemy się w zasięgu ognia z domu. Lepiej więc przepłynąć ten kawałek zamiast iść po piachu. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak - skinął głową Stone. Strach zamroził w nim wszelkie inne uczucia. Cały świat zawężił się do tego kawałka rzeczywistości, w którym rządził Rosjanin. Trawkin był teraz dowódcą, generałem i Bogiem w jednej osobie.

- Idź w kierunku hangaru. Przejdź dokoła do końca przystani. Używaj hangaru jako

zasłony przed ogniem z chaty. Uciekniemy motorówką. Znasz się na silnikach zaburtowych?

- Tak.

- Dobrze. Uruchomisz silnik dopiero wówczas, gdy znajdę się w łodzi. Spróbuj mnie zostawić, a zabiję cię. Gdy wypłyniemy z hangaru, skręć ostro w lewo i płyn wzdłuż brzegu, aż znajdziemy się poza zasięgiem. Potem skieruj się na drugą stronę jeziora. Na mapie w chacie widziałem, że jest tam miasto, mam rację? - Akcent Rosjanina wyraźnie pogarszał się w chwilach zdenerwowania i Stone musiał skoncentrować się, by go zrozumieć.

- A, miasto. Tak. - Próbował przypomnieć sobie nazwę miejscowości, ale nie był w stanie. W końcu coś mu błysnęło. - Cuckoo - oznajmił. - Miasto nazywa się Cuckoo.

- A więc tam płyniemy.

- Dobra - zgodził się Stone. Rosjanin ruszył, gdy tymczasem Stone spojrzał jeszcze na człowieka z siekierą w karku i pobiegł za nim. Rosjanin poruszał się pomiędzy pniami drzew jak duch. Jego nogi w mokasynach zdawały się w ogóle nie dotykać ziemi. Stone trzymał się blisko niego, mimo że serce wyrywało mu się z piersi, tłukąc jak szalone. Z tyłu po lewej słychać teraz było jakieś były na tyle odległe głosy, że nie można jeszcze było rozpoznać słów. Rozległ się zduszony trzask i huk, po którym zaraz nastąpił blask. Podpalili dom.

Trawkin i Stone dotarli do brzegu i zatrzymali się na chwilę. Agent FBI patrzył, jak Trawkin zdejmuje mokasyny, związuje je sznurowadłami i wiesza na szyi. Stone nosił buty wsuwane, wsunął je więc do kieszeni marynarki. Rosjanin odszedł na chwilę, a gdy wrócił, trzymał w rękach kawałek zwęglonej gałęzi. Potarł dłonie o węgiel i przyczernił sobie czoło. Tę czynność powtórzył ze Stone;em.

- Tak jak poprzednio - poinstruował go Trawkin. - Wejdz do wody po samą szyję.

Trzymaj głowę jak najniżej - żeby nad powierzchnię wystawały tylko oczy i nos. Nie patrz w



stronę domu. Zrozumiałeś?

- Tak - skinął głową Stone.

Trawkin uśmiechnął się i klepnął swego towarzysza w ramię.

- No to naprzód, harcerzyku. - Skrzywił się i wszedł do zimnej wody jeziora, niosąc karabinek w wyciągniętych rękach tuż nad poziomem wody.

Zaledwie w ciągu pięciu minut Rosjanin znalazł się przy hangarze i machnął podbródkiem Stone'owi, by zbliżył się do niego. Ten kątem oka dostrzegł słup ognia nad domem i przypomniał mu się widok szeroko otwartych, martwych oczu Debbie i jej rozszarpane kula gardło. Drżąc na całym ciele, przełknął nerwowo ślinę i dotarł do Trawkina czekającego przy hangarze od strony niewidocznej od domu. Rosjanin wręczył mu karabin.

- Mogli tu wystawić straż. Poczekaj na mnie. - Stone skinął głową, trzymając broń nad powierzchnią wody. Trawkin oddalił się. Po dłuższej chwili wychylił się zza rogu.

- W porządku. - Odebrał karabin i gestem nakazał Stone'owi wejście do środka.

Znajdowali się przy hangarze od strony jeziora. Stone wdrapał się na pływający pomost wzdłuż ściany. Hangar okazał się tak naprawdę tylko zadaszeniem nad pomostem. Z boku wisiał na kilku solidnych kołkach ponton. Kajak zawieszony był na linkach zwisających z belkowania dachu. Motorówka okazała się zwykłą aluminiową łodzią wiosłową wyposażoną w dwudziestopięciokonny silnik Evinrude.

Stone otrząsnął się z wody, podszedł do rufy łodzi i wszedł do środka. Chwytał następnie koniec linki do uruchamiania silnika i poczekał na Trawkina. Rosjanin tymczasem sprawdził przez okienka z tyłu hangaru, czy nikt się nie zbliża, po czym odwiązał dziób łodzi i usiadł z przodu. Trzymając velmeta przygotowanego do strzału, Trawkin obrócił się do agenta FBI i skinął głową. Ten zacisnął zęby, włożył całą swą siłę w pociągnięcie sznurka, po czym otworzył maksymalnie przepustnicę. Motor natychmiast zaskoczył i wypadli z hangaru

z przyspieszeniem, które uniosło dziób wysoko w górę i niemal wyrzuciło Stone'a z siedzenia. Chwycił się pawęży i mocnym ruchem przesunął rączkę sterową silnika w prawo. Mała łódź pędziła wzdłuż brzegu. Stone z rozpaczą w sercu modlił się, by pod wodą nie było głazów i zwalonych drzew, lecz twardo nie zmniejszył gazu. Trawkin siedział na dziobie. Nagle obrócił się w kierunku brzegu i wycelował z karabinu. Rozległ się huk, który zagłuszył na chwilę ryk silnika. Stone dostrzegł pulsujący ogień z lufy. Z lewej szybko przesuwały się drzewa. W końcu zobaczył jak Trawkin rzuca na podłogę broń z wystrzelanym do końca magazynkiem. Jeszcze przez minutę pędzili tak wzdłuż brzegu, zanim Trawkin uczynił ruch ręką.

- Skręcaj! - zawołał, przekrzykując terkot motoru. - Płyn szybko na drugą stronę!

Stone skinął głową i przyciągnął do siebie rumpel silnika. Dziób zatoczył koło na tle czerni i znieruchomiał. Płynęli w stronę niewidocznego brzegu, odległego o mniej więcej półtora kilometra.

- Kim oni byli? - zawołał Stone. Słowa porywał mu wiatr. Przesunął się do przodu.

Bryzgi przelewały się nad burta, gdy pędzili tak po nieruchomej, spokojnej wodzie.

- To moi! - odpowiedział Trawkin z furią w głosie. - To ten pieprzony Specnaz!

- Skąd ta pewność? - zawołał Stone. - A dlaczego nie ludzie Coopera?

- Po pierwsze saperka! - wyjaśnił Trawkin i odwrócił się, by spojrzeć na Stone'a. - Po tym można ich rozpoznać bez pudła. Po drugie, facet w lesie przed śmiercią skłął mnie doszczętnie po rosyjsku.

- Jezu! - westchnął agent FBI. Wierzchem wolnej dłoni otarł z brwi wodę z bryzgów. -

Teraz już wszyscy na nas polują!

- Mogło być gorzej, towarzyszu! - odpowiedział Trawkin, wyszczerzając zęby w trupim uśmiechu. - Przynajmniej jest nas dwóch!

Była szósta rano. Zaczynał się dzień, którego zwieńczeniem miało być przyjęcie z okazji sześćdziesiątych trzecich urodzin prezydenta Geoffreya Jamesa Tuckera. Eric Rhinelandier jechał na rowerze budzącymi się do życia ulicami Waszyngtonu. Ubrany był w niebiesko-zielony kombinezon piankowy, który do złudzenia przypominał strój kolarza. Na plecach miał mały plecak, do którego włożył drobne narzędzia, ciężkie czarne wiązane buty, starannie złożony uniform Służby Ochrony Personelu Paula Axworthy'ego oraz pistolet na sprężone powietrze, w częściach. W bocznej kieszeni plecaka spoczywał mały krótkodystansowy mechanizm detonujący, który zainicjuje wybuch ładunku umieszczonego poprzedniej nocy w kanale przy ścianie piwnicy pod północnym portykiem. W plecaku miał też krótkofalówkę dostrojoną do częstotliwości używanych przez Secret Service. Sprzęt ten przytroczy sobie po prostu do pasa uniformu.

O szóstej piętnaście dotarł do uspiętego jeszcze i pustego skrzyżowania Wisconsin Avenue i ulicy M w Georgetown. Przejechał przez skrzyżowanie w stronę Chesapeake i kanału Ohio. Dziesięć metrów za następną krzyżówką zwolnił, zsiadł z roweru i wszedł na chodnik. Rozejrzał się i upewnił się, że nikt na niego nie patrzy, po czym skręcił w wąski zaułek, którego wjazdu pilnowała tablica z napisem: „Nie parkować”.

Prowadząc rower po wilgotnych kocich łbach, minął klub jazzowy Blues Alley, przeszedł przez mały placyk i skręcił w jeszcze węższy zaułek, równoległy do Wisconsin Avenue. Dwadzieścia metrów dalej uliczka kończyła się skrzyżowaniem w kształcie litery T; dochodziła do drogi dojazdowej dla dostawców przy ulicy M. Tuż przed krzyżówką, na tyłach delikatesów przy Wisconsin Avenue, przysiadł ciężko ogromny ciemnozielony kontener na śmieci firmy Dumpster.

Granatowe niebo powoli rozjaśniało się do błękitu. Rhinelandier słyszał coraz

głośniejszy szmer samochodów dochodzący od Whitehurst Freeway, położonej sto metrów dalej pomiędzy kanałem a Potomakiem. Zapowiadał się jeszcze jeden upalny dzień w amerykańskiej stolicy. Poczł nawet zadowolenie na myśl, że większość dnia spędzi w klimatyzowanych pomieszczeniach Białego Domu.

Zaparkował rower zaraz za Dumpsterem i wsunął się w ciemne tylne wejście do delikatesów. Wcześniej sprawdził godziny otwarcia. Wiedział doskonale, że nigdy nie otwierali przed dziesiątą, do tego czasu jego już tu dawno nie będzie.

Zdjął plecak, otworzył go i złożył pistolet. Przykręcił też wąż ciśnieniowy do lufy, po czym plastrem chirurgicznym umocował lufę broni do przedramienia. Zamrożony magazynk z kulami, opakowany na razie w specjalny materiał izolacyjny, zostanie załadowany do broni w ostatniej chwili przed akcją.

Po złożeniu pistoletu ubrał się w uniform Axworthy'ego. Przypiął krótkofalówkę i założył buty, po czym wrzucił sportowe buty do kontenera. Na koniec wyjął z plecaka magazynk do pistoletu, mały śrubokręt elektryczny Boscha napędzany bateriami oraz pięciocentymetrowe szydło z plastikową rączką. Magazynk wsunął do lewej wewnętrznej kieszeni marynarki, a śrubokręt i szydło do prawej. Poprawił szeroki pas i poklepał się po kaburze. Było to oczywiste uzupełnienie uniformu. Używając dowodu osobistego Jamesa Smythe'a dostarczonego przez ludzi Coopera, kupił na to nazwisko w sklepie z bronią standardowy policyjny model pistoletu smith wesson kalibr 38 i załadował go pociskami Hornady. Pusty plecak wrzucił, w ślad za butami, do kontenera Dumpstera.

Na koniec odpiął od ramy roweru przytroczoną gumowymi mocowaniami fałszywą przegrodę, którą wcześniej skonstruował. Była identyczna jak ta, którą widział w furgonetcie Secret Service - w wywierconych otworach umieścił nawet śruby. Po wewnętrznej stronie sklejkowej płyty przykleił i dla pewności skręcił śrubami kupioną w sklepie meblarskim

rączkę oraz cztery zatrzaski sprężynowe, które miały trzymać przegrodę na miejscu, gdy jego nie będzie w chłodni. Przegrodę oparł o ścianę sklepu, a rower wyrzucił do kontenera na śmieci.

Po pierwszej fazie operacji wyjął z bocznej kieszeni uniformu paczkę gumy do żucia i włożył jeden listek do ust. Rozejrzał się, cofnął do wnęki wejściowej delikatesów i z ulgą opróżnił pęcherz.

Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny starannie regulował swój układ trawienny.

Rano zjadł tylko tłusty wysokoproteinowy jogurt, surowe jajko, paczkę drożdży i suszoną wątróbkę. Taki posiłek powinien wystarczyć mu do późnej nocy. Ostatnią rzeczą, której potrzebował podczas wypełniania swego zadania, był błąd w ocenie sytuacji, wywołany naturalną potrzebą. Był to może mało ważny szczegół w przygotowaniach do akcji, ale mógł przyczynić się do katastrofy.

Przypomniał sobie w podobnej sytuacji żołnierza Wietkongu. Czarnowłosa mały żołnierz nawet nie zobaczył Rhinelandera ani krótkiego błysku noża, który rozciął mu gardło, gdy załatwił potrzebę fizjologiczną w krzakach i palił pierwszego porannego papierosa.

Rhinelander spojrział na zegarek, była szóstka trzydziści pięć. Wyszedł z wnęki, zdjął czapkę mundurową i wyjrzał za róg. Już prawie czas. Z miejsca, w którym się znajdował, widział tylne wejście do McCreery Provisioners. Zaulek był zbyt wąski, by furgonetka mogła wykręcić i podjechać w poprzek drogi tyłem do rampy ładunkowej. Samochód stał zatem zaparkowany wzdłuż tylnego wejścia do firmy.

Powinno tam być dwóch agentów Secret Service i czterech pracowników

McCreery'ego. Dwóch robotników będzie rozmieszczało ładunek wewnątrz skrzynie,

podczas gdy pozostali będą podawać pakunki do samochodu. Jeden agent Secret Service

zajmie pozycję przy tylnych drzwiach ładunkowych wozu, by nadzorować ładunek, a drugi, kierowca, pozostanie w biurze i będzie załatwiał dokumenty.

Rhinelande już trzykrotnie obserwował ładunek i wiedział dobrze, jak się to odbywa. Furgonetka podjeżdżała pomiędzy szóstą czterdzieści a szóstą czterdzieści pięć. Obaj agenci Secret Service wysiadali z wozu i wchodzili do budynku McCreery'ego. Między szóstą czterdzieści pięć a siódmą wychodzili na zewnątrz w towarzystwie pracowników McCreery'ego. Ładunek zabierał mniej więcej piętnaście minut i o siódmej piętnaście-siódmej dwadzieścia samochód odjeżdżał. O siódmej trzydzieści chłodnia była już pod wjazdem do Białego Domu od strony West Executive Avenue, gdzie strażnicy sprawdzali wóz.

Dosłyszał hałas silnika, który dochodził od strony zaułka. Szybko schował się za kontener. Sprawdził godzinę: szosta czterdzieści - zgodnie z harmonogramem. Dosłyszał odgłos pneumatycznych hamulców i furgonetka zatrzymała się przy tylnej rampie ładunkowej. Chwila ciszy i podwójne trzaśnięcie drzwiami to agenci Secret Service wysiadali z wozu. Patrzył na wskazówkę minutową i zaczął mierzyć czas. Starszy stopniem wciska guzik dzwonka umieszczony po lewej stronie drzwi. Piętnaście sekund zajmuje strażnikom skierowanie i ustawienie na agentów kamery przemysłowej, zamocowanej w prawym górnym rogu framugi. Metalowe drzwi otwierają się i Rhinelande aż uśmiechnął się z zadowolenia, gdy usłyszał lekki trzask zasuwki zamykanej po wejściu obu agentów.

Zabójca powoli obszedł dookoła kontener na śmieci i poszedł zaułkiem w kierunku furgonetki licząc w myśli. Szybko rozejrzał się wokoło siebie. Wrota ładunkowe w budynku zamknięte, kamera obserwacyjna ustawiona na zbyt małą odległość, by mogli go zauważyć na monitorze. Nikogo na ulicy. Jakiś stojący w bramie pijaczyna mógłby wszystko zrujnować.

Trzydzieści sekund.

Dotarł na tyły samochodu i zatrzymał się znowu. Wstrzymał oddech i wyężył wszystkie zmysły na jakiegokolwiek oznaki niebezpieczeństwa. Wciąż nic. Ostrożnie chwycił tylną klamkę drzwi samochodu i uniósł ją lekko, by zwolnić blokadę. Minęła jedna minuta. Uniósł żaluzjowe drzwi jedną ręką i wślizgnął się do chłodni, wrzucając jednocześnie do środka fałszywą przegrodę. Opuścił drzwi i w ostatniej chwili zwiększył nacisk ręki, by zatrzasnąć zamek. Dziewięćdziesiąt sekund. Było dość zimno - przy zapalonym świetle z pewnością ujrzałby, jak z ust bucha mu para.

Przesunął się na prawo i pomacał ścianę chłodni, szukając włącznika sufitowej lampki. Znalazł plastikowy kontakt i włączył go, zamrugał oczami podrażnionymi światłem. Naprawdę widział swój oddech. Słyszał też stały pomruk układu zamrażającego. Dwie minuty - szybciej niż przypuszczał. Podniósł przegrodę i podszedł do przedniej ściany chłodni, po czym dopasował fałszywą ściankę i zabrał się do roboty.

Używał automatycznego śrubokręta na baterie. Odkręcił śruby mocujące boczną płytę przegrody i uważnie odkładał każdy wkręt do kieszeni marynarki. Cztery minuty. Mimo zimna, pot spływał mu z czoła i kapał na nos. Wyciągnął z kieszeni szydło i wsunął je w jedną z dziur po wkrętach, wysuwając płytę z miejsca. Okręcił płytę wokół jednej strony, przesunął ją dalej pod ścianę chłodni i rozejrzał się po swojej kryjówce. Miała szerokość dwudziestu pięciu centymetrów, długość półtora metra i wysokość stu dwudziestu pięciu centymetrów. Była wystarczająco obszerna, by mógł uklęknąć bokiem, trzymając płytę za rączkę. Musiał podjąć takie ryzyko, gdyby miało to potrwać zbyt długo i złapałby go skurcz. Sześć minut. Rzut okiem na wnętrze chłodni, by sprawdzić, czy nie zostało coś wzbudzającego podejrzenia. Oryginalna przegroda stoi oparta o ścianę chłodni wewnątrz jego kryjówki - światło! Podszedł do wyłącznika i przesunął kontakt. Miał jeszcze minutę w limicie czasu, który sam sobie narzucił. Podszedł po omacku do fałszywej przegrody i wcisnął

się na swoje miejsce. Upewnił się, że klęczy twarzą w kierunku tyłu wozu i wolną ręką chwycił sztycę.

Zdjął czapkę i wcisnął ją pomiędzy klatkę piersiową a ścianę chłodni, po czym przesunął się na środek i ustawił fałszywą przegrodę. Sprężynowe zatrzaski szczęknęły cicho, zaskakując w dziurach po śrubach, ale mimo to nie puszczał rączki. Starał się oddalić od siebie lekki napływ klaustrofobii, który odczuwał na myśl o tym, że kilka centymetrów od jego twarzy znajduje się niewidoczna w ciemności sklejkowa ścianka. Osiem minut i gotowe.

Zamknął oczy i zmusił się do zwolnienia rytmu oddechu i pulsu. Raz jeszcze przypomniał sobie plan, szukając jakiejś skazy. Dziesięć minut. Jeszcze pięć i zaczyna załadunek. Trzydzieści pięć i będzie za bramą. Operacja wchodziła w ostatnią fazę.

- Jezu - wyszeptał Mort Kessler patrząc na dwóch mężczyzn stojących w korytarzu. -

Nie wyglądacie najlepiej. - Usunął się na bok i wpuścił obu do wynajętego pokoju w hotelu „Key Marriott”. Półtorej godziny wcześniej wydzwonili do Kesslera z przydrożnego automatu ustawionego na przedmieściach małego miasta King’s Domination i poprosili, by wynajął pokój i przywiózł im jakieś suche ubrania. Znalezienie pokoju nie było trudne, ale ubrania to już zupełnie inna sprawa. Kessler był niższy, więc jego własne ubrania nie pasowałyby na żadnego z nich. Zmuszony był w takim wypadku jechać do otwartego całą dobę supermarketu położonego na południe od Pentagonu. Przywiózł im dżinsy, tanie buty sportowe i koszulki. Trawkin wybrał koszulkę z Iron Maiden i nie pozostawił Stone’owi żadnego wyboru: musiał nałożyć ją z podobizną Cyndi Lauper.

Kessler zamówił śniadanie przez telefon, gdy jego goście kąpali się i przebierali. W końcu kelner przywiózł wózek z posiłkiem. Rudy agent spokojnie popijał kawę, a oni rzucili się na jajka, bekon, bułki i tosty, opowiadając przy tym swoją historię.

- A jak wam się udało zdobyć samochód? - zapytał Kessler, gdy Stone przełknął



ostatnią połówkę jajka i zagryzł ją tostem.

- On go po prostu ukradł - odpowiedział Stone, wskazując kciukiem Trawkina, usadowionego wygodnie po drugiej stronie okrągłego stolika.

- Z obozu wędkarzy po drugiej stronie jeziora, suzuki samuraj. Krótkie spięcie kabli i po robocie.

- Uczą was takich rzeczy w szkole GRU? - spytał Kessler.

- Nie - potrząsnął głową Trawkin i upił trochę kawy. - Po prostu suzuki jest skonstruowane jak łada niwa, którą mam w Moskwie. Podczas ostrych zim w Rosji człowiek zapoznaje się z układem zapłonowym swojego samochodu. A jeśli uczy się elektryki w ładzie, to umie potem wszystko odpalić.

- Gdzie jest teraz ten samuraj? - spytał Kessler.

- Na parkingu - powiedział łagodnie Rosjanin. Oparł się o poduszki kanapy i wyciągnął papierosa z nowej paczki, którą Kessler zamówił razem ze śniadaniem. Stone również przypalił sobie jednego. Na chwilę zapadła cisza.

- Jesteście pewni, że Debbie zastrzelili ludzie ze Specnazu? - zapytał Kessler, obserwując uważnie Stone'a.

- Na sto procent - odparł Trawkin. - Jeden z nich mówił po rosyjsku.

- A może to był podstęp?

- Cóż to musiałby być za aktor, by dalej grać swoją rolę, gdy w kark wbija mu się siekiera - powiedział Stone z ironią w głosie. - Dlaczego pytasz?

- Prosiłeś mnie, żebym zajrzał do niej do domu. Byłem tam wczoraj wieczorem około dziewiętej. Całe mieszkanie było zdemolowane. Porozbijane - to chyba bardziej właściwe słowo. Wyglądało tak, jakby używali ciężkich młotów.

- Jeśli to ludzie ze Specnazu, to dlaczego tak się zawzięli na twoją żonę? spytał

zdziwiony Trawkin.

- Na byłą żonę - odpowiedział Stone, przelękając się. Ledwo się powstrzymał, by się nie rozkleić. Zaciął szczęki. Teraz nie czas na smutek.

Hm... ech, cholera, nie mam pojęcia! Pracowała na uniwersytecie w Instytucie

Studiów Europejskich, wszyscy wiedzą, że to przykrywka CIA. Ona jest była analitykiem wywiadu.

- To niczego nie wyjaśnia - wzruszył ramionami Trawkin. - W nocy mieli trzy wyraźne cele: nas obu i twoją byłą żonę. Logicznie rzecz ujmując, to ja powinienem stanowić dla nich podstawowy cel - jeżeli był to oddział wysłany przez Gurenkę. Ale oni chcieli zabić Debbie.

- Pomyłka - wyszeptał Stone i machnął dłonią. - To teraz nieważne. - Agent FBI obrócił się do Kesslera. - Znalazłeś coś na tej liście, którą ci wczoraj przekazałem? I masz harmonogram prezydenta?

- Dwa razy tak - odparł rudy agent kiwając głową - gdybyś głosował na Tuckera, to pewnie byś wiedział, że dzisiaj są jego urodziny Tucker urządza prawdziwe przyjęcie, z fajerwerkami na trawniku. Potem jedzie na trzy dni do Camp David i odlatuje do Francji na obchody jakiejś rocznicy drugiej wojny światowej.

- Tu nic? Żadnego przemówienia w „Hiltonie”, kolacji, uroczystego sadzenia drzewka

- czy coś w tym rodzaju?

- Nic - odparł Kessler, potrząsając głową. - Żadnego zaczepienia.

- Cholera - westchnął Stone, gasząc papierosa. To nie ma sensu. Duncan jest w mieście, a więc zabójstwo nastąpi tutaj, a nie w Camp David, czy gdzieś we Francji.

- Nie mamy już do czynienia z Duncanem - przerwał mu Kessler. - Teraz nazywa się Smythe. Posługuje się nowojorskim prawem jazdy, które okazuje się być fałszywe. Mam też

adres, który jednak nie pasuje do nazwiska. Zgodnie z tym, co mówią nasi przyjaciele w telekomunikacji, pan Smythe mieszka w rezydencji państwa Gray'ow w Wyoming Apartments, zaraz przy Connecticut Avenue za „Hiltonem”.

- O psiakrew - wyrwało się Stone'owi, który aż się uśmiechnął. - Jak udało ci się to tak szybko wygrzebać?

- Przeleciałem na komputerze nazwiska z listy i Smythe okazał się jedynym oszustem.

Firma czarterowa wymagała od wypożyczającego podania adresu i telefonu, by przed datą wynajmu łodzi potwierdzić rezerwację. Nasz człowiek musiał więc podać im numer, pod którym przebywał. I stąd mam adres.

- I co zrobimy z tą informacją? - odezwał się Trawkin.

- W normalnej sytuacji poszlibyśmy do Ruppelta z żądaniem wsparcia pięćdziesięciu ludzi z biura w Waszyngtonie i policyjnego oddziału szturmowego odparł Kessler uśmiechając się ironicznie. - Ale wydaje mi się, że w tej chwili tą opcję możemy sobie darować. Tak samo jak ty możesz sobie wybić z głowy pomysł pomocy generała Kozłowa.

- Tak - zgodził się Trawkin. - Nie byłoby to rozsądne.

- Musimy puknąć ten adres w Wyoming - powiedział Stone zdecydowanym tonem i zapalił kolejnego papierosa. - Musimy zdobyć niezbity dowód, że ktoś chce zabić prezydenta. Bez takiego dowodu nie mamy żadnego punktu zaczepienia. A w końcu i tak będziemy musieli pójść do Ruppelta albo do kogoś podobnego.

- Chyba że w chwili, gdy tam wpadniemy, zabójca będzie w środku - odezwał się Kessler. - A w takim przypadku będziemy musieli walczyć o życie.

- Walczyć? Czym? - spytał Stone.

- Tym - odpowiedział Kessler. Uniósł neseser z podłogi przy stole i wyjął wykonanego z plastiku automatycznego glocka kalibru 9 mm w kaburze. Podał broń

Stone'owi.

- To mój własny pistolet. Zapasowy - wyjaśnił Kessler.

- Dmitrij Trawkin, siedzący po prawej stronie Kesslera, zacisnął z namysłem usta i przesunął zakrzywionymi palcami po zarośniętej szczęce. - Nie masz dla mnie żadnej broni? - zapytał w końcu.

Kessler spojrzał na Stone'a, który tylko wzruszył ramionami. - Nie mam przekonania do tej jawności i bzdur o podawaniu sobie rąk ponad żelazną kurtyną - oświadczył rudy agent.

- Ostatniej nocy uratował mi tyłek - powiedział cicho Stone. - Siedzimy w tym razem,

Mort. - Agent FBI wyszczerzył zęby. - No i on wie, jak odpalić suzuki bez kluczyków.

- Dobra - oświadczył w końcu Kessler. - Ty tu rządzisz. - Mam w bagażniku strzelbę franchi z obciętą lufą. Możesz ją wziąć.

- Dziękuję - Trawkin uśmiechnął się i popatrzył na obu agentów FBI. - Jak to wy,

Amerykanie, mawiacie, chodźmy w tan.

- Jezu - wymamrotał Kessler, potrząsając głową. - Kto by pomyślał, że pewnego dnia skończę pomagając ruskiemu szpiegowi?

William Osier, trzydziestoośmioletni mężczyzna, siedział znudzony w budce

strażniczej przy wjeździe do Białego Domu od strony West Executive Avenue. W Secret

Service był dopiero od pięciu miesięcy i wylosował służbę od północy do ósmej rano.

Oznaczało to, że większość tego czasu spędził na patrolowaniu terenu, wdeptując co chwila w psie gówna, pozostawione przez trzy szkockie owczarki Tuckera: Huey'a, Duey'a i Looney'a.

O siódmej dwadzieścia pięć, gdy do końca zmiany pozostało mu już tylko trzydzieści pięć minut - niezgodnie z regulaminem - palił papierosa w budce, strząsając popiół do puszki dr.

Peppera, specjalnie trzymanej w tym pomieszczeniu na takie okazje. U wejścia do budki stał

kapral James Corcoran ze Służby Ochrony Personelu. Ubrany był w idealnie wyprasowany,

Isniący czystoscia mundur.

Corcoran, który pelnil te sluzbe juz od trzech lat, kiedyś był w Piechocie Morskiej.

Wypatrywał, czy nie nadchodzi Lyall Spencer - szef Oslera, albo jego własny zwierzchnik, sierżant Wayne Dillabaugh z włosami koloru dojrzałej marchewki, znany z wybuchowego charakteru. Żadnego z nich nie było w zasięgu wzroku. Dokładnie po drugiej, zachodniej stronie alei, naprzeciw Corcorana, stała identyczna budka. Pełnił w niej służbę Chuck Zimmerman, który wstąpił do SOP w tym samym czasie i był z Corcoranem na tym samym kursie. Wyglądali teraz jak lustrzane odbicia. Obaj świetnie się prezentowali: wysocy, potężnie zbudowani, młodzi strażnicy najslawniejszej rezydencji Stanów Zjednoczonych. Różnił ich jedynie kolor włosów. Jeden był brunetem, a drugi blondynem.

- Która godzina? - zapytał Corcoran obracając głowę w kierunku Oslera. Agent Secret Service zgasił papierosa w puszcze i odstawił prowizoryczną popielniczkę na jej miejsce pod ławką. Wstał, ziewnął i spojrział na zegarek.

- Siódma dwadzieścia dziewięć i wciąż się zmienia - odparł podchodząc do Corcorana.

- Wóz z padliną powinien tu zaraz być.

- A potem możemy iść do domciu - westchnął Corcoran. Umundurowany funkcjonariusz, podobnie jak Osler, był na służbie w tych samych godzinach.

- Lepiej dziękuj Wszechmogącemu, że nie mamy służby w czasie tej urodzinowej balangi - powiedział Osler. Ściągnął ze ściany służbowy notatnik wpięty w tablicę.

- Z tego, co słyszałem, „Smok-Jeden” jest na wojennej ścieżce. Wszystko według regulaminu i bez wygłupów.

- Jak długa jest lista gości? - spytał Corcoran, bardziej dla zabicia czasu niż z ciekawości. Po południu grali Orioles, a on z Zimm'em bardzo chcieli pójść na mecz.

- Sześćdziesiąt nazwisk - odpowiedział Osler. - Pełna kontrola: wykrywacz metalu w

wejściu, karty magnetyczne zamiast normalnych zaproszeń. A potem sztuczne ognie.

- O co tu chodzi? - spytał Corcoran. Takie środki bezpieczeństwa stosowano zazwyczaj tylko w przypadku wizyt mężów stanu.

- Nie jestem pewien - oznajmił mu Osler. - Wydaje mi się, że słyszano jakieś pogłoski o terrorystach.

- Znowu terroryści? - odkaslnął Corcoran. - Cholera, czekamy na tych facetów od czasu, gdy zainstalowali nam ten złom na drodze. - Ruchem brody wskazał ledwo widoczną szczelinę w asfalcie. Jeśli ktoś zbyt szybko przetnie równie niewidoczny promień podczerwieni, z asfaltu wysuną się długie kolce. Jeśli zaś wóz przedostanie się poza tę linię, to spod ziemi wysunie się napędzana hydraulicznie stalowa bariera, która zadziała jak gigantyczna pięść, uderzając w podwozie nieproszonego gościa.

Osier wyszedł z budki i spojrzał poprzez kraty kutej bramy, blokującej drogę pomiędzy dwoma bliźniaczymi strażnicami. Dojrzał białą chłodnię i się uśmiechnął. Jest punktualnie. Wyszedł na drogę z notatnikiem służbowym w rękę; wóz zatrzymał się przed bramą. Osler rozpoznał siedzącego za kierownicą Teda Toatesa i towarzyszącego mu Sandy'ego Hansena; obaj pracowali w dziale transportu. Obrócił się i skinął głową do Corcorana, który stał wciąż przy swojej budce. Umundurowany mężczyzna wcisnął guzik, otworzył bramę i furgonetka powoli ruszyła. Corcoran ponownie nacisnął przycisk i brama zamknęła się za samochodem. Myślał już tylko o śniadaniu w Burger Kingu przy Szesnastej ulicy kilka przecznic dalej. Podszedł do wozu od strony kierowcy i dokonał rutynowej kontroli dokumentów Loatesa i wpiętej w marynarkę odznaki, która dzisiaj miała kolor jaskrawożółty, co zgadzało się z rozkazem dziennym. Również legitymacja agenta siedzącego obok kierowcy była bez zarzutu. Osler kończył właśnie zabawę w papierki przy oknie kierowcy, gdy Zimmerman wyszedł z budki niosąc lusterko na długiej rączce. Strażnik SOP

opadł na kolana i przesunął lusterkiem pod podwoziem furgonetki. Włączył przy tym wbudowaną żarówkę. Zadowolony, że i tym razem żaden szaleniec nie usiłował przedostać się do Białego Domu uczepiony tylnego mostu, obszedł wóz i i sprawdził ołowianą pieczęć na plombie, którą kierowca miał obowiązek zakładać na klamkę tylnych drzwi za każdym razem po zakończeniu załadunku. Plomba była nie tknięta. Zimmerman podszedł do przodu samochodu i skinął Oslerowi głową.

- Czysty - powiedział.

Osler spojrzał na Loatesa, który patrzył na niego nieruchomym wzrokiem spoza wielkich okularów przeciwsłonecznych.

- A może jeszcze przypadkiem znasz dzisiejsze hasło? - zapytał Osler.

- „Świetny kościółek” - odparł Loates.

- „Świrnięty przysiółek”? - przedrzeźnił go Osler robiąc zdziwioną minę. Przyłożył dłoń do ucha i z niedowierzaniem sprawdził hasło w notatniku.

- Obawiam się, że nie pasuje.

- Pieprz się - odpowiedział Loates, uśmiechając się łagodnie.

- I twoją dziewczynę - odpalił Osler.

Loates wrzucił bieg i strażnik pomachał mu na pożegnanie notatnikiem. Patrzył, jak furgonetka jedzie drogą i skręca na parking pod zachodnim skrzydłem budynku. Potrząsnął głową. Łaźnienie po nocy po trawnikach Białego Domu nie było wymarzoną zajęciem, ale było lepsze niż jazda furgonetką. Popatrzył znowu na zegarek. Siódma trzydzieści pięć. Dwadzieścia minut na obchód, potem podbicie zegara kontrolnego w głównej kwaterze w zachodnim skrzydle - i można iść do Burger Kinga.

Rozdział 24

Eric Rhinelandier użył szydła do wywiercenia otworu obserwacyjnego w fałszywej

przegrodzie i czekał w ukryciu, aż wyładowana zostanie ostatnia paleta z żywnością.

Wyprostował się, wygładził mundur i poprawił czapkę. Podeszedł do tylnych drzwi i zeskoczył na ziemię. Z nakręconego filmu wideo wiedział, że furgonetka zwykle pozostawała przed Białym Domem przez czterdzieści pięć minut, zanim kierowca przeprowadzał ją do garażu. Na wprost niego znajdowały się wielkie drzwi do kuchni. Rhineland powolnym niespiesznym krokiem podeszedł do otwartego na oścież wejścia i skierował się korytarzem służbowym do usytuowanej za głównymi schodami, części oficjalnej. Otworzył drzwi i wyszedł na wąski korytarz pomiędzy klatką schodową i biurem administratora po prawej stronie. Po jego lewej, oświetlone wiszącą u góry żarówką, znajdowały się schody na pierwszy poziom piwnic.

Zatrzymał się na podeście półpiętra i nasłuchiwał przez chwilę. Starał się spowolnić swój oddech. Zamknął na moment oczy, by przypomnieć sobie rozkład pomieszczeń na parterze i w piwnicy. Była już prawie ósma rano - czas zmiany dyżurnych strażników Secret Service i Służby Ochrony Personelu. Na pewno nie obędzie przy tym bez małego zamieszania. O tej porze agenci Secret Service rozpoczynający służbę koncentrować się będą wokół biur w zachodnim skrzydle oraz na drugim piętrze w prywatnych apartamentach prezydenta. Natłok turystów natomiast skupi uwagę funkcjonariuszy SOP na wejściu do wschodniej części budynku oraz na sześciu salach na parterze, udostępnianych do zwiedzania. Oficjalni goście Białego Domu zobowiązani byli nosić w widocznym miejscu plastikowe karty identyfikacyjne. Ich kolory odpowiadały strefom ustanowionym przez służby bezpieczeństwa na terenie budynku. Goście posiadający karty uprawniające ich do poruszania się po biurach wschodniego skrzydła, zajmowanych przez personel żony prezydenta, zostaliby natychmiast zatrzymani przez agentów Secret Service albo funkcjonariuszy Służby Ochrony Personelu, w przypadku próby wyjścia poza „swoją” strefę.



Jednak agenci mogli do woli poruszać się po poszczególnych strefach. Rhineland, przebrany w mundur SOP, miał prawo chodzić po całym Białym Domu, chyba że popełni oczywisty błąd i będzie próbował wtargnąć do Owального Gabinetu albo prezydenckich prywatnych apartamentów. Mógł więc przypuszczać, że w przepastnych piwnicach będzie całkowicie bezpieczny.

Pierwszy poziom piwnic mieścił labirynt małych biur, w których rozlokowano mniej ważnych urzędników, różnorodne magazyny, stolarnię, wejście do rzadko używanego korytarza u zachodnim skrzydle. Był także wąski, kiepsko oświetlony korytarz, prowadzący do piwnic z meblami, pod północnym portykiem. Ta część stanowiła pierwszy cel Rhinelandera. Analizując film wideo i obraz parkingu przed wejściem do zachodniego skrzydła, stwierdził, że większość pracowników Białego Domu przychodziła do pracy między godziną ósmą i ósmą trzydzieści. Uznał więc, że o tej porze nie powinien nikogo spotkać na pierwszym poziomie piwnic.

Drugi poziom to jednak zupełnie inna historia. W dawnym schronie bombowym znajdowało się teraz centrum telekomunikacyjne Korpusu Łączności, a bezpośrednio pod kuchnią na parterze umieszczono kawiarenkę. Była tam też pralnia oraz wejście do nowego schronu we wschodnim skrzydle. Centrum łączności pracowało przez całą dobę, więc zawsze ktoś z obsługi przebywał na tym poziomie. Jednak istniało bardzo niewielkie ryzyko, by ktoś pracujący na drugim poziomie piwnic wchodził na poziom pierwszy.

Rhinellander uspokoił oddech, obrócił się i zszedł schodkami na dół. Przemierzył drogę obok łazienek i windy towarowej a potem skręcił w prawo w centralny korytarz ze skrzydła wschodniego do zachodniego. Tak jak to przewidział, o tej godzinie przejście było puste. Piętnaście metrów dalej korytarz rozszerzał się nieco i zabójca przystanął. Po lewej miał podwójne drzwi do magazynu mebli i dalej do ciepłowni z urządzeniami

klimatyzacyjnymi.

Drzwi obite były blachą i zaopatrzone w zasuwy. Podłoga korytarza wyłożona była ciemnym cętkowanym linoleum. Obejrzał szybko framugę, szukając jakichkolwiek śladów systemu alarmowego. Nie zauważył nic szczególnego. Nie było też kamer. Nie zdziwiło go to. Biorąc pod uwagę znaczną liczbę pokoi, biur i korytarz w całym budynku, zainstalowanie kamer i alarmów w każdym pomieszczeniu byłoby po prostu niemożliwe. Trzeba by zainstalować dziesiątki kamer i setki sensorów alarmowych. Tymczasem Secret Service i Służba Ochrony Personelu były w stanie pilnować tylko kluczowych miejsc i przejść używanych przez zwiedzających i rodzinę prezydenta. Piwnice najwyraźniej nie stanowiły tu priorytetu.

Podszedł do drzwi i przesunął dźwignię zasuwy w lewej ich połówce. Wszedł do środka i delikatnie zamknął. Magazyn mebli oświetlony był jarzeniówkami. Pomiedzy sięgającymi sufitu metalowymi półkami zrobiono przejście, od którego w obie strony rozchodziły się pomocnicze korytarzyki. Każda półka zavalona była do granic możliwości meblami o znacznej wartości, które nie były używane. Ściśnięte krzesła, fotele, komody, sofy, ławy i lampy zostały pokatalogowane i ustawione w odpowiednich miejscach.

Rhineland rozejrzał się, szukając kamer. Znowu nic. Kiwając z zadowoleniem głową, poszedł szybkim krokiem centralnym przejściem do nitowanych stalowych ciemnozielonych drzwi po drugiej stronie przestronnego pomieszczenia. Po ich otwarciu został momentalnie ogłuszony hałasem wytwarzanym przez kompresory, wentylatory, wymienniki ciepła i chłodziarki. W całym pomieszczeniu kłębiły się grube metalowe rury wentylacyjne. Sala była słabo oświetlona kilkoma tylko żarówkami.

Zabójca nie ruszał się z miejsca, chciał zorientować się dokładnie w swoim położeniu.

Stanął plecami do drzwi i patrzył na pomoc w kierunku Pennsylvania Avenue. Główny kanał

ściekowy, który biegł pod linią metra, musiał zatem być po jego prawej. Skręcił w tamtą stronę i precyzyjnie się przemieszczał między kompresorami. Dotarł w końcu do ściany, za którą znajdował się kanał.

Róg pomieszczenia był częściowo skryty za kolankiem wielkiej rury wentylacyjnej.

Przesuwając się powoli od rogu wzdłuż ściany, znalazł miejsce, które do tej pory znał tylko z drugiej strony. Znajdowało się ono pomiędzy wysokim, lekko zaolejonym transformatorem i rurą wentylacyjną. Na prawo od transformatora biegła rura z wodą z elektrociepłowni, która nikła w ścianie. Rhineland wyjął z kieszeni szydło i wydłubał uszczelnienie rury.

Pomieszczenie, wyremontowane za czasów Trumana, miało wylaną cementową podłogę. Podwójne ściany, z cegieł, zostały powleczone pięciocentymetrową warstwą betonu; która zżarta kwaśnym olejem, była w opłakanym stanie. Podobnie wyglądały wystające spod niej cegły. Wielokrotnie tynkowane i malowane - kruszyły się, a zaprawa jak piasek wysypywała się pomiędzy spojeń.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Znajdował się w odległości dwunastu metrów od drzwi i był zasłonięty urządzeniami. W sytuacji, gdyby ktokolwiek wszedł do sali - co było raczej mało prawdopodobne - miałby dosyć czasu, by się dobrze ukryć. Spojrzał na zegarek: ósma dwadzieścia. Pozostało już tylko niewiele ponad dwanaście godzin. Przyklęknął przy ścianie i wymierzył rozpostartymi rękami wysokość. Chwycił szydło i wziął się do roboty.

Trzej mężczyźni stali na dachu „Holiday Inn” i patrzyli ponad Connecticut Avenue na Wyoming Apartments. Stephen Stone, używając pożyczonej od Morta Kesslera lornetki, penetrował okna wielkiego dziewiętnastowiecznego budynku stojącego na tyłach waszyngtońskiego „Hilтона”.

- Piąte piętro z tej strony - wskazał mu Kessler. Stone przesunął trochę lornetkę. Obok niego stał Dmitrij Trawkin z wiązanką dwunastu czerwonych róż. W kwiatach ukrył obrzyna

otrzymanego od Morta Kesslera.

- Zasunął wszystkie zasłony - oznajmił Stone.

- I nie odbiera telefonu - dodał Kessler.

- To jeszcze nic nie znaczy - wzruszył ramionami Trawkin. - On mimo wszystko może być w środku.

- Bez jaj, Sherlocku - westchnął Kessler. - Właśnie dlatego Stone chce zrobić ten numer z kwiatami. Ja osobiście wolałbym dwudziestu facetów z kamizelkami z włókna węglowego i kilku snajperów tu na tym dachu.

- Kwiaty zadziałają - zapewnił ich Stone, kierując lornetkę niżej.

- Lepiej, żeby tak było - sapnął Kessler. - Inaczej towarzysz Trawkin znajdzie się w drewnianym pudle!

- Potrafisz pięknie budować zdania - odpowiedział Rosjanin. - W moim kraju zostałbyś sławnym poetą.

- Taa, pewnie - powiedział rudy agent, i próbował doszukać się w twarzy Trawkina oznak ironii.

- Idziemy - powiedział cicho Stone.

W dziesięć minut później byli już w korytarzu na piątym piętrze budynku. Trawkin z kwiatami stanął przed drzwiami, podczas gdy pozostali schowali się za załomem muru przy windzie. Zanim weszli do domu, Kessler scyzorykiem rozciął folię, w którą opakowane zostały kwiaty, by umożliwić Rosjaninowi szybki dostęp do pistoletu w sytuacji, gdyby zabójca otworzył drzwi trzymając broń.

Po trzecim dzwonku stało się jasne, że nikt nie otworzy. Kessler podszedł do drzwi i gestem nakazał Trawkinowi, by się odsunął. Ukląkł i używając standardowych wytrychów FBI, otworzył zamek. Po minucie byli już w środku wielkiego mieszkania, a po kilku

następnych bardzo ostrożnego przeszukiwania pokoi odkryli, że ich ptaszek zdążył wyfrunąć.

Kessler i Trawkin byli zajęci przeszukiwaniem mieszkania w nadziei znalezienia czegoś, co by ich naprowadziło na dalszy trop zabójcy. Stephen Stone usiadł tymczasem przy telefonie i wykręcił numer biura ochrony formy telekomunikacyjnej. Podał się za funkcjonariusza FBI i zażądał listy wszystkich numerów, które łączyły się z tym telefonem. Kierownik poinformował go, że zajmie mu to co najmniej pół godziny. Agent FBI powiedział, żeby oddzwonili, gdy tylko będą mieli kompletną listę.

Przeszukiwali mieszkanie bardzo dokładnie, ale niczego nie znaleźli. Stone wrócił do sypialni i przejrzał zawartość szuflad biurka, półek w szafie i kosza na śmieci. Stwierdził, że Duncan dokładnie wyczyścił po sobie mieszkanie. Zrezygnowany podszedł do zabudowanych w ścianie półek i zaczął przeglądać tytuły. Zastanawiał się, jaką tematyką interesował się właściciel mieszkania. Dopiero wówczas, gdy zajął się półką stojącą najbliżej biurka. Zorientował się, że trafił na właściwy trop.

- Sukinsyn - wyszeptał, wracając do pierwszej półki. Szybko sprawdził zawartość pozostałych półek i zawołał pozostałych. Czekaając na nich, chodził z błyszczącymi od podniecenia oczami. Wyciągał spośród innych tomów poszczególne tytuły i układał je na blacie biurka. Trawkin i Kessler stanęli w drzwiach i popatrzyli po sobie.

- Co ty u diabła wyczyniasz? - zapytał Kessler.

- Sprawdzam je! - wrzasnął radośnie Stone. - Rozrzucił książki po całej biblioteczce, więc zajęło mi chwilę złożenie ich do kupy. Nie chciał ryzykować wyrzucania tak monotematycznej kupy makulatury. Powtykał je zatem pomiędzy inne tytuły.

- Co takiego powtykał? - zapytał Trawkin.

- Książki, człowieku, przeczytaj tylko te pieprzone tytuły!

Rosjanin przebiegł wzrokiem po okładkach, układając książki w stosy. Kessler

podszedł z boku i czytał:

- Żyjąc w Białym Domu, Wycieczka po Białym Domu z Jacqueline Kennedy,

L'Enfant's Washington, Zwierzenia agenta Secret Service, Chroniąc prezydenta, Krąg

władzy: personel Białego Domu i jego rosnąca rola w rządzie, numer „National Geographic”

z tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku z artykułem o Waszyngtonie i Białym Domu,

Dzień z życia prezydenta, Pierwsze Damy Waszyngtonu, W Białym Domu na górze

- Jezu, jest nawet książka zatytułowana Morderstwo w Ovalnym Gabinetcie. - Rudy

agent FBI spojrział na Stone'a.

- Mój Boże, Stephan, to nie może być prawda!

- Czemu nie? - odezwał się Trawkin. - Okaże się potem, że był to akt terroryzmu.

Jakiś Libijczyk albo Kolumbijczyk - to nawet pasowałoby do wizyty Coopera na Barbados

i. mojego uwięzienia w Instytucie Bowie'ego.

- To szaleństwo - wyszeptał Stephen Stone. Potrząsnął głową. - To tylko przypadek.

Może facet, do którego należy to mieszkanie, zbiera książki o Białym Domu.

- Chyba możemy wyrzucić tę teorię do kosza - powiedział Kessler, przerzucając kartki

książki w twardej oprawie. - Ten sukinsyn robił notatki na marginesach jednym z tych

fluorescencyjnych pisaków od podkreślania tekstów. - Odkasznął. Oto fragment podkreślony

w książce Krąg władzy: W wewnętrznej strefie ochronnej znajdują się agenci w cywilnych

ubraniach. W oddziale przy Białym Domu jest ich ponad setka. Trochę dalej następne

podkreślenie: Posterunek dowodzenia ochrony prezydenta znajduje się bezpośrednio pod

Owalnym Gabinetem. Elektroniczny system lokacyjny cały czas informuje agentów oraz

szefa personelu, gdzie znajdują się w danej chwili najważniejsi mieszkańcy Białego Domu.

Zespoły agentów przeprowadzają ciągle ćwiczenia, szukając słabych punktów w ochronie. Na

terenie Białego Domu znajduje się stała wyrzutnia rakiet przeciwlotniczych, a na składzie są

też ręcznie odpalane rakiety typu redeye.

- Ten drań dobrze odrobił zadanie domowe.

- Nieprawdopodobne - wymamrotał Trawkin, kartkując inną książkę.

- W Białym Domu na górze:...przed każdą kolacją szliśmy na dół do piwnicy pod

Północnym Portykiem i zabieraliśmy kryształ, złote talerze i chińską porcelanę.

Na marginesie napisał tylko jedno słowo: „piwnica”. - Trawkin przerzucił dalsze

strony. - Są tu dziesiątki takich podkreśleń. On popsuł całą książkę.

Stone popatrzył na stos książek leżących na blacie biurka.

- Cholera, nie możemy teraz wertować tej makulatury!

- Czym się martwisz? - spytał Kessler. - Masz w końcu dowód, którego tak się domagałeś.

- To tylko książki z podkreślonymi zdaniem i notatkami na marginesach

odpowiedział Stone. - Toniczego nie dowodzi.

- Dopóki nasz facet nie wysadzi prezydenta w powietrze, nie będziemy mieli

niezbitego dowodu - oznajmił Kessler. - Musimy działać z tym, co mamy.

- Stephen ma rację - zaczął powoli Trawkin. - Nic nie mamy. Wiemy tylko, że pan

Duncan czy też jakkolwiek się nazywa, zamierza zaatakować Tuckera w Białym Domu, może

nawet w Owalnym Gabinetcie. Jestem pewien, że bylibyśmy w stanie z tych podkreśleń

odczytać, w jaki sposób zamierza się tam dostać. Obawiam się, jednak, że nie ma już na to

czasu.

- Nagle zaczyna nam się spieszyć? - spytał Kessler.

Też się tego obawiam, towarzyszu Mort - oznajmił Trawkin. - Zastanów się. Stephen

twierdzi, że Cooper zaczął „sprzątanie”. Ty widziałeś, jak wywieźli Mallory’ego, tak? A teraz

jesteśmy w mieszkaniu Duncana, którego tu nie ma. Wyczyścił też wszystkie ślady. Oznacza

to, że jest gotów do uderzenia w najbliższej przyszłości. Może nawet dzisiaj.

- O cholera - jęknął Kessler. - Przyjęcie urodzinowe!

Przepraszam? - spytał Trawkin.

- Prezydent wydaje dzisiaj przyjęcie urodzinowe - wyjaśnił Stone. - W Białym Domu urządzają dzisiaj wielką balangę.

- I on wtedy zaatakuje - odpowiedział zdecydowanym głosem Trawkin. Jestem tego pewny.

- Musimy to gdzieś przekazać - powiedział Stone zagryzając wargi. - Nie możemy go szukać sami.

- Mówiłeś, że nie możesz zwrócić się do Ruppelta, więc do kogo z tym pójdziemy? - spytał Kessler.

- Generał Kozłow zaśmieje mi się w twarz, gdybym poprosił go o pomoc wrzucił ramionami Trawkin. - A potem przekaze mnie Gurence z KGB i „Łasicy” jego asystentowi.

- Miłe towarzystwo - zauważył Kessler.

Nagle zadzwonił telefon. Stojący najbliżej aparatu Stone poruszył się nerwowo i odebrał po drugim sygnale. Ułożył słuchawkę pomiędzy uchem i ramieniem i rzucił się do biurka po kartkę papieru i długopis. Słuchał przez kilka minut zapisując coś szybko po czym odłożył słuchawkę.

- Kto to? - spytał Kessler.

- Firma telekomunikacyjna - odpowiedział Stone z napięciem w głosie. Spojrzał na notatki.

- Dobra - powiedział po chwili. - Nie mamy pojęcia, jak zamierza wejść na teren Białego Domu, ani którędy wyjdzie po robocie z budynku, wiemy już, jak zamierza wymknąć się z Waszyngtonu.



- Wyjaśnij nam to - powiedział Trawkin.

- Co byście zrobili po popełnieniu poważnej zbrodni, a policja ustawiłaby blokady na drogach? - spytał Stone. - Obstawiono by też stacje kolejowe, dworzec autobusowy i lotniska.

- Wynająłbym balon - powiedział kwaśno Kessler.

- Blisko - odparł Stone. - Z wykazu numerów wynika, że nasz pan Duncan Smythe wypożyczył barkę mieszkalną w firmie czarterowej na Potomacu w dole rzeki.

Pierwsza wymiana miała miejsce na moście Key po stronie Georgetown w południe.

Stalowszara furgonetka marki Volkswagen zjechała Wisconsin Avenue, skręciła na zachód w ulicę K i wolno powlokła się pod Whitehurst Freeway, aż do mostu. Zjechała następnie na zwirowy parking nad brzegiem rzeki i stanęła. Na dachu wozu znajdował się mały agregat chłodniczy, a z tyłu na zderzaku przyklejona była naklejka z napisem: „Uwaga, świeże ostrygi”. Przedział ładunkowy nie miał okien. Wóz zaopatrzony był w tablice rejestracyjne Karoliny Pomocnej.

Wewnątrz furgonetki, w drewnianej skrzyni, spoczywały zamrożone zwłoki Nezara Hassada, libańskiego terrorysty, powiązanego z grupą Abu Nidala. Hassad nie żył już od kilku dni, trafiony w głowę pociskiem, wystrzelonym z pistoletu smith & wesson special kaliber.38. Od tego czasu trzymano go w lodzie. W skrzyni oprócz Hassada znajdował się także trzykilogramowy ładunek plastiku, podłączony do zapalnika zegarowego i włącznika taśmowego, który zdetonowałby bombę, gdyby tylko ktoś chciał uchylić wieko pudła.

Hassad przed śmiercią został ubrany w nowiuteńki garnitur J.C. Penneya i drogie mokasyny od Kinneya. W portfelu w marynarce znajdowały się jego dokumenty. Pieczętki w paszporcie wskazywały, że przed przyjazdem do Stanów Zjednoczonych był we Francji.

Wśród kilku przedmiotów w jego kieszeniach znajdował się kalendarzyk z domowym numerem telefonu Mallory’ego w Aleksandrii, numer skrzynki pocztowej wynajętej na

nazwisko Mallory'ego oraz zagraniczny numer telefonu małego hotelu na lewym brzegu Paryża.

Hotelik ten znany był większości organizacji wywiadowczych jako siedziba FWI - Frontu Wyzwolenia Iranu, grupy antyjatollahowej. Nikt nie wiedział jednak, że od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku ugrupowanie to było finansowane przez Centralną Agencję Wywiadowczą. William Casey, ówczesny dyrektor CIA, nie pokładał w FWI wielkich nadziei, ale uważał, że warto ją utrzymywać jako przykrywkę dla innych antyirackich operacji. Hudson Cooper odziedziczył po nim tę grupę i utrzymywał ją tak samo jak Casey - płacąc sto tysięcy dolarów miesięcznie. Teraz inwestycja miała się spłacić.

Na moście pojawiła się druga ciemnoniebieska furgonetka. Jechała od strony hangaru po drugiej stronie rzeki. Widniały na niej miejscowe tablice Dystryktu Kolumbia. Zatrzymała się na parkingu przy volkswagenie, ustawiając się równolegle, bocznymi drzwiami ładunkowymi obok drzwi drugiego samochodu. Kierowcy obu wozów otworzyli następnie boczne drzwi tak, by przypadkowi przechodnie nie mogli zobaczyć ładunku. Ustawili między samochodami deskę z rolkami i szybko przetransportowali skrzynię z ciałem Hassana i bombą do niebieskiej furgonetki. Po wykonaniu zadania, jeden z mężczyzn z volkswagena wyjął z kabiny samoprzylepną folię, nakleił na boczną ściankę niebieskiego wozu. Napis brzmiał: „Griffin Security Services Inc”. Była to firma wynajęta kilka lat temu do ochrony i patrolowania pustych pomieszczeń Ambasady Iranu, opustoszałej po kryzysie z zakładnikami w amerykańskiej ambasadzie w Teheranie.

Kierowcy po sprawdzeniu naklejki, zatrzasnęli rozsuwane boczne drzwi i rozjechali się w przeciwnych kierunkach. Niebieski wóz skręcił w wąską uliczkę i po chwili dotarł do Wisconsin Avenue. Kierowca prowadził furgonetkę z ograniczeniem prędkości na północ do ulicy Q, po czym skręcił na wschód i mostem Dumbarton i przekroczył Rock Creek. Pojechał

następnie wokół Sheridan Circle do Massachusetts Avenue i podjechał pod bramę ambasady.

Towarzysz kierowcy, ubrany w ciemnoniebieski mundur Griffina, zeskoczył z kabiny i otworzył kłódkę zabezpieczającą łańcuch okręcony wokół prętów wysokiej kutej bramy.

Pojechali dalej wąskim, upstrzonym śmieciami podjazdem na zamknięte ze wszystkich stron murami podwórze na tyłach budynku.

Obaj mężczyźni byli członkami FWI. Otrzymali jasne i proste rozkazy. Po zaparkowaniu furgonetki za ambasadą, mieli wrócić do hotelu i czekać. W razie, gdyby do dziewiętnastej trzydzieści nie otrzymali dalszych instrukcji, powinni czekać w furgonetce na spotkanie z amerykańskim członkiem FWI. O dwudziestej pierwszej trzydzieści mieli otworzyć skrzynię, przygotowując zawartość do przekazania. Obaj mężczyźni nie wiedzieli, co zawiera drewniane pudło i wcale nie byli ciekawi. Jako byli funkcjonariusze SAVAK-u, tajnej policji szacha, nie zadawali zbędnych pytań. Powiedziano im tylko, że ich zadanie jest wyjątkowo ważne i przybliży ich o krok do przywrócenia władzy Pahlavich w Iranie. To im wystarczyło. Zamknęli furgonetkę, nie zauważeni wydostali się z podwórza opuszczonej ambasady i wrócili do hotelu.

## Rozdział 25

Eric Rhinelandor dobrze przygotował się do swego zadania. Harmonogram planowanego zabójstwa nie mógłby być bardziej precyzyjny. Każde wydarzenie towarzyskie w Białym Domu doprowadza planowanie do chaosu, który rozprzestrzenia się od Biura Protokołu Prezydenta poprzez szefa prezydenckiego oddziału Secret Service aż po mistrza ceremonii. Codzienna rutyna zostaje złamana. Do Białego Domu wprowadzany jest dodatkowy personel, a ochrona budynku i gości staje się koszmarem. Prezydenckie przyjęcie urodzinowe nie stanowiło tu wyjątku.

Zwykle liczebność personelu pomocniczego w Białym Domu nie przekracza setki. Na

przyjęcie Tuckera liczba ta została powiększona czterokrotnie. Kolacja dla sześćdziesięciu gości, po której miało nastąpić przyjęcie dla trzy razy większej liczby ludzi, wymagało wynajęcia od firmy kateringowej dodatkowego personelu do różnych usług. Mieli zajmować się wszystkim: od wertowania jadłospisów dla upewnienia się, że wzięto pod uwagę alergie niektórych z gości, do dmuchania ciepłym powietrzem z suszarek do włosów na niedostatecznie rozwinięte pąki róż. Sprowadzono również zespoły rozrywkowe. Telewizja CBS miała zarejestrować uroczystości dla przyszłych pokoleń.

Wszyscy ci ludzie: stały personel, wynajęci specjaliści i ochotnicy, musieli dostać karty identyfikacyjne i przepustki pozwalające na swobodne poruszanie się po odpowiednich strefach budynku. Do pomocy etatowym ochroniarzom sprowadzono agentów Secret Service z biura okręgowego. Posłano też po dodatkowych funkcjonariuszy Służby Ochrony Personelu, policję i nawet drogówkę, która miała rozładowywać ewentualne korki przed wjazdem na teren Białego Domu. Wszyscy funkcjonariusze musieli zostać dokładnie powiadomieni o szczegółach przyjęcia, poinstruowani o odpowiednich procedurach. W Białym Domu pojawiło się tego dnia sto siedemdziesiąt osiem nowych twarzy, nie licząc Erica Rhinelandera.

O szóstej po południu Biały Dom był pełen ganiających ludzi, w popłochu przygotowujących przyjęcie. Zupełnie inny nastrój panował głęboko w piwnicy. Rhinelande po zakończeniu przygotowań spał w kącie, ukryty za jednym z kompresorów systemu klimatyzacyjnego. Wcześniej usunął kilka cegieł z wewnętrznej warstwy muru. Znalazł kable elektryczne i podłożył tam bombę zegarową, która we właściwym momencie pogrąży w ciemnościach cały Biały Dom.

Dla cywila, nie przyzwyczajonego do gwałtu i krwi - które składały się na zawodowe życie Rhinelandera - spanie w takiej sytuacji czujnym snem, mogło wyglądać dziwnie.

Wiedział jednak, co robi. Z tym ostatecznym oczyszczeniem podświadomości spotkał się już w Laosie, Kambodży i Wietnamie. Może była to raczej konfrontacja z własnymi, osobistymi demonami, zanim przyjdzie stawić czoło śmierci.

Mimo drzemki, jego świadomość wciąż pracowała. Zabójca wiedział, że szaleństwo idzie za nim krok w krok od zawsze. Zdawał sobie jednak sprawę, że prowadzi życie, w którym możliwość choroby psychicznej stanowiła ryzyko zawodowe. Od samego początku miał świadomość, że przyjęcie oferty Hudsona Coopera graniczyło z samobójstwem.

Wiedział jednak przy tym, że wykonanie zadania na zawsze wyzwoli go z wszelkich trosk.

Drzemiąc, jeszcze raz przemyślał cały plan, punkt po punkcie. Tak jak wiele razy przedtem, szacował swoje szansę. Przypuszczał, że jeśli nie zajdzie nic nie przewidzianego, to wykonanie zadania i ucieczka powinny się powieść. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że na boisku są dwie bramki. Nigdy całkowicie nie można wykluczyć ryzyka. Nigdy w historii, zamachowiec, który próbował pozbawić życia głowę państwa, nie zdołał uciec z miejsca zbrodni. Wszystko jedno, czy była to próba udana, czy też nie.

Otrząsnął się ze snu i spojrzął na zegarek. Osiemnasta czterdzieści pięć. Wkrótce w Sali Dyplomatycznej zaczną zbierać się pierwsi goście. Uśmiechnął się z całkowitym spokojem. Za dwie godziny i kilka minut historia potoczy się innym biegiem.

Lyall Spencer siedział obok dyżurnego agenta przed konsolą telewizji przemysłowej w biurze łączności Secret Service w piwnicy w zachodnim skrzydle i uważnie przeglądał monitory. Wyciągi wentylacyjne pracowały na cały regulator i chłodziły powietrze wywiewając z pomieszczenia chmury dymu, wypuszczanego z płuc przez szefa oddziału. Dyżurny agent Roy Donner nie palił i dym doprowadzał go do wściekłości. Rzucił palenie dwa tygodnie wcześniej i nawet sam widok kogoś palącego wywoływał w nim nerwowe reakcje.

- Jak te urządzenia znoszą działanie dymu? - zapytał Donner, wskazując brodą na monitory. Nawet nie starał się ukryć aluzji. Donner pracował w Białym Domu od roku i doskonale wiedział, że we wszystkich publicznych pomieszczeniach budynku obowiązywał od czasów Jimmy'ego Cartera zakaz palenia papierosów.

- Kiedy jestem zdenerwowany, dużo palę, Donner - odpowiedział kwaśno Spencer. -

A jestem zdenerwowany za każdym razem, gdy wódz wyprawia przyjęcie.

- Szef oddziału spojrział na ekrany. Samochody zajmowały cały parking, przed portykiem stał sznur limuzyn, po Sali Dyplomatycznej kręci się mnóstwo gości w czarnych krawatach i wieczorowych sukniach. Dzięki Bogu nie musiał tam stać i słuchać Gershwina, granego bez polotu przez czteroosobowy zespół.

- A przy okazji, gdzie on jest?

- W toalecie - odpowiedział Donner, sprawdzając koordynaty na cyfrowej mapie umieszczonej przed konsolą. - Drugie piętro, część północna, apartamenty prywatne. Jest tam około dziesięciu minut. Wszawy protokół. Pewnie załatwia swoje potrzeby z egzemplarzem „Time'a” w garści.

- Wiesz, że sprzedawali kiedyś odchody Dalajlamy? - spytał Donner.

- Nie Donner, nie wiem - odpowiedział Spencer wzdychając.

- Naprawdę - zapewnił go młody agent Secret Service. - Suszyli to i robili amulety szczęścia. Zarobili kupę forsy.

- Gdybyś zaczął przetwarzać odchody Tuckera, nie zarobiłbyś ani centa powiedział Spencer. - A teraz zajmij się monitorami.

Szef ochrony zgasił papierosa i spojrział ponad ramieniem Donnera. Boss i jego rodzina nosili elektroniczne urządzenia namiarowe, ale śledzenie całej hordy gości, którzy właśnie najjeżdżali na Biały Dom, było po prostu niemożliwe. Poprzez kamery miał podgląd

sytuacji we wszystkich pomieszczeniach na parterze i w biurach, jak również w kuchni, w głównych korytarzach i na klatkach schodowych. Jednak oświetlenie było niewystarczające i kamery psuły się. Zresztą, nawet przy dobrym oświetleniu trudno byłoby stwierdzić, kto znajduje się na ekranie monitora.

Spencer potrząsnął głową. Przeciętny Amerykanin oglądający Biały Dom w telewizyjnych wiadomościach wyobrażał sobie, że Secret Service i inne organizacje odpowiedzialne za ochronę prezydenta dysponowały najnowocześniejszym sprzętem. Czasem była to prawda, szczególnie gdy dotyczyło to obserwacji terenu. Jednak wewnątrz budynku musieli zadowolić się starzejącym się szybko sprzętem. Podobnie jak wszystkie inne agencje. To samo zresztą dotyczyło samego budynku. Podłogi, położone od nowa w czasie renowacji Trumana w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku, wymagały wymiany. Zniszczyły je buty trzydziestu siedmiu milionów turystów, którzy od tego czasu zdeptywali systematycznie Biały Dom.

Rozległ się dźwięk telefonu w głównej konsoli. Donner uniósł słuchawkę i słuchał przez chwilę, po czym wręczył ją Spencerowi.

- To do ciebie - powiedział. - Jakiś Stone z FBI.

Daniel Waxman chodził nerwowo wzdłuż poręczy nad Wielkimi Wodospadami na północ od Waszyngtonu. Widok Potomacu, którego fale uderzały w dół z ogromną siłą, przyprawiał go o ból brzucha. Za nim znajdował się spokojny zbiornik Chesapeake i kanału Ohio ze śluzami i wielkim budynkiem gospodarczym. Wolał czekać na jednej z ławek bliżej kanału. Dostał bardzo szczegółowe wskazówki. Spotkanie miało nastąpić w miejscu, gdzie woda wodospadu spadały z grzmotem na granitowe skały.

Waxan, czterdziestoczteroletni, niski i nieco korpulentny biurokrata, ukończył

Uniwersytet Kolumbia i pracował w Departamencie Stanu. W początkowym stadium pracy i

małżeństwa wyobrażał sobie awanse na same szczyty. Zwierzał się czasem żonie Brendzie, że chciałby zostać asystentem sekretarza stanu. Kiedy był szczególnie z siebie zadowolony, wyobrażał sobie telefon z Białego Domu z prośbą o przyjęcie stanowiska sekretarza prasowego prezydenta.

Osiemnaście lat pracy i brak odpowiednich koneksji miały duży wpływ na zmniejszenie jego ambicji i oczekiwań. Teraz był zadowolony z siebie. Nie wychylał się i jako starszy edytor nadzorował sporządzanie codziennego porannego raportu. Dokument ten powstawał w komórce Biura Wywiadu i Badań Departamentu Stanu po to, by informować sekretarza i jego zastępców o bieżących wydarzeniach i najnowszych odkryciach wywiadu, które mogły mieć wpływ na politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych. Kiedyś na przyjęciach kilkakrotnie przedstawiał się melodramatycznie jako człowiek pracujący w „wywiadzie”. Od dawna już nie mówił takich rzeczy. BWiB nie było niczym więcej jak miejscem, w którym spisywano plotki krążące po Waszyngtonie. Jemu zaś tak samo daleko było do szpiegostwa jak każdemu przeciętnemu obywatelowi.

I dlatego ten telefon po południu był taki dziwny. Brenda wyjechała do matki mieszkającej w Nowym Jorku, więc postanowił spędzić poranek na czytaniu najnowszej powieści Toma Clancy’ego, a popołudnie - na sporządzaniu w piwnicy nowej płyty do zaprojektowanej przez siebie gry wojennej. Pomiędzy książką a piwnicą zdecydował się na kanapkę. Wtedy zadzwonił telefon. Facet na drugim końcu linii mówił dziwnym cudzoziemskim akcentem i przez dłuższą chwilę miał niemal pewność, że stał się obiektem żartu kumpli z biura. W końcu jednak rozmówcy - który przedstawił się jako Horst Richter - udało się przekonać Waxmana, że mówi poważnie.

Richter powiedział mu, że jest wschodnioniemieckim dziennikarzem, który został poproszony przez przyjaciela o przysługę. Ten z kolei otrzymał informacje, które - jak sądził -



mogłyby zainteresować Departament Stanu. Richter zapytał więc, czy Waxan mógłby przekazać takie informacje wyżej. Gdy wyczuł wahanie biurokraty, zapewnił go, że informacje te są niezwyklej wagi i gdyby mu pomógł, to część chwały może spaść również na niego. Na chwilę znowu ujrzał oczami w wyobraźni, jak podjeżdża swoim wozem na parking przed Białym Domem. Bez dalszych oporów wyraził zgodę. W końcu, co miał do stracenia?

Teraz nie był już tak pewny siebie. Znajdował się trzydzieści kilometrów od miasta, słońce chowało się za horyzontem, a on czekał jak głupi na jakiegoś faceta z Europy Wschodniej, który miał mu rzekomo dostarczyć pakunek. Stał przy barierce i patrzył na wirującą wodę. Czuł przy tym ból w żołądku. Żałował już, że zgodził się na to spotkanie. Usłyszał za plecami szuranie obcasów i z bijącym sercem obrócił się na pięcie.

Podchodziło do niego dwóch mężczyzn, ubranych w dresy i buty do biegania. Niski, tusty urzędnik przełknął nerwowo ślinę. Na pewno faceci nie wyglądali na rosyjskich szpiegów, ale kto to mógł w końcu wiedzieć? Niższy z nich miał na plecach jaskrawożółty plecak.

- Pan Waxman? - zapytał wyższy. Nie mówił z niemieckim akcentem. To był inny akcent.

Cholera, to szpiedzy - pomyślał. Poczuł, że zaraz dostanie na miejscu biegunki ze strachu.

- Kim jesteście?

- To pan jest Daniel Waxman?

- Tak. - O Boże, jeśli zaraz nie znajdzie ubikacji, to może dojść do katastrofy!

- Dobrze. - Wyższy mężczyzna odchrząknął.

- Przepraszam, że zwabiłem pana w to miejsce podając fałszywy pretekst, ale zapewniam, że było to konieczne.

- Jaki znowu fałszywy pretekst - zapytał Waxman. Zaszło mu momentalnie w ustach.

Dziwne, ale pomyślał w tej chwili, że zawsze zasychało mu w ustach, gdy wypalił skręta.

Jeśli najpierw nie narobi w spodnie, to na pewno zaraz zemdleje. Boże! Dlaczego nie posłuchał Brendy i nie poszedł pracować w firmie jej starego?

- Nie istnieje żaden Horst Richter. A tym bardziej żaden jego przyjaciel.

- Nie bardzo rozumiem - odpowiedział Waxman słabym głosem. Drugi mężczyzna odsunął się trochę do tyłu, blokując wyjście.

- Znalazł się pan tutaj dlatego, że jest pan tym, kim jest - wyjaśnił wyższy mężczyzna.

- Pracuje pan w wywiadzie Departamentu Stanu, ale nie ma pan żadnej realnej władzy. Nie ma pan żadnej kontroli. Jest pan neutralny.

- Jakoś się z tym pogodzę - skomentował jego słowa Waxman. Mógł pogodzić się w tej chwili ze wszystkim, byleby wydostać się z tej sytuacji. Wyższy mężczyzna skinął do niższego ręką, a ten zdjął plecak i podał go koledze. Wysoki mężczyzna z kolei podał pakunek Waxmanowi, który popatrzył pustym wzrokiem na nylonowy materiał. Wysoki zrobił krok do przodu i chwycił Waxmana pod ramię. Poprowadził wystraszonego urzędnika do poręczy i wskazał wolną ręką na wyspę rozdzielającą rzekę na dwie odnogi. Wyspa połączona była z brzegiem kładką dla pieszych od strony Wirginii.

- A więc - powiedział mężczyzna. - Widzi pan na wyspie człowieka w jasnoniebieskiej czapce żeglarskiej?

- Tak - odpowiedział Waxman.

- Ma profesjonalną kamerę wideo. Właśnie nagrał na taśmie naszą małą transakcję.

- Ja... nie bardzo rozumiem - wyjąkał Waxman. - Kim wy u diabła jesteście?

- Nazywam się Władimir Gurenko, panie Waxman. Jestem generałem KGB i szefem rezydentury w Waszyngtonie. Mój towarzysz to major Walentin Iwaszutin.

- Jezu! - wyszeptał Waxman, przerażony. Czytał wystarczająco dużo książek Johna le

Carre, by zdawać sobie sprawę z tego, że generałowie KGB i ich asystenci nie szukają kontaktu z pracownikami administracji rządowej średniego szczebla, by sobie przyjemnie pogawędzić. - Czego ode mnie chcecie?

- Proszę się nie denerwować, chcemy bardzo niewiele - powiedział Gurenko uspokajającym tonem. - Jak już powiedzieliśmy panu przez telefon, chcielibyśmy, aby przekazał pan pewne informacje sekretarzowi stanu, panu Swanbridge'owi.

- Ja nie mam dostępu do Swanbridge'a! - wyjęczał Waxman. - Wybrał pan do tej roboty niewłaściwego człowieka, panie generale.

- Jest pan idealny - zapewnił go Gurenko. - Jak już mówiłem, jest pan neutralny.

- Ale jak mam dotrzeć do Swanbridge'a? - zapytał płacząco Waxman.

- Podając moje nazwisko - odpowiedział Gurenko.

- A kiedy mam to zrobić? - spytał Waxman.

- Natychmiast - polecił mu Gurenko. - Swanbridge jest na przyjęciu w Białym Domu.

Zna pan łańcuch podległości. Niech pan do niego dotrze. Głos Rosjanina był przerażająco pozbawiony emocji.

- Chce pan, żebym podając tylko pana nazwisko dotarł do Swanbridge'a, który jest teraz na przyjęciu w Białym Domu?

- Dokładnie tak - skinął głową Gurenko.

- Powariowaliście - oświadczył Waxman, wydobywając z siebie resztki odwagi. - A co pan robi, jeśli powiem, że nie pójde do Swanbridge'a?

- Nic panu nie zrobię - wzruszył ramionami Gurenko. - Chociaż taśmy, które właśnie nagraliśmy, mogłyby pana zniszczyć. - Potrząsnął głową. - Nie, panie Waxman, nic panu nie zrobimy, ale pańscy rodacy pewnie pana zlinczują.

- A co to znowu ma u diabła oznaczać? - zapytał Waxman.

- Informacje w tym plecaku zawierają materiał dotyczący możliwości zabójstwa

Geoffrey' a Jamesa Tuckera - prezydenta Stanów Zjednoczonych, pańskiego prezydenta, panie Waxman. Informacje te nie są rozstrzygające i ostateczne, ale są dokładne. Natrafiliśmy na nie przypadkowo, podczas wypełniania innego zadania wywiadowczego.

- Nie wierzę, że to dzieje się naprawdę - wyszeptał Waxman. Cera mu nagle zszarzała, a na czole pojawiły się kropelki potu.

- To się dzieje naprawdę - zapewnił go Gurenko. - Niech pan działa szybko i śmiało, a najprawdopodobniej ocali pan życie prezydenta. Jeśli będzie się pan wahać, to pójdzie pan do grobu ze świadomością, że mógł pan zapobiec nieszczęściu.

Teczka Waxmana w KGB była cienka, ale była tam wzmianka, o tym że lubi melodramaty. Gurenko wypowiadając te słowa, chciał wykorzystać jego słaby punkt.

- Nie mogę niczego zagwarantować... - powiedział Waxman niepewnie.

Gurenko filozoficznie wzruszył ramionami.

- Może pan tylko zrobić, co w pana mocy. - Ale dotrze pan do Swanbridge'a.

- W Białym Domu?

- Jeśli to możliwe. Jeżeli nie, to niech pan próbuje w domu. Wie pan, gdzie on mieszka?

- Bradley Hills Grove, niedaleko klubu golfowego „Burning Tree”.

- Bardzo dobrze - skinął głową Gurenko.

- Okey - poddał się Waxman. - A co będzie jeśli w końcu się z nim spotkam, a on mi nie uwierzy?

- Uwierzy panu - uśmiechnął się Gurenko. - A jeśli zacznie się wahać, to może mu pan podać kilka informacji weryfikujących pańskie źródło.

- Jakie to informacje? - zapytał Waxman.

Proszę wspomnieć Shrenka, Coopera i Macintyre'a. Proszę wspomnieć o spotkaniach, jakie odbywali w domu przy Cherry Hill Lane.

- Shrenk, Cooper i Macintyre - powtórzył Waxman.

Brzmiało to jak nazwa firmy prawniczej, ale niski urzędnik znał te nazwiska. Jedyny Shrenk, o jakim słyszał, był prokuratorem generalnym i gotów był się założyć, że Cooper to Hudson Cooper z CIA. Waxman z każdą sekundą czuł się gorzej. Doświadczał podniecenia, jakiego nigdy nie zaznał Brendą czy też w piwnicy konstruując nową grę wojenną. Bolał go od tego brzuch, ale ta sytuacja była prawdziwa. Do licha z Tomem Clancy'm. To się działo naprawdę, a on był w centrum wydarzeń!

- Ma pan jakieś pytania? - zapytał Gurenko. Z wyrazu oczu Waxmana rezydent KGB poznał, że ofiara chwyciła przynętę i połknęła haczyk. Ten urzędniczyna z Departamentu Stanu przedrze się przez każdą przeszkodę, by przedstawić Swanbridge'owi spisek na życie prezydenta, co uwolni ludzi Gurenki od podejrzeń o udział w tej sprawie. Uśmiechnął się w duchu. Żałował, że nie będzie mógł ujrzeć reakcji Swanbridge'a.

- Nie mam żadnych pytań - odpowiedział Waxman chrząkając cicho.

Gurenko poklepał niskiego mężczyznę po ramieniu.

- Wspaniale - powiedział cicho. Następnie obrócił go delikatnie i ponownie wskazał mu człowieka z kamerą.

- Proszę pamiętać, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin prześlę te taśmy pańskiemu przełożonemu. Staną się potwierdzeniem pana patriotyzmu, albo jeśli zdecyduje się pan nie dostarczyć Swanbridge'owi tych informacji - będą przyczyną pana upadku. Czy pan zdaje sobie z tego sprawę?

- Doskonale - skinął głową Waxman. Plecak, który trzymał w ręku, wydawała mu się nie do podźwignięcia. Popatrzył ponad spienioną wodą na małą zadrzewioną wyspę i

człowieka z kamerą. James Bond rozmazał się i zastąpił go mały chłopiec pani Waxman, Daniel. Odwrócił się, by zadać Gurence pytanie, ale wysoki Rosjanin i jego towarzysz już poszli. W oddali w alejce wiodącej do śluz i budynku gospodarczego widać było tylko małe figurki szpiegów. Teraz musiał radzić sobie sam.

## Rozdział 26

Ja chyba zwariowałem! - wściekał się Lyall Spencer. Za jego plecami dumnie wznosił się pomnik Waszyngtona. Zachodnia strona pomnika pokolorowana była promieniami zachodzącego słońca. Parking od północnej strony był prawie pusty. Flagi państwowe otaczające pomnik zwisały smętnie w przegrzanym powietrzu. Była dwudziesta dwadzieścia.

- Też mi się tak wydawało - pocieszył go Stephen Stone, oparty o służbowy nie oznakowany samochód szefa Secret Service. Kilka metrów dalej Dmitrij Trawkin chodził nerwowo tam i z powrotem. Obserwował parking i drogi dojazdowe do olbrzymiego pomnika.

- Jestem przekonany, że istnieje spisek, którego celem jest zamordowanie Tuckera. Wskazują na to wszystkie dowody.

- Nie masz żadnego cholernego dowodu - wybuchnął Spencer. - Masz kupę gówna i rosyjskiego szpiega!

- On ci nie wierzy Stephen - powiedział Trawkin zmęczonym głosem i zatrzymał się naprzeciw Stone'a. - Myślę, że możemy dać sobie spokój.

- A jak mogę w to wszystko uwierzyć? - zapytał Spencer. - Mówisz mi, że gdzieś po Białym Domu biega teraz jakiś morderca, i mam to przyjąć na słowo? Daj mi jakiś dowód!

- Nie możemy dać ci dowodu - powiedział Stone. - Powiedzieliśmy ci, co się dzieje i co wiemy. Hudson Cooper, Hollis Macintyre i Bóg jeden jeszcze wie kto, planują zamordować Tuckera, prawdopodobnie dlatego, że facet cierpi na chorobę Creutzfeldta-

Jacoba prowadzącą do demencji. Tropiliśmy tego Duncana tak długo, jak tylko mogliśmy.

Wynajął barcę mieszkalną w marinie w dole rzeki w Indian Head i zażądał map aż do wodospadów. Facet z mariny powiedział nam, że widział, jak Duncan ładuje na łódź sprzęt do nurkowania i kilka butli ze sprężonym powietrzem. Potem sprawdziliśmy Eastern Power Boat Club przy moście Anacostia - niedaleko miejsca, gdzie dostał ten pakunek od Mallory'ego.

Duncan alias Symthe cumował na tej przystani, ale już go tamjiiie ma.

- Więc gdzie się podział? - spytał zdenerwowany Spencer. Spojrzał na zegarek ze zmartwioną miną. Wyszedł z punktu dowodzenia podczas ważnego wydarzenia. Jeśli jego szefowie dowiedzą się o tym, to będzie ugotowany na twardo.

- Zespół Beach Boys gra dzisiaj w nocy na barce w Watergate. Wiesz, jak to wygląda, kiedy odbywa się tam koncert: cała rzeka jest zatłoczona łodziami. Wydaje mi się, że rzucił tam kotwicę i kryje się pośród fanów.

- Myślisz, że teraz jest w Białym Domu?

- Te książki, które znaleźliśmy w jego mieszkaniu, były na temat Białego Domu.

Wszystkie notatki na marginesach dotyczą budynku: historii, konstrukcji, renowacji, planów...  
wszystkie.

- Jezu - wyszeptał szef ochrony prezydenta. Spojrzał na Stone'a i na Trawkina.

- A co u diabła mam z nim zrobić?

- On jest ze mną - powiedział stanowczo Stone. - To on pierwszy zorientował się, o co tu naprawdę chodzi i to on ocalił mi życie nad jeziorem Anna. Jeśli się go teraz pozbędziemy, to KGB pożre go żywcem.

- Muszę sprawdzić te informacje - powiedział Spencer. - Nie mogę tak po prostu...

- Nie ma na to czasu! - wybuchnął agent FBI. - Mort pojechał zebrać ludzi, żeby zająć barcę. Musimy zatrzymać Duncana, i to natychmiast!

O dwudziestej trzydzięci jeden Eric Rhineland po raz ostatni zbliżył się do głównej wiązki kabli energetycznych i włączył mechanizm zegarowy bomby.

Otrzeptał mundur, włączył krótkofalówkę i nastawił ją na częstotliwość stosowaną przez Secret Service. Włożył do ucha małą słuchawkę, jak czynią to funkcjonariusze SOP.

Ustawił głośność i posłuchał przez chwilę rozmów agentów Secret Service i SOP.

Przysłuchiwał się wymianie zdań i stwierdził, że wszystko idzie gładko, jeśli nie liczyć gościa, który wypił trochę za dużo i został dyskretnie odprowadzony do limuzyny. Zabójca przez kilka minut dopasowywał hasła do poszczególnych miejsc, ale w końcu dał sobie z tym radę. Kolacja dobiegała już końca. „Diament” i „Smaragd” wciąż siedzieli przy stole, razem z „Kobaltem” wiceprezydentem, i „Krzemieniem” - sekretarzem stanu. „Heliotrop” – lekarz Białego Domu, znajdował się w biurach na parterze i zajmował się w tej chwili kimś z kuchni, komu nagle poszła krew z nosa. Nie działo się nic niezwykłego.

Nagle Rhineland zesztywniał i cały zamienił się w słuch. Strażnik z budki przy bramie od strony West Executive Avenue zażądał od „Piwnicy” - centrum dowodzenia Secret Service - sprawdzenia, czy prezydent miał tego dnia zaplanowane spotkanie z wicedyrektorem CIA Hudsonem Cooperem. Strażnik zażądał sprawdzenia, ponieważ uznał, że przyjęcie urodzinowe koliduje ze służbowymi spotkaniami. W kilka sekund później „Piwnica” potwierdziła fakt spotkania i limuzyna Coopera została wpuszczona do środka. Agent przy wejściu do zachodniego skrzydła wydał Cooperowi przepustkę. Zabójca nabrał powietrza w płuca i odetchnął powoli. Czas zaczynać.

O dwudziestej czterdzięci cztery ekrany zarówno w biurze mistrza ceremonii w północnym foyer, jak i w „Piwnicy” bezpośrednio pod Owalnym Gabinetem wskazały, że prezydent i wiceprezydent wychodzą z jadalni i idą do Owального Gabinetu. „Piwnica” zawiadomiła wszystkich funkcjonariuszy, że „Diament” razem z „Kobaltem” idą na dół.



Dwóch agentów Secret Service patrolujących teren na zewnątrz, rzuciło dotychczasową robotę i skierowało się na wyznaczone miejsce pod oknami gabinetu wychodzącymi na Ogród Różany. Druga para agentów weszła wąskimi schodami z piwnicy na górę, na korytarz przy Ovalnym Gabinetecie.

Jedną z tej pary była kobieta - Beth Sheldrake. Zajęła pozycję w sekretariacie usytuowanym pomiędzy Ovalnym Gabinetem a saląposiedzeń rządu. Jej partner - John Donnelly stanął się przy głównym wejściu do Ovalnego Gabinetu, skąd miał widok na cały korytarz aż do foyer przy kolumnadzie, gdzie znajdowało się przejście do zachodniego skrzydła. Oboje nie spieszyli się zbyt. Zdawali sobie doskonale sprawę, że co najmniej pięć minut zajmie prezydentowi dojście do Ovalnego Gabinetu. Kiedy agenci Secret Service zajmowali pozycje wokół Ovalnego Gabinetu, zabójca opuścił piwnice pod północnym portykiem i kierował się do rzadko używanego tunelu prowadzącego do zachodniego skrzydła.

Skręcił w prawo i poszedł głównym korytarzem obok stolarni. Kierował się na zachód. Z góry dochodziły do niego ciche, zduszone dźwięki muzyki - to orkiestra zaczynała właśnie grać w bibliotece. Spojrzał na zegarek: dwudziesta czterdzieści sześć. Kolacja dobiegła końca i jeśli wszystko szło zgodnie z planem, to Tucker i Teresi szli właśnie do Ovalnego Gabinetu. Rhineland dotarł wreszcie do wejścia tunelu i się zatrzymał. Zauważył na górnej framudze drzwi metalową obejmę. Wyglądało na to, że było to umocowanie kamery, która zapewne została oddana do naprawy albo po prostu uznano ją za zbyt cenną w tym miejscu. Otworzył ciężkie drzwi i wszedł do tunelu.

Dwie minuty wcześniej Lyall Spencer wrócił do Białego Domu. Wiózł ze sobą na tylnym siedzeniu wozu dwóch nieodpowiednio ubranych na przyjęcie agentów.

Funkcjonariusze przy bramie od strony West Executive patrzyli na nich ze zdziwieniem, ale

Spencer machnął legitymacją i wpuścili ich bez szemrania. Szef Secret Service okrążył dookoła budynek i podjechał pod główne wejście od zachodniej strony, po czym przeprowadził Stephena Stone'a i Dmitrija Trawkina przez posterunek w drzwiach, pilnowany przez żołnierzy Piechoty Morskiej. Następnie skierował się do pomieszczeń dla dziennikarzy naprzeciw biura sekretarza prasowego prezydenta i usadził ich w pustej sali.

- A teraz do cholery tylko się stąd nie ruszajcie! - polecił im ochryłym szeptem.

Potrząsnął głową patrząc na nich. - Boże, dzinsy i koszulki. I to jeszcze z Cyndi Lauper!

- Co dalej? - zapytał Stone. Na zaśmieconym stoliku znalazł paczkę papierosów i zapalił jednego.

- Idę na dół do piwnicy i zaczynam sprawdzać wszystkich zakontraktowanych pracowników.

- Powinien raczej szukać bezpośrednio Duncana - oznajmił Trawkin. - Nie ma już czasu na grzebanie w aktach.

- A więc powiedzcie, kogo mam właściwie szukać?

- Metr osiemdziesiąt cztery, przystojny, ciemnowłosy, czterdziestokilkuletni mężczyzna - powiedział Stone. - Tyle zdołaliśmy ustalić.

- Ten opis pasuje do połowy moich ludzi - wypalił Spencer. - Nie wspominając już o dwudziestu kelnerach podających do kolacji - dodał.

- On nie będzie przebrany za kelnera - powiedział powoli Trawkin.

- Czemu nie? - spytał zimno Spencer. - Sirhan Sirhan wyjął spluwę w kuchni hotelowej.

- Tucker nie będzie dzisiaj zwiedzać kuchni - odpowiedział Rosjanin. - Trzeba szukać człowieka, który ma prawo poruszać się po całym budynku.

- Nie ma takich ludzi poza agentami Secret Service i ochroniarzami w mundurach -

oznajmił Spencer potrząsając głową.

- W mundurach? - powtórzył Trawkin.

- Służba Ochrony Personelu - wyjaśnił Spencer.

- Ilu z nich jest teraz na służbie? - spytał szybko Trawkin.

- Dzisiaj wieczorem? - Spencer uniósł brwi. - Przy okazji takiej jak to przyjęcie

pewnie posłali większość swoich ludzi. Było ich ze stu pięćdziesięciu. Większość patroluje tereny wokół budynku.

- Ilu ich tam łązi?

- Około setki.

- Czyli pięćdziesięciu znajduje się wewnątrz?

- Tak przypuszczam. Trudno to oszacować przy takim tłoku.

- Nasz człowiek będzie przebrany za jednego z tych pięćdziesięciu mundurowych - stwierdził Trawkin. - Trzeba ich sprawdzić.

- Ten twój Rosjanin jest bardzo pewny tego, co mówi - powiedział Spencer, obracając się do Stone'a.

- Ten mój Rosjanin, jak go nazywasz, jest całkiem rozgarnięty i wydaje mi się, że to co mówi, ma sens.

- A co będzie, jeśli się myli? - spytał Spencer.

- A co będzie, jeśli nie? - odparł Stone.

- Dobra, ale zostańcie tutaj - powiedział Spencer. Odwrócił się i wyszedł do schodów przy sali posiedzeń rządu i biura Secret Service w piwnicy.

Eric Rhinelandar dotarł do wyjścia z tunelu w zachodnim skrzydle o dwudziestej czterdzieści dziewięć. Wygładził marynarkę munduru, poprawił czapkę i otworzył drzwi. Szybkim krokiem przeszedł przez biura na pierwszym poziomie piwnic. Po jego prawej

ciągnął się ciemny krótki korytarz, który prowadził do zakładu fryzjerskiego prezydenta i fotografa. Dalej znajdowało się centrum dowodzenia Secret Service. Poszedł prosto, mając w pamięci plan budynku. Skręcił w prawo, potem w lewo i znowu w prawo i minął zamknięte drzwi kilku pustych pokoi biurowych. W końcu doszedł do klatki schodowej, która prowadziła na górę do sali prasowej na parterze. Spojrzał znowu na zegarek. Stwierdził, że jest trochę przed czasem, i zaczął wchodzić schodami na górę, trzymając prawą dłoń na wypolerowanej skórze kabury na biodrze. Jeszcze pięć minut. Nie zwracał uwagi na zimny pot, który zaczął się pojawiać pod kombinezonem piankowym. Wspinał się i odliczał w myślach.

Na górze skręcił w prawo, przeszedł przez hali i dalej przez \vie\kiefoyer dla dziennikarzy. Z wyjątkiem dwóch facetów ubranych w dżinsy i koszulki, którzy palili papierosy przy stoliku pośrodku sali, nikogo nie było. Sprzątacze? Będzie musiał to uwzględnić podczas odwrotu. Na razie zostawił ich w spokoju i poszedł dalej w kierunku kolumnady.

Zgodnie z rozkładem pomieszczeń na parterze, następnym punktem było dotarcie do korytarza, który prowadził do Owального Gabinetu. Spod daszka czapki dostrzegł podwójne kamery obserwacyjne zamontowane dyskretnie na suficie. Jedna z nich skierowana była prosto na niego. Przeszedł pod kamerą, kątem oka dostrzegając przy tym agenta Secret Service, stojącego pod drzwiami Owального Gabinetu. Jeszcze dziesięć kroków i dotarł do wejścia do sali posiedzeń rządu od strony kolumnady. Zatrzymał się.

Uchylił drzwi na kilka centymetrów i zajrzał do środka, jak gdyby dokonywał rutynowej kontroli. Sala była pusta. Wysokie okna wychodzące na Ogród Różany były zasłonięte ciężkimi kotarami. Wślizgnął się do pomieszczenia, zamknął drzwi i przesunął skobelek zamka.

W sali było ciemno, ale Rhinelandier widział wystarczająco wiele fotografii tego miejsca, by poruszać się po nim swobodnie. Na lewo znajdował się kominek, pośrodku długi owalny stół konferencyjny, dookoła niego dwadzieścia obitych skórą foteli. Na drugim końcu sali usytuowane były drzwi do sekretariatu.

Po omacku zdjął z siebie mundur funkcjonariusza Służby Ochrony Personelu i z ulgą nadstawił ciało pod chłodny podmuch z wyciągu klimatyzatora. Zdjął już uniform i delikatnie zerwał taśmę okręconą wokół przedramienia. Złożył pistolet, z uwagą sprawdzając połączenie lufy ze zbiorniczkiem dwutlenku węgla. Ostrożnie położył broń na gładkiej powierzchni stołu, przyklęknął i wyjął z kieszeni, rzuconej na ziemię marynarki, magazynek. Zerwał z niego warstwy plastikowej izolacji i dotknął tubusa. Wciąż był zimny.

Ustawił magazynek pionowo, złapał w dłoń jeden z pocisków i wziął go pomiędzy palec wskazujący i kciuk. Zawartość kuli wciąż była zamrożnięta. Warstewka wody była prawie niezauważalna. Całkiem nieźle. Załadował magazynek w górną lufę broni i boso przeszedł przez pomieszczenie w kierunku drzwi. Spojrzał na fosforyzujące wskazówki zegarka. Jeszcze minuta. Skoncentrował się i uspokoił oddech. Czekał cicho, aż nadejdzie czas. Była dwudziesta pięćdziesiąt trzy.

Beth Sheldrake, jedna z pięciu kobiet służących w oddziale Secret Service ochraniającym Biały Dom, oparła się wygodnie na krześle i zaczęła kartkować strony podniszczonego egzemplarza „U.S. News & World Report”, który znalazła na stoliku w sekretariacie. Ziewnęła zasłaniając usta dłonią. Zastanawiała się, jak długo szef i Teresi będą jeszcze siedzieli w Owalnym Gabinetcie. Wiedziała, że mają spotkanie z Hudsonem Cooperem, ale nie wiedziała, o czym rozmawiają.

Była to dziwna pora na spotkanie. Beth pomyślała, że może jest świadkiem początku następnego kryzysu światowego. W czasach, gdy wojna o Kubę wisiała na włosku, była

dzieckiem, ale i tak te kilka dni ją wystraszyły. Przez dwa tygodnie ćwiczyli w szkole alarmy przeciwatomowe, chowali się pod ławkami na dźwięk syren, podczas gdy nauczyciel chodził po klasie z radiem przy uchu.

Do diabła z takim rozumowaniem - pomyślała. I tak miała dość zmartwień ochraniając prezydenta czterdzieści czy pięćdziesiąt godzin tygodniowo. Nie musiała jeszcze zamartwiać się tym, co robi jej podopieczny. Odczuła nagłe zadowolenie na myśl, że sekretariat był dźwiękoszczelny i że nie może usłyszeć, o czym oni rozmawiają.

Dokładnie o dwudziestej pięćdziesiąt cztery Eric Rhinelandier otworzył drzwi łączące salę posiedzeń rządu z sekretariatem. Ogarnął spojrzeniem stosunkowo małe pomieszczenie i dostrzegł postać Beth Sheldrake. Siedziała i patrzyła na niego, usiłując wyciągnąć broń z kabury pod pachą. Był to fatalny błąd.

Podczas regularnych ćwiczeń w centrum treningowym Secret Service w Beltsville w Maryland biła na głowę większość kolegów z pracy w szybkości wydobywania broni, celowania i strzelania. Zawsze zajmowało jej to mniej niż dwie sekundy. W prawdziwej sytuacji zajęło jej to prawie trzy i pół sekundy, Rhinelandier zaś wycelował i wystrzelił w mniej niż dwie. Minęła jeszcze jedna pięćdziesiąta część sekundy i zamrożony pocisk uderzył w cel.

Z odległości czterech metrów efekt wystrzelenia kuli wypełnionej rtęcią i lodem był porażający. Agentka Secret Service otworzyła usta ze zdumienia, gdy zabójca pojawił się w drzwiach i kula wdarła się w otwarte usta, bez trudu przechodząc przez miękkie podniebienie i uderzając w rdzeń, gdzie rozpadła się i maleńkie cząstki metalu podziurawiły jej mózg.

Zginęła natychmiast. W chwili uderzenia pocisku ustały funkcje motoryczne mózgu. Osunęła się w krześle; z jej ust zaczęła wypływać tkanka mózgowa i krew. Całe zajście odbyło się niemal w zupełnej ciszy. Słysząc było tylko krótkie, ciche klaśnięcie sprężonego dwutlenku

węgla wyrzucającego pocisk.

Rhineland, który przystanął tylko na chwilę, by wystrzelić pocisk, zrobił trzy kroki w lewo i ostrożnie zasunął zasuwkę w drzwiach sekretariatu wychodzących na korytarz. Nie zwracał uwagi na ciało Beth Sheldrake. Ominął biurko przy wyjściu i podszedł do drzwi prowadzących do Owального Gabinetu. Zrobił głęboki wdech i przypomniał sobie rozkład słynnej sali.

Kominek był po jego prawej, stary zegar po lewej. Prosto znajdowały się dwie sofy, rozdzielone niskim stolikiem i wyściełanym fotel ustawionym przy stoliku na wprost kominka. Z fotografii wywnioskował, że fotel zarezerwowany był dla prezydenta. Pięć metrów za fotel stało wielkie dębowe prezydenckie biurko, a za nim trzy wysokie wychodzące na południe okna. Na lewo od biurka, za flagami, usytuowane były francuskie drzwi do Różanego Ogrodu, a na prawo - drzwi do prywatnego gabinetu prezydenta i łazienki.

Prezydent pewnie siedział teraz w fotelu, a Teresi po jego prawej stronie na sofie przy stoliku. Cooper prawdopodobnie został posadzony na sofie, tyłem do Rhinelandera. Prezydent będzie zatem w odległości siedmiu metrów, a Teresi ośmiu. Zabójca popatrzył na zegarek: dwudziesta pięćdziesiąt pięć i trzydzieści sekund. Za półtorej minuty będzie po wszystkim. Rhineland przeczucił dźwignię przy spuście z ognia pojedynczego na ciągły i sięgnął po mosiężną klamkę.

- Gdzie u diabła podział się Spencer? - zapytał ze złością Stephen Stone.

- Był spocony - wyszeptał Dmitrij Trawkin i wrzucił niedopałek papierosa do styropianowego kubka po kawie, który stał na stoliku pomiędzy nim a Stephenem.

- Co takiego? - zdziwił się agent FBI.

- Był spocony - powtórzył Trawkin. - Kilka minut temu przeszedł tędy facet w

mundurze... Poszedł tam - wskazał ręką Rosjanin.

- I co z tego?

- Był spocony - powiedział Trawkin, teraz już ze złością. - Wyraźnie to było widać.

Kropelki potu przy uszach i na szczęce. Kołnierz marynarki był aż ciemny od wilgoci i miał przeпоconą całą koszulę.

- O co ci chodzi? - zapytał Stone.

- W całym budynku jest klimatyzacja - wyjaśnił Rosjanin. - Chyba czujesz?

- Dlaczego miałby się tu pocić? - dokończył za niego Stone.

- Chory? - rzucił Trawkin.

Stone potrząsnął głową.

- Nie przy takiej uroczystości. Nikt nie angażuje do pracy strażnika, który będzie kichał na gości.

- Rysopis pasuje - dodał Trawkin. - Widziałem go tylko przez chwilę, ale...

- Warto to sprawdzić. - Stone wzruszył ramionami. - Mam już dosyć siedzenia tu i palenia papierosów.

Agent FBI wyciągnął rękę i unióśł słuchawkę stojącego na blacie telefonu, po czym nacisnął czerwony guzik na aparacie.

- Macie coś? - zapytał Lyall Spencer, spoglądając ponad ramieniem Roy'a Donnera na ekran komputera.

- Nic niezwykłego. - Dyżurny agent wzruszył ramionami. - Każdy wyznaczony na dzisiejszy dyżur zgłosił się do pracy. Ale jedynym sposobem sprawdzenia tak naprawdę jest wywołanie agentów przez radio i upewnienie się, że wszyscy są na swoich pozycjach.

- Ile to zajmie? - spytał Spencer.

- Z godzinkę - odpowiedział Donner.



- Cholera - zaklął Spencer. - To nie ma sensu! - Spojrzał na wielki zegar IBM

umieszczony ponad monitorami. Rozległo się ciche tyknięcie i wskazówka minutowa przesunęła się do przodu. Była dwudziesta pięćdziesiąt sześć.

Rhinelandier wpadł do Owalnego Gabinetu i na dwie sekundy stanął w bezruchu.

Szukał swoich celów. Na oknach i na przeszklonych drzwiach do ogrodu zaciągnięto ciemnozielone kotary. Pomieszczenie było jasno oświetlone światłem jarzeniówek, ukrytych w załomie sufitu, co nadawało gabinetowi teatralny wygląd.

Wszyscy znajdowali się w niemal tych samych miejscach, jak w jego wyobraźni.

Tylko Teresie siedział na sofie trochę dalej od fotela Tuckera. Prezydent i wiceprezydent ubrani byli w stroje wieczorowe. Cooper, zwrócony plecami do Rhinelandera, oddalony był tylko o trzy metry.

Na krótką chwilę czas jakby stanął w miejscu, zamrażając siedzące w gabine-; cie postaci. Tucker rozparty w swoim fotelu podpierał dłonią podbródek i spoglądał na Coopera.

Nikły uśmiezek pokrywał widoczne napięcie. Teresi, młodszy i ubrany modniej od prezydenta, miał rozpięty kołnierzyk koszuli i przekrzywioną muszkę. Nachylał się właśnie, by strząsnąć popiół z cygara do popielniczki. Głos Coopera był zmęczony i zmartwiony.

Nagle wszyscy ożyli. Na huk pchniętych mocno drzwi Cooper odwrócił się i spojrzał w bladą, szczupłą twarz Rhinelandera. Tucker wybałuszył oczy i chwycił mocno oparcia fotela, próbując wstać. Teresi zareagował najbardziej żwawo. Rzucił się w bok na sofę i usiłował schować się pod stół przed lufą pistoletu.

Rhinelandier wystrzelił trzy serie: jedną bezpośrednio w prezydenta, drugą w

Teresiego i trzecią w Johna Donnelly'ego, agenta Secret Service, który pełnił służbę przed głównym wejściem do gabinetu. Donnelly wpadł do pomieszczenia natychmiast, gdy usłyszał przerażony okrzyk Tuckera i trzaski strzałów z napędzanego dwutlenkiem węgla pistoletu do

paintballa. W sumie zabójca wystrzelił dziewiętnaście z dwudziestu mieszczących się kul w magazynku. Trafiło przynajmniej dwanaście z nich. I wtedy, zgodnie z planem, zgasły światła w całym budynku. To przygotowana wcześniej przez zabójcę mina wybuchła głęboko pod pomocnym portykiem.

- Jezu Chryste! - wrzasnął Spencer, gdy wszystkie monitory nagle zgasły.

Na tablicy przed dyżurnym agentem Donnerem zaczęły migać niezliczone czerwone lampki alarmowe. Chociaż wojskowe centrum radiołączności na drugim poziomie piwnic pod budynkiem, jak i centrum dowodzenia Secret Service obsługiwane były przez specjalne, zabezpieczone linie elektryczne i kable światłowodowe, to linia przesyłowa z transformatora usytuowanego przy East Executive Avenue nie była zabezpieczona przed sabotażem. Bez oświetlenia kamery obserwacyjne Secret Service były bezużyteczne. Jedynie przyciski alarmowe rozmieszczone w całym budynku działały bez zarzutu. Te guziki z kolei były połączone z systemem dzwonek i syren, które alarmowały agentów Secret Service i każdego, kto znalazł się w zasięgu hałasu takiego urządzenia, że prezydent ma kłopoty.

- Mamy alarm w Owalnym Gabinetcie - wykrzyknął Donner.

Spencer słyszał zduszony dźwięk dzwonek alarmowych. Zdawał sobie sprawę, z tego że goście, którzy znajdują się w połowie drogi między jadalnią i biblioteką, wpadną w panikę, ale nic go to teraz nie obchodziło.

- Nadaj „Huragan”! Ruszaj się, do cholery! - wrzasnął Spencer.

Donner po omacku wcisnął na konsoli przycisk nadawania i zaczął mówić zdecydowanym, wyraźnym głosem do ustawionego tuż przed nim mikrofonu.

- Tu „Piwnica”. Alarm huraganowy w zachodnim skrzydle. Bez odbioru. Wszyscy agenci natychmiast zbiórka.

Alarm huraganowy został wymyślony przez Spencera, który następnie przećwiczył go

z każdą zmianą agentów w Białym Domu. Było to trzystopniowe ostrzeżenie o wtargnięciu.

Dla potrzeb ćwiczeń Spencer wymyślił postać lunatyka, który w jakiś sposób odłączył się od wycieczki zwiedzającej Biały Dom i dostał się do zachodniego skrzydła, a nawet do Owального Gabinetu. Ogłoszenie alarmu obligowało wszystkich agentów dyżurujących w budynku do porzucenia wszelkich zajęć i natychmiastowego stawienia się w Owalmym Gabinetcie. Agenci Secret Service i SOP na zewnątrz mieli zablokować wszystkie wyjścia. Spencer tak wyćwiczył podwładnych, że alarmy wychodziły jak marzenie. Agenci zbierali się w Gabinetcie w dwie i pół minuty. Jeszcze szybciej, bo w dwie minuty i piętnaście sekund były blokowane bramy i wyjścia.

Przy ćwiczebnych alarmach nie brano jednak pod uwagę tego, że w sytuacji rzeczywistego zagrożenia może zgasnąć światło. Nie przewidziano również, że alarm może zostać ogłoszony w czasie oficjalnego przyjęcia i masa przerażonych gości zacznie się błąkać po całym budynku. W tych warunkach agentom zabrało aż cztery minuty dotarcie do zachodniego skrzydła, a i tak tylko jedna trzecia z nich zdołała to wykonać. Na zewnątrz sytuacja wyglądała lepiej i w trzy minuty wszystkie wyjścia zostały zablokowane. W obu wypadkach jednak przypominało to sytuację, gdy zamknięto drzwi stajni, z której koń zdążył już uciec.

- Co u diabła! - Stephen Stone poderwał się z krzesła w pomieszczeniu prasowym, gdy tylko zgasły światła, a budynkiem wstrząsnęła eksplozja w piwnicy.

- Bomba? - zapytał Trawkin, patrząc poprzez mrok na swego towarzysza.

- Nie - odparł Stone, potrząsając w ciemności głową. - Wydaje mi się, że to dobiegło z dołu. To musi być Duncan! - Agent FBI jak szalowiec zaczął po omacku szukać jakiejś broni. Najlepsze, co mógł w tych warunkach znaleźć, to był kolec do nabijania kartek papieru. Znajdowało się na nich kilka wiadomości, które Stone stracił rozrzucając je po całym stole.

Następnie dogonił Rosjanina, który szedł już w stronę korytarza.

- On poszedł na prawo - powiedział Trawkin.

- Dojdziemy tędy do kolumnady i sali posiedzeń rządu, jak mi się wydaje oznajmił

Stone, po omacku trzymając się ściany. Cofnął się nagle, ujrawszy z przodu ciemną postać, odległą o siedem metrów i biegnącą szybko prosto na niego.

Stone nie wahał się ani chwili. Przysiadł nisko na nogach i spróbował powalić mężczyznę chwytem futbolowym za talię. Trawkin obok niego zareagował prościej. Rzucił się naprzód z rozpostartymi ramionami. Stone uderzył całym ciałem w biegnącego mężczyznę i uczył straszliwy ból z boku głowy, po którym nastąpił oślepiający błysk i ogłuszający huk.

Zaczął tracić przytomność, ale w ostatnim momencie zdołał jeszcze unieść ramię z trzymanym wciąż w ręku szpikulcem. Na krótką chwilę ogarnęło go uczucie zadowolenia, gdy poczuł, jak ostrze zagłębia się w ciele i dochodzi do kości. Potem stracił przytomność.

Całkiem logicznie rozumował, że został postrzelony w głowę i że właśnie umiera.

Tego samego wieczoru, prawie trzy godziny po zamachu w Owalnym Gabinetcie, Hudson Cooper został odwieziony do hotelowego apartamentu w Watergate z pełną obstawą policji i czterech agentów Secret Service. Zaraz po ataku został zabrany z Białego Domu do Szpitala Uniwersyteckiego George'a Washingtona na badania. Widział, jak „Marine One” podnosi się szybko z trawnika przed Białym Domem. Najprawdopodobniej zabierał Tuckera i Teresiego do Waltera Reeda.

Wicedyrektor CIA zgodził się odpowiedzieć na kilka pytań w trakcie badania, ale potem tłumaczył się wyczerpaniem i zażądał, by odwieźli go do domu. Kiedy już znalazł się w apartamencie, zamknął na klucz główne drzwi, pozostawiając dwóch agentów Secret Service na korytarzu. Pozostali dwaj obstawiali parter, a z pół tuzina policjantów zostało posłanych do Watergate do odwołania albo do czasu odnalezienia zabójcy.

Odrętwiały ze zmęczenia, nalał sobie drinka i usiadł wygodnie przed telewizorem w salonie. Ze skrzynki stojącej na stoliku wziął papierosa i zapalił, nerwowo pocierając w rękę metalową zapalniczkę swej byłej żony, w oczekiwaniu na wiadomości. Używał pilota i przeskakiwał po stacjach, aż znalazł WDVM - lokalny program CBS.

Jak na ironię dopiero teraz dowiedział się, co się właściwie wydarzyło. Atak został przeprowadzony tak gwałtownie, że nie miał czasu pomyśleć, a zaraz potem został wywieziony z Białego Domu, poddany badaniom i krótkiemu przesłuchaniu. Spencer - facet z Secret Service, który go przesłuchiwał - nie zdradził mu żadnych informacji.

Teraz okazało się, że przynajmniej Tucker zginął, postrzelony dwukrotnie w głowę, raz w gardło i raz w klatkę piersiową. Relacje dotyczące stanu zdrowia wiceprezydenta były sprzeczne. Wiadomo było jednak, że jest w stanie krytycznym, jeśli w ogóle jeszcze żyje. Obecność Coopera w Owalnym Gabinetcie w czasie ataku nie została jeszcze ujawniona środkom masowego przekazu, ale starszy oficer wywiadu zdawał sobie doskonale sprawę, że była to tylko kwestia czasu.

Nie było natomiast dosłownie niczego na temat zabójcy. Secret Service nie podawała żadnych informacji. Żołnierz Piechoty Morskiej pełniący straż przed głównym wejściem do zachodniego skrzydła oświadczył, że ambulans wywiózł z zachodniego skrzydła co najmniej dwóch ludzi. Według tego, co mówił żołnierz, jednym z tych ludzi był agent FBI, który - jak to podchwyciły stacje telewizyjne - zranił i prawdopodobnie zdołał zabić mordercę prezydenta. Były to jednak nie potwierdzone wiadomości.

Szukając więcej informacji na ten temat, Cooper przełączył na Kanał 4 NBC i natknął się tam na historię z zupełnie innej beczki. Do stacji radiowej WNTR podrzuciono taśmę magnetofonową, nagrałą przez niejakiego Hassada albo Assada. Człowiek ten w imieniu swej organizacji, Wszechislamskiego Frontu Wyzwolenia wziął na siebie pełną odpowiedzialność

za zamach.

Na taśmie Assad mówił, że zamiast ryzykować złapanie i proces, wybrał chwalebną śmierć z własnej ręki. Krótco po dostarczeniu taśmy do rozgłośni, w budynku dawnej Irańskiej Ambasady przy Massachusetts Aveue rozległ się huk eksplozji. Incydent ten badały teraz policja i FBI. Według wstępnych doniesień, co najmniej jedna osoba zginęła w wybuchu.

Kanał NBC potwierdził też wcześniejsze doniesienia, że agent FBI o nazwisku Stone zdołał zranić zabójcę prezydenta Tuckera. Z tego, co zrozumiał reporter, ranny morderca uciekł ściekami i kanałami biegnącymi pod Białym Domem. Pozostawił jednak ślady krwi, wskazujące, że został poważnie raniony przez Stone'a. Agent FBI i jego nie zidentyfikowany towarzysz zostali zabrani do szpitala przy Eye Street. Na razie nie ma żadnych wiadomości o ich stanie zdrowia ani o mężczyźnie, który towarzyszył Stone'owi.

Hudson Cooper, wyprany teraz z wszelkich emocji z wyjątkiem głębokiej, niewypowiedzianej depresji, upił drinka, oglądał materiał ukazujący Josepha Swanbridge'a napodium nowej sali konferencyjnej we wschodnim skrzydle. Sekretarz stanu, otoczony przez kilkunastu agentów Secret Service, mówił właśnie, na czym polega ustawa o sukcesji i wyjaśniał swoją pozycję.

Przedstawił listy intencyjne znajdujące się w aktach, od przewodniczących Senatu i Izby Reprezentantów. W świetle dwudziestej piątej poprawki do konstytucji - rozdziałów dotyczących problemów w sprawowaniu urzędu przez prezydenta i wiceprezydenta - on, Joseph Swanbridge, jako następny w kolejności, przejmował obowiązki prezydenta do czasu, aż Vincent Teresi pisemnie zadeklaruje gotowość do objęcia urzędu.

Cooper z westchnieniem oparł się o poduszki fotela i wyłączył telewizor. Siedział tak przez dłuższą chwilę, popijał drinka i zapomniał całkowicie o papierosie, leżącym na stoliku

w popielniczce.

Zamknął oczy i natychmiast znalazł się znowu w Owalnym Gabinetcie, od nowa przeżywał te straszne chwile. Przypomniawszy sobie, jak odwrócił się wiedząc, co się za chwilę stanie, i patrzył prosto w twarz człowiekowi, którego wynajął, by zabił prezydenta Tuckera i Teresiego. Czułby się pewnie dużo lepiej, gdyby była to twarz fanatyka albo szaleńca. Twarz zabójcy była zimna i wyrachowana, a oczy nie wyrażały żadnych emocji.

A potem zobaczył długą, czarną lufę pistoletu i usłyszał kaszlące trzaski wystrzałów.

Widział, jak Tucker unosi się ze swego ulubionego fotela i natychmiast opada z powrotem i przewraca na wielki dywan z wydrukowaną pieczęcią prezydencką. Z pewnością nie żył już, gdy walił się na podłogę.

Na bocznym stoliku zadzwonił telefon. Uniósł słuchawkę i patrzył pustym wzrokiem poprzez pokój na zasunięte kotary na oknach salonu. Ta jednostronna konwersacja trwała przez dobre pięć minut, po czym Cooper odwiesił łagodnie słuchawkę. Przez chwilę trzymał jeszcze drżącą dłoń na telefonie.

Wstał i przeszedł przez apartament do sypialni. Znalazł na półce w szafie zwykłe pudełko po butach i wyjął z niego automatyczny pistolet Springfield armory 1911 - A 1 kalibru 0,45. Wsunął w kolbę pełny magazynek, odsunął bezpiecznik i zarepetował broń. Następnie poszedł do kuchni, gdzie nalał sobie szklankę zimnej wody i wrócił do salonu. Stanął przed kominkiem, patrząc na obraz nad gzymsem. Nie chciał popełnić błędu. Wiedział, że woda zwiększy dziesięciokrotnie efekt uderzenia pocisku. Upił więc duży łyk i przytrzymał go w ustach, po czym przyłożył lufę do zaciśniętych ust i z szeroko otwartymi oczami pociągnął bez wahania za spust. Mózg wicedyrektora CIA rozprysnął się na portrecie jego zmarłej żony.

Rozdział 27

W siedemnaście dni po zabójstwie Geoffrey'a Jamesa Tuckera i w cztery dni po wypisaniu Vincenta Teresiego ze Szpitala Waltera Reeda, Stephen Stone jechał krętą, obrośniętą drzewami drogą dojazdową do Stoneacres, posiadłości Macintyre'a. Słońce już powoli zachodziło i kładło długie, chłodne cienie na wznoszących się i opadających łąkach majątku. Stone był zmęczony dniem, który zaczął się od pożegnalnego śniadania na lotnisku Dullesa na godzinę przed planowanym odlotem odrzutowca Aeroftotu. Samolot miał zabrać Dmitrija Trawkina do Moskwy.

Po dwóch tygodniach przesłuchań za zamkniętymi drzwiami przez sformowaną specjalnie dla wyjaśnienia zabójstwa Komisją Morgentalera, Trawkin został wysłany do domu w nowej roli ulubieńca środków masowego przekazu i z nowymi naszywkami na naramiennikach munduru GRU. Został awansowany na pułkownika. Stone'owi było przykro, że przyjaciel musi wyjechać i przy śniadaniu próbował po raz ostatni, choć niezupełnie poważnie, namówić go do przejścia na drugą stronę.

Trawkin docenił ten gest, ale odmówił. Zostając mógłby jedynie oczekiwać kontraktu na napisanie książki i krótkotrwałej popularności, po której nastąpiłoby zapomnienie. Natomiast w ojczyźnie, zważywszy na jego bohaterską rolę w wytropieniu zabójcy Tuckera, były przed nim otwarte wszelkie możliwości. Został okrzyknięty przedstawicielem nowych stosunków między Wschodem i Zachodem. Jego zasług nie mógł umniejszyć nawet fakt, że został przez zabójcę powalony kopnięciem w krocze, że nie był w stanie go dalej gonić.

Stone zatrzymał wóz przed kolumnadą wejścia do wspaniałego budynku i wyszedł z wozu. W rękę trzymał cienką teczkę. Dotknął bandaża obwiązanego wokół prawie już zagojonej rany na skroni i odetchnął głęboko, rozkoszując się zapachem świeżo skoszonej trawy i kwiatów posadzonych przy ścianie domu. Wszedł po kilku stopniach na ganek i zadzwonił. W kilka sekund później stary Murzyn z siwymi włosami otworzył drzwi. Stone



skinął mu głową. Zgodnie z informacjami, które zebrał na temat Macintyre'a, był to Benjamin, jego kamerdyner.

Ten poprowadził go przezfoyer, do wielkiej, wysokiej biblioteki. Macintyre zostawił rozsunięte kotary w oknach. Stone mógł stąd podziwiać wspaniały widok na łąki rozciągające się aż do ocienionych drzew na brzegu rzeki. Zaraz za zaroślami płynął leniwie Potomac, a dalej za drzewami widać było drugi brzeg.

Kamerdyner zostawił go w drzwiach i Stone sam podszedł już po wypolerowanym dębowym parkiecie do wielkiej ławy ustawionej pośrodku pokoju. Wielkie cielsko Macintyre'a usadowione było na miękkich poduszkach sofy. Mężczyzna trzymał w jednej dłoni małe krysztalowy kieliszek likieru.

- Ach, agent Stone - powitał go Macintyre słodkim jak likier głosem. Lekko skłonił przy tym swą wielką, lwią głowę. Stone spojrzał mu w oczy - były niespokojne i wyrachowane. Najwyraźniej Macintyre miał się na baczności.

- Wystarczy pan Stone - odpowiedział Stephen. - Dziesięć dni temu zostałem przeniesiony z biura do Komisji Morgentalera.

- Wiem o tym - odpowiedział Macintyre i ponownie skłonił głowę. - Nie rozumiem tylko, dlaczego zażądał pan spotkania ze mną. Jak pan zapewne wie, prawie nie znałem prezydenta Tuckera.

- Tak, wiem o tym - odparł Stone. Położył teczkę na udach i otworzył ją trzaskając zamkiem. Następnie wyjął kartkę papieru. - Nasza rozmowa jest poufna i poza protokołem.

- Naprawdę? - odezwał się Macintyre, unosząc jedną brew. - Nie jestem pewien, czy chcę poufnie rozmawiać z przedstawicielem komitetu.

- Spotkałem się z panem na wyraźne żądanie senatora Morgentalera. Chciałby, żeby pan miał wieki możliwości do wyboru. Ja osobiście nie jestem pewny, czy to dobry pomysł.

- Co ma pan na myśli? - spytał Macintyre.

- Morgentaler uważał, że powinien pan pełnić swoje obowiązki, ponieważ nie chce dalszego zamieszania - odpowiedział Stone. - Moim zdaniem powinien pan zostać postawiony przed sądem za zdradę stanu.

- Dobry Boże! - wykrzyknął rozbawiony Macintyre. - Jest pan człowiekiem o bardzo ostrych sądach. Na czym opiera pan takie przekonanie?

- Na faktach - wyjaśnił Stone. - Zgodnie z informacjami, które udało mi się do tej pory ustalić, między innymi dzięki pomocy Dmitrija Trawkina z radzieckiego wywiadu wojskowego, brał pan udział w spisku na życie prezydenta i wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Oprócz pana jeszcze kilka innych osób: Hudson Cooper, wicedyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej do spraw operacji i pan Shrenk, prokurator generalny Stanów Zjednoczonych. Wszyscy wiedzieliście, że prezydent Tucker cierpi na zaawansowaną postać demencji, czyli na chorobę Creutzfeldta-Jacoba. Zdając sobie sprawę z jego choroby, pan i pozostali uczestnicy spisku zdecydowaliście, że najlepszym wyjściem z sytuacji będzie zabójstwo. Włączył pan do tego scenariusza również wiceprezydenta, ponieważ jego poglądy polityczne nie zgadzały się z pana światopoglądem!

- Bzdury - roześmiał się Macintyre popijając likier. - To tylko paplanina bez pokrycia. Nie ma pan żadnych dowodów.

- Obawiam się, że mamy całe mnóstwo dowodów, panie Macintyre. Niektóre zostały nam dostarczone przez generała Kozłowa z GRU, lecz większość dostaliśmy od Władimira Gurenki z KGB. Materiały są bardzo obiecujące i wygląda na to, że wasze spotkania przy Cherry Hill Lane miały świadków.

- Czyżby zamierzał pan wezwać mnie przed komisję senacką, podając informacje uzyskane od sowieckich agentów? - zapytał z niedowierzaniem Macintyre. - Życzę szczęścia

mój przyjacielu.

- Mamy coś więcej. Mamy Hudsona Coopera.

- Cooper nie żyje.

- Oczywiście - zgodził się Stone. - Zwinął żagle w bardzo dobitny sposób. Miał ku temu istotne powody.

- Naprawdę? - zapytał Macintyre.

- Tak - skinął głową Stone. - To on wynajął Duncana. Wciąż jeszcze nie możemy ustalić jego prawdziwego nazwiska.

- Nie tylko nazwiska. Zupełnie jak w sprawie Lee Oswalda - rzucił Macintyre.

- Znalaziono ślady krwi w ściekach i głównym kanale - powiedział Stone. Moi ludzie odnaleźli także jego łódź. Ale Duncan w ogóle się tam nie pojawił. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że utonął w głównym kanale albo utknął przy siatce zamykającej wyloty.

- Możliwe - wzruszył ramionami Macintyre. - Ale prawda wygląda tak, że nie złapaliście zabójcy i nie macie już spiskowca, który go wynajął. Boże drogi, nie znacie nawet nazwiska mordercy.

- Owszem - przyznał Stone. - Nie znamy jego nazwiska, ale mam listę nazwisk innych ludzi. Nazwisk, o których nawet komisja senacka nie ma pojęcia. Jediną osobą, która widziała tę listę, jest Josh Morgentaler.

- Co to za nazwiska? - zapytał zimno Macintyre.

Stone uśmiechnął się w duchu. Sukinsyn mógł sobie zachowywać zewnętrzny spokój, ale widać było, że wewnątrz zaczyna się gotować.

- To lista, którą przesłała mi moja była żona - odpowiedział Stone obojętnym tonem. -

Wysłała ją, zanim została zamordowana na zlecenie KGB przez grupę Specnazu. Przesyłka

dotarła do mnie, gdy już leżałem w szpitalu.

- Aha - westchnął teatralnie Macintyre. - Teraz dopiero widzę sens tego, co pan mówi.

Chce pan przekazać komisji Morgentalera informacje uzyskane przez KGB, ale mówi pan przy tym, że to KGB zamordowało pańską byłą żonę.

- Dokładnie tak. Obawiali się, że zechce przekazać nam listę wielkiej sieci agentów ulokowanych w naszym społeczeństwie wiele lat temu. Niektórzy zostali zwerbowani przed kilkudziesięciu laty.

- A co to ma wspólnego z zabójstwem Tuckera? Z tego co pan mówi, wygląda, że pańska była żona pracowała dla Rosjan.

- Owszem - skinął głową Stone. - Była jednym z wielu głęboko zakonspirowanych agentów. KGB zamordowało ją, ponieważ chciało chronić pozostałych. Spotkałem się z generałem Gurenką, który pokazał mi jej akta. Nie podbudowuje to może mojego ego, ale z wywiadowczego punktu widzenia małżeństwo ze mną było mistrzowskim posunięciem.

- Wciąż nie widzę, związku ze śmiercią Tuckera? - przerwał mu Macintyre. -

Dlaczego też miałoby to dotyczyć mnie? - zapytał zirytowanym tonem gospodarz.

- Hudson Cooper zatrudniał ją jako kurierkę i czasami zlecał jej analizy wywiadowcze. Była „spiochem” w CIA.

- I dostaliście te informacje od Gurenki z KGB? - zapytał zimno Macintyre.

- Może się pan założyć - oznajmił Stone. - Ci faceci dostali z góry bardzo wyraźne polecenie: okazać pomoc w każdym zakresie, w jakim zażądamy. Są gotowi do pełnej współpracy, byśmy tylko nie wplątali ich w to zabójstwo.

- A ta lista? - spytał Macintyre. - Wiedzą, że pan ją ma?

- Nawet nie wiedzą, że ta lista istnieje - odpowiedział Stone wyszczerzając zęby. -

Debbie była prowadzona przez jednego z najważniejszych ludzi w Moskwie - Kuriochina -

takiego szpiega w starym stylu. Zgodnie z materiałami, które mi nadesłała, była jego osobistym agentem w CIA.

- Nadal nie widzę, jaki to ma związek ze mną - oznajmił Macintyre zmęczonym głosem. Spojrzał znacząco na zegarek.

- Panie Stone, robi się późno. Jestem starym człowiekiem i potrzebuję dużo snu.

- Nie zajmę panu już wiele czasu - powiedział Stone. - Chciałbym pokazać panu tę listę z osobistych pobudek. Zdaję sobie sprawę, że nigdy nie będę w stanie niezbicie wykazać, iż brał pan udział w spisku, tak jak Cooper, Shrenk czy ktokolwiek inny. Morgentaler też jest tego świadomy. Ale chcemy, żeby miał pan świadomość, że uważnie się panu przyglądamy i wiemy wszystko.

- Dobrze. Przyszedł pan tu po to, żeby sprawdzić, czy można mną trochę potrząsnąć.

Może pan uznać swoje zadanie za spełnione - powiedział Macintyre. - A szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby pańska lista mogła mnie zainteresować. Czas już chyba się pożegnać.

- Na pewno chce pan zobaczyć tę listę - oznajmił dobitnie Stone. W pokoju było już ciemno; przy ławie panował półmrok. Macintyre nie pofatygował się, by zapalić światło.

Stone popchnął fotokopie listy na drugą stronę ławy.

- Proszę spojrzeć na to podkreślone nazwisko na trzeciej stronie.

Macintyre pochylił się i uniósł dokument do oczu. Przekartkował strony i obrócił właściwą do okna.

JOSEPH SAXON SWANBRODGE /werbunek

Uniwersytet w Yale/24/3/1940/hasło MARYBELLE

- To niemożliwe - powiedział Macintyre spoglądając na Stone'a.

- Proszę czytać dalej. - Stone zacisnął szczęki z gniewu i zamknął teczkę. - Wszystko

tam jest, Macintyre. Bogaty chłopak w Yale, ojciec lekarz, matka radykalna poetka. Cały

świat zaczyna się walić. Europa jest ogarnięta wojną, która nieuchronnie zbliża się do brzegów Ameryki. Czas na nowy porządek. Twój koleś Swanbridge poszedł na to; trzymali go z dala od zbyt radykalnych demonstracji i ugrupowań. Postanowili, że pomogą mu awansować i piąć się w górę.

- To jakiś obłąd! - wyszeptał Macintyre.

Stone nachylił się w jego stronę i wyjął mu listę z ręki. Otworzył teczkę i wsunął dokument, po czym spojrzał ostro na otyłego mężczyznę.

- Myślałeś, że wszystko wiesz, prawda, Macintyre? Ty i twoi niewidzialni kołesie, wasz tajny komitet. - Głos Stone'a był równie ostry jak jego wzrok. Zbliżył twarz jeszcze bardziej do Macintyrea. Patrzyli teraz na siebie z odległości najwyżej trzydziestu centymetrów.

- Spieprzyłeś to Hollis. Swanbridge osiągnąłby cel, gdyby wasz zabójca zabił również wiceprezydenta. I tak źle się stało, że został sekretarzem stanu. Ty jednak zrobiłeś z niego prezydenta Stanów Zjednoczonych, nawet jeśli pełnił tę funkcję tylko przez kilka dni. Stone wyprostował się i potrząsnął głową.

- Pomyśl o tym - powiedział cicho Stone. - Prawie udało ci się ustawić agenta KGB w Ovalnym Gabinetcie. Agent kontrwywiadu uśmiechnął się ponuro.

- I wiesz co, Hollis? Każdy, kto cokolwiek znaczy, każdy rozdający karty w tym kraju w końcu dowie się, co zrobiłeś. Cooper był dostatecznie sprytny, by strzelić sobie w łeb. Zdawał sobie bowiem sprawę, co by się z nim stało, gdyby ta informacja wypłynęła na światło dzienne. Senator chce ci dać szansę, tak samo Teresi. Ja jednak mogę się założyć, że nie masz odwagi, by podążyć śladem Coopera.

Stone wetknął teczkę pod pachę i odszedł stukając obcasami po wypolerowanym parkiecie. Przystanął w drzwiach i spojrzał raz jeszcze na wielką sylwetkę polityka.

- Udowodnij mi, że się mylę - odezwał się Stone, spoglądając Macintyre'owi prosto w oczy. - Przekonaj mnie, że masz odwagę.

Macintyre poczekał, aż Stone wyjdzie z budynku i powoli wstał. Otworzył francuskie drzwi i wyszedł na mały taras, otoczony ze wszystkich stron murkiem do wysokości pasa.

Zbliżył się do muru i położył dłoń na zimnym granicze, spoglądając w zamyśleniu na płynącą niżej rzekę.

Stone miał rację, nie miał odwagi, by popełnić samobójstwo. Na Boga! Perspektywa splamienia nazwiska i reputacji była równie przerażająca. Bez władzy będzie nikim, a jeśli zostanie nikim - umrze. Westchnął i odwrócił się od ciemniejącej w mroku wody, gdy w tym samym momencie kula ze sztucera marlin 0.444 trafiła go w pierś, rozdzierając przetłuszczoną tkankę pod mostkiem i uderzając z impetem w serce. Był to wspaniały strzał.

W lesie nad rzeką, dwieście pięćdziesiąt metrów dalej, Eric Rhinelandier ukryty w zaroślach patrzył z uwagą przez lunetkę celownika, jak jego ofiara pada na podłogę tarasu. Opuścił broń i skinął głową. Zrobił to, co potrafił, by wypełnić zadanie i zamknąć ostatnie drzwi. Teraz mógł pomyśleć o przyszłości.